

ZDANIE

„Trzech na jednego”
z KRZYSZTOFEM JASIŃSKIM

W numerze m.in.: Bronisław BACZKO, Zbigniew BAUER, Henryk DOMAŃSKI, Tadeusz HOŁUJ,
Andrzej LAM, Lech M. NIJAKOWSKI, Zdzisław SADOWSKI, Jan SZMYD,
Piotr SZTOMPKA, Andrzej WALICKI, Marek ZAGAJEWSKI

1-2 (156-157) 2013



KOWADŁA »Kuźnicy« wręczone:



ANDRZEJOWI MENCWELOWI w Warszawie

Fot. Filip Ratkowski



HIERONIMOWI KUBIAKOWI w Krakowie

Fot. Andrzej Głuc

ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

1–2 (156–157) 2013

OD REDAKTORA

Kiedy w 1966 roku Krzysztof Jasiński, wówczas student krakowskiej szkoły teatralnej, zakładał Teatr STU, nie przypuszczał zapewne, że w tymże teatrze, którego jest dyrektorem nieprzerwanie do dziś, przyjdzie mu obchodzić swój jubileusz. Ale rozmowa („Trzech na jednego”) z tym wyjątkowym artystą, który zaczynał od teatru studenckiego, a dzisiaj współtworzy teatr narodowy, wcale nie ma charakteru jubileuszowego. Zachęcam także do lektury nigdy nie opublikowanego w całości poematu Tadeusza Hołuj, przygotowanego do druku przez Mariana Stępnia. Andrzej Walicki udostępnia ostatnią część korespondencji prowadzonej z Adamem

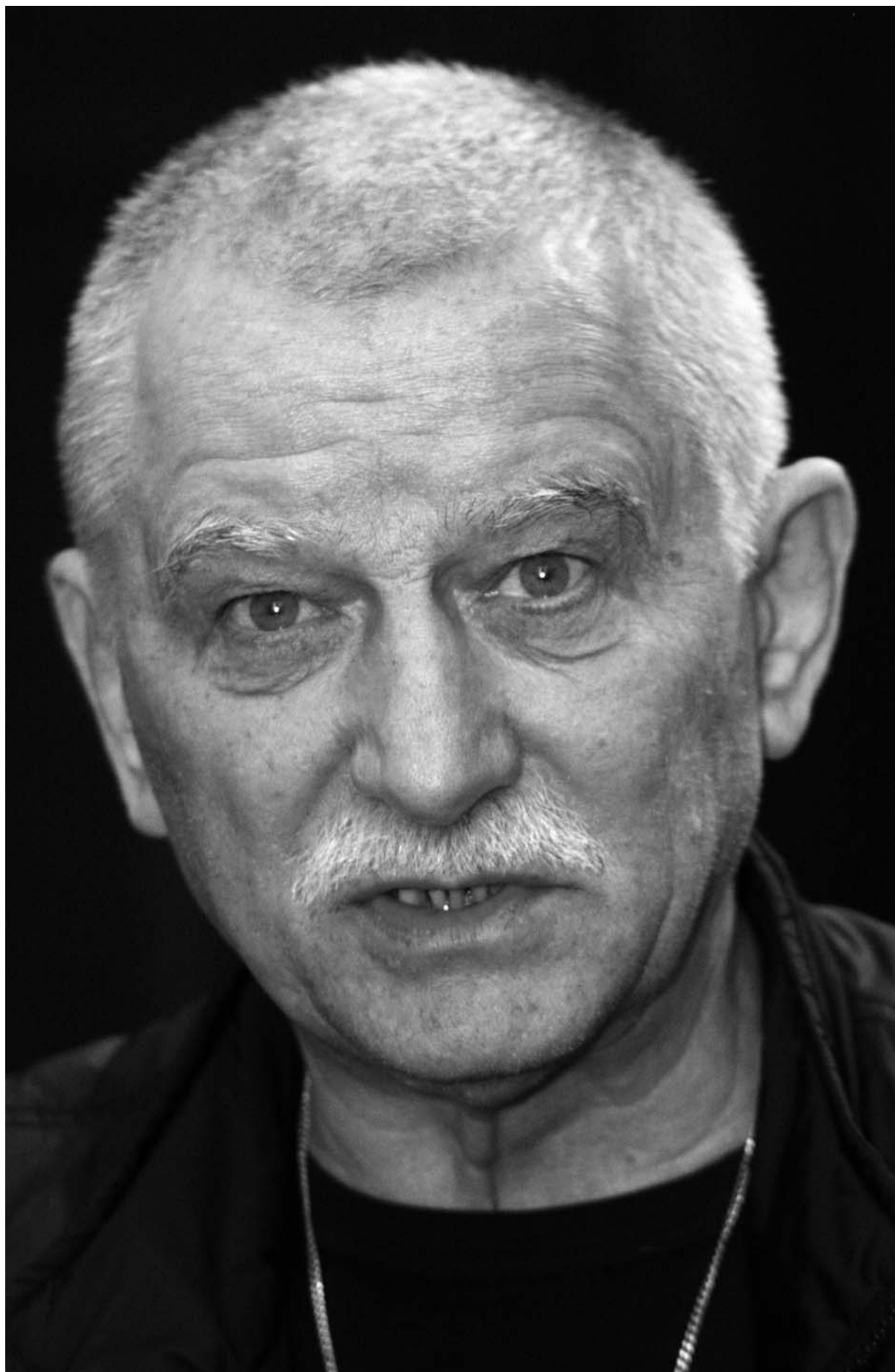
Schaffem, zaś Andrzej Lam dzieli się wspomnieniami na temat Instytutu Badań Literackich, który też obchodzi jubileusz.

W numerze sporo miejsca poświęcamy ubiegłorocznym laureatom „Kowadła” – Hieronimowi Kubiakowi i Andrzejowi Mencwelowi, gdyż na to w pełni zasługują. Uzasadnienie decyzji Rady „Kuźnicy” znajduje się w jej uchwałach oraz w laudacjach Piotra Sztompki i Bronisława Baczki. Do słów uznania i gratulacji przyłącza się redakcja „Zdania”.

EDWARD CHUDZIŃSKI

KRZYSZTOF JASIŃSKI TEATR MA SENS TYLKO WÓWCZAS, JEŻELI PRZYCHODZI DO NIEGO PUBLICZNOŚĆ „Trzech na jednego”	3
Marek Zagajewski OPIUMOLOGIA STOSOWANA	14
Edward Karolczuk FILOZOFIA WOBEC PROBLEMÓW EKONOMICZNYCH	22
Jan Szmyd RACJONALNOŚĆ W PONOWOCZESNOŚCI?	29
Henryk Domański STRATYFIKACJA MATERIALNA, KULTUROWA I PRESTIŻ	33
Zdzisław Sadowski O PRZYSZŁOŚCI BLIŻSZEJ I DALSZEJ	36
Andrzej Banaś RP – RZECZPOSPOLITA POŚREDNIA	39
Lech M. Nijakowski DZIEDZICTWO AKCJI „WISŁA”	42
Władysław Markiewicz JAK TO OPISAC, JAK ZROZUMIEĆ	48
Stanisław Gębala GORĄCZKA PRAWYCH I SPRAWIEDLIWYCH	54
Zbigniew Bauer O STANIE POLSKICH MEDIÓW	56
Andrzej Walicki SCHAFF – WALICKI: LISTY ODNALEZIONE	62
Błażej Popławski KIBERA ZNACZY LAS	64
Marta Zabłocka APARTHEID à REBOURS	70
Krzysztof Mroziewicz NIEZRĘCZNIK DYPLOMATYCZNY	74
Andrzej Lam W ONE LATA. JAK RÓSŁ W SIŁĘ IBL	80

86	Tadeusz Hołuj OSTATNI POEMAT...
91	KOWADŁA »Kuźnicy« dla ANDRZEJA MENCWELA i HIERONIMA KUBIAKA: Adam Komorowski, KURS MISTRZOWSKI MENCWELA
94	Bronisław Baczko, POCHWAŁA MENCWELA
97	Piotr Sztompka, SPOŁECZNE ROLE KUBIAKA
99	Hieronim Kubiak, MOJE ŻYCIE GRĄ PRZYPADKÓW?
102	Marian Stępień „ZYCIE PISANE”. ZOFIA NAŁKOWSKA
108	Andrzej Kurz STALIN Z POLSKIEJ PERSPEKTYWY
109	Marcin Kula ODMRAŻANA PAMIĘĆ
111	Adam Komorowski „WIELKI SKARB... KULTURY”
113	Marian Stępień KRAJ BEZ ELIT...
115	Paweł Kozłowski DZIENNIK PROFESORA NADZWYCZAJNEGO (2)
123	Eduard Stiepanowicz Koczergin GOGA Z BRĄZU (2)
128	Henryk Markiewicz WYGLĄDAŁO TO TROCHĘ INACZEJ (list)
129	Krzysztof Komornicki ZARZĄDZANIE ZASOBAMI
130	Tomasz Goban-Klas DWAJ PREZYDENCI... JEDEN MOTYW
131	SCEPTYK CZASOPISMA POD KROPLÓWKĄ



trzech na jednego

JEDEN:
KRZYSZTOF JASIŃSKI
TRZECH:
EDWARD CHUDZIŃSKI
ADAM KOMOROWSKI
TADEUSZ NYCZEK

TEATR MA SENS TYLKO WÓWCZAS, JEŻELI PRZYCHODZI DO NIEGO PUBLICZNOŚĆ

EDWARD CHUDZIŃSKI: **Nie będziemy udawali, że się nie znamy. Powodem, dla którego się spotkaliśmy w takim składzie po bez mała czterdziestu latach, jest jubileusz Krzysztofa Jasińskiego, którego On, o ile mi wiadomo, nie chce obchodzić.**

KRZYSZTOF JASIŃSKI: Widzę, że jesteś dobrze poinformowany.

CHUDZIŃSKI: **Żebyś jednak „ból istnienia” zniósł godnie i tym samym zaakceptował swój jubileusz, chcę Ci uświadomić, że pokolenie, które reprezentujesz, zbliża się do siedemdziesiątki lub ją już przekracza. To na osłodę, żeby Ci było raźniej. A zacznę nie od pytania: kim jesteś, bo i my, i wielu ludzi w Polsce akurat to wie, ale od pytania: skąd jesteś?**

JASIŃSKI: Po matce jestem z Poznańskiego, ale urodziłem się w czasie okupacji w Generalnej Guberni, w szpitalu niemieckim w Lublinie, a nie – jak mam napisane w dowodzie – w Borzechowie, gdzie mieszkali rodzice i gdzie zostałem ochrzczony. Ojciec w 1939 roku uciekał na rowerze z Kowla i wylądował pod Lublinem, a matka wraz z rodziną została wysiedlona z pięknej willi przy ul. Roosevelta w Poznaniu, w kwartale opisanym przez panią Musierowicz, i zakwaterowana w szkole w tymże Borzechowie, którą kiero-

wał on – uciekinier z Wołynia. Tu się rodzice poznali i z tego związku przyszedłem na świat w 1943 roku, a dwa lata później moja siostra. Po zakończeniu wojny matkę ciągnęło do Poznania, ale zatrzymaliśmy się w Śmiglu koło Leszna, gdzie rodzice dostali pracę: ojciec w szkole powszechnej, a matka – po jego śmierci – w miejscowym szpitalu.

TADEUSZ NYCZEK: **Ojca straciłeś wcześniej...**

JASIŃSKI: Miałem dziesięć lat. Pojechaliśmy na mecz żużlowy do Leszna, tam się zaziębił i tydzień później zmarł w szpitalu, bo wskutek infekcji dostał zapalenia mięśnia sercowego.

ADAM KOMOROWSKI: **Czy Twoja rodzina, zwłaszcza ze strony matki, była silnie związana z Poznaniem i szerzej – z Wielkopolską?**

JASIŃSKI: Matka pochodziła z poznańskiej mieszczańskiej rodziny. Oddana została, podobnie jak jej dwie starsze siostry, do szkoły dla panienek z dobrych domów, z językiem francuskim i angielskim, gdzie nabyła różnych umiejętności potrzebnych do wydania za mąż. Jej najstarsza siostra straciła męża w powstaniu warszawskim, po wojnie została na Roosvelta i często nas odwiedzała w Śmiglu. Druga siostra, jej kompletne przeciwieństwo, jeździła na szaber na Ziemię Odzyskane i za ten proceder została aresztowana i skazana.

Wyszła z obozu i w rodzinie dowcipkowano, że wróciła z wojny koreańskiej.

CHUDZIŃSKI: Jednym słowem chowałeś się w otoczeniu ciotek, ale trudno powiedzieć, żeś przez to zniewieściał, bo bardzo szybko całej rodzinie pokazałeś rogi.

JASIŃSKI: Do śmierci ojca wszystko było w porządku. Wiele razy sam się zastanawiałem, co się właściwie stało, że przysporzyłem tylu zmartwień matce i rodzinie. Byłem wychowywany na ministranta, dziewięć lat wytrwałem w tej posłudze...

KOMOROWSKI: To nas wszystkich przebiłeś...

JASIŃSKI: Moim mentorem był ksiądz Leon Kantorski, który w Podkowie Leśnej zasłynął jako propagator mszy beatowych – pomagała mu w tym Katarzyna Gaertner – a później jako kapelan „Solidarności”. Byłem pod jego silnym wpływem w okresie chłopięcym i w szkole podstawowej nie przysparzałem kłopotów. Problemy zaczęły się w liceum. To już było po śmierci ojca, matka poszła do pracy i na mnie spadło wiele nowych obowiązków. Wtedy, z pomocą matki, nauczyłem się niezłe gotować, co zostało mi do dziś.

W Kościanie znalazłem się w internacie i tak to się zaczęło. W tamtejszym liceum zapisałem się „złotymi zgłoskami” i edukację zakończyłem na początku dziewiątej klasy. Pierwszy rok repetowałem z powodu niedostatecznego zachowania.

KOMOROWSKI: Czym zasłużyłeś sobie na taką ocenę?

JASIŃSKI: Za włamanie nocą do szkolnego magazynu z bronią, gdzie było sporo sztuk mauserów z I wojny, z którymi biegaliśmy po korytarzach. Przy okazji poginęło sporo innych rzeczy, u mnie w domu znaleziono np. kompas. Ja miałem klucze do kilku pomieszczeń oficjalnie, ale dorobiliśmy jeszcze parę i nocą weszliśmy do gabinetu dyrektora, gdzie powpisywaliśmy sobie do dziennika oceny nas satysfakcjonujące. Przyznaję, przegięliśmy, bo było nas czterech.

NYCZEK: Najniższa ocena z zachowania i repeta to i tak mało, bo w Krakowie za taki numer wylatywało się ze szkoły.

JASIŃSKI: To się stało rok później i za coś znacznie poważniejszego. Dopuszciliem się mianowicie znieważenia popiersia Lenina. Przyszliśmy z kolegą do naszego przełożonego w ZHP załatwić jakąś sprawę. Organizacje młodzieżowe w Kościanie miały swoje pomieszczenia na parterze, a na piętrze znajdowała się siedziba partii. Odbywało się tam posiedzenie komitetu powiatowego partii i hufcowy brał w nim udział. My czekaliśmy w holu, gdzie stało na postumencie – na nasze nieszczęście – popiersie Lenina. Nie wiadomo dlaczego, ani z jakiego powodu – do dziś nie umiem sobie tego wydarzenia zrationalizować – przyszedł nam pomysł do głowy, aby udekorować wodza rewolucji. Zaczęło się od rzucania w jego kierunku czapek pozostawionych w szatni przez towarzyszy obradujących na górze – na zasadzie: kto trafi. Mnie najlepiej wychodziło z czapką komendanta MO, bo miała daszek. Obrady się przeciągały, nam się nudziło, więc ubraliśmy Lenina w płaszcz milicjanta i wynieśliśmy do ubikacji. Na koniec umalowaliśmy go kredkami, żeby nie był taki bladej, wsadziliśmy mu czapkę komendanta pozbawioną dystynkcji i tak udekorowanego posadziliśmy na sedesie. Ubikację zamknęliśmy z zewnątrz scyzorykiem

i poszliśmy do internatu. Ktoś z towarzyszy chciał skorzystać z toalety i nie mógł się do niej dostać. Woźna otworzyła i zameldowała, że na sedesie siedzi milicjant. No i zaczęło się. Aresztowanie, przesłuchania i wyrok z małego kodeksu karnego: dwa lata więzienia w zawieszeniu na 2 lata. W okresie śledztwa siedziałem w Rawiczu i w Sztumie, ale skończyło się ostatecznie na schronisku dla nieletnich. Matka wydała wszystkie pieniądze na adwokatów. Nigdy o tym publicznie nie mówiłem, żeby sobie nie budować jakiejś legendy antyrewimowego kombatanta.

CHUDZIŃSKI: Znowu dwa lata wypadły Ci z życiorysu. Jak się potoczyła Twoja dalsza edukacja po takich doświadczeniach?

JASIŃSKI: Na naszej ulicy w Śmiglu, po drugiej stronie mieszkała rodzina, z którą przyjaźniła się moja matka. W tej rodzinie było dwóch salezjanów, którzy załatwili mi miejsce w ich internacie przy ul. Wodnej w Łodzi. Niewiele brakowało, a zostałem w nowicjacie. Ale mimo różnych doświadczeń z tego okresu, z próbą molestowania włącznie zdałem maturę. Matka była szczęśliwa, że wreszcie coś osiągnąłem. Ale czy się usatkwowałem?

CHUDZIŃSKI: No właśnie, to przecież w tym okresie, jeszcze przed maturą, zostałeś ojcem.

JASIŃSKI: Kiedy byłem już w Poznaniu na studiach, dostałem wiadomość, że mam się spotkać z jakąś osobą w hotelu. Przychodzę i widzę nieznaną mi kobietę, która trzyma za rękę córkę w bardzo zaawansowanej ciąży i komunikuje mi, że mam przyjechać do Łodzi na rozprawę sądową. W jej wyniku pozbawiono mnie praw ojcowskich i zasądzono alimenty. Moja matka wzięła na siebie ten obowiązek i w specjalnym zeszytce, ukrywając to nawet przed najbliższą rodziną, odnotowywała przez lata każdy przekaz. Po 19 latach dostałem w Krakowie list zaczynający się od słowa: „Tato”. Jak jeździłem na Łódzkie Spotkania Teatralne, to zawsze miałem gdzieś z tyłu głowy myśl, że mogę ją spotkać. Nastąpiło to dopiero na początku lat 80. Od tego czasu jesteśmy rodziną, córka przyjeżdża z dziećmi do nas na Mazury. Jest dyrektorką szkoły i w tym sensie kontynuuje także naszą tradycję rodzinną.

CHUDZIŃSKI: Jesteśmy zatem w Poznaniu na początku lat 60. To wtedy zaczyna się także Twoje życie artystyczne.

JASIŃSKI: Niezupełnie. Mój artystyczny życiorys zaczyna się w harcerstwie. Ja nigdy nie miałbym odwagi występować publicznie, gdyby nie moja działalność i twórczość harcerska. Zacząłem bardzo wcześnie, w wieku 6 lat, w tym samym czasie, kiedy zostałem ministrantem i poszedłem do szkoły. Mogę powiedzieć, że dzięki harcerstwu zostałem poniekąd „twórcą narodowym”. Otóż w śpiewnikach dzisiaj drukowanych, zawierających hity z różnych okresów, znajdują się dwa utwory mojego autorstwa: *Na dansingu tańczą goście* i *Obozowe tango*. Niestety, utwory poszły w lud, a ja pozostałem ich twórcą anonimowym. Ale mam świadków, którzy mogą potwierdzić moje autorstwo.

KOMOROWSKI: Obozowe tango to jest Twoje dzieło?

JASIŃSKI: W całości: słowa i melodia.

NYCZEK: Gdybyś zarejestrował to dzieło w ZAiKS-ie, byłbyś dziś paniskiem i właścicielem teatru, a nie tylko jego dyrektorem.

JASIŃSKI: Już po paru latach obecności tych utworów w obiegu popularnym okazało się, że przybywa zwrotek, zamianie ulegają słowa i całe wersy, toteż dziś wiele wersji trochę odbiega od mojego oryginału. W kulturze popularnej odniosłem jeszcze jeden sukces – napisałem słowa do hitu z tamtych lat, znanego w wersji jazzowej – *Petit fleur*. Przytoczę jedną frazę:

*Nocy cień, płaszczem złotym od gwiazd,
Aksamitnym płaszczem swym otuli nas,
Kryjesz wzrok itd...* (gromki śmiech).

NYCZEK: **Niedawno słyszałem, jak ktoś w radiu śpiewał *Mały kwiat*, ale trudno mi powiedzieć, czy w Twojej wersji, bo jej do dzisiaj nie znałem.**

CHUDZIŃSKI: **Jak na razie jest to największy hit tej rozmowy: odnalazł się anonimowy autor popularnych przed laty przebojów.**

JASIŃSKI: Wspomniana twórczość ma korzenie w harcerstwie, gdzie byłem oboźnym, organizowałem występy artystyczne i sam występowałem. Później, już na studiach w Poznaniu założyłem kabaret „Kropla”, grał w nim bardzo zdolny klarncista i dla niego napisałem słowa do *Petit fleur*. Tam spotkałem również Janusza Nyczaka, później znanego reżysera teatralnego, który też u mnie w „Kropli” występował.

NYCZEK: **Co i na jakiej uczelni studiowałeś?**

JASIŃSKI: Podstawowe studia odbyłem w kabaretach, ale starałem się na prawo. Nic z tego nie wyszło, gdyż pojechałem na obóz, tam poznałem piękną blondynę, z nią udałem się autostopem w Polskę i zaważyłem egzaminy. Groziło mi wojsko, więc zapisałem się do Studium Nauczycielskiego. Dostałem akademik, zostałem kierownikiem klubu, gdzie prowadziłem bar i założyłem wspomniany kabaret. Wtedy szefem kultury studenckiej na uniwersytecie był Eugeniusz Mielcarek, późniejszy lider ZSP. Na jakiejś naradzie poznałem też Cioska. Przyjechał z centrali i strasznie się wymądrzał.

CHUDZIŃSKI: **Jak to się stało, że trafiliście do Krakowa?**

JASIŃSKI: Jako kabaretowy menedżer zorganizowałem mobilną ekipę estradową – u mnie debiutowała m.in. 16-letnia wówczas Halina Frąckowiak. Pewnego razu, a było to w lutym – to jest miesiąc bardzo ważny w moim życiu – po występie w jakimś miasteczku wylądowałem w damskim towarzystwie, w stanie niezrównoważonym na stacji kolejowej. Przysnąłem na dworcowej ławce, a ona mnie w takim stanie zostawiła i sobie poszła. Wystarczyło parę godzin snu na mrozie, żeby po miesiącu usłyszeć od lekarza: naciek na prawym szczycie płuca. Skończyło się skierowaniem do akademickiego sanatorium przeciwgruźliczego w Zakopanem.

KOMOROWSKI: **Czy i tutaj ujawniłeś swoje talenty organizatorsko-artystyczne?**

JASIŃSKI: Dyrektor Jaworski, zwany Janem Dobrodziejem, już po paru dniach się dowiedział, że powstał właśnie – z mojej inicjatywy – kabaret „Alfonsiak”. Występowało w nim m.in. dwóch moich współtowarzyszy niedoli z sanatoryjnej werandy: Krzysztof Rościszewski, znany później dyrektor paru teatrów i Jerzy Merunowicz, o którym wtedy nie wiedziałem nic ponad to, że dopadła go ta sama co mnie choroba. Rychło się okazało, że świetnie recytuje poezję i zna na pamięć mnóstwo utworów, w tym rymowane świąstewka Fredry. I tak zostałem reżyserem prof. Jerzego Meru-

nowicza, prorektora krakowskiej szkoły teatralnej. I to on kazał mi jechać do Krakowa na egzamin do szkoły teatralnej. Problem polegał na tym, że to był wrzesień, a egzaminy odbyły się w czerwcu. Ale w tamtych czasach były tzw. drugie terminy, miejsca rektorskie itp. Hania Bittnerówna i ja dostaliśmy się „z drugiej ręki”, moje nazwisko zostało po egzaminie dopisane do listy przyjętych ołówkiem przez Jerzego Morgałę, wtedy sekretarza POP w PWST. Na egzaminie recytowałem własne teksty...

NYCZEK: **Te z „Alfonsiaka”?**

JASIŃSKI: Te lepsze oraz Ludwika Jerzego Kerna, ukochanego w tym kabarecie autora. Oczywiście nie miałem pojęcia, że w komisji siedzi Marta Stebnicka, żona Kerna. W ogóle nie miałem pojęcia o niczym, co się łączyło z Krakowem. Merunowicz kazał mi przyjechać na egzamin, to przyjechałem. Recytowałem także „Litwo, ojczyzno moja”, coś nabożnego zaśpiewałem, ktoś z komisji powiedział, że z takim repertuarem mógłbym ubiegać się o przyjęcie do seminarium duchownego. Ale zdałem! Znalazłem się na roku m.in. z Wojtkiem Pszoniakiem, Olgierdem Łukaszczykiem, Jerzym Fedorowiczem (obecnym posłem), Jerzym Schejbalem – razem 13 osób. Od tego momentu zaczyna się mój zyciorys krakowski.

CHUDZIŃSKI: **I od tego momentu musisz się kontrolować, żeby nie fantazjować. Bo ja na przykład już od pierwszego roku w PWST miałem okazję Cię obserwować.**

JASIŃSKI: Połączył nas Waldemar Krygier, twórca Teatru 38, wtedy właśnie wyrzucony przez własny zespół. Kiedy założył Studencki Teatr Polityczny, zostałem jego członkiem. Krygier był wówczas moim teatralnym przewodnikiem, a jego mieszkanie – obok Jaszczurów – stało się moim drugim domem. W szkole moim mentorem był prof. Merunowicz, poznany wcześniej w Zakopanem. Uczył wiersza, w domu wprowadzał mnie w arkana teatru Osterwy. Dopiero później Jerzy Prokopiuk uświadomił mi, że obcowałem z wybitnym polskim antropozofem, członkiem Towarzystwa Antropozoficznego.

NYCZEK: **Czy miałeś wtedy poczucie pewnej obcości w szkole, w środowisku teatralnym Krakowa – jako człowiek z zewnątrz, z „innej parafii”?**

JASIŃSKI: Sytuacja, w jakiej się znalazłem po przyjeździe z Poznania, bardziej mnie śmieszyła niż stresowała. Nie czułem się „prawdziwkim”, „człowiekiem znikąd”. Z teatrem zetknąłem się u salezjanów, grałem w dużych widowiskach jasełkowych, w Poznaniu trzymałem rękę na pulsie tamtejszego życia teatralnego, animowanego przez Stulę Hebanowskiego. Natomiast na egzamin do szkoły teatralnej przyjechałem wprost z sanatorium w pożyczonym garniturze, bo własnego nie miałem. Od paru lat prowadziłem samodzielne życie i byłem na własnym utrzymaniu; stąd moja aktywność w kabaretach, z tego dało się żyć.

NYCZEK: **Czy to gdzieś nie w tym czasie zetknąłeś się z teatrem Grotowskiego i z nim osobiście?**

JASIŃSKI: W momencie, kiedy poznałem się z Krygierem, czyli już na pierwszym roku w szkole teatralnej. Z przykrością stwierdzam, że badacze Grotowskiego pomijają lub w ogóle nie zauważają obecności i roli Waldka w Teatrze 13 Rzędów. Jedynie prof. Kosiński zauważył go w tym gronie, choć jego roli też nie do-

cenii. Tymczasem Krygier był tam postacią znaczącą. Przez niego i później przez Krystynę Gonet, moją przyszłą żonę, poznałem to środowisko z bliska. Pod wpływem Krygiera moje zaciekanie teatrem Grotowskiego zamieniło się w fascynację. Jerzego bliżej poznałem po *Spadaniu*, na początku lat 70., kiedy zabrał do siebie Włodka Staniewskiego, ale jego przedstawienia oglądałem jeszcze w Opolu jako student.

CHUDZIŃSKI: U Krygiera, w jego „kanciapie” na ulicy Floriańskiej rozmawiało się o teatrze Grotowskiego i o teatrze w ogóle. Waldek miał bardzo niekonwencjonalne poglądy na sztukę, a nie zawsze umiał je precyzyjnie wyrazić. Już w młodości byłem sceptykiem, więc powątpiewałem w niektóre jego wizje i projekty, zwłaszcza te, które zamierzał zrealizować w przygotowywanym przez nas wspólnie przedstawieniu *Echogłosów*.

JASIŃSKI: Tymczasem ja, będąc na pierwszym roku, słuchałem tego z nabożeństwem. Krygier był moim guru. I po takich seansach u niego w szkole prof. Merunowicz musiał mnie „prostować”.

KOMOROWSKI: Tymczasem Krygier wyjeżdża na studia do Moskwy.

JASIŃSKI: W moim garniturze – wtedy już miałem swój. Wcześniej zagrałem z Marylą, późniejszą żoną Waldka, w *Biblii* – pierwszym przedstawieniu Studenckiego Teatru Politycznego. Byłem dobrze zbudowanym młodzieńcem...

CHUDZIŃSKI: Z tego powodu w STU obsadziłeś się w tytułowej roli w sztuce Jeana Cocteau *Piękny i nieczuły*...

JASIŃSKI: ...a Krygier w *Biblii* ubrał mnie w rajstopy, więc po obejrzeniu mnie w stroju podkreślającym moje walory dwóch znanych wtedy dziennikarzy zaprosiło mnie na uroczyste otwarcie hotelu Cracovia.

KOMOROWSKI: Czyżby ciąż dalszy „przygody” u salezjanów?

JASIŃSKI: Załoty były bardziej wyrafinowane niż u salezjanów, ale na tym się skończyło i niestety już nigdy później się nie powtórzyło. Ale wróćmy do Krygiera. W Krakowie, mimo że założył nowy teatr, nie mógł pogodzić się z odejściem w taki sposób z Teatru 38. Ale zaważyła chyba jego sytuacja w Teatrze 13 Rzędów, gdzie czuł się coraz bardziej odsuwany na boczny tor. I tak zrodził się pomysł wysłania Waldka na studia do GITIS-u, tego samego na którym studiowali Jarocki i Grotowski. Po powrocie Krygier objął Teatr Ludowy, ale nasze związki trwały nadal. Kiedy budowaliśmy na ruinach dworu Ośrodek Poszukiwań Teatralnych w Ochodzy, Waldek bardzo się w ten projekt zaangażował. Później nasze drogi się rozeszły.

CHUDZIŃSKI: Co było głównym powodem, że założyłeś własny teatr?

JASIŃSKI: Na pomysł założenia teatru po wyjeździe Krygiera wpadł Marcin Idziński, jego główny aktor w Studenckim Teatrze Politycznym, też student szkoły teatralnej, później spiker Radia Wolna Europa. I tak doszło do premiery *Nie do obrony* Johna Osborne’a.

CHUDZIŃSKI: W popremierowej dyskusji w Sali PWST przy ul. Warszawskiej Wojtek Pszoniak z balkon trafnie podsumował to, co zobaczył: nie do obrony. I na tym dyskusja się skończyła.

JASIŃSKI: Nazwa teatru wzięła się przez pomyłkę. Myśmy wydrukowali sztrafję „Uwaga! Teatr studenc-

ki”, a red. Krystyna Zbijewska napisała w „Dzienniku Polskim”, że premiera sztuki Osborne’a odbyła się w Studenckim Teatrze „Uwaga”. Tak zaistniał teatr, który zakończył żywot po pierwszym spektaklu. Kiedy 20 lutego zwołałem zebranie założycielskie nowego teatru, jego nazwa dla wygody powstała z trzech pierwszych liter zarejestrowanego w ZSP poprzednika, ale już znaczyła więcej: STU. I tak zostało do dziś.

KOMOROWSKI: Jak to się stało, że niemal po miesiącu już pokazaliście pierwsze premiery?

JASIŃSKI: Zespół aktorski stanowili kowalcy ze szkoły: m.in. Łukowski, Pszoniak, Łukaszewicz, Schejbal, Franaszek, Trela, Wójcik, Fedorowicz. W repertuarze STU znalazły się przedstawienia, przede wszystkim małe formy teatralne, przygotowywane we fragmentach w szkole. I tak ominęliśmy zakaz grania poza szkołą. Ale mieliśmy też własne realizacje, jak *Pamiętnik wariata* Gogola i *Lichtarz ruski* oparty na wierszach Harasymowicza. Z *Pamiętnikiem* i *Lekcją* Ionesco po pół roku istnienia pojechaliśmy na festiwal teatrów studenckich w Erlangen (wtedy RFN) i go wygraliśmy. Pikanterii dodawał fakt, że wraz z nami pojechało przedstawienie dyplomowe PWST *Pod drzwiami* Borcherta, które nie wzbudziło zachwytu, mówiąc oględnie. A kolega Chudziński był wtedy z nami jeszcze nie jako kierownik literacki (został nim cztery lata później), lecz jako redaktor naczelny „Kuriera Akademickiego”.

CHUDZIŃSKI: I opisałem wasz sukces w „Życiu Literackim”, nawiasem mówiąc pod pseudonimem. Nie wspominałem, że szef teatru gdzieś się zawie-rszuł na dwa dni, razem z Baską Nawratowicz, wtedy już redaktorką Radia Wolna Europa, znaną nam wcześniej z Piwnicy pod Baranami.

KOMOROWSKI: To był i Twój i teatru pierwszy wyjazd na Zachód. Powiedz, jak od tej strony ten wyjazd zapamiętałeś?

JASIŃSKI: To byłaby dłuższa opowieść. Zaczęło się na dworcu w Krakowie – kolega Franaszek przyszedł w stroju PRL-owskim, tzn. w „hawajskiej” koszuli w palmy, a w siatce miał w butelkach kompot z rabarbaru. Reszta niewiele odbiegała od tego PRL-owskiego standardu. Tak wyglądał Teatr STU w rynsztunku międzynarodowym w 1966 roku. Po przyjeździe poczułem silny zapach benzyny, nieznamy nam wtedy w Krakowie. Szokował nie tyle ruch uliczny, co tysiące parkujących samochodów. Piliśmy głównie piwo z szaf chłodniczych, które ochoczo wyskakiwało po wrzuceniu 1 marki zachodniemieckiej. I wtedy, i później wielokrotnie w innych krajach w Europie czułem się dość podle z prostej przyczyny – nie mieliśmy na nic pieniędzy. Uczucie to zniknęło, kiedy wyjeżdżaliśmy na inne kontynenty, zwłaszcza do Ameryki Łacińskiej. Wtedy największe wrażenie zrobił na nas teatr z Hamburga z przedstawieniem *Ami go home*. Nic nie grali. Wyszli na scenę, żeby zaprotestować przeciw wojnie w Wietnamie. To był nasz pierwszy kontakt z kontestacją. A czym była wtedy kontrkultura w teatrze, zobaczyliśmy – wszyscy jak tu siedzimy – na festiwalu we Wrocławiu w 1969 roku. Przez te trzy lata wiele zrozumieliśmy. W 1970 roku byliśmy gotowi do *Spadania*.

CHUDZIŃSKI: Zanim do tego przejdziemy, wyjaśnij na czym polegała „szkaza genetyczna” Teatru STU – wszyscy wywodziliście się ze szkoły teatralnej. To był pierwszy taki przypadek w dziejach te-



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

atru studenckiego – tego, który narodził się w połowie lat 50. XX w. Jak to rzutowało na repertuar, sposób gry, inscenizację itp. I jakie to miało dla was konsekwencje.

JASIŃSKI: Od samego początku chodziło o to, dla kogo się gra i co się gra. W szkole nas tego nie uczono. W 1969 roku dostaliśmy propozycję objęcia sceny w Słupsku – filii Teatru Bałtyckiego w Koszalinie. Mogliśmy pójść tam całą grupą, mogliśmy dostać etaty i mieszkania. Odmówiłem i to nas podzieliło. Ja wiedziałem, po doświadczeniach z różnych festiwali krajowych i zagranicznych, że nie interesuje mnie teatr z kurtyną i widownia zapełniana przez związki zawodowe.

NYCZEK: **Czy miałeś poczucie zdrady? W obie strony? W końcu wybrałeś szkołę teatralną nie całkiem z przypadku. Fenomen STU właśnie na tym polega, że od początku aż do dziś próbujesz pogodzić teatr alternatywny z zawodowym. Nie ma takiego drugiego teatru w Polsce, który by taką drogę przeszedł i miał takie doświadczenia za sobą.**

JASIŃSKI: To, co ja chciałem osiągnąć w teatrze, było nie do osiągnięcia z kolegami ze szkoły. Rozstaliśmy się bez urazy. Janek Łukowski poszedł na reżyserię i założył w Bagateli grupę Proscenium a Pszoniak poszedł do Teatru Starego. A ja postawiłem na Bolka Greczyńskiego, Franka Mułę, Włodka Jasińskiego, Włodka Staniewskiego, Jerzego Stuhra i im podobnych. Potem Stuhr poszedł do szkoły teatralnej, a Staniewski do Grotowskiego. Muła i Jasiński do dzisiaj grają w STU.

CHUDZIŃSKI: **Ale jako jedyny w teatrze studenckim powołałeś Studio Aktorskie. Po co?**

JASIŃSKI: Teatr, który mi się marzył, potrzebował nowych aktorów, a takich trzeba było sobie wychować. Po to założyłem Studio. Etiudy aktorskie – ucieleśnienie sensu wykladałem sam. Potem powstał z tego Ośrodek Poszukiwań Teatralnych w Ochodzy pod Krakowem, w którego pracach nad Witkacym uczestniczyliście.

CHUDZIŃSKI: **Tymczasem wszystkich nas dopada Marzec '68 – to jest nasze przeżycie generacyjne. Jak Ty i teatr przeszliście przez to doświadczenie?**

JASIŃSKI: Byłem szefem komitetu strajkowego w PWST. W Komitecie międzyuczelnianym pisaliśmy rezolucje i odezwy, także list do Gomułki, a na uczelniach i w akademikach trwały strajki okupacyjne. W teatrze przygotowaliśmy premierę *Kobiety-Demon* Sachera von Masocha, w której główną rolę grała Danuta Maksymowicz, późniejsza żona Jarockiego. Grał też Jerzy Stuhr, wówczas student UJ, który wpadł na próbę wprost z manifestacji pod Collegium Novum, gdzie zlało go jakimś świństwem armatką wodną. Wieczorem na przedstawieniu w Jaszczurach wystarczyło, że Trela ze Stuhrem zamienili daty, założyli strajkowe opaski i sztuka zupełnie neutralna stała się aluzyjna i polityczna.

NYCZEK: **Byłem wtedy jurorem konkursu kabaretów w klubie Pod Jaszczurami, gdzie wystąpiliście, i właśnie między innymi za te aluzyjne opaski was nagrodziliśmy. Choć baliśmy się, że i przedstawienie, i jury dostanie zakaz wchodzenia do Jaszczurów.**

CHUDZIŃSKI: **W związku z Marcem '68, ale nie tylko, pojawia się w Twojej biografii problem**

przynależności do partii. Kiedy do niej wstąpiłeś, z jakiego powodu i jak sobie z tym radziłeś w tzw. trudnych chwilach, a wydarzenia marcowe do nich należały.

JASIŃSKI: Mój problem polegał na tym, że w kręgu Teatru STU nikt do partii nie należał.

NYCZEK: **Skąd i kiedy przyszedł Ci ten pomysł do głowy? Zwłaszcza na tle tych ekscesów właściwie „antysocjalistycznych”, za które o mało nie poszedłeś siedzieć?**

JASIŃSKI: To się stało nie w Krakowie, tylko jeszcze w Poznaniu. Jak mówiłem, że Morgała dopisał mnie ołówkiem do listy przyjętych, to wiedział, że jestem członkiem partii.

KOMOROWSKI: **Kto Ci dał rekomendację?**

JASIŃSKI: W Poznaniu do partii mnie zapisał mój nauczyciel rosyjskiego w Studium Nauczycielskim, które skończyłem jako absolwent kierunku łączonego: historia i filologia rosyjska. W rodzinie nie było żadnych tradycji tego typu. Ojciec był zdeklarowanym piłsudczykiem, ale jako kierownik szkoły musiał gdzieś należeć, więc zapisał się do SD. Matka, poznanianka, kształtowała swój światopogląd w kręgu tradycji mieszczańsko-endeckiej. W Studium spotkałem bardzo dobrego nauczyciela, pierwszy raz w życiu takiego spotkałem, leninowca, który wierzył w słuszność idei, wypaczonej przez system stalinowski. Dotykacie bardzo delikatnej sprawy w moim życiu, niechętnie o tym mówię, ale skoro pytacie...

Moje trwanie w partii miało podtekst pragmatyczny. Nie byłem nigdy wojującym aktywistą, ale sprzyjałem lewicy w młodości i takim pozostałem do dzisiaj, choć należałoby zaraz sprecyzować pojęcie lewicy. Na mojej decyzji zaważyło także to, że poza partią i oficjalnymi strukturami nie było wówczas większych możliwości społecznego działania, realizowania się, także w sztuce.

CHUDZIŃSKI: **Co zdecydowało o tym, że podjąłeś się oprawy artystycznej odsłonięcia pomnika Lenina w Nowej Hucie?**

JASIŃSKI: Tu dotykamy istoty tej mojej historii, która zaczęła się od sponstrowania popiersia Lenina, a zakończyła odsłonięciem jego pomnika. Jak już mówiłem, w Studium Nauczycielskim byłem pod dużym wpływem ideowym tego nauczyciela-bolszewika, który zaproponował mi wstąpienie do partii. Nie zrobiłem tego z wyrachowania, ale uznałem tę decyzję za naturalną w moim dojrzwaniu ideowym. W PWST się w ogóle nie udzielałem partyjnie, bo należałem do POP przy Radzie Okręgowej ZSP. Spotykaliśmy się rzadko, w kilka osób, a do tego wąskiego grona należała późniejsza córa rewolucji solidarnościowej, kol. Barbara Niemiec. W teatrze starałem się, żeby do partii nikt poza mną nie należał. Gdyby było nas więcej niż trzech, mogłaby powstać komórka partyjna. Nigdy jej w Teatrze STU nie było.

NYCZEK: **Czy pojawił się kiedykolwiek taki moment, że chciałeś się z partii wypisać?**

JASIŃSKI: Nie, w stanie wojennym już było za późno, trzeba to było zrobić wcześniej.

NYCZEK: **A miałeś poczucie czy przekonanie, że Twoja przynależność do partii pomaga i Tobie, i teatrowi?**

JASIŃSKI: Nie musiałem mieć poczucia, bo z tego korzystałem, choć często były sytuacje, kiedy moja

partyjność była dla mnie obciążeniem i rzutowała na ocenę moich dokonań artystycznych.

KOMOROWSKI: **Na kogo mogłeś liczyć w tych dylematach?**

JASIŃSKI: Na takich ludzi jak Józef Klasa, który po powrocie z ambasadorowania na Kubie został I sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Krakowie. Nie tylko ja, także całe niemal środowisko Rady Okręgowej ZSP i „Studenta” było tym człowiekiem zafascynowane. Po Domagale była to nadzieja na nowe. Przychodził do Jaszczurów w modnym garniturze z kolorowym krawatem, palił kubańskie cygara i rozmawiał z nami. Na jego prośbę zorganizowałem na miasteczku studenckim wielki miting z Fidelem Castro, który bardziej przypominał modne wówczas happeningi niż wiece partyjne. Poprowadziłem go z Jerzym Stuhrem. Pryncypialnym towarzyszom to się nie bardzo podobało, jak również i to, że moje „hippy” ze STU z długimi włosami i w podartych dżinsach miały wstęp na stołówek w Komitecie Wojewódzkim przy Solskiego.

CHUDZIŃSKI: **Portierka na ich widok, jak wparowali w rozchełstanych koszulach z krzyżami na piersiach, miewała *déjà vu*; nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.**

JASIŃSKI: Kiedy znalazłem się w najtrudniejszej sytuacji w moim życiu, Klasa pomógł mi załatwić zgodę w Ministerstwie Zdrowia na laserową operację raka mózgu mojej żony w Paryżu. Mieszkałem w ambasadzie w pokoju dla kurierów, Krystyna dzięki tej operacji dostała w darze kilkadziesiąt lat życia. Temu człowiekowi nie mogłem odmówić udziału w uroczystym odsłonięciu pomnika Lenina, nie uczyniło tego również wiele osób i instytucji dla kultury Krakowa wówczas reprezentatywnych. Zresztą Klasa za powierzenie mi oprawy artystycznej tego odsłonięcia był przez towarzyszy krytykowany, bo ja wtedy ledwo przekroczyłem 30., też miałem długie włosy i nie tylko w partyjnych kręgach uchodziłem za hippisa. Powtarzam zatem raz jeszcze – moją obecność w partii wykorzystywałem pragmatycznie, a nie cynicznie, żeby chronić to, co moim i innych wysiłkiem budowałem w teatrze. Ten swoisty parasol nie dotyczył cenzury.

CHUDZIŃSKI: **Ja chciałbym dodać, co dla współczesnego odbiorcy wcale nie musi być jasne i oczywiste, bo po 1989 roku obowiązują czarno-białe schematy, że Krzysztof w partii mógł liczyć na poparcie Klasy i ludzi jemu podobnych, czyli tzw. nurtu reformatorskiego, który sam reprezentował, natomiast beton partyjny na pewno nie był jego sojusznikiem. To dotyczyło także sporej części środowiska „Kuźnicy”, do którego się wtedy zaliczaliśmy.**

JASIŃSKI: Okres „Solidarności” i stan wojenny silnie wpłynęły na mnie. W sierpniu 1980 roku miałem w Gdańsku namiot, cały zespół i trzy przedstawienia. Przy drodze do stoczni wisiły sztrajfy: „Ostatnie dni Cyrku Radzieckiego”, który wtedy występował na Wybrzeżu. Wystarczyło wjechać z namiotem i *Pacjentami* za bramę i grać dla strajkujących stoczniowców. Takiej możliwości nawet nie rozważałem. Mój instynkt pragmatyka podpowiadał mi, że za wcześniej rodzi się kolejny wielki czyn narodowy. Poza tym nie mogłem i nie chciałem uchodzić za takiego kontestatora jak koledzy z Salonu Niezależnych czy z Teatru Ósmego Dnia. Mia-

łem etykietę partyjną, prawie sto osób na etatach, namiot i stałą scenę razem z budynkiem, i czułem się za to wszystko odpowiedzialny. Ja nie miałem i nie mam natury burzyciela. Chodziłem po marginesach, korzystałem ze swoistego azylu sztuki alternatywnej, ale rozważać niczego nie zamierzałem.

NYCZEK: Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe, które od 1975 roku miały pieczę nad STU, były ażylem także dla kontestatorów z Teatru Ósmego Dnia. A Ciebie zaczęło wtedy ciągnąć do komercji, czego przykładem była *Szalona lokomotywa*.

JASIŃSKI: Pamiętam, że pan Nyczek, pisząc o tym przedstawieniu dawał do zrozumienia, że Istvan jest moim *alter ego*, czyli wchodzi w układ z diabłem, żeby ocalić własną twórczość czy kreatywność.

CHUDZIŃSKI: Lata 70. to pasmo największych sukcesów Teatru STU w kraju i za granicą. Z Twojej perspektywy można by to ująć tak: Teatr mój widzę ogromny – na Brackiej, w namiocie i pod Wawelem. Jaki byś do tego okresu dopisał dzisiaj komentarz?

JASIŃSKI: Mnie w teatrze od samego początku interesowała jego strona magiczna. Można to pojmować w sposób bardzo prosty, czyli jako zespół interakcji między sceną a widownią. Bo ten kontakt jest magiczny, a nie sama sztuka czy to, co się dzieje na scenie. Mnie to zawsze fascynowało i wszystko co robię w teatrze, jest podporządkowane owym realiom. W tym zakresie dokonałem głównie dla siebie wielu odkryć, które zazwyczaj nie były dostrzegane przez krytykę bardziej wyczuloną na ideologię, przesłanie moich przedstawień, a nie na ich kształt artystyczny. Za granicą było odwrotnie. W Polsce pierwszy zobaczył Teatr STU od strony artystycznej Leszek Aleksander Moczulski i dlatego przyszedł z propozycją zrobienia *Exodusu*. Ale dopiero w Nancy zobaczył, jak ten jego spektakl odbiera publiczność na wielkim światowym festiwalu – odczuł siłę teatru, jego magię. Miał bowiem świadomość, że tekst bezpośrednio do niej nie docierał, natomiast użyte w przedstawieniu środki teatralne i gra aktorów, czyli język teatru oddawał przesłanie, ducha tekstu. Teatr ucieleśnił jego słowa.

CHUDZIŃSKI: Podobnie było z odbiorem innych przedstawień, przede wszystkim *Sennika polskiego*.

JASIŃSKI: Ale to nie było tak, że ja robiłem „piwniczne” przedstawienia na Brackiej dla kilkudziesięciu widzów i *Szaloną lokomotywę* w namiocie lub w katowickim Spodku – przy pełnej widowni. *Spadanie* i *Sennik polski* graliśmy w salach powyżej tysiąca osób, a *Exodus* w Auditorio Nationale w Meksyku oglądało jednorazowo dwanaście tysięcy widzów. Kiedy wystawiałem *Szaloną lokomotywę*, byłem już po tych doświadczeniach. Gdybym więc miał dokonać bilansu tego okresu, to dla mnie osobiście największe znaczenie miało dopracowanie się własnego języka teatralnego oraz zdobycie umiejętności operowania przestrzenią i światłem – dwoma niezwykle ważnymi komponentami przedstawienia. W zakresie przestrzeni szlaki przecierali – dla mnie – Górawski i Grotowski.

NYCZEK: Gdybyś nie przyszedł przez szkołę teatralną, przez jej „tresurę”, to byś wielu odkryć, o których mówisz, raczej nie zrobił. Wielu Twoich kolegów z teatru studenckiego uprawiało tak zwaną

sztukę otwartą, bo nikt ich nie uczył żadnych kanonów. Jak ich przełamywanie się udawało, to było fajnie, ale nieznanomość prawideł teatru była też źródłem klęski, zwłaszcza artystycznej. Ty byłeś w lepszej sytuacji, bo te kanony i prawidła znałeś, dlatego zanotowałeś mniej porażek.

JASIŃSKI: Mnie opowiadanie w teatrze nie interesuje. Przykładem może być opera, gdzie trzeba opowiedzieć jakąś prostą fabułę, a relacje między sceną a widownią, które mnie głównie interesują wypełnia muzyka i obraz.

NYCZEK: Na tym się potknął Lupa, który zmierzył się do opery w Wiedniu i nie wyszło, bo ludzie oczekiwali konwencjonalnej opowieści za pomocą muzyki, a on zafundował im skomplikowaną wizję teatralną.

JASIŃSKI: Mnie nie brakuje pomysłów, więc mógłbym sobie spokojnie wymyślać różne rzeczy w operze, ale nie o to chodzi w tym, co robię, czy chcę robić w teatrze. Zajmuje mnie siła słowa, jego metafizyka. Stąd admiraacja tekstu klasycznego.

CHUDZIŃSKI: W latach 70. tzw. teatr alternatywny czy otwarty nie był monolitem. Łączył nas światopogląd kontrkulturowy, ale w każdym z teatrów inaczej on się manifestował. Ty w STU robiłeś nie tylko inny teatr od Kalambura, Ósmego Dnia czy 77, ale przede wszystkim inny od takiego teatru, jakiego uczono Cię w szkole. Ale czegoś Cię tam nauczono i tę profesjonalną skazę genetyczną, jak ją nazywam, widać było w głośnych przedstawieniach STU z lat 70. Współpracując z Tobą wiele lat obserwowałem tęsknotę za profesjonalnym teatrem, która niekiedy zamieniała się w kompleks. I dlatego, od lat 80. poczynając aż do dziś, starasz się udowodnić sobie i innym, że potrafisz zrobić spektakl w pełni profesjonalny, który może konkurować z innymi produkcjami na scenach zawodowych. Stąd w repertuarze STU znalazła się klasyka polska i obca (Szekspir, Norwid, Fredro, Wyspiański, Dostojewski), awangarda teatralna (Witkacy, Mrożek, Beckett) i nowa dramaturgia. Co prawda, od takiego repertuaru STU zaczęła, ale wtedy o co innego chodziło – właśnie żeby inaczej go pokazać!

NYCZEK: Tytułem uzupełnienia. Czy na tej Twojej determinacji pozostania tutaj, w STU, i robienia *de facto* teatru zawodowego nie zaciążyło to, że kolegom, którzy wyszli z teatru alternatywnego i próbowali znaleźć dla siebie miejsce na scenach zawodowych transplantacja przeważnie się nie udawała?

JASIŃSKI: Już w latach 80. powiedziałem w jednym z wywiadów, że będę w STU robił teatr narodowy. Nie o to chodzi, że chcę pokazać, że też taki teatr umiem robić. To jest kwestia ewolucji i świadomości. Od początku, jeszcze w szkole, przy pomocy moich profesorów szukałem odpowiedzi na pytanie: co to jest teatr i po co się go robi. Jak? – to jest pytanie najważniejsze, ale nie można od niego zaczynać. Moja fascynacja Krygierem, a poprzez niego Grotowskim zaprowadziła mnie do Stanisławskiego. Przypomnę, że obydwoj studiowali w GITIS-ie w Moskwie. Moje rozmowy z Merunowiczem pozwoliły mi zrozumieć, czym była Reduta Osterwy. Tam szukałem odpowiedzi na pytanie, co jest istotą teatru i na czym polega sztuka aktorska. To Merunowicz

podsunął mi *Wielkich wtajemniczonych* E. Schure i lektury Steinera. Z Grotowskim przy winie Gelala, które zagryzał tabletkami od bólu głowy, rozmawialiśmy na Brackiej nie o panienkach, tylko o misteriach. U niego kreowanie przestrzeni polegało na redukcji, na odrzuceniu wszystkiego co wydaje się zbędne. Mnie interesowała tajemnica intensywnego kontaktu z widzem i wtajemniczenie w los.

KOMOROWSKI: Czyli doszedłeś do wniosku, że teatr jest miejscem krystalizacji kosmicznej energii.

JASIŃSKI: Możesz sobie ironizować, ale tak może być w istocie. Nie chciałem udowodniać, że potrafię wyreżyserować *Hamleta*, *Leara* czy *Wyzwolenie*, tylko żeby dotrzeć najgłębiej jak to jest możliwe do istoty tych tekstów, do tego, co jest ich fenomenem i dlaczego są dla nas takie ważne.

NYCZEK: Kilkakrotnie dzisiaj powoływałeś się na Grotowskiego, na rozmowy z nim. A ja odnoszę wrażenie, że ani Ciebie, ani Twojego teatru nic *de facto* z Grotowskim nie łączy. Okazałeś się w przeciwieństwie do Twoich kolegów z teatru alternatywnego całkowicie impregnowany na jego teorię i praktykę teatralną.

JASIŃSKI: Małpowanie byłby jałowe. Na świecie najlepiej te inspiracje wykorzystał Eugenio Barba. Włodzimierz Staniewski poszedł swoją drogą. Wszyscy i tak stanęli przed ścianą ze słów. Głęboko przeżyłem *Apocalypsis cum figuris*, wiele razy ten spektakl widziałem, miałem wtedy z aktorami Grotowskiego kontakty osobiste...

NYCZEK: Ja temu nie przeczę, ale jak przystępujesz do roboty teatralnej, wchodzisz w pewną radosną jasność, w świat teatru jako jedyną rzeczywistość czegoś wartą. On szedł w głąb, w otchłań, w zatracenie, w efekcie poza teatr...

JASIŃSKI: W jaką głębię? W nicość! Teatr ma prowadzić w odwrotnym kierunku. Ostatnio ukazała się w „Didaskaliach” interpretacja postfreudowska – o seksualności jego teatru. Teraz już można wszystko o Grotowskim napisać.

CHUDZIŃSKI: Do pewnego stopnia udało się nam sprowokować Cię do wyznań bardziej intymnych, odsłaniających kierunek i metody Twoich poszukiwań i działań w teatrze. Ale wróćmy do konkretów. Stan wojenny i lata 80. Nie bardzo chcesz się ze mną zgodzić, że wtedy właśnie ciągnie Cię do teatru repertuarowego, że chcesz się zmierzyć z Mrożkiem, Witkacym, Norwidem. Ale takie są fakty. Jedno przedstawienie w roku typu *Spadanie* czy *Exodus* już Cię nie interesuje. Ty chcesz wystawić wielki repertuar.

JASIŃSKI: Ja się z teatru alternatywnego – wewnątrz, dla samego siebie – wypisałem już w drugiej połowie lat 70. Przed *Pacjentami* i *Szaloną lokomotywą* poczułem pustkę, rozumiałem, że się wypaliłem. Za moje osiągnięcie w tym okresie uważam *Pacjentów*, adaptację *Mistrza i Małgorzaty* Bułhakowa. To było przejście z teatru alternatywnego do repertuarowego. Takiego, który gra codziennie, wychowuje swoją widownię i wie po co to robi.

CHUDZIŃSKI: Owo „po co” i „dla kogo” wraca w Twoich wypowiedziach i w tej rozmowie jak mantra, ale nie mogę się zgodzić, że te pytania pojawiły się dopiero wtedy, kiedy poczułeś się wypalony.

Dla mnie te pytania były niemniej ważne, kiedy robiliśmy wcześniej *Spadanie* i *Sennik polski*, i później, kiedy robiliśmy *Donkichoterię*, *Bramy raję* czy *Na bosaka*.

JASIŃSKI: Mnie chodzi o coś innego. Ja w pewnym momencie zrozumiałem, że pływamy w wartkim nurcie, że uczestniczymy w zjawisku o ogólnoświatowym zasięgu, ale że coraz bardziej ono nas ogranicza, że musimy się dostosowywać do jego reguł, że musimy sprostać pewnym oczekiwaniom, trendom, a nawet modom, że koryto tego nurtu jest regulowane. Słowem, że jesteśmy manipulowani i sami podlegamy automanipulacji. Dlatego żeby od tego się wyzwolić, poważnie rozpatrywałem propozycje objęcia renomowanych teatrów krakowskich w rodzaju Słowackiego czy Starego, ale pod warunkiem, że w te struktury wejdzie STU jako druga scena na przykład. Dla wielu było to równoznaczne z zamysłem przyłączenia tych teatrów do STU. Tymczasem dla mnie była ważna istotna funkcja teatru, która sprowadza się do tego, że w określonym miejscu, o określonej godzinie przychodzi do teatru publiczność. I ja zawsze taki teatr chciałem robić.

CHUDZIŃSKI: Bywały okresy, kiedy robiłeś inny teatr, funkcjonujący na innych zasadach i nie sądzę, abyś miał wtedy mniej satysfakcjonujący Cię kontakt z publicznością niż dzisiaj, kiedy spełniły się Twoje marzenia o instytucji z szyldem: „Dziś wieczór gramy”.

JASIŃSKI: W stanie wojennym wiele rzeczy przeżyłem od nowa. 13 grudnia dla mnie wszystko się skończyło, nie tylko teatr. Tego roku jedyny raz nie byłem na wigilii w teatrze.

CHUDZIŃSKI: W '81 roku wigilii w ogóle nie było. Przyszło nas parę osób do teatru – w południe, bo wieczorem obowiązywała godzina milicyjna.

JASIŃSKI: No dobrze, może i tak było, jak mówisz, ale ja się w teatrze nie pokazałem przez parę tygodni. Moje życie zaczęło się niejako od początku. Wróciliśmy do okresu pierwotnego – do tamtego repertuaru, do Mrożka, Norwida, Witkacego i mniej znanych sztuk granych dla zupełnie nowej publiczności. To była najważniejsza zmiana w STU. Do teatru przyszedł zupełnie nowy widz, którego nic nie łączyło z publicznością *Spadania*, *Sennika* i *Exodusu*. Wtedy skończył się nasz teatr pokoleniowy. Wiedziałem, że tamtą drogą dalej pójść się nie da i że nie ma powrotu do kontestacji w tamtej formie. Oczywiście doświadczenia artystyczne z tamtego okresu procentowały. I tak małymi krokami zbliżałem się do Szekspira.

NYCZEK: Nigdy nie żałowałeś decyzji o rozwiązaniu zespołu, co nastąpiło na początku lat 90?

JASIŃSKI: Rozwiązałem zespół etatowy i powołałem artystyczny na kontraktach sezonowych. Zespół artystów skupionych wokół konkretnych zadań, spektakli, tytułów. Taki zespół jest nieporównywalnie bardziej twórczy od etatowego.

KOMOROWSKI: Ale była jakaś magia teatru i zespołu, skoro chętnych nie brakowało, także z zagranicy.

JASIŃSKI: Była Amerykanka, Francuz, Angielka, Niemka, Kanadyjczyk i przedstawiciele paru innych nacji w STU. Zespół wiąże wspólnota celów.

KOMOROWSKI: Twój teatr nigdy nie był zamknięty, choć tęsknisz za teatrem miejskim, co

rozumieniem w ten sposób, że jest na stałe związany z jednym miejscem.

JASIŃSKI: Za teatrem ciągnęły się międzynarodowe sukcesy, które przyciągały młodych ludzi z różnych krajów. Ale rekrutacja do zespołu odbywała się na zasadach, które dziś nazywamy castingiem, a my nazywaliśmy naborem. Co jakiś czas jest potrzebna „świeża krew”.

NYCZEK: Na podobnej zasadzie odbywał się nabór do Teatru Laboratorium.

JASIŃSKI: Ale sekciarstwo było mi obce. Teatr jest faktem społecznym i ma sens tylko wówczas, jeżeli przychodzi do niego publiczność i szczerze go wypełnia.

CHUDZIŃSKI: Nie odpowiedziałeś na pytanie, dlaczego rozwiązałeś zespół. Oczywiście nie pozbawiłeś się aktorów, tylko zmieniłeś zasady ich obecności w teatrze. A ta formuła, którą wybrałeś, nazywa się teatr impresaryjny.

JASIŃSKI: Albo komercyjny, też nie wiadomo dlaczego? Wychowałem wielu aktorów, niektórzy są dzisiaj dyrektorami teatrów. Kiedy zbudowałem solidną instytucję teatralną, to zespół mi się zbuntował – na tyle poczuł się mocny. W STU było w najlepszych latach zatrudnionych ponad 100 osób. Komórka partyjna się nie zawiązała, ale pod koniec lat 80. miałem już bardzo silny związek zawodowy. I nasze drogi się rozeszły.

NYCZEK: Zadziałało prawo Murphy’ego – ilość etatów zaczęła się mnożyć na skutek tego, że było ich dużo.

JASIŃSKI: Zwolniłem wszystkich razem z dyrektorami, pozostawiając tylko ekipę techniczną. To był ewenement na tamte czasy. Wygrałem wszystkie 23 procesy w sądzie pracy, w tym trzy w Najwyższym.

CHUDZIŃSKI: Jak odnalazłeś się w nowej rzeczywistości, tzn. po 1989 roku? Jedynym wyjściem, mówiąc po witkacowsku, okazało się powołanie nowej instytucji: Krakowski Teatr Scena STU. Nie odczuwasz dyskomfortu, że w tej nowej formule mieści się farsa, kabaret, repertuar narodowy i klasyka światowa?

NYCZEK: I Ty ze swoim bagażem doświadczeń i dokonani firmujesz to wszystko, a to jest przecież od Sasa do Lasa.

JASIŃSKI: Nieprawda, farsy nie gramy. Jeden z krytyków w podsumowaniu sezonu teatralnego w Krakowie napisał, że ciekawe rzeczy dzieją się też w teatrze komercyjnym, jakim jest Scena STU. Proszę porównać repertuar Narodowego Starego Teatru czy Teatru im. J. Słowackiego z repertuarem komercyjnego Teatru STU. Ja do tego repertuaru dochodziłem latami. Żeby przyciągnąć widownię na *Biesy* czy *Wyzwolenie*, trzeba było grać *Sztukę kochania*, wpuścić tutaj ambitny kabaret Rafała Kmity, a także organizować benefisy i pokazywać je w telewizji, dzięki czemu Teatr STU stał się najlepiej rozpoznawalnym. I rzecz najważniejsza – codziennie grać przy pełnej sali. Jeśli coś po nas zostanie w Krakowie, to nie kontestacyjna legenda, lecz właśnie miejsce, gdzie o 19:00 można przyjść, kupić bilet i obejrzeć przedstawienie. I to jest największa wartość tego co robimy, to po nas zostanie.

CHUDZIŃSKI: Nie neguję tej wartości, ale z gruntu się z Tobą nie zgadzam. Gdyby bowiem kierować się Twoimi kryteriami, to po jakiegokolwiek

awangardzie nie pozostałby żaden ślad, a *Miłość szejka* w warszawskiej operetce, która była grana przez bodaj dwadzieścia lat bez przerwy przy wypełnionej widowni, musiałaby być odnotowana we wszystkich podręcznikach i encyklopediach. Inna sprawa, że dożyliśmy czasów, kiedy teatry mają wypełnioną widownię, choć to, co pokazują na scenie, jest często marnej jakości. Za naszej młodości to było niemożliwe. Publiczność nie chodziła na słabe przedstawienia.

JASIŃSKI: Po awangardowym STU zostaną ślady, ale ważniejsze, że publiczność chodzi do swojego teatru. Ja świadomie nawiązuję do tradycji teatru mieszczańskiego, do tradycji z zasadami, w oparciu o jakąś wizję przyszłości. Dlatego gramy *Zemstę*, która jest teraz, tylko trochę żartując – według naszych niegdyśszych ideałów – kontestacyjną wobec tego co się dzieje dookoła w teatrze.

CHUDZIŃSKI: Doceniam Twoje zaangażowanie w ten rodzaj argumentacji, ale jej nie podzielam. Pamiętaj, że to jest ogląd dzisiejszego Teatru STU Twoimi oczami. Są jeszcze inne spojrzenia i punkty widzenia.

JASIŃSKI: Czy ja mam przyjąć do wiadomości, że ludzie przychodzą na *Zemstę* tylko dlatego, że teraz zapanowała moda na chodzenie do teatru?

CHUDZIŃSKI: Między innymi dlatego, a także z tego powodu, że w Twojej *Zemście* grają Olbrychski i Treła. A w Bagateli, u Ciebie zresztą też, grają popularni serialowi aktorzy, których widz chce obejrzeć „na żywo”. W teatrze mieszczańskim zawsze chodziło się na aktorów. I tak jest dziś.

JASIŃSKI: Ja mam komplety na widowni, do STU chodzą nawet dzieci. Czemu to zawdzięczam?

NYCZEK: Janda w swoim prywatnym teatrze też ma komplety i bilety po 100 złotych.

KOMOROWSKI: Do opery krakowskiej na wiele spektakli bilety są wyprzedane na kilka miesięcy naprzód. Tego nie było nigdy.

JASIŃSKI: Czy to jest powód do zmartwienia?

CHUDZIŃSKI: Oczywiście że nie. Skoro Twoją ambicją jest robienie nowego teatru mieszczańskiego, to trafieś na właściwy moment. Jego istotą zawsze było to, że do teatru się chodzi, bo tak wypada, bo trzeba się pokazać, bo ma się taki nawyk. Ja szanuję ten rodzaj tradycji i to, że do niej się dzisiaj nawiązuje, natomiast jest dla mnie zaskoczeniem, że Ty właśnie kreujesz się na kontynuatora tej tradycji i z takiego teatru uczyniłeś swój program. Ja nie mam pretensji do widzów, że chodzą z nawyku do teatru. W stabilnych kulturach, a mieszczańska taką jest, nawyk chodzenia do teatru stanowi ceną wartość. Mnie natomiast niepokoi swoista bezrefleksyjność i brak krytycyzmu dzisiejszej widowni, zwłaszcza młodej.

JASIŃSKI: Mieć pretensje do widowni to jest ostatnia rzecz, na jaką bym się zdobył. Pretensje o bezrefleksyjność miejcie do ministra kultury, do intelektualistów, do elit kulturalnych. Mnie przestało interesować, jaki teatr ich by zadowolił. Ja robię teatr dla swojego widza, który dopiero się uczy chodzić do teatru regularnie i z wyboru. Fantastycznie jest takiego właśnie widza ołnić teatrem.

NYCZEK: Zmieńmy trochę temat, bo widzę, jak trudno dyskutować z niegdyśszym kontestato-

rem adorującym dziś klasyczny teatr mieszczański. **Pytanie czysto osobiste. Od początku realizujesz się w trzech rolach: aktora, reżysera i dyrektora. W której czujesz się najpełniej i najlepiej? I gdzie w podtekście: co się stało z Jasińskim-aktorem?**

JASIŃSKI: Nigdy nie było takiego artysty, co nie znaczy, że ja nie chciałem być aktorem. Po to poszedłem do szkoły teatralnej. W młodości zagrałem jedną z głównych ról w odcinkowym *Zaklętym dworze*...

KOMOROWSKI: **Dzięki roli Czorguta byłeś rozpoznawany na ulicy.**

JASIŃSKI: Żeby na ulicy... Rozpoznawano mnie także na granicy i wtedy odprawa celna Teatru STU nie była tak dokuczliwa i wnikliwa.

CHUDZIŃSKI: **Dzięki temu udawało się przywieźć do kraju wydawnictwa emigracyjne, które – w przypadku kontroli – konfiskowano.**

JASIŃSKI: Po powrocie z zagranicy Wiesiek Dymny przybiegał na Bracką, pytając czy mamy Sołżenicyna. Mieliśmy – najpierw po rosyjsku, potem już po polsku.

NYCZEK: **Po miesięcznym pobycie z Teatrem STU w Holandii przywoziłem walizkę książek wydanych przez paryską „Kulturę”.**

KOMOROWSKI: **W Krakowie w latach 70. jak się chciało poczytać nowości wydawane na emigracji, to się szukało kontaktu z ludźmi z Teatru STU.**

JASIŃSKI: Wracam do mojego aktorstwa. Nie posiadłem tego zawodu, choć wiem o nim prawie wszystko. Nie każdy człowiek może być aktorem, do tego trzeba mieć predyspozycje. Ja ich nie mam, spalam się ze strachu, nie mam wewnętrznej odwagi, żeby pozbyć się siebie. Wojtek Pszoniak był gotowym aktorem już na I roku. Są tacy aktorzy także dziś, np. pani Joanna Kulig, z którą miałem okazję pracować. Na planie filmowym obowiązują inne reguły niż w teatrze, ale to też nie jest dla mnie, choć zagrałem w kilkunastu filmach i serialach.

CHUDZIŃSKI: **W teatrze lepiej czujesz się w roli inscenizatora czy reżysera?**

JASIŃSKI: Ja bym tego nie rozdzielał. W mojej pracy teatralnej to jest nierozłączne. W reżyserii zawiera się projekt wizji spektaklu jako całości, czyli jego inscenizacja. Istota tych działań polega na tym, żeby widz brał czynny udział w przedstawieniu: intelektualny i emocjonalny. *Biesy* trwają cztery godziny, w trakcie których zachodzą nieustannie interakcje między sceną a widownią.

CHUDZIŃSKI: **Problem w tym, że nie zawsze one zachodzą...**

JASIŃSKI: To zależy nie tylko od aktorów, ale także od publiczności. Ja nie chcę robić teatru dla festiwalowiczów, tzw. wyrobionych widzów itp., którzy wszystko widzieli, na wszystkim się znają i krytycznym okiem patrzą na spektakl. Publiczność w swej masie raz jest lepsza, raz gorsza. Do STU przychodzi coraz lepsza właśnie dzięki zróżnicowanemu repertuariowi.

NYCZEK: **Jak tak patrzę teraz na Ciebie, widzę, że jesteś jednocześnie legendą teatru alternatywnego – i outsiderem teatru współczesnego. Nie masz wrażenia, że choć od lat prowadzisz normalny profesjonalny teatr z ważnymi premierami, mimo wszystko wciąż funkcjonujesz na obrzeżach współczesnego życia teatralnego? Ba, wręcz na jego marginesie?**

JASIŃSKI: Po co zadajesz mi takie pytania? Cokolwiek powiem, to wyjdzie na to, że się użalam. Na premierze *Wesela* w STU w reżyserii Michała Zadary zjawili się krytycy teatralni z całej Polski niemal w komplecie. To jest najszerzej opisane przedstawienie w STU w ostatnich latach. Ale to się zupełnie nie przełożyło na frekwencję i w rezultacie trzeba było spektakl zdjąć z afisza. O innych przedstawieniach mniej napisano, a niektóre nawet przemilczano, a publiczność dopisuje. I ciągle mamy w repertuarze *Hamleta*, *Zemstę*, *Króla Leara*, *Biesy* i teraz *Wyzwolenie*.

KOMOROWSKI: **Co Cię interesuje we współczesnym teatrze?**

JASIŃSKI: Niewiele oglądam. Moją uwagę przyciągnęły opinie o pracy duetu Demirski – Strzępka.

KOMOROWSKI: **Dlaczego?**

JASIŃSKI: Bo myśmy podobne rzeczy robili w młodości.

NYCZEK: **Ciekawe, że dla mnie, entuzjasty *Spadania* w STU czy *Ach, jakże godnie żyliśmy Ósmego Dnia*, propozycje teatralne tego duetu są w większości kompletnie niestrawne. Doceniam sens, ale boli mnie forma.**

JASIŃSKI: Śledzę nowości teatralne, czytam omówienia, ale kieruję się w ocenie dwoma kryteriami: po co to jest i dla kogo, a jeśli źle zostało zrobione, spuszczałem zastonę miłosierdzia.

NYCZEK: **Oglądając spektakle o Jaruzelskim czy Szeli wiem, po co zostały zrobione i dla kogo, ale to „jak”, niestety, mnie odrzuca. Agresja mętnie opowiedziana.**

JASIŃSKI: Oczywiście forma w sztuce jest najważniejsza. Młodzi twórcy szukając własnego języka często naśladują rozwiązania cudze. Bunt wobec rzeczywistości jest naturalny pod warunkiem, że jest prawdziwy, a nie manieryczny. No i teksty u nich są słabe, bo pogonili autora. Czekam na odrodzenie teatru narodowego. Tymczasem ja czuję się człowiekiem spełnionym, bo dożyłem co prawda niedoskonałej, ale jednak demokracji. Natomiast za wadę uważam to, że po '89 roku nie zreformowaliśmy życia teatralnego, które dalej jest „bolszewickie” w sensie organizacyjnym i dużo pieniędzy się marnuje. Nie mamy też teatru narodowego z prawdziwego zdarzenia i szkoły teatralnej, która by mu służyła. Ja angażuję absolwentów szkół teatralnych i wiem, co potrafią. W starych demokracjach, takich jak Niemcy i Francja, jest teatr narodowy, który zapewnia ciągłość tradycji. Przykładem Komedia Francuska.

NYCZEK: **Jeśli Komedia Francuska ma nam posłużyć za wzór, to ja dziękuję za taki teatr narodowy w Polsce.**

JASIŃSKI: Mnie chodzi bardziej o ciągłość tradycji niż o estetykę. Teatr narodowy – jak ja go pojmuję – powinien przechowywać i kultywować arcydramat polski i światowy. Do tego trzeba dodać najlepszych aktorów i reżyserów, i dobrze im zapłacić. Jak zabraknie któregoś z tych elementów, to nie ma teatru narodowego. W Polsce jego obowiązkiem jest pomóc uporać się z polsnością właśnie. A szkoła teatralna utrzymywana przez państwo, powinna kształcić aktorów dla tak rozumianego teatru, a nie dla filmu czy telewizji.

CHUDZIŃSKI: **Słuchając Twoich wywodów na temat teatru narodowego mam przed oczami nie-**



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

żyjącego Kazimierza Dejmka, który mówił nam to samo, niemal słowo w słowo, w podobnej rozmowie w 1983 roku. Jest wydrukowana, można sprawdzić. A ostatnia prawdziwa rewolucja w teatrze dla Dejmka łączy się z zastąpieniem świec żarówką elektryczną.

JASIŃSKI: Nic na to nie poradzę. Dla mnie teatr jest ufundowany na słowie, więc autor, poeta jest w nim najważniejszy. Dlatego z pokorą pochylam się nad tekstami Fredry i Wyspiańskiego, żeby wnikać w ich istotę, w podstawowe sensy. Głęboka egzegeza tekstu potrzebna mi jest przede wszystkim do porozumienia się z aktorem. On musi rozumieć co i po co mówi. Porozumienie z widownią polega na czymś innym. Tutaj rzecz rozgrywa się „pomiędzy” słowem i działaniem na scenie a reakcją publiczności.

KOMOROWSKI: **Ja to rozumiem w ten sposób, że widz jest w teatrze wytrącany z codzienności, z banalności egzystencji, i przychodzi do niego z tęsknoty za sensem, w poszukiwaniu sensu świata.**

JASIŃSKI: Trafnie to ująłeś – dlatego widza trzeba szanować i wtajemniczać go w Los.

NYCZEK: **A przecież nie oszukujmy się: widz w Twoim teatrze nie zawsze wszystko rozumie. Z niedawnego *Wyzwolenia* w ogóle niewiele pojmie, bo to jedno z najmętniejszych polskich arcydzieł, a ty nie zawsze pomagasz w rozjaśnianiu tych mętności. Miałem czasem wrażenie, że wręcz cię fascynują. Ale nie ma uczucia, że zmarnował sto złotych, bo otrzymał w zamian dobrze zrobiony, profesjonalny produkt. A przy okazji – dlaczego**

zaczynasz swój zamierzony tryptyk od *Wyzwolenia*?

JASIŃSKI: Bo ten hermetyczny dramat jest kluczem do całego tryptyku. Gdybym zaczął od *Wesela*, to uciąłbym już na wstępie dyskusję na tematy, które mnie i wielu Polaków obchodzą. A poetyckim zwieńczeniem całości będzie *Akropolis*. Z tak skonstruowanym tryptykiem będziemy wędrowali po Polsce aż do jubileuszu 50-lecia Teatru STU.

CHUDZIŃSKI: **Skoro sam wywołałeś ten jubileusz, to powiedz, czy po bez mała 50 latach prowadzenia teatru – swojego teatru, przez siebie założonego – wiesz już, jak się go robi?**

JASIŃSKI: Nie mam i nie znam uniwersalnej recepty na prowadzenie teatru, ale doradzić bym mógł, zwłaszcza w sprawach organizacyjno-administracyjnych. Najważniejsze że wiem, po co robię teatr i tego uczę się przez całe życie.

CHUDZIŃSKI: **Czyli realizujesz swoją dewizę z młodości: bunt zamieniasz na wartość. O te wartości, na których budujesz swój teatr, możemy się spierać, ale nikt nie podważy ich obecności w Teatrze STU. Dziękujemy Ci za rozmowę, Drogi Jubilacie!**

Rozmawiali:
Edward Chudziński
Adam Komorowski
Tadeusz Nyczek

Kraków, 25 stycznia 2013 r.

MAREK ZAGAJEWSKI

OPIUMOLOGIA STOSOWANA

Marks o religii

Wstępne przedstawienie stosunku Marks do religii należy rozpocząć od przywołania cieszącej się równie wielką sławą jak hasło *Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!* jego słynnej frazy „religia jest opium ludu”¹. Marks użył tej formuły zaledwie jeden raz i to w tekście, w którym nader skromne rozważania o religii posłużyły jako swego rodzaju wprowadzenie do programowych wywodów w zasadniczej sprawie nadchodzącej rewolucji proletariackiej. Jednak wielokrotnie błędnie tłumaczono tę formułę niestusznie przypisując Marksovi zmodyfikowane wyrażenie, iż „religia jest opium dla ludu”, chociaż osoba Leszka Kołakowskiego jako tłumacza *Przyczynka do krytyki heglowskiej filozofii prawa. Wstęp*, w którym zostało ono pomieszczone, budzi zaufanie zarówno od strony jego kompetencji translatorskich, jak i merytorycznych.

Mimo to Stanisław Obirek, jak wielu innych autorów, podtrzymał mylne przekonanie, że „hasło »religia opium dla ludu«” zostało „wylansowane przez Karola Marksa”². Oczywisty błąd tak kompetentnego autora zdaje się wskazywać, jak dalece na gruncie rodzimego katolicyzmu Marksowskie porównanie religii do opium zakorzeniło się w nieznacznie zmienionej redakcji jako „religia jest opium ludu”, chociaż merytorycznie znacząco odmiennej od jego źródłowej postaci. Stało się tak zapewne nie bez udziału doniośnej encykliki *Divini Redemptoris. O bezbożnym komunizmie* z 19 marca 1937 roku autorstwa Piusa XI, gdzie pisząc „o tak zwanym bolszewickim oraz bezbożnym komunizmie”, stwierdził, że „komunizm jest z natury swej antyreligijny i uważa religię za »opium dla ludu«, ponieważ nauka

jej, głosząca życie pozagrobowe, odciąga oczy proletariatu od owego przyszłego raju sowieckiego, który na ziemi należy zbudować”³. Kontekst przypisywanego doktrynie komunistycznej już nie tylko wyrażenia, ale całego poglądu, że uznaje ona religię za „opium dla ludu” rodzi podejrzenie, iż zawarta w encyklice na pozór czysto redakcyjna podmiana oryginalnej formuły została usankcjonowana w katolicyzmie i nabrała trwałego charakteru. Ten stan rzeczy pośrednio zdaje się potwierdzać rozwiązanie przyjęte przez Andrzeja Bronka, który przy omówieniu funkcjonalnej definicji religii poszedł tym tropem podając przypisywaną Marksovi definicję religii w znanym już podretuszowanym kształcie „jako opium dla ludzi”⁴, ale nie „dla ludu” niezgodnie z tekstem oryginału.

Przedmiotem Marksowskiej krytyki stała się szeroko rozważana w jego intelektualnym otoczeniu religijność abstrakcyjnego „człowieka” czy ludzi „w ogóle”, pomijając tym samym społeczny charakter religii, w szczególności religijność „ludu”. Wedle Marksa religia rodzi się spontanicznie jako przejaw społecznej psychologii i jedna z form świadomości społecznej, niezależnie od zasięgu jej propagowania w rezultacie rodzącej niepewność żywiołowości procesów społecznych. Z tego powodu religia nie może stanowić i „nie stanowi świadomego wymysłu klas panujących bądź warstw kapłanów, sfabrykowanego dla zniewolenia mas wyzyskiwanych. Religijność rodzi samo położenie mas, niezależnie od zabiegów wdrożenia im religii”⁵.

Ponieważ społeczne źródła religijności są niezależnie od woli i świadomości człowieka zakotwiczone

¹ K. Marks, *Przyczynka do krytyki heglowskiej filozofii prawa. Wstęp*, przeł. L. Kołakowski, MED, t. 1, wyd. III, Warszawa 1976, s. 458.

² S. Obirek, *Umysł wyzwolony. W poszukiwaniu dojrzałego katolicyzmu*, Warszawa 2011, s. 47.

³ Pius XI, *Encyklika Divini Redemptoris O bezbożnym komunizmie*, przeł. JE bp dr S. Okuniewski, Warszawa 1937, 22, s.25.

⁴ A. Bronk, *Podstawy nauk o religii*, Lublin 2003, s. 35, przypis 35.

⁵ S. Kozyr-Kowalski, J. Ładosz, *Dialektyka a społeczeństwo. Wstęp do materializmu historycznego*, wyd. IV, Warszawa 1979, s. 454-455.

w obiektywnej rzeczywistości, z nieubłaganą koniecznością rodzą konkretne religie, nadając im kulturowo zróżnicowane formy. Religia nie jest zatem wymysłem „dla ludu”, świadomie narzuconym, wyzyskiwanym przez kapłanów i panujących, aby ich sobie skutecznie podporządkować. Masowa religijność, wedle Marksa, pełni ważną funkcję w zaspokajaniu zrodzonej „w łonie ludu”, w rezultacie jego obiektywnej sytuacji życiowej, potrzeby pogodzenia się ze stosunkami wyzysku pracowników najemnych. Oskarżanie kapłanów jako przedstawicieli uprzywilejowanych warstw społecznych o to, że wspólnie z nimi obmyślili i narzucili „ludowi” religijną świadomość wraz z właściwą jej psychologią społeczną, bezzasadnie zakłada ich abstynencję wyznaniową połączoną z cynicznym wykorzystywaniem praktyk sakralnych dla swoich egoistycznych celów. Tymczasem także w świecie klas panujących działają, co prawda w inny sposób, podobne społeczne mechanizmy kształtowania się religijności, niekiedy nawet bardziej intensywnie niż w środowisku mas ludowych, być może dlatego, iż panujące ekonomicznie grupy społeczne otrzymują „rozgrzeszenie”, które uwalnia je od moralnych niepokojów związanych ze stosowaniem brutalnego wyzysku czy korzystania z życia na koszt społeczeństwa.

Metaforyczne odwołanie się do języka medycznego, wszak opium to narkotyk, miało zapewne podsuwać skojarzenia z religią jako lekarstwem stosowanym w sytuacjach beznadziejnych, czyli swego rodzaju *antidotum*, które jest w stanie jeszcze w jakimś stopniu uśmierzać cierpienia, gdy zawiodły rutynowo przyjmowane medykamenty.⁶ Pojmowanie religii jako „opium ludu” nadaje jej wysoki walor swego rodzaju psychospołecznego *placebo* na ludzkie niedole ze śmiercią włącznie, które obejmuje swym zasięgiem w równej mierze kapłanów i wiernych, niezależnie od autentyczności ich wiary, położenia społecznego czy poglądów politycznych. Narkotykowa metafora pozwala rozumieć formułę „religia jest opium ludu” także jako wyraz religijnego ubezwłasnowolnienia człowieka wierzącego, której się radośnie poddaje świadom niejednokrotnie swej własnej bezsilności i poczucia przeżywania rozkoszy wyzwolenia w akcie podporządkowania wyższemu siłom.

Wymaga podkreślenia, iż niezgodne z tekstem oryginału wyrażenie, że religia jest „opium dla ludu”, zakłada narzucanie jej przez kapłanów czy warstwy panujące, którzy dzięki świadomej manipulacji uzależniają „lud” od siebie. Tymczasem Marks widział w religii system obrzędów, tradycji kultowych i rytuałów służący przeżywaniu w ludzkiej wyobraźni swych trosk i nieszczęść, który ułatwiał godzenie się z trudnościami żywymi poprzez swoiste „znieczulenie”, skłaniające ludzi raczej do biernej postawy wobec świata niż do działania na rzecz rewolucyjnych przemian. Nie należy jednak zapominać, że „każda religia zawiera w sobie moment protestu przeciwko rzeczywistości społecznej”, który „jednak jest dokonywany i rozstrzygany w wyobraźni, a nie w rzeczywistości samej”.⁷ Zbędne dodawać, że mimo to w pewnych określonych sytuacjach motywacja religijna stawała się inspiracją do radykalnych działań rewolucyjnych.

Religia jako opium ludu

Uchwycenie sensu formuły „religii jako opium ludu” wymaga rozpatrzenia jej charakterystyki w tym kontekście historycznym, w jakim została wprowadzona przez Marksa w obieg publiczny w początkowej części *Przyczynek do krytyki heglowskiej filozofii prawa. Wstęp*. Ten niewielki tekst napisany jesienią 1843 roku był przeznaczony do druku i opublikowany poza granicami Niemiec w czasopiśmie „Deutsch-Französische Jahrbücher”, którego radykalnie rewolucyjne przesłanie miało zgrupować czołowych przedstawicieli niemieckiej i francuskiej demokracji.

Dla Marksa punktem wyjścia stały się rozważania o stanie krytyki społeczeństwa i państwa w Niemczech, ze szczególnym uwzględnieniem krytyki religii. „W Niemczech krytyka religii jest już w zasadniczych zarysach ukończona; a przecież krytyka religii stanowi przesłankę wszelkiej krytyki”.⁸ Słabością tej „irreligijnej krytyki”, także w przypadku Feuerbacha, było indywidualistyczne traktowanie pochodzenia i charakteru religii. Trafna formuła, że „człowiek tworzy religię, nie zaś religia – człowieka” została zrozumiana przez krytyków religii wręcz dosłownie i jako punkt odniesienia przyjęto odosobnioną jednostkę na kształt Robinsona Crusoe, występującą jako „istota oderwana, istniejąca gdzieś poza światem”. Ta robinsonada pomijała zasadniczą dla Marksa kwestię ujmowania człowieka jako bytu społecznego, a zatem i religii jako istotnej części społecznej świadomości. „Człowiek – to świat człowieka, państwo, społeczeństwo. To państwo, to społeczeństwo stwarzają religię, odwróconą na opak świadomość świata, są one bowiem same odwróconym na opak światem. Religia jest ogólną teorią tego świata, jego encyklopedycznym skrótem, jego logiką w popularnej formie, jego spirytualistycznym *point d'honneur*, jego entuzjazmem, jego sankcją moralną, jego uroczystym dopełnieniem, jego ogólną racją bytu i pocieszeniem. Jest *ureczywistnieniem* istoty ludzkiej w *fantazji*, dlatego że *istota ludzka* nie posiada prawdziwej rzeczywistości. Walka przeciw religii jest więc pośrednio walką przeciw *owemu światu*, którego duchowym *aromatem* jest religia.

Nędza *religijna* jest jednocześnie *wyrazem* rzeczywistej nędzy i *protestem* przeciw nędzy rzeczywistej. Religia jest westchnieniem uciśnionego stworzenia, sercem nieczułego świata, jak jest duszą bezdusznych stosunków. Religia jest *opium* ludu.

Prawdziwe szczęście ludu wymaga zniesienia religii jako *urojonego* szczęścia ludu. Wymagać od kogoś porzucenia złudzeń co do jego sytuacji to znaczy wymagać *porzucenia sytuacji, która bez złudzeń obejść się nie może*. Krytyka religii jest więc w zarodku *krytyką tego padołu płaczu*, gdyż religia jest *nimbem świętości* tego padołu płaczu”.⁹

Ten obszerny fragment uwidacznia pojmowanie religii jako „opium ludu”, która w tym kontekście może być rozumiana w serii metafor i alegorii jako „urojone szczęście ludu”, pełna „złudzeń sytuacja”, „nimb świętości padołu płaczu” czy nieco wcześniej „duchowy aromat świata”. Już sam ten język ukazuje, że w Marksowskiej perspektywie teoretycznej religia opisywana jako prze-

⁶ Por. S. Opara, *Wstęp do filozofii współczesnej*, Olsztyn 1994, s. 49.

⁷ S. Kozyr-Kowalski, J. Ładosz, *Dialektyka a społeczeństwo*, op. cit., s. 455.

⁸ K. Marks, *Przyczynek do krytyki heglowskiej filozofii prawa. Wstęp*, op. cit., s. 457.

⁹ Ibidem, s. 457-458.

tworzone odbicie świata jest ważnym lecz drugorzędnym obiektem zainteresowania, ponieważ ostatecznie jej krytyka prowadzi do zapośredniczonej krytyki społeczeństwa i państwa. Zamiast krytyki religii jako pośredniej krytyki życia społecznego ze względu na jej wtórność wobec rzeczywistości, Marks opowiedział się za bezpośrednią krytyką stosunków społecznych, pozostawiając faktycznie na uboczu religię jako taką, której krytyka, jak się w końcu okazało, miała dla niego w istocie zastępczy charakter.

Do tej kwestii Marks powróci w nieodległym czasie w *Tezach o Feuerbachu*, by podkreślić, że samo „usposobienie religijne” jest „wytworem społecznym”, co oznacza, że Feuerbachowska „abstrakcyjna jednostka należy w rzeczywistości do określonej formy społeczeństwa”, w tym przypadku burżuazyjnego, które musi być najpierw zrozumiane „w swojej sprzeczności, następnie zaś, przez usunięcie tej sprzeczności” praktycznie zrewolucjonizowane. Marks, nawiązując do przykładu ziemskiej rodziny kontynuuje, że skoro owa „ziemska rodzina jest tajemnicą świętej rodziny, musi ona sama być poddana krytyce w teorii i ulec rewolucyjnemu przekształceniu w praktyce”.¹⁰ Społecznym skutkiem krytyki „ziemskiej rodziny” i jej rewolucyjnej przemiany w rezultacie powstania rozmaitych, choć bliżej nieznanych, radykalnie odmiennych stosunków społecznych musi być, jak sugeruje Marks, naturalna abdykacja „świętej rodziny” i w globalnej perspektywie zniesienie religii.

Krytyka krytyki religii

Walka z religią, jak tłumaczy Marks jej krytykom, jest całkowicie bezprzedmiotowa, bowiem skoro religijna wiara wyrasta ze sprzeczności życia ziemskiego, to należy z całą mocą dążyć do radykalnych przemian społecznych, których dalszym skutkiem będzie naturalne zniesienie religii. Wolno pomyśleć, że gdyby nagle jakimś tajemnym sposobem wyparowały z ludzkich umysłów wyobrażenia religijne, to przy niezmiennych warunkach życiowych natychmiast musiałyby się tam na nowo pojawić. Ta konstrukcja myślowa ma w zamysle zobrazować stosunek Marksa do religii i absurdalność prowadzonej w ZSRR antyreligijnej polityki „wojującego ateizmu”, jak to wynika z odległych o całe lata świetlne poglądów klasyka z lat młodości.

Metafora „opium” miałaby zatem oznaczać, że religia jest naturalnym, nieuchronnym, spontanicznym wyrazem człowieczej niedoli w określonych warunkach społecznych i jedynie radykalna zmiana tych warunków może doprowadzić do jej zniesienia. Zatem wedle Marksa propaganda ateistyczna czy szeroko pojęta krytyka religii są w tej sytuacji bezradne, bowiem społeczeństwa nie da się pozbawić „opium” ani mu go zabrać, ponieważ i tak natychmiast powróci ono na swoje miejsce w życiu społecznym. Jednak gdy z drugiej strony w stosownym czasie i warunkach społecznych religia w roli „opium” jako ułuda i pociecha przestanie być ludziom potrzebna, to zaniknie w samoistny sposób. Równocześnie w szacie religijnej toczyły się przez dzieje protesty społeczne i walki wyzwolenicze, chociaż religia była zarazem niejednokrotnie taką formą symbolicznego protestu społecznego przeciwko panującym

stosunkom i prawom, który „łagodzi obyczaje”, również buntowników, aby w dłuższej perspektywie ośwoić ludzi z niegodnymi ich warunkami życia.

W tej retoryce nie mogło rzecz jasna zabraknąć „kajdan”, które nie powinny zanadto uwierać i są ładnie „upiększone” przez „urojone kwiaty”. Ta metafora ma symbolizować łagodną siłę niewidzialnych duchowych „kajdan” religii, z których niełatwo, jak „kajdaniarzem” z jaskini Platona, się wyzwolić i z siebie je zrzucić, ponieważ są na swój sposób wygodne, a nawet przez ludzi pożądane. „Krytyka zniszczyła urojone kwiaty, upiększające kajdany nie po to, by człowiek dźwigał kajdany bez ulud i bez pociechy, ale po to, by zrzucił kajdany i rwał kwiaty żywe. Krytyka religii uwalnia człowieka od złudzeń po to, by myślał, działał, kształtował własną rzeczywistość jako człowiek, który wyzbył się złudzeń i doszedł do rozumu; aby obracał się dookoła samego siebie, a więc dookoła swego rzeczywistego słońca”.¹¹ W ten sposób Marks zachęcał przedstawicieli postępowych kręgów niemieckiego mieszczaństwa, aby zechcieli zrozumieć, że koncentrowanie wysiłków na krytyce religii prowadzi co najwyżej do uwolnienia się części społeczeństwa z okowów „jedwabnej niewoli” złudzeń i fałszywych wyobrażeń ograniczonych jedynie do tego religijnego obszaru. Tymczasem celem krytyki o rozległym społecznym wymiarze winno być uwolnienie rozumu z fałszywej nadziei, że dokonane pod jej wpływem przemiany świadomości miałyby samoistnie doprowadzić do praktycznych rezultatów.

Rewolucja duchowa dokonana w sferze świadomości różni się, wedle Marksa, zasadniczo od realnych przemian rewolucyjnych o ustrojowym charakterze, chociaż jest „zadaniem historii, skoro rozwiązał się *nadziemski świat prawdy*, stworzyć podwaliny *prawdy ziemskiej*. Jest przede wszystkim *zadaniem filozofii* będącej na usługach historii, skoro zdemaskowano jej *świętą postać* ludzkiej autoalienacji, zdemaskować tę autoalienację w jej *nieświętych* postaciach. Krytyka nieba przeobraża się w ten sposób w krytykę ziemi, krytyka religii – w krytykę prawa, krytyka teologii – w krytykę polityki”.¹² Ten ważki fragment wywodów Marksa wskazuje, że w tym punkcie faktycznie zamknął on swoją krytykę uprawianą wówczas także w jego środowisku krytyki religii, której nosiciele w radykalizmie swoich myśli znajdowali siłę umożliwiającą w ich przekonaniu wyzwolenie Niemiec od średniowiecza. Marks przypomniał, że dotychczasowa niemiecka tradycja przewrotów ograniczających się do świata filozoficznej myśli utrzymywała społeczne zacofanie i dopiero krytyka polityki i prawa zbliża do rzeczywistości i daje szansę takiego zorganizowania protestu, który stwarza realną możliwość społecznego wyzwolenia. W tej perspektywie teoretycznej brakuje co prawda jeszcze krytyki ekonomii politycznej, ale jest dla niej widoczne miejsce w sferze krytyki historii, czyli społeczeństwa.

Jest swoistym paradoksem, że Marksowska krytyka ówczesnej krytyki religii stała się punktem oparcia dla propagandy ateistycznej i zwrotnego ataku Kościoła na Marksa, socjalizm i komunizm, chociaż w zamysle autora miała zniechęcić jej zwolenników do zajmowania się religią jako głównym obiektem politycznych wy-

¹⁰ K. Marks, *Tezy o Feuerbachu*, przeł. S. Filmus, MED, t. 3, Warszawa 1961, s. 7, 8.

¹¹ *Ibidem*, s. 458.

¹² *Ibidem*.

stąpien przeciwko ówczesnemu niemieckiemu światu i skierować ostrze krytyki na konkretne obszary niesprawiedliwości społecznej oraz działań despotycznej władzy. Dla tego biegu zdarzeń stosunkowo łatwo było wykorzystać użyte przez Marksa praktykowane w jego czasach łączenie religii z opium, zawarte w nośnym hasle „religia – opium dla ludu”, które z czasem stało się logo efektownego zderzenia socjalizmu i komunizmu z religią. Jednak w rzeczywistości Marks, poza szczególnymi przypadkami, religię jako samodzielny obiektem zainteresowania praktycznie się nie zajmował, a jego krytyka religii w *Przyczynku do krytyki heglowskiej filozofii prawa*. *Wstęp* miała okolicznościowy charakter związany z aktualną w czasach jego młodości sytuacją przedrewolucyjną w Niemczech. Stosunkowo szybko Marks rozstał się z panującą w kręgu młodoheglistów ideologią, wedle której przyczyn zła społecznego należy poszukiwać w religii dochodząc do słusznego wniosku, że sytuacja jest wręcz odwrotna, gdyż właśnie to zło społeczne jest źródłem religii i wysunął program radykalnego przeniesienia obiektu krytyki z religii na społeczeństwo.

Szersze spojrzenie na przedstawioną za Marksem jego krytykę krytyki religii daje asumpt do rozpoznania w niej z późniejszej perspektywy szczególnego rodzaju krytyki fałszywej świadomości na przykładzie nie tyle samej religii, co właśnie jej krytyki. Jako swoiste echo pobrzmiewa ona w znakomitej krytyce fetyszystycznego charakteru towaru,¹³ czy szerzej ekonomii politycznej, która stanowi poznawczo płodne narzędzie metodologiczne analizy szeroko pojętej ideologii „rynkowości”, „produktywności” czy „zasobności” jako kluczowych kategorii współczesnych teorii gospodarowania. Słowem, krytyka religii jako przedmiot Marksowskiej krytyki jest swego rodzaju przedsięwzięciem poznawczym w obszarze świadomości społecznej, w którym religia jest co najwyżej przypadkiem szczególnym, podobnie jak ideologia niemiecka czy literatura socjalistyczna i komunistyczna, zresztą nie tylko w *Manifeście*.

Opium jako religia

Powierzchnowa tradycja nakazuje przypisywanie Markswi autorstwa pomysłu na interpretację religii przez metaforyczne odniesienie do opium, co czyni się zwykle bez zbadania kontekstu historycznego tej sytuacji. Ciekawą wzmiankę dotyczącą refleksji nad podobieństwem religii i opium zawiera wypowiedź Henryka Heinego w przywołanym do jego cyklu esejów *Z dziejów religii i filozofii w Niemczech* interesującym przypisie: „Dla ludzi, którym ziemia nic już nie ma do zaofiarowania, zostało wynalezionie niebo. Chwała temu wynalazkowi! Chwała religii, która cierpiącemu rodzajowi ludzkiemu wlała do kielicha goryczy kilka słodkich, usypiających kropeł duchowego opium, kilka kropeł miłości, nadziei i wiary”.¹⁴ W tymże przypisie znajduje się także ostrożna sugestia, że fragment ten „stał się prawdopodobnie wzorem dla słynnego sformułowania Marksa o religii”,¹⁵ z łatwym do skorygowania mylnym wskazaniem na jego umiejscowienie

w *Przyczynku do krytyki heglowskiej filozofii prawa*,¹⁶ który zgodnie z tytułem, w odróżnieniu od nieco późniejszego *Przyczynka do krytyki heglowskiej filozofii prawa*. *Wstęp*, był niezwykle obszerną, zresztą zleconą przez Arnolda Rugego, krytyką istotnych także dla Marksa rozważań Hegla o państwie zawartych w *Zasadach filozofii prawa*¹⁷ i dyskutowanych rozważań o religii nie zawierał.

Kolejny punkt odniesienia można znaleźć u Tadeusza Zatorskiego w opisie beznadziejnego stanu zdrowia Heinego poczynionym przez tłumacza tomu, który znalazł się w obszernym postwoju do esejów *Z dziejów religii i filozofii w Niemczech*. Można się stamtąd dowiedzieć, że przez ostatnie osiem lat życia Heine doznawał niewyobrażalnych cierpień związanych z postępującym paraliżem rąk, mięśni twarzy i przetyku, który stopniowo ogarniał całe ciało powodując trudności w mówieniu, przetykaniu i utratę smaku. Do paraliżu jego lewej połowy twarzy doszły zaburzenia oddechowe, nerkowe i gastryczne, a zanik mięśni uniemożliwił poruszanie się, wymuszając przenoszenie go na rękach. Heine cierpiał „na chroniczne bóle znieczulane jedynie częściowo dużymi dawkami opium i morfiny”, a ówczesne metody leczenia były tak niezwykle bolesne, jak „przypalanie zakończeń nerwowych i sztuczne zapobieganie gojeniu się rany na karku chorego, przez którą podawano mu dawki opium”.¹⁸ Heine był całkowicie świadom braku jakichkolwiek szans na powrót do zdrowia, jednak stosowane środki były „w stanie przynosić mu pewne ukojenie oraz powodować chwilowe i względne złagodzenie najbardziej uciążliwych zewnętrznych symptomów jego choroby, a w ostatecznym rozrachunku także przedłużyć mu życie o przynajmniej kilka lat”.¹⁹

W tych okolicznościach we wrześniu 1850 roku Heine nieświadom, że ma przed sobą jeszcze sześć lat życia w cierpieniu, w opublikowanej po latach jednej z rozmów wypowiedział znamiennej uwagę: „Wszystko to muszę znosić bez wsparcia ze strony pana naszego Jezusa Chrystusa. Ale i ja mam swoją wiarę. Niech pan tylko nie myśli, że obywatel się bez religii. Opium jest także religią. (...) Między opium a religią istnieje pokrewieństwo bliższe niż sądzi większość ludzi”.²⁰ Ten obrazowy i niezwykle dramatyczny opis katastrofalnego stanu zdrowia Heinego zawiera zgodną z historią medycyny informację o tym, jak w przeszłości morfinę i głównie opium stosowano jako środki przeciwbólowe na złagodzenie cierpień chorych w stanach w praktyce terapeutycznie beznadziejnych. Te narkotyki lekarz podawał pacjentowi osobiście, często, jak w przypadku Heinego, w bardzo przemysłny i bolesny sposób, jedynie po to, by zmniejszyć jego cierpienia.

Przytoczone wypowiedzi Heinego wraz z ich medycznym kontekstem pokazują, że w jego przemyśle-

¹³ Por. K. Marks, *Kapitał. Krytyka ekonomii politycznej*. T. I. *Proces wytwarzania kapitału*, MED, t. 23, Warszawa 1968, s. 82-96.

¹⁴ H. Heine, *Ludwig Börne*, ks. 4, cyt. za: H. Heine H., *Z dziejów religii i filozofii w Niemczech*, przeł. T. Zatorski, Kraków 1997, s. 21, przypis 32.

¹⁵ Ibidem.

¹⁶ Marks K., *Przyczynek do krytyki heglowskiej filozofii prawa*, przeł. T. Zabłudowski, MED, t. 1, op. cit., s. 243-407.

¹⁷ G.W.F. Hegel, *Zasady filozofii prawa*, przeł. A. Landman, Warszawa 1969.

¹⁸ T. Zatorski, *Od tłumacza. „Przeciwieństw moc, jaskrawo w pary połączonych”. Heinrich Heine, czyli sztuka wątpienia*, w: H. Heine, *Z dziejów religii i filozofii w Niemczech*, op. cit., s. 187.

¹⁹ Ibidem.

²⁰ *Gespräche mit Heine. Gesammelt und herausgegeben von Heinrich Houben*, Potsdam 1948, s. 771, cyt. za: T. Zatorski, *Od tłumacza. „Przeciwieństw moc, jaskrawo w pary połączonych”. Heinrich Heine, czyli sztuka wątpienia*, w: H. Heine, *Z dziejów religii i filozofii w Niemczech*, op. cit., s. 187, przypis 56.

niach łączenie religii z opium było w tamtych czasach i okolicznościach życiowych oczywiste, czym zapewne przez całe lata dzielił się wielokrotnie ze swoim otoczeniem. Heine nie był w tej refleksji intelektualnie zbyt rygorystyczny, skoro w jednym przypadku traktował religię jako „duchowe opium”, gdy w innym jego myśl, podążając jak gdyby w przeciwnym kierunku, doprowadziła go do konkluzji, że „opium jest także religią” traktowaną zapewne bardzo osobiście, w skrajnie indywidualistyczny sposób. Widoczne jest także, jak poszukując rozmaitych wątków łączących opium z religią od podobieństwa religii do opium, po ich częściowe utożsamienie.

Ważkie wypowiedzi Heinego mają szerszą wymowę znacznie przekraczającą wymiar jego dramatycznych doświadczeń osobistych. Nie ma istotnych powodów, by sądzić, że w złożonym z literatów, poetów, artystów, dziennikarzy czy akademików środowisku młodego Marksa nie prowadzono podobnych rozważań, jeśli przypomnieć, że wszelkie problemy związane z funkcjonowaniem religii były stałym tematem ich towarzyskich dyskusji i publicznych wystąpień, a wszelkie kwestie społeczne i polityczne rozważano w kontekście religii i wiary. O bezpośrednim wpływie Heinego na pogląd Marksa o religii jako „opium ludu” trudno rozstrzygać bez wnikliwych badań historycznych, ale przynajmniej pośredniego związku między spostrzeżeniami wielkiego poety a rozważaniami Marksa, podążając za sugestią Zatorskiego, nie sposób wykluczyć.

Wolno przyjąć za wiarygodne stwierdzenie, że Marks nie był pomysłodawcą konceptu, który objaśniał funkcjonowanie religii posiłkując się „opiumologiczną” metaforą, chociaż nie uznał, jak w przypadku Heinego, zasadniczo indywidualistycznego podejścia redukującego religię do sfery osobistych przeżyć, wprowadzając traktowanie jej jako zjawiska społecznego, którego najbardziej interesującym przejawem była jej znacząca obecność w życiu mas ludowych.

Prekursorstwo Novalisa

Chociaż można wskazać na historycznie utrwalone więzi nie tylko intelektualne czy ideowe, ale także niezwykle bliskie kontakty osobiste między Marksem i wówczas jeszcze w niezłym stanie zdrowia Heinem, które miały miejsce na paryskim gruncie od jesieni 1843 roku,²¹ czyli w trakcie pisania *Przyczynka do krytyki heglowskiej filozofii prawa*. *Wstęp*, to o jakichkolwiek relacjach Marksa z Novalisem nie może być mowy. Tymczasem w rozważanej kwestii ten przedwcześnie zmarły wybitny poeta romantyczny Fryderyk von Hardenberg o artystycznym pseudonimie Novalis – „człowiek nowy”, w rozważanej kwestii jako pierwszy zwrócił uwagę na podobieństwa między religią a opium. Uczynił to w zbiorze fragmentów *Kwiatny pył* z 1797 roku, gdzie Novalis zawarł „w zarodku cały program romantyzmu”, a także „maksymalistyczny i wzniosły – program poetycki”.²² W tym, jak z tego wynika, niezwykle ważnym dla autora zbiorze znalazł się ciekawy fragment, w którym „filister” jako postać sym-

bolizująca niemieckiego mieszczaucha stał się przedmiotem jego zjadliwej krytyki za przyczyną traktowania przezeń „religii jak opium”. Rzecz całą należy jednak rozpoznać z uwzględnieniem całego kontekstu semantycznego.

„Filistrzy żyją tylko życiem codziennym. To, co jest głównym środkiem, zdaje się być ich jedynym celem. Czynią to wszystko dla życia ziemskiego, takiego, jakim się wydaje i jakim – według ich własnych wypowiedzi – wydawać się musi. Poezję tolerują w swym życiu tylko z konieczności, gdyż zwykli niekiedy urozmaicać jego codzienny bieg. Do tego urozmaicenia dochodzi z reguły co siedem dni, toteż można by je nazwać poetycką febrą. W niedzielę nie pracują, żyją nieco lepiej niż zwykle i to niedzielne upojenie kończy się nieco głębszym snem niż zazwyczaj; dlatego też w poniedziałek wszystko toczy się jeszcze żwawiej. Ich *parties de plaisir* muszą być konwencjonalne, zwyczajne, modne, ale także swe rozrywki przetrawiają, jak wszystko inne, mozolnie i ceremonialnie.

Najwyższy stopień swej poetyckiej egzystencji osiąga filister przy sposobności podróży, wesela, chrztu dziecka oraz w kościele. Tu jego najśmielsze życzenia zostają zaspokojone często nawet z nawiązką”.²³ Ta celna, udana także pod względem literackim charakterystyka swoiście rozumianego przez Novalisa filistra, który tradycyjnie był uważany za wyzbytego wyższych aspiracji, ograniczonego i małostkowego człowieka, stanowi swego rodzaju wprowadzenie do zasadniczej konkluzji całego wywodu, w którym do naszego bohatera odnosi się zarzut traktowania religii jak opium.

„Ich tak zwana religia działa po prostu jak opium: pobudzająco, odurzająco, uśmierając ból przez osłabienie. Ich modlitwy poranne i wieczorne są dla nich tak konieczne jak śniadania i kolacje. Nie potrafią się ich wyrzec. Zwykły filister wyobraża sobie radości niebiańskie w postaci kiermaszu, wesela, podróży lub balu, wyrafinowany – czyni z nieba wspaniałą kościół z piękną muzyką, wielką pompą, krzesłami dla pospółstwa na dole oraz kaplicami i galeriami dla wytwornego towarzystwa”.²⁴

Należy podkreślić, że Novalis zapisał się w pamięci współczesnych jako człowiek głęboko religijny i autentyczny chrześcijanin, zdystansowany wobec samego kultu i instytucji czy dogmatów wiary, odnajdujący się wyłącznie w sferze mistycznych przeżyć. Zrozumiałe, że dla niego „filisterskie” redukcje wiary do praktykowania rytuałów religijnych w postaci pozbawionego duchowych przeżyć „nałogu” oznaczało wyznawanie co najwyżej pozbawionej duchowej głębi „tak zwanej religii”. Novalis jest konsekwentny uważając, że skoro religia oddziaływuje jak opium, które wpływa wyłącznie na cielesność powodując pobudzenie, odurzanie i uśmieranie bólu, to nie zasługuje na to miano.

W istocie Novalis dał krytyczny opis mieszczańskiego stylu życia o konsumpcyjnym nastawieniu, w którym religia jawi się jako zanurzona w codzienności życiowa konieczność sprowadzona do regularnie praktykowanych rytuałów w postaci modlitwy czy uroczystości kościelnych. Jednak interpretowana „opiumologicznie” religia ma dla filistra podwójne znaczenie, ponieważ

²¹ Por. S. Morawski, *Rozwój myśli estetycznej od Herdera do Heinego*, Warszawa 1957, s. 174-175.

²² J. Prokopiuk, *Novalis, czyli ziarno przyszłości*, w: Novalis, *Uczniowie z Sais: proza filozoficzna – studia – fragmenty*, przeł. J. Prokopiuk, Warszawa 1984, s. 13, 14.

²³ Novalis, *Uczniowie z Sais: proza filozoficzna – studia – fragmenty*, op. cit., s. 110-111.

²⁴ Ibidem, s. 111.

z jednej strony należy do jego porządku życia ziemskiego, w którym ważna jest tylko codzienność i związane z nią obyczaje, gdy z drugiej strony ta sama religia wywołuje w nim reakcje „pobudzania, odurzania i uśmierzania bólu przez osłabienie” o niesprecyzowanej, ale w domyśle przypisanej ludzkiej kondycji dolegliwej egzystencji. Ma zatem religia, jak podkreślał Novalis, niewątpliwie odświętny charakter, który szczęśliwie wybija filistrę z rytmu codzienności, ale ostatecznie i tak rozmienia on ją na zwyczajne, konwencjonalne ceremonie przywracające notoryczny posmak swojskiej mu „codzienności”, ponieważ taka jest jego natura i nie potrafi inaczej przeżywać świata.

Warto wreszcie zauważyć, że niedawny czołowy radykał epoki Heine połączył opium z indywidualistycznie pojmowaną religią z punktu widzenia ludzkiej jednostki, gdy konserwatysta Novalis rozpatrywał filistersko praktykowaną religię, a właściwie jej krytykę w społecznej perspektywie poznawczej. Właśnie ta perspektywa teoretyczna stanowiła punkt wyjścia Marksowskiej metaforyki „opiumologicznej” w kwestii pojmowania religii.

Dla filistrę, wedle Novalisa, religia jest „poetyckim” urozmaicheniem życia codziennego jako narkotyk i lekarstwo zarazem, której praktykowanie stało się nalogiem pozbawionym jakiegokolwiek duchowej treści. Wedle Marksa z kolei, dzięki religii ciężka dola ludu staje się poniekąd łatwiejsza do zniesienia, co jednak znacznie osłabia możliwość wykorzystania tkwiącej w masach religijnej motywacji do rewolucyjnych działań. Tym samym znacznie malała atrakcyjność religijnej retoryki o rewolucyjnym ładunku ideowym w działalności propagandowej.

Wolno zatem podsumować, że chociaż Marks nie był pomysłodawcą ukazywania podobieństw między religią a opium, to jednak formuła „religia jest opium ludu” mimo środowiskowego oddziaływania czy ewentualnego wpływu Novalisa, Heinego bądź innych ważkich postaci historycznych, stanowi jego oryginalny wkład w dzieło tej metaforyki i zasadniczo różni się od fałszywie przypisywanej mu redakcji „religia jest opium dla ludu”.

Socjalizm feudalny i chrześcijański

Przez następne lata Marks praktycznie nie zajmował się żadnymi kwestiami związanymi z funkcjonowaniem religii, co najwyżej podejmując krytykę Kościoła instytucjonalnego. Sporadycznie czynił rozmaite uwagi związane z problemami ruchu robotniczego, jak w przypadku krytyki socjalizmu feudalnego w *Manifeście*. Ta osobliwa, stosunkowo efemeryczna formacja ideologiczna pojawiła się we Francji (legitymiści) i w Anglii („Młoda Anglia”) w drugiej ćwierci XIX wieku, mając za sojusznika, wedle opinii Marksa, ówczesny socjalizm chrześcijański, który w swym dalszym rozwoju doznał rozlicznych modyfikacji.

„Jak klecha szedł zawsze ręką w rękę z feudałem, tak też socjalizm kleszy idzie ręką w rękę z socjalizmem feudalistycznym.

Nic łatwiejszego niż nadać chrześcijaństwu ascetyzmowi socjalistyczny pokost. Czyż chrześcijaństwo nie piorunowało również przeciw własności prywatnej, przeciw małżeństwu, przeciw państwu? Czyż nie zalecało na ich miejsce dobroczynności i żebractwa, celibatu i umartwiania ciała, życia klasztornego i kościoła?

Socjalizm chrześcijański jest tylko wodą święconą, którą klecha kropi rozgoryczone arystokraty”.²⁵

Marks skoncentrował się na fundamentalnym dla wieków średnich sojuszu tronu i ołtarza, wielkich właścicieli majątności ziemskich feudałów świeckich i świętych, których wspólnota interesów przejawiała się w fazie schyłkowej w ideologicznie osobliwej jedni socjalizmu feudalistycznego i chrześcijańskiego. Upadająca arystokracja ziemska rzekomo bezinteresownie sformułowała obłudny „akt oskarżenia przeciw burżuazji wyłącznie w interesie wyzyskiwanej klasy robotniczej”²⁶, którego rzeczywistym przesłaniem była obrona jej pozycji ekonomicznych. Widoczną irytację Marksa wywołało wkroczenie na teren rodzącego się nowoczesnego ruchu robotniczego duchowieństwa jako świeckiej siły politycznej w socjalistycznym ornacie, na dodatek we wspólnocie z ówczesnie niezwykle reakcyjną klasą arystokracji. Stąd redukcja religii do jej politycznego kontekstu i mowa raczej o „socjalizmie kleszym” niż chrześcijańskim, czy sojuszu „klechy z feudałem”, a nie kapłana z arystokratą.

Wspólnota ideowa socjalizmu chrześcijańskiego z feudalistycznym opierała się wedle Marksa na uprawianej przez arystokratów rzekomo w imię interesów klasy robotniczej krytyce jej wyzysku przez burżuazję z równoczesną jawną gloryfikacją feudalnego patriarcalizmu, w którym rzecz jasna nie mogło dochodzić do wyzyskiwania poddanych. Wedle Kołakowskiego socjalizm chrześcijański „należy do tej samej kategorii”²⁷ feudalistycznego socjalizmu ze względu na odwołujący się do pierwotnego chrześcijaństwa ascetyzm jako ideał społeczny, w którym zamiast własności prywatnej jako gospodarczej bazy społeczeństwa zalecano dobroczynność i żebractwo, w miejsce małżeństwa celibat i umartwianie ciała, a dominującą i organizującą rolę państwa miało z czasem zastąpić życie klasztorne i kościoła. Tak głębokie zanurzenie ówczesnego socjalizmu chrześcijańskiego w otchłaniach feudalizmu sprawiło, iż należał on do całkowicie innej epoki i zupełnie nie przystawał do kształtującego się na jego gruzach nowoczesnego społeczeństwa burżuazyjnego. Ta naiwna próba ominięcia społeczeństwa burżuazyjnego jako koniecznego etapu procesu formowania socjalistycznego społeczeństwa z odrzuceniem postępowej roli kapitalistycznej własności była skazana na historyczne niepowodzenie.

Absurdalne wyobrażenie, iż w obronie feudalizmu można cofnąć bieg procesu historycznego spowodowało umieszczenie przez Marksa socjalizmu chrześcijańskiego w rodzinie reakcyjnych doktryn socjalistycznych, także za sprawą sojuszu duchowieństwa ze szlachtą. Jednak nie sposób uwolnić się od wrażenia, że Marks nader powierzchownie rozprawił się z socjalizmem chrześcijańskim i zbyt pośpiesznie w ferworze antyfeudalnego nastawienia poddał go stosunkowo łatwej krytyce.

Zaskakuje zarysowane przez Marksa nałożenie się perspektyw poznawczych feudałów i klasy robotniczej jako grup społecznych znajdujących się na przegranych pozycjach w konfrontacji z rodzącą się burżuazją.

²⁵ K. Marks i F. Engels, *Manifest Partii Komunistycznej*, MED, t. 4, Warszawa 1986, wyd. drugie popr., s. 669-670.

²⁶ Ibidem, s. 668.

²⁷ L. Kołakowski, *Główne nurty marksizmu*, Londyn 1988, s. 193.

Jednak ta wspólnota musiała z czasem ujawnić swój pozorny charakter jeśli zważyć, że feudałowie stali się wówczas klasą społeczną historycznie odchodzącą, gdy robotnicy awansowali na pozycje wschodzące. Godna uwagi jest także zapowiedź Marksa, że po upadku feudalizmu i stosownej zamianie ówczesnych sojuszników – wielkich posiadaczy ziemskich na burżuazję duchowieństwo przejdzie na pozycje kapitalistyczne i włączy się w kształtowanie ideowego oblicza ruchu robotniczego nowoczesnego społeczeństwa burżuazyjnego.

W cieniu Bismarcka i Stalina

W nowych warunkach ustrojowych wkrótce po rewolucji 1917 roku bolszewicy uznali, że w kwestii stosunków cerkwi prawosławnej z państwem w istocie nic się nie zmieniło i jak poprzednio duchowni służyli caratowi, tak nadal mają służyć tym razem władzy proletariackiej. Odrzucenie tego stanowiska spowodowało wydanie przez bolszewików skrupulatnie wykonanego wyroku śmierci zarówno na religijną instytucję jak i prawosławne duchowieństwo.

Engels zajmował w tej kwestii dokładnie przeciwne stanowisko, gdy na przykład w 1874 roku w polemice z manifestem blankistów, uchodźców Komuny Paryskiej, którzy w swoim programie zapisali, że w przyszłej wspólnocie „nie ma miejsca dla klechy; wszelka manifestacja religii, wszelka religijna organizacja muszą być zakazane”, wyśmiał żądanie „przeobrażenia ludzi w ateistów” w trybie administracyjnym i równocześnie ostrzegł, że „prześladowania są najlepszym sposobem aktywizacji niepopularnych przekonani²⁸”. W sprawie zakazu religii Engels wypowiedział się po wtórnie w 1877 roku w obszernej i radykalnej krytyce poglądów adepta i zarazem reformatora socjalizmu Eugeniusza Dühringa przy okazji omawiania konstytucji jego socjalistycznego państwa przyszłości, w którym jako „wolnym społeczeństwie nie może istnieć żaden kult²⁹”. Tym postulatem wprowadzenia zakazu religii Dühring przekroczył zdaniem Engelsa wszelką miarę, gdyż „przebismarczył Bismarcka”, który w maju 1873 zadekretował ustawy „nie tylko przeciw katolicyzmowi, ale przeciwko wszelkiej religii w ogóle³⁰” wprowadzając w walce z katolicką opozycją surowy nadzór państwowy nad działalnością Kościoła katolickiego. Zgodnie z przewidywaniami *Kulturkampf* i związane z nim prześladowania katolików doprowadziły do wytworzenia wokół nich aury męczenników, co po licznych protestach doprowadziło w ciągu kilkunastu lat do zreformowania i zniesienia przez Bismarcka antykatolickich ustaw.

Paradoksalny charakter zarysowanej sytuacji polegał na tym, że klasycy jako zwolennicy zniesienia czy lepiej „obumierania religii” zmuszeni byli do zwalczania koncepcji likwidacji religii środkami polityczno-administracyjnymi zarówno w poglądach swoich ideowych pobratymców w ruchu rewolucyjnym czy wśród socjalistycznych ideologów, jak i wobec polityki antyrobotniczej pruskiego rządu. Antyreligijni likwidatorzy w istocie zakładali swoiste oddzielenie Kościoła hierarchicznego

od podporządkowanych im wiernych i traktowanie go jako organizacji narzucającej masom z zewnątrz religię we własnym interesie, co paradoksalnie stawało się zbieżne z fałszywie przypisywaną Marksowi formułą, że „religia jest *opium* dla ludu”. Tym samym w polityce i propagandzie przypisywano stanowi kapłańskiemu manipulowanie zniewolonymi masami odmawiając im autentycznej religijności, co oznaczało zerwanie przez bolszewików z pojmowaniem religii na gruncie materializmu historycznego jako żywiołowo kształtującej się formy świadomości społecznej, czyli właśnie, że „religia jest *opium* ludu”.

Opisane kombinacje translatorskie nie mogły tu być zastosowane, ponieważ w każdym z przywołanych przypadków w naturalny sposób posługiwano się językiem oryginału, podobnie jak i Lenin, który nie miał wątpliwości, że „religia – to opium ludu”, co zręcznie rozwinął następującymi słowami: „religia – to rodzaj duchowej gorzałki, w której niewolnicy kapitału tropią swe ludzkie oblicze, swoje roszczenia do choćby trochę godnego ludzkiego życia³¹”. Ten metaforyczny komentarz wymaga przypomnienia, że wedle klasyków „niewolnikami kapitału” są nie tylko wyzyskiwane masy ludowe, ale także ich wyzyskiwacze jako posiadacze kapitału, chociaż ubolewanie nad ich ciężkim losem nie jest zadaniem przywódców ruchu robotniczego.

Rewolucyjne wydarzenia 1905 roku w Rosji zakończyło wydanie 30 października przez Mikołaja II „Manifestu konstytucyjnego”, w którym obiecał poszanowanie podstawowych wolności obywateli, powołanie parlamentu i rządu. Na tej fali w grudniu Lenin zażądał w imieniu rosyjskiej socjaldemokracji całkowitego rozdziału Kościoła od państwa jako nieodzownej części składowej „wolności politycznej”. Chodziło o wprowadzenie pakietu ustaw opartych na zasadzie traktowania religii jako sprawy prywatnej w stosunku do państwa, aby „położyć kres haniebnej i przeklętej przeszłości, kiedy Kościół pozostawał w poddańczej zależności od państwa, obywatele rosyjscy zaś pozostawali w poddańczej zależności od Kościoła państwowego, kiedy istniały i stosowane były średniowieczne, inkwizycyjne prawa (do dziś zachowane w naszych kodeksach i ustawach karnych), które przesładowały za wiarę lub też niewiarę, gwałciły sumienie człowieka, kojarzyły państwowe posiadki i państwowe dochody z rozdawaniem tej czy innej państwowo-kościelnej gorzałki³²”.

Przeprowadzony przegląd stanowisk ukazuje rażąca sprzeczność między poglądami Marksa, Engelsa i Lenina na religię a realną polityką wyznaniową bolszewików i partii socjalistycznych w państwach Bloku wschodniego, który ukształtował się w pojałtańskich realiach w Europie. Stosowana w różnej skali partyjno-państwowa polityka mniej lub bardziej przymusowej ateizacji społeczeństwa i zwalczania Kościoła hierarchicznego miała za duchowego patrona raczej Bismarcka niż klasyków marksizmu-leninizmu.

Z drugiej strony nie sposób nie zauważyć na przykład w Polsce silnej skłonności do odgrywania przez Kościół hierarchiczny, znany z dominującej tendencji paternalistycznej, roli siły politycznej raz jako sojusz-

²⁸ F. Engels, *Literatura emigracyjna. II. Program blankistowskich uchodźców Komuny*, MED, t. 18, Warszawa 1969, s. 589-590.

²⁹ F. Engels, *Anty-Dühring*, przeł. P. Hoffman, MED, t. 20, Warszawa 1972, s. 352.

³⁰ Ibidem, s. 354.

³¹ W. Lenin, *Socjalizm a religia, Dzieła Wszystkie*, t. 12, Warszawa 1985, s. 131.

³² Ibidem, s. 131-132.

nika władzy państwowej, innym razem jako katolickiej opozycji politycznej, a najlepiej w kombinacji obydwu tych sytuacji jednocześnie. Partyjni przywódcy z kolei starali się odwoływać do mas wiernych ponad głowami kapłanów, co powiodło się jedynie w 1965 roku w sprawie *Listu biskupów polskich do niemieckich* i rok później przy okazji obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego. W efekcie realizacja przez hierarchię własnej strategii politycznej w naturalny sposób sprzyjała sytuowaniu władz partyjno-państwowych wobec religii raczej na pozycjach znanego z ustaw przeciwko socjalistom Bismarcka niż Marksa.

W pierwszych latach powojennych władze rządzące pod egidą PPR zabiegały o przychylność Kościoła rzymskokatolickiego z nieudolnie skrywaną intencją jego podporządkowania polityce partyjno-państwowej. Było oczywiste, że na przykład kapłani będący kapelanami Armii Krajowej, a po jej rozwiązaniu także pozostających w lasach partyzantów obok duszpasterskich funkcji wypełniali także zadania logistyczne związane z przechowywaniem rannych, broni, żywności i pieniędzy oraz zapewniali łączność z ośrodkami koordynacji w kraju i na Zachodzie. Władze żywiły nadzieję, że z czasem Kościół podejmie współpracę z administracją państwową, a gdy się one rozwiały, doszło do kontrataku i otwartej walki z hierarchią, która zresztą nie skrywała wspólnoty interesów z zachodnim światem i zabiegała o wpływy polityczne, pieniądze i ziemię.

Trzeba przyznać, że hierarchia przyjęła to wyzwanie i już 18 lutego 1946 roku w Wielkopostnym Liście pasterskim Episkopatu Polski *O panowaniu ducha Bożego w Polsce* biskupi, mając zapewne w pamięci *encyklikę Divini Redemptoris. O bezbożnym komunizmie* z 19 marca 1937 roku autorstwa Piusa XI, ogłosili, że „Polska nie może być bezbożna. Polska nie może się wyprzeć swej przynależności do świata chrześcijańskiego. Polska nie może zdradzać chrześcijańskiego ducha swych dziejów. Polska nie może być komunistyczna. Polska musi pozostać katolicka”.³³ Za komentarz niech posłuży opinia występującego przez lata przed mikrofonem Radia Wolna Europa jako Michał Suszycki, dziennikarza Marka Łatyńskiego, że ostrzeżenie przez biskupów polskiego społeczeństwa przed komunizmem było co najmniej przedwczesne, ponieważ „o komunizmie wcale się wtedy nie mówiło i nikt ustroju komunistycznego społeczeństwu nie obiecywał”.³⁴ Łatyński jednak nie zaznaczył, że zarówno w tym dokumencie jak i wielu innych Kościół, świadomie nawiązując do tradycji II Rzeczypospolitej stanowczo aspirował do przywrócenia państwa wyznaniowego.

W rezultacie biskupi przyjęli hasło „religia to opium dla ludu” jako logo ateistycznej polityki wyznaniowej prowadzonej przez władze PRL niesłusznie przypisując jej Marksowski rodowód, aby zaatakować propagandowo równocześnie Marksa, socjalizm i świeckie państwo oraz stanąć w obronie obrażanych i oburzonych wiernych. W trakcie licznych wystąpień i spotkań w salach parafialnych i kościołach oraz w mediach i publikacjach nie tylko katolickich prowadzono przez lata udaną kampanię propagandową niesprawiedliwie

wytykając Markswi w tej kwestii fałsz i obłudę. Jak to bywa w polityce, nie ma w tych działaniach niczego niestosownego, a nieobyczajność zaczyna się dopiero wówczas, gdyby się okazało, że wielu animatorów takich akcji znało doskonale rzeczywiste stanowisko Marksa w kwestii religii. W każdym razie manipulacje z tłumaczeniem Marksowskiej frazy opiumologicznej należy odczytywać w kontekście polskiej specyfiki życia religijnego, ponieważ na przykład w NRD nie tylko ze względu na protestantyzm, ale i z oczywistych względów językowych dwoista interpretacja formuły klasyka była po prostu niemożliwa.

Opium wiecznie żywe

Jak widać, kwestia traktowania przez Marksa „religii jako opium ludu” ukazała, jak niejednokrotnie bywa złożona i wręcz zagmatwana historia nie tylko pojęć, ale całych wyrażen czy zwrotów językowych. Przedstawiona sytuacja jest szczególnie charakterystyczna, ponieważ użycie przez Marksa dość przypadkowej frazy dotyczącej „krytyki” uprawianej w jego otoczeniu „krytyki religii” w kontekście postulatu jej odrzucenia, stało się fałszywym argumentem na rzecz przypisania mu programu prowadzenia krytycznej kampanii antyreligijnej w masowej skali. Zatem przedstawienie stosunku Marksa do religii oraz dyskusję wokół kwestii pojmowania religii w konwencji „opiumologicznej” można w tym punkcie zamknąć, ponieważ w tej materii poza opisanymi wątkami nie wydarzyło się nic istotnego w biografii intelektualnej Marksa.

Na zakończenie jednak trudno oprzeć się refleksji, że z metaforą „religia jest opium ludu”, która jak każda metafora może służyć do przeróżnych, także sprzecznych ze sobą celów, w tym przypadku los obszedł się wyjątkowo złośliwie. W związku z tym warto zapamiętać, że w ujęciu Novalisa, ojca chrzestnego „opiumologicznej” metaforyki, łączenie opium z religią stało się narzędziem krytyki pseudoreligijnych praktyk wiernych w imię obrony „prawdziwej i autentycznej religii” przed jej banalizacją i wulgaryzacją poprzez staczenie się religijności do poziomu narkotycznego nałogu codzienności. Nie była to zatem żadna krytyka religii, lecz jej apologia.

Używanie „opium” jako pojęcia kluczowego służącego do opisu zjawisk społecznych nie odeszło wraz z XIX wiekiem do lamusa historii, ale znalazło także pewne zastosowanie we współczesności, czego dobrym przykładem może być Raymond Aron ze swoim słynnym z 1955 roku *L'opium des intellectuels*,³⁵ a całkiem niedawno na polskim gruncie publikacja Przemysława Wielgosza *Opium globalizacji*.³⁶ W każdym ze wskazanych przypadków użycie „opium” do opisu określonych społecznych zachowań ludzi akcentuje ich swego rodzaju nałogowy charakter, będący w pierwszej kolejności wyrazem dojmującego uzależnienia człowieka od takich zjawisk społecznych, jak na przykład religia czy ideologia.

MAREK ZAGAJEWSKI

³³ *Listy pasterskie Episkopatu Polski 1945-1974*, Paris 1975, s. 32.

³⁴ M. Łatyński, *Nie paść na kolana. Szkice o opozycji lat czterdziestych*, London 1985, 377.

³⁵ Por. R. Aron, *Opium intelektualistów*, przeł. Cz. Miłosz, Warszawa 2000.

³⁶ Por. P. Wielgosz, *Opium globalizacji*, Warszawa 2004.

EDWARD KAROLCZUK

FILOZOFIA WOBEC PROBLEMÓW EKONOMICZNYCH

Marks w *Tezach o Feuerbachu* pisał o tym, że dawny materializm swój przedmiot, rzeczywistość, traktował „jedynie w formie *obiektu* czy też *oglądu*”, że „nie rozumie on znaczenia działalności »rewolucyjnej«, »praktyczno-krytycznej«”. W tezie 9. z kolei pisał, że „Szczytem, do którego dochodzi materializm *ogładowy*, tzn. materializm pojmujący zmysłowość nie jako działalność praktyczną, jest ogląd poszczególnych jednostek w »społeczeństwie obywatelskim«”. Zaś w najślawniejszej tezie 11. pisał, że dotychczasowi „filozofowie rozmaicie tylko *interpretowali* świat; idzie jednak o to, aby go *zmienić*”. Możemy się domyślać, że Marksowi chodziło o dokonywanie zmian „na lepsze” z punktu widzenia proletariatu i pracującej większości społeczeństwa. Tymczasem wielu współczesnych filozofów poprzestaje na przyglądaniu się zmianom „na gorsze”, a w najlepszym przypadku wygłasza deklaracje, że na ekonomii się „nie zna”.

Znamienne jest milczenie wielu filozofów w kwestii światowego kryzysu finansowego i długu publicznego. Pojawił się ostatnio w tej sprawie manifest czterech francuskich oburzonych ekonomistów¹ (nie zawodowych filozofów), co nie zmienia faktu, że większość polskich ekonomistów wyznaje lub przyzwala na neoliberalne kłamstwa w tej sprawie.

Potrzeba krachu finansowego

Kiedy czołowi ekonomiści i rządy wielu krajów pocą się nad tym, aby wyprowadzić gospodarkę światową z kryzysu, ukazała się książka Jana Toporowskiego, wykładowcy i dziekana Wydziału Ekonomii Szkoły Studiów Orientalnych i Afrykańskich Uniwersytetu Londyńskiego, o potrzebie światowego krachu finansowego. Jego zdaniem przyczyny kryzysu mają strukturalny charakter i tkwią w wieloletniej inflacji finansów. Nadmierne zadłużenie jest jedną z głównych przyczyn tego, że kryzys finansowy powstały w systemie bankowym przeniosł się na gospodarkę realną. Wyjścia z tego kryzysu nie można powierzać bankierom, gdyż oni troszczą się wyłącznie o interesy swoje i banków. Dlatego postulowany przez Toporowskiego krach finansowy wydaje mu się mniejszym złem niż długotrwała deflacja długów, i być może jedynym sposobem ocalenia kapitalizmu; wymaga to jednak filozoficzno-metodologicznej odwagi.

Kryzysów takich nie rozwiąże się więc poprzez dokapitalizowanie banków, o co głównie zabiegają bankierzy, podnoszenie podatków i okrajanie wydatków sfery budżetowej. Wielu zbawców gospodarki stroi się w pióra nauki, socjologii i filozofii. Tymczasem poziom współcze-

snej refleksji filozoficznej nie jest zbyt wysoki, radykalny i konsekwentny. „Współczesna ekonomia finansowa jest, podobnie jak niegdyś alchemia, proto-nauką dokonującą kalkulacji. Aspiruje do statusu nauki z prawdziwego zdarzenia, ale go nie osiąga, ponieważ kieruje nią poszukiwanie własnego kamienia filozoficznego, a uprawiający ją teoretycy tracą czas na rozpracowywanie tematów zastępczych. Kamieniem filozoficznym finansów byłaby metoda umożliwiająca prognozowanie kursów akcji albo, co na jedno wychodzi, spekulację bez ryzyka”². Ekonomiści zajmujący się teorią finansów proponują w efekcie sprzeczne rozwiązania, które wcale nie przyczyniają się do ich większej stabilizacji. Przedfiniowanie stosowanych terminów pozwoliło im jedynie „przekonać samych siebie, że udaje im się obliczyć coś, czego obliczyć się nie da”³.

Innowacje i finansowe instrumenty pochodne

Jan Toporowski wskazuje na historyczny rozwój instrumentów finansowych. Już w starożytnym Rzymie wymyślono zastaw hipoteczny, co doprowadziło do powstania rynku ziemi i kupno jej stało się od tej pory możliwe bez wcześniejszego zgromadzenia oszczędności. W XVII wieku powstała renta, której nabywca otrzymywał dochód do końca życia określonej osoby. W XVIII wieku kredytem zaczęto finansować zakupy akcji. Od połowy XIX wieku szeroko zaczęto stosować akcje i obligacje do rozbudowy infrastruktury kapitalizmu. Z czasem akcje i obligacje stały się tylko podklasą majątku, tj. aktywów finansowych. Powstały również papiery wartościowe o stałym oprocentowaniu, akcje uprzywilejowane itd.

Doprowadzono z jednej strony do podkopania standardu złota, ponieważ ekspansja kredytowa osiągnęła takie rozmiary, że ilość banknotów w obiegu nie pozwalała na ich wymianę na złoto z uwagi na ograniczone jego rezerwy, a z drugiej do destabilizacji rynku, gdyż każdy wzrost zapotrzebowania na dane aktywa pociągał za sobą wzrost ich ceny z nadzieją na spekulacyjny zysk. Nasilenie zakupów aktywów finansowych powodowało jeszcze większy wzrost ich cen.

Zwolennicy innowacji finansowych przedstawiali je jako użyteczne usługi, pozwalające firmom na możliwość zagwarantowania stałych cen różnych aktywów oraz surowców dla przemysłu i rolnictwa. Wszelka destabilizacja finansów miała, ich zdaniem, wynikać z niewłaściwego „zarządzania” i złego korzystania z rad ekspertów rynkowych. Przeciwnicy pochodnych instrumentów finansowych widzieli w nich wyrafinowaną for-

¹ *Manifest oburzonych ekonomistów. Kryzys i dług w Europie: 20 fałszywych oczywistości, 22 sposoby na wyprowadzenie debaty z impasu*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2012, s. 80.

² Jan Toporowski, *Dlaczego gospodarka światowa potrzebuje krachu finansowego i inne krytyczne eseje o finansach i ekonomii finansowej*, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2012, s. 127.

³ Tamże, s. 133.

mę hazardu, która może zrujnować zdrowe finanse osób i firm, i nawoływali do ich ścisłej kontroli. Rewolucjonści zaś widzieli w nich nową formę wyzysku najemnej siły roboczej i rosnący wyzysk kapitału przemysłowego przez kapitał bankowy.

W ostateczności drogę innowacjom finansowym w XX wieku utorowały nadwyżki eurodolarowe⁴ w bankach Londynu i Singapuru, które podkopały stabilność rynków aktywów i walut oraz zrodziły różnorodność dodatkowych instrumentów finansowych – od konsorcjów kredytowych po obligacje i akcje eurowalutowe. Neoliberalowie z Miltonem Friedmanem na czele domagali się jednak liberalizacji finansowej i swobody obrotu nowymi instrumentami argumentując, że niestabilność rynku aktywów zostanie przewyższona w wyniku działania „niewidzialnej ręki rynku”, że instrumenty pochodne są osłoną przed niestabilnością.

W latach 80. i 90. XX wieku powstały innowacje finansowe powiązane z wartościami portfeli akcji czy polegające na konwersji jednego instrumentu dłużnego do postaci CDO (*collateralised debt obligations*)⁵ i CDS (*credit default swaps*)⁶, w procesie zwanym sekurytyzacją. Zdaniem Jana Toporowskiego innowacje te nie tyle eliminowały ryzyko, co przerzucały je z jednego miejsca rynku w drugie – „odpowiedzialność za straty jest przenoszona pomiędzy różnymi instrumentami finansowymi tak długo, aż znajdzie się w instrumencie, którego zasady działania nabywca nie rozumie”⁷. Banki i bankierzy w żadnym wypadku nie byli zainteresowani w wyjaśnieniu roli innowacji finansowych i rozwoju badań filozoficznych w tym kierunku.

⁴ Eurodolary – dolary amerykańskie znajdujące się poza Stanami Zjednoczonymi w formie depozytów bankowych lub pożyczek udzielonych innym państwom i niebędące pod kontrolą Rezerwy Federalnej USA.

⁵ Papiery wartościowe oparte na dłużu, przenosiły na kogoś innego ryzyko niespłaconych długów, na których były oparte. Zakładały, że można zarabiać pieniądze na różnego rodzaju długach i że wartość pierwotnych aktywów (np. domów), nie przestaną rosnąć w tempie szybszym niż stopa wzrostu gospodarki realnej. Składnikami były różnego rodzaju dłuży: najpierw pożyczki hipoteczne pierwszej kategorii (*prime*), później wykorzystywano także pożyczki studenckie, zadłużenie kart kredytowych, pożyczki na zakup drogiej towarów konsumpcyjnych (np. samochody). „Produkty oparte na długach cieszyły się tak wielkim zainteresowaniem, że dla ich »kreatorów i dystrybutorów«, nastął złoty okres, im zaś bardziej zadłużenie rosnęło, tym im się lepiej powodziło. By dostarczyć jak najwięcej długów służących jako wsparcie dla CDO, banki, ale także świeżo utworzone wyspecjalizowane towarzystwa kredytowe zaczęły coraz niżej schodzić w drabinie społecznej pożyczkobiorców. I zamiast udzielać wyłącznie pożyczek o niskim ryzyku wypłacalnym pożyczkobiorcom (pożyczek pierwszej kategorii, czyli *prime*), zapuściły się na terytorium *subprime*, terytorium biednych lub zagrożonych biedą, którzy tak jak inni marzyli o »amerykańskim śnie«. George Bush zachęcił ludzi do włączenia się w ów sen, wierzyciele zaś myśleli, że w razie braku spłaty będą mogli zająć zastawiony dom wyrzucić jego mieszkańców i sprzedać z zyskiem. Taka była teoria. Praktyka okazała się nieco inna”. Susan George, *Czyj kryzys, czyja odpowiedź*, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2011, s. 67.

⁶ Wystawca CDS zobowiązuje się, w zamian za wynagrodzenie (przeważnie kwartalne) do ewentualnej spłaty zadłużenia należnego nabywcy CDS ze strony innego (trzeciego) podmiotu, gdyby ten nie był w stanie spłacić swojego zadłużenia. CDS są instrumentami pochodnymi służącymi przenoszeniu ryzyka kredytowego. CDS są formą ubezpieczenia kredytów i przeniesienia ryzyka kredytowego na wystawcę CDS. „CDS okazały się tak popularne, że ich wartość »nominalna« sięgnęła blisko 60 bln dol., co przewyższa PKB całego świata. [...] szaleństwo na punkcie CDS przyczyniło się znacząco do ogólnego krachu, ponieważ każdy model oparty na ryzyku, którego kosztów nie trzeba ponosić samemu, jest katastrofalny dla systemu finansowego”. Susan George, *Czyj kryzys, czyja odpowiedź*, jw., s. 63.

⁷ Jan Toporowski, *Dlaczego gospodarka światowa potrzebuje krachu* ..., jw., s. 68.

Rzeczywiste zobowiązania pozostają nieznanne, czemu sprzyja stosowana księgowość: „*Marking to market*, czyli księgowanie zgodnie z ich wartością rynkową sprawia, że zbiorowa ignorancja zagnieżdża się w bilansach i spoczywa tam do chwili, aż wiatr historii odłoni prawdziwą wartość wszystkich zobowiązań”⁸. Poznawaniu prawdy nie sprzyjają bowiem interesy finansjery, która czerpie zyski z niestabilności finansowej systemu i otrzymuje prowizje od sprzedaży instrumentów pochodnych dla klientów.

Pojęcie innowacji kojarzy się zazwyczaj z nowościami, podnoszeniem jakości, obniżaniem kosztów i pozytywnymi reformami. Ale Toporowski uważa, że nie odnosi się to do innowacji finansowych. Nie mają one żadnej (albo znikomą) wartości użytkowej, są często reakcją na konkretne przepisy finansowe lub podatkowe. Prowadzą jedynie do powstania nowych form pieniądza niemającego pokrycia w realnej gospodarce. Jego zdaniem „innowacje finansowe rodzą się w tych społeczeństwach, które mają pieniądze i bogactwo, tyle że nierówno podzielone – równa dystrybucja bogactwa jest jednym z najważniejszych czynników hamujących innowacyjność finansową, ponieważ w znacznym stopniu eliminuje pragnienia akumulowania coraz to większego bogactwa, będącego rezultatem zawistnych porównań”⁹.

Współcześni filozofowie w większości odeszli od analizy klasowej, a to sprawiło, że podziały i sprzeczności klasowe rozwijają się i pogłębiają w sposób żywiołowy. W Polsce powszechny jest pogląd wiążący analizę klasową jedynie z marksizmem, a nie z humanizmem. Neoliberalowie w swej obronie interesów wielkiego kapitału i finansjery pozostają aspołeczni i afilozoficzni, za danymi statystycznymi nie chcą widzieć niewygodnych im koncepcji społecznych i interesów. Mechanizm funkcjonowania współczesnych rynków finansowych jest inny niż był na rynkach towarowych w warunkach kapitalizmu wolnokonkurencyjnego, kiedy to wraz ze wzrostem cen producenci zwiększają dostawy, a nabywcy zmniejszają popyt. Gdy rosną ceny aktywów na rynkach finansowych, to często obserwujemy nie spadek, lecz wzrost popytu na nie. Wzrost cen prowadzi do wzrostu zwrotu zainwestowanych pieniędzy dla posiadaczy papierów wartościowych, a to przyciąga nowych klientów i pogłębia dodatkowy wzrost cen. Owczy pęd za drożącymi papierami wartościowymi i oczekiwanymi wielkimi zyskami powoduje powstawanie baniek spekulacyjnych, które w końcu muszą pękać ze szkodą dla większości klientów i pogłębiać ogólną nierównowagę.

Sekurytyzacja

Sekurytyzacja widzi się jako aklasową, czystą operację finansową. *Sekurytyzacja* zaczęła być stosowana 1970 roku w USA. W Wielkiej Brytanii przeprowadzono sekurytyzację dopiero w 1987 roku w odniesieniu do kredytów hipotecznych. W innych krajach europejskich zaczęto ją stosować dopiero w latach 90. XX wieku. *Sekurytyzacja* polega na emisji i zbyciu krótkoterminowych dłużnych papierów wartościowych pod zastaw należności, którymi są najczęściej wiarygodności z tytułu udzielonych klientom kredytów hipotecznych, pożyczek samochodowych, pożyczek na zakupy ratalne, należności z tytułu umów leasingowych, opłat czynszowych, rachunków telefonicz-

⁸ Tamże, s. 68.

⁹ Tamże, s. 61.

nych itp. *Sekurytyzacja* jest procesem zakotwiczenia nowych produktów finansowych w już istniejących aktywach. Podmioty decydują się na zamianę aktywów np. w postaci należności, na papiery wierzycielskie (akcje) lub dłużne (papiery komercyjne, obligacje), ale takie, które są łatwiej zbywalne niż np. klasyczne należności. *Sekurytyzacja* jest operacją finansową umożliwiającą przedsiębiorstwom, instytucjom finansowym i bankom pozyskanie kapitału poprzez sprzedaż części swojego długoterminowego portfela kredytowego, gdy zaczynają pojawiać się trudności z nabywaniem cudzych gwarancji w postaci CDS (*credit default swaps*).

Sekurytyzacja pozwoliła bankom usunąć produkty finansowe z własnych ksiąg rachunkowych i przenieść ryzyko na innych oraz uwolnić się od *Umowy bazylejskiej*, na mocy której banki miały obowiązek utrzymywać w postaci „kapitałów własnych przynajmniej 8 proc. aktywów ważonych ryzykiem”. Bankierzy mogli pożyczać więcej, bez konieczności wykazywania strat w przypadku niespłaconych pożyczek. Przerzucanie własnych pożyczek na inne spółki pomocnicze sprawiło, że bilanse banków stały się nieprzejrzyste i nikt nie zna rzeczywistej ilości pasywów finansowych, które posiadają poszczególne banki, gdyż ryzyko niespłaconych długów przerzucają również na swoje spółki-córki i nie wykazują ich w swoich bilansach. Poza tym CDS-y, czyli ubezpieczenia kredytów, wystawiają poszczególne banki na ryzyko każdego innego banku. Gmatwaniny powiązań i zależności bankowych nie jest dziś w stanie przeniknąć żadna filozofia. A do tego dochodzą jeszcze *swapy* i *lewarowanie*.

Swapy walutowe polegają na tym, że dwa banki centralne na pewien czas „zamieniają się” (ang. *swap*) pewną ilością walut. Mogą istnieć umowy *swapowe* oficjalne i nieoficjalne, między dwoma bankami lub regionalne. „Umowa *swapowa* wiąże się z tym, że gwarantem kursu waluty danego kraju staje się bank centralny innego, silniejszego państwa. Zdaje to egzamin, dopóki jest postrzegane jako korzystne dla obu stron. Umowy takie grożą jednak konfliktami w kwestii innych aspektów polityki banku centralnego. Widoczne ostatnio upolitycznienie finansów i pieniądza stwarza dla takich porozumień nowe wyzwania”¹⁰.

Sekurytyzacja pozwoliła na masowy rozwój kredytów *subprime*¹¹ i stworzenie bańki kredytów hipotecznych, która przerodziła się w kryzys bankowy i finansowy.

Lewarowanie (dźwignia)

Na rolę kredytów i długów w gospodarce liberalnej oraz stosowanych subiektywistycznych i woluntarystycznych metod w zarządzaniu przez finansjerę i kapitał przemysłowy pokazuje instrument finansowy zwany *dźwignią finansową* (*lewarowaniem*). Dzięki *lewarowa-*

niu swój dochód można maksymalizować poprzez uzupełnienie kapitału własnego kapitałem pożyczonym.

Jan Toporowski pisze, że w obecnych czasach szanse biznesowe i płynność firmy zależą od jej *dźwigni*. Doszło do tego, że firma posiadająca tylko kapitał własny w formie majątku produkcyjnego i produkcji w toku jest uznawana za stosunkowo mało płynną w porównaniu z taką samą firmą, ale posiadającą zadłużenie wielokrotnie przekraczające jej wartość, jeśli pojawią się niespodziewane wysokie rachunki do zapłacenia. Zadłużona firma może nawet wdawać się w spekulacyjny obrót przedsiębiorstwami na rynku kapitałowym, nie zmniejszając przy tym swojej płynności. Dlatego zdaniem Toporowskiego „*dźwignia* staje się coraz częściej stosowanym sposobem na przekształcenie przedsiębiorstwa średniej wielkości w wielką korporację bez zadawania sobie trudu rozbudowy mocy produkcyjnych czy możliwości handlowych. *Dźwignią* można operować bez negatywnych konsekwencji finansowych tak długo, jak długo firma posiada wystarczające ilości krótkoterminowych albo płynnych aktywów finansowych w stosunku do pożyczek zaciągniętych na dłuższy okres”¹². Dzięki długom może dokonać się swoista abrakadabra, mała firma może przerosnąć w wielką.

Toporowski uważa, że głównym źródłem niestabilności i kryzysu są procesy inflacji i deflacji rynków kredytowych. Przez inflację finansów rozumie on proces wzrostu wartości sektora finansowego gospodarki (finansów i bankowości) w stosunku do wartości pozostałej części gospodarki, gdy ekspansja kredytowa postępuje szybciej niż wzrost produkcji, albo gdy ceny finansowych papierów wartościowych rosną szybciej niż ceny realnej produkcji oraz płac. Pojęcia inflacji nie ogranicza on do tradycyjnie rozumianej, jako spadku wartości pieniądza. W procesie inflacji finansów przechodzi się od płatności przy wymianie z użyciem gotówki (banknotów i monet) do powszechnego posługiwania się kredytem jako środkiem płatniczym. Kredyt rozrasta się wówczas i uczestniczy w przyspieszonym obrocie na rynkach finansowych oraz winduje ceny aktywów finansowych. Inflacja finansów zaburza realną aktywność gospodarki i pogłębia jej destabilizację.

Między wskaźnikami finansowymi i rzeczywistymi muszą występować jednak określone powiązania, zwłaszcza w długim okresie, które co jakiś czas zmuszają do zmniejszenia rozbieżności między nimi. Zdaniem Hussona¹³ wszystko zależy od tego, co gracze giełdowi robią z aktywami finansowymi. Dopóki reinwestują je całkowicie, wszystko zdaje się świadczyć o *boomie* finansowym i gospodarczym, luka pomiędzy sferą finansową rośnie bez związku ze sferą realną. Ale kiedy wielu graczy giełdowych próbuje skorzystać z wirtualnego bogactwa i chce zamienić papiery wartościowe na realne towary i usługi, zaczynają się problemy. Wywindowany kurs akcji i obligacji nie może w bezpośredni sposób przełożyć się na ceny realnych towarów i usług. Działa wówczas prawo wartości oraz prawo podaży i popytu – musi nastąpić dewaloryzacja dochodów finansowych. Jeśli jednak dochodzi do takiej dewaloryzacji, odbija się to na wycenie majątku, a notowania papierów wartości-

¹⁰ Tamże, s. 185.

¹¹ Kredyty *subprime* – (*Subprime loan*) – są kredytami wysokiego ryzyka, których oprocentowanie jest na dużo wyższym poziomie niż stopa procentowa ustalona przy standardowym kredycie w danym segmencie. Kredyt *subprime* przeznaczony jest dla kredytobiorców, których rzetelność budzi wątpliwości. Do grona produktów *subprime* zaliczyć można kredyty hipoteczne lub specjalne karty kredytowe. Rozpowszechnione i stworzone są w szczególności w USA. Kredyty typu *subprime* w dużej mierze przyczyniły się do wybuchu ogólnoswiatowego kryzysu finansowego w roku 2007, gdyż największe banki w Stanach Zjednoczonych Ameryki przyznawały te pożyczki praktycznie każdemu, bez względu na jakiegokolwiek kryterium.

¹² Jan Toporowski, *Dlaczego gospodarka światowa potrzebuje krachu finansowego...*, jw., s. 77.

¹³ Michel Husson, *Kapitalizm bez znieczulenia*, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2011.

wych spadają, aby dostosować się do rzeczywistego dochodu, który przynoszą.

Proceder bezkarnego zamieniania dochodów finansowych na realne towary może trwać dopóki wzrost kursu papierów wartościowych „rekompensowany” jest przez względny spadek płac pracowników najemnych, i dopóki gracze giełdowi nie chcą w skali masowej skorzystać ze swych wirtualnych zysków. Rosnącego wyzysku najemnej siły roboczej jako warunku zamiany dochodów ze spekulacji papierami wartościowymi na realne towary, filozofowie wołają jednak nie dostrzegać i w ogóle rozmywać i zaciemniać kategorię „wyzysku”.

Inflacja rynków finansowych ułatwiła rozwój pasożyta na zdrowym ciele gospodarki. Inflacja rynków kapitałowych nie sprzyja nasileniu inwestycji w kapitał trwałe, lecz „skłania przedsiębiorstwa do odwracania się od działalności produkcyjnej w stronę operacji czysto finansowych i wchodzenia samemu w rolę rentiera [...] działalność produkcyjna nowoczesnej korporacji staje się zatem uboczna w stosunku do restrukturyzacji bilansu przedsiębiorstwa i zarabianiu na kupnie i sprzedaży spółki zależnej”¹⁴. Rynki finansowe miały zastąpić kredyt bankowy w finansowaniu inwestycji. Stało się jednak inaczej – to przedsiębiorstwa finansują udziałowców i postrzegane są jako podmioty służące interesom posiadaczy akcji i obligacji, zarządom i menadżerom. Wymogi natychmiastowej rentowności hamują inwestycje, wywierają stałą presję na obniżenie płac i siły nabywczej. Hamowanie inwestycji i konsumpcji prowadzi do strukturalnego bezrobocia i zadłużenia gospodarstw domowych.

Rynek kapitałowy ze służebnego wobec produkcji realnej, umożliwiającego płynność korporacjom, zaczął wchłaniać płynność. „W latach 90. XX w. wiele korporacji amerykańskich używało swoich rezerw do kupowania własnych akcji w celu utrzymania ich kursu. U schyłku dekady, gdy kursy na giełdach przestawały rosnać, wiele korporacji nawet pożyczowało pieniądze na zakup własnych akcji. [Hyman] Minsky nazwałby to finansowaniem typu piramidy finansowej, ponieważ zaciągane kredyty nie służą generowaniu dochodów, które pozwoliłyby je spłacić. Tym samym inflacja rynków kapitałowych rozrywa wszelki związek między kursami akcji a zakładanymi czy spodziewanymi zyskami przynoszonymi przez aktywa kapitałowe zainwestowane w produkcję”¹⁵.

Toporowski odnotowuje, że inflacja rynków kapitałowych skłoniła rządy i korporacje do emisji papierów długoterminowych i akcji z myślą o zastąpieniu nimi długów. Było to niekorzystne dla banków, które zostały przez to zmuszone do rozwijania kredytów dla kredytobiorców marginalnych, obarczonych ryzykiem, dla państw rozwijających się i pod zastaw nowopowstałych nieruchomości. Banki musiały dodatkowo zapewniać sobie płynność poprzez *sekurytyzację* i *lewarowanie* oraz inwestowanie składek emerytalnych, na co pozwalało tworzenie od lat 60. XX w. kapitałowych systemów emerytalnych.

Aby ukrócić spekulacyjne machinacje wielu przedstawicieli lewicy popiera *podatek Tobina*, czyli postulat opodatkowania obrotu kapitałowego. James Tobin, amerykański ekonomista, laureat nagrody Banku Szwecji im. Alfreda Nobla z zakresu ekonomii z 1981 r.,

w 1972 r. zaproponował wprowadzenie specjalnego podatku od wszystkich spekulacyjnych operacji finansowych na giełdzie, którego wysokość nie została jednoznacznie określona. Spekulanci bowiem aby osiągnąć jak największe zyski sprzedają i odkupują waluty wielokrotnie w ciągu jednego dnia. Jeśli po wprowadzeniu *podatku Tobina* za każdą tego typu operację spekulant musiałby zapłacić podatek proporcjonalny do zamierzonego zysku, działania te miałyby być mniej opłacalne. Gdyby wówczas taki podatek wprowadzono, przyniosłby on 100 miliardów dochodów rocznie. Wprowadzenie tego podatku, zdaniem jego zwolenników, mogłoby położyć kres napływowi pieniędzy z Europy, Japonii i krajów Południa na pokrywanie wielomiliardowego deficytu i zbrojeń USA, a zdaniem innych uratować walutę euro.

W maju 2012 r. Parlament Europejski uchwalił, że od 2014 *podatek Tobina* wejdzie w życie na terenie Unii Europejskiej. Obliczono, że gdyby przyjęły go wszystkie państwa Unii Europejskiej, roczne wpływy z podatku wyniosłyby 55 miliardów euro. Jednak gwałtownie sprzeciwia się temu rząd Wielkiej Brytanii, uważając, że miałby on sens, gdyby miał powszechny i globalny charakter, a bez tego może doprowadzić do ucieczki kapitałów do innych krajów i strat finansowych. Sprzeciwia się temu podatkowi również Szwecja, która swego czasu wprowadziła go drogą eksperymentu, ale szybko się z niego wycofała.

Z *podatkiem Tobina* jest jeden wielki problem, ponieważ obroty kapitałowe znacznie przewyższają realne obroty towarowe, a między bankami i giełdami krąży głównie kapitał fikcyjny, kapitał spekulacyjny. Wielkość tego obrotu, będąca przedmiotem opodatkowania, nie ma więc żadnego realnego pokrycia w towarach; ma on natomiast realny wpływ na dochody bankierów i maklerów giełdowych. Takie naliczenia podatkowe byłyby znacznie większe niż wynosi obecnie pomoc dla krajów rozwijających się. Jeśli uwzględni się jeszcze to, że od wielu lat wzrost kursu papierów wartościowych był wyższy niż tempo wzrostu realnej gospodarki, to *podatek Tobina* jest podatkiem od pewnej fikcji, ale może przybrać realny kształt i wymiar. Być może powstrzyma on nieco (choć pewności nie ma) nieograniczony wzrost kursów akcji i obroty kapitału fikcyjnego i spekulacyjnego. Gdyby jednak kraje rozwijające się zechciały przyznane im kwoty z *podatku Tobina* wymienić na realne towary, mogłoby to wywołać perturbacje gospodarcze w krajach wysoko rozwiniętych, gdzie rozliczenia podatkowe będą szczególnie wysokie lub wręcz zlikwidować dotychczasowe raje podatkowe. Dlatego pomoc z *podatku Tobina* przybierze najprawdopodobniej postać zapisów bankowych na płaszczyźnie innowacji finansowych i nie wywrze wpływu na realną gospodarkę krajów Południa.

Chęć opodatkowania obrotów kapitałowych, które w większości stanowią kapitał fikcyjny i spekulacyjny o wartości w stosunku do rzeczywistych towarów wielokrotnie zawyżonej, przypomina chęć opodatkowania Pana Boga, który jest nieograniczony w swym bogactwie, jak kapitał finansowy. Jeden i drugi są pewną umowną fikcją. Problemy zaczęłyby się wówczas, gdyby nieograniczone bogactwo Boga chciano opodatkować nawet minimalnie, kazać tę sumę zapłacić Kościołowi, i wymienić na realne towary. *Podatek Tobina* zawiera więc wewnętrzną sprzeczność pomiędzy fikcyjną warto-

¹⁴ Jan Toporowski, *Dlaczego gospodarka światowa potrzebuje krachu finansowego...*, jw., s. 102.

¹⁵ Tamże, s. 103.

ścią podstawy opodatkowania a realną wartością towarów, na które chciano by go wymienić, dlatego nie może być wprowadzony bez sprowadzenia obrotów kapitałowych do ich realnych potrzeb i wymiarów.

Dług publiczny

Dług publiczny stał się potężnym czynnikiem sprzyjającym rozwojowi innowacji finansowych i kolejnym problemem, o którym filozofowie wolą milczeć. Tymczasem dług publiczny i innowacje finansowe stały się czynnikami strukturalnymi, niezbędnymi dla funkcjonowania liberalnej gospodarki kapitalistycznej. Dlatego prawie wszystkie państwa przekraczają, przyjęte wcześniej jako nieprzekraczalne, proporcje pomiędzy długiem publicznym i PKB. Poziom długu publicznego Niemiec i Francji w 2011 r. wynosił ponad 82 proc. PKB. We Włoszech ponad 120 proc. W Belgii 97 proc. W Wielkiej Brytanii, pozostającej poza strefą euro, ponad 84 proc. W USA ponad 90 proc., podczas gdy w Japonii prawie 200 proc. PKB. A to oznacza, że od takich sum płaci się odsetki dla instytucji finansowych i bogatych osób prywatnych.

W Polsce państwowy dług publiczny w 2011 r. wyniósł ponad 813 mld zł, podczas gdy w 2000 roku jeszcze tylko 280 mld zł. W ciągu 11 lat dług publiczny wzrósł z prawie 38 proc. do ponad 55 proc. PKB. Koszty obsługi długu publicznego w Polsce w 2001 r. pochłonęły 12,1 proc., w 2005 r. 12 proc., a w 2009 r. 10, 8 proc. wydatków budżetu państwa. W 2009 r. obsługa długu publicznego wymagała ponad 32,2 mld zł. Według wyliczeń rządowych w roku 2011 koszty obsługi długu publicznego pochłoną 38 miliardów zł, zaś dochody budżetu państwa z podatku dochodowego od osób prawnych planowano na prawie 25 mld, a dochody z podatku dochodowego od osób fizycznych na prawie 39 mld. Oznacza to, że prawie całe wpływy z podatku dochodowego przechwytywane są przez nieliczną oligarchię.

Świadomość rosnącego długu publicznego i kosztów jego obsługi jest powszechna. Nie ma jednak siły społecznej, która byłaby w stanie te tendencje odwrócić, ani siły politycznej, która byłaby w stanie taki ruch protestu zorganizować. Filozofowie i ekonomiści, którzy teoretycznie przeniknęli te mechanizmy, pozostają jednak bezradni.

Alain Bihl wyjaśniając przyczyny powstania długu publicznego odrzucił argumentację neoliberalistów, że główną jego przyczyną są nadmierne wydatki państwa na sferę socjalną i ochronę pracy. Jego zdaniem „dług publiczny nie bierze się stąd, że państwo nie jest wystarczająco bogate, nie produkuje czy nie zdobywa wystarczającej ilości dóbr w stosunku do jego koniecznych bieżących wydatków, ale stąd, że, z woli albo raczej z braku woli politycznej państwo nie ściąga w formie podatków tej części bogactwa, która pozwoliłaby stawić czoła tym wydatkom [...], państwo jest zadłużone, ponieważ postanowiło ograniczyć swoje dochody dla celów politycznych. Dług publiczny jest tworem czysto politycznym”¹⁶. Ulgi podatkowe dla zamożnych warstw społeczeństwa umożliwiają gromadzenie oszczędności, które z kolei służą do sfinansowania długu publicznego, powodowanego przez ulgi podatkowe.

Stwierdzenia, że wszelki deficyt powoduje wzrost długu publicznego i że redukcja deficytu budżetowego prowadzi do jego zmniejszenia nie zawsze są prawdziwe. Neoliberalni ekonomiści i politycy próbują przekonać opinię publiczną, że za dług publiczny odpowiedzialni są emeryci, renciści, pracownicy budżetówki, studenci, nauczyciele i uczniowie, i ich kosztem realizuje programy „oszczędnościowe”. Jeśli redukcja deficytu budżetowego prowadzi do wyhamowywania działalności gospodarczej, doprowadzi to do zwiększenia długu publicznego. Teza o tym, że ulgi podatkowe przyczyniają się do wzrostu gospodarczego są trudne do weryfikacji.

Państwo pożyczka od wielkich banków, towarzystw ubezpieczeniowych, funduszy emerytalnych, funduszy inwestycyjnych, czyli instytucji skoncentrowanego kapitału finansowego, oraz zamożniejszych warstw społeczeństwa, które swoje nieskonsumowane dochody przekształcają w procentujący kapitał. Dług publiczny jest więc wynikiem nadmiernych dochodów części społeczeństwa, których nie potrafi ona inaczej skonsuować, jak pożyczając państwu na procent. Zamożna część społeczeństwa dzięki długowi publicznemu modyfikuje stosunki własności i uzyskuje dodatkowy sposób, żeby się jeszcze bardziej wzbogacić bez pracy i zwiększyć wyzysk najemnej siły roboczej. Państwo nie zaciągałoby długów, gdyby nie miało u kogo pożyczać. To oszczędności zamożnych warstw społeczeństwa i rosnący wyzysk pracy generują dług publiczny. Choć zakrawa to na paradoks, dług publiczny nie znika wraz ze wzrostem gospodarczym, co więcej – może wzrastać pomimo rozwoju gospodarczego kraju czy wzrostu społecznej wydajności pracy.

Zjawisko długu publicznego nie jest nowe. Istniało w wiekach wcześniejszych. Wielu władców uciekało się do fałszowania monet i inflacji, aby jemu zapobiec. Przyczyniało się w ten sposób do redystrybucji dochodów i pierwotnej akumulacji kapitału, co miało daleko idące konsekwencje dla ogółu ludzi pracy. Zdaniem Marksa zdawali sobie doskonale z tego sprawę także ówczesni mężowie stanu, uważali bowiem, że był to „najlepszy system, aby uczynić robotnika najemnego uległym, skromnym, pracowitym i... przeciętnym pracą”¹⁷. Niezależnie od tego, jaki był ustrój polityczny w danym państwie, Marks widział ogromną polityczną rolę długu publicznego i określał go jako „wyprzedaż państwa”, która „wyciska swe piętno na erze kapitalistycznej”. Ponieważ dług publiczny przekładany był przez rząd na całe społeczeństwo, z ironią pisał, że „jedyną częścią tak zwanego bogactwa narodowego, która istotnie u nowoczesnych narodów znajduje się w posiadania zbiorowym, jest ich dług państwowy”¹⁸.

Obraz rzeczywistej skali wyzysku społeczeństw stanie się nieco pełniejszy, gdy uświadomimy sobie, że w podobnej wysokości do długu publicznego zadłużone są również gospodarstwa domowe. Neoliberalistom nie mają zamiaru rezygnować z kury znoszącej złote jaja, jakim jest dług publiczny, a ponadto starają się straszyć społeczeństwo długiem publicznym, montując specjalny zegar (jak Leszek Balcerowicz), aby poddać społeczeństwa tak silnej presji, że będą musiały zaakceptować

¹⁶ Alain Bihl, *Nowomowa neoliberalna. Retoryka kapitalistycznego fe-tysyzmu*, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2008, s. 44-45.

¹⁷ K. Marks, *Kapitał. Krytyka ekonomii politycznej*, t. 1, [w:] Karol Marks, Fryderyk Engels, *Dzieła* t. 23, Książka i Wiedza, Warszawa 1968, s. 897.

¹⁸ Tamże, s. 895.

programy „oszczędnościowe” i pogrzebanie wszelkich śladów po „państwie opiekuńczym”. Dług publiczny stał się sposobem redystrybucji dochodu narodowego od klas niższych do wyższych i bardziej zamożnych, swego rodzaju rentą od zainwestowanych środków pieniężnych.

Kontrola banków i parabanków

Wiele dyskusji w ostatnich miesiącach wywołało pojawienie się afery Amber Gold, instytucji mającej się zajmować spekulacją złotem, określanej mianem parabanku. Podkreśla się, że parabanki różni od banków właściwych to, iż oferują produkty i usługi podobne do usług bankowych, ale że nie podlegają one prawu bankowemu i nadzorowi Komisji Nadzoru Finansowego. Podobieństwa są więc określone poprzez cele i funkcje działalności. Podstawowa zaś różnica między bankami a parabankami sprowadza się do tego, że władza publiczna pozbawiona jest kontroli nad nimi. Ale różnica ta okazuje się w rzeczywistości pozorna i nieistotna. Kwestią otwartą pozostaje natomiast pytanie czyje kapitały są ulokowane i „prane” w parabankach i komu odpowiada funkcjonowanie takich instytucji na rynkach?

Problem braku kontroli nad parabankami jest jednak tylko przysłowiowym czubkiem góry lodowej, jaką stanowi brak dostatecznej kontroli publicznej nad bankami jako takimi. Sprzyjała temu liberalizacja systemu bankowego od lat 80. XX wieku, w wyniku której zniesiono praktycznie różnice pomiędzy bankami komercyjnymi i inwestycyjnymi wprowadzone po wybuchu światowego kryzysu lat 1929-1933. Ponadto obecnie większość systemów bankowych w naszym regionie kontrolowana jest przez zagraniczne banki i instytucje finansowe, które obniżają ilość udzielanych pożyczek w krajach Europy Środkowo-Wschodniej, aby uzdrowić bilanse księgowo w krajach macierzystych. Z banków na terenach Polski wypływają miliardy złotych. Podobnie jest w innych krajach naszego regionu. Dlatego „kontrola publiczna nad systemem bankowym jest równie efektywna jak nad naszymi parabankami. To tym większy skandal, że te prywatne banki ratowane znad przepaści (i wciąż się ratuje) gigantycznymi środkami publicznymi. Tak więc można skupiać się na nowym celebrycie Marcinie P. – polskim Madoffie, ale o wiele poważniejsze afery raczej nie zagoszczą na pierwszych stronach gazet”¹⁹.

Końcowy wniosek, do jakiego dochodzi Jan Toporowski, jest ten, że: „W ramach istniejących instytucji ekonomiczno-finansowych nie ma żadnej alternatywy dla wymazującego długiego krachu. Uchylenie się od niego jedynie przedłuża deflację w gospodarce. Prawdziwą alternatywą jest system organizacji gospodarki, który unika niestabilności w przemyśle oraz systemie finansowym. Pora znów pomyśleć o socjalizmie”²⁰.

Z kolei Susan George zaproponowała całkowitą przebudowę istniejącej struktury organizacji finansowych i handlowych, wybieralność szefów przedsiębiorstw w taki sam sposób jak władz miejskich czy państwo-

wych, ograniczenie dochodów szefów firm finansowych, wprowadzenie międzynarodowego systemu podatkowego, likwidację systemu finansowego opartego na dłużach (CDS), odebranie ratingu instytucjom prywatnym i powierzenie go instytucjom państwowym, zakazanie bankom utrzymywania strat w tajemnicy i przenoszenia ich poza bilans. Po tym jak banki zostały dokapitalizowane z funduszy publicznych napisała, że „pierwszym krokiem powinna być nacjonalizacja banków lub raczej ich uspołecznienie, tak, by stały się instytucjami publicznymi, kierowanymi przez obywateli, i by system kredytowy zyskał rangę dobra wspólnego lub publicznego, obsługującego potrzeby społeczeństwa [...] banki, które pochłonęły ogromne pieniądze publiczne, powinny natychmiast przejść pod zarząd publicznej administracji”²¹.

Bezpośredni związek ekonomii (a zwłaszcza finansów) z polityką jest często trudny do wykazania, nie mówiąc już o związku ekonomii z filozofią, zwłaszcza że już na początku pojawia się z pozoru nieprzebrana przeszkoda w postaci tajemnicy handlowej i bankowej. W ostatnich latach udało się kapitałowi do tej gry wciągnąć masy pracujące mając je ochroną danych osobowych i tajemnicą płac i dochodów. Ograniczenia te można przełamywać poddając analizie stosunki klasowe i rolę poszczególnych klas, ale niechęć do takich analiz rodzimych filozofów jest bardzo wymowna. Większość ekonomistów i filozofów nie zdaje sobie sprawy lub nie chce zaakceptować swego rzeczywistego społeczno-politycznego uwikłania. Tzw. inteligencja nie chce zaakceptować tezy, że stanowi klasę sług wobec głównych klas społecznych związanych z określonymi typami własności środków produkcji i wymiany, nawet jeśli nie sprawuje urzędów w administracji państwowej. Dlatego zapewne Marks pisał, że „gdy powstaje do walki klasa, która koncentruje w sobie rewolucyjne interesy społeczeństwa, znajduje ona bezpośrednio w swym własnym położeniu treść i materiał dla swej rewolucyjnej działalności: łamie wrogów, podejmuje kroki dyktowane przez potrzeby walki; następstwa jej własnych czynów pchają ją dalej. Nie wdaje się ona w teoretyczne dociekania swych zadań”²².

Dlaczego urzędnicy, politycy i filozofowie milczą?

Rozważania Jana Kurowickiego dotyczące problemu relacji pomiędzy przełożonymi i podwładnymi oraz problemu ich fachowych kompetencji dają istotne wskazówki teoretyczno-metodologiczne do analizy roli akademickiej ekonomii politycznej i filozofii w odniesieniu do tych ważnych problemów społeczno-ekonomicznych.

Najciekawszy jest przypadek konia Kaliguli, którego ten zamierzał uczynić Pierwszym Konsulem Imperium. Kurowicki wyciąga z tego faktu kilka istotnych wniosków. Po pierwsze, na nic zdały się argumenty przeciwników tej nominacji, że koń jest zwierzęciem i nie ma rozumu politycznego czy administracyjnego, że nie ma odpowiednich manier, nie umie zachowywać się przy stole, że nie ma odpowiedniego stosunku do religii, tradycji czy prezencji zewnętrznej. Po drugie, koń miał jedną niepodważalną zaletę, był niezdolny do intrygantstwa, pozostawał lojalny i wierny, był mądry mądrością wszystkich doradców. Po trzecie, wielu urzędników podobnych

¹⁹ Dariusz Zalega, *Drzewo przystaniające las*, „Le Monde diplomatique. Edycja Polska” 2012, nr 9 (79), s. 3. Bernard Madoff, amerykański finansista, stworzył piramidę finansową, której klientami były banki, firmy i instytucje finansowe, oraz osoby prywatne posiadające specjalną rekomendację, a minimalna kwota inwestycji wynosiła 10 mln dolarów. Madoff doprowadził swoich klientów do straty kilkudziesięciu miliardów dolarów, za co został skazany w 2009 roku na 150 lat więzienia.

²⁰ Jan Toporowski, *Dlaczego gospodarka światowa potrzebuje krachu finansowego ...*, jw., s. 251.

²¹ Susan George, *Czyj kryzys, czyja odpowiedzialność*, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2011, s. 277.

²² Karol Marks, *Walki klasowe we Francji 1848-1850*, [w:] Karol Marks, Fryderyk Engels, *Dzieła t. 7*, Książka i Wiedza, Warszawa 1963, s. 21.

jest do konia z uwagi na ogrom dziedzin podlegających władzy administracji państwowej, posiada w niektórych podległych sobie dziedzinach kompetencje na miarę rozumu konia, chociaż nie je owsa, siana czy słomy. Po czwarte, „na pytanie bowiem: czy koń może zarządzać państwem, odpowiedź winna brzmieć: zależy, jakie panują stosunki społeczne, formy i wzorce władzy i jakie otacza go zaplecze”²³.

Zdaniem Jana Kurowickiego „Pozwała to zakwestionować oświeceniowe złudzenie, jakoby o efektywności władzy (państwa, partii, kościoła, banku, przedsiębiorstwa itp.) decydowały kompetencje, rozum i wola tych, co ją bezpośrednio z najwyższego szczebla sprawują. Więcej! Nawet najbardziej kompetentne i rozumne działania owych sprawujących władzę są zawsze (bezpośrednio lub pośrednio) determinowane przez konkretne układy sił w obrębie otaczającej społecznej struktury. Określa je ich mobilność oraz układy ścierających się w niej egoistycznych, jednostkowych i klasowych interesów”²⁴.

Wypływają z tego wnioski dla sprawujących władzę, dla podległych im urzędników, jak i służących radą uczonych doradców. Przywódca, który nie będzie zdawał sobie sprawy z uzależnienia od swego otoczenia i zaplecza, nawet jeśli będzie najbardziej kompetentny i wykształcony, zostanie obalony przez swoje otoczenie i przestanie pełnić przywódczą rolę. Podwładny zaś i doradca, który będzie manifestacyjnie okazywał swoją kompetencję i wyższość intelektualną w stosunku do przywódcy i otoczenia zostanie usunięty również ze swego stanowiska. Podwładny, aby zająć pozycję i utrzymać ją, musi zatem wykazać się sprytem i umieć wykorzystywać nadarzające się sprzyjające okoliczności dla realizacji swoich propozycji.

O pozycji osób przewodzących i podwładnych decyduje więc nie tylko wiedza, ale również wyobraźnia historyczna i socjologiczna, a przede wszystkim zdolność do reprodukcji stosunków w najbliższym otoczeniu, a w odniesieniu do rozważanych tu problemów kryzysu finansowego i długu publicznego – zapewnienie warunków do reprodukcji kapitalistycznych stosunków społeczno-ekonomicznych i politycznych.

Idealny podwładny, zdaniem Kurowickiego, nie jest wbrew powszechnym mniemaniom ten, kto posiada doskonałe kwalifikacje do zajmowania danego stanowiska, ale ten, kto „sprawuje je zgodnie z obowiązującymi normami i zasadami. Zadawała się swym miejscem w danej strukturze. Trwa na nim. Nie przesuwają się w hierarchii struktury ani w górę, ani na boczny tor, ale też stara się nie spaść w dół. Gdyby bowiem posiadał (i ujawniał) ambicje awansu, idealnym podwładnym już by nie był. Stwarzałby zagrożenie tym, co nim kierują lub dostarczał pretekstu do posądzenia, że działa nie z nakazu czystej sumienia, dla »sprawy«, a na pokaz, by być zauważonym i wyniesionym. Wystarczy tedy, aby dbał o to jeno, by nie być zdegradowanym albo przesuniętym na boczny tor. [...] Na przykład gdy zauważy, że »góra« ma kwalifikacje na poziomie konia, nie tylko nie wolno mu tego rozgłaszać na prawo i lewo, powołując się właśnie na swe kompetencje. Ale jeśli tylko może, tak musi wpływać na decyzje i działania tej »góry«, by były one mimo to właściwe, a nie odpowiednie tylko na miarę stajni. Inaczej zagrozi sobie i swojej pozycji. Jest

więc ogonem, który dla dobra całości struktury, czasami musi machać koniem”²⁵.

Idealny podwładny, zdaniem Kurowickiego, nie powinien wynosić się ze swoimi kwalifikacjami ponad równych sobie stanowiskiem, jak i niżej stojących. Powinien chcieć żyć i dawać żyć innym, jeżeli ktoś nie kwestionuje jego kompetencji i nie podważa jego statusu. Dlatego zawsze będzie po stronie silniejszych w danym układzie, nawet gdyby to pociągało za sobą konieczność podejmowania działań czy decyzji niekompetentnych, lub wymagało niedostrzegania ich. Sam zaś występować będzie przeciwko słabszej mniejszości, nawet jeśli po jej stronie będą racje merytoryczne i będzie z nią nieoficjalnie sympatyzował. Ponad te racje i prawdę przedłoży bowiem własną obecność w strukturze na danym stanowisku. Nie omieszką natychmiast przyłączyć się do mniejszości, gdy tej uda się zwyciężyć. Musi przy tym zawsze manifestować swoją partnerskość, otwartość, życzliwość i chęć służenia pomocą każdemu. „Konsekwencją tego wszystkiego jednak jest (bo być musi) coś paradoksalnego: obecność licznych, niekompetentnych działań lub decyzji idealnego podwładnego. I to mimo jego najdoskonalszych kwalifikacji! Co więcej: podjęte zostaną one przez niego z pełną świadomością. Te bowiem niekompetentne działania czy decyzje mają charakter nie podmiotowy, lecz strukturalny. Z jednej oto strony musi ów podwładny działać kompetentnie, bo [...] tego wymaga jego status; z drugiej musi o swych umiejętnościach zapominać, jeśli chce utrzymać się w strukturze. Sprzeczność między jednym i drugim sprawa wszakże, że tylko drobna część jego działań będzie na miarę jego możliwości. Reszta zaś to osłanianie końskich kwalifikacji szefa, przymykanie oczu na błędy równych sobie lub niżej postawionych”²⁶.

Dlaczego dzisiaj filozofowie, deklarując swój humanizm, milczą w tak doniosłych sprawach, jak problem długu publicznego czy szkodliwości innowacji finansowych?

Pierwsza odpowiedź może być taka, że nastąpiło „wyczerpanie się filozofii” i próbować wprowadzić nowy obszar refleksji nad problemami tradycyjnie przypisywanymi filozofii i nazwać to *ethosofią*²⁷.

Druga odpowiedź jest mniej przyjemna: być może, filozofowie akademicy działają tak jak urzędnicy, ze wszystkimi tego konsekwencjami opisanymi przez profesora Jana Kurowickiego. Nauczyciele korzystają z ochrony prawnej przewidzianej dla funkcjonariuszy publicznych – podobnie jak prezydent, posłowie, senatorowie, radni, sędziowie, prokuratorzy, pracownicy administracji rządowej i samorządowej, pracownicy organów kontroli państwowej, funkcjonariusze Służby Więziennej, żołnierze, lekarze udzielający świadczeń w ramach pomocy doraźnej – chociaż w *Karcie nauczyciela* nie ma formalnego stwierdzenia, że „nauczyciele są funkcjonariuszami publicznymi”. Polski ustawodawca traktuje więc nauczycieli jak Kaligula swego konia – żąda od nich zachowania (i traktowania ich przez innych) niestosownego do ich rzeczywistego statusu.

EDWARD KAROLCZUK

²⁵ Tamże, s. 9.

²⁶ Tamże, s. 10.

²⁷ Bogusław Jasiński, *Cóż po filozofii w czasie marnym?*, „Dialog Edukacyjny” 2012, nr 2 (17), s. 10-13.

²³ Jan Kurowicki, *Paradoks konia Kaliguli*, maszynopis, s. 5-6.

²⁴ Tamże, s. 6.

JAN SZMYD

RACJONALNOŚĆ W PONOWOCZESNOŚCI?

Pytanie o racjonalność lub irracjonalność człowieka nabiera w czasach obecnych szczególnego znaczenia i oczekuje odpowiedzi. Nietrudno zauważyć, że nasuwa się ono z bardzo istotnych powodów. Jesteśmy wszak świadkami, a nierzadko też i odbiorcami niemal lawinowego przypyływu w świecie współczesnym coraz liczniejszych odmian różnorodnej irracjonalności – głównie w sferze polityki, stosunków społecznych, relacji międzyludzkich i postaw życiowych. Także w licznych dziedzinach kultury, komunikacji społecznej i obyczajowości.

Na dodatek łatwo dostrzec dookoła to, co zresztą naukowo potwierdza wielu poważnych badaczy współczesności, że wśród ludzi epoki „ponowoczesnej”, epoki spod znaku dominującego życiowego pragmatyzmu, wpływowego utilitaryzmu, powszechnego komercjalizmu, robotyzacji i technizacji wielu dziedzin ludzkiej aktywności, szaleńczego wręcz pędu za zyskiem i dobrami materialnymi itp., coraz szersze szlaki przecierać sobie zaczyna „pochód głupoty” jako przeciwieństwo heglowskiego „pochodu rozumu”. Zwłaszcza pochód głupoty politycznej, głupoty w stosunkach międzyludzkich i międzykulturowych, w polityce ekologicznej, w społecznym podziale dóbr i bogactw itp. Pochód ten, czyli mówiąc inaczej coraz bardziej wpływowa i zadziwiająco łatwo trafiająca do umysłów i postaw ludzi przynależnych do tzw. społeczeństw masowych ofensywa niemądrości, braku uznania dla zdrowego rozsądku, czy wręcz bezmyślności i lekkomyślności nie omija też i naszego społeczeństwa. Przeciwnie, coraz bardziej staje się widoczne to, że – zwłaszcza jeśli idzie o „elity” polityczne – przyspiesza ona tempo swego destrukcyjnego i złowieszczonego przemarszu. Pewnie i do naszej rzeczywistości społeczno-politycznej odnosi się w znacznej mierze stwierdzenie jednego z polskich filozofów, iż „Być może największym i najpoważniejszym zagrożeniem wynikającym z globalizacji jest narastająca Głupota ludzi [...] jako antynomia mądrości, a także jako brak wiedzy oraz bezmyślność”.

Wcześniejsze etapy wspomnianego pochodzenia w naszych dziejach społeczno-politycznych i gospodarczych oraz kształtowania się psychiki narodowej opisał sugestywnie Aleksander Bocheński w dającym wiele do myślenia, ale publicznie nieeksponowanym dziele pt. *Dzieje głupoty w Polsce* [1996]. Zaś nowsze, niestety, w wymiarze swym i ciężarze gatunkowym nie pomniejszone przejawy owej – mówiąc ogólnie – „polskiej niemądrości” ujawnia odważnie i odpowiedzialnie demaskuje nieliczne grono intelektualistów, w pewnej mierze naśladowców i kontynuatorów A. Bocheńskiego w tej jakże narodowo i cywilizacyjnie pożytecznej funkcji, mającej na celu przynajmniej częściowe oczyszczenie i uwolnienie świadomości narodowej z nawarstwień przeróżnej niemądrości, intelektualnej zaściankowości czy po prostu zwyczajnej głupoty. Znajdujemy wśród nich tej miary autorów, co A. Walicki, B. Łagowski, B. Skarga,

K. T. Toeplitz, A. Michnik, L. Gołubiew, Z. Brzeziński, J. Nowak Jeziorański, M. Rakowski, M. Środa i inni. Niestety, to grono „demaskatorów” polskiej niemądrości jest jak na aktualne potrzeby, a są one przecież wciąż wielkie, zbyt wąskie i ma stosunkowo małą siłę przebicia do szerszej opinii publicznej i w niej należnego posłuchu, nie mówiąc już o szczególnej „odporności” na ich opinie ze strony polityków o różnej orientacji ideologicznej.

Być może, że właśnie z wnikliwego i zatroskanego odczytania negatywnych tendencji naszej i ościennej współczesności i osobistej wobec niej bezradności wynikało dramatyczne wyznanie – wypowiedziane tuż przed śmiercią przez Jana Nowaka Jeziorańskiego: „Boję się XXI wieku [...]. Boję się, czy pociąg tej cywilizacji nie wykończy się [...]. Dobrze, że w nim żyć nie będę” [21 stycznia 2005 r.].

Przejdźmy do pytania zawartego w tytule tych rozważań, a mianowicie czy ludzie w czasach obecnych mogą być rozumni? Od razu zaznaczmy, może ku zaskoczeniu czytelnika, że na to z pozoru proste pytanie nie ma, a nawet być nie może jednoznacznej odpowiedzi. Nie ma na nie takiej odpowiedzi z wielu i oczywistych powodów. Po pierwsze dlatego, że natura ludzka – trzymajmy się tego tradycyjnego określenia dla gatunkowej tożsamości ludzkiej – wyposażona jest trwale zarówno w pierwiastek racjonalny jak i irracjonalny, i że te dwa pierwiastki stanowią w niej integralną całość, swoistą jedność. Ujawniają się one w niej równomiernie lub nierównomiernie, z podobną albo ze zróżnicowaną mocą, w takiej czy innej formie w zależności od różnych sytuacji życiowych, społecznych, zadaniowych, czynnościowych, losowych itp. oraz w wyniku takich czy innych zróżnicowań psychicznych, osobowościowych, podmiotowych jednostek ludzkich. Po drugie, nie ma – i być nie może – jednoznacznej odpowiedzi na postawione wyżej pytanie także i z tego względu, że człowiek z powodu swej złożoności psychicznej nie jest w stanie w normalnych, statystycznie typowych warunkach i sytuacjach życiowych motywować swoje zachowania i postawy wyłącznie racjami „czysto” racjonalnymi i w pełni uświadomionymi, bo takowe na ogół nie istnieją, ani też nie może powodować się całkowicie „wypranymi” z pierwiastka rozumowego pobudkami i impulsami, bo takich też nie ma. Pierwsze z nich zawsze są w taki czy inny sposób powiązane z racjonalnością, drugie – z irracjonalnością. (Absolutne, całkowite ostre rozgraniczenie tych dwóch konstytuujących psychikę człowieka sfer w przypadku konkretnych osobowości ludzkich jest praktycznie niemożliwe). Po trzecie, nie ma tu jednoznacznej odpowiedzi również dlatego, że w realnie rozpatrywanej strukturze psychicznej człowieka, czyli psychiczności różnych konkretnych ludzi, racjonalność i irracjonalność występuje, jak już wcześniej stwierdziliśmy, w bardzo zróżnicowanym wymiarze i przejawia się z niejednako-

wą mocą oraz w różnorodnych formach. W zależności od takich czy innych zawsze jednak licznych i złożonych czynników i uwarunkowań – jawią się one w zmiennym nasileniu i różnorodnych postaciach.

Zatem człowiek nie daje się definiować bez reszty i alternatywnie w kategoriach racjonalności i irracjonalności. Można powiedzieć, że jego natura jest pod tym względem wielowymiarowa, potencjalnie bogata, funkcjonalnie „plastyczna”, różnie i zmiennie się w życiu ujawniająca. Każda jednostkowa i zbiorowa psychika ludzka ma niejako wbudowaną w siebie swoją „przyrodzoną” racjonalność i irracjonalność. Zatem trudno się nie zgodzić z Janem Szczepańskim, kiedy twierdzi że „nie ma człowieka funkcjonującego jak logiczna maszyna”. W zależności od szerokiej i zmiennej gamy różnorodnych czynników zewnętrznych i wewnętrznych jawi się ona w każdorazowo różnie, w pewnej mierze jako racjonalna lub nieracjonalna, albo – co chyba najczęściej występuje – jako na poły racjonalna, a na poły nieracjonalna. (Przyjmijmy, że wymiar „na poły” jest relatywny i zmienny).

I po czwarte, nie można na pytanie o racjonalność czy irracjonalność człowieka współczesnego udzielić jednoznacznej odpowiedzi także i dlatego, że w pewnych dziedzinach działalności i aktywności człowieka ten niejako z konieczności stara się, a nawet musi być „istotą racjonalną”, w innych zaś stosunkowo łatwo i naturalnie wpada on – by tak powiedzieć – w „poślizg irracjonalności”. Przykładowo rzecz biorąc działalność w systemach technicznych, informatycznych, biznesowych wymaga od niego pewnego typu niezbędnej tu specyficznej racjonalności. Na odmianą zaś sferę życia politycznego, społecznego, międzyosobowego, osobistego, itp., nie mówiąc już o tak specyficznych dziedzinach aktywności ludzkiej, jak twórczość artystyczna czy bytowanie ludy-styczne wzbudza w nim bardziej lub mniej bezwiednie i spontanicznie takie czy inne, ale zwykle bogate sfery jego irracjonalności.

Można więc powiedzieć, że każdemu człowiekowi nieuchronnie przydarza się być „istotą racjonalną”, innym zaś razem – jednostką zgoła irracjonalną; że nie utrzymuje się on trwale w jednej z tych dwóch współistniejących zawsze w jego naturze sfer, czyli że, mówiąc w uproszczeniu, nie jest on zawsze i wszędzie całkowicie „rozumny” albo – odwrotnie – zawsze i wszędzie zupełnie „nierozumny”.

Nasuwa się jednak w tych rozważaniach pytanie chyba bardziej jeszcze interesujące niż powyższe, a mianowicie dlaczego człowiek czasów obecnych, człowiek z „tu i teraz”, żyjący w różnych miejscach współczesnego globalizującego się świata, w różnych przestrzeniach geograficznych, kulturowych i regionalnych, w odmiennych środowiskach społecznych, cywilizacyjnych, zawodowych, etnicznych i pokoleniowych ujawnia w sobie i w swym działaniu coraz więcej nastawień i skłonności o charakterze irracjonalnym, pogrąża się coraz głębiej w sferze irracjonalności, staje się – jak wiele faktów zdaje się na to bezspornie wskazywać – jednak istotą coraz bardziej irracjonalną, a w każdym razie otwiera się coraz szerzej i dość chętnie na sferę różnorodnej osobistej i zewnętrznej w stosunku do niego irracjonalności?

I przy tym pytaniu też jesteśmy trochę bezradni. Okazuje się, że i na to pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Nie ma takiej odpowiedzi mimo licznych

prób uzyskania jej we współczesnej literaturze z dziedziny nauk o człowieku, cywilizacji, kultury czy z zakresu antropologii filozoficznej skupiającej się na problemach człowieka początków XXI wieku. Ciągłe jesteśmy tu zdani bardziej na wiedzę hipotetyczną, intuicyjną, potoczną, czy po prostu na różne domysły, bieżące obserwacje i odczucia, aniżeli na ustalenia ściśle naukowe, czyli na obiektywną, prawomocną i należyście zweryfikowaną wiedzę.

Zaryzykujemy jednak kilka przykładowo wybranych hipotez, a może jedynie domysłów dotyczących interesującego nas tu ożywienia i nasilenia różnych odmian irracjonalizmu i irracjonalności w życiu, działaniach i postawach człowieka „ponowoczesnego”; hipotez dotyczących też jego wyraźnego i ulegającego zdumiewającemu przyspieszeniu „przechylowi” w stronę rozległej „nierozumności”. Oto one: Po pierwsze, ten nasilający się i rozszerzający stale proces można wiązać – jeśli idzie o europejski i północnoamerykański krąg cywilizacyjny i kulturowy – z wyczerpaniem się w znacznej mierze klasycznego, głównie kartezjańskiego i newtonowskiego paradygmatu racjonalizmu, a niezupełnym jeszcze wykrystalizowaniem się i upowszechnieniem w mentalności człowieka współczesnego alternatywnego w stosunku do tego paradygmatu myślowego sposobu poznawania i rozumienia otaczającej nas rzeczywistości. Niemal powszechna i totalna krytyka „starego” paradygmatu racjonalizmu, a w konsekwencji i „starej” racjonalności w aktualnym dyskursie naukowym i filozoficznym i ich praktycznych przejawów w myśleniu i ludzkich postawach dość często „wylewa dziecko z kąpielą”, tzn. „wyplukuje” ze świadomości ludzkiej elementarne i należycie w wielowiekowym doświadczeniu ludzkim sprawdzone zasady racjonalnego myślenia oraz uniwersalne kryteria i racje rozumu, otwierając przez to szerokie pole dla różnych dowolności i chaotyczności myślowych oraz pozarozumowych (często porozumnych) postaw i orientacji.

Po drugie, istotną rolę w interesującym nas tu procesie nasilającej się irracjonalizacji świadomości i postaw ludzkich w świecie współczesnym odgrywają pewne właściwości i tendencje cywilizacji technicznej, poidustrialnej i procesów globalizacyjnych. Chodzi między innymi o dominantę postępu technicznego nad humanistycznym, ekonomicznego nad społecznym, kultury masowej nad kulturą wyższą (wysoką), zasady „mieć” nad zasadą „być”, konsumeryzmu nad głębszymi i duchowo bogatszymi sposobami bycia i życia, wartości pragmatycznych nad autotelicznymi, materialnych nad duchowymi, przedmiotowych nad podmiotowymi. Chodzi dalej o stale narastający a niemożliwy do przyswojenia natłok informacji, wzrastające wpływy i oddziaływania na umysły i postawy ludzi mass mediów, z ich medialnymi tzn. na ogół uproszczonymi, tendencyjnymi, wybiórczymi, a przez to deformującymi rzeczywistość przekazami informacyjnymi i symbolicznymi, rozrywkowymi i reklamowymi. Idzie nadto o utrzymywanie się w stosunkach międzyludzkich egoizmu i interesowności, bezwzględnej rywalizacji, przemocy i agresji. O nasilenie się w stosunkach międzynarodowych przewagi argumentu siły, walki, zysku nad argumentem dialogu, negocjacji, dobra wspólnego, godności i sprawiedliwości. Idzie również o manipulowanie informacjami i o kontrolę nad nimi przez różne ośrodki kapitału, władzy i masowego przekazu, i dzięki temu o opanowywanie i zawłaszczanie

świadomości ludzkiej przez aktualnie wpływowe ideologie, doktryny, opcje światopoglądowe i polityczne.

Wszystkie z wymienionych i, oczywiście, z wielu tu pominiętych charakterystycznych czynników i cech obecnego kształtu „wioski globalnej” M. McLuhana, czy współczesnego globalizującego się świata oddziałują na sferę racjonalności i irracjonalności żyjącego w nim człowieka w oparciu o różne mechanizmy psychologiczne i socjotechniczne, z różnym nasileniem i z niejednakową, ale na ogół dużą skutecznością. Nie ma tu oczywiście miejsca na szczegółowsze omówienie tego złożonego, dość dobrze już opisanego w literaturze naukowej, procesu. Ogólnie jednak stwierdzić możemy, że obecny etap przemian cywilizacji Zachodu; etap pogłębiającego się jej kryzysu ogólnego i coraz trudniejszych do rozwiązania jej dylematów i rozdroży oraz pogłębiających się i komplikujących procesów globalizacyjnych stwarza dogodne podłoże i żyzną glebę – jak to z reguły bywało w cywilizacjach kryzysowych i schyłkowych – dla szczególnie bujnego wzrostu i ożywienia w życiu jednostkowym i zbiorowym człowieka różnych odmian irracjonalizmu i irracjonalności. Nasuwa się tu m. in. trafne i w pewnym sensie ponadczasowe stwierdzenie Stefana Szumana: „Rozczarowanie światem każe się zwrócić do zaświatów, poczucie i przeżycie własnej nędzy i bezsilności każe szukać Boga, nieukojenie psychiki realną rzeczywistością jest główną przyczyną metafizycznych wzlotów”.

W szczególności zaś coraz głębiej i niekorzystnie dla człowieka, zwłaszcza dla jego przyszłości, dezintegruje się całe jego „środowisko wewnętrzne”, czyli jego duchowość, osobowość, postawy indywidualne itp. Można powiedzieć, że rozrywa się ono z jednej strony – na wąską strefę praktycznie funkcjonalnej racjonalności, np. na racjonalność techniczną, ekonomiczną, informatyczną, komunikacyjną, marketingową, menadżerską, socjotechniczną itp., z drugiej strony – na szeroką i stale poszerzającą się sferę różnorodnej irracjonalności społecznej, politycznej, ekologicznej, moralnej, obyczajowej, religijnej, światopoglądowej itp. „Człowiek z zewnątrz sterowany” – by przywołać znane określenie Davida Reismana – staje się na obecnym etapie funkcjonowania naszej cywilizacji człowiekiem coraz bardziej mentalnie rozdwojonym, wewnątrz rozwarstwionym, w tym – człowiekiem »racjonalnym i irracjonalnym równocześnie«, że stałym jednak i niepowstrzymanym powiększającym się przechyłem w stronę ofensywnego irracjonalizmu, i chyba ponad miarę wyzwolonej w jego psychice irracjonalności. Na dodatek łatwo ulega on różnym cywilizacyjnym, społecznym, politycznym i medialnym wpływom »otępiającym i zubożającym intelekt«, skutecznie ograniczającym refleksyjność i samodzielność myślenia, wartościowania i sądzenia; infantylnym i ograniczającym jego samowiedzę, potencjał rozumowy, symplifikującym, a nawet prymitywizującym jego język i kulturę symboliczną; popychającym go, a w każdym razie ukierunkującym w stronę mechanicznej inteligencji aktualnego, a zwłaszcza przyszłościowego świata robotów.

Przewidział te niekorzystne zmiany w życiu współczesnego człowieka między innymi Bogdan Suchocki, kiedy w ostatnim swym dziele pisał: „Człowiek manipulowany przez te instytucje (głównie instytucje współczesnej cywilizacji – przypis J. Sz.) żyje życiem

pokawałkowym i powierzchownym. Jest to życie jednowymiarowe: producenta i konsumenta, zapobiegliwe i niespokojne, rozdarte przez konflikty i ambicje, poddane uzależnieniom. Nie zachęca ono ani do uczestnictwa w kulturze, ani do refleksji. Człowiek adaptuje się do wymagań świata, a nie świat jest posłuszny woli człowieka”. Lakonicznie acz dobitnie dopełnia przytoczony pogląd znakomitego pedagoga i myśliciela wypowiedź innego wybitnego polskiego intelektualisty – Henryka Skolimowskiego: „Bilans ogólny wydaje się być taki: trywializacja naszego życia postępuje w miarę, jak technologie stają się coraz bardziej wyrafinowane”.

Widać więc, że genetycznie zakorzeniona w naturze ludzkiej i trwale w niej obecna, z większym lub mniejszym dynamizmem w niej ujawniająca się opozycja pomiędzy sferą racjonalności i irracjonalności nie jest drugorzędną cechą duchowości i aktywności człowieka. Przeciwnie, ma ona decydujące znaczenie dla ogólnej kondycji jednostek ludzkich, ich osobowości i tożsamości, jakości życia i relacji międzyosobowych, stosunków społecznych, poziomu i kształtu człowieczeństwa. Chodzi tu jednak o naturalną, zawsze pożądaną i możliwą harmonię we wzajemnych relacjach tych dwóch jakościowo odmiennych ale naturalnie dopełniających się składników natury ludzkiej.

Podkreślmy, że racjonalność i irracjonalność pojmowane jako rzeczywistości psychiczne same w sobie, brane w oderwaniu od całokształtu ludzkiej psychiczności są jedynie abstrakcjami pojęciowymi lub spekulatywnymi konstrukcjami myślowymi. W konkretnej psychice i osobowości ludzkiej nigdy nie istnieją one całkowicie oddzielnie i nie funkcjonują samodzielnie. Podobnie jak nigdy nie istnieją obok siebie w zupełnej separacji i izolacji i inne składniki konstytuujące naturalnie całościową, wewnątrznie powiązaną i uzależnioną strukturę psychiczną konkretnych podmiotów ludzkich. Na przykład nie istnieje w niej „czysta” myśl obok „czystego” uczucia, „czysta” wiedza obok „czystej” oceny itp. Personifikując zaś to złożone zagadnienie można, jak się zdaje, powiedzieć, że nigdy i nigdzie nie istniał, nie istnieje i nie będzie istniał człowiek jako »czysty racjonalista« albo jako »czysty irracjonalista« („Czysty” racjonalizm i irracjonalizm, „czysta” racjonalność i irracjonalność oraz „czysty” racjonalista i „czysty” irracjonalista istnieją tylko w sieci pomysłów spekulatywnie konstruowanych lub w dowolnej wyobraźni i intencjonalności człowieka).

Natomiast jeśli idzie o pożądane a realne stany rzeczy w życiu psychicznym poszczególnych jednostek i wspólnot ludzkich, o faktyczne ich dobro i realną pomyślność, to zasadnicza kwestia sprowadza się do możliwości nieustannego tworzenia i rozwijania harmonijnych, prawidłowo funkcjonujących i pozytywnie współdziałających ze sobą struktur podmiotowych odpowiednio ukształtowanych z elementów racjonalności i irracjonalności.

Nie jest tu pożądany i wystarczający ani jednostronny racjonalizm pragmatyczny i funkcjonalny, związany z taką czy inną działalnością zawodową, na przykład biznesową, menadżerską lub z jakąkolwiek inną „techniczną” stroną życia, ani też nie jest wskazana jakakolwiek wybujała i dominująca nad życiem wewnętrznym irracjonalność, taki czy inny woluntaryzm irracjonalistyczny, negujący, jak w przypadku filozofii postmodernistycznej, właściwie cały nowożytny paradygmat

racjonalizmu, łącznie z podstawowymi i uniwersalnymi jego zasadami i kryteriami, a nawet z elementarnymi wymogami zdrowego rozumu i zwyczajnego rozsądku. Jeden i drugi stan wewnętrzny, jedna i druga orientacja intelektualna i życiowa, doktrynersko i absolutyzująco afirmowana i praktykowana nie niemożliwia co prawda życia i szerokiego zakresu aktywności, ale z reguły dezintegruje życie wewnętrzne człowieka, ujednostronnia i upraszcza funkcje jego duchowości, niekorzystnie utendencynia „filozofie” i style życia – ogólnie rzecz biorąc – »wypacza, deformuje i słyca człowieczeństwo«.

Przy czym coraz bardziej widocznym staje się to, że główne mechanizmy i procesy ekonomiczne, społeczne, polityczne, ekologiczne itp. świata współczesnego, globalizującej się w ogromnym przyspieszeniu »płynnej nowoczesności« coraz wyraźniej i skuteczniej rozrywają – człowieka i jego życie – ku jego szkodzie, rzecz jasna – na dwie odrębne, mające z natury rzeczy stanowić harmonijną całość sfery jego duchowości i praktyki życiowej. Człowiek wprowadzany jest niefortunnie w dwa odrębne łożyska swego bytowania i egzystencji, tracąc pożądaną harmonię wewnętrzną, niezbędny ład wewnętrzny i społeczny, głębszy sens życia i radość życiową, a równocześnie stając w obliczu poważnych zagrożeń i niebezpieczeństw.

Jakie jest zatem wyjście z tej niepożądaną i niebezpieczną dla człowieka sytuacji? Jedni, co bardziej radykalni krytycy i wizjonerzy społeczni i polityczni, jak na przykład antyglobaliści czy alterglobaliści, bezkompromisowi komuniści i anarchiści odpowiadają na to pytanie bardzo śmiało, wręcz rewolucyjnie, ale i bardzo hipotetycznie: przywrócenie pożądaną harmonii i pełni wewnętrznej człowiekowi, harmonii w jego życiu, w tym harmonii – by tak to określić – racjonalno-irracjonalnej możliwe będzie poprzez zasadniczą zmianę zastanego świata, który tę dysharmonię i rozdarcie wewnętrzne rodzi i potęguje, czyli zniesienie neokapitalistycznego i liberalistycznego systemu społeczno-ekonomicznego i opartej na nim kryzysowej cywilizacji Zachodu. Inni zaś co bardziej umiarkowani krytycy i myśliciele społeczni, tacy na przykład jak B. Suchodolski, Z. Bauman, H. Skolimowski, J. Bańka, żeby odwołać się tylko do niektórych polskich teoretyków współczesnej cywilizacji, twierdzą skromnie i raczej utopijnie, że ta pożądana zmiana antropologiczna i cywilizacyjna będzie możliwa wówczas, kiedy uda się przeprowadzić gruntowną reformę bądź znaczące udoskonalenie »ponowoczesnego« świata, zwłaszcza reformę edukacji i wychowania, w lepszym zaś razie – wewnętrzne odrodzenie człowieka.

Za przykład dla tego rodzaju myślenia i postawy oraz związanych z nimi dramatycznych choć chyba płonnych oczekiwań i nadziei uznać między innymi można charakterystyczną wypowiedź cytowanego już Henryka Skolimowskiego. Zapytuje on: „jakiego rodzaju edukacja będzie najodpowiedniejsza dla XXI wieku?” i odpowiada: „Otóż nie ta, która łączy się z elektroniką i komputerami, ponieważ jest to wiedza najbardziej przemijająca. Najważniejszą wiedzą będzie wiedza filozoficzna jako związana z naszą mądrością i wartościami. Bowiem tylko one pozwalają nam orientować się w tych chaotycznych czasach, w których jesteśmy świadkami, mnożenia się wszystkiego, prócz sensu życia ludzkiego i szczęścia”.

A może jest jeszcze inna możliwość, inna perspektywa i inna nadzieja. Może po prostu biologiczna

ewolucja gatunku ludzkiego – przecież ona się, jak mówią znawcy zagadnienia, jeszcze nie zakończyła – własnymi naturalnymi mechanizmami i siłami niejako wyrównana zbyt skrajności i przewycięży pewne, być może tylko przejściowe osłabienie racjonalności człowieka. Być może, wymusi ona, w interesie ewolucyjnego zbiorowego podmiotu, tzn. gatunku ludzkiego, właściwe proporcje i zależności pomiędzy dwoma najważniejszymi sferami jego psychiczności – racjonalnością i irracjonalnością – i przez to zachowa stałą, choć wykazujący okresowe zahamowania, a nawet regresy trend rozwojowy. Tym samym może uchroni człowieka przed intelektualnym i duchowym skartowaceniem, a w konsekwencji – przed ewolucyjnym regresem i utratą własnego *humanum*.

Oczywiście trudno przewidzieć w jakim stopniu przedstawione wyżej możliwości i drogi ocalenia »pełnego człowieka« jako istoty harmonijnie łączącej w sobie duchowość z cielesnością, racjonalność z irracjonalnością, a w dziedzinie aktywności naukowej, technicznej, społecznej, politycznej, artystycznej itp. – racjonalizm z irracjonalizmem są realne i możliwe do urzeczywistnienia. Trudno też powiedzieć, która z wymienionych możliwości lepiej od innych rokuje pożądaną zmianę i jest bardziej wiarygodna, czy wszystkie one nie mają – co przecież jest prawdopodobne – jakiejś alternatywy. Wszak dotyczą one przyszłości, a ta – jak wiadomo – jest trudna, a nawet być może niemożliwa do przewidzenia. Przy czym należą one do myślenia futurologicznego, a to zawsze jest wielce ryzykowne i hipotetyczne, wizyjne i niepewne, niemniej ukazują one dość wyraziście pewną szansę i zarazem perspektywę dla człowieka współczesnego w zakresie lepszego uporządkowania jego »środowiska wewnętrznego«, tzn. całościowo pojętej duchowości, łącznie z jej wymiarem intelektualnym i pozaintelektualnym oraz środowiska zewnętrznego, tzn. szeroko rozumianej rzeczywistości cywilizacyjnej, społecznej i kulturowej, łącznie z wszystkimi formami aktywności człowieka w tych głównych sferach »świata ludzkiego«.

Z dużym natomiast prawdopodobieństwem stwierdzić można, że od możliwości choćby częściowego spełnienia i wykorzystania nasuwanej nimi prawdopodobnej szansy zależeć będzie ogólna kondycja duchowa i intelektualna człowieka, a co za tym idzie – jego przyszłość. Zależać też będzie odpowiedź na postawione w tych rozważaniach pytanie: „czy człowiek współczesny może być istotą racjonalną?” albo inaczej – „czy skazani jesteśmy na inwazję irracjonalności?”

Na razie ulegamy jednak – jakby na zasadzie hipotetycznej niemocy – różnym odmianom irracjonalności i irracjonalizmu. Dramatycznie nasuwa się więc pytanie o to, czy ta tendencja zostanie w porę powstrzymana, zanim nie będzie za późno z punktu widzenia zachowania ludzkiego gatunku, jego kultury duchowej i udanego cywilizacyjnego dorobku, utrzymania go na poziomie nie zdegradowanego człowieczeństwa i wyższego standardu duchowości. Istnieją w tym zakresie – jak próbowaliśmy wyżej wykazać – pewne potencjalne szanse i możliwości. I tylko to daje się w chwili obecnej w miarę pewnie stwierdzić. Reszta jest raczej wielką obawą i niewiadomą.

JAN SZMYD

HENRYK DOMAŃSKI

STRATYFIKACJA MATERIALNA, KULTUROWA I PRESTIŻ

Wzrost nierówności położenia materialnego stał się w Polsce łatwym do zaobserwowania zjawiskiem i trudno temu zaprzeczyć. Przejściowo przesunęło to na drugi plan rolę stratyfikacji w wymiarze kultury, która – w świetle pewnych teorii – przejmuje w nowoczesnych społeczeństwach zachodnich rolę głównego wymiaru kształtowania się nierówności społecznych.¹ W przypadku Polski przesunięcie to nie dokonało się jednak w „obiektywnej” rzeczywistości, tylko w odbiorze medialnym, przez co rozumiem naturalne – jak się wydaje – zjawisko niedoceniań tego wymiaru hierarchii społecznej. Dla polityków i przeciętnego Polaka znacznie ważniejsze są zagrożenie bezrobociem, wysokie ceny, poziom zarobków i perspektywa ubóstwa. Jak jest naprawdę? Stratyfikacja w dziedzinie kultury nie zastąpiła nierówności materialnych, ale coraz silniej zaczyna dochodzić do głosu. Jest to teza, której postaram się uzasadnić odwołując się do obserwacji i badań.

* * *

Najważniejsze są konsekwencje zwiększającego się znaczenia nierówności kulturowych dla nastrojów społecznych. Wzrost roli tego czynnika jest widoczny w zachowaniach i strategiach życiowych. Wprawdzie ludziom zawsze zależało na podkreśleniu własnej wyjątkowości i wyższości społecznej – bez względu na to, czy było się księciem, inteligentem, czy chłopem – ale w Polsce potrzeby te nasilają pod wpływem coraz to nowszych ofert w dziedzinie konsumpcji. Chodzi o uznanie ze strony innych, czyli prestiż. Podłożem zwiększającej się (zresztą uniwersalnej) potrzeby uznania jest tworzenie się nowych wartości i wzorów, a równocześnie obniżenie roli tradycyjnych standardów regulujących zachowania jednostek.

Inaczej mówiąc jest to rezultat łagodnej anomii. Charakterystyczną cechą anomii jest „rozchwianie norm” – traci się orientację co wolno, co jest sprawiedliwe, co dobre lub złe, co można osiągnąć, a co jest poza zasięgiem i nie warto się na to porywać, żeby nie powodować napięć. W sytuacji anomii awanse i ozna-

ki bogacenia się obserwowane u innych jednostek (rola mediów) prowadzą do nieograniczonego niczym wzrostu aspiracji, a z kolei ci, którzy awansują, chcą mieć jeszcze więcej niż mają. Konsekwencją zanikania dyscyplinującej roli norm jest samonapędzający się wzrost rywalizacji o symbole wyższości społecznej. W systemie komunistycznym dyscyplinującą rolę odgrywały takie instytucje jak państwo (wymuszony egalitaryzm), Kościół (niewymuszony egalitaryzm, wynikający z dobrowolnego uczestniczenia w ramach wspólnoty wartości), nadmierne aspiracje mitygowała rodzina (przez mechanizmy międzypokoleniowego dziedziczenia, dostosowując je do statusu jednostek), a poza tym demonstrowanie oznak sukcesu materialnego było w złym tonie, zresztą ludzie pilnowali siebie nawzajem.

Obiektywnie rzecz biorąc, czynnikiem przeciwdziałającym anomii powinien być wzrost poziomu wykształcenia. Ludziom z wysokim kapitałem edukacyjnym łatwiej zrozumieć konieczność istnienia hierarchii społecznej, jak i to, że nie warto obciążać się winą, są bowiem strukturalne bariery, których przekroczyć się nie da. Jednak z drugiej strony, ograniczenia te są dla nich tym bardziej przejrzyste i tym silniejsza jest presja na przełożenie awansu edukacyjnego na stanowisko i oznaki bogactwa. Podobnie jak w społeczeństwach zachodnich, nowe klasy średnie stają przed dylematem jak te nierozwiązywalne sprzeczności pogodzić. Dla zwiększającej się kategorii absolwentów wyższych uczelni czynnikiem pogłębiającym frustrację jest to, że coraz bardziej liczy się jakość dyplomu, w zależności od tego czy skończyło się renomowany uniwersytet, czy na przykład nieznaną szerszemu ogółowi szkołę gastronomiczną. Z badań wynika, że system edukacyjny wykreował już nowe hierarchie odwołujące się do tego podziału. Wyższym prestiżem obdarzani są absolwenci uczelni o uznanej renomie, przy czym najważniejsze dla odtwarzania się tradycyjnej stratyfikacji jest to, że rekrutują się oni głównie z kategorii wyższych specjalistów, inteligencji i elit, podczas gdy bazą rekrutacyjną gorszych uczelni są osoby pochodzące z rodzin robotników, a najbardziej rolników.²

¹ Na użytek polskiego czytelnika wystarczy przypomnieć, że do najwcześniejszych zwolenników tego poglądu należy m.in. Zygmunt Bauman (*Work, Consumerism and the New Poor*, Buckingham 1998, Open University Press).

² H. Domański, *Nowe ogniwa nierówności edukacyjnych w Polsce*, „Studia Socjologiczne” nr 1 (196) 2010.

Fakty te wskazywałyby na wzrost roli wyższego wykształcenia w rywalizacji o prestiż społeczny. Gdy w PRL-u ludzie traktowali je wyznacznikiem wysokiego statusu zastępujący w tej roli zarobki, których poziom był ograniczany przez władze, to w systemie rynkowym posiadanie dyplomu wyższej uczelni stało się kryterium oceny przydatności jednostki dla pracodawcy, znajomych, z punktu widzenia wyboru małżonka, i w kręgu rodzinnym. Zwycięzcami w tej rywalizacji są kategorie o najwyższym kapitale kulturowym, reprezentanci inteligencji przekazującej dzieciom aspiracje do osiągnięcia wysokich pozycji, umiejętności i kompetencje jak pozytywnie wiedzę i jaki z niej robić użytek na etapie kariery zawodowej.

Charakterystyczną cechą stratyfikacji kulturowej jest nieustanna reprodukcja symboli wyższości społecznej, która polega na zastępowaniu zużytych symboli nowymi. W społeczeństwach rynkowych mechanizmy te uległy jeszcze większemu wzmocnieniu za sprawą rozwoju kultury masowej, powodującej wzrost dostępności dóbr zastrzeżonych jeszcze niedawno dla elit i innych kategorii, które mogą sobie na nie pozwolić. W odniesieniu do Polski szybka dewaluacja statusu objęła np. telefony komórkowe (na początku lat 90. posługiwanie się nimi sygnalizowało wyższość), dyplomy magistra czy posiadanie samochodów marki Toyota. Kreowane są więc nowe wyznaczniki wyższości – tym cenniejsze, im trudniej je nabyć. W dziedzinie wyższej kultury – pozostającej domeną inteligencji – ludzie konkurują ze sobą chodzeniem do filharmonii, bywaniem na wernisażach, znajomością dzieł literatury i sztuki. Szersze pole otworzyła tu komercjalizacja, nie podważając jednak istoty tego wymiaru, czyli tego, że jest on trudnodostępny dla nowobogackich. Chodzenia na koncerty muzyki klasycznej nie można nikomu zabronić, ale nie można zmusić się do wrażeń estetycznych, jeżeli się ich nie odczuwa. Trudno tam wysiedzieć, a jeszcze trudniej dyskutować, chociaż można próbować się tego nauczyć. Ekskluzywność dóbr kulturowych zawsze zapewniała monopolistyczną pozycję ludziom obdarzonych wysokim „kapitałem” w zakresie gustu i smaku, przejmowanym z pokolenia rodziców.

Ale na początku lat 90. zaczęło się to zmieniać. Jak jest teraz? Dla statystycznej większości najważniejsze procesy stratyfikacyjne rozgrywają się na polu kultury masowej. Oznak wyższości społecznej – każdy poddawany jest tej presji przez media – szuka się w sferze położenia materialnego (posiadanie drogiego samochodu, apartamentu czy domu), demonstrowaniu dobrego wyglądu i zdrowia, noszeniu drogich ubrań, przebywaniu w luksusowych kurortach wczasowych, chodzeniu do renomowanych restauracji, towarzyszeniu ważnym i znanym osobistościom sceny publicznej. Oczywiście najważniejszym, bo najbardziej trwałym wyznacznikiem prestiżu jest rola zawodowa, ale dla ludzi ważne są również okazjonalne oznaki szacunku o znaczeniu lokalnym. Mieszkańcy wsi chwalą się wizytami w wielkich centrach handlowych, a dziennikarze i naukowcy – zaproszeniem na prestiżową konferencję do Sejmu. W przypadku przyjezdnych mieszkańców Warszawy, czynnikiem negatywnego prestiżu stało się od niedawna zakwalifikowanie do kategorii „słoików”, tych, którzy przy okazji świąt, dni wolnych i urlopów jadą do domu w celu zaopatrzenia się w żywność.

Kategoria „słoików” zastąpiła „wiejskie pochodzenie”, które stało się już zbyt trywialnym atrybutem niższości, podobnie jak zdewaluowali się „inteligenci z awansu”.

Prawidłowością wynikającą z natury tej stratyfikacji jest to, że oddziałuje ona „strefowo”, tzn. innymi strategiami pozyskiwania prestiżu posługują się elitarne kręgi biznesu i klasa rządząca, innymi inteligencja, a jeszcze innymi klasy niższe. To nie wyklucza, że konkurują one do pewnego stopnia ze sobą jeżeli chodzi o kreowanie standardów wyższości – bo oczywiście nie da się zestawić wszystkich standardów, są one nieporównywalne, odmienne jakościowo i nie do przejścia przez innych. W przypadku Polski system rynkowy i demokratyzacja stosunków politycznych wyniosły do roli twórcy kanonów wyższości elity, co w szczególności dotyczy elity biznesu, obejmującej – powiedzmy – pięciuset najbogatszych Polaków. Cokolwiek by mówić, członkowie tej kategorii najbardziej przyczynili się do wzrostu znaczenia stratyfikacji w wymiarze kultury.

Nie jest to może widoczne, ale dotychczasowe lata kształtowania się stosunków rynkowych upłynęły pod znakiem rywalizacji między dwoma dominującymi stylami: inteligencji i elity bogactwa. Prawda jest taka, że inteligencja nie jest w stanie konkurować z elitą biznesu pod względem zabiegania o wyznaczniki prestiżu na polu działalności filantropijnej, sponsorowania imprez artystycznych czy fundowania dzieł sztuki. Inteligencja przegrywa również ze środowiskiem wielkiego biznesu na polu uczestniczenia w nagłaśnianych imprezach towarzyskich, takich jak wystawne przyjęcia i śluby. Inteligencki styl bycia nie pasuje do roli celebryty. Poza tym bywa się tam tylko dodatkiem odbiegającym od zachowań większości, podobnie jak przedstawiciele klasy robotniczej lub chłopskiej – gdyby zapraszano ich na wykwiłtne salony.

Jeżeli chodzi o elity biznesu, to podlegają one procesowi przekształcania się w klasę „wyższą”; zgodnie z powszechnie przyjmowanymi definicjami o przynależności do klasy wyższej decydują bogactwo plus dobre pochodzenie i prestiż, słowem musi to być „zalegitymizowane” bogactwo, czyli takie, które jest akceptowane przez ogół. W każdym społeczeństwie klasa wyższa sytuuje się na najwyższym piętrze hierarchii społecznej – wyjątkiem od tej reguły były (i są) społeczeństwa komunistyczne, w których klasa ta nie miała racji bytu. Należy oczywiście założyć, że współczesna Polska nie jest wyjątkiem i posiadaczom wielkich fortun zależy na identyfikowaniu ich z klasą wyższą (nazywaną przez nich prawdopodobnie inaczej). Powoduje to, że są oni ukierunkowani na pozyskiwanie trwałego prestiżu jako atrybutu najwyższego statusu, którego jeszcze nie mają, a który potwierdziłby ich dominującą pozycję nie tylko w wymiarze zarobków. Modelowymi atrybutami prestiżu klasy wyższej są: ekskluzywność, aura dobrego pochodzenia, historyczny rodowód – wielopokoleniowe dziedziczenie bogactwa, zamku, nazwiska. Reprezentantom polskiej elity biznesu zajmie więc kilkadziesiąt lat, żeby sobie zasłużyć na zakwalifikowanie do klasy wyższej. Wymaga to jednak demonstrowania przez nią oznak własnej wyższości!

Zatrzymajmy się przy tym. Konieczność zabiegania o prestiż podyktowana jest przez specyficzne cechy polskiego (i środkowoeuropejskiego) kontekstu, a mianowicie tego, że klasa wyższa musi być u nas tworzona

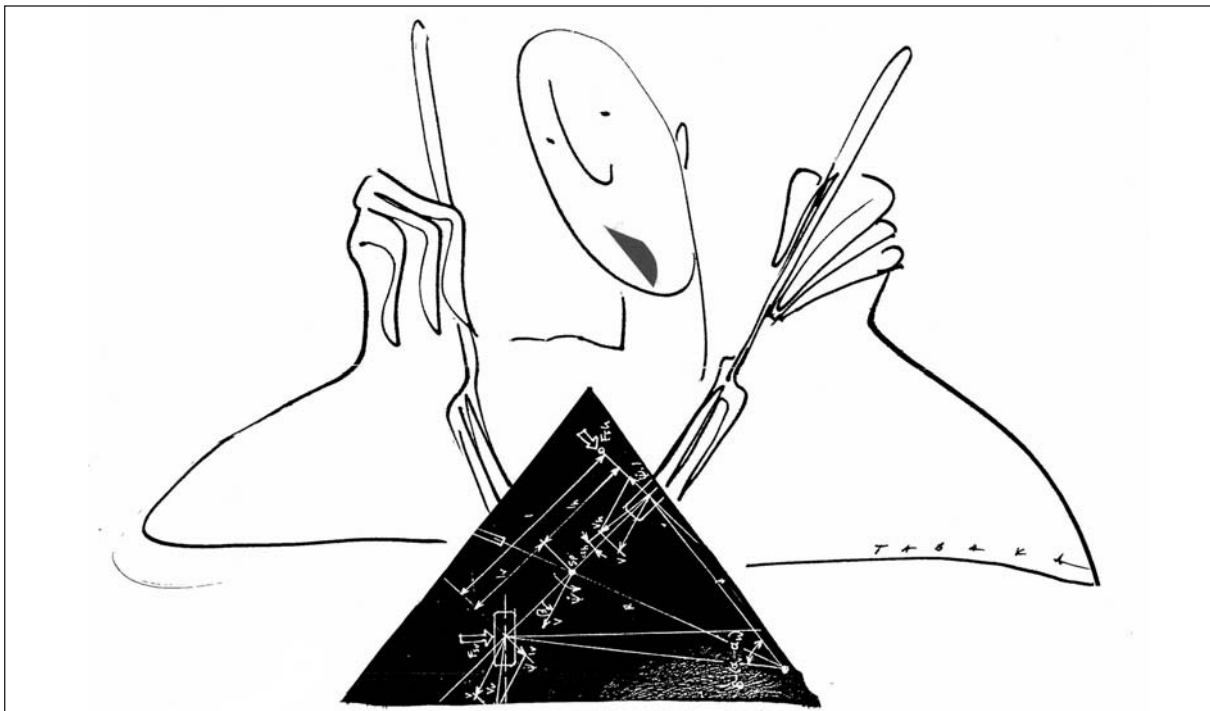
w wyniku publicznej perswazji, w której aktywną stroną jest zainteresowany nią „biorca”. Otóż aktywność ta jest wbrew logice funkcjonowania klas wyższych, których wyższość powinna być poza wszelką dyskusją, a im bardziej poddaje się ją pod osąd publiczny, tym więcej się traci. Strategia perswazji kłóci się z psychologią pozyskiwania wyższości utożsamianej z legitymizacją bogactwa, podobnie zresztą jak nie da się takich postaw wymusić – z wyłączeniem przypadków usankcjonowanego prestiżu, występującego np. w postaci obowiązku oddawania honorów przełożonym w hierarchii wojskowej. Najnowsza historia Stanów Zjednoczonych dowodzi, że elita biznesu potrzebuje kilkudziesięciu lat, żeby się stać „klasą wyższą”. Tyle czasu zabrało to m.in. rodzinie Kennedych, której fortuna datuje się od lat 20. ubiegłego stulecia, a przynależność do *upper class* – od lat 50. Zauważmy, że niewiele krótszym stażem mogą się już wykazać niektórzy reprezentanci wielkiego biznesu w odniesieniu do Polski.

Niezależnie od tego, w jakim zakresie nam się to podoba, kształtowanie się klasy wyższej prowadzi do wzrostu nierówności również w dziedzinie kultury. Można to wyrazić w ten sposób, że podwyższa ona cenę wyższości społecznej przez wyznaczenie nowych i ekskluzywnych oznak awansu. Dokonuje się to w postaci ostentacyjnej konsumpcji luksusu, konsumpcji na pokaz przez każdego kto może sobie na ten luksus pozwolić. Próby wejścia do polskiej klasy wyższej podejmuje m.in. Aleksander Kwaśniewski. Ślub córki Kwaśniewskiego anonsowany jako wydarzenie 2012 roku można potraktować jako element strategii aranżowanych w celu przekonywania o tym fakcie opinii publicznej. W przecieku medialnym ekskluzywny styl złączony tu został z informacjami o zamożności kandydata do polskiej *upper class* (konieczny warunek), dotyczącymi posiadania rezydencji na Mazurach i zarobków będących poza zasięgiem wyobraźni statystycznego

Polaka, nie uzyskiwanych w jakiś zwykły sposób, tylko z tytułu roli konsultanta/doradcy. Oznakami przynależności do tego elitarnego klubu w dziedzinie spędzania wolnego czasu są m.in. granie w golfa i w polo.

Kilka słów na temat konsekwencji zwiększającej się stratyfikacji w dziedzinie kultury. Prawdopodobną w społeczeństwach zachodnich jest to, że orientacje statusowe mogą prowadzić do zakłóceń w psychice jednostek. Ludzi absorbuje dążenie do uzyskiwania oznak prestiżu, zamiast zajmowania się pracą zawodową i sprawami rodziny. Grozi to nasileniem frustracji – przez samoudręczenie i nieustanne rozterki – zakłóca normalne funkcjonowanie i prowadzi do napięć. Pozytywnym skutkiem zabiegania o prestiż byłby wzrost skłonności do polegania na sobie, jeżeli nie przeradza się to w egoistyczny indywidualizm i samowyluczenie z aktywności publicznej. Wolno przyjąć, że społeczeństwo polskie staje w obliczu podobnych problemów jak społeczeństwo amerykańskie opisywane przez Millsa w *Białych kołnierzykach*, książce z 1951 roku. Mills nazwał je „paniką prestiżu” klas średnich. Najpoważniejszym skutkiem paniki prestiżu, jak twierdził, stała się alienacja polityczna, która prowadziła do osłabiania mechanizmów sprawowania demokratycznej kontroli nad klasą rządzącą. Ludzie dobrowolnie oddali władzę elitom. Scenariusz ten o tyle nie pasuje do Polski, że my nie wycofujemy się ze sprawowania kontroli nad władzą, oddolna demokracja jest w załączkowej postaci, tak więc nie bardzo jest się z czego wycofać. W Polsce nie występują również oznaki „paniki prestiżu”, trudno nazywać paniką wzrost dążeń do demonstrowania wyższości społecznej. Natomiast coraz większemu zróżnicowaniu podlega uczestniczenie w kulturze, w szczególności coraz wyraźniej uwydatnia się rola ostentacyjnej konsumpcji.

HENRYK DOMAŃSKI



Rys. Małgorzata Tabaka

ZDZISŁAW SADOWSKI

O PRZYSZŁOŚCI BLIŻSZEJ I DALESZEJ

I.

Spowolnienie wzrostu gospodarczego w Polsce budzi zrozumiałą niepokoje. Trudno pogodzić się z tym, że nad Wisłą i Odrą też w końcu zaczęliśmy odczuwać skutki wielkiego kryzysu. Trzeba jednak umieć docenić i to, że dotychczas ich nie odczuwaliśmy zupełnie (poza posiadaczami kredytów we frankach szwajcarskich), a teraz odczuwamy w małej skali, bo nie mamy prawdziwego kryzysu ani recesji. Narzeka się na wzrost bezrobocia, ale mało kto pamięta, że 10 czy 15 lat temu mieliśmy przez całe lata znacznie większe bezrobocie, a nikt z wyjątkiem fachowców się tym nie przejmował. Każdy, kto chce narzekać na obecny stan polskiej gospodarki, powinien najpierw zrozumieć, co to jest kryzys, a w tym celu przeczytać nie podręcznik ekonomii, lecz świetną powieść Johna Steinbecka *Grona gniewu*, o ludziach dotkniętych kryzysem lat 1930-tych w USA.

Jak powinna wyglądać polityka gospodarcza w okresie kryzysu? Wypowiada się o tym wiele osób, ale tylko te bardziej doświadczone wiedzą, że żadnej korzystnej zmiany nie da się osiągnąć, póki utrzymują się warunki recesyjne w naszym otoczeniu zewnętrznym. Mamy jednak nerwowe żądania ożywienia wzrostu gospodarczego i mało kto sobie uświadamia, że tempo tego wzrostu nie jest wielkością określaną życzeniowo. Znana recepta Keynesa, wskazująca na sposób „nakręcania koniunktury” przez inwestycje publiczne finansowane z deficytu budżetowego, nie nadaje się do zastosowania w kraju wysoko zadłużonym albo takim, który musi właśnie realizować program redukcji tego deficytu, bo tego wymaga troska o następne lata.

W dniach, kiedy to piszę, Unia Europejska uzgodniła w końcu budżet na lata 2014-2020. Co prawda musi go jeszcze aprobować Parlament Europejski, ale nie sądzę, aby miał go odrzucić w obecnej sytuacji kryzy-

sowej. Budżet został porządnie obcięty, ale nie dotknęło to funduszu spójności, a w nim sum dla Polski jako głównego beneficjenta. Jest to bezsprzecznie wielka korzyść i chyba na ogół zdajemy sobie z tego sprawę, choć pewnie nie należy nadmiernie chwalić się swoim sukcesem, skoro wszystkich dookoła dotknęła redukcja świadczeń. Tylko niezrównani PiS-owcy nie widzą w tym sukcesu, bo uznają wszystko za porażkę rządu, który nie potrafił dostać więcej.

Zasilenie unijne niewątpliwie bardzo pomoże Polsce w dalszym unowocześnianiu kraju w ciągu nadchodzących siedmiu lat i stworzyć dobre podstawy dla następnego dziesięciolecia. Są powody do oczekiwania, że po trudnym roku 2013 Europa zacznie wchodzić w okres stopniowej poprawy. Jeśli tak się stanie, można się spodziewać, że Polska osiągnie wkrótce bardzo zadowalające tempo wzrostu gospodarczego. Może nawet uda się doprowadzić je przejściowo do pięciu lub więcej procent rocznie. Przy wielu trudnościach do przewyższenia, związanych ze starzeniem się ludności, z koniecznością uzdrawiania sytuacji społecznej przez eliminację biedy, czy też z potrzebami energetycznymi kraju, okres 2015-2030 zapowiada się jako obiecujący i może przynieść dalszy wyraźny postęp w doganianiu poziomu europejskiego.

II.

A co dalej? Niestety im dalej, tym trudniej. Długookresowe perspektywy światowego rozwoju gospodarczego i społecznego są bardzo niepokojące. Zapatrzeni w codzienność, nie interesujemy się za bardzo tym, czego trzeba się spodziewać w dalszych latach od rozwoju sytuacji światowej. Wielki angielski ekonomista Keynes zajmował się tylko bieżącą polityką gospodarczą, bo – jak mówił – w długim okresie i tak wszyscy pomrzemy. Ale za jego czasów jeszcze nie było widać tych zagrożeń, jakie widzimy teraz. A przecież nie moż-

na zapominać o tym, że to, co robimy dzisiaj, kształtuje przyszłość dla naszych dzieci i wnuków. Może więc warto zamyślić się czasem nad tą nieco dalszą przyszłością.

Otóż obecny wielki kryzys światowy – sprawca naszego spowolnienia – to stosunkowo niewielki problem w porównaniu z tym, co widnieje na horyzoncie przed światem w perspektywie późniejszych dziesięcioleci XXI wieku. Zamiast kontynuacji upragnionego wzrostu gospodarczego świata grozi postępujące pogarszanie się warunków życia i związane z tym zaostrzenie się napięć międzynarodowych i międzykulturowych. Może to doprowadzić do ogólnego kryzysu bez wyjścia. Narastają bowiem szybko zagrożenia, które same się nie wchłoną, a w perspektywie mogą doprowadzić do załamania. Stają się one coraz silniejszym wyzwaniem dla ludzkiego rozumu i energii.

Po pierwsze, nieustanny wzrost produkcji rolnej i przemysłowej powoduje wyczerpywanie się naturalnych zasobów globu ziemskiego i niszczenie środowiska naturalnego. Dotyczy to zarówno ziem uprawnych, zasobów wody pitnej, jak również obszarów leśnych, a także wszelkich zasobów surowcowych. Tych procesów nie daje się wstrzymać, bo zwiększanie się liczby ludności świata o kilkadziesiąt milionów rocznie musi powodować ciągły wzrost zapotrzebowania na materialne środki zaspokajania ludzkich potrzeb, od podstawowej żywności do najnowocześniejszych dóbr trwałego użytku. Ale zasoby planety Ziemia nie są nieograniczone. Zbliża się czas, kiedy temu rosnącemu zapotrzebowaniu będzie coraz trudniej sprostać.

Drugim wielkim zagrożeniem wytworzonym przez system rynkowy są ogromne nierówności społeczne. Obecne formy rynkowego podziału dochodów przynoszą jednym nieprawdopodobne bogactwo, a rzesze innych utrzymują w biedzie, nędzy i głodzie. Świat dzieli się na kraje zamożne i ubogie, a ludność poszczególnych krajów na bogatych i biednych. Łatwo zrozumieć, że trudność sprostania zapotrzebowaniu na podstawowe artykuły żywności musi powodować wzrost cen. Najsilniej musi go odczuć ludność żyjąca w biedzie. Pierwszym objawem są wybuchy protestów i zamieszek, znane z wielu krajów, gdy kilka lat temu wskutek nieurodzaju i spekulacji nastąpił gwałtowny wzrost światowych cen żywności. Później pojawiają się coraz silniejsze konflikty społeczne. Coraz częściej przyjmują one postać aktów terrorystycznych, a potem wybuchów rewolucyjnych.

Może ktoś zauważyć, że takie wybuchy pojawiały się jak świat światem, bo zawsze byli jacyś skrzywdzeni, którzy domagali się poprawy losu, a ich walka zmieniała czasem świat na lepsze. To prawda, ale wielką różnicę powoduje to, że jeszcze w czasach II wojny światowej glob ziemski zamieszkiwały 2 miliardy ludzi, a obecnie jest nas 7 miliardów i liczba ta dalej rośnie.

Zagrożenia, o których mowa, wynikają ze sposobu działania gospodarki rynkowej. System ten, dominujący w świecie od ponad 200 lat, ma wielkie zalety, ale i wielkie wady. Dzięki wyzwoleniu ludzkiej przedsiębiorczości i kreatywności przyniósł i przynosi nadal ogromny postęp w podnoszeniu dobrobytu i ulepszaniu materialnych warunków życia ludzi, przyczynia się do nieustannego rozwoju ludzkiej wiedzy i technicznych

umiejętności działania. Z drugiej jednak strony sposób realizowania się tego postępu przynosi te zagrożenia, które w naszych czasach stały się bardzo realnymi groźbami.

Logika rozwoju każe przewidywać, że lokalne konflikty mogą stopniowo przyjąć kształt wielkiego konfliktu międzynarodowego pomiędzy biednymi i bogatymi, w czym pomagać mogą różnice, starcia i wrogości między kulturami, wyznaniem religijnymi i tradycjami narodowymi.

III.

Nie jestem katastrofistą i nie chcę nikogo straszyc ani twierdzić, że tak będzie. Twierdzą jednak, że warto wiedzieć, co nam grozi. Po co? Po to, aby do tego nie dopuścić. Trzeba zdawać sobie sprawę z zagrożeń po to, aby się im nie poddać. Katastrofa nie jest nieunikniona, jeśli ludzkość potrafi należycie wykorzystać postępy wiedzy i zapewnić to, czego dotychczas osiągnąć się nie udaje, mianowicie wielkie porozumienie i współdziałanie międzynarodowe oraz międzykulturowe.

Rozwój gospodarczy i społeczny świata doszedł do stanu, kiedy coraz silniejsza staje się potrzeba świadomego konstruowania nowego ogólnoswiatowego ładu ekonomicznego i społecznego, w którym priorytetowy nacisk będzie kładziony na realizację potrzeb ekologicznych i usuwanie przyczyn napięć społecznych. Jak konkretnie miałyby ten ład wyglądać? Można wyrazić przypuszczenie co do jego głównych rysów, ale odpowiedź nie może dać żaden samotny myśliciel. Odpowiedź może przynieść tylko zbiorowy, ponadnarodowy wysiłek wschodzącego pokolenia. Chodzić będzie o to, aby zapanować nad wadami funkcjonowania systemu rynkowego, nie usuwając jego zalet. Doświadczenie totalizmu komunistycznego wskazuje, że nie można zrezygnować z konkurencji rynkowej, gdyż bez niej zanika motywacja do działania, pomysłowość i inicjatywność, a powstaje zabójcza biurokracja i ucisk. Ale trzeba ten mechanizm rynkowy jakoś wzbogacić przez korygowane jego wady i dodanie mu racjonalnego sterowania. Pożądane zasady tego sterowania są od dość dawna znane, a nawet częściowo stosowane, w postaci idei trwałego rozwoju, społecznej gospodarki rynkowej czy państwa opiekuńczego. Pozostaje jednak wielkie pytanie, na które wciąż nie ma odpowiedzi: kto ma tym sterować?

Jest rzeczą jasną, że wprowadzanie takiego nowego ładu na skalę światową wymagać będzie wielkiego porozumienia międzynarodowego, czyli rezygnacji z setek tak zwanych suwerenności narodowych na rzecz wspólnego celu. Jednakże rozbieżność bieżących interesów różnych krajów nie pozwoliła dotychczas na osiągnięcie porozumienia nawet w takiej sprawie jak ochrona klimatu. Owszem, jeszcze u schyłku poprzedniego stulecia przyjęty został pod auspicjami ONZ program działania na wiek XXI (pod nazwą Agenda 21), który w kilka lat później został wzbogacony przez przyjęcie listy tzw. celów milenijnych. Na czele tej listy znalazła się, chyba bardzo słusznie, walka o ograniczenie biedy. Po obiecującym początku okazało się jednak, że program ten nie przynosi pożądanych wyników, a świat nadal nie potrafi uwolnić się od zmyłu biedy i głodu.

Nie ma chyba innego sposobu, tylko trzeba, aby nowe pokolenia postarały się o rozwinięcie wielkiego ogólnoswiatowego ruchu społecznego na rzecz niezbędnego porozumienia i zastosowania właściwej strategii rozwoju. Ale w tym celu trzeba rozszerzać zrozumienie tego, co się naprawdę dzieje i co wszystkim mieszkańcom Ziemi ostatecznie grozi.

Nie są to jednak proste sprawy. Wiele poglądów musi ulec rewizji. Na przykład w dziedzinie ekonomii panuje przekonanie, że podstawowym celem polityki gospodarczej każdego kraju jest zapewnienie jak najszybszego tempa wzrostu PKB. Tymczasem coraz silniej nie pasuje to do rzeczywistości. W długiej perspektywie wzrost PKB nie może dawać recepty na kształtowanie rozwoju, skoro ekspansja produkcji nieodwracalnie zużywa naturalne zasoby świata, a jej pożytki nie docierają do paru miliardów ludzi żyjących w nędzy i mrących z głodu.

Nie widać jednak możliwości hamowania wzrostu gospodarczego mimo jego destruktywnych następstw. Nie może on przestać być celem i zadaniem rozwoju dla krajów ubogich i mniej rozwiniętych. Jest to bowiem jedyny sposób podnoszenia ich poziomu życia. Może więc należałoby postarać się o wstrzymanie wzrostu w krajach wysoko rozwiniętych po to, aby móc go przyspieszyć w ubogich? W ostatnich latach rynek sam stworzył taki właśnie układ, bo kryzys i spadek produkcji najsilniej odczuły zamożne kraje Ameryki i Europy. Ale w grupie ubogiej szybko rozwijają się tylko niektóre kraje, prawda że wielkie, jak Chiny i Indie, a większość pozostaje na swoim dotychczasowym poziomie lub przeżywa rosnące trudności. Zaś w krajach wysoko rozwiniętych także są wielkie grupy ludności o stosunkowo niskich dochodach, które nie godzą się na takie upośledzenie i domagają się poprawy losu, a tę może przynieść tylko wzrost gospodarczy. Mamy tu więc na razie problem pozornie nie do rozwiązania.

IV.

W budowaniu nowego ładu przeszkadzać będzie również nowa forma, do jakiej ewoluował współczesny system rynkowy w ciągu ostatnich 30 lat. Określam tę formę mianem wynaturzenia, gdyż jej istota polega na zdominowaniu działania całego systemu gospodarczego przez rynki finansowe i kapitał finansowy. Istotą gospodarki zawsze było i być powinno zaspokajanie ludzkich potrzeb. Banki, giełdy i rynki finansowe pełniły funkcje usługowe, wspomagając obroty handlowe akcją kredytową i technicznymi ułatwieniami przepływu środków pieniężnych. Funkcja ta jednak w ciągu krótkiego czasu rozrosła się na tyle, że międzynarodowy system finansowy urósł do roli głównego ogniwa gospodarki, służącego obrotowi kapitałem finansowym w celu osiągnięcia zysków z lokat. Gra giełdowa stała się podstawowym sposobem pomnażania kapitału przez jego posiadaczy. Powstały liczne i nieprawdopodobnie różnorodne formy lokowania pieniędzy. Techniczna łatwość błyskawicznego przenoszenia kapitału w poszukiwaniu korzyści sprawiła, że obroty na rynkach finansowych zaczęły wielokrotnie przewyższać obroty handlu międzynarodowego, stały się więc jak gdyby ważniejszym obszarem gospodarki niż produkcja i wymiana towarów, obszarem kształtującym ceny, kursy

walut, oprocentowanie kredytów i ogólną koniunkturę. Ogromną rolę uzyskały tak zwane agencje ratingowe, czyli firmy zajmujące się bieżąco oceną intratności lokat i w ten sposób sterujące międzynarodowymi przepływami kapitałów.

To wynaturzenie doprowadziło w roku 2007 do załamania w systemie bankowym USA, a następnie do głębokiego kryzysu finansowego, który objął Europę i szybko przekształcił się w ogólny kryzys gospodarczy, a potem w trwającą dotychczas sytuację stagnacyjno-recesyjną. Wybuch kryzysu zrodził natychmiast powszechne domaganie się rekonstrukcji światowego systemu finansowego, pozbawienia go dominacji i przywrócenia funkcji usługowej. Okazało się jednak, że nie daje się tego zrealizować, gdyż zbyt wielka jest siła wielkich centrów kapitału finansowego. Problem pozostaje więc otwarty.

V.

Skoro wiadomo, że sposób działania światowego systemu gospodarczego prowadzi do narastania zagrożeń i powinno się dążyć do nowego ładu, ale nie daje się na razie tego robić, to powstaje istotne pytanie, jakie zalecenia mogą z tego wynikać dla takiego średniej wielkości kraju europejskiego, jak Polska. Otóż nasuwają się dwa wnioski.

Pierwszy jest taki, że mimo uzasadnionych obaw o przyszłość świata i zastrzeżeń co do roli wzrostu gospodarczego, a może właśnie z ich powodu kraj taki musi – póki można – trwać w nastawieniu na likwidowanie swego zapóźnienia przez szybki wzrost PKB. Tylko to bowiem może mu zapewnić lepsze warunki przetrwania. Wzrost ten powinien jednak być wyraźnie skierowany ku dwóm podstawowym priorytetom. Jednym jest likwidowanie wielkich nierówności społecznych, jakie narosły w wyniku naszej transformacji systemowej i znajdują wyraz w endemicznej biedzie, w której żyje parę milionów Polaków. Drugim jest nastawienie na tworzenie i rozpowszechnianie wiedzy niezbędnej dla kształtowania wzrostu w sposób nowatorski i dostosowany do potrzeb przyszłości. Oznacza to przeznaczanie poważnych nakładów na rozwój nauki i kultury, które trzeba traktować jako inwestycje o podstawowym znaczeniu.

Drugi wniosek to konieczność aktywnego uczestniczenia w tworzeniu wielkiego porozumienia międzynarodowego, mającego służyć budowaniu nowego ładu światowego. W przypadku Polski droga do tego prowadzi poprzez zacieśnianie związku z Unią Europejską, a więc przystąpienie do unii monetarnej czyli strefy euro oraz wspieranie kierunku na zwiększanie i pogłębianie integracji. Jest to duży temat, wymagający osobnej refleksji, zwłaszcza że budzi wielkie opory wśród tych wszystkich, którzy boją się utraty suwerenności w imię trwałości tradycji narodowych. Nie rozumieją oni, że w dzisiejszym, a zwłaszcza jutrzejszym świecie tradycje narodowe będą utrzymywane nie przez odrębności formalno-prawne, lecz przez troskę o tożsamość kulturową, a tę w najgorszych okresach historii zawsze potrafiliśmy utrzymywać i nigdy nie powinniśmy jej utracić.

ZDZISŁAW SADOWSKI

ANDRZEJ BANAŚ

RP – RZECZPOSPOLITA POŚREDNIA

***„Żaden kraj nie może być dobrze rządzony,
dopóki wszyscy jego obywatele nie będą pamiętać,
że to oni są strażnikami prawa,
zaś urzędnicy jedynie środkiem jego stosowania”.***

Mark Twain

Na co dzień, zapominając o dobrych manierach, chętniej określam ich jako ważniaków i tyleż w tym niechęci, co podziwu. To nie żart. Podziwiam odwagę, za sprawą której mnóstwo umiarkowanie kompetentnych (bywa gorzej) piastuje wysokie stanowiska w burzliwie się rozwijającej administracji publicznej. O obietnicach jej zredukowania zapomnijmy, bowiem warto zauważyć, że obok demokracji pośredniej lub, jeśli ktoś woli – przedstawicielskiej, żyjemy w modelu, mnożącego liczbę biurokratów, pośredniego rządu.

Konsekwencje są poważne i należy je rozpatrywać w dwu współzależnych warstwach. Nie wystarczy spojrzeć na problem z punktu widzenia kosztów rosnącego zatrudnienia, które w obliczu kryzysu odczuwalne jest ostro i rośnie związany z tym poziom społeczny niezadowolenia. Tak na rzecz patrząc myliliśmy skutek z przyczyną, zaś prawdziwą nieszczęścia przyczyną jest wspomniany wyżej cudaczny model rządów pośrednich, przez co rozumiem burzliwy wzrost liczby podmiotów administracji publicznej, rządowej, która ustanawia szczególnego rodzaju decyzyjny bufor – zderzak czyniący rzeczywiste rządy (może rządzenie?) czystą iluzją i nie zmieniają tego faktu żadne opowieści samozwańczych ekspertów wygłaszających brednie pod hasłami merytokracji, czyli słabo kontrolowanej i uwolnionej od demokratycznych legitymacji zgrai niby-specjalistów, tych, którzy wiedzą lepiej niż napędzana populizmem gawiedź, której jedyną rolą jest co czas pewien pójść i wrzucić do urny karteczkę. Resztą już,

mogłoby się wydawać, zajmą się wsluchani uważnie i na co dzień w głos wyborców, wybrańcy.

Nie dziś. Resztą otóż, czytaj – rządem, zajmą się wybrańcy wybrańców, którzy mocni „merytorycznie” obejmą wiodące funkcje w bogatym i szalenie urozmaiconym asortymencie organów naczelnych lub centralnych, których już samo nazewnictwo stanowić może temat dla drobiazgowej analizy struktury administracyjnej państwa.

Nie zamierzam tego, bowiem to sprawa dla specjalistów, nie zawadzi jednak przypomnieć, że mamy już mnóstwo (i coraz więcej!) agencji, funduszy, izb, głównych lub nie inspektoratów, kas, dyrekcji generalnych lub nie, urzędów, komisji zwykłych lub centralnych, komitetów, centrów wreszcie. Większość z nich to całkiem nowe „wynałazki” rodzimego chowu lub implantry zapożyczone od rozwiniętych wyżej. Zauważmy też, że stoi za tym całkiem niematy szmal, jeśli spojrzeć na strukturę i wysokość wynagrodzeń, zaś jeśli zważyć, że to w większości jednostki budżetowe, oglądamy tutaj prawdziwe kopalnie złota, które wedle prawa geologicznego są własnością publiczną, dobrem narodowym – publicznymi pieniędzmi.

Tamże, nie miałem na myśli kopalni lecz „specjalistyczne organa”, znalazło się miejsce dla szefów, prezesów, głównych lub generalnych inspektorów, zwyczajnych lub generalnych dyrektorów. Zauważmy przy okazji, pozostając przy geologicznej metaforze, że diamentów tam bardzo niewiele.

Dość żartów.

Przeniesiony żywcem do polskiej ustawy zasadniczej opisany w rozprawie *O duchu praw* przez niejakiego Ch. L. Montesquieu kanon trójpodziału władz na ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą już dzisiaj możemy zaliczyć do przeszłości. W modelu klasycznym, zostawmy na boku władzę sądowniczą, demokracja przedstawicielska polegać miała na tym, że wybrany przez obywateli parlament wybierał rząd, ten zaś zajmował się rządzeniem. Rozmyślnie posłużyłem się czasem przeszłym, bowiem dzisiejszy kształt kierowania państwem, szkoda że tak skutecznie przeniesiony do nas z „krajów wysoko rozwiniętych”, sprowadza rolę rządu do dosyć niezdarnych prób kontrolowania lub wpływania na działania (może wręcz działalność) „ekspertów”, których z mocy prawa wyposażono w realną władzę. Właśnie tak, z mocy prawa, boć przecie przeważająca ich część funkcjonuje na podstawie ustaw, chroniona przez prawne fortyfikacje i możliwość ingerencji rządów jest tutaj niewielka lub żadna zgoła.

To nic innego jak czwarta władza i powiastki, jakoby były nią media, to nieporozumienie, bo w najlepszym wypadku należy je umieścić w tej klasyfikacji na piątej pozycji. Ta czwarta zaś uzbrojona w możliwości kontrolne wzmocnione jeszcze prawem nakładania kar czyni demokratyczny model państwa tak bardzo pośrednim, że podwoił się dystans dzielący władzę wykonawczą (czytaj rząd) od obywatela – wyborcy, od społeczeństwa.

To niepokojące zjawisko degenerowania się demokracji dostrzeżone zostało pod koniec minionego stulecia przez kilku badaczy, którzy swój krytyczny stosunek do sprawy wyrazili wprost określając ten model uszkodzonej demokracji państwem regulacyjnym (także kapitalizmem regulacyjnym), zaś przedstawicielom czwartej władzy nadali miano regulatorów. Ta wcale liczna grupa badawcza złożona głównie z ekonomistów i politologów różnych narodowości posiłkując się badaniami przeprowadzonymi w blisko pięćdziesięciu krajach odnotowała powołanie w czterdziestoletnim okresie (1970–2010) ponadpięćset różnego autoramentu regulatorów podmiotów, najczęściej agencji, które skutecznie przejmowały przy należne rządom kompetencje.

Ze smutkiem odnotujemy, że Polska w tym wyścigu mnożenia regulatorów plasuje się w ścisłej światowej czołówce i przyczyn jest długi szereg. Nie jest to jedynie rezultat dość skądinąd bezkrytycznego naśladowania amerykańskich wzorców, lecz także, co uznać można za zjawisko epidemiczne, silnych wpływów innych „regulatorów” w Europie i na świecie. Nie wolno też bagatelizować słabości lub, mocniej może, braku społeczeństwa obywatelskiego, które, słabe bo słabe, skłonne jest brak zaufania do polityków kompensować sobie nadziejami wiązanyymi z eksperckim modelem rządzenia. Ten zaś, szczególnie będąc podatnym na różnego rodzaju i z różnych kierunków płynące naciski owocuje, obok szkodliwych społecznie i ekonomicznie skutków bezpośrednich, dalekosiężnymi szkodami w prawie. Sama żywa prawda, bo regulatorów wyposażono także w poważne możliwości legislacyjne prowadzone już to wprost, już to za pomocą przy-

pominających lobbing posunięć wewnętrznych i zewnętrznych.

Z prawdziwym przerażeniem znalazłem niedawno w sieci informację, że w Amsterdamie odbyła się kolejna już konferencja organizacji RIPE NCC (to taki organ zrzeszający regulatorów internetowych), której tematem był zamysł „zidentyfikowania potencjalnych strategii internetowego rozwoju”. Tytuł lub temat w moim mniemaniu rozmyślnie określono tak uczucie, żeby nie oznaczał niczego lub był nie do rozszyfrowania dla zwyczajnego śmiertelnika. Ważne jednak jest coś innego. Dalej bowiem czytamy, że ów potencjalny rozwój po uprzednim rzecz jasna zidentyfikowaniu paru rzeczy będzie polegał między innymi na określeniu „roli regulatorów i rządów w kontekście...”. Uczona grypsa nie przeszkodziła mi mimo wszystko zauważyć kto tu na czele, kto ważniejszy. Regulatory i regulatorzy. Równie ważne jest, aby nie zapomnieć, że czy się nam to podoba czy nie, internetowa komunikacja już się stała systemem nerwowym tej planety. Tak więc regulacja regulacją, ale uwolnienie tego układu nerwowego od społecznej, obywatelskiej kontroli lub tylko jej osłabienie może spowodować niewyobrażalne szkody. W gospodarce, polityce, wszędzie.

Zabrzmiał pewnikiem jak bluźnierstwo stwierdzenie, że szczęśliwym zrzędzeniem losu światowy kryzys, szkoda że nie do końca, zahamował nieco żwawo dotąd przebiegającą rozbudowę regulacyjnego aparatu. Wygodnego, boć rząd znanym z dawna kelnerskim obyczajem może w każdej trudnej sytuacji odburknąć natrętnemu obywatelowi – to nie ja, to kolega, prezes (świadomie z małej litery!!!), urząd lub agencja X.

Może więc pora nie zadowolić się przyhamowaniem i podjąć terapeutyczne działania, które trafniej chyba trzeba by określić jako chirurgiczne. Skoro (patrz przyszłoroczny budżet) musimy ciąć wydatki, nie ma powodu, żeby nie zacząć od regulatorów. Tak bywa w chirurgii. A że przy okazji niejako zmniejszą się wydatki, to i dobrze.

Pozostając przy medycznej metaforze, poprobujmy poszukać kierunków, od których wypadałoby zacząć przygotowania do bolesnych zabiegów.

Kryteriów może być sporo, wszakże wskazaniem numer jeden winny być kompetencje, przy czym rozumieć przez to nie zakres uprawnień, lecz umiejętności ich wykorzystywania, użytkowania, które, niechaj mi będzie wybaczone, po owocach rozpoznać łatwo. Obrodziło lato w regulatorów sadzie.

Postanowiłem nie ulec pokusie i nad „centralnym organem administracji rządowej właściwym w sprawach dróg krajowych” znęcać się nie zamierzam uznawszy, że w sprawie autostrad napisano i powiedziano już wszystko i pora najwyższa na wnioski i konsekwencje, także personalne. Chciałbym jednak bardzo, aby dostrzeżono, że ów centralny organ nie jest jedynym winowajcą klapy, która zdemolowała polski rynek budowlany tak dalece, że niektórzy znawcy przedmiotu prorokują upadek 40 procent polskich firm budowlanych.

O możliwych tego skutkach dla rozumianej szeroko gospodarki krajowej, w tym szczególnie dotkliwego społecznie wzrostu stopy bezrobocia lepiej nie wspominać. Warto natomiast pamiętać, że poważne zasługi dla tej katastrofy przyznać należy „centralnemu orga-

nowi administracji rządowej właściwemu w sprawach ochrony konkurencji i konsumentów”, i paru jeszcze centralnym organom. W pierwszej jednakże kolejności tym, które wypisują i opowiadają koszałki-opałki na temat efektywności i zabierają się nieproszone do stymulowania rynku. Ten budowlany stymulowano wyjątkowo ostro i oto skutki.

Gwoli rozjaśnienia ponurej tonacji, do której nieco dalej powrócimy, odnotujmy pewną ciekawostkę. Wertując przydługi spis różnych organów natrafiłem mimochodem na informacje dotyczące zawodów wyuczonych lub wykonywanych przez polskich parlamentarzystów. Jest tam więc około pięćdziesięciu zawodowych posłów i nie zadawajmy pytania czy to fach wyuczony czy wykonywany. Tyluż jest prawników i, interesujące, 26 politologów. Przyszło mi do głowy, że skoro politolog umie być politykiem, wydaje się oczywistym, że ornitolog powinien umieć latać. Coś mi szepce, że nie doceniam politologów, bowiem właśnie jeden z nich, nie ornitolog, uchodzi za eksperta od infrastruktury, komunikacji i lotnictwa. Nazwisko postaram się przypomnieć sobie wkrótce. O podobnych sukcesach ornitologów na razie nie słyszałem, ale kto wie?

Powróćmy do naszych organów, przy czym uroczycie oświadczam, że to hasło w żadnym razie nie oznacza, mimo iż w tłumaczeniu pojawiłby się rym, zamiaru przypomnienia niejakiego mistrza Pathelin – *revenons a nos moutons*. Powróćmy tedy do naszych baranów.

Zaledwie przed kilku tygodniami pewien dach zamówiony jak wiadomo przez właściwy organ, w tym przypadku spółkę celową (powołaną za pomocą sławnej specustawy o Euro 2012), przyniósł naszemu krajowi ogólnoplanetarny rozgłos.

Nie sposób tu uniknąć dywagacji. Parasol, jak powszechnie wiadomo, jest rzeczą zgubliwą. Sprawa z dachem zwykle skłania do poważnej refleksji, czym zastąpić ten niedawno zgubiony, który przetrwał wiele ulew, nawałnic i podobnych klęsk żywiołowych. Pozostawiając na boku walory estetyczne trzeba pierwszeństwo przyznać funkcji. To ustrojstwo ma chronić przed deszczem, co oznacza, że rozpościeram go osłaniając głowę i całą resztę, kiedy zaczyna padać. Tak oto dotarliśmy do prostego pytania – po jaką będę mi parasol wymuszający na mnie decyzję o otwarciu lub zamknięciu po uprzednim starannym badaniu prognozy pogody, zamiast prościutkich działań podejmowanych doraźnie? Pada – otwieram, wyszło słońeczko – zamykam.

Następne pytanie zawiera właściwie odpowiedź na zadane poprzednio. Po jaką będę jest mi potrzebny dach, niewątpliwie olśniewającej urody, którego nie mogę używać podobnie jak parasola, czyli zgodnie z jego przeznaczeniem. Do pozdrowień dla spółki celowej, czym wyrażam niniejszym nie całkiem szczerą sympatię do organów, pozwalam sobie dołączyć apel adresowany do tych, którzy ją powołali. Zadbajmy, jeśli już inaczej nie można (a można!!!), przy kolejnych poczęciach o kompetencję i odrobinę wyobraźni. To jako żywo, nie są rzeczy, których nie można pogodzić, choć wokół nie brak przykładów zgoła odwrotnych.

Ważny centralny organ popisał się całkiem niedawno, łagodnie rzecz nazywając, zdumiewającą powściągliwością w bursztynowo-złotej aferze, nie dostrzeżają,

że rzecz ma charakter sprytnie skonstruowanej piramidy finansowej. Klania się znamy od lat schemat Charlesa Ponziego, którego organ nie był uprzejmy (może nie umiał?) dostrzec. Erupcja skarg i protestów zaowocowała, jak zwykle u nas bywa w tego rodzaju sprawach, konceptem nowelizacji ustawy powołującej ten organ. Wyłania się tu przy okazji niejako problem „doraźniactwa” w polskim procesie stanowienia prawa, który to, proces oczywiście, ma od długiego czasu charakter „reaktywny”. Coś się wydarzy, statek nabiera wody i przywołujemy na pomoc ratowniczą ekipę legislacyjną dla załatwienia prawnej dziury. Zupełnie niepotrzebnie, ponieważ elementarna umiejętność czytania wskazuje, że w odniesieniu do opisywanego przypadku i organu jest tam wszystko co trzeba. Z tą umiejętnością od dawna jest kłopot, bowiem miejsce zwyczajnego lenistwa, opieszłości, niedbalstwa zastąpiono w naszym słowniku magiczną łąką sztuczka – dysleksja. Nie da się uniknąć pytania, czy aby na pewno należy dyslektykom powierzać ważne funkcje w organach? Nie wiem, aliści z umieszczeniem ich w organach centralnych zachęcałbym do większej ostrożności.

Podsumujmy.

Kompletna lista organów „zasłużonych” dla dzisiejszego stanu gospodarki byłaby bardzo długa i trudno się w tej sytuacji dziwić, że marzy mi się jej skrócenie. Nie tylko o tych zasłużonych, lecz także tych, które pojawiły się w naszym prawnym i państwowym porządku za sprawą osobliwej mody, nie ukrywajmy że stymulowanej z zewnątrz, czasem formalnie (patrz MFW czy Bank Światowy), częściej jednak za pomocą półoficjalnych nacisków bratnich, eksperckich nacisków wywieranych przez organa, które wyposażone w moc sprawowania władzy pośredniej uznały się za upoważnione do rozsiewania tego modelu sprawowania rządów możliwie szeroko. Tak być nie musi. Tak być nie powinno. Im prędzej nadejdzie czas chirurgii, tym lepiej i bezpieczniej dla gospodarki. Także dla społeczeństwa, bowiem rozdzielanie tych dwu punktów widzenia jest, jak poucza ekonomia i parę jeszcze dziedzin nauki, niebezpiecznym błędem. Pamiętajmy też o politologach.

Domyślności czytelnika pozostawiam ustalenie, od likwidacji którego urzędu czy organu sugerowałbym zacząć porządkowanie polskiego systemu rządzenia. Dla ułatwienia jednak dodam, że to podmiot, który uważam za stymulatora mnóstwa niemądrych wytycznych, autora fatalnych interpretacji wielu nie wymagających tych zabiegów przepisów, winowajcę wysoce niefortunnych rozwiązań dotyczących wydatków publicznych, tragicznych wręcz prób definiowania na nowo wielu pojęć, których poprawiać lub wyjaśniać nie trzeba, autora doraźnych nowelizacji, które z każdym kolejnym podejściem psują już i tak mocno sfatygowane prawo, dla którego wedle przepisów jest organem właściwym.

Uczciwie przyznaję, że prawidłowego, jednego rozwiązania tej łamigłówki nie ma. Znaczna liczba prawnych odpowiedzi czyni rzecz trudniejszą, co nie oznacza, że nie warto próbować.

LECH M. NIJAKOWSKI

DZIEDZICTWO AKCJI „WISŁA”

W ubiegłym roku obchodziliśmy 65-lecie akcji „Wisła”. Rozpoczęła się 28 kwietnia 1947 roku, a w jej wyniku wysiedlono z ojczystrych terenów Ukraińców i Łemków oraz rozproszono ich na nowo na pozyskanych Ziemiach Zachodnich i Północnych. Epizod ten do dziś dzieli Polaków i Ukraińców. Rocznica oraz emocje, jakie wzbudziła, są okazją do przyjrzenia się, z jakim dziedzictwem akcji „Wisła” musimy się dziś zmagać i co stan debaty publicznej mówi nam o polskiej pamięci zbiorowej oraz dominujących wyobrażeniach społecznych.

Druga wojna światowa do dzisiaj ciąży na społeczeństwie polskim. Jak zadeklarowało 72 proc. respondentów w badaniach CBOS z 2009 roku, ostatnia wojna światowa jest dla nich „ciągle żywą częścią historii Polski, o której trzeba stale przypominać”¹. W szczególności relacje Polaków z innymi narodami zależne są od pamięci zbiorowej wojny. Dotyczy to zwłaszcza Ukraińców. W czasie badania przeprowadzonego w 2009 roku przez Pentor Research International na zamówienie Muzeum II Wojny Światowej zapytano respondentów o to, czy w rodzinnych wspomnieniach zachowały się opowieści o kontaktach w czasie II wojny światowej pomiędzy członkami ich rodzin a innymi narodami. Okazało się, że próg 5 procent przekroczyło tylko pięć nacji: Niemcy, Rosjanie, Żydzi, Ukraińcy i Anglicy. Następnie zapytano badanych o to, jakie wspomnienia zachowały się w rodzinach. Okazało się, że z wymienionych pięciu najważniejszych nacji, trzy obsadzone zostały w roli wrogów: Niemcy, Rosjanie i Ukraińcy. Co zaskakujące, na pierwszym miejscu jeśli idzie o wspomnienia zdecydowanie złe, są Ukraińcy, dopiero na drugim Niemcy, a na trzecim Rosjanie. Zsumowanie odsetek odpowiedzi: „zdecydowanie złe” i „raczej złe” nie zmienia hierarchii: Ukraińcy (63,8 proc.), Niemcy (62,6 proc.), Rosjanie (57 proc.)².

W PRL dominował dyskurs antyniemiecki. Zagrożenie ze strony „burżuazyjnych” Niemiec (bo te „demokratyczne” oficjalnie były dobre, choć mało który Polak na takie ideologiczne klisze przystawał) służyło legitymizacji władzy PZPR i sojuszu militarnego ze Związkiem Radzieckim – gwarantem przynależności Ziemi Odzyskanych do Polski. Nacjonalistyczna per-

spektywa określała także historiografię³, wbrew stereotypowi, że PRL oparty był na internacjonalistycznej wizji świata. Po przemianach 1989 roku, mimo wielu wzajemnych uprzedzeń i pamięci dramatycznych doświadczeń II wojny światowej udało się wyjątkowo szybko doprowadzić do zmiany postaw i przedyskutowania trudnych tematów z dziejów najnowszych. Choć wiele jeszcze dzieli oba narody, czego doskonałym przykładem jest wyboista droga, która miała doprowadzić do opracowania wspólnych założeń podręcznika do historii dla szkół powszechnych, to jednak otwarcie debaty wygasilo emocje i przeniosło zarówno współpracę, jak i rywalizację, na pragmatyczny obszar interesów ekonomicznych i politycznych.

Relacje polsko-ukraińskie charakteryzuje zupełnie odmienna dynamika. W bloku wschodnim Ukraińcy oficjalnie byli ofiarą III Rzeszy, tak jak Polacy, walczący w Armii Czerwonej, która wyzwoliła oba narody spod niemieckiej okupacji. Losy Ukrainy rozpyływały się w zgłajszachtowanej oficjalnej wykładni Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Ukraińska Powstańcza Armia, podobnie jak AK czy NSZ, były traktowane jako nacjonalistyczne formacje na usługach kapitalistów (czytaj: faszystów). Pamięć mieszkańców Kresów, dotkniętych rzezią przeprowadzoną przez oddziały UPA, wysiedlonych po wojnie na nowo uzyskane Ziemie Zachodnie i Północne, przekazywana była głównie w rodzinach. Powojenne konflikty polsko-ukraińskie stały się zaś częścią martyrologii utrwalania władzy ludowej. I, co wyjątkowe, był to ten epizod, którego propagandowa wykładnia trafiała do przekonania wielu Polakom. Rewizję tych poglądów utrudniała nie tylko bolesna przeszłość, którą wreszcie można było w dowolny sposób upamiętniać, ale także gorący nacjonalizm, który eksplodował w zachodniej Ukrainie po uzyskaniu niepodległości.

Warto zatem spojrzeć na akcję „Wisła” w szerszej perspektywie – nie tylko relacji polsko-ukraińskich, ale również stanu polskiej pamięci zbiorowej i dyskursu publicznego poświęconego interpretacji przeszłości.

Spirala zemsty 1943-1947

Nie da się zrozumieć źródeł i charakteru akcji „Wisła” bez spojrzenia na nią w długiej perspektywie czasowej. Wśród ukraińskiego chłopstwa i inteligencji żywy był stereotyp Lacha jako niesprawiedliwego szlachciury, który przez wieki wyzyskiwał Ukraińców i krwawo tłumił wszelkie oznaki oporu⁴. Walka o grani-

¹ *Siedemdziesiąt lat od wybuchu II wojny światowej. Raport z badania Aktualne problemy i wydarzenia przeprowadzonego w dniach 6-12 sierpnia 2009 roku, zrealizowanego na reprezentatywnej próbie losowej dorosłych mieszkańców Polski (N=1040). Opracowanie: Michał Strzeszewski.*

² Oczywiście, w wartościach bezwzględnych sytuacja przedstawia się inaczej. Szczegółowe omówienie badań: P.T. Kwiatkowski, L.M. Nijakowski, B. Szacka, A. Szpociński, *Między codziennością a wielką historią. Druga wojna światowa w pamięci zbiorowej społeczeństwa polskiego*, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Muzeum II Wojny Światowej, Warszawa-Gdańsk 2010.

³ M. Górny, *Przed wszystkim ma być naród. Marksistowskie historiografie w Europie Środkowo-Wschodniej*, Wydawnictwo TRIO, Warszawa 2007.

⁴ Szerzej: D. Beauvois, *Trójkąt ukraiński. Szlachta, carat i lud na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie 1793-1914*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2005.

cę wschodnią odrodzonej II Rzeczypospolitej, w której zwycięstwo Warszawy okupione było upadkiem projektu powstania niepodległego państwa ukraińskiego, oraz asymilacyjna polityka kolejnych rządów polskich jeszcze wzajemną niechęć spotęgowały⁵. Przykładem może być pacyfikacja Galicji Wschodniej w okresie od 16 września do 30 listopada 1930 roku. Objęła ona 493 wsi w 16 powiatach i była odpowiedzią na akcję sabotażową Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, prowadzoną od lipca (w czasie której podpalano polskie majątki, niszczone tory i linie telefoniczne). Policja i wojsko wkraczały do wsi, niszczyły książki, stroje ludowe i napisy ukraińskie, przedmioty kultury religijnej, dokonywały rewizji połączonych z niszczeniem mienia i zapasów, stosowały (zupełnie bezprawnie) karę chłosty. Według źródeł ukraińskich było siedem ofiar śmiertelnych. „Policja i wojsko zachowywały się jak okupanci wrogiego terytorium” – napisał Andrzej Garlicki⁶.

Kluczowy okazał się jednak ciąg wydarzeń zapoczątkowany przez wybuch II wojny światowej. Wojenna demoralizacja, przykład niemieckiej, ale i sowieckiej polityki narodowościowej (w tym zwłaszcza eksterminacja Żydów) oraz pamięć o siłowym źródle rozstrzygnięć politycznych po I wojnie światowej doprowadziły do rozpoczęcia przez ukraińskie organizacje niepodległościowe antypolskiej czystki etnicznej, która obfitowała w liczne rzezie ludności cywilnej. Konflikt trwał również po zakończeniu wojny. Za jego początek uznaje się pacyfikację wsi Parośla w powiecie Sarny (8 lub 9 lutego). Zarabano tam siekierami co najmniej 155 mieszkańców, w tym dzieci⁷. W wyniku rzezi na Kresach zginęło łącznie – jak podaje Grzegorz Motyka⁸ – około 100 tysięcy Polaków.

Szczególnie brutalny charakter miała antypolska akcja na Wołyniu, przybierająca na sile od marca 1943 roku. Napadano i mordowano polskie osady, zabijając – nieraz w okrutny sposób – mieszkańców niezależnie od wieku i płci. W rodzinach mieszanych narodowościowo niejednokrotnie zmuszano do zabijania najbliższych osób. Mordowano także Ukraińców, którzy sympatyzowali z Polakami lub stanowili opozycję polityczną. Niszczono polskie zabytki i pomniki, ubiegając powojenne roszczenia polskie do tych ziem. We wspomnieniach i literaturze przedmiotu możemy odnaleźć wiele mrozących krew w żyłach relacji. Nawet jeżeli te wyliczanki i opisy były wyolbrzymiane w celach propagandowych, to dobrze obrazują typ dyskursu, który rozwijali Polacy po wojnie. Tym bardziej że wobec oceniania tego tematu w oficjalnym dyskursie w PRL, wyobraźnię podsycali osobiste wspomnienia, amatorskie opracowania i beletrystyka kultywująca czarną legendę: „Ale Józka, kuzyna, Ukraińcy porznęli piłą na kawałki, jego żonę zgwałciło chyba z dziesięciu chłopów i potem kazali jej składać męża z tych kawałków. – Czy człowiek może zrozumieć takie okrucieństwo? – pyta znowu mama, która przykładów ma więcej, bo na przy-

kład koleżance Władka wylupiono oczy, potem obcięto jej nos, a na końcu – głowę”⁹.

Antypolska akcja rozwinęła się również w Galicji Wschodniej (liczba napadów zaczęła rosnąć lawinowo od lutego 1944 roku), acz miała ona odmienną skalę i charakter niż rzezie wołyńskie¹⁰. O wiele częściej ograniczano mord, eksterminując jedynie mężczyzn oraz ostrzegano wsie w akcji ulotkowej, wzywając mieszkańców do wyjazdu¹¹. W lipcu 1944 roku akcję wymierzoną w Polaków rozpoczęto również w Bieszczadach. Zmasowanym mordom i czystkom etnicznym kres przynosiły kolejne ofensywy Armii Czerwonej. ZSRR traktowała UPA jako niebezpiecznego wroga i zwalczała go z zaangażowaniem znaczących sił i środków, także przy pomocy Polaków (Polacy służyli w podporządkowanej NKWD milicji pomocniczej, tzw. Istribitielnych Batalionach¹²).

Polacy nie pozostawali jednak bierni. Z rąk polskich w latach 1943-1947 – w wyniku działań samoobrony i akcji odwetowych w czasie wojny oraz wojsk polskich w PRL – zginęło od 10 do 15 tysięcy Ukraińców¹³. Niektóre akcje przeprowadzali wspólnie Niemcy wraz z oddziałami policji złożonymi z Polaków. Polacy nie tylko zabijali Ukraińców broniąc się przed napadami, ale także z zemsty pacyfikując wioski ukraińskie. Ta karta wojny polsko-ukraińskiej jest nieustannie wypierana ze świadomości zbiorowej. Symbolem polskich akcji odwetowych stała się wieś Pawłokoma. Na początku marca 1945 roku oddział Józefa Bissa „Wacława” opanował miejscowość, rozstrzelał mężczyzn, część kobiet i dzieci zamordowano, a resztę wypędzono. Zginęło prawdopodobnie ponad 300 osób¹⁴. Wydarzenia te zostały upamiętnione w 2006 roku, gdy prezydenci Lech Kaczyński i Wiktor Juszczenko wspólnie odsłoniли pomnik poświęcony zabitym Ukraińcom.

Warto odnotować, że świadomość, iż ofiarami rzezi na kresach południowo-wschodnich II Rzeczypospolitej byli nie tylko Polacy coraz silniej zaznacza się w polskiej pamięci zbiorowej. Zgodnie z cytowanymi badaniami Pentora, według respondentów, którzy słyszeli o walkach, ofiarą tego konfliktu są przede wszystkim Polacy (61 proc.). Na Polaków i Ukraińców wskazało 38,3 proc. Jedynie 6,9 proc. wspomniało o Ukraińcach, 3,5 proc. o Żydach, 2,2 proc. o Rosjanach. Tylko 2,5 proc. nie znało odpowiedzi. Dla polskiego społeczeństwa jest to zatem konflikt, w którym bezdyskusyjną ofiarą byli Polacy, zaś sprawcą – Ukraińcy. Obraz nie jest jednak czarno-biały, gdyż znacząca część respondentów dopuszcza, że ofiarami mogły być także osoby narodowości ukraińskiej, choć nie precyzuje, kto był ich katem – inni Ukraińcy (a jak wiadomo, UPA mordowała także Ukraińców wspierających Polaków i stanowiących opozycję polityczną) czy Polacy (w ramach akcji odwetowych).

Akcja „Wisła”

Bezpośrednim kontekstem akcji „Wisła” były wysiedlenia Ukraińców do Związku Radzieckiego. Nie dzi-

⁵ W. Mędrzecki, *Polityka narodowościowa II Rzeczypospolitej a antypolska akcja UPA w latach 1943-1944*, w: G. Motyka, D. Libionka (red.), *Antypolska akcja OUN-UPA 1943-1944. Fakty i interpretacje*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2002, s. 14-18.

⁶ A. Garlicki, *Piękne lata trzydzieste*, Prószyński i S-ka., Warszawa 2008, s. 117-119.

⁷ G. Motyka, *Od rzezi wołyńskiej do akcji „Wisła”. Konflikt polsko-ukraiński 1943-1947*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011, s. 91-92.

⁸ Tamże, s. 447.

⁹ B. Szczepeła, *Rajski ogród*, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Muzeum II Wojny Światowej, Gdańsk-Warszawa 2010, s. 280.

¹⁰ W. Filar, *Działania UPA przeciwko Polakom na Wołyniu i w Galicji Wschodniej w latach 1943-1944. Podobieństwa i różnice*, w: G. Motyka, D. Libionka (red.), *Antypolska akcja...*, wyd. cyt., s. 41-58.

¹¹ G. Motyka, *Od rzezi wołyńskiej...*, wyd. cyt., s. 221.

¹² Tamże, s. 337.

¹³ Tamże, s. 448.

¹⁴ Tamże, s. 363.

wi, że wielu mieszkańców unikało ich jak mogło. Nie chodziło najczęściej o racje ideologiczne, ale o chęć pozostania na ojcowiznie, zachowania majątku zgromadzonego przez pokolenia, ale także o niepewność przyszłości i fatalne warunki transportu, w czasie którego umierało wiele osób, w tym dzieci i osoby starsze. Sprzeciwiały im się także oddziały UPA, które pozostanie Ukraińców uznawały za obronę narodowego stanu posiadania i kartę przetargową w przyszłych negocjacjach na temat granic.

Wysiedlenia były bezwzględnie przeprowadzane przez polskie wojsko, które nie zważało na zasadę dobrowolności „repatriacji”. W odpowiedzi oddziały UPA pacyfikowały polskie miejscowości. Również polskie siły zbrojne nie powściągały woli zemsty – na przykład 25 stycznia 1946 roku żołnierze przeprowadzili masakrę w Zawadce Morochońskiej, zabijając około 50. mieszkańców, w tym kobiety i dzieci¹⁵. Akcję wysiedleńczą oficjalnie zakończono 1 lipca 1946 roku. Objęła ona w sumie – jak podaje Grzegorz Motyka¹⁶ – ponad 480 tys. osób.

Brutalna polityka PRL radykalizowała nastroje, wpychając mieszkańców w objęcia UPA. Do oddziałów napływali ochotnicy, którzy w innej sytuacji unikiliby niepewnego losu partyzanta. Ofiarami polityki PRL byli na równi z Ukraińcami Łemkowie¹⁷, choć ci drudzy w nikłym stopniu popierali nacjonalistyczną partyzantkę. Istniał tylko jeden oddział złożony z Łemków w Polsce, co więcej część partyzantów wcielono przymusowo. Łemkowie, życzliwie nastawieni do państwa polskiego, czy też raczej po prostu stroniący od abstrakcyjnej polityki, nie zostali jednak potraktowani lepiej. Także i oni stracili ojcowiznę i zostali rozproszeni w obcym sobie krajobrazie kulturowym.

Jednak tak naprawdę w tym czasie partyzantka UPA nie była traktowana jako główne zagrożenie. To polskie podziemie, kontynuujące walkę z komunistyczną władzą oraz opozycja (PSL) były największym wyzwaniem dla hegemonii PPR. Dlatego do walki z UPA nie skierowano dostatecznych sił. Jak twierdzi Grzegorz Motyka w swojej imponującej monografii *Od rzezi wołyńskiej do akcji „Wisła”*, zimą 1946/1947 r. pojawiła się realna szansa przeprowadzenia skutecznej pacyfikacji podziemia ukraińskiego w Polsce południowo-wschodniej. „Można było całkowicie zlikwidować działające tam oddziały UPA, a przynajmniej wyrzucić je z kraju. Akcja taka niepoparta wysiedleniami, byłaby z pewnością trudniejsza, ale całkowicie wykonalna” – podkreśla, obalając dominujący w Polsce mit, że akcja „Wisła” była warunkiem koniecznym powstrzymania ukraińskich zbrodni przeciw ludzkości¹⁸.

Dlaczego zatem do niej doszło? Czy był to czysty odwet za Wołyń? Sprawa jest bardziej skomplikowana. Bez wątpliwości wydarzenia wołyńskie motywowały wielu Polaków do mszczenia się na Ukraińcach, bez względu na to czy byli winni, czy niewinni. Partyzantka UPA stanowiła zagrożenie dla bezpieczeństwa i po-

rządki publicznego. Ale katalizatorem akcji okazała się przypadkowa – jak pokazują studia historyków – śmierć 28 marca 1947 roku generała Karola Świerczewskiego „Waltera”, wiceministra obrony narodowej. Śmierć tak wysoko postawionego członka władz stawiła aktywność UPA w nowym świetle (obrosła ona zresztą licznymi legendami, rozwijanymi także w kulturze popularnej¹⁹). PPR nie mogło sobie pozwolić na brak zdecydowania, musiało pokazać, że kontroluje sytuację. Cios wymierzony w skupiska ukraińskie i łemkowskie, motywowany politycznie, przedstawiany był jako obrona interesów narodowych. Tego typu propaganda przemawiała do wielu Polaków. Jak pokazują badania archiwalne, wprost mówiono o tym, że cel operacji to: „rozwiązać ostatecznie problem ukraiński w Polsce”.

Akcję rozpoczęto 28 kwietnia 1947 roku o godzinie czwartej rano. Wysiedlenia przeprowadzono w sposób zorganizowany, selekcyjnie przy okazji ludność pod względem politycznym. Niepewnych zatrzymywano w Centralnym Obozie Pracy w Jaworznie (decyzję o jego utworzeniu podjęto 23 kwietnia 1947 roku). W obozie panowały bardzo ciężkie warunki, co gorsza więźniów poddawano torturom. Wybuchały epidemie. Represje dotknęły także duchowieństwo grekokatolickie i prawosławne, postrzegana jako ostroja ukraińskiej tożsamości²⁰. Mieszkańców przesiedlano na Ziemię Zachodnie i Północne rozpraszając ich w taki sposób, aby otoczeni przez „żywiół polski” i odcięci od ukraińskich instytucji kulturalnych ulegli szybkiej asymilacji. Akcję „Wisła” zakończono 31 lipca 1947 roku – łącznie wysiedlono z ojczystych ziem ponad 140 tysięcy osób. Powracający byli bezwzględnie wyłapywani i osadzani w Jaworznie²¹.

Odpowiednie dać rzeczy słowo... ale po co?

W Polsce, co nie dziwi, trwa gorąca dyskusja na temat tego, czym był konflikt polsko-ukraiński na ziemiach południowo-wschodniej II Rzeczypospolitej. Dotyczy to zarówno antypolskiej akcji UPA, jak i samej akcji „Wisła”. W przypadku tej pierwszej spór dotyczy tego, czy była to czystka etniczna, wojna domowa czy może ludobójstwo. W odniesieniu do akcji „Wisła” kontrowersje budzi uznawanie jej za czystkę etniczną. Za uznaniem antypolskiej akcji za ludobójstwo najsilniej opowiadają się Ewa i Władysław Siemaszko²². Większość historyków przychyliła się jednak do stanowiska, że kierownictwu UPA chodziło przede wszystkim o zmuszenie Polaków do ucieczki, a zatem mamy do czynienia z czystką etniczną²³. Skala mordów, często bez szansy na ucieczkę polskich mieszkańców sprawia, że rzezie Polaków równie dobrze można zakwalifikować jako ludobójstwo częściowe (to

¹⁵ Tamże, s. 411.

¹⁶ Tamże, s. 399.

¹⁷ Państwo polskie oficjalnie uznaje Ukraińców za mniejszość narodową, a Łemków za mniejszość etniczną. Proces socjogenezy mniejszości łemkowskiej był jednak burzliwy, do dzisiaj wielu Ukraińców uznaje Łemków za grupę etniczną współtworzącą naród ukraiński („ukraińskich górali”).

¹⁸ G. Motyka, *Od rzezi wołyńskiej...*, wyd. cyt., s. 416.

¹⁹ Szerzej: G. Motyka, *W kręgu „Łun w Bieszczadach”. Szkice z najnowszej historii polskich Bieszczad*, Oficyna Wydawnicza RYTM, Warszawa 2009.

²⁰ Por. I. Hałagida (oprac.), *Duchowni grekokatolicycy i prawosławni w Centralnym Obozie Pracy w Jaworznie (1947-1949). Dokumenty i materiały*, Instytut Pamięci Narodowej, Związek Ukraińców w Polsce, Warszawa 2012.

²¹ G. Motyka, *Od rzezi wołyńskiej...*, wyd. cyt., s. 426-432.

²² W. Siemaszko, E. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939-1945*, t. 1-2, Wydawnictwo „von Borowiecky”, Warszawa 2000.

²³ J.M. Piskorski, *Wygnańcy. Przesiedlenia i uchodźcy w dwudziestowiecznej Europie*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2010, s. 131.

termin Roberta Melsona²⁴). UPA nie chodziło bowiem o eksterminację Polaków jako takich, ale o ich usunięcie ze spornego terytorium, a zarazem o odpłatę za „zbrodnie Lachów” i osłabienie polskiego żywiołu. Z kolei w zachodnioukraińskiej historiografii dominuje perspektywa wojny domowej, w której UPA walczyła o niepodległość z polskimi okupantami.

Przerwijmy jednak dyskusję nad naturą tej zbrodni i zastanówmy się, dlaczego ten spór budzi tak wielkie emocje i dlaczego tak wiele osób się w niego angażuje. Czy kwalifikacja zbrodni na Polakach – z jednej strony, a akcji wymierzonej w Ukraińców – z drugiej, rzeczywiście ma tak wielkie znaczenie? Wkraczamy tu na grunt nie tylko grząski, ale i zaminowany. „Ludobójstwo” jest bowiem pojęciem młodym, ale stało się dziś nadużywaną etykietą, której celem jest stygmatyzowanie narodu sprawców. W publicznych debatach swobodnie miesza się dyskurs prawny z moralnym, historycznym i socjologicznym. Tymczasem każdy z nich odwołuje się do odmiennych racji, posługuje odmiennymi schematami interpretacyjnymi oraz definicją ludobójstwa.

„Ludobójstwo” jest neologizmem stworzonym przez Rafała Lemkina, który dopiero dzięki powojennemu osądzeniu zbrodniarzy nazistowskich oraz uchwaleniu przez Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych 9 grudnia 1948 r. Konwencji w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa stał się powszechnie znany i wykorzystywany. O czym należy jednak pamiętać – wbrew rozpowszechnionym sądom – nazistowskich zbrodniarzy w Norymberdze nie oskarżono o ludobójstwo, ale o trzy inne zbrodnie: przeciwko ludzkości, wojenne i przeciwko pokojowi. Choć w czasie procesu posługiwano się pojęciem „ludobójstwo”, to jednak nie znalazło się ono w wyroku Trybunału²⁵. Kariera tego pojęcia była jednak niezaprzeczalna – coraz częściej masowe zbrodnie wroga określano mianem ludobójstwa, chcąc dzięki temu osiągnąć przewagę w wojnie propagandowej. Jednocześnie konwencja pozostawiała martwa – pierwszy międzynarodowy trybunał karny, który miał sądzić ludobójców, powołano w 1993 roku, a jego zadaniem było osądzenie sprawców zbrodni w byłej Jugosławii.

Wojna w byłej Jugosławii to także czas zawrotnej kariery pojęcia „czystka etniczna”, choć historycznych precedensów tej praktyki możemy doszukiwać się w starożytności²⁶. W odróżnieniu od ludobójstwa nie chodzi w niej o zlikwidowanie części lub całości jakiejś kategorii etnicznej, ale o przepędzenie jej ze spornego terytorium. Co ciekawe, zanim doszło do wojny w Bośni i Hercegowinie, terminem tym posługiwali się Serbowie, aby opisać presję ze strony Kosowarów, którzy przeżywali eksplozję demograficzną i domagali się coraz szerszych praw²⁷.

Ktoś mógłby powiedzieć, że uznanie zbrodni na Polakach na Wołyniu za ludobójstwo pozwoli na wyciągnięcie prawnych konsekwencji, w tym zasądzenie kary (przynajmniej symbolicznej) wobec sprawców oraz zadośćuczynienie ofiarom. Tyle tylko, że w sensie prawnomiędzynarodowym zbrodnia ludobójstwa pojawiła się dopiero wraz z wejściem w życie konwencji ONZ. A przecież, zgodnie z zasadami prawa rzymskiego: *lex retro non agit* (prawo nie działa wstecz) oraz *nullum crimen sine lege* (nie ma przestępstwa bez ustawy). Jeśli nie chcemy zatem wprowadzać na siłę koncepcji prawa naturalnego, musimy pozostawić tę dyskusję prawniczą na boku. Co ciekawe, analogiczny spór toczy się o to, czy mord na oficerach wojska polskiego oraz policjantach – jeńcach wojennych, w Katyniu, Charkowie i Twerze (d. Kalinin) był ludobójstwem²⁸.

Ważniejsze wydaje się odwołanie do definicji socjologicznych, które służyć mają wyjaśnieniu, ale także zrozumieniu procesu, który doprowadził do masowego mordu. W socjologii nie ma jednej obowiązującej definicji ludobójstwa. Moim zdaniem można wymienić kilka kluczowych cech ludobójstwa, które odróżniają je od innych masowych mordów: (1) dążenie do anihilacji wyróżnionej kategorii społecznej (a nie jedynie zdobycie terytorium, wygranie wojny, spacyfikowanie powstania itp.); (2) niedyskryminacyjne zabijanie, czyli mordowanie wszystkich członków wrogiej kategorii niezależnie od ich wieku, płci, wykształcenia, statusu materialnego itd.; (3) zanegowanie możliwości zmiany kategorii społecznej przez ofiary (inaczej niż to było w przypadku wielu czystek religijnych, gdy konwersja religijna pozwalała uratować życie); (4) lekceważenie indywidualnych zasług ofiar dla zbiorowości sprawców; oraz (5) zamknięcie ofiarom drogi ucieczki²⁹.

Szczególnie piąta cecha jest ważna i odróżnia wyraziście ludobójstwo od czystki etnicznej, którego celem jest usunięcie określonej kategorii społecznej ze spornego terytorium. Czystki etniczne mogą być krwawe, mordowanie ludzi bez względu na płeć czy wiek może osiągać apokaliptyczne rozmiary, ale nie zamyka się ocalałym dróg ucieczki (w skali całej zbiorowości). Okrucieństwo jest w czystce etnicznej środkiem służącym do przerażenia ludności i zmuszenia jej do panicznej ucieczki. Czystka etniczna może dokonywać się legalnie (np. wysiedlenia Niemców po II wojnie światowej) lub nielegalnie w świetle prawa międzynarodowego. Co ważne, w odróżnieniu od „ludobójstwa” „czystka etniczna” nie jest terminem prawnym.

W świetle tej definicji zarówno antypolska akcja UPA, jak i akcja „Wisła” były czystkami etnicznymi. Działania UPA, które miały na celu „oczyszczenie” ziem ukraińskich z Polaków były centralną osią antypolskiej akcji, co przemawia za uznaniem jej za czystkę etniczną. W szczególności nie tworzone kordonów, które miały wyłapać uciekających Polaków, aby ich eksterminować (nie chodzi o poszczególne wioski, ale

²⁴ W przypadku ludobójstw częściowych nie chodzi o anihilację danej kategorii społecznej, ale o wymordowanie znacznej części wrogiej populacji i m.in. dzięki temu poważne podważenie jej statusu - R. Melson, *Revolution and Genocide. On the Origins of the Armenian Genocide and the Holocaust*, The University of Chicago Press, Chicago, London 1992, s. 26-28.

²⁵ K. Kosińska, *Zbrodnia ludobójstwa w prawie międzynarodowym*, Dom Wydawniczy Duet, Toruń 2008, s. 52.

²⁶ B. Liberman, „Ethnic cleansing” versus genocide, w: D. Bloxham, A.D. Moses (red.), *The Oxford Handbook of Genocide Studies*, Oxford University Press, Oxford 2010, s. 47.

²⁷ C. Carmichael, *Genocide and population displacement in post-communist Eastern Europe*, w: D. Bloxham, A.D. Moses (red.), *The Oxford Handbook...*, wyd. cyt., s. 520.

²⁸ Por. spór na łamach „Spraw Międzynarodowych”, rozpoczęty publikacją K. Karskiego, *Mord katyński jako zbrodnia ludobójstwa w świetle prawa międzynarodowego*, „Sprawy Międzynarodowe” 2011, nr 2, s. 51-82.

²⁹ Szerzej: L.M. Nijakowski, *Wiek XX stuleciem ludobójstw. Podstawowe definicje, spory i fakty*, w: B. Machul-Telus, U. Markowska-Manista, L.M. Nijakowski (red.), *Krwawy cień genocydu. Interdiscyplinarne studia nad ludobójstwem*, wstęp: Ph. Zimbaro, Oficyna Wydawnicza Impuls, Kraków 2011, s. 23-61.

o regionalną strategię). Przypadek ten pokazuje zarazem trudności z jednoznaczną kwalifikacją tego typu masowych zbrodni i wskazuje, że mówienie o *kontinuum* eksterminacyjnym jest ze wszech miar uzasadnione. O ile jednak i akcja „Wisła”, i antypolska akcja OUN-B są czystkami etnicznymi, to są od siebie znacząco oddalone na tym *kontinuum*.

W naukach społecznych można i należy spierać się o to, jaki charakter miała zbiorowa przemoc. W szczególności komparatystryka różnych przypadków masowych zbrodni pozwala poznać mechanizmy wiodące do ludobójstwa i przeciwdziałać im w przyszłości³⁰. W dyskursie publicznym jednak takie spory zamieniają się w walki symboliczne, których stawką jest oczernienie wroga i zachowanie pozytywnego wizerunku grupy własnej. W szczególności dla moralnej oceny zbiorowej przemocy jej socjologiczna kwalifikacja nie ma znaczenia. Na potępienie zasługują sprawcy nie tylko ludobójstw czy czystek etnicznych, ale wszelkich akcji, które – kierując się zasadą odpowiedzialności zbiorowej – „naprawiają” rzeczywistość za cenę setek indywidualnych dramatów. Oczywiście, standardy moralne obowiązujące w stosunkach międzynarodowych – przynajmniej deklaratorywnie – zmieniły się. Ale to właśnie czyni sensownym potępienie przeszłych aktów, które mogły wydawać się naszym przodkom w pełni usprawiedliwionym narzędziem społecznej transformacji.

Upamiętnienie akcji „Wisła”

O ile upamiętnianie cierpienia Polaków na Wołyniu nie budziło w Polsce większych kontrowersji (spory dotyczyły przede wszystkim języka, którym posługiwano się pisząc uchwały czy inskrypcje na pomnikach), to do dzisiaj spotkać się można z gorącym sprzeciwem wobec potępienia akcji „Wisła”. Wydawać się jednak mogło, że podjęcie stosownej uchwały w 65-lecie akcji nie będzie stanowiło większego problemu, tym bardziej że dorobek w zakresie „rozliczeniowych aktów” jest już całkiem spory.

Już na początku przemian stanowisko wobec akcji „Wisła” zajął Senat RP. W uchwale z 3 sierpnia 1990 roku możemy przeczytać, że Senat „potępia akcję «Wisła», w której zastosowano – właściwą dla systemów totalitarnych – zasadę odpowiedzialności zbiorowej”. Co więcej, Senat „dąży będzie do tego, by naprawione zostały – o ile to możliwe – krzywdy powstałe w wyniku tej akcji”. Nie tylko zatem akcję potępiono, ale także poparto – jakże kontrowersyjne – odszkodowania dla ofiar przymusowych przesiedleń.

W dniu 27 kwietnia 2007 roku w Warszawie prezydenci Polski i Ukrainy podpisali wspólne oświadczenie z okazji 60 rocznicy akcji „Wisła”. Podkreślono w nim, że Polakom i Ukraińcom „udało się w ciągu minionych kilkunastu lat dokonać olbrzymiego postępu w dążeniu do pojednania oraz w poszukiwaniu wspólnej oceny trudnej i bolesnej przeszłości”. „Kamieniami milowymi” tego procesu były obchody rzezi wołyńskiej w Pawliwce na Ukrainie oraz zbrodni na Ukraińcach w Pawłokomie w Polsce. Podkreślono, że akcja „Wisła” była sprzeczna z podstawowymi prawami człowieka. „Dzisiaj, po-

dzielając tę ocenę, chylimy głowy przed wszystkimi jego ofiarami” – napisali przywódcy obu narodów.

Czy zatem podjęcie stosownej uchwały przez Sejm nie wydawało się naturalne? Pomysł zrodził się w Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych Sejmu RP, którą kieruje Miron Sycz, lider mniejszości ukraińskiej w Polsce. Komisja nie pierwszy raz poświęciła uwagę tym wydarzeniom, zapraszając znanych historyków, którzy zapoznali posłów z najnowszymi ustaleniami naukowymi. Ostatnie posiedzenie poświęcone omówieniu charakteru akcji „Wisła” i jej wpływu na współczesne relacje polsko-ukraińskie odbyło się ósmego listopada 2012 roku.

Pierwsze czytanie komisijnego projektu uchwały w sprawie akcji „Wisła” (druk nr 904) odbyło się 6 grudnia 2012 roku. Dyskusja doprowadziła do zreprodukowania typowych dla dyskursu publicznego klisz i strategii dyskursywnych. Zestawianie akcji „Wisła” i mordów na Wołyniu było podstawą retoryki przeciwników projektu uchwały. Marek Ast (PiS), wiceprzewodniczący komisji podkreślił, że „trudno jest debatować nad przedmiotem będącym treścią projektowanej uchwały, a mianowicie nad potępieniem akcji «Wisła» w oderwaniu od konkretnego kontekstu historycznego i politycznego. Ten konkretny kontekst historyczny to, oczywiście, przemilczane ludobójstwo dokonane przez UPA i inne formacje ukraińskie na narodzie polskim na Wołyniu”. Posłanka Dorota Arciszewska-Mielewczyk (PiS) powiedziała zaś, zaskakując co bardziej obeznanych z pomnikowym krajobrazem: „My nawet nie możemy postawić w Warszawie czy w Polsce pomnika upamiętniającego tragedię, jaka na Kresach spotkała Polaków. My nie możemy ustanowić dnia poświęconego pamięci kresowian, którzy tę tragedię przeżyli”.

Inicjatywa uchwałodawcza zmobilizowała też przeciwników poza Sejmem. Jeden z najbardziej paskudnych ataków skupił się na ojcu przewodniczącego komisji. „Środowiska kresowe” twierdziły, że Aleksander Sycz – ojciec posła – „był członkiem Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów od 1938 roku, w czasie wojny i po jej zakończeniu mordował bezbronną polską ludność cywilną jako strzelec jednej z najokrutniejszych sotni Mesnyky w Ukraińskiej Powstańczej Armii”. Losy ojca inicjatora uchwały miały wystarczyć do jej odrzucenia. Pomijając bezzasadność takiego wnioskowania, sama biografia też stała się przedmiotem kontrowersji: „Ojciec został skazany za przynależność do UPA od kwietnia do czerwca 1946 roku. Nie mógł mieć więc nic wspólnego z jakimikolwiek zbrodniami. Co więcej, w latach 1937-1939 był żołnierzem polskiego wojska i bronił kraju przed hitlerowską napaścią” – powiedział Miron Sycz TVP.info. Społeczni lustratorzy oczywiście zakwestionowali tę wykładnię.

Mimo gorących sporów, projekt przyjęto. Czytamy w nim, że „Sejm Rzeczypospolitej Polskiej uznaje, że akcja «Wisła» była naruszeniem podstawowych praw człowieka. W czasie trwania tej akcji zastosowano właściwą dla systemów totalitarnych zasadę odpowiedzialności zbiorowej, która nigdy nie może być podstawą polityki demokratycznego państwa”. W szczególności potępiono „osadzanie blisko 4 tys. wysiedlonych w Centralnym Obozie Pracy w Jaworznie – często bez żadnych dowodów winy, w oparciu jedynie o kryterium

³⁰ Szerzej: L.M. Nijakowski, *Rola dyskursu ideologicznego w mobilizacji ludobójczej w XX wieku*, „Studia Socjologiczne” 2012, nr 1, s. 177-198.

narodowe. W obozie panowały niezwykle ciężkie warunki, osadzonych poddawano torturom”.

Happy endu jednak nie było. Drugie czytanie projektu uchwały – już na sesji plenarnej – miało się odbyć na początku stycznia. Mimo wpisania tego punktu do porządku obrad, do dyskusji nie doszło. Wiele wskazuje na to, że to nie napięty kalendarz poselski, ale kalkulacja polityczna zadecydowała o odwołaniu drugiego czytania. Zarówno PiS, jak i PSL zgodnie i otwarcie twierdziły, że zgłoszą przeciwko uchwale. Po co zatem ten unik? To najprostszy sposób na uniknięcie konieczności zajęcia stanowiska. A w przypadku Platformy Obywatelskiej, partii chcącej uchodzić za liberalną, otwartą na wielokulturowość i trudne dyskusje o przeszłości, opowiedzenie się przeciwko uchwale byłoby niewygodne.

Stosunek do akcji „Wisła” wyznacza głęboki konsensus aksjonormatywny na polskiej scenie politycznej. Zarówno „lewica”, jak i „prawica”, partie „postsolidarnościowe” i „postkomunistyczne” w większości popierają tę decyzję władz PRL. To co zapewniało elitom PPR, a później PZPR nacjonalistyczną legitymizację, dziś wyznacza stosunek do akcji „Wisła”. Mimo kolejnych prac historyków w dyskursie publicznym dominują mityzacje i mistyfikacje, które zapuściły głębokie korzenie w świadomości zbiorowej m.in. dzięki kulturze popularnej PRL oraz głębokiej niechęci do Ukraińców przekazywanej w rodzinach. Spróbujmy przyjrzeć się bliżej temu dziedzictwu.

Odpowiedzialność zbiorowa i inne mity

Spirala polsko-ukraińskich zbrodni, które popełniali zarówno żołnierze i partyzanci, jak i cywile, jest klasycznym dowodem nie tylko na destrukcyjny wpływ zemsty – emocji, która pobudza ośrodek nagrody w mózgu, jak narkotyki – ale również na barbarzyńskie następstwa myślenia w kategoriach winy zbiorowej. Zarówno rzeź Polaków na kresach południowo-wschodnich, jak i przymusowe wysiedlenia oraz akcja „Wisła” oparte były na logice czyniącej jednostkę reprezentantem narodów. Zabijano, torturowano, wypędzano i grabiano osoby niewinne (z pewnymi wyjątkami) jako jednostki, ale „winne” przynależności do wrogiej nacji. A naród, jak wiadomo, postrzegany jest potocznie jako wspólnota pokoleń żyjących i ich przodków. Winę, podobnie jak chwałę dziedziczy się niezależnie od swej woli. I tak polscy chłopcy odpowiadali po części na nieludzką represyjną pańszczyznę, dzięki której bogacili się polscy szlachcice, zaś ukraińscy i łemkowscy gospodarze płacili rachunki za krwawą realizację utopii szowinistycznej Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów.

Logika zbiorowej odpowiedzialności jest także częścią polityki strachu, która do dziś pozwala kontrolować najbardziej nawet nowoczesne społeczeństwa. Straszanie wrogiem legitymizuje ograniczanie wolności i łamanie praw człowieka. Abstrakcyjny wróg znajduje najczęściej konkretyzację w niewinnych członkach społeczności. Akcja „Wisła” była traktowana jako warunek zapewnienia Polakom bezpieczeństwa. Ale w innych miejscach nie przeprowadzono masowych wysiedleń polskich osad tylko dlatego, że na danym terenie działały oddziały walczące z władzą PPR. To nacjonalistyczna logika decydowała o szczególnym traktowaniu Ukraińców i Łemków. Przypadek ten pokazuje, że wbrew rozpowszechnionemu mitowi nawet u narodzin

PRL społeczeństwo popierało wiele działań nowej władzy, nawet bardzo krwawych.

Ale to nie wszystko. PRL bywa dziś często postrzegana zgodnie z dominującą wówczas propagandą jako państwo komunistyczne i internacjonalistyczne, klasyfikujące społeczeństwo i świat zewnętrzny za pomocą kategorii klasy, a nie narodu. W nikłym stopniu odpowiada to rzeczywistości. Władze PPR konsekwentnie prowadziły politykę mającą na celu homogenizację narodową Polski. Mniejszości miały zostać wysiedlone albo zasymilowane. W okresie stalinowskim miało to być bezwzględna polonizacja, później stopniowo luzowano represyjny gorset, zakładając pełną lojalność obywatelską i ograniczoną swobodę zachowania i rozwoju tożsamości narodowościowej w ściśle reglamentowanych „folklorystycznych” niszach. Polska po II wojnie światowej, obejmująca etniczne ziemie polskie, antyniemiecka i prosowiecka („prośłowiańska”), „wyczyszczona” z mniejszości narodowych w zaskakującym stopniu przypomina realizację utopii endeckiej. Podkreślał to Krzysztof Kwaśniewski na łamach „Zdania” (nr 3-4/2011).

Polacy nadal myślą w kategoriach zbiorowej winy i zasługi. Nie są w tym zakresie wyjątkiem na mapie świata. To uniwersalna skłonność wszystkich narodów, utrwalana przez oficjalną politykę pamięci. Relacje polsko-ukraińskie nie są tu wyjątkiem. Pokazała to ostatnia debata. Jako ofiara akcji „Wisła” jawi się „naród ukraiński”, który przecież mordował wcześniej Polaków na Wołyniu. Wysiedlenia to zatem zasłużona – i nie aż tak dotkliwa – kara za wcześniejsze zbrodnie. Hipostazowanie i homogenizowanie narodu to cecha myślenia potocznego. Gorzej, gdy staje się dominantą debat publicznych. Poważnie paraliżuje to bowiem nie tylko „zmysł moralny”, ale racjonalność osądu.

Dla porównania, według przywoływanych już badań Pentora, również wysiedlenia Niemców po II wojnie światowej są uznawane za usprawiedliwione (uznało tak 65 proc. badanych). Uzasadniając swą odpowiedź co czwarty z respondentów, który zajął stanowisko odpowiadając na pytanie, wskazywał na sprawiedliwość i to, że Niemcy zasłużyli na karę. To co związki wypędzonych nazywają zemstą ofiar, Polacy definiują zatem jako akt sprawiedliwości retributywnej. Wysoki odsetek (22,9 proc.) nawiązał do wizji Ziemi Odzyskanych, mówiąc, że „do państwa polskiego powróciły dawne ziemie polskie”. Ci, którzy byli przeciw, wskazywali na zakorzenienie na tych ziemiach niemieckiej ludności czy też na niesprawiedliwy charakter wszelkich czystek etnicznych czy stosowania zbiorowej odpowiedzialności wobec całego narodu.

65 lat po akcji „Wisła” polskie społeczeństwo nadal powiela wyobrażenia, które legły u podłoża krwawej waśni między Polakami i Ukraińcami. Polacy, zamknięci w perspektywie własnej krzywdy, nie są niejednokrotnie w stanie przełamać logiki zbiorowej winy. Nadal dają się straszyć mniejszościami i cenią etniczną jednorodność. Nie dopuszczają do pełnoprawnej obecności w przestrzeni publicznej mniejszościowych interpretacji historii. Debacie historyków, służącej opisowi i interpretacji konfliktu polsko-ukraińskiego towarzyszyć zatem musi krytyczna refleksja nad podstawami naszego zbiorowego myślenia o sobie i innych.

WŁADYSŁAW MARKIEWICZ

JAK TO OPIISAĆ, JAK ZROZUMIEĆ

Daniel Jonah Goldhagen zyskał światową sławę jednego z najbardziej znanych pisarzy dzięki wydanej w 1996 roku książce *Gorliwi kaci Hitlera. Zwyczajni Niemcy i Holocaust*, w której wstępie zamieścił prościutkie stwierdzenie: „Pierwszym zadaniem mającym na celu zrozumienie Holocaustu, jest przywrócenie katom ich tożsamości. Musimy zacząć nazywać ich po imieniu – to są Niemcy”. Książka wywołała w Republice Federalnej Niemiec niezwykle rozległą dyskusję, autor był często zjadliwie krytykowany, w sumie jednak uznano jego dzieło za potrzebne wstrząśnienie sumieniem narodowym.

Zdaniem Goldhagena groźne widmo ludobójstwa nadal krąży nad światem, przeto ludzkość powinna skupić się na tej pladze, zrozumieć jej przyczyny i precyzyjnie ukształtować politykę, która zapobiegnie wybuchowi masowych rzezi. Temu właśnie służyć ma jego nowa ponad osiemsetstronicowa monografia. Snadź autor wierzy, że potęga perswazyjna słowa drukowanego jest tak przemożna, że może skutecznie wpływać na losy naszego globu i całej ludzkości. Pamiętać trzeba jednak o tym, iż aczkolwiek każdy z jedenastu rozdziałów jego proklamacji jest obszerniejszy niż *Manifest Komunistyczny*, to moc sprawcza całości nie musi być proporcjonalnie większa. A nawet jeśli się tak stało, to niekoniecznie musiałyby to oznaczać, że zyskały trwałą przewagę nad zbrodniczą chęcią eliminowania narodów lub grup ludzkich.

Pierwsze dwa rozdziały monografii traktuje autor jako wprowadzenie, w którym – jak pisze – chce zająć się sprawami wymagającymi doprecyzowania. Na plan pierwszy wysuwa sprawę tzw. eliminacjonizmu, uprzedzając, iż pojęcie to traktuje jako fundamentalną kategorię opisową i analityczną do tego stopnia, że ludobójstwo pojmuje jako jeden z aspektów eliminacjonizmu właśnie. Wyróżnia pięć głównych form eliminowania przez określone dominujące narody i państwa grup ludności uznawanych za śmiertelne zagrożenie: przekształcanie, represje, wypędzanie, zapobieganie

reprodukcji i eksterminację. Z reguły żaden z wymienionych sposobów pozbywania się wrogów nie występuje w postaci czystej, lecz jest spleciony z elementami pozostałych metod eliminacjonistycznych.

Największe znaczenie dla zagadnienia ludobójstwa i eliminacjonizmu ma państwo i zachodzący bezustannie proces wzrostu jego siły i wszechwładzy. Trochę lekkomyślnie posługując się metodą porównawczą Goldhagen stwierdza, że w porównaniu z epoką rewolucji amerykańskiej i francuskiej, kiedy zaczęły powstawać nowoczesne państwa, państwo współczesne, tj. państwo połowy XX wieku dysponuje władzą milion razy większą. Jaką wiedzą lub/i wyobraźnią winien dysponować osobnik zdolny dostrzec taką astronomiczną mnogość różnic między epokami? Faktem pozostaje, że teraźniejsze państwo dysponuje taką rozbudowaną i precyzyjną infrastrukturą oddziaływań na swoich poddanych, że nawet zorganizowanie masowego ludobójstwa nie musi stanowić dla niego większego kłopotu. W wyliczaniu i charakteryzowaniu problemów, jakie rodzą się przy prowadzeniu badań nad masowymi rzeziami i w znajdowaniu sposobów ich likwidacji lub ograniczenia autor staje się często zbyt drobiazgowym i nużącym narratorem.

„Naszą epokę cierpienia” – jak autor nazywa proklamowanie nowoczesnego eksterminacjonizmu przez generała Lothara von Trotha, gubernatora niemieckiej kolonii w Afryce Południowo-Zachodniej (dzisiejsza Namibia) – otwiera wymordowanie ponadsześćdziesięciu tysięcy ofiar, tj. 80 procent ludu Herero w 1904 roku, jako że ich ziemie potrzebne były czterem tysiącom niemieckich kolonistów na pastwiska dla bydła. Ten nadzwyczaj brutalny akt unicestwienia całego plemienia nie był czymś wyjątkowym. W czasie kolonialnych grabieży prowadzonych od XVI wieku Belgowie, Brytyjczycy, Francuzi, Portugalczycy i Hiszpanie zabijali masowo ludzi innych ras, nie mówiąc o morderczym transatlantyckim handlu afrykańskimi niewolnikami,

który – według Goldhagena – pochłonął od piętnastu do dwudziestu milionów istnień, czyli liczbę dwukrotnie większą niż liczba tych, którzy przeżyli i zostali niewolnikami. A zatem – „marnotrawstwo” i głupota na niewyobrażalną skalę.

Znamieniem nowych czasów staje się to, że w większości przypadków eliminacjonizmu i masowych rzezi dokonywały państwa, które wspólnie zamieszkiwali sprawcy i ofiary. Tak rzecz się miała m.in. z unicestwieniem Ormian przez Turków podczas pierwszej wojny światowej, powszechnie uważanym za pierwszą zagładę XX wieku. Był to masowy mord (eksterminacja miliona dwustu tysięcy i wypędzenie ok. miliona) z wyjątkowo odrażającą scenerią, popełniony na własnych obywatelach, przeto nie dziwię się, że wszystkie kolejne rządy tureckie odrzucają od siebie zarzut ludobójstwa. Do najbardziej krwiożerczych zabójców naszej epoki zalicza Goldhagen: Hitlera, (zabił jakieś dwadzieścia milionów ludzi), Stalina (osiem milionów lub więcej), Mao (przypuszczalnie pięćdziesiąt milionów), dynastię Kimów (ponad cztery miliony), Pol Pota (milion siedemset tysięcy, ponad 20 procent Kambodżan). Liczby ofiar symbolizują okrutną, bezwzględną politykę prowadzoną w imię realizacji utopijnych, antyhumanitarnych ideologii.

Pożywkę dla ludobójstwa stwarzała niewątpliwie druga wojna światowa, o czym świadczą m.in. zbrodnie Japończyków, Niemców, ale także Chorwatów. Wszelako autor stanowczo twierdzi, iż sama wojna nie wywołuje ludobójstwa, że wprawdzie mordowanie obcej ludności cywilnej podczas wojny stało się w naszych czasach czymś powszechnym, ale główny punkt ciężkości ludobójstwa przesunął się z areny międzynarodowej na krajową. Interesująca jest również jego konstatacja, że wprawdzie rzezie dokonywane przez komunistów w Związku Radzieckim, Chinach, Korei Północnej i Kambodży były kolosalne, to jednak za większość wewnętrznych masowych mordów były odpowiedzialne reżimy prawicowe, nacjonalistyczne lub etnicystyczne. Tak w każdym razie miały sprawy w Ameryce Łacińskiej, a także na Bliskim Wschodzie i w Afryce.

Rozczarowującą dla mnie jest dokonana przez autora analiza Holocaustu (Szoah). Chodzi mi o odpowiedź na węzłowe pytanie: „Jak doszło do tego, że Niemcy, kraj tak »cywilizowany«, postępowy i nowoczesny, dokonały tej gargantuicznej rzezi?” Autor trafnie ocenia ludobójstwo Niemców jako wzorcowe, w ich wykonaniu wykorzystane zostały wszystkie możliwe środki eliminacjonizmu perfekcyjnego, niepozostawiającego miejsca na bzdurne sloganowe sformułowania typu „nowoczesna wojna taśmowa”, „banalność zła” itp. Wskazuje więc na predyspozycje kulturowo-obyczajowe i intelektualne Niemców jako właściwości predestynujące ich do odegrania makabrycznej roli promotorów Holocaustu, ale to nie tłumaczy zagadki: dlaczego właśnie Niemcy owe predyspozycje posiadli?

Kończąc swe rozpamiętywania nad problemami wymagającymi doprecyzowania autor dochodzi do wniosku, iż ludobójstwo i eliminacjonizm są gorszą plagą trapiącą ludzkość niż wojna. Od początku XX wieku nie było okresu, w którym świat był wolny od dokonującego się masowego unicestwiania. Liczba ludzi, którzy zostali masowo wymordowani, wynosi osiemdziesiąt trzy

miliony. Jeśli dodać do tego ofiary celowego morzenia głodem, liczba ta wzrośnie do stu dwudziestu siedmiu milionów, a jeśli poprawne są wyższe szacunki, całkowita liczba ofiar ludobójstwa może wynosić sto siedemdziesiąt pięć milionów ludzkich istnień lub więcej. W każdym razie ludobójcy zabili dwa razy więcej ludzi, niż zginęło podczas wojen.

Pod względem rozkładu geograficznego w naszych czasach cały glob jest usiany przypadkami masowej zagłady. Przeważająca część ofiar przypadła na Europę. Autor wymienia rozliczne kraje wszystkich kontynentów, które były w ostatnich kilkudziesięciu latach widownią masowych krwawych incydentów ludobójczych. Są one ilustracją przerażającego faktu, iż nasze czasy są epoką ludobójstwa.

Część pierwszą monografii, składającą się z sześciu rozdziałów, zatytułował autor *Wyjaśnienie kampanii eliminacjonistycznych*. W pierwszej kolejności chodzi o odpowiedź na pytanie, które mimowolnie musi narzucić się każdemu myślącemu osobnikowi: dlaczego dochodzi do ludobójstwa? Kto jest jego sprawcą i co chce przez nie osiągnąć? Praktyka życiowa przekonywała, że czynnikiem decydującym o tym, czy w ogóle dojdzie do ludobójstwa jest państwo, jego instytucje, uprawnienia i moc sprawcza. Politykę należy traktować jako zagadnienie centralne dla genezy ludobójstwa, przy czym szczególną rolę w inicjowaniu lub torpedowaniu programu eliminacjonistycznego spełniają przywódcy polityczni. Autor dowodzi słuszności tej tezy powołując się na przykłady sprawców znanych nam już masowych rzezi.

Sprawcom, nawiasem mówiąc, poświęca autor specjalny podrozdział. Sprawca to jego zdaniem każdy, kto świadomie przyczynia się w jakiś konkretny sposób do śmierci lub eliminowania innych lub do wyrządzenia im krzywdy w ramach jakiegoś programu zagłady lub eliminowania. Kategoria ta obejmuje ludzi zabijających z bezpośredniej odległości lub przy użyciu środków o przedłużonym działaniu, jak na przykład w wypadku śmierci głodowej. Instytucja zajmująca się zabijaniem lub eliminowaniem to taka, która jest nastawiona na ludobójstwo lub eliminowanie: jej członkowie zabijają lub eliminują, albo wyraźnie przyspieszają śmierć bądź eliminowanie innych.

Metody rekrutacji sprawców do zbrodniczych instytucji były różne, przeważnie jednak opierały się na ochotniczym zaciągu. Ich liczba jest nieznana, prawdopodobnie sięgała jednak paru milionów. W kampaniach eliminacjonistycznych uczestniczyły także kobiety, według relacji świadków okrucieństwem z reguły nie ustępowały mężczyznom. Autor zwraca uwagę na to, że nie tylko liczba sprawców masowych mordów ludobójczych, lecz także ich cechy osobowościowe oraz sposób przeżywania przez nich popełnianych zbrodni pozostały nieznane. Dlatego jego książka *Gorliwi kaci Hitlera*, w której sprzeciwił się temu historycznemu zaniedbaniu, zyskała tak wielki rozgłos: przeniosła uwagę ze znanych powszechnie jako potwory przywódców i z anonimowych zbrodniczych instytucji jak np. SS, i zmusiła do stanięcia twarz w twarz z człowieczeństwem wykonawców okrucieństw, z ich pochodzeniem, skłonnościami, upodobaniami, zdolnościami i w ogóle z ich kulturą polityczną i tym, co umownie zwykliśmy nazywać charakterem narodowym.

Lektura informacji o organizacji i sposobach realizacji zakrojonych na niezwykle rozległą skalę kampanii eliminacyjnych, o marszach śmierci, obozach zagłady, zbiorowych masakrach staje się czymś niezwykle bolesnym i nieznośnym, tym bardziej że przykłady czerpane są z już poznanych akcji zbiorowego zabijania, tj. z Holocaustu, rzezi Ormian, Hutu i Tutsi, gułagów i kacetów, Mao, Pol Pota, Suharto, Kimów, Pinocheta, Chorwatów, Serbów, Japończyków, Irakijczyków. Pewne wytchnienie przynosi opis działań środowisk społecznych w niektórych krajach przeciwstawiających się zagładzie, chociaż wypadki skutecznego oporu wobec eliminacjonizmu, jak na przykład w Danii, należały niestety do rzadkości.

Oczywiście sprawcy z reguły starają się ukryć lub zacierać ślady popełnionych przez siebie zbrodni, często przeinaczają fakty dowodząc, że ich działania miały charakter obronny lub zapobiegawczy. Chodzi przecież o ukrycie przed opinią publiczną prawdy o rzeczywistych nieludzkich motywach kampanii ludobójczych, do których skłaniają ślepa nienawiść, pogarda dla obcych, obłąkańcza żądza panowania, chorobliwa mania wielkości.

Zastanawiając się nad motywacją sprawców masowego unicestwiania autor ostrzega, by nie traktować tego problemu jako samo przez się zrozumiałego i oczywistego, tak jak w przypadku zabijania nieprzyjaciela w czasie wojny, którą uważa się za sprawiedliwą. Jego zdaniem w kampaniach eliminacyjnych obowiązuje „zasada powszechnego braku przymusu”, gdyż zaciąg ochotniczy w nadmiarze zaspokajał potrzeby kadrowe. Podobnie przedstawiała się sprawa z poglądem, że osobnicy nie aprobujący ludobójstwa mimo to uczestniczą w jego urzeczywistnieniu, gdyż tego życzy sobie władza państwa, której należy się karnie podporządkować. W rzeczywistości do „natury” ludzkiej należy skłonność do omijania nakazów, czyli że autorytet jej ma niewielką moc podporządkowania sobie zwolenników zabijania.

Za całkowicie fałszywą uznaje też autor tezę, jakoby presja społeczno-psychologiczna popychała ludzi do mordowania innych, albo jakoby pod wpływem tzw. owczego pędu budziła się w nich przemożna chęć uczestniczenia w zbiorowych rzeziach. Zaskakujące jest to, że Goldhagen nie ustosunkowuje się w tym miejscu do socjologicznych i psychologicznych teorii zachowań mas, na przykład do Le Bona, Tarde'a czy Ortega y Gasseta, które chociaż częściowo wyjaśniały przyczyny dobrowolnego zaangażowania się „zwykłych” śmiertelników w ekscesach ludobójczych.

Bardzo surowo ocenia autor jedną z najsłynniejszych teorii mających wyjaśniać, dlaczego poszczególne ludzie biorą udział w ludobójstwie: koncepcję o biurokratycznym sposobie myślenia lansowaną m.in. przez Hannah Arendt. Z nieskrywaną dezaprobatą odniósł się zwłaszcza do wysoce niefortunnego określenia o banalności zła, użytego przez Arendt dla scharakteryzowania osobowości Eichmanna w czasie jego procesu. Określenie to z lubością cytowane po dziś dzień przez niekoniecznie głupawych sprawozdawców uznaje Goldhagen za absolutnie błędne i trywialne, zwłaszcza w odniesieniu do Eichmanna i jego pomocników, którzy byli z reguły znakomitymi organizatorami i wyrafinowanymi manipulatorami zdolnymi do perfekcji

doprowadzić bynajmniej nie banalną szatańską sztukę masowego zabijania kobiet, mężczyzn, dzieci i starców.

W ścisłej korelacji z kampaniami eliminacyjnymi pozostają kolosalnych rozmiarów grabieże, jakich dopuszczali się sprawcy – w pierwszym rządzie inspiratorzy i przywódcy. Autor sądzi jednak, że chęć wzbogacenia się stanowiła uboczną przyczynę zabijania. W badaniach motywacji przestępców rzucał się w oczy zapał, energia i przerażające poświęcenie, z jakim wyszukiwali oni, ściągali, więzili, a w końcu mordowali swoje ofiary. Znany spostrzeżeniem jest fakt, że pociągani do odpowiedzialności oczywiści sprawcy aktów okrucieństwa stanowczo wypierają się swoich niecznych czynów, w najgorszym razie przyznając się do popełnionych zbrodni; usprawiedliwiają się, że zostali do ich popełnienia zmuszeni przez przełożonych. Autor przytacza konkretne drastyczne przykłady ze znanych już czytelnikowi kampanii ludobójczych świadczące o satysfakcji i gorliwości, z jaką sprawcy pełnili swoje katowskie powołania. Zwyczajowo po zakończeniu akcji likwidacyjnej, w czasie której dopuszczano się z reguły najwymyślniejszych tortur, siepacze zbierali się na mniej lub bardziej uroczystych bankietach czy biesiadach.

Osobnym problemem w dyskusji nad skłonnościami ludobójczymi jest zdaniem Goldhagena zachowanie się świadków tych bezceństw. Otóż dochodzi on do wniosku, iż większość świadków podczas wielu kampanii eliminacyjnych utożsamiała się ze sprawcami tak głęboko i ewidentnie, że ofiary (oraz inni) uważają ich za odpowiedzialnych lub winnych na równi z faktycznymi sprawcami.

Jak wszystkie sprawy tego świata również eksterminacjonizm i eliminacjonizm tak jak miały swój początek, muszą także prędzej lub później znaleźć swój koniec. Potężny bodziec, którego dostarczyli Niemcy swoim ludobójstwem w Europie, zwłaszcza zaś Holocaustem sprawił, że w grudniu 1948 roku Zgromadzenie Ogólne Organizacji Narodów Zjednoczonych uchwaliło *Konwencję w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa*. Akt ten miał – jak dowodzi autor – ogromne znaczenie dla napiętnowania i zakazu ludobójstwa w skali światowej, aczkolwiek zawiódł całkowicie, gdy idzie o jego praktyczne zastosowanie.

Goldhagen wyróżnia cztery podstawowe okresy, gdy idzie o stosunek międzynarodowego środowiska politycznego do kwestii ludobójstwa. W pierwszym etapie, do 1948 roku, do uchwalenia konwencji opinia międzynarodowa, rządy i media w zasadzie nie zajmowały się problematyką ludobójstwa. Pewnym wyjątkiem było potępienie masowych rzezi popełnianych przez światowych agresorów, tj. Niemcy i Japonię. Japończycy zyskali rozgłos w 1937 roku jako niebywale okrutni organizatorzy masakry nankińskiej; Niemcy wzbudziły grozę wszczynając w 1941 r. EndŹsung, chociaż – jak o tym świadczy niepowodzenie misji Karskiego – alianci nie wierzyli zrazu w diaboliczny wymiar tego precedensowego w dziejach światowej przestępczości przedsięwzięcia.

W drugim okresie roku 1948, aż do końca lat siedemdziesiątych dokonała się w stosunkach międzynarodowych jedna istotna pozytywna zmiana, mianowicie konwencja w sprawie ludobójstwa oficjalnie zakazała masowych rzezi dających się zaklasyfikować jako ludo-

bójstwo. Poza tym, tak jak przed wiekami, dominowała polityka pobłażliwości dla eliminacjonizmu, przy czym głównymi winowajcami stały się Stany Zjednoczone i Związek Radziecki, które popierały ludobójstwo w krajach należących do ich stref wpływów.

Również w trzecim okresie, od końca lat siedemdziesiątych do początku lat dziewięćdziesiątych pobłażano ludobójstwu. W tym czasie – zdaniem autora – za szczególnie odrażający akt uznać trzeba zgodę Stanów Zjednoczonych za prezydentury Cartera i Reagana by Czerwoni Khmerzy reprezentowali Kambodżę w ONZ i to po ich kłesce w 1979 roku.

Czwarty, ostatni, współczesny okres rozpoczął się na początku lat dziewięćdziesiątych po rozpadzie Związku Radzieckiego i tzw. obozu socjalistycznego. Nadal utrzymuje się postawa pobłażliwości wobec aktów zagłady, lecz jednocześnie coraz częściej pojawiają się próby interwencji na rzecz zapobiegania zamierzonym lub zaniechania zainicjowanym przypadkom masowych zabójstw. Jest więc pewien postęp, ale bardzo mizerny, gdyż uczucia solidarności, współczucia i sprawiedliwości skutecznie uśmierza wszechwładna hipokryzja i rasistowski egoizm mocarstw. Dlatego odstąpienie przez rządy i przywódców politycznych od praktyk eliminacjonistycznych rzadziej spowodowane jest naciskiem humanitarnej opinii publicznej świata, natomiast z reguły występuje po załatwieniu ludobójczych planów lub z powodu pomyślnego dla ofiar zbiegu okoliczności zewnętrznych. Toteż nadal przed ludzkością stoi zadanie ustanowienia takiego systemu instytucjonalnego, który by skutecznie zapobiegał rodzeniu się polityki eliminacjonistycznej, a z chwilą jej praktycznego zainicjowania doprowadził do niezwłocznego jej zaprzestania.

Część drugą rozprawy poświęcił Goldhagen współczesnej polityce eliminacjonistycznej, o której już w części pierwszej wielokrotnie się wypowiadał. W rozdziale pt. *Źródła i wzorce* do najbardziej interesujących fragmentów należą: rozważania dotyczące przyczyn uniknięcia wybuchu ludobójstwa w RPA, zwrócenie uwagi na fakt, że rządy często świadomie podejmują decyzje polityczne wywołujące masowy głód jako narzędzie eliminacjonizmu (tak m.in. było w Indiach, Chinach, w afrykańskim regionie Sahary), stwierdzenie, że spośród wielu kampanii eliminacjonistycznych naszych czasów kampania Niemców w celu zabicia wszystkich Żydów, zwłaszcza wszystkich żydowskich dzieci, nie ma sobie równych pod względem okrucieństwa w dziejach ludobójstwa.

Autora zdumiewa łatwość, z jaką sprawcom i środowiskom, z których się wywodzą, przychodzi zrozumienie, a następnie aprobata i gotowość uczestnictwa w aktach ludobójstwa, mimo że w momencie ich proklamowania byli zaskoczeni. Tłumaczy to sobie tym, że snadź już wcześniej byli przygotowywani do przyjęcia takiej postawy. Na ich sposób zachowań wywierały przemożny wpływ: olbrzymia potęga współczesnego państwa w zakresie tzw. przekształcania, konflikty strukturalne wewnątrz określonych państw oraz pobłażliwość opinii międzynarodowej dla polityki masowego zabijania.

Szczególne znaczenie w przygotowaniu społeczeństwa do zrazu werbalnego, a później czynnego poparcia polityki eksterminacji miała indoktrynacja w duchu

nienawiści i wrogości wzajemnej między potencjalnymi sprawcami a ofiarami, prowadzona w domu, w szkole, w środkach masowego przekazu. W większości wypadków odmienności etniczne, wyznaniowe, kulturalne i in. powodujące częste różnicowanie się określonego społeczeństwa na „swoich” i „obcych” nie prowadzą obecnie do rozstrzygnięć typu eliminacjonistycznego, wszelako nie wolno ich lekceważyć jako ewentualnych załączków poważniejszych antagonizmów.

Do najgroźniejszych prób różnicowania ludzi zalicza autor tzw. odczłowieczanie, polegające na odnawianiu pewnym osobnikom lub całym grupom cech przysługujących osobom ludzkim. Pokrewna temu przekonaniu jest postawa demonizowania bliźnich, polegająca na przypisywaniu im osobowości właściwości moralnie i charakterologicznie odrażających. Autorowi chodzi po prostu o przyjętą w nazistowskich Niemczech za wyrocznię naukowo-techniczną teorię rasowo-antropologiczną, uznaną przez miarodajnych socjologów za poznawczo absolutnie fałszywą, a społecznie niebezpieczną.

Zgromadzone w procesie indoktrynacji pokłady nienawiści i pogardy czekają – zdaniem autora – na sposobną okazję, aby przekształcić się w realne działania ludobójcze. Tak było w czasie rozpadu Jugosławii, tak też postępowali Brytyjczycy kiedy na początku XX wieku kolonizowali Kenię i taki był mechanizm rzezi, jaką Hutu zgotowali Tutsi, albo Turcy swoim „podludziom” Ormianom. Najbardziej być może szokujące w polityce eliminacjonistycznej i eksterminacjonistycznej – powiada Goldhagen – jest to, że sprawcy niemal zawsze dopadają swoje ofiary. Ich polityka polega potem na radykalnym przemodelowywaniu całokształtu stosunków społeczno-politycznych.

Polityka ludobójstwa kroczyła różnymi, nieraz trudnymi do zrozumienia drogami. Autor ilustruje tę prawdę na przykładzie eliminacjonistycznych poczynań Niemców. Otóż jedynym narodem, który skazali oni na całkowite, totalne wyplenienie byli Żydzi zarówno zamieszkali w Rzeszy, jak i obywatele innych państw. W stosunku do innych narodów zajmowali stanowisko bardziej ambiwalentne. Nawet Francuzów uznawanych skądinąd za wrogów odwiecznych, dziedzicznych zaliczali do rasy „ludzkiej” i nie przewidywali ich unicestwienia; natomiast Słowian, w pierwszym rządzie Polaków kwalifikowali jako „podludzi” (Untermenschen), których w zależności od konkretnej sytuacji można było utrzymywać w roli niewolników albo zlikwidować.

Zaskakujące jest spostrzeżenie autora, iż do roli „śmiertelnych” wrogów naziści nie zaliczyli swoich najgroźniejszych krajowych przeciwników, tzn. komunistów i socjaldemokratów, a także chadeków, a to z pobudek rasistowskich – mimo wszystko wierzyli, że duch „nadludzi” (Übermenschen) w nich odżyje. Trzeba przyznać, że mieli rację...

Drugim opisanym przez autora przykładem zróżnicowanej strategii eliminacjonistycznej bliskiej nazistowskiej była polityka Czerwonych Khmerów w nieszczęśliwej Kambodży.

Niemcy zabili w przybliżeniu dwadzieścia milionów ludzi w ciągu czterech lat systematycznego ludobójstwa, co czyni z nich zdecydowanie najintensywniejszych ludobójców spośród pięciu głównych eliminacjonistycznych systemów politycznych, tj. komunistycz-

nych Chin, ZSRR, nazistowskich Niemiec właśnie, imperialistycznej Japonii i Pol Potowskiej Kambodży. Spustoszenie cywilizacyjno-kulturowe, demograficzne, moralne, intelektualne i polityczne, jakie spowodowałyby ewentualne zwycięstwo Niemiec w drugiej wojnie światowej jest niewyobrażalne, w każdym razie poniesione straty nie nadawałyby się do odrobienia, co bądź co bądź stało się faktem po półwieczu sowieckiej dominacji w Europie Środkowej.

Goldhagen jest przekonany, iż wiedza w sprawach ludobójstwa jest nieporównanie mniejsza od wiadomości, jakie nagromadzono na temat ich ofiar. W związku z tym postanowił sprawdzić, jak sprawcy znosili ciężar niepewności, jaki wypadło im dźwigać. Otóż okazuje się, że w środowisku rodzinnym, sąsiedzkim, zawodowym, towarzyskim z tytułu spełniania funkcji katowskich nie tylko że nie spotyka ich potępienie lub współczucie, lecz przeciwnie – są traktowani jako najnormalniejsi w świecie funkcjonariusze. Nic dziwnego, że po wojnie w Niemczech w społecznościach lokalnych, a nierzadko nawet w instytucjach centralnych zatrudniano byłych zabójców jako ludzi zasługujących na zaufanie i szacunek współobywateli z racji kompetencji organizacyjnych i aktywności socjalnej. Społeczna i wspólnotowa solidarność, z jaką spotykają się sprawcy w okresie poeliminacyjnym – powiada autor – stanowi jedynie kontynuację tej solidarności także ze strony intelektualistów i duchownych, której doświadcza, niszcząc swoje ofiary.

Szczególną rolę w systemie działań stosowanych przez politykę eliminacyjną pełnią obozy koncentracyjne. Przyznaję, iż od Goldhagena dowiaduję się, że to nie Anglikom lecz Hiszpanom i w związku z tym Kubie, a nie Republice Południowej Afryki zawdzięczamy, pożałuj Boże, powstanie w 1816 roku pierwszych obozów koncentracyjnych. W każdym razie te dwa pierwowzory dały początek instytucji, która zwłaszcza w Niemczech hitlerowskich i w Związku Radzieckim Stalina zyskała apokaliptyczną sławę. Autor porównuje obydwa systemy obozowe i dochodzi do wniosku, iż nazistowskie KL-y były znacznie gorsze niż stalinowskie gułagi. Wspominam o tym dlatego, że w 1945 roku, kiedy po wyzwoleniu z Mauthausen/Gusen wstąpiłem do II Korpusu Polskich Sił Zbrojnych we Włoszech, spotkałem się z b. więźniami gułagów, z którymi b. kacetowcy toczyli bezustanne spory o to właśnie, gdzie było gorzej? Pomijając fakt, iż systemy obozowe pomyślane były jako zbiorowe mordownie, to jako przedsięwzięcia przemysłowe były tworem absolutnie irracjonalistycznymi.

Gehenna życia obozowego była spotęgowana tym, że więźniowie dodatkowo narażeni byli na akty okrucieństwa, jakich z własnej inicjatywy i chęci dopuszczali się wobec nich członkowie dozoru. Również w tej dziedzinie – zdaniem autora – istnieją przytłaczające dowody, że okrucieństwo Niemców w stosunku do Żydów było właściwie nieprześcignione. Pod tym względem zarówno w łagrach, jak i w obozach chińskich sytuacja przedstawiała się znacznie korzystniej – wypadki celowego okrucieństwa zdarzały się tylko sporadycznie. Autor wyróżnia pięć rodzajów nadmiernego okrucieństwa, stosowanych w odpowiednich okolicznościach eliminacyjnych. Odrębny problem stanowią straszliwe okrucieństwa popełniane na kobietach

i dzieciach. Liczne opisy bezceństw, głównie seksualnych, to przerażająca lektura. Do tych nie mieszczących się w głowie potworności sprawcy dorabiali oczywiście ideologie usprawiedliwiające, odwołujące się do konieczności obrony koniecznej rzekomo zagrożonych elementarnych podstaw własnej egzystencji.

W części trzeciej, ostatniej, snuje autor rozważania na temat przyszłości. Z satysfakcją odnotowuje fakt, że imperialny i komunistyczny eliminacjonizm się skończył i że drastycznie spadła liczba państw, co do których istnieje prawdopodobieństwo, że znów będą się dopuszczać ludobójstwa. Wszelako przestrzega przed pochopnym samouspokojeniem i wskazuje zwłaszcza na kraje afrykańskie leżące na południe od Sahary, rządzone przez tyrańskie reżimy, w których możliwości katastrof ludobójczych nadal są realne.

Za jedno z najważniejszych potencjalnych zagrożeń dla świata uwolnionego od XX-wiecznej zmywy ludobójstwa uważa Goldhagen polityczny islamizm, który jego zdaniem jest obecnie jedynym wyraźnie, publicznie i otwarcie ludobójczym poważnym ruchem politycznym, skłonny do stosowania śmiertelnej polityki eliminacyjnej.

Szczególnie złowrogim rysem politycznego islamizmu jest uprawiany i uświęcany przez niego kult śmierci, który często stanowi zachętę do ślepego ludobójstwa. Islamska kultura śmierci nie ustępuje, a nawet pod pewnymi względami góruje nad nazizmem w promowaniu fanatyzmu antyamerykańskiego i antyizraelskiego. Moim zdaniem ostrzeżenie autora, że polityczny islamizm pod względem aspiracji i zagrożenia najbardziej przypomina imperialistyczne reżimy totalitarne XX wieku: Niemcy, Japonię i Związek Radziecki należy traktować z całą powagą. Również jego domniemanie, iż związane z islamem pozapaństwowe grupy terrorystyczne mogą uzyskać dostęp do broni atomowej i tym samym zafundować narzędziem szantażu politycznego niebywalej mocy (z taką możliwością liczył się prof. Włodzimierz Trzebiatowski) zasługuje na uwagę.

W zakończeniu swojej monumentalnej pracy podejmuje autor próbę odpowiedzi na pytanie: co może raz na zawsze zapobiec pojawieniu się ekscesów ludobójczych? Odpowiedź jest bardzo trafna, ale zarazem rozbrajająco naiwna: „musimy po prostu – powiada Goldhagen – zmienić dominujący w naszej epoce [...] układ w ten sposób, by po pierwsze, polityka eliminacyjna nie była już polityką bezkarności, i po drugie, kiedy przywódcy polityczni [...] by wiedzieli, że zainicjowanie szturmów eksterminacyjnych lub eliminacyjnych ściągnie na nich niepomiernie więcej strat, niż przyniesie im korzyści”. Taka diagnoza jest w ustach autora tym bardziej zaskakująca, że wcześniej wielokrotnie przytaczał przykłady wołającego o pomstę do nieba cynicznego ochraniania przez wielkie mocarstwa sprawców ludobójstwa (m.in. USA – Czerwoni Khmerzy), a także dowody, iż autorami pomysłów eliminacyjnych i realizatorami działań ludobójczych były osobniki ewidentnie patologiczne, niezdolne do myślenia w racjonalnych kategoriach strat i korzyści. Nikt nie wymyślił skuteczniejszej metody przewycięzania polityki eliminacyjnej jak ustanowienie systemu demokratycznego, ale i on – jak wiadomo – nie zawsze jest skuteczny. Koronny przykład:

Hitlera wyhodowała w majestacie prawa liberalno-demokratyczna Republika Weimarska.

Bardziej realistyczne są postulaty autora dotyczące roli mediów w likwidowaniu lub przynajmniej ograniczaniu tendencji eliminacjonistycznych, chociaż i w tej sprawie grzeszy naiwnością, buntując się (słusznie!) przeciwko nienagłaśnianiu przez media ogólnego problemu ludobójstwa, a za to koncentrowaniu uwagi publiczności na pojedynczych faktach, na przykład na spektakularnych rodzinnych morderstwach. Wszak ewidentnie chodzi tu o logikę marketingu.

Swoje nadzieje na położenie kresu polityce eliminacjonistycznej wiąże autor z powodzeniem, jakie osiągnięto w równie trudnych sprawach: zapewnienie w wielu krajach ochrony podstawowych praw człowieka i obywatela; delegalizacja i zakończenie podbojów obcych terytoriów; usunięcie wojny jako środka kształtowania stosunków międzynarodowych. Za niezwykle znamienne i zaskakujące odnotować w tym miejscu muszę fakt, iż Goldhagen całkowicie pomija milczeniem politykę wielokulturowości jako odtrutkę na ludobójstwo. W Kanadzie, Australii, Holandii, w Niemczech, w krajach skandynawskich i in. zasada wielokulturowości stosowana była (i nadal jest) jako ważny element polityki państwowej, wykluczającej pojawienie się tendencji eliminacjonizmu. Podobno rzecznicy wielokulturowości, do których czołówki należeli także polscy uczeni, przeżyli pewien zawód z powodu nie dość efektywnych wyników swoich starań, jednakże sama idea pozostała żywa i rokuje nadzieje na przyszłość.

Małą skuteczność w zapobieganiu szturmom ludobójczym przypisuje autor polityce Organizacji Narodów Zjednoczonych, w szczególności jej Radzie Bezpieczeństwa, której działalność paraliżowały ZSRR, Chiny Ludowe, a także Stany Zjednoczone nadużywając przysługującego im prawa weta. Obecnie, po zakończeniu zimnej wojny ONZ będzie w stanie poważnie zająć się polityką eliminacjonistyczną. W sprawie wojny z Irakiem autor jednoznacznie opowiada się za Bushem, chociaż uznaje błędy administracji prezydenta w tej sprawie i w ogóle w kwestii zwalczania przez USA światowego eliminacjonizmu.

Obecny okres w rozwoju polityki antyeliminacjonistycznej nazywa autor oenzetowsko-ermetikowskim (od MTK – Międzynarodowy Trybunał Karny) i traktuje go jako znaczny choć nie przełomowy postęp. Aktualnie jego zdaniem zaistniały możliwości stworzenia ognia zaporowego skutecznie zapobiegającego eliminacjonizmowi i ludobójstwu. Jednym z niezwykle ważnych dla osiągnięcia tego celu zabiegów powinno być właściwe skodyfikowanie prawa międzynarodowego. Goldhagen z uporem domaga się zastąpienia zapisu zbrodnie przeciwko ludzkości zawartego z Konwencji ONZ w sprawie ludobójstwa, pojęciem wojna przeciwko ludzkości – w dłuższym wywodzie semantyczno-prawniczo-politologicznym próbuje wyjaśnić czytelnikowi praktyczne ogólnoswiatowe znaczenie zastąpienia słowa „zbrodnie” słowem „wojna”. Nie czując się ekspertem w sprawach filozofii słów przyznać muszę, że zalecenia autora przyjmuję za mało przejrzyste i niezbyt przekonujące. Również jego propozycje monitorowania świata celem wykrycia symptomów eliminacjonistycznych szturmów oraz przeprowadzania przedsięwzięć interwencyjnych na podobieństwo tych

(przez niego popieranym), jakie NATO przeprowadziło w Serbii, nie wydają się realne.

Za poniekąd szokujący uznać trzeba pomysł Goldhagena likwidacji Organizacji Narodów Zjednoczonych i zastąpienia jej „jakąś potężną międzynarodową instytucją, która będzie spełniać wiele obecnych obowiązków i funkcji swojej poprzedniczki, będąc przy tym wolną od dyskwalifikujących ją utomności”. Proponuję nazwać ją Organizacją Demokratycznych Narodów Zjednoczonych, do której mogłyby należeć tylko państwa demokratyczne. Ustanowienie w całym świecie, na wszystkich kontynentach systemów demokratycznych wydaje się autorowi stosunkowo łatwe, właściwie wszystko zależy od dobrej woli i chęci istniejących demokracji, toteż wizja ludzkości wolnej od groźby zagłady eliminacjonistycznej bynajmniej nie musi być odległą. Tymczasem historia najnowsza, zwłaszcza historia tzw. krajów III Świata oraz państw postkolonialnych pokazuje, iż ustanowienie upragnionych porządków demokratycznych, gwarantujących pokój między narodami, zaś w stosunkach wewnątrzpaństwowych sprawiedliwość, wolności obywatelskie i zamożność jest procesem niezwykle trudnym i skomplikowanym, i niestety długotrwałym.

Zgodnie z tym, co założył sobie autor, jego książka nie zawiera wyczerpującej dokumentacji żadnego ludobójstwa z osobna, nie mówiąc o historii wszystkich *masowych mordów naszej epoki*¹, lecz raczej ma wyjaśnić genezę i skutki stale pojawiających się katastrof eksterminacjonizmu, a także zaproponować działania służące zlikwidowaniu tej straszliwej plagi. Otóż wydaje mi się, że tego celu autor w *Wiek Ludobójstwa* nie osiągnął i chyba osiągnąć nie mógł, skoro całe zastępy niemieckich uczonych, znakomitych historyków, socjologów, politologów i antropologów, po wieloletnich uporczywych badaniach nie znalazło odpowiedzi na pytanie: dlaczego właśnie Niemcy, jeden z najbardziej kulturalnych narodów świata, stworzyły Holocaust? O zaproponowanych przez Goldhagena sposobach zapobiegania aktom ludobójstwa jako w większości nierealistycznych już wspominałem.

Tym niemniej trzeba z najwyższym podziwem odnieść się do dzieła amerykańskiego uczonego, jego ogromnej erudycji, zdolności panowania nad niezwykle rozległym materiałem badawczym, umiejętnością znalezienia nowego oryginalnego sposobu artykulacji poglądów antyeliminacjonistycznych. Nade wszystko zaś winniśmy wielkiemu humaniście wdzięczność za upór i poświęcenie w długoletnich staraniach o upowszechnienie w opinii publicznej ludzkości prawdy o zaiste szatańskich bezeceństwach, jakich dopuszcza się człowiek przeciw człowiekowi.

WŁADYSŁAW MARKIEWICZ

Warszawa, grudzień 2012 r.

Daniel Jonah Goldhagen, *Wiek Ludobójstwa*, przekład Michał Romanek, Wydawnictwo ZNAK, Kraków 2012, s. 814.

¹ Pewne zdumienie budzi fakt, iż Goldhagen bodaj ani razu nie wspomina o jednym z najokrutniejszych masowych mordów dokonanych w Kongu (ok. 5 do 15 mln zamordowanych) przez belgijskiego króla Leopolda II, który do 1907 roku był jednoosobowym właścicielem tej ogromnej, przebogatej kolonii.

STANISŁAW GĘBALA

GORĄCZKA PRAWYCH I SPRAWIEDLIWYCH

W swoim artykule *Słowa na wojnie* („Zdanie” 1-2, 2011), snując rozważania nad samą nazwą „Prawo i Sprawiedliwość”, zapomniałem zaproponować drobną korektę, która w sposób najoczywistszy uzasadniałaby postawę moralnej wyższości, prezentowanej przez wszystkich bez wyjątku jej prominentnych działaczy: Partia Prawych i Sprawiedliwych. Skrót tej nazwy (PPiS) mógłby wprawdzie budzić pewną podejrzliwość (brzmi podobnie jak PPS!), ale z nawiązką likwidowałoby owo ryzyko rozwianie wszelkich wątpliwości co do tego, iż tylko ta partia może sprawować władzę w pełni prawomocnie. Wiem, rzecz jasna, że i bez podobnego „uprawomocnienia” PiS posiada takie niewzruszone przekonanie, ale ciągle jeszcze bywa ono (bezkarne!) kwestionowane z różnych stron naszej (pożał się Boże!) „sceny politycznej”.

Po krótkim namyśle jestem skłonny zaproponować jeszcze jedną korektę uwzględniającą dyskusję, które się przetoczyły przez naród w związku z projektami regulacji prawnych (na szczęście natychmiast odrzuconych ze wstrętem przez Wysoką Izbę) dotyczących tzw. związków partnerskich: Partia Prawych, Sprawiedliwych i Normalnych. Warto zaraz sprawdzić, jak będzie wyglądał skrót: PPSiN – nie ma co ukrywać – jeszcze gorzej; ale warto podjąć i to ryzyko dla zapewnienia już w nazwie partii, że nie ma w niej miejsca dla jakiegokolwiek anormalności (amoralność wykluczaliśmy wcześniej). Po takich korektach już nie wahałbym się zaproponować wpisanie do konstytucji paragrafu o przewodniej roli tej właśnie partii.

* * *

25 stycznia 2013 r. zapewne przejdzie do najnowszej historii Polski (a na pewno do historii polskiego parlamentaryzmu) jako dzień bezapelacyjnego zwycięstwa naszych rozgorączkowanych moralnie konserwatystów, którzy na ołtarzu nadrzędnych wartości złożyli (zapewne bez żalu) resztki rozsądku, o jakich posiadanie byłem ich jeszcze skłonny, mimo wszystko, podejrzewać. Do zwycięstwa poprowadziła ich nowa gwiazda PiS-u prof. (sic!) Krystyna Pawłowicz. Jej płomienne wystąpienia w Wysokiej Izbie zostały natychmiast porównane do niezapomnianych patriotycznych hymnów, recytowanych w uniesieniu z trybuny sejmowej przez Beatę Kempę. Niestety, jak powszechnie wiadomo, posłanka Kempa fatalnie zbłądziła (dodajmy na jej obronę: zbłądziła politycznie, ale nie moralnie!). Obie gwiazdy reprezentują jednak odmienne szkoły retoryczne. O ile posłanka K. w czasach swojej świetności posługiwała się stylem wysokim (ba, najwyższym!), o tyle prof. P. nie obawia się (asekuruje ją przecież tytuł naukowy!) zniżyć do stylu zgoła jarmarcznego, o czym mogliśmy się przekonać tego samego historycznego dnia w programie TVN24 *Tak jest*, prowadzonym przez Andrzeja Morozowskiego.

Prof. P. „dyskutowała” w nim z rzecznikiem klubu poselskiego SLD Dariuszem Jońskim, nie dopuszczając go

praktycznie do głosu; a jeśli już udało mu się coś powiedzieć, wykrzykiwała: „A idź, chłopie!”. Na takie „dictum” istnieje tylko jedna możliwa replika: „A idź, babo!” – ale wtedy dyskusja utyka w martwym punkcie. Poza tym Dariusz Joński wyglądał na nieco skrupowanego, obawiając się najwidoczniej, że pani profesor w każdej chwili może mu przypomnieć sromotnie oblany przed kamerami telewizji niedawny „egzamin” z najnowszej historii Polski.

* * *

8. stycznia 2013 r. w programie *Szkoła kontaktowa* (TVN24) zobaczyliśmy coś dotąd niewyobrażalnego: uśmiech posła (ba! przewodniczącego klubu PiS!) Mariusza Błaszczaka. Przyznam się, że przeżyłem szok, bo na twarzy posła zawsze „malowały się” wyłącznie niesmak i troska. Uśmiech, który uchwyciła kamera, trwał co prawda krótko, ale zburzył – przynajmniej w moich oczach – wizerunek jednego z najbardziej znanych Prawych i Sprawiedliwych; wiecznie zniesmaczonego (rządami Tuska) i zatroskanego (o sprawy Najjaśniejszej Rzeczypospolitej). Jednak nawet najkrótszy moment utraty kontroli nad własną twarzą może się okazać kosztowny, gdyż posła Błaszczaka ciasnym kołem otaczają twarze jakby wyciosane z kamienia i niezmiennie tchnące wiarą w misję PiS-u oraz jego Prezesa (przepraszam: kolejność, oczywiście, powinna być odwrotna – Prezesa oraz jego PiS-u) – jak choćby pomnikowe oblicze Joachima Brudzińskiego czy wyróżniająca się pogardliwym spojrzeniem zawsze przymrużonych oczu, omiatającym wszystkich wrogów politycznych, buzia najładniejszego chłopca PiS-u, Adama Hofmana.

Wielokrotnie zastanawiałem się, co czyni te twarze, tak przecież różne, tak zarazem podobnymi do siebie – i nagle doznałem olśnienia: malujące się na nich wszystkich bez wyjątku surowość i zapał rewolucyjny. Uczępiło się mnie natrętnie to „malowanie” zapewne także przez automatyczne skojarzenie z „chłopcami malowanymi” czy „malowanymi dziećmi” z naszych ukochanych piosenek żołnierskich – ale trudno nie zauważyć, że twarze (a niekiedy i uszy) chłopców z PiS-u maluje przede wszystkim rewolucyjna gorączka, która nie oszczędza nawet postaci tak eksponowanych jak Zbyszek... przepraszam: jak pan przewodniczący Zbigniew Ziobro. Na nic wysiłki telewizyjnych charakterysterek; przez najgrubszą nawet warstwę pudru zawsze przebijie się ten gorączkowy rumieniec rewolucjonisty, zapowiadającego np. na 26 stycznia 2013 roku Wielką Konwencję Antykorupcyjną w warszawskim Teatrze Dramatycznym. Trudno o dobitniejsze potwierdzenie faktu teatralizacji polityki (przynajmniej w jego wydaniu). Oddajmy mu jednak sprawiedliwość: z bezbłędnym wycuciem wybrał Teatr Dramatyczny, a nie choćby kukiełkowy.

Ale żarty na bok; Ziobro ma przecież u swego boku znakomitego PR-owca Jacka Kurskiego. To jego podejrzewam o rewitalizację tak chwytliwego (niegdyś) hasła,

jak walka z korupcją. Niestety, tym razem wyszła z tego jakaś pokraczna hybryda językowa: „walka z frontem promocji korupcji”. Ta „walka z frontem” jest zniekształconym przez czas echem języka batalistycznego, eksploatowanego w propagandzie politycznej wczesnego PRL-u (starsi czytelnicy zapewne pamiętają wyrażenia i zwroty w rodzaju „front walki” czy „walka na froncie” takim czy innym). Przyznajmy jednak, że dalsza część hasła („front promocji korupcji”) brzmi mocno: ...r... r... r... – aż nogi same rwą się do marszu na front walki; oczywiście, przeciw tamtemu frontowi.

Wielomówny przewodniczący zdradził jednak niepotrzebnie pewną tajemnicę PR-owskiej kuchni Solidarnej Polski; powiedział mianowicie publicznie, że początkowo hasło miało nieco inną formę: „front obrony korupcji”. Też brzmi niezłe (te same trzy „r”) – ale o ileż słabiej z powodu pozytywnych konotacji słowa „obrona”, które przede wszystkim kojarzy się z „obroną słabszych”, „obroną wartości”, a choćby nawet „spraw przegranych”. Istnieją wprawdzie także „obrońcy złej sprawy”, ale w przytoczonych kontekstach raczej na prawach wyjątku. Pierwsze skojarzenia ze słowem „obrona” są w przeważającej mierze pozytywne i odsyłają do sfery wartości moralnych. Inaczej z pojęciem „promocja”, które jest nierozdzielnie związane z marketingiem i postawami ignorującymi jakiegokolwiek oceny moralne. Promocja z reguły jest cyniczna, nachalna, a nawet bezczelna; nie mówiąc już o tym, że zawsze interesowna – w przeciwieństwie do obrony, która ciągle jeszcze bywa bezinteresowna (poza, rzecz jasna, „obroną własnych interesów”).

Wytrawny PR-owiec musiał jednak przede wszystkim uświadomić sobie, że zamiana słowa „obrona” na „promocja” zmienia zasadniczo charakter „frontu” – z obronnego na ofensywny. W ten sposób obrońcy (nawet najgorszej sprawy) stają się stokroć bardziej niebezpiecznymi i znienawidzonymi agresorami. Tego rodzaju manipulacje językowe ciągle jeszcze jesteśmy skłonni bagatelizować, gdy tymczasem jest to chyba najgroźniejsza propagandowa strategia „kropli drażniącej skałę”. Te „krople” powoli ale nieubłaganie zatruwają atmosferę społeczną, sączą pogardę i nienawiść do podatnych na wmówienia, a przy tym bezkrytycznych, umysłów. Ostatnio wiele (zbyt wiele) dyskutowało się o „mowie nienawiści”, definiując ją (dość prostodusznie) jako stek inwektyw, niewybrednych słownych ataków i fałszywych oskarżeń. Gdyby określenie czym jest mowa nienawiści, było tak proste, łatwa byłaby również walka z nią. A łatwa nie jest...

* * *

Nie jestem zresztą pewien, czy próby definicji „mowy nienawiści” w ogóle warte są wysiłku. Naszym głównym problemem jest bowiem kompletna jałowość debaty politycznej, spowodowana z kolei przeświadczeniem opozycji, że istotą jej roli jest totalna negacja wszelkich działań władzy. Taka opozycja ma w Polsce długą tradycję. Przypominał ją jeszcze w połowie XX wieku Stanisław Mackiewicz (wiem, wiem; są na niego jakieś „papiery” w IPN-ie):

„[...] endecja obrała sobie rolę, która w Polsce, niestety, zawsze była wygodna: stałej, bezwzględnej opozycji. Od Konfederacji Barskiej, której nie lubię i nie szanuję, od kiedy bliżej ją poznałem, narodem polskim można najłatwiej rządzić, jeśli się wszystko potępia, za żadną rzeczywistość nie bierze odpowiedzialności, zawsze się

apeluje do uczuć niezadowolenia, krytyki, bezwzględnej potępienia. Anglicy mają nad nami tę wielką wyższość, że pytają zawsze: pan krytykuje, a co pan zrobiłby na ich miejscu? – U nas takie pytanie nie jest konieczne. Nasze życie publiczne to ciągła premia za całkowite poczucie nieodpowiedzialności”.¹

Chyba nie muszę wyklądać „kawy na łąkę” i wskazywać palcem, kto wszedł w tę rolę dziś; natomiast tym, którzy stwierdzą, że nasza dzisiejsza – „jedyna prawdziwa”, jak się sama określa – opozycja przecież ciągle mówi, co zrobiłaby „na ich miejscu”, można się tylko roześmiać prosto w nos. Poważnie jednak trzeba potraktować pewną uzurpację i wskazać palcem: otóż ta „jedyna prawdziwa” opozycja nader zręcznie i skutecznie posługuje się odziedziczonym po PRL-u przeciwstawieniem MY–ONI w znaczeniu: my–społeczeństwo i oni–władza. Dzisiejsza opozycja mówi zresztą o sobie nader chętnie *per* „społeczeństwo” albo nawet „naród”. A wszystko co robi, robi (oczywista oczywistość) dla Polski. Natomiast władza to ciągle znienawidzeni ONI – komuchy, do których 10 kwietnia 2010 roku dołączyli zdraycy z krwią na rękach. „Nadejdzie jednak dzień zapłaty”... (Jeszcze raz przepraszam: pomyliły mi się pieśni.)

Coraz śmieszniej i coraz straszniej. Ale oto słyszymy z ust naszych Prawych i Sprawiedliwych słowa zgoła zdumiewające: że będą trzymać kciuki za Tuska jadącego na trudne negocjacje w sprawie unijnego budżetu (w lutym to było) – ledwie jednak negocjacje się skończyły (pomyślnie dla nas), kciuki natychmiast same wysuwają się z zaciśniętych pięści i znów wskazują w dół: Klęska! Za mało wytargował! Tak kończy wasalizm, klientyzm, kondominium! Przed kamerami telewizyjnymi Prawi i Sprawiedliwi znowu prezentują te same maski, surowe i gniewne. Przez chwilę można było odnieść wrażenie, że wśród masek pojawiła się wreszcie jakaś twarz – od czasu do czasu nawet uśmiechająca się. Usłyszeliśmy, że to kandydat PiS-u na premiera „rządu technicznego”. (Prosty pomysł: nie możemy wrócić do władzy normalną drogą – od frontu, przez wygrane wybory, to wrócimy boczną furtką.) Profesor! I wcale nie wygląda na rozgorączkowanego, nie przebiera nogami, mówi na ogół sensownie i spokojnie. Do czasu; bo ktoś mu jednak podsunął obowiązkowy szablon komentarza na temat zapowiedzianych przez premiera Tuska zmian w rządzie. (Szablon wyglądał tak: Zgadamy się, że takie zmiany są konieczne. Ale dlaczego tylko „kosmetyczne”? Najlepiej, żeby objęły cały rząd z Tuskiem na czele. – Celne i błyskotliwe, prawda?) Rzecz w tym, że wcześniej ten szablon został już wykorzystany parokrotnie przez panów o niezmiennie surowych obliczach i Tomasz Sianecki w *Szkle kontaktowym* (TVN24) tego samego dnia mógł pokazać filmik z wypowiedzią Profesora, komentując złośliwie, że „poleciał Błaszczakiem”.

Ja jednak – z całą sympatią, jaką chciałbym okazać, a którą tak trudno mi z siebie wykrzesać – dedukuję mu jeszcze jeden cytat z książki Stanisława Mackiewicza:

„Bywa tak, że kilku ludzi stara się otworzyć drzwi kluczem, który nie otwiera. Ty stoisz i gniewasz się: »Dajcie mnie, to na pewno otworzę«. Wreszcie dają ci ten klucz i ty stwierdzasz, że tak samo jesteś bezsilny jak inni”.²

W lutym 2013 r.

¹ *Zielone oczy*, Warszawa 1959, s. 36.

² Tamże, s. 321.

ZBIGNIEW BAUER

O STANIE POLSKICH MEDIÓW

Na antenie radia TOK FM wypowiedział się nie tak dawno Andrzej Skworz, założyciel i redaktor naczelny „Press”, najlepszego i najlepiej poinformowanego pisma poświęconego mediom. Lubię ten miesięcznik, chociaż z opiniami jego szefa nie muszę zawsze się zgadzać. Tak było i tym razem. Skworz powiedział coś takiego:

„Dziennikarze permanentnie krytykują sami siebie, zawsze są z siebie niezadowoleni. I to właśnie stanowi o sile tego zawodu, która pozwala się dziennikarstwu odradzać. Czy znacie drugi zawód, który stale spiera się o swoje standardy, analizuje własne wpadki i jeszcze się z nimi obnosi? Czy lekarze, prawnicy, prokuratorzy, aktorzy albo naukowcy co dzień publicznie oceniają kolegów? W wielu profesjach poziom jest beznadziejny, lecz znakomita większość profesji o tym milczy. Dziennikarze wywlekają swoje brudy na światło dzienne, stąd publiczne przekonanie, że z ich kondycją jest najgorzej. Zresztą, nawet jeśli marzenie reżysera Brauna spełniłoby się w dwójnasób i wybito by nie tylko dziennikarzy TVN i „Gazety Wyborczej”, ale wszystkich pozostałych, to zaraz ktoś i tak zajmie ich miejsce. Zacznie weryfikować, czy ci, którzy publicznie głoszą cnotę, naprawdę ją pielęgnują. Dlatego końca dziennikarstwa nie będzie. Najwyżej zmienią się nośniki”.

Miło usłyszeć lub przeczytać, że ktoś jest optymistą w czasach, gdy ze wszystkich stron słychać rozpacz. Niestety, nie mogę podzielić tego dobrego samopoczucia. Na tej samej antenie Dorota Warakomska, niegdyś szefowa telewizyjnych „Wiadomości”, mówiła: „Kilka wzajemnie na siebie wpływających czynników przyczynia się do tego, że kondycja polskiego dziennikarstwa nie jest najlepsza. Po pierwsze – nastąpiło powszechne obniżenie standardów. Liczy się sensacja, szybkość, a niekoniecznie sprawdzona informacja. Chodzi o to, kto poda ją pierwszy, a nie o to, by przedstawić ją w rzetelny sposób. [...] Teraz mniej dbają o standardy także telewizyjne stacje informacyjne. Priorytetem jest dla nich szybkość, a więc bywa, że emitują niesprawdzone materiały. Poza tym wpuszczają na wizję dzieciaki, świeżo upieczonych dziennikarzy, którzy nie kojarzą faktów, nie mają wiedzy historycznej. Albo też wybierają najprostsze rozwiązanie, zapraszając polityków, żeby się ze sobą pokłócili i podgrzali atmosferę”.

We wrześniu ubiegłego roku burzę wzniesił Grzegorz Miecugow, który stwierdził: „Mam teorię dosyć obrazoburczą: dziś największą słabością mediów jest odbiorca. Gdy mówimy o tabloidyzacji mediów, to mówimy właśnie o tabloidyzacji odbiorców. Na rynku nie można abstrahować od tego, czego chce widz. To, że filmy Woody'ego Allena chodzą po godzinie 23, to nie jest wybór właściciela telewizji. To wybór widza, który chce o 20.00 oglądać rozrywkę prząsną. Telewizje komercyjne zwracają się w stronę większości, która woli »naparzanek«”.

Mariusz Janicki w świetnym tekście opublikowanym w „Polityce” zdiagnozował, iż narodził się „umysł tabloidowy”, który rozgościł się we wszystkich mediach: prasie, radiu, telewizji i, rzecz jasna, w internecie (tu chyba jest wszechobecny – i to nawet w portalach, które niegdyś uchodziły za „mainstreamowe”, jak Onet, Wirtualna Polska, a nawet Gazeta.pl). Czytam więc u Janickiego: „Zidiocenie nie dotyczy już tylko brukowych gazet, kolorówek, pokazującej głównie rozrywkę telewizji czy internetu z jego plotkarskimi portalami – to rachunek ciągłony. Z tabloidowym umysłem muszą się teraz mierzyć szkoły, wyższe uczelnie, twórcy kultury, politycy i odpowiadać na takie zapotrzebowanie, dostosowując do niego treści. Tabloid (chodzi tu o sposób postrzegania świata, a nie tylko konkretne produkty medialne) zarasta umysły jak chwast, wypierając inne uprawy”.

Wprowadzono na użytek dyskusji o kondycji mediów – i to nie tylko polskich – termin „tablozyny”, czyli – według medioznawcy Jacka Wasilewskiego – coś na kształt „ekskluzywnych wydań tabloidów”: „Obsługuje to schemat narracyjny typu: »zwykły człowiek jest zawsze pokrzywdzony przez urzędy, prasa go uratuje«. Na świecie panuje niesprawiedliwość, a bogaci są źli. Ogólnie w tabloidach teksty mają dwie zasady konstrukcyjne. Pierwsza to: dobrze, że to nie mi się przytrafiło; druga: takiemu to dobrze. Magazyn opinii, w którym obywatele jak na agorze dyskutują swoje publiczne sprawy, zmutował i z boku agory wyrosła narośl – podwórko. Kiedy opisuje się społeczeństwo na agorze, istotne są całościowe zjawiska. Kiedy opisuje się sprawy podwórka, opisuje się sąsiada, kogoś konkretnego, najczęściej skrzywdzonego, albo zwycięzcę”.

W styczniu w »Newsweeku« była rozmowa Renaty Kim i Anny Maruszczyk z matką chłopca, który popełnił samobójstwo (»Newsweek i marihuana«), a we »Wproście« – to samo, autorką była Marta Bratkowska (*Byliśmy ślepi. Moje dziecko popełniło samobójstwo*). Jest to niewątpliwie tragedia. Ale tablozyny skupią się wyłącznie na human story, opartej o bajkowy układ dramatyczny: bestia (marihuana), ofiara (dziecko), niedoszły wybawca (rodzice). Morał z tego: rodzice powinni się bardziej interesować dzieckiem. (co potwierdzają pytania w stylu: »czujecie się winni jego śmierci?«). Im więcej empatii dla rodziców i ofiary, tym więcej gniewu wobec bestii – w tym wypadku narkotyków”.

Nie bardzo rozumiem słowotwórczą ideę, jaką kierował się doktor Wasilewski, konstruując pojęcie „tablozyn”: czy to skrzyżowanie terminu „tabloid” i „zin”, czyli alternatywne pismo wydawane przez ludzi, którzy nie znajdują zaspokojenia swoich potrzeb medialnych w głównym nurcie? Być może – zapewne jest to „produkt medialny” na skrzyżowaniu mainstreamu i czegoś spoza niego. Oczywiście, nie zamierzam kwestionować intuicji badacza: chodzi o proces stopniowego przechodzenia mediów „poważnych” na stronę tych, które podszyte są rozrywką – a czyż jest rozrywka lepsza niż postraszenie odbiorcy (straszyć można wszystkim: kryzysem, falą samobójstw wśród młodzieży, dzieciobójstwami, modelkami-prostytutkami, a nawet troylem na wraku tupolewa)? Rozrywkowe jest także zapraszanie do telewizji i na łamy pism różnego rodzaju „freaków” – dziwadł i potworów rzeczywistych lub wykreowanych przez same media: słynne były programy red. Ewy Drzyzgi z udziałem pedofilów lub gwałcicieli.

Rozrywkowy stał się w Polsce, a trwa to już bardzo długo, dyskurs polityczny. Medialnym zainteresowaniem cieszą się nie ci, którzy mają istotnie coś do powiedzenia w tej materii, tylko ci, którzy z większą werwą rzucają sobie do gardeł; wystarczy porównać, ile razy w poważnych mediach odtwarzano amatorski film z osobliwego występu prof. Pawłowicz, ile razy zaprasza się do studia prof. Niesiołowskiego, postać Palikota albo postać Kalisza, najlepiej w duecie z postem Brudzińskim. Jedynym pozytywnym przykładem na chęć uniknięcia magla w izbie niższej polskiego parlamentu była decyzja, by ze stanowiska wicemarszałkini nie odwoływać poseł Wandy Nowickiej i tym samym nie wywoływać awantur o ewentualną kandydaturę Anny Grodzkiej, którą przecież szef klubu RP wyznaczył z nadzieją, że taka awantura się rozpęta, a on będzie mógł dalej brylować w studiach i na łamach.

Nawet posłowie PiS lub rozmaici akolici tej partii, mimo że oficjalnie brzydzą się tabloidami, faktycznie wykorzystują nie tyle tabloidowe media, ile napawają się skutecznością tabloidowego języka, który przecież obecny jest w ich ukochanych gazetach („Nasz Dziennik”, „Gazeta Polska Codziennie”, „W Sieci”, „Uważam Rze”, „Do Rzeczy”), gdy chodzi o tropienie błędów i wypaczeń PO, prezydenta, sprawy smoleńskiej etc. Obecny jest także w sprzyjających im stacjach telewizyjnych i radiostacjach. Bo mimo że przywołane tutaj gazety i tygodniki chcą bardzo uchodzić za „poważne” i „jakościowe”, to trudno nie zgodzić się z Mariuszem Janickim, że tabloid to nie tyle konkretny, materialnie istniejący produkt medialny, lecz światopogląd. Ten

światopogląd każe wprowadzać odbiorcę w stan emocjonalnej nierównowagi, lęku czy nawet ukierunkowanego na ściśle wskazywany obiekt strachu. „Oni” są źli, agresywni, chamscy, pazerni, obcy; „oni” powinni zostać wykluczeni z „naszej” wspólnoty, którą cementują jedynie wartości wysokie, jedynie czerpane z krynicy polskich tradycji wzory, a która znajduje się w stanie permanentnego obłączenia i powinniśmy bronić się zaciekle przed całym tym barbarzyństwem.

Światopogląd tabloidowy utrzymać ma odbiorcę mediów w stanie moralnego wzmocnienia, czyli nieufności wobec instytucji państwa (niezależnie od poziomu tych instytucji – czy to będzie prezydent, czy zarząd ogródków działkowych, czy zarząd kolei), gdyż instytucje są zawłaszczane bezprawnie przez ludzi określonej konduity. Gdyby jednak porównywać liczbę inwektyw wypowiedzianych pod adresem przeciwników politycznych przez PiS z tą, jaka pada ze strony PO – proporcja okazałaby się miażdżąca, na rzecz tej pierwszej partii. Ale jeśli coś mówi się stale i konsekwentnie od lat – osadza się to w świadomości czytelników, słuchaczy, widzów i internautów jako pewnik, dogmat, rodzaj memu. Konsekwentnie wypowiedziane brednie stają się faktami – wiedzieli o tym najdawniejsi propagandyści od Edwarda Barneysa poczynając: jego książkę *Propaganda* można było ponoć znaleźć przy łóżku samego Goebbelsa, choć techniki, jakie Barneys, protoplasta nowoczesnych technik marketingowych, proponował w latach 20. XX wieku, można z dzisiejszej perspektywy uznawać za nieco naiwne.

Z tabloidami walczy się przyjemnie i względnie łatwo, bowiem wcale w walce tej nie chodzi o jakieś zwycięstwo. Przyjemnie – gdyż po wypowiedzeniu długiej tyrady przeciwko takim mediom można odczuwać rodzaj satysfakcji: wystąpiliśmy oto w imieniu jakichś „wyższych” wartości, „jakościowych” gazet czy telewizji. Łatwo, gdyż można sobie poużywać, stosując rozmaite metafory, porównania i epitety. O zwycięstwo zaś dbać nie trzeba, gdyż, jak wiadomo, tabloidy nie znikną, a tabloidowy światopogląd będzie zawłaszczając coraz większe obszary sfery publicznej.

Nasz stosunek do tabloidów jest bardzo podobny jak nasz stosunek do telewizyjnych seriali czy mydlanych oper. Gdy się spyta kogoś – a ćwiczyć to od lat na moich studentach – czy je oglądają, oczywiście usłyszysz się zaprzeczenie. „Nikt” w Polsce nie ogląda gniotów produkowanych przez panią Ilonę Łepkowską, a jednak produkcje te mają milionowe audytoria. Podobno „nikt” nie chce już w Polsce oglądać publicznej telewizji, a jednak nadal w rankingach, szczególnie w pewnych sektorach widowni bije ona wszelkie rekordy. Dowodzi to dość ważnej cechy, jaką odznacza się nasza sfera publiczna: jest nią powszechna hipokryzja, względnie coś, co opisuje teoria „spirali milczenia”, sformułowana wiele lat temu przez Elizabeth Noelle Neumann, przedstawiająca skomplikowane drogi, jakie przechodzi tzw. opinia publiczna, by dojść w końcu do przekonania, że lepiej nie mówić nic, skoro jakaś imaginatywna „większość” myśli inaczej niż my sami.

To przez ową hipokryzję – a wystarczy sięgnąć do przedwyborczych sondaży, którymi żywią nas media w okresach międzywyborczych, by przekonać się, dlaczego w naszym kraju trafienie w zwycięzcę jakichś wyborów jest mocno problematyczne nawet przy uży-

ciu zaawansowanych technik sondażowych – sfera publiczna wędnie, ulega wręcz dewastacji na rzecz „spirali cynizmu” opisanej w końcu nie tak dawno, bo siedem lat temu, przez C.H. Vreese. Na „spirali cynizmu” opiera się właśnie światopogląd tabloidowy: nienawidzimy „Ich-Wszystkich”, ale siebie samych też nie kochamy, bo to „Ci-Wszyscy” wynaleźli mechanizmy, którymi chcą nas spętać, chociaż wmawiają nam, że są to narzędzia pozwalające nam decydować o sobie.

Z Andrzejem Skworzem trudno mi się zgodzić co do wyjątkowości środowiska dziennikarskiego, gdy chodzi o częstotliwość autorefleksji, samoopisu czy szczyrych chęci posypywania głów popiołem. Owszem, nie demonstrować publicznie samokrytyki adwokaci, lekarze, a nawet naukowcy, głównie dlatego, że nie mają oni do czynienia z tak poważnym aktorem komunikacji w sferze publicznej, jaką są wielotysięczne, a nawet wielomilionowe widowiska i audytoria. To aktor, którego można odpowiednio „podkreślić”, „ustawić”, „zafiksować” na pożądane zachowania, reakcje, emocje – zwłaszcza w dobie interaktywnych, internetowych mediów.

Co może lekarz, co może prawnik, co może profesor wyższej uczelni? Naturalnie: może napisać list do gazety, może wypowiedzieć się w radiu i telewizji, i takich wypowiedzi było w ostatnich latach sporo. Ale jest to zawsze głos, który „przesiewa się” przez filtr medialny: prof. Jan Hartman, który zdaje się wpadł już do maszyny rotacyjnej i do mikserów wszystkich stacji telewizyjnych, powiedział niepodważalną prawdę na temat plagii plagiatów na wyższych uczelniach, sięgających – horrible dictu! – habilitacji. Ale to, co powiedział, a powiedział śmiertelną dla niektórych prawdę, musiało się przefiltrować przez tzw. opinię publiczną, kształtowaną przeciw przez media. Gdyby wygłosił ją na swojej szacownej uczelni, w obecności co najwyżej stu, może stu dziesięciu słuchaczy wykładu (na ogół dyskretnie przysypiających), kto wziąłby ją do serca? Tymczasem głos profesora-etyka, podkreślam absolutnie słuszny, wpisał się w nieuchronny tok rozumowania mediów: polskie uczelnie, zajmujące „ogony” światowych rankingów, przeżarte nepotyzmem, dziwnymi związkami wykładowców i studentów, lenistwem uczonych i studentów, brakiem odpowiedzialności, pazernością na kasę „zaoczniaków” – to siedlisko zła. „Oni” wygrywają i tu z „Nami”, upokarzani na każdym kroku. I czy taki tekst znajdzie się w mediach starających się o twarz „jakościowych”, czy w tabloidzie – wymowa będzie taka sama. „My” mamy przegwizdane.

Każda, nawet najbardziej słuszna prawda wpisana w dyskurs medialny nabiera zupełnie innego wymiaru. Bo „komu to służy”? – by powtórzyć ulubioną frazę „Trybuny Ludu” czy „Żołnierza Wolności” z czasów PRL. Służy nakręcaniu koniunktury – krótkotrwałemu lub długodystansowemu, jak historia małej Madzi i jej mamusi. Jak historia tupolewa, brzozy, bomby helowej i trotylu na wraku. Jak to, z czego i jak żyje Marta Kaczyńska i czy należy jej się odszkodowanie za śmierć rodziców. Dziś (8 lutego 2013) słuchałem publicznej, uchodzącej za wzorcową, radiostacji – Trójki: tam nie chodziło o to, o co polska delegacja w Brukseli próbuje walczyć. Dziennikarzy zajmują raczej menu restauracyjne, stan pokoju do dyspozycji delegatów i to, czy można skutecznie negocjować ważne sprawy po północy.

Czy nie jest to raczej repertuar tabloidów? Takie ustalenie agendy dnia daje okazję, by do stacji dzwoniли rozmaici dziwacy (większość dziennikarzy amerykańskich, którzy muszą prowadzić programy z udziałem radiosłuchaczy uważa ich za „pożytecznych idiotów”: pożytecznych, bo pozwalają im wypełnić czas antenowy), zachęcających polskich polityków, by raczej udali się na ryby. Podobnie bywało w przypadku kłótni śp. Lecha Kaczyńskiego i Donalda Tuska o samolot i krzeselko: kto komu wylutuje i z jakim skutkiem jest znacznie ważniejsze niż spory merytoryczne o celu podróży polskich polityków. A skoro już przywołałem polskie – jak widać, raczej udane – negocjacje w Brukseli, to niemal natychmiast po ich zakończeniu na czoło medialnych doniesień wysunęły się opinie, że to fiasko, że w gruncie rzeczy marnujemy to, co nam UE daje, bo za grubą kasę budujemy aquaparki, materiały na drogi rozkradają jacyś gangsterzy, poza tym Polacy dróg z natury budować nie potrafią, a unijnymi pieniędzmi sobie szastamy, ucząc bezrobotne kobiety bukieciarstwa lub fundujemy rozmaitym menelom kursy doszkalaćcające w luksusowych spa.

Tak jest: najlepiej sprzedającym się tematem i uczuciem w mediach jest strach – i wcale nie jest to zjawisko polskie, gdyż w specjalistycznej, medioznawczej i politologicznej literaturze amerykańskiej, brytyjskiej i niemieckiej mamy mnóstwo opracowań na temat roli strachu w przekazach medialnych. Dobrej sprzedaży strachu sprzyja rzeczywista natura czasów, w jakich żyjemy: ludzie boją się utraty pracy, a zatem popadania w coraz głębsze tarapaty finansowe; boją się, że gdy zachorują, nikt się nimi nie zajmie odpowiednio fachowo; boją się, że gdy przejdą na emeryturę, będą musieli wyjadać resztki ze śmietników, bo nie starczy im na czynsz, prąd, węgiel, o lekarstwach nawet nie wspominając. Ten lęk – nazwijmy go „społecznym”, bo ma zasięg powszechny – dotyka o wiele bogatsze (przynajmniej do jakiegoś czasu) kraje, łącznie z Niemcami, Francją czy Hiszpanią.

Media sprzedające strach mogą liczyć na dobry odbiór, bo gdy coś, co w nas tkwi, a jest nie do końca określone, znajdzie drogę eksterioryzacji, gdy ktoś (coś?) wyrazi powszechne uczucia – zostaje oswojone, w jakiś sposób zatem zneutralizowane. Dobrze sprzedają się takie przekazy, które wskazują sprawców naszego strachu, naszych codziennych lęków: to Obcy, rozmaicie definiowani (żydzi, homoseksualiści, pazerni bankierzy, właściciele korporacji itd.). Dlatego nieźle jest sprzedawać wieści o upadkach wielkich fortun (nie tak dawno pewna uważana za „jakościową”, gazeta „pochyliła się” nad upadkiem Ryszarda Krauzego, jeszcze parę lat temu uchodzącego za jednego z najbogatszych Polaków).

Dobrze jest też pogmerać w biografiiach, jeśli już nie ludzi z okładek kolorowych (i nie tylko) pism, to w biografiiach ich rodziców. Wystarczy poprzeglądać fora internetowe: jeśli nawet coś komuś się uda – na przykład w sporcie, biznesie rozrywkowym, kinie, w nauce – natychmiast zostanie zrównany z glebą, uznany za sprzedawczyka, durnia, zbroczeniaka, pijaka, zaś jego osiągnięcia umniejszone tak, by wykazać nędzę „polaczków”, nędznych europejskich parweniuszy. Oczywiście – nikt nikomu nie nakazuje, by zaglądał do takich „spluwaczek” jak internetowe fora (podobno miała

to być agora, gdzie królowałaby zbiorowa inteligencja – jak chciał tego Derrick de Kerckhove), niemniej ten osobliwy ton dominuje także w mediach głównego nurtu, a od ich obecności – mniej czy bardziej widocznej – uwolnić się trudno.

W czasach PRL żartowano, że zasadą oficjalnej propagandy jest „przekazywanie naszej porażki w sukces” (np. niezapomniany I sekretarz PZPR w Katowicach, Zdzisław Grudzień, mawiać zwykł, że „nasz przyspieszony rozwój będzie się teraz odbywać powoli”). Jedynie ktoś o wyraźnie złej woli lub smoleńsko-cmentarnej mentalności chce nie zauważać zmian, jakie zaszły w Polsce w przeszło dwóch dekadach i „nasz sukces przekazywać w porażkę”. Problem w tym, że porażki lepiej sprzedają się mediach. Lubimy się bać – najbardziej lubią się bać dzieci, o czym doskonale wiedzieli psychoanalityczni badacze baśni. Czy dziecinniejemy?

Chciałbym być dobrze zrozumiany: nie kwestionuję potrzeby tabloidów w systemie mediów ułożonym według demokratycznych zasad. Nie kwestionuję ogólnych tendencji, które zmierzają do zamiany informacji w rozrywkę, owego – na wszystkie możliwe strony wyobrażanego „infotainment”. Nie kwestionuję tego, że media zamiast dostarczać wiedzy o świecie, dyskutować o ważnych sprawach publicznych (jak myślał o „sferze publicznej” J. Habermas), są przede wszystkim dostawcą zabawy. Zabawa i strach – to dwa bieguny, które jedynie pozornie się znoszą: nie, one się uzupełniają.

Wreszcie – nie kwestionuję sytuacji, w której w środowisku dziennikarskim – podkreślam: nie tylko polskim – dominuje model „market driven journalism”, dziennikarstwa ukierunkowanego na zyski. Media, zwłaszcza komercyjne (stąd ten przymiotnik) to nie jest kuchnia brata Alberta rozdająca potrzebującym darmowe zupki. Muszą ich właścicielom przynosić zysk, a ten zysk to zlecenia reklamowe, których wielkość zależy od wielkości widowni, audytorium, grupy czytelniczej. Media handlują swoimi odbiorcami, a po to, było ich jak najwięcej, muszą ich tworzyć. Stara zasada handlowa mówi, że najpierw należy stworzyć klientów na dropy, by dropy te korzystnie sprzedawać. Media nie są w stanie, zwłaszcza dziś, w dobie internetu i alternatywnych sieci komunikacyjnych wmówić ludziom, jak mają coś odbierać; mogą jednak narzucić im „porządek dnia”, powiedzieć, że to co widzą, słyszą lub czytają jest akurat najważniejsze (mama małej Madzi, tupolew, brzoza, tożsamość płciowa posłanki Grodzkiej). Coś, co pozostaje poza medialną ramą, nie istnieje; podobnie nie istnieje coś, co pozostaje poza zasięgiem „wzroku” wujaszka Google.

Przekazy adresowane do elit, wysmakowane, odwołujące się do uczuć bardziej skomplikowanych niż te, które żywi widz wobec urwanych nóg, kolosalnych wybuchów lub zwykłej napażanki politycznych celebrytów, w takiej konkurencji nie mają szans. Niemniej nie zgadzam się z Grzegorzem Miecugowem, że media „tylko” odpowiadają na zapotrzebowania odbiorców, a ci wszak chcą rozrywki, przemocy, strachu i wszelkich odmian dziwności. To prawda, że po czasach gazet, stacji radiowych i partyjno-państwowej telewizji skonstruowanych według peerelowskich schematów Polacy zapragnęli mediów wyzwolonych z nadętej propagandy, koturnu, paternalizmu i rozmaitych tabu.

Chętnie zatem zaakceptowali bezmyślnie skopiowany z Zachodu system medialny, oparty na owym „market driven journalism”, co parę lat temu nazwałem „przełomem plagiatowym”.

Po 1989 roku polski system prasowy opierał się na bezdyskusyjnej dominacji „Gazety Wyborczej” i „Rzeczpospolitej”, wówczas dowodzonej jeszcze przez Dariusza Fikusa, dziennikarza, który przecież nie pojawił się w zawodzie znikąd: pracował w prasie w czasach PRL („Sztandar Młodych”, „Express Wieczorny”, przez blisko ćwierć wieku „Polityka”). Obydwie gazety stopniowo okopywały się na swoich pozycjach politycznych, zaś polityka coraz wyraźniej ulegała polaryzacji. Pierwszy tabloidowy dziennik, „Super Express”, wymyślony i kierowany przez Grzegorza Lindenberga w niczym nie przypominał jego obecnego wcielenia. Latem ubiegłego roku portal internetowy SDP opublikował rozmowę z Lindenbergiem, który o „SE” powiedział: „Z tą gazetą jest tak, jakby k... udawała dziewicę. Redakcja cynicznie wykorzystuje każdą możliwość, żeby zwiększyć sprzedaż, pokazując krew, seks, celebrytów, ohydę. Równocześnie powołuje się na wolność słowa i prawo do informowania opinii publicznej, kiedy wiadomo, że nie chodzi ani o żadną opinię publiczną, ani żeby ludzie więcej się dowiedzieli i zrozumieli, ale by grać na emocjach, co się ma przełożyć na sprzedaż”. W tym samym wywiadzie przytoczono słowa Pawła Lisickiego z „Uważam Rze”, iż „SE” pod wodzą Sławomira Jastrzębowskiego „tworzy spójny produkt. Prawicowy tabloid o sprecyzowanych poglądach. Przykuwający uwagę i atrakcyjny dla czytelnika”.

W 2003 roku na polskim rynku prasowym zadebiutował tabloid Alexa Springera „Fakt”, polska wersja niemieckiego „Bilda” i obydwa tabloidy weszły w walkę konkurencyjną. „Fakt”, który ani przez chwilę nie ukrywał swojej filozofii i modelu dziennikarstwa, jaki w nim przyjęto, jest najlepiej sprzedającym się dziennikiem polskim (w połowie ubiegłego roku sprzedaż wyniosła ok. 360 tysięcy egzemplarzy; dla porównania „GW”, druga w tym rankingu, znalazła 221 tysięcy nabywców, „Rzeczpospolita” – ok. 75 tysięcy, a drugi tabloid, „SE”, ok. 150 tysięcy). Debiut „Faktu” zbiegł się nieomal z wybuchem tzw. afery Rywina – istotnej nie tylko dla polskiej polityki (gdyż praktycznie zmiotła ona ze sceny SLD), ale dla polskiego dziennikarstwa. Poważnie naruszony został wizerunek „GW” jako medium poważnego, niezależnego, przestrzegającego dziennikarskich standardów; ujawnił się natomiast rozmiar i rodzaj rozmaitych powiązań mediów z polityką, biznesem, co wyzwoliło trwający do dziś kryzys zaufania odbiorców do całości przedstawicieli tego zawodu – pracujących w mediach elektronicznych i „papierowych”.

Jak mantrę powtarzam w tym tekście, że zjawiska obecne w polskiej sferze medialnej nie są czymś wyjątkowym i zaobserwować je można niemal wszędzie na świecie. Dziennikarze, zwłaszcza profesjonalni, stają się obiektami niekiedy bardzo niewybrednych ataków, szczególnie w internecie. Atakuje się ich równie często co polityków – i to tych rządzących, jak i pozostających w opozycji, gwiazdy show-businessu. Przyczyną takiego stanu rzeczy w USA przedstawiła Deborah Tannen w wydanej u nas dziesięć lat temu książce *Kultura klótni. Jak powstrzymać amerykańską wojnę na słowa?*

Tytułowe pytanie nie uzyskało w pracy jednoznacznej odpowiedzi: więcej – Tannen nie wierzy, by narastanie owej fali niechęci udało się kiedykolwiek zahamować i główni aktorzy czynni w sferze publicznej będą atakowani coraz śmielej w sieci, zapewniającej atakującym anonimowość.

Polacy nie są społeczeństwem zbyt tolerancyjnym (o czym boleśnie przekonujemy się od kilku dobrych lat), nie wykazujemy też zaufania ani do siebie nawzajem, co potwierdzają kolejne „diagnozy społeczne”, ani do instytucji publicznych. Nie można tego tłumaczyć jedynie gorzkim owocem panowania totalitarnego systemu i braku rzeczywiście demokratycznych reguł publicznego istnienia. Tomasz Goban-Klas stawia m.in. tezę, że nie wystarczy mediom zapewnić swobody słowa, usunąć wszelkie polityczne powiązania, zapewnić możliwość wolnej gry konkurencyjnej, by zbudować idealny model demokracji. Owszem – dowodzi badacz – mass media, takie jakimi one dzisiaj są, potrafią demokrację skutecznie pomsuć. „Jeśli nawet poznamy prawdę mediów, to ona nie wyzwala, a zniewala. Zniewala informacjami trywialnymi, bezwartościowymi. A skoro jednak wiadomość zaprzecza poprzedniej na ten sam temat, to odbiorca może i czuje się na bieżąco informowany, ale w istocie jest zawirowany biegiem wydarzeń. Nie sposób nie zauważyć rosnącego *désintéressement*, zwłaszcza młodego pokolenia wobec świata polityki. Media są popychane w kierunku tabloidyżacji i infotainmentu przez logikę masowego rynku, tj. takiego, który informację przekształca w specyficzne towary. [...] Sprzecznosci w argumentacji, płytkość wyjaśnień nie są słabymi punktami mediów, gdyż brak czasu i miejsca, a nade wszystko słabe przygotowanie merytoryczne odbiorców usprawiedliwiają powierzchowne dziennikarskie traktowanie tematu. Nie oczekuje się też od mediów stałości poglądów”. Uzupełnijmy tę obserwację o uwagę, że chodzi tu nie tylko o kiepskie przygotowanie merytoryczne odbiorców, ale również złe przygotowanie merytoryczne dziennikarzy innych producentów medialnego „contentu”.

Brak czasu i miejsca to nie tylko efekt walki konkurencyjnej, to także efekt polityki personalnej w mediach pojmowanych jako instytucje i organizacje ekonomiczne. Szukając oszczędności ustawicznie zmniejszają one liczbę zatrudnionych (słynne były np. plany Agory, by zwolnić z etatów ponad 7 tysięcy pracowników, w tym dziennikarzy, w USA pracę straciło w ostatnich latach blisko 50 procent dziennikarzy, nie wspominając już o zamykaniu wielu wydań papierowych nawet bardzo ważnych mediów, choćby papierowego „Newsweeka”), a liczba tematów, które trzeba zaprezentować praktycznie nie maleje. Efekt? Coraz krótsze teksty, likwidacja wielu stanowisk tzw. researcherów, zatrudnianie młodych, nieprzygotowanych, a więc tanich reporterów, eliminacja tekstów dziennikarskich na rzecz reklam, rezygnacja z wysokokwalifikowanych specjalistów na rzecz ad hoc angażowanych (np. do jednego tekstu) ekspertów, wyraźny wzrost liczby wywiadów – uważanych za „łatwą” i względnie taną formę kosztem wymagających dużego nakładu pracy reportaży, uwiad fotoreportaży i sztuki fotoreporterskiej (po co utrzymywać drogich fotografów, skoro zdjęcia można pozyskać za darmo i lub za symboliczne kwoty

od amatorów, często posługujących się smartfonami, a jakość tych produkcji jest wystarczająca do umieszczenia ich w sieci).

Dotykamy w ten sposób jednego z rzadziej omawianych powodów zapaści, w jaką popadły współczesne media. Z jednej strony mamy do czynienia z kryzysem strukturalnym dotyczącym media jako instytucje. Owszem – mediom tradycyjnym coraz trudniej przychodzi konkurować z formami internetowymi, z upowszechnieniem się rozmaitych nieprofesjonalnych, półprofesjonalnych i profesjonalnych sposobów informowania i, generalnie, przekazu treści medialnych. Zlecenia reklamowe również emigrują do sieci; kiepsko ma się reklama prasowa i radiowa i outdoorowa, nieco lepiej wygląda reklama telewizyjna, ale i ona zaczyna chorować; wyczerpują się pomysły, klipy stają się coraz bardziej naiwne i nieskomplikowane technologicznie (koszta! koszta!), co owocuje swoistym ich dzieciństwem, mimo coraz bardziej nachalnej ich obecności nawet w telewizji publicznej, o komercyjnych stacjach nawet nie wspominając.

Innym wymiarem kryzysu strukturalnego współczesnych mediów jest deprofesjonalizacja zawodu dziennikarza, mimo że w Polsce nie możemy narzekać na niedobór ośrodków akademickich i nieakademickich kształcących w zawodach dziennikarskich i paradiennikarskich (PR-owcy, rzecznicy prasowi itd.). W kilku co najmniej tytułach prasowych pojawiły się w poprzednim roku artykuły o tym, jak handluje się złudzeniami, sprzedając je studentom marzącym o pracy w mediach. Dobrze, że powiedziano w nich jasno: pracy nie będzie więcej, a wręcz przeciwnie. Media głównego nurtu coraz chętniej i częściej korzystają z rozmaitych platform internetowych, na których publikują nieprofesjonaliści (choć lubią, by nazywać ich „dziennikarzami obywatelskimi”), a także politycy (szczególnie tu popularny jest Twitter, pozwalający publikować rozmaite mniej lub bardziej wydarzone myśli, w rozmiarze do 140 znaków). Twitter właśnie, platformy blogowe, YouTube, Flickr przyciągają media głównego nurtu, które coraz częściej z rozmaitych źródeł znajdujących w sieci tekstów, zdjęć czy filmików majstrują własne (?) przekazy.

I jeszcze jeden wymiar owego kryzysu strukturalnego: to kryzys własności i zarządzania w mediach. Uświadomiło to zamieszanie, jakie wywołały decyzje personalne w Presspublice, podejmowane przez Grzegorza Hajdarowicza. Tuż po przełomie 1989 roku mediami zaczęli zajmować się ludzie, którzy z profesjonalnym dziennikarstwem mieli kontakt żaden lub ledwie powierzchowny, swoje sukcesy ekonomiczne odnosząc na całkiem innych niż medialne polach. Wyjątkiem było tu powstanie grupy ITI, a w jej obrębie telewizji TVN. W mediach publicznych utrzymało się wyraźne uzależnienie mediów od rządzących formacji politycznych, głównie w wyniku silnego upolitycznienia KRRiIT. „Rzeczpospolita”, drugi po „GW”, a może razem z nią, dziennik opiniotwórczy w ostatnich dwóch dekadach parę razy zmieniała głównego właściciela: od Roberta Hersanta, poprzez norweski koncern Orkla Press i brytyjski fundusz inwestycyjny Mecom, po Gremi Media Hajdarowicza, który zastąpił po pierwsze – kompletnym zadołowaniem zastużonego tygodnika „Przekrój”, po drugie – wyrzuceniem z pracy prawie całych kadr zarządzających „Rzp” i w rezultacie odejściem

z pisma czołowych jego publicystów (zaczęli tworzyć np. wyraźnie pravicowy tygodnik „W Sieci”, idący pod prąd globalnym tendencjom medialnym, bo agregującym w wersji papierowej treści obecne w internecie; w połowie lutego br. część „niepokornych” – jak się sami nazwali – publicystów zadeklarowało chęć powrotu do „Rzp”).

Osobnego zapewne prasoznawczego opracowania domaga się historia prasy regionalnej po 1989 roku. Wcześniej poważna grupa tych tytułów określała się jako organy PZPR i faktycznie nimi były. W Krakowie w 1990 roku zespół „Gazety Krakowskiej” podjął częściowo udaną próbę przekształcenia własności tytułu w spółdzielnię dziennikarską, co gwarantowała Ustawa o likwidacji RSW (dziś w takiej formule, bardzo zresztą udanie, działa tygodnik „Polityka”). W „GK” próba ta spaliła na panewce na skutek działań likwidatora oddziału RSW; wkrótce dziennik znalazł się przejściowo w rękach inwestora zachodniego (francuskiego), by ostatecznie trafić do portfolio Passauer Neupresse. Inwestor ten po kilku latach zlikwidował kilka ważnych dzienników regionalnych, nawiązał współpracę m.in. z dziennikiem brytyjskim należącym do Rupperta Murdocha „The Times”, tworząc firmę „Polska The Times” i przejmując pozostałe jeszcze dzienniki regionalne.

„Przeszuflowywano” tu treści z „Timesa”, drukowano teksty przygotowywane w centrali „Polski” oraz coraz mniej liczne artykuły dziennikarzy regionalnych. Wreszcie zapadła decyzja o wykupieniu „Dziennika Polskiego”, najstarszej krakowskiej gazety, przez PNP, do tej pory konkurencyjnej wobec „GK”. Połączono zarządzanie obiema firmami, zaś treść migruje intensywnie między niegdyś osobnymi gazetami („DP” przedryfował w stronę prawicy, w „GK” utrzymuje się wyraźnie lewicowa tradycja, choć gazety utrzymują odrębność layoutu). Efektem tego połączenia – „GK” zachowała swoją względnie dobrą pozycję w tzw. terenie, m.in. dzięki specjalnym mutacjom, „DP” to nadal, tradycyjnie, gazeta miejska, popularna wśród starszej, mieszczańskiej grupy odbiorców. Efektem tych mocno niejasnych biznesowo, a bardzo szkodliwych dla środowiska dziennikarskiego pociągnięć, jest rozmontowanie merytoryczne i etyczne zespołów obu gazet. Spowodowało to także – już w skali krajowej – dramatyczny wręcz spadek sprzedaży dzienników regionalnych (w ubiegłym roku liderem był należący do Polskapersse „Dziennik Zachodni” – ok. 58 tysięcy egzemplarzy sprzedanych w pierwszej połowie 2012 roku; „GK” odnotowała spadek w pierwszej połowie 2012 roku o 8 procent, a „DP” o blisko piętnaście: w milionowym mieście sprzedawano ok. 29 tysięcy tej gazety dziennie).

Czy to świadczy, że prasa regionalna umiera? Problem dotyczy nie tylko mediów papierowych, ale także elektronicznych: agonía regionalnych ośrodków telewizyjnych (myślę o telewizji publicznej) trwa, podobnie dzieje się z publicznymi regionalnymi ośrodkami radiowymi (lepiej jest nieco na ścianie wschodniej Polski). Z bólem serca obserwuję stopniową marginalizację np. krakowskiego ośrodka TVP, niegdyś bodajże drugiego po centrali warszawskiej, miejsca, gdzie powstawały wielkie projekty, chociażby teatralne.

Czy to znaczy, że sprawy najbliższe ciątu przestały nas interesować? Najsilniejsze media, TVP, stacje ko-

mercyjne, wpoili nam zainteresowanie sprawami ogólnopolskimi. Dziennikarz, względnie kandydat na niego, mimo że nie potrafi (choć jest po stosownych studiach) napisać porządnej informacji o brudzie na krakowskim dworcu PKP), pragnie przeprowadzać rozmowy z Janem i Nelly Rokitami, bo wie, że ktoś (np. Polskapersse) przedrukuje mu to we wszystkich wydaniach – choć za darmo.

To jasne – powstają rozmaite ziny, lokalne gazetki, często wspierane przez parafie. Ale wniosek jest smutny, choć jasny: nie zamierzamy zajmować się światem, nawet najbliższym, przez jakiegokolwiek media. To sprawia, że nie udaje się przeprowadzić referendum w sprawie władz lokalnych – tak zdarzyło się niedawno choćby w Zakopanem. Wiemy więcej o Obamie niż o własnym burmistrzu czy prezydencie, choć z wiedzy o psie prezydenta USA zyskamy nieporównanie mniej niż o „wałach”, jakie lokalni decydenci wykonali w naszych niekiedy bardzo elementarnych, sprawach.

To jasne: emocjonujemy się pytaniem, czy prasa papierowa umrze? Cytowany przeze mnie Grzegorz Lindeberg uważa, że tak. Być może umrą też klasyczne informacyjne media telewizyjne lub radiowe. Wiadomo, że wieczorne magazyny informacyjne podają tematy, które doskonale już znamy, dzięki kontaktowi z siecią. Komentatorzy są podzieleni – również cytowany na wstępie Andrzej Skworz wierzy, że dziennikarstwo klasyczne przetrwa dzięki pasjonatom, ludziom ciekawym świata, ludziom ciekawym historii.

Miło mi, gdy to czytam, ale nie wierzę. Obserwuję słabnącą w młodych ludziach ciekawość otoczenia – choć zarazem widzę, że nieliczni z nich podejmują rozmaite wyzwania: szalone, niekiedy, projekty integracyjne, plastyczne, teatralne, literackie. Ale ich przebijanie się na wyrównaną, doskonale wygładzoną płaszczyznę współczesnych mediów to – z przeproszeniem – pojedyncze wytryski. Wytryski te odbywają się w porach, gdy Polska już śpi.

Kryzys zarządzania w mediach, w których dominuje kult gwiazdorstwa (budujący wyobraźnię o sobie samych w przyszłości wśród kandydatów na dziennikarzy lub ich wczesnych adeptów) polega na tym, że właściciele gazet, tygodników, stacji radiowych i telewizyjnych nie umieją sformułować, czego tak naprawdę chcą. Najbardziej widać to w TVP, która – poza kanałem Kultura TVP – nie potrafiła skonstruować żadnej spójnej koncepcji zarządzania tą siecią, a przede wszystkim zarządzania obecną w niej treścią. I to przez lata, i to za czasów wszelkich możliwych zarządów: od lewicowych, poprzez radykalnie pravicowe, po (rzekomo) liberalne. Likwidacja świetnego kanału religijnego TVN dowodzi, że nadal tkwimy w kanale bylejakości, zapełniania antenowego czasu cymkolwiek, konformistycznego ulegania dyktatowi instytucji, która naprawdę powinna zajmować się czym innym, a przede wszystkim swoją własną strukturą i moralnością.

Parę lat temu napisałem: „Dziennikarstwo staje się działalnością dostarczającą tworzywa dla samego siebie, zamienia w lustro odbijające nie świat, ale inne lustro. Nie oknem na świat – ale na inne okna”. Przykro mi, ale muszę podtrzymać te słowa.

ANDRZEJ WALICKI

Schaff – Walicki: LISTY ODNALEZIONE

W pierwszym numerze „Zdania” za rok 2012 (nr 1-2/151-152) opublikowana została moja korespondencja z Adamem Schaffem z lat 1982-1985. Niedawno znalazłem jednak w swoim archiwum trzy inne listy od Schaffa, pochodzące z tego samego okresu, ale nie włączone do wyżej wymienionej publikacji.

Pierwszy z nich, z dnia 20 września 1984 roku, podsumowuje reakcję Schaffa na mój artykuł pt. *Myśli o sytuacji politycznej i moralno-psychologicznej w Polsce*, przyjętego do druku przez londyński kwartalnik polityczny „Aneks” wraz wypowiedziami trzech dyskutantów (Waldemar Kuczyński, Jan Józef Lipski i Krzysztof Pomian) oraz moją odpowiedź na ich krytykę. Materiały te opublikowane zostały w 35. numerze „Aneksu” (1984), ale dyskusja nad artykułem kontynuowana była w następnych numerach pisma (36/1984 i 37/1985), z udziałem Jakuba Karpińskiego, Stefana Kisielewskiego, Marcina Króla, Jerzego Holzera, Leszka Kołakowskiego i Jerzego Surdykowskiego. Redaktorzy pisma, bracia Aleksander i Eugeniusz Smolarowie, poprzedzili tę dyskusję notą stwierdzającą, że uważają dyskusję o „Solidarności” za nieuchronną i niezbędną oraz przyznają w niej prawo obywatelstwa również tak krytycznym poglądom jak moje – co nie oznacza oczywiście, że takie poglądy podzielają („Aneks” nr 35, s. 151).

Adam Schaff, niestety, nie zdobył się na analogiczną tolerancję. Oto jego list:

„Wiedeń, 30.9.1984

Drogi Panie Andrzeju.

Dziękuję za fotokopię „Aneksu”.

Czytałem z mieszanymi uczuciami. Dobrze, że Pan artykuł opublikował, ale czytając go teraz po raz wtóry wyczuwam w nim ostrzej Pański kompleks >bezstronności<, o którym niżej jeszcze coś powiem. Nie wychodzi to treści na zdrowie – zamiast rąbnąć to, co Pan ma na wątrobie: mieliście szansę i przegraliście ją, >kręci< Pan. Mówi Pan to i nie mówi.

Ale coś Pan powiedział. Natomiast Pańscy polemicy są albo mdli i nic nie mówią (Kuczyński, Lipski), albo mówią coś (Pomian), ale jak zatwardziali stalinowcy, obecnie à rebours. Sens najgłębszy stalinizmu polega bowiem na braku tolerancji, a na tę chorobę choruje Pomian jak i Kołakowski. Nie warto z takimi dyskutować – można im tylko plunąć w twarz. Ja tak ze >swoimi< robię.

A teraz o Pańskim >kompleksie<. Na poprzedni Pański list nie odpowiedziałem i namyślałem się czy nie przerwać korespondencji. A oto racje tego. Pański list był pełen przerażenia, by ktoś się nie dowiedział, że pozostajemy w kontakcie. To by naraziło na szwank niewinność Pańskiej >bezstronności<. Ale kontaktów z Kołakowskim czy Najderem (na pewno agent CIA) Pan się nie >wstydzi<, to nie narusza Pańskiej >niezależności<.

Coś tu nie gra. W odróżnieniu od tych Panów, którzy stchórzyli i uciekli z posterunku (nie mówię o Najderze i jemu podobnych – to oceni *statia*) i teraz bezpieczni za granicą, dobrze dotowani – Kołakowski np. wspaniale – poszczekują sobie ku ucieście zagranicą, bez jakiegokolwiek echa w kraju, siedzę w tym kraju, ryzykuję (bardzo!), ale mam efekty – mnie słyszą tam i to bardzo donośnie!

Czy Pańska >bezstronność< ma polegać na pospolitowaniu się z tymi pętakami w istocie rzeczy i na strachu przed kontaktem z takimi ludźmi jak ja? Niech się Pan namyśli – tu jest coś grubo nie tak. A jeśli tak jednak odczuwa Pan sytuację, to zerwijmy kontakt.

Tym niemniej serdecznie pozdrawiam, pozostały na posterunku **Adam Schaff**”

Odpowiedziałem na słowa listem z dn. 12 października 1983 (patrz „Zdanie” nr 1-2/2012, s. 54). Podkreśliłem, że nigdy nie przychodziło mi do głowy myśl o >wstydeniu< się korespondencji z Schaffem. Wskazałem również, że rozumiem tolerancję o wiele szerzej niż mój korespondent. Ująłem to w słowach: „Pisze Pan bardzo ostro o Leszku K., a jednocześnie pochwała Pan tolerancję. Moja tolerancja obejmuje również Leszka K., choć drażni mnie jego nietolerancja (o czym on wie). Uprawiałem przez wiele lat sztukę empatycznego rozumienia diametralnie różnych światopoglądów i to właśnie nauczyło mnie znajdowania punktów styecznych zarówno z Panem jak i z L.K. lub Najderem (absolutnie nie wierzę, że mógł być agentem)”.

Nie wiem, czy Schaff dobrze zrozumiał to stanowisko, ale uznał jednak celowość podtrzymywania kontaktu ze mną. W następnym z niepublikowanych listów do mnie skoncentrował się na moich osobistych losach – na rozważanej przeze mnie ofercie z Uniwersytetu Notre Dame w Indianie, który zaproponował mi fundowaną katedrę na wydziale (wedle mojego wyboru) filozofii lub historii. Oto ten list:

„Wiedeń, 24 II 1985

Drogi Panie Andrzeju.

Dziękuję za list z 28 I br.

Uniwersytet Notre Dame jest miejscem dobrym i ciekawym. Pańskie poczynania są słuszne, w pełni je aprobuję.

Sytuacja w kraju ciężka. Oceniam perspektywę pesymistycznie. Dla Pana byłaby nieznośna.

Kontynuuję próby przebicia muru głową. Zadanie trudne i bezpośrednio nie rokuje nadziei.

Wkrótce prześlę Panu moją nową książkę (po niemiecku na razie, tytuł *Wohin führt der Weg*).

Proszę podtrzymać kontakt
Ściskam dłoń,

Adam Schaff”

Sprawę mojej profesury w Notre Dame porusza również ostatni z wymienionych trzech listów. Schaff powołuje się w nim nawet na swą osobistą znajomość z prezydentem (rektorem) uniwersytetu, ojcem Teodorem Mesburghem, wybitnym przedstawicielem liberalnego skrzydła amerykańskiego katolicyzmu. Ważność tego listu określa jednak stanowisko autora w kwestii moich poglądów na stan „sprawy polskiej” pod rządami generała Jaruzelskiego, wyłożonych w artykule pt. *Paradoksy Polski Jaruzelskiego* (opublikowanym wkrótce potem w „Archives Europeennes de Sociologie”, t. XXIV, 1985, nr 2). Artykuł ten, napisany przeze mnie jako referat na Ósmą Roczną Konferencję Izraelskiego Towarzystwa Studiów Słowiańskich na Uniwersytecie Ben Guriona w Beer-Sheva (30 maj 1985), posłałem Schaffowi w maszynopisie przed wyjazdem na wymienioną konferencję, a więc na początku maja 1985 roku. Jego reakcja na ten tekst okazała się jednak nadszpodziewanie negatywna, co wyraźnie różniło ją od znuansowanej oceny mego artykułu w „Aneksie”.

List, o którym mowa, brzmi następująco:

„Wiedeń, 24 V 1985

Drogi Panie Andrzeju.

Przejazdem we Wiedniu (dosłownie na 1 dzień, co ogranicza moje możliwości korespondencyjne – Pański artykuł przeczytałem) odpowiadam na dwa listy (z 4 i 10 kw.).

Widzę, że potrzebuje Pan >błogosławieństwa< dla swojej już podjętej decyzji – udzielam pełnej absencji. Pan nie ma po co teraz wracać! Czekać, jak śpiący rycerze na Giewoncie. Ja to co innego – mam obowiązek moralny, Pan go nie ma. Niech Pan jedzie i niech Pan później mnie zaprosi (rektor mnie zna i chętnie się zgodzi) na dyskusję.

A teraz artykuł. Jak Pan wie, piszę otwarcie, chyba o to Panu też idzie. Artykuł jest zły (piszę tak po raz pierwszy). Nie z powodu takiej tezy, z którą się nie zgadzam, lecz dlatego, że Pan stracił kontakt z krajem. Pan żyje „Polityką” i „Kulturą” i wydaje się Panu, że Pan ma „zapach” problematyki krajowej! Co za złudzenie! Z różnych powodów i w różny sposób oba te pisma są teraz puste. A Pańska дума, że Pan mówi o „detente” ku zgrozie najgłupszej z naszych emigracji (która stoczyła się kompletnie na pozycje Targowicy, choć z innym partnerem), świadczy tylko o tym, że znalazł się Pan w złym towarzystwie. Na litość boską! Niech Pan nie ulega histerii panienek à la Labuda i młoda Kołakowska, które latają do Białego Domu, by błagać o niszczenie Polski (ku zgrozie i dezaprobachie nawet amerykańskiej ambasady), czy cmokierom takiego g... jak ta ohyda film *Shoah*. Ja jako Polak żydowskiego pochodzenia wstydzę się mając przed oczyma rodzinę mojej żony i przynajmniej dziesięciu przyjaciół – chrześcijan, którzy w czasie okupacji narażali życie swoje i swoich dzieci, by ratować Żydów, że emigracja „polska” spokojnie pozwala na opluwanie honoru swej ojczyzny, by pomóc „moralnie” Reaganowi w niszczeniu naszego kraju.

Nie mam czasu na wchodzenie w szczegóły krytyki, ale mam poczucie, że Pan przestał rozumieć o co obecnie idzie w Polsce. Następnym razem (w szcztocie) przysię Panu mój elaborat na ten temat (tym razem ja proszę o absolutną dyskrecję – ten materiał miało w ręku tylko pięć osób, dla których był on przeznaczony). Moja przyjacielska rada: niech Pan wróci całkowicie do tematyki

historycznej, idzie o zachowanie czystości i dobrej reputacji Pańskiego nazwiska. Mam nadzieję, że wierzy Pan w moje dobre intencje. A prawo do „pojedyunku” pozostawiam do Pańskiej decyzji.

Życzę powodzenia i ściskam dłoń,

Adam Schaff

List ten dowodzi, jak sądzę, że zakres moich zbieżności z Schaffem w ocenie sytuacji polskiej był mniejszy niż można by myśleć na podstawie dotychczas opublikowanej korespondencji. Więcej nawet – w jakiejś mierze były to zbieżności pozorne. Schaffowi podobała się ostrość mojej krytyki „Solidarności” i związanej z nią inteligentnej opozycji, nie wziął natomiast pod uwagę, że krytyka taka byłaby nie na miejscu w artykule przeznaczonym dla czytelników zachodnich, i dlatego uznał zmianę tonu za zmianę stanowiska. W rzeczywistości jednak nic takiego nie miało miejsca. *The Paradoxes of Jaruzelski's Poland* był w istocie podsumowaniem i systematycznym rozwinięciem poglądów, które wyrażałem już w roku 1980, w różnych artykułach polskojęzycznych, a także w rękopiśmiennych „memoriałach” i prywatnych listach. Uzasadniałem w nich tezę, że PRL już w roku 1956 rozpoczęła ewolucję w kierunku detotalitaryzacji i faktycznej dekomunizacji, że stan wojenny nie zahamował tej ewolucji, ale doprowadził ją do końca i że rząd gen. Jaruzelskiego miał intencje reformistyczne (aczkolwiek wprowadzał je w życie nieśmiało, w obawie przed destabilizacją); że rząd chciał wymusić polityczną neutralność związków twórczych, a więc depolityzację kultury, co było przeciwieństwem totalitarnej polityzacji przez wpręgnięcie twórców w służbę władzy; że świadomość polityczna Polaków była w istocie bardzo podzielona i mało spójna, bardzo daleka w gruncie rzeczy od kwestionowania podstaw „realnego socjalizmu”, że modne poglądy Ronalda Reagana i Margaret Thatcher bliskie były nie robotniczej „Solidarności”, lecz raczej pewnym kręgom elity władzy. Wbrew Schaffowi, opierałem te poglądy nie na lekturze „Polityki” i „Kultury”, lecz na źródłach nieskończenie bardziej różnorodnych, w tym również na wynikach empirycznych badań socjologicznych. Łatwo to sprawdzić, *Paradoksy* dostępne są bowiem w przekładzie polskim, w mojej książce *Polskie zmagania z wolnością. Widziane z boku* (wyd. Universitas, Kraków 2000).

Schaff pozytywnie odnotował w omawianym artykule jedynie opowiedzenie się za kontynuacją polityki „odprężenia”, a więc, co najwyżej, odcięcie się od propagatorów intensyfikacji „zimnej wojny”. Nie zauważył natomiast tezy głównej mówiącej o tym, że „Polska pod rządami Jaruzelskiego zasługiwała na to, aby uznać ją za kraj, w którym proces >detotalitaryzacji< socjalizmu – charakteryzujący w różnej mierze wszystkie kraje bloku radzieckiego – jest najbardziej zaawansowany, a więc że nie było rzeczą właściwą wyjaśnianie polskich problemów „w języku antytalitarnej krucjaty” (*Polskie zmagania z wolnością*, s. 33–34).

Listy, które obecnie publikuję, a zwłaszcza list ostatni, wprowadzają więc pewną korektę do obrazu moich prób znalezienia minimum wspólnego języka w sprawach Polski z człowiekiem słusznie uważanym za jednego z najkonsekwentniejszych rzeczników głębokiej wewnętrznyreformy polskiego socjalizmu. Trudność w znalezieniu takiego języka jest jedną z wielu smutnych – tragicznie smutnych – prawd o schyłkowym okresie dziejów PRL. ■

Styczeń 2013 r.

BŁAŻEJ POPŁAWSKI

KIBERA ZNACZY LAS

O SLUMSACH POD NAIROBI

Dzieje slumsów

Slumsy to podmiejskie dzielnice zamieszkałe przez najuboższych. Nazwa ta pojawiła się wraz z industrializacją Europy. Pierwotnie nazywano w ten sposób przeludnione dzielnice robotnicze. Według definicji ONZ, slumsy cechuje: duże nagromadzenie ludzi mieszkających w nielegalnie wznoszonych budynkach, brak bieżącej, czystej wody, niedostatek urządzeń sanitarnych, elektryczności. Według danych szacunkowych Program Narodów Zjednoczonych ds. Osiedli Ludzkich (United Nations Human Settlements Programme – UN-HABITAT), w slumsach żyje co szósty mieszkaniec Ziemi.

Slumsy stanowią szczególny problem Krajów Globalnego Południa. Wokół większości stolic afrykańskich, azjatyckich i południowoamerykańskich z roku na rok rozrastają się obszary biedy i wykluczenia społecznego. Slumsy często mylone są z gettami. Getta (nazwa pochodzi z języka włoskiego, oznacza żydowską dzielnicę w Wenecji) są obszarami dobrowolnego wykluczenia, zamieszkałymi przez osoby obawiające się dyskryminacji z powodów religijnych bądź etnicznych. Wydarzenia II wojny zmieniły zakres definicyjny pojęcia getta, rozciągając je na enklawy marginalizowanych społecznie grup.

Większość slumsów rozpoczęło swą historię na początku XX wieku. Czynniki warunkujące proces rozrastania metropolii były: niekontrolowana industrializacja, przyspieszona migracja z obszarów wiejskich do miast, wzrastające bezrobocie oraz konieczność ulokowania wracających z wojen żołnierzy. Ten ostatni powód zdecydował o powstaniu dwóch najlepiej sfilmowanych slumsów świata: brazylijskiej

faveli (*Miasto Boga*) oraz kenijskiej Kibery (*Wierny Ogródnik*).

Północnoamerykańskie obszary slumsów powstały za czasów Wielkiego Kryzysu. Nazywane są *shanty town* (od francuskiego *chantier*, czyli chatka lub irlandzkiego *sean tigh*, czyli stary dom), *hobo jungles* oraz *hoovervilles* (od prezydenta USA Hoovera) i *benetvilles* (od premiera Kanady Benneta). Największe bogactwo określić na slumsy wyprodukowały kraje Ameryki Łacińskiej. Tam też znajdują się największe slumsy świata. Na przedmieściach Mexico City, w Neza-Chalco-Itza mieszka ponad 4 miliony osób.

Slumsy znajdują się prawie na każdym przedmieściach stolic Ameryki Południowej. W Argentynie nazywa się je *villas miseria*, w Ekwadorze i Kolumbii – *invasiones*, w Urugwaju – *cartegriles*, w Chile – *poblas callampas*, w Paragwaju – *chacarita*, w Meksyku – *ciudades perdidas*, na Kostaryce – *precario*, w Gwatemali – *asentamientos*, w Brazylii – *favelas*, w Peru – *pueblos jóvenes*. W Indiach slumsy nazywane są *jhugi* i *bustee*, w Pakistanie – *kachi abadi*.

Największymi slumsami Afryki jest Kibera znajdująca się pod Nairobi. Od 2007 roku przedmieścia stolicy Kenii wyprzedziły liczbą mieszkańców slumsy johannesburskie. Nazwa Kibera pochodzi ze skreolizowanego języka nubijskiego – *kibra* oznacza las. Pierwszymi mieszkańcami przedmieść Nairobi byli żołnierze wracający z I wojny światowej. W literaturze często określani są mianem Nubijczyków. W rzeczywistości byli to przedstawiciele plemion nilockich posługujący się językiem kinubi, czyli skreolizowanym językiem powstałym na bazie arabskiego oraz angielskiego. Brytyjczycy, według zasady *beneficial occupation*, przydzielali im

niewielkie kawałki ziemi jako rekompensatę, często zaległy żołąd (do dziś nie przetrwał żaden wiarygodny dokument potwierdzający legalność tych nadań). Nawiązując do praktyki rządów pośrednich (*indirect rule*), Anglicy starali się przenieść część obowiązków na istniejące struktury lokalne i w ten sposób wytworzyć efektywny bufor zabezpieczający Nairobi od buntowniczych plemion. Skutki *pax britannica* bazującego na polityce podsycania trybalizmów w stołecznym regionie okazały się wyraźne podczas antykolonialnego powstania Mau-Mau. W Kiberze doszło wtedy do pierwszego otwartego konfliktu między Kikuyu (to najliczniejsza grupa etniczna w kraju; obecnie co piąty Kenijczyk pochodzi z Kikuyu) a byłymi żołnierzami.

Po odzyskaniu przez Kenię niepodległości w 1963 roku sytuacja w Kiberze staje się coraz mniej klarowna. Do Nairobi przybyło wtedy wielu migrantów z różnych stron kraju. Istotną ich część stanowiła druga już fala byłych żołnierzy, wywodzących się głównie z Kikujów. Osiedlili się masowo na przedmieściach, wzmacniając kosmopolityczny charakter stolicy. Migranci okazali się jednoczesnym zagrożeniem i szansą dla nubijskich właścicieli ziemskich. Pokolenie byłych żołnierzy ustępowało wtedy miejsca synom, szukającym szybkiego zarobku drogą sprzedaży lub wynajmu poletek w Kiberze. Przejęcie parceli nie zawsze jednak odbywało się na drodze negocjacji. Znaczna część nabywców przywłaszczała sobie skrawki Kibery bez zgody starych właścicieli. W prasie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych pojawia się wiele artykułów opisujących starcia w Kiberze między policją, przybywającymi do Nairobi Kenijczykami a sprawującymi na tym terenie kontrolę od półwiecza byłymi żołnierzami. Starcia powróciły ze zdwojoną siłą w latach osiemdziesiątych. Nabrały wtedy także charakteru plemiennego. Władzę w Kiberze przejęli Kikuyu.

Obecnie potomkowie żołnierzy z I wojny zajmują około 15 procent gruntów. Ich wyróżnikiem jest wyznawana religia (prawie wszyscy to muzułmanie) oraz brak wykonywanego zawodu (dla większości podstawowym źródłem utrzymania są zyski z wynajmu starych działek).

Kibera zajmuje powierzchnię pięciu kilometrów kwadratowych. Znajduje się 5 kilometrów, czyli godzinę jazdy podczas godzin szczytu od centrum stolicy. Mieszka na niej około miliona osób. Kilka z kenijskich organizacji pozarządowych zawiązała tę liczbę do 1,5, a nawet 2 milionów ludzi. W centrum Kibery, na jednym kilometrze kwadratowym żyje ponad 300 tysięcy osób. Slumsy przecina kilkanaście większych ulic o szerokości kilku metrów i setki wąskich, krętych ścieżek biegnących między lepiankami. Żadna z ulic nie jest utwardzona. Po deszczu uliczki te zamieniają się w cuchnące potoki błota i spływających po pochyłościach terenu śmieci.

Mieszkańcy Kibery

Wedle statystyk władz Nairobi, w Kiberze znajduje się 6 procent powierzchni okręgu miejskiego, natomiast 60 procent populacji całego miasta. 90 procent mieszkańców Kibery żyje, posługując się sformułowaniem zaczerpniętym z ONZ-owskich Milenijnych Celów Rozwoju (Millennium Development Goals), za mniej niż dolara dziennie. Średnia oczekiwana długość życia

wynosi 45 lat i jest niższa o 15 od średniej w całej Kenii. Połowa osób żyjących w slumsach jest bezrobotna. Co trzeci mieszkaniec Kibery zarażony jest AIDS. Ponad połowa populacji jest niepełnoletnia.

Większość mieszkańców stanowią przedstawiciele największych plemion Kenii: Kikuje, Luo, Luhja, Kele i Kamba. Magnetyzm miejski co roku przyciąga do stolicy tysiące osób szukających pracy. Migracja ze wsi do miast to obecnie główny czynnik zwiększania się populacji Kibery. „Większość z nas wmawia sobie, że będzie tu mieszkać zaledwie kilka miesięcy, a potem, po znalezieniu godziwej pracy, przeniesie się do miasta”, twierdzi Ibrahim, od 12 lat mieszkający w Kiberze. „To mrzonka, uluda. Kibera wciąga i nie chce oddać” – dodaje.

W slumsach istnieją także oazy dla emigrantów politycznych. Największe grupy stanowią uciekinierzy z Somalii, Angoli i Ugandy. Diaspory różnicują się pokoleniowo i politycznie. Somalijczycy dzielą się na przybyłych w czasie reżimu Siada Barre, uciekinierów przed władzą Unią Trybunałów Islamskich oraz uchodźców przed wojskiem etiopskim. Angolańscy przybywali kilkoma falami podczas trwającej w latach 1976-2002 wojny domowej. Do dziś zauważalne są wśród nich podziały na zwolenników rządzącego obecnie MPLA (Ludowego Ruchu Wyzwolenia Angoli) i UNITA (Narodowego Związku na Rzecz Całkowitej Niepodległości Angoli). Wśród Ugandyjczyków znajdują się migranci polityczni z czasów Idi Amina, Miltona Obote, a także przeciwnicy obecnego prezydenta Yosewera Museveniego.

Kibera została podzielona na kilkanaście dzielnic, z których największe znajdują się w zachodniej części: Kianda, Soweto West, Raila; centralnej: Gatwekera, Kisumu Ndogo, Makina; oraz wschodniej: Mashimoni, Siranga, Laini Saba, Soweto East, Lindi. Nazwy te, odwołujące się głównie do topografii afrykańskiej (Ndogo Kisumu, Soweto, Siranga), opcji politycznych (Raila), wskazują, iż mieszkańcy Kibery próbują wytwarzać w slumsach swoje „małe ojczyzny”.

Większość dzielnic ma ściśle wytyczone granice. Południową i wschodnią granicę Kibery wyznaczają strumienie. Kolejne rzeki pełnią funkcję granic wewnętrznych: oddzielają dzielnicę Mashimoni od Laini Saba i Lindi, Soweto East od Silanda, Kisumu Ndogo od Gatwekera, Lindi od Laini Saba. Granice wyznaczają także tory kolejowe biegnące przez środek Kibery. To odcinek głównej kenijskiej nitki kolejowej (Mombasa–Nairobi–Kisumu). Tory wyznaczają północno-wschodnią oraz północno-zachodnią granicę slumsów. Oddzielają także wysuniętą najdalej na północ dzielnicę Makina od reszty Kibery. To najbardziej niebezpieczny odcinek, zniechęcony przez kenijskich kolejarzy. W każdym tygodniu na długości niespełna kilometra torów ginie kilka osób.

Wedle kenijskich naukowców z Jomo Kenyatta University, współpracujących z pracownikami UN-Habitat, 60 procent właścicieli parceli w Kiberze to działacze rządowi i politycy. Nabycie ziemi traktują jako inwestycję długofalową. Przejmując do niej prawa, nie podejmują żadnych zobowiązań wobec najemców. Lądowładzi (*land* – z ang. ziemia, *lord* z ang. – pan) nie muszą dbać o warunki sanitarne, dostęp do wody, przyłącza elektryczne, wywóz śmieci. Wszystkie obowiązki spoczywają na osobach wynajmujących.

Osiedla landlordów składają się z podoklejanych do siebie jednopoziomowych lepianek. Średnia powierzchnia domostwa nie przekracza 10 metrów kwadratowych. Lepianki mają wymiary trzy na trzy metry. W pomieszczeniu takim wegetuje zazwyczaj 5-osobowa rodzina. Wynajem jednej lepianki kosztuje nieco ponad 10 dolarów miesięcznie (700 szylingów). Mimo skrajnego ubóstwa mieszkańcy Kibery przestrzegają rytuałów gościnnych charakterystycznych dla Afryki Wschodniej. Przed wejściem do domostwa należy użyć zwrotu *hodi!*. Dopiero po odpowiedzi *karibu!* można odsunąć zasłonkę lub blachę metalową, najczęstsze z form drzwi w slumsach. Co ciekawe, w całej Kiberze kwitnie stolarka i ślusarka. Klucze wyrabiane są ręcznie. Stolarze masowo produkują łóżka, stoły, taborety oraz trumny. Meble transportowane są najczęściej do centrów handlowych w Nairobi. W samej Kiberze wystawiana jest ich niewielka część.

Sektor usług w Kiberze sprowadza się do warsztatów połączonych ze stoiskami, niewielkich bazarów oraz kiosków. Wzdłuż ulic ustawione są stragany. Sprzedawcy oferują żywność: *ugali* (rodzaj mącznej potrawy), *nyama* (mięso), *samaki* (ryby), *sambusa* (pierogi), *msikaki* (szaszłyk), *mandali* (pączek), *sukuma* (szpinak); przedmioty codziennego użytku: garnki, durszlaki, noże; używaną odzież, buty oraz gumowe klapki wrabiane z opon samochodowych. Właścicielem sklepu jest najczęściej najemca znajdującego się za nim domostwa.

Większość domów powstała z gliny. Szkielet krzywych ścian tworzą drewniane rusztowania. Dachy to najczęściej arkusze blachy falistej bądź drewniane deski. We wnętrzu panuje mrok, dopiero po kilkunastu sekundach wzrok przyzwyczaja się do ciemności rozjaśnianych przez małe okienko znajdujące się w rogu lepianki. Budynek składa się z jednego pomieszczenia, przedzielonego prześcieradłem, pełniącym rolę kotary, na część sypialną i kuchenną. Materace są ciasno ułożone jeden koło drugiego, niczym koje na jachtach. Nad nimi suszą się rozwieszane ubrania. W części kuchennej znajduje się kilka taboretów, mały stolik, naczynia. W świetle wpadającym przez zakratowany lufcik są religijne obrazki, stare kalendarze z napisem *God loves you and me*.

W niektórych lepiankach wegetuje kilkunastoosobowa rodzina kilkupokoleniowa. Jedną z bardziej spektakularnych porażek władz Nairobi była inicjatywa wybudowania na obrzeżach Kibery kilkudziesięciu domków. Program ten nazywano *rewitalizacją przedmieść*. Przesiedlono tam kilkaset osób. Ludzie ci wrócili do starych lepianek pod osłoną nocy. Tłumaczyli, iż stracili wszystko co posiadali, oddzielono ich od rodziców i dzieci.

Życie codzienne w slumsach

Kibera pojawiła się w mediach pozakenijskich dzięki hollywoodzkiej produkcji dopiero w 2005 roku. *Wierny ogrodnik* (*The Constant Gardener*) w reżyserii Fernando Meirellesa powstał na podstawie powieści Johna Le Carré, byłego dyplomaty brytyjskiego, agenta służb wywiadowczych MI6. Meirelles nakręcił wcześniej *Miasto Boga* w slumsach faveli pod Rio de Janeiro. Podobnie jak w Brazylii, reżyser zdecydował się zatrudnić mieszkańców slumsów do roli statystów,

tłumaczy i tragarzy. Mieszkańcy Kibery do dziś wspominają łatwą pracę. „Dał możliwość zarobienia kilku dolarów kilku tysiącom Kenijczyków”, twierdzi Samuel, 24-letni stolarz z Kibery. „Udało mi się wtedy sprzedać kilka razy więcej mebli niż zwykle”, dodaje uzupełniająco: „Warto także obejrzeć film *Dziecko Kibery* (*Kibera Kid*). To prawdziwa historia, która może się przydarzyć każdemu z nas”. *Dziecko Kibery* jest opowieścią o losach 12-letniego chłopca o imieniu Otieno. Fabuła koncentruje się na dniu powszednim Kibery – konieczności wybierania między gangiem nieletnich a szkołą. Produkcja była wyświetlana na kilku festiwalach. Została owacyjnie przyjęta w Berlinie. Złośliwi twierdzili, że do sukcesu filmu przyczyniły się pojawiające się w Hollywood megaprodukcje o Afryce, kultywujące stereotypy „kontynentu nędzy i wojen”.

Po skończeniu zdjęć w Nairobi Meirelles wielokrotnie wspominał szok, jakiego ekipa doznała wchodząc do Kibery. Wrażenie potęgowały reakcje Kenijczyków z centrum Nairobi współpracujących przy realizacji zdjęć. Znaczna ich część nigdy wcześniej nie była w Kiberze – temat slumsów pojawia się jedynie na marginesie stołecznego dyskursu medialnego.

Między 1996 a 2000 rokiem władze Nairobi podejmowały wiele inicjatyw zmierzających do uregulowania sytuacji w slumsach. Samorząd miejski poniósł klęskę, a Komitet Koordynacji Zamieszkania (Settlements Coordinating Committee) stał się obiektem ataków ze strony opozycji politycznej. Wyzwania stojące przed władzami Nairobi dotyczą najbardziej podstawowych usług *welfare state*: opieki zdrowotnej, doprowadzenia prądu, zapewnienia wywozu śmieci, zainstalowania sieci wodno-kanalizacyjnej, zapewnienia bezpieczeństwa mieszkańcom slumsów.

W Kiberze nie ma prawie prądu ani zorganizowanej instalacji gazowej. Ulice wieczorami oświetla kilkanaście latarni oraz setki lamp spalających tuszcz zwierzęcy. Podstawowym materiałem opałowym jest koks. Jeden kubełek, starczający na podgrzanie małej kuchenki na obiad dla kilkusobowej rodziny, kosztuje 10 szylingów. W slumsach znajduje się także kilkadziesiąt *kituo cha petroli* (stacji benzynowych i magazynów nafty). Rolę tę pełnią rury wystające z lepianek. 50-litrowy zbiornik z paliwem znajduje się wewnątrz domostwa.

Zaledwie co piąte domostwo posiada elektryczność. W większości są to niewielkie, prywatne generatory. Co dziesiąty mieszkaniec slumsów decyduje się na płacenie rachunków za prąd. Ich wysokość jest większa niż czynsz (minimum 800 szylingów wedle najniższego taryfikatora). We wschodniej dzielnicy Korogocho udało się wprowadzić częściową elektryfikację. Pracownicy miejscy nie docierają jednak do Kibery. „Brak tam przecież nazw ulic i numerów domów – słyszymy na poczcie. – Rachunki zostawiamy w skrytkach pocztowych na poczcie w centrum miasta lub pod wyznaczonymi adresami”.

Dużym problemem jest także zorganizowanie wózek śmieci. Mimo kampanii społecznych (*Taka ni Pato*) większość śmieci wyrzucanych jest przed domy, zerują tam kozy i beżpańskie psy. Raz na tydzień odpadki są palone bądź wyrzucane do rzeki. Przydomowa utylizacja odpadów jest szczególnie niebezpieczna podczas pory suchej. Codziennie wybucha wtedy

w Kiberze kilka pożarów, które gaszone są przez zasypanie piachem i innymi odpadkami. Mieszkańcy poszczególnych dzielnic organizują się wtedy w prowizoryczne hufce pracy, przypominające XIX-wieczne ochotnicze oddziały strażackie.

Kolejne wyzwanie przed władzami Nairobi to utworzenie systemu kanalizacji. W Kiberze brak bieżącej wody i odprowadzeń ścieków. Kilka lat temu w lokalnych mediach nagłaśniane było otwarcie kilkudziesięciu nowych toalet. Dane statystyczne obnażają jednak bezradność władz miejskich. Obecnie na jeden sanitariat przypada około 1500 osób. Większość toalet ulokowana jest w centrum slumsów. Sprzątanie latryn stanowi jedną z najpopularniejszych form zarobkowania. „Za wyczyszczenie jednej toalety od niektórych organizacji można dostać nawet 5 szylingów” (czyli 20-30 groszy polskich), mówi 15-letni Juma. Zapytany co robią z brudami, zdziwiony kręci głową: „wyrzucamy to wszystko do rzek”.

W Gatwiri i Kisumu Ndogo nadal najpopularniejsze są tzw. latające toalety. Mianem tym określa się plastikowe torebki wypełniane fekaliami. Mieszkańcy Kibery stosują je zwłaszcza po zmroku, gdy boją się wychodzić z domostw. Ponurą sławą cieszą się próby szantażu przy użyciu latających toalet, wrzucanych do luksusowych limuzyn w centrum Nairobi, „jeśli kierowca nie uiszczy opłaty”.

W Kiberze brak wody bieżącej. Od 2002 r. za dostarczenie wody do kenijskich domów odpowiada lokalny samorząd. W przypadku stolicy rolę tę pełni Spółka Wodno-Kanalizacyjna Nairobi (Nairobi Water and Sewerage Company). W przeciągu ostatnich 5 lat ułożono zaledwie 25 kilometrów rur. Obecnie 98 procent z 650 ujęć wody należy do prywatnych właścicieli. Ustawili kilkadziesiąt zbiorników, z których za relatywnie niewielką cenę można pobrać wodę. 20 litrów kosztuje 2-3 szylingi, czyli 1/20 dolara. Podczas niedoborów wody cena wzrasta nawet dziesięciokrotnie.

Międzynarodowe organizacje apelują do władz Nairobi w sprawie konieczności uzdatniania wody. Wedle nich niekontrolowany system prywatnych zbiorników przyczynia się do epidemii duru brzuszego, czerwonki i amebiozy. Co druga osoba zarażona cholerą i tyfusem w Kiberze umiera z braku dostatecznej opieki zdrowotnej.

Władze Nairobi odpowiadają, że woda jest zdatna do picia nawet bez przegotowania, powołując się na jakość starych, pamiętających czasy kolonialne filtrów miejskich. Woda dostarczana do Kibery składowana jest jednak w brudnych, plastikowych i metalowych kontenerach, stanowiących wylęgarnie chorób.

Część mieszkańców pobiera wodę z kilku strumieni okalających Kiberę. Donoszą ją do lepiank w plastikowych kanistrach kilka razy dziennie. Zajmują się tym głównie osoby starsze oraz dzieci. Czasami trzeba stać w kolejce nawet kilka godzin. W wyniku sąsiedzkiej kooperacji działa także kilka prymitywnych wodociągów. Zbudowane są z plastikowych rurek. Każda z nich osiąga długość kilkudziesięciu metrów. Brak jednak jakichkolwiek pomp, skutkiem czego, woda „bieżąca” pojawia się tylko kilka razy dziennie.

Catherine, przedstawicielka organizacji pozarządowej Kenya Water for Health Organisation (WAHO)

działającej na terenie Kibery do 1987 roku zwraca także uwagę na cykliczne powtarzające się konflikty o wodę. „To lokalna forma konfliktów surowcowych. W Nigerii, Sierra Leone, Angoli ludzie zabijają się o diamenty. W Kiberze codziennie dokonywane są morderstwa, bo ktoś komuś zatkał kurek od wody” – mówi. *Ofiarami w konfliktach o wodę najczęściej padają właściciele nielegalnych ujęć. „Lokalna społeczność zabójstwa te traktuje jako przejaw tradycyjnej sprawiedliwości – twierdzi Kennedy, student Jomo Kenyatta University, który przez pewien czas mieszkał w Kiberze. – Te lincze często rozładowują napięcia społeczne”.*

Policja rzadko zapuszcza się do centrum Kibery. Czasem organizuje pokazowe akcje na obrzeżach slumsów, blisko ambasad Polski i Sudanu. Podczas operacji do środka slumsów wchodzi kilkudziesięciu funkcjonariuszy. Wracają po kilku godzinach z kilku aresztowanymi. Złośliwi twierdzą, że głównym celem akcji tego typu jest poprawa wizerunku policji i podniesienie samooceny wśród policjantów; realiści dodają o wzmocnieniu budżetu posterunku po wzięciu łapówek od landlordów.

Obecnie coraz większym problemem slumsów staje się handel narkotykami. Jeszcze niedawno głównym powodem konfliktów wewnątrz Kibery były antagonizmy etniczne. Od kilku lat coraz częstsze są starcia między gangami narkotykowymi walczącymi o strefy wpływów.

Dealerów nietrudno znaleźć na głównych ulicach Kibery. Tajemnicą poliszylna jest rola, jaką w dystrybucji narkotyków odgrywają kierowcy *matatu*, busików, głównego środka lokomocji w Nairobi. Zwłaszcza wieczorami palenie *bangi* (marihuany) jest powszechne. Paczka po papierosach pełna jointów kosztuje do 5 dolarów. Coraz więcej młodzieży uzależnia się od twardych narkotyków, wytwarzanych w niewielkich laboratoriach na obrzeżach slumsów.

Jedną z głównych rozrywek Kibery jest publiczne spożywanie alkoholu. Najpopularniejsze są samogony *changa* i *busaa*. *Changa* to spirytus na bazie metanolu, nie oczyszczony, często pachnący benzyną. Jedna szklanka kosztuje 10 szylingów (1/6 dolara). Jego wytwarzanie jest prawnie zakazane na terenie całej Kenii. *Busaa* to rodzaj lokalnego piwa, powstałego na skutek fermentacji nasion różnych zbóż. Koszt kubka wynosi 5-10 szylingów. Oba napoje można dostać w barach znajdujących się w lepiankach o wymiarach 5 x 5 metrów. Pije się je najczęściej z małych metalowych puszek po konserwach.

W minionym roku od zatruc nierektyfikowanym alkoholem zmarło ponad 100 osób w centrum Nairobi. W Kiberze liczbę zgonów z tej przyczyny szacuje się na kilka dziennie. „Pijemy, bo tu nie ma nic innego do roboty – stwierdza Julius, 45-letni mężczyzna. – Ja nie mogę znaleźć pracy już kilka lat. Gdy pracodawca z Nairobi słyszy, że mieszkam w Kiberze, od razu skreśla moje nazwisko”. Wedle danych AMREF (African Medical and Research Foundation), ponad połowa populacji Kibery nie znajduje pracy. Najgorzej przedstawia się sytuacja osób, które ukończyły 30 rok życia. Trzech na czterech przedstawicieli tej grupy nie jest w stanie znaleźć zatrudnienia na okres dłuższy niż kilka miesięcy.

Wyzwania dla władz Nairobi i międzynarodowych organizacji pozarządowych

Od kilku lat władze municipalne konsekwentnie marginalizują sytuację w Kiberze. Problemy setek tysięcy ludzi trafiają do opinii publicznej głównie za pośrednictwem prasy zagranicznej oraz dzięki wysiłkom działaczy organizacji pozarządowych pracujących w Kiberze. Pod Nairobi działa kilka stowarzyszeń i fundacji starających się zwalczać biedę i przeciwdziałać patologiom społecznym. Ich działacze niechętnie udzielają wywiadów, obawiając się utraty resztek wsparcia władz miejskich. Z drugiej strony znaczna część organizacji posiada własne strony internetowe oraz fora dyskusyjne. To pragmatyczny zabieg obliczony na możliwość uzyskania pieniędzy od zagranicznych donatorów.

Część organizacji pozarządowych zwalczających biedę w Kiberze ma swe siedziby za granicą. Kibera Slum Foundation (kSlum) powstała w San Diego, w słonecznej Kalifornii. Jej założycielem jest Andrew Richmond, Amerykanin pracujący w Kiberze jako wolontariusz. Śledząc historię powstawania fundacji, okazuje się, że to najpopularniejsza formuła ich początków: do Kibery często przypadkiem trafia Amerykanin lub Europejczyk, spędza tam rok, jako wolontariusz uczy angielskiego lub pomaga w klinikach, a po powrocie do ojczyzny zakłada stowarzyszenie i organizuje pomoc dla Kibery.

Do organizacji działających w samej Kiberze niełatwo jest dotrzeć. Wynika to najczęściej z braku ścieżek adresowych. Część z nich ma siedziby w centrum stolicy, a w Kiberze pracownicy spędzają 6-8 godzin dziennie. Wspólnota Wsparcia Grupowego (Community Support Group) działa od 6 lat w trzech miastach Kenii: Nairobi, Kisumu i Ugenyi. CSG opiera się na pracy wolontariuszy pochodzących głównie z Afryki Wschodniej. Niewielką część pracowników stanowią Europejczycy (Brytyjczycy, Niemcy, Skandynawowie). „Realizujemy szereg inicjatyw edukacyjnych, medycznych. Promujemy profilaktykę przeciwmalaryczną. Staramy się zapobiegać rozprzestrzenianiu się AIDS” – opisuje działalność CSG jeden z wolontariuszy, 31-letni Howard, wcześniej współpracujący z AMREF i Lekarzami Bez Granic (MSF, Médecins Sans Frontières). Jedną z ostatnich inicjatyw organizacji stanowią tzw. przejścia po Kiberze. Ich uczestnikami są Europejczycy i Amerykanie. Podczas trwającego godzinę spaceru najszerzszymi ulicami oglądają oni szkoły, kościoły, meczety i przyuliczne sklepy. Najważniejszą częścią dnia są spotkania z działaczami organizacji pozarządowych, podczas których Kenijczycy przedstawiają główne problemy Kibery. Rozmowy te mają na celu nawiązanie trwałych kontaktów i zainicjowanie współpracy na szczeblu międzynarodowym. Wyprawy takie stanowią mają odpowiedź na rozwijającą się turystykę (*slum tourism*). Ta kontrowersyjna forma zwiedzania coraz częściej trafia do programów biur turystycznych w Kenii. „Ludzie znudzili się parkami narodowymi, Masai Marą, Nakuru. Modne staje się zwiedzanie slumsów. Za 20-50 dolarów w asyście przewodników można odbyć godzinny spacer głównymi ulicami Kibery – reklamuje pomysł *slum tourism* pracownik jednej ze znanych agencji turystycznych z Nairobi. – Ta forma turystyki narodziła się w Afryce.

Na przedmieściach Johannesburga *slum tourism* daje możliwość znalezienia pracy kilkudziesięciu osobom dziennie” – dodaje pracownik biura. Inicjatywa *slum tourism* wywołała sprzeciw Ban Ki-Moona, sekretarza generalnego ONZ. Brak jednak rezolucji jednoznacznie potępiającej te działania.

Z ideą *slum tourism* walczy także Fundacja Karolina Dla Kibery (Carolina For Kibera). Organizacja ta została uznana przez tygodnik „Time” Bohaterem Światowego Zdrowia (Hero of Global Health). CFK wspiera edukację rozwojową oraz promuje postawy prospołeczne. „Co dwa tygodnie organizujemy sprzątanie slumsów. W akcji bierze udział średnio 500 wolontariuszy, rekrutujących się głównie spośród nas, młodzieży” – podkreśla Jim, 15-latek, który całe dzieciństwo spędził w slumsach. CFK stara się także prowadzić edukację zdrowotną. Koordynuje działanie miniaturowych klinik znajdujących się wewnątrz slumsów. W ramach programu Wykopać AIDS (Kicking AIDS Out) organizowany jest turniej piłkarski. Bierze w nim udział 5 000 młodzieży w wieku 13-20 lat. W każdym zespole gra kilkanaście osób. Prowizoryczne boiska znajdują się na obrzeżach Kibery. Turniej przyciąga uwagę dziesiątek tysięcy mieszkańców. Mecze stanowią formę kampanii społecznej adresowanej do młodych. Mają im uświadomić skalę problemu.

W Kiberze działa kilka specjalistycznych klinik medycznych. Zaledwie trzy z nich są państwowe. Tylko w niewielkiej części opieka zdrowotna jest darmowa. Tam też pracują wolontariusze z Europy i USA. Najwyższy poziom usług medycznych oferują kliniki, które zdołały nawiązać umowy z organizacjami zagranicznymi. Przykładowo, w klinice Tabitha, współpracującej z Amerykańskim Centrum Ochrony przed Chorobami (U.S. Centers for Disease Control and Prevention) przyjmowanych jest ponad 100 pacjentów dziennie. Znaczna część klinik inwestuje także w prewencję oraz edukację zdrowotną. Binti Pamoja (Zjednoczone Córki) są organizacją adresowaną do dziewcząt w wieku 11-18 lat. BP, oprócz poradnictwa w dziedzinie opieki zdrowotnej, oferuje kursy fotografii, teatru oraz kluby dyskusyjne.

Otwarcie każdego nowego punktu pomocy zdrowotnej jest nagłaśniane w prasie. Inauguracje programów wsparcia odbywają się najczęściej w czasie kampanii wyborczej. „Kibera staje się wtedy areną zmagani politycznych, mimo iż niewiele osób może głosować – twierdzi James – Ja zawsze głosuję na Kenijski Afrykański Związek Narodowy” (Kenyan African National Union). Przestrznią najostrzejszych debat jest Kisumu Kidogo, dzielnica zamieszkała głównie przez niockich Luo. Wielokrotnie doszło tam do starć między Nilotami a Mungiki – paramilitarną organizacją złożoną głównie z przedstawicieli plemienia Kikuju. W ich języku mingiki oznacza „jest nas wielu, jesteśmy razem”. Mungiki nawiązuje – w warstwie ideowej – do tradycji antybrytyjskiego ruchu Mau Mau z lat 1952-1955. Obecnie organizacja ta tworzy paramafijną strukturę, jest organizatorem i kontrolerem szarej strefy w Nairobi.

„Politycy przypominają sobie problemy Kibery tylko w czasie kampanii. Składane są wtedy obietnice bez jakiegokolwiek pokrycia – uważa James. – To papka wyborcza, której prawdziwym adresatem nie jesteśmy nawet my, mieszkańcy Kibery, ale mieszkańcy Nairobi”.

W „The Nation”, jednej z najpoczytniejszych gazet Kenii, podczas kampanii przedwyborczych można przeczytać serie artykułów o sukcesach w internetyzacji slumsów. Rzeczywiście, ostatni kurs komputerowy ukończyło 20 spośród 80 uczniów Kibera Cisco Networking Academy.

Cisco ma ponad 200 filii w Afryce. W najbardziej ubogich krajach na kursy przez nią organizowane uczęszcza prawie 100 000 osób. Idea informatyzacji krajów rozwijających się uzyskała poparcie Programu Narodów Zjednoczonych ds. Rozwoju (United Nations Development Programme, UNDP). Cisco nie jest jednak w stanie rozwijać swej działalności bez wsparcia władz lokalnych. Uniemożliwia to objęcie programami edukacyjnymi szerszych mas społeczeństwa.

Uzyskanie przez mieszkańców slumsów dyplomu Information and Communication Technology z całą pewnością ułatwi im znalezienie pracy w stolicy. Niestety, koszt zajęć (600-800 szylingów) uniemożliwia udział w nim większości mieszkańców slumsów. „Wysokość opłat stanowi bezpośredni skutek braku współpracy z władzami municypalnymi” – twierdzi Mgoro, uczestnik zajęć. Dla większości mieszkańców Kibery internet nie jest nawet marzeniem. Znaczna ich część nawet o nim nie słyszała.

Podobnie nagłośniono w mediach otwarcie przez Lucy Kibaki, żonę prezydenta Kenii, Programu Edukacji i Aktywizacji Dziewcząt z Kibery (Kibera Education and Empowerment Programme for Girls). Inicjatywa ta ma na celu zmniejszenie bezrobocia wśród młodych kobiet (3/4 bezrobotnych to kobiety w wieku 20-40 lat). „Z rosnącym bezrobociem ściśle wiąże się problem pandemii AIDS” – stwierdziła żona prezydenta. Jedna trzecia populacji Kibery zarażona jest wirusem HIV. Znaczną część tej grupy to młode kobiety, które nie mogąc znaleźć pracy decydują się na prostytucję. Skutkiem tego w Kiberze kwitnie podziemie aborcyjne. Nikt nie jest w stanie podać liczby usuniętych ciąży. Szacunkowe dane mówią o dziesiątkach tysięcy zabiegów dokonywanych co roku.

Niektóre organizacje skupiają się na edukacji obywatelskiej i promowaniu praw człowieka. Wspólnota Młodzieżowa Kibery (Kibera Community Youth Programme) jest organizacją promującą równouprawnienie w wymiarze trybalnym, religijnym oraz płciowym. KCYP wspiera inicjatywy edukacyjne. „Próbujemy także organizować system wsparcia finansowego, nawiązujący do mikrokredytów – twierdzi Karen, wolontariuszka KCYP. – Staramy się prowadzić kampanie promujące edukację, zachęcające do podjęcia nauki w szkole”. Długoterminowym celem organizacji jest utworzenie centrum edukacyjnego dla młodzieży na przedmieściach Nairobi. Mimo iż od 2003 roku edukacja w Kenii na poziomie podstawowym jest darmowa, znaczna część dzieci nie chodzi do szkoły. Dane szacunkowe podawane przez lokalne organizacje są alarmujące. Wedle nich 70 procent dzieci nie kończy szkół. Ponad połowa mieszkańców Kibery to analfabeci, przy średniej kenijskiej na poziomie 25-30 procent. Odsetki te są nieco niższe w szkołach religijnych. W Kiberze znajduje się około 50 kościołów i kilkanaście meczetów. Struktura wyznaniowa w slumsach jest reprezentatywna dla całego społeczeństwa. Co trzeci mieszkaniec Kibery to katolik, co czwarty – pro-

testant, co piąty jest wyznawcą religii tradycyjnych, co dziesiąty muzułmaninem. W Kiberze działa wiele zgromadzeń protestanckich. Adwentyści i zielonoświątkowcy co roku zakładają nowe szkoły dla dzieci. Wedle Benjamina, działacza jednej z organizacji pozarządowych, w tych właśnie szkołach młodzież osiąga najlepsze wyniki na egzaminie umożliwiającym przejście do szkoły średniej (Kenya Certificate of Primary Education). W szkołach dzieci uczą się swahili, angielskiego, matematyki, pakietu przedmiotów ścisłych oraz humanistyczno-religijnych. Najlepsi osiągają wyniki 60-80 procent ogólnej liczby punktów.

Dyrektorka jednej ze szkół, 54-letnia Liss uważa, iż największą popularnością cieszą się przedmioty lingwistyczne. „Znajomość języka angielskiego nadal jest warunkiem niezbędnym awansu społecznego. W slumsach dzieci mówią językiem rodziców. Na ulicach najczęściej słyszy się swahili oraz kikuyu. W centrum Nairobi dzieci mogą się nauczyć angielskiego na ulicy. W Kiberze jest to o wiele trudniejsze. Najłatwiej wysłać dziecko do szkoły prowadzonej przez misjonarzy. Oni najlepiej uczą języków obcych w Kiberze”.

Inną organizacją pozarządową współpracującą ze szkołami w Kiberze jest Grupa Wsparcia Młodzieży Kibery (Kibera Youth Help Group). Początki działalności zawężone były do obszaru dzielnicy Kianda. Wedle Justina, jednego z fundatorów organizacji, „najlepszym narzędziem popularyzacji edukacji wśród młodzieży jest sport. Mamy dwa zespoły. Organizujemy czas wolny ponad 200 dzieciom. Otworzyliśmy także centrum wspierania sierot (Orphans and Vulnerable Children Project), których obecnie w Kiberze mieszka około 200 tysięcy oraz centrum artystyczne (Kibera Youth Creative Arts), promujące ideę sztuki getto”.

Docieramy do malarzy z najświetniejszego studia artystycznego Kibery. W niewielkim pomieszczeniu działa grupa M2 (Seyna) Art. Powstała w 2002 roku. Wedle jej założyciela, Otieno „sztuka stanowi szansę wyrwania się ze slumsów. Obecnie pracuje tu kilku artystów. Materiały kupujemy sobie sami. Obrazy sprzedajemy przez internet. Zapraszamy na naszą stronę internetową” – dodaje Otieno.

Mieszkańcy Kibery powoli wytwarzają więź ponadetniczną, ponad podziałami politycznymi, zorientowaną na poprawę losu wspólnoty. Na szczególną uwagę zasługują formy współpracy podejmowane przez organizacje rządowe (przykładowo: Mashimoni Kambi muru Ushirika wa Usafi, Lindi Ushirika wa Usafi na Maendeleo, Kibera Silanga Ushirika Group i Gatwekera Usafi, Umoja na Maendeleo połączyły się w Kibera SLUM Education Programme, inicjatywę edukacji obejmującą swym zasięgiem prawie całe slumsy). Nieudolna polityka społeczna władz miejskich wzmacnia rolę trzeciego sektora w rozwiązaniu problemów największych slumsów Afryki. Prognozy demografów są jednoznaczne. Kibera będzie się rozrastać. W przeciągu dekady jej populacja prawdopodobnie się podwoi.

BŁAŻEJ POPŁAWSKI

(autor jest dr. historii, socjologiem, członkiem Polskiego Towarzystwa Afrykanistycznego)

MARTA ZABŁOCKA

APARTHEID à REBOURS

Przed wejściem w głąb ziemi kłębi się gromadka dzieci. Każde chce przeżyć muzealną wędrówkę i dowiedzieć się, co kryją w sobie góry Witwatersrand. Iskrzące się w gablotach samorodki złota zatrzymują zwiedzających na parę minut. Z tablic dowiedzieć się można, że RPA wydobywa najwięcej na świecie tego szlachetnego kruszcu (blisko 300 ton rocznie). Zasoby oceniane są na 70 tysięcy ton. A południowoafrykański rand czerpie swą nazwę właśnie z jednego z pasm tych złotonośnych wzgórz.

Wchodząc na piętro wzrok już tylko omiata płaską i szeroką czaszkę *Australopithecusa africanus*, który żył 4 miliony lat temu i jego młodszego mocno kościstego bratanka *Paranthropusa robustus* sprzed 2 milionów lat. Kolejny zakręt, mijamy niekompletny szkielet pracźlowieka i docieramy do kolejnej muzealnej ekspozycji. Zniszczone walizki, spłowiełe dziecięce ubranka, białe sztywne kołnierzyki, skromna granatowa sukienka zapinana na guziczki oraz puzderko z nićmi i igłami. Tych kilka przedmiotów w zakurzonych akwariach ma prezentować przybycie do Południowej Afryki Anglosasów i Duńczyków w 1840 roku.

Na wprost stoi pocztowy dyliżans. Na najwyższym piętrze można oglądać kilkadziesiąt starych aparatów fotograficznych oraz wyblakłe plansze przedstawiające okres pobytu Gandhiego w Johannesburgu i jego prawniczą praktykę w oddalonej od miasta o 20 mil farmie Tolstoja. Do tego miejsca już prawie nikt nie dociera.

Wychodząc z johannesburskiego Muzeum Afryki przy Bree Street w Newtown czuje się rozczarowanie. W tym pięknym budynku z dwoma białymi wieżyczkami i wejściem z portykiem, z ciągnącym się aż do rogu z Market Teater czerwonym dachem nie ma w środku niczego co prezentowałoby w choćby przekrojowy sposób historię kontynentu. Pomyślmy, jak wyglądałoby Muzeum Europy? Czy o takie miano nie może pokusić się paryski Louvre czy British Museum? Albo zadajmy sobie inne pytanie: co chcielibyśmy zobaczyć w Muzeum Afryki? Czyją historię, Afrykanów czy Afry-

kanerów? Czy jest na to szansa? Jak opowiedzieć ich wspólną historię i współczesne życie obok siebie? Jakim językiem?

Przywilej

By dowiedzieć się, że masz białą skórę, musisz pojechać do Afryki. Dopiero tam zaznasz uczucia wyobcowania i wyróżniania się z tłumu. Pewnie to samo wrażenie towarzyszy początkowo Afrykanom na europejskich ulicach. Kiedy jesteś sam, wydaje się, że wszyscy spoglądają na ciebie. Uciekasz przed ich oczami, ale nie masz szansy się schować. Sam szukasz wzrokiem kogoś o liliowo-białej skórze i błękitnych oczach, by przez moment poczuć się bezpiecznie wśród „swoich”. Być może znajdziesz tę chwilową otuchę odnajdując białe manekiny w witrynach sklepowych. Gdy dłużej jednak pobędziesz na laterytowej afrykańskiej ziemi, uczucie to zniknie.

Jeszcze raz przypomnisz o swojej białej skórze, kiedy kasjerka w johannesburskim Muzeum Apartheidu zada ci pytanie: jakiego koloru jesteś? – Czyżby nie było widać? Na bilecie, który można kupić za 60 randów, biało na czarnym (sic!) napisano: *BLANKES WHITES*. Tuż obok kasy wejście. Osobne dla białych, osobne dla czarnych zwiedzających. Przed pierwszymi drzwiami para zagranicznych turystów. Przed drugimi kłębią się tłumy uczniów w zielonych lub niebieskich mundurkach. Przyjechali z różnych stron Republiki autobusami, które teraz parkują na olbrzymim parkingu. Jest ich kilkanaście. Tłum dzieci w różnym wieku rozbiega się po obiekcie.

Tuż za drzwiami wiszą powiększone dowody tożsamości, znenawidzony symbol apartheidu, które jak wypalone piętno segregowały rasowo mieszkańców RPA. Pod koniec lat 60. państwo dzieliło się na 3,5 miliona białych (nieco ponad połowa to Afrykanerzy, reszta to Anglosasi), półtora miliona „kolorowych”, pół miliona Azjatów (głównie Hindusów, sprowadzonych

do pracy na plantacjach cukrowych w Natalu w 1860 roku) oraz 13 milionów Afrykanów. Dziś podobnie układają się proporcje, choć liczba obywateli wzrosła do 50 milionów.

Niełatwo urzędnikom Population Registration Office było ustalić, do której grupy zaliczyć obywatela. Wydaje się, że łatwo odróżnić tych, którzy mają czarną skórę, szeroki nos, faliste włosy, od tych którzy wyglądają jak biali i żyją jak na białych przystało. Nic bardziej mylnego. Zdarzały się tragiczne historie. Ktoś kto miał ciemniejszy odcień skóry w porównaniu z najbliższą rodziną mógł zostać uznany za „kolorowego”. Tak jak w przypadku absurdalnej decyzji urzędnika, który uznawszy matkę wraz z czterema synami za białych, piątego zakwalifikował do czarnych, ze względu na ciemniejszą karnację. Wyrok był ostateczny. Wymuszono na matce zeznanie, że syn jest dzieckiem z pozamałżeńskiego związku. W ten sposób ochroniła pozostałe dzieci.

Segregacja obowiązywała również obcokrajowców mieszkających w RPA. Japończyków, a następnie i Chińczyków uznano w czasach apartheidu za „honorowych białych”. Związane było to oczywiście z kontaktami handlowymi. Na początku 1960 roku Tokio Yawata Iron & Steel Co zdecydowała się na zakup w przeciągu dekady 5 milionów ton stopów żelaza za ponad 250 milionów dolarów. Ówczesny premier Hendrik Verwoer powiedział, że japońskich kontrahentów nie może poddać ustawowym ograniczeniom. Podobne prawo przyznano również Chińczykom, ze względu na problem strażników prawa w rozróżnieniu nacji wschodnioazjatyckich.

Dziś z zupełnie innego powodu Chińczycy są uprzywilejowani. Dzięki wprowadzonej w 1998 roku ustawie o sprawiedliwym zatrudnieniu oraz w 2003 ustawie o uwłaszczeniu gospodarczym czarnej ludności wprowadzono w sferze gospodarczej politykę równości rasowej w zatrudnieniu. Black Economic Empowerment (BEE) czyli Uwłaszczenie Gospodarcze Czarnej Ludności to zapewnienie osobom dyskryminowanym przez rząd dostępu do sfery finansów, pracy na wyższych szczeblach, z czasem szansa na przejęcie firm z białych do czarnych rąk. Dobek Pater w książce *Życie codzienne w Johannesburgu*¹ pisze, że w czerwcu 2008 roku obywatele RPA pochodzenia chińskiego zostali zakwalifikowani do grupy „czarnych” ze względu na okoliczności, w jakich przybyli. W pierwszej połowie XX wieku zostali oni sprowadzeni przez Brytyjczyków do pracy w kopalniach Kraju Przylądkowego. Do tej samej grupy zakwalifikowano kolorowych i Hindusów.

Uprzywilejowana pozycja Chin w RPA związana jest również z partnerstwem handlowym. Dane niezależnej instytucji badawczej economists.co.za z pierwszych dziewięciu miesięcy 2012 rok, wskazują, że Chiny stały się pierwszym miejscem docelowym eksportu Republiki Południowej Afryki. Przypomnijmy, że w kwietniu 2011 RPA dołączyła do elitarnego grupy BRIC, czyli wiodących krajów rynków wschodzących (Brazylia, Rosja, Indie, Chiny). W 2013 roku to właśnie RPA będzie gospodarzem kolejnego szczytu tych państw. Przyłot chińskich dygnitarzy ze świątą biznesmenów ułatwi nowo otwarta linia lotnicza łącząca Pekin z Johannesburgiem.

Według zasad określonych w BEE firma, której 50,1 proc. właścicieli to Afrykanie, Azjaci lub „kolorowi”, uważana jest za „czarną firmę”. Ta, która ma jedynie 25,1 proc. uznawana jest za „uwłaszczającą gospodarczo czarne osoby”. Prowadzenie polityki równości rasowej daje firmie dodatkowe 10 proc. punktów w momencie, gdy staje do przetargu (zarówno rządowego, jak i prywatnego). Białe kobiety też krótko były uznawane za wcześniej dyskryminowane, lecz rząd szybko doszedł do wniosku, że w dobie apartheidu należały do grupy rasowo uprzywilejowanej. Dzięki BEE promowane mają być nowe inicjatywy „czarnych” przedsiębiorców (nie tylko w miastach, ale i na wsiach), dzięki czemu łatwiejsze ma być uzyskiwanie dofinansowania. Wprowadzony parytet ma również odzwierciedlać proporcje społeczne w RPA. Przypomnijmy, że według spisu powszechnego z 2011 roku, biali stanowią 9,2 proc. populacji.

Krytyka polityki BEE bywa głośnie. BBC w sierpniu ubiegłego roku informowało, że południowoafrykańskie narodowe linie lotnicze (South African Airways) stosują praktykę tak zwanej pozytywnej dyskryminacji. Medialna prowokacja polegająca na jednoczesnym wysłaniu dwóch identycznych podań, ujawniła, że internetowy formularz zaprogramowany był tak, aby samoczynnie odrzucać kwestionariusze białych pilotów. Rzecznik linii lotniczych Kabelo Ledwaba wyjaśnił, że program przyjmowania kadetów został zredefiniowany aby „odzwierciedlać rasową demografię Południowej Afryki”. Obecnie 15 proc. pilotów SAA stanowią kolorowi, resztę biali, w tym 91 proc. to mężczyźni. Organizacje afrykańskie i część sceny politycznej szybko podniosły głos. Według nich działania rządzącego Afrykańskiego Kongresu Narodowego (ANC) przeczą głoszonemu programowi równego prawa i hasłom pojednania. Program wyrównywania szans w biznesie to działanie w interesie wąskiej grupy przedsiębiorców albo skoligaconych z rodziną Nelsona Mandeli czy Jacoba Zuma, albo skorumpowanej części polityków ANC.

Niezadowolone Afrykanerów związane jest z zakończeniem okresu, kiedy to kapitał w całości należał do białych rąk, ale pracę wykonywały czarne dłonie. W czasie apartheidu Ministerstwo Pracy stworzyło wytyczne, które zawody są zastrzeżone wyłącznie dla białych. Murarzem, operatorem dźwigu czy kierowcą pojazdu cięższego niż trzy tony nie mógł zostać Afrykanin. Tym bardziej listonoszem w białej dzielnicy, choć powszechnym zjawiskiem było posiadanie czarnej służby. Do tej pory jest to popularne. Nawet teraz, w nowo wybudowanych domach powinno być miejsce (pokój, łazienka, mała kuchnia) dla służących. Domu, w którym nie będzie wydzielonej takiej powierzchni, nikt w RPA nie kupi. Wracając do czasów segregacji – ulubionym argumentem propagandowym rządu w latach 60. był fakt, że czarni w Południowej Afryce zarabiają więcej niż w jakimkolwiek państwie tego kontynentu. Nie dodawano wówczas informacji, że standard życiowy Afrykanina w mieście wynosił 1/8 – 1/5 standardu białego człowieka.

Strategia polityczna związana z ustawą BEE może preferować przyjmowanie pracownika ze względu na pochodzenie społeczne, a nie doświadczenie i kwalifikacje. Związane jest to z zapotrze-

bowaniem firm na bardzo dobrze wykształconych Afrykanów, których brakuje na rynku pracy. Stąd przełożenie polityki równości rasowej do akademickich realiów. W styczniu 2012 roku odbył się strajk studentów i afrykanerskich działaczy politycznych na Wydziale Nauk Weterynaryjnych Uniwersytetu Pretorii. Z pomalowanymi na czarno twarzami protestowali oni przeciwko rasowym preferencjom w przyjmowaniu uczniów na uczelnię. Afrykanerzy czują się pomijani w czasie kwalifikacji, które mają odzwierciedlić demografię kraju. W ten sposób na jedyny w RPA wydział weterynarii, mimo że większość wniosków składanych jest przez białych studentów, na 140 studentów dostało się jedynie 22 Afrykanerów. Jak pisze Dobek Pater, zaniżenie wymagań stawianych przy przyjęciu na studia czarnych studentów prowadzi na niektórych wydziałach do spadku poziomu nauczania.

Ale, co warto podkreślić, w latach 1996-2001 w Johannesburgu liczba osób z wykształceniem wyższym wzrosła prawie o 130 proc. Wciąż jednak niepokojąco mało czarnej młodzieży kończy szkoły średnie, co wynika z braku tradycji uczenia się i z ubóstwa ludności napływowej. To sprawia, że obraz „tęczowego narodu” jak zwykle określać społeczeństwo w Południowej Afryce media, nie jest tak piękny jak by się wydawało.

Precedens

– A ty co tutaj robisz? – pyta południowoafrykański policjant Murzyna, którego zastał klęczącego w kościele.

– Myję podłogę, sir. Oto ścierka.

– No, twoje szczęście! Myślałem już, że się modlisz.

Tę popularną anegdotę Afrykanerów przytacza Ernest Skalski w *Apartheid*², pierwszej w Polsce książce dotyczącej stosunków społecznych i politycznych w Republice Południowej Afryki. Segregacja rasowa była bezwarunkowa i powszechna. Dotyczyła wszystkich. Nawet biali nie mogli zrezygnować z przywileju wydzielonego miejsca w strukturze społecznej. Niewola krępuje łańcuchem również właścicieli niewolników. W tym wypadku wywoływała również strach przed nimi.

Oddzielnie prano w pralniach chemicznych bieliznę białych i czarnych. Osobno tworzyły się kolejki na przystankach autobusowych i stacjach kolejowych. Przegrody dzielące plaże morskie na trzy części (dla białych, „kolorowych” i czarnych) wybiegały daleko w wodę, aby tam nie było szansy na spotkanie się ras. Odrębne restauracje, kina, parki, szkoły, szpitale, więzienia, cmentarze, trybuny sportowe, kościoły. Wszędzie poustawiano tabliczki z informacjami – tu możesz wejść, jeżeli jesteś Europejczykiem (białym), a tam nie.

Kiedy pobierano krew do transfuzji, oprócz jej grupy zaznaczano przezornie rasę krwiodawcy literami W, C, A, B (biali – white, kolorowi – coloured, Azjaci i Bantu). Choć w zasadzie nie istniał zakaz przetaczania chorym krwi pochodzącej od innej rasy, instrukcje szpitalne nakazywały unikać takich zabiegów.

Przez wiele lat skrywane były niewygodne dla rządu RPA informacje dotyczące pierwszej na świe-

cie transplantacji serca dokonanej przez doktora Christiana Barnarda. 3 grudnia 1967 roku do szpitala Groote Schuur w Kapsztadzie przywieziono 25-letnią potrąconą przez samochód Denise Darvall. Na skutek wypadku doznała ona śmiertelnych obrażeń mózgu. W tym samym czasie na transplantację serca czekał w szpitalu nieuleczalnie chory 55-letni hurtownik Louis Washkansky. Mimo że Washkansky zmarł w 18 dni po przeszczepie, pionierska operacja doktora Barnarda otworzyła przed wahającymi się kardiochirurgami szansę na powtórzenie tak ryzykownej operacji. I mimo że Christian Barnard był przeciwnikiem segregacji rasowej, to jednocześnie został nieformalnym ambasadorem RPA na świecie. To zakneblowało mu usta na wiele lat. Z powodów politycznych nie mógł się przyznać, że w pamiętnej pierwszej transplantacji asystował mu nie tylko młodszy brat Marius Barnard, ale też rodowity Zulus Hamilton Naki. Dopiero po śmierci Barnarda w 2001 roku zaczęto wyjaśniać szczegóły operacji. Naki to chirurg-samouk. Nie ukończył żadnej ze szkół medycznych, praktykę zdobył przeprowadzając eksperymentalne przeszczepy na psach. Po latach przyznał, że podczas tamtego zabiegu to on wyjął organ z klatki piersiowej dawcy.

Polska Kronika Filmowa z marca 1968 roku obok informacji o ataku wojsk izraelskich na Jordanię i zjazdu SPD w Norymberdze przekazuje wiadomość z Południowej Afryki. Na ekranie pojawia się twarz jowialnego mężczyzny w szpitalnym szlafroku. To stomatolog Philip Blaiberg, drugi pacjent doktora Barnarda po przeszczepie. Przeżył z cudzym sercem 563 dni. Bijący w nim organ był od „kolorowego” dawcy, co przemilczano w doniesieniach prasowych. Medyczny sukces nie mógł zostać przyćmiony jednoczesnym nowym jakościowo sposobem „przemieszania ras”. „Ludzka twarz” niedemokratycznego południowoafrykańskiego reżimu w postaci doktora Barnarda trwała przez lata.

Zupełnie inny obraz Południowej Afryki z połowy lat 60. przynoszą zdjęcia pierwszego czarnoskórego fotoreportera Ernesta Cole'a³, syna krawca i praczki. Nie mógłby robić zdjęć, gdyby nie fakt, że po ucieczce z domu w wieku 16 lat, jako sierota, został zarejestrowany jako „kolorowy”. To pozwalało mu swobodnie poruszać się po kraju, podjąć pracę w magazynie „Drum” i rozpocząć korespondencyjny kurs fotografii. Jego zdjęcia są delikatne, czasem dowcipne, czasem okrutne. Bez sentymentu portretuje tak czarnych jak i białych obywateli RPA. Samotna kobieta w kapeluszu siedząca na ławce w parku tylko dla białych. Trybuna sportowa dla białych i czarnych kibiców oddzielona wyłącznie sznurem, choć emocje na twarzach takie same. Czarny uczeń skrzętnie notujący w zeszytach, tak bardzo skupiony, że po skroni spływa mu kropla potu. Są też bardziej intymne sceny. Afrykaner tańczący blisko z czarną kobietą – zdjęcie, które niesie w sobie dużą dozę napięcia nie tylko między bohaterami, ale też i fotografującym. Cole stworzył album pod tytułem *Dom niewoli*, który w 1967 roku został wydany w Nowym Jorku i natychmiast zakazany w RPA.

Autor nigdy nie wrócił do ojczyzny. W lutym 1990 r., zaledwie tydzień po uwolnieniu z więzienia Nelsona Mandeli, Ernest Cole zmarł w biedzie w Nowym Jorku, w wieku 49 lat. Pokażny zbiór odbitek trafił do Fundacji

Hasselblada w Szwecji. Jego zdjęcia stały się rozpoznawalnym symbolem czasów segregacji rasowej. Nie tylko w wielkoformatowych fotokopiach można oglądać je w Muzeum Apartheidu. Prezentowane są one również w Johannesburg Art Gallery. Założycielką kolekcji była Lady Florence Philips, która na obrazie Giovanniego Boldini prezentuje się jako porywczą damę w czarnej suknie z dużym dekoltem. To ona sprowadziła *Dwie tancerki* Edgara Degasa, rzeźbę Augusta Rodena czy biały telefon Salvadora Dalego z langustą zamiast słuchawki do Johannesburga. Oglądając kolekcję Lady Florence czuć tęsknotę kolekcjonerki sprzed wieku za elegancką, barwną Europą.

Pragnienia

Najpierw zebrano 6000 rysunków wiosek tokańskich. To na ich podstawie architekci stworzyli w Johannesburgu projekt olbrzymiego centrum rozrywko-handlowego Montecasino (dzielnica Fourways). Przed wejściem kontrola osobista – broń należy zostawić w sejfie. Windą wjeżdżamy na piętro i naszym oczom ukazuje się... stare miasto w Toskanii. Obcasy stukają, kiedy przechadzamy się po wąskich uliczkach wykładanych kostką. Nad nami rozwieszone płótno z namalowanym błękitnym niebem z różowymi obłokami. Pośrodku kasyno, tuż obok dwa hotele, lodowisko, teatry, kino, mnóstwo restauracji, barów i klubów. Jest nawet rozgłośnia radiowa, ptaszarnia i antykwariat ze starociami. Pomiędzy budynkami mosty, rzeźby i fontanny. Tłum jak we Florencji na Piazza San Giovanni. W nowszej części, pod gołym niebem znajduje się replika takiego właśnie placu z charakterystyczną wieżą zegarową.

W najbogatszej dzielnicy Johannesburga, Sandton, nad którą góruje hotel Michelangelo (854 dol. za noc w królewskim łóżu), znajdziemy kompleks sklepów dla zamożniejszych klientów. Obok bogatych butików, jubilerów, centrum konferencyjnego i restauracji na środku placu stoi duża nieproporcjonalna rzeźba Nelsona Mandeli. Lekko pochylający się, w za dużej koszuli niczym w piżamie przypatruje się dobrotliwie mężczyznom w smokingach i kobietom w koktajlowych sukniach biegnących w szpilkach przez skwer jego imienia. Karykaturalna wręcz postać Mandeli nie pasuje do tego bogatego anturaju.

Uwielbiany przez miliony doczekał się kultu świętego już za życia. Po 30 latach pobytu w więzieniu za walkę z apartheidem i 5 latach sprawowania władzy prezydenckiej, Mandela mieszka w rodzinnej wiosce Qunu, o której pisał w pierwszym rozdziale *Long Walk to Freedom*⁴. To tu spędził najszcześniejsze dni swojego dzieciństwa. Po odejściu ze sceny politycznej zaangażował się w kampanię przeciwko AIDS, nie ukrywając powodu śmierci syna Makgathi Lewaniki. Publicznie złamał tabu dotyczące epidemii tej choroby w Afryce. Popierał międzynarodowy Ruch Walki z Ubóstwem, włączał się w inne inicjatywy charytatywne. Medialnie umierał wielokrotnie, choćby w 2003 roku, kiedy to CNN poinformowała o jego śmierci i przez pomyłkę opublikowała nekrolog. W 2007 r. uśmiercili go pravicowi radykałowie twierdząc, że rząd ukrywa przed opinią publiczną jego śmierć, zaś biali mieszkańcy RPA zostaną zamordo-

wani tuż po pogrzebie. A były prezydent odpoczywał wtedy w Mozambiku.

Nelson Mandela cierpi na demencję starczą. Jego liczni krewni rozporządzają majątkiem, ulegają wpływom i korupcji. Rodziny byłego prezydenta Mandeli oraz obecnego Jacoba Zuma są mocno powiązane między innymi z biznesem wydobywczym w RPA. Kopalnia Marikana, o której głośno było z powodu krwawo stłumionego przez policję strajku w sierpniu zeszłego roku, była zarządzana przez krewnych Mandeli, obecnie należy do bratanka prezydenta Zuma. To tutaj doszło do morderstwa 34 górników przez policję RPA, większość z nich została postrzelona w plecy. Ten gorzki obraz postapartheidu uświadamia, że zacieśnianie więzów społecznych utrudnia lina rozciągnięta pomiędzy kapitalizmem a narodem. Czy apartheid oparty na segregacji rasowej zamienił się apartheid ekonomiczny? – pyta australijski dziennikarz John Pilger przywołując słowa Mandeli, że „polityką ANC jest powszechna prywatyzacja”. Bank Światowy i Międzynarodowy Fundusz Walutowy pomagały rządowi zarówno Mandeli, jak i jego następcy Thabo Mbeki. Minister finansów chwalił się w Waszyngtonie z osiągnięć makroekonomicznych, choć przybrały one wygląd społecznej przepaści między mieszkańcami domów z falistej blachy bez bieżącej wody i nowobogackiej czarnej elity w ogrodzonych osiedlach. Finansista George Soros w 2001 roku zauważył, że Republika Południowej Afryki została wydana w ręce międzynarodowego kapitału. Cóż z tego, że w latach 1996–2007 w całej Afryce podpisano ponad tysiąc umów inwestycyjnych, skoro zagraniczne inwestycje bezpośrednie, z których rzeczywiście mógłby skorzystać lokalny przemysł, nie przekroczyły 2 proc. ogółu takich inwestycji na świecie.⁵ Próba „odegrania się” po wyzwoleniu z łańcuchów apartheidu nie przyniesie dobrych skutków. Kompromisy zawierać jest trudno. Nawet finansowe, choć na nowych randach, obok wielkiej piątki afrykańskich zwierząt (nosorożec, słoń, lew, bawół i lampart), na banknotach pojawił się wizerunek Nelsona Mandeli. Nie wiem czy to pomoże. Żona Mandeli, Graca Machel, w grudniu 2012 roku w wywiadzie dla telewizji eNCA powiedziała, że „iskra Mandeli gaśnie”. Co będzie, gdy go zabraknie?

MARTA ZABŁOCKA

¹ D. Pater, *Życie codzienne w Johannesburgu*, Wydawnictwo Akademickie DIALOG, Warszawa 2009.

² E. Skalski, *Apartheid*, Biblioteka Wiedzy Współczesnej, Wiedza Powszechna, Warszawa 1969.

³ *Krótki okres czarnego renesansu w latach pięćdziesiątych, który wyzwolił potencjał czarnej Południowej Afryki i pozwolił rozwijać się pisarzom, poetom i fotografom, został bezwzględnie zdławiony przez apartheid. Fotoreporterzy tacy jak Paul Weinberg, Omar Badsha, Gideon Mendel, Giselle Wulfsohn, Guy Tillum i inni wysunęli się na pierwszy plan, fotografując walkę.* Za: G. Marinovich & J. Silva, *Bractwo Bang Bang. Migawki z ukrytej wojny*, przeł. W. Jagielski, Wydawnictwo Sine Qua Non, Kraków 2012, s.121.

⁴ *Long Walk to Freedom. The Autobiography of Nelson Mandela*, Abacus, Great Britain, 1996.

⁵ Patrz: J. Ziegler, *Nienawiść do Zachodu*, przeł. E. Cylwik, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2010.

KRZYSZTOF MROZIEWICZ

NIEZRĘCZNIK DYPLMATYCZNY*

Humor i polityka

Dyplomacja to sztuka unikania konfliktów. Potężne objętościowo podręczniki dyplomacji podają inne definicje. Ale niezręcznikowa jest najbardziej praktyczną.

Sztuka unikania konfliktów winna być umiejętnością polityków. Jak unikać sprzeczności rządząc? Rządząc supermocarstwem? Z ponurą, zboloną miną czy z uśmiechem? Poczucie humoru nie odnosi się do państwa, chyba że od drugiej strony, kiedy władza jest śmieszna. Mając pogodny wyraz twarzy, który zapowiada niechęć do kosztownych starć, osiągnie się więcej niż z zaciętymi ustami.

Kosztowne starcia to wojny, sankcje, a nawet zwykłe, nieprzychylnie innym oświadczenia. W otwartym polu walki nie ma miejsca na uśmiech. Lecz czy uśmiech rzeczywiście jest zwiastunem pogody? Gromyko rekomendując Michaiła Gorbaczowa na stanowisko sekretarza generalnego KPZR powiedział: jest to człowiek o miłym uśmiechu i o stalowych zębach. (Nie bez przyczyny zwrot „kobieta – np. pani Thatcher – uśmiecha się zębami” wart jest głębszej analizy). (...)

Styl dyplomacji angielskiej określa jedno zdanie wypowiedziane przez Henry'ego Temple, wicehrabiego Palmerstone, wielokrotnego ministra, w tym spraw zagranicznych i premiera: „Wielka Brytania nie ma wiecznych sojuszników ani wiecznych wrogów. Wieczne są tylko interesy Wielkiej Brytanii i obowiązki ich ochrony”. (...)

Humor angielski czy raczej angielski styl dyplomacji nie jest jedyną szkołą w Europie. Tradycyjnie mieliśmy na kontynencie szkoły wielkich mocarstw: francuską (Talleyrand) i austriacką (Metternich). Obydwe polegały na przeniewierstwie (zwłaszcza Talleyranda) i „ciemnych komnatach” czyli wynalazku poczty w Wiedniu polegającym na czytaniu cudzej korespondencji. W dwudziestym wieku, poza angielską dołączyły do tradycji dwie kolejne szkoły, supermocarstw: amerykańska (John Foster Dulles, Henry Kissinger i Zbigniew Brzeziński) oraz sowiecka (Andriej Gromyko). Amerykanie stawiali na wywiad (Dulles) zaś Amerykanie z pierwszego pokolenia i tytułami profesorskimi oraz wybitnym dorobkiem książkowym – na przewagę intelektu w zmaganiach zimnowojennych. Natomiast dyplomacja Gromyki sprowadzała się do jednego słowa: „Niet!”. W szkole francuskiej zawsze liczyło się poczucie humoru, w austriackiej – nigdy. W amerykańskiej mamy bibliotekę gaf, a w sowieckiej – archiwum KGB.

Czego w starciach polemicznych boją się atakowani politycy, autorzy publikacji lub wypowiedzi? Celnego, dowcipnego sztychu riposty. Poczucie humoru jest bronią straszną. (...)

Ludy azjatyckie pozbawione są na ogół poczucia humoru, a jeśli je mają, to bardzo rzadko robią z niego użytek. W Indiach nie opowiada się dowcipów. Czasami rysuje się je w formie karykatury. Ale w towarzyskich rozmowach nie istnieje coś takiego jak „kawał”. A jeśli już ktoś stara się opowiedzieć Azjacie coś śmiesznego, będzie to musiał potem wytłumaczyć.

Podręczniki mówią co innego niż tradycja francuska i zestresowany, egzaminowany *ambassador designate*. W *Brewiarzu dyplomatycznym* jezuita Gracjana¹ wśród maksym znajdziemy „humor”, lecz jako „zły humor”, którego nie należy okazywać. Maksyma „nie bądź nudny” nie mówi „bądź dowcipny”, lecz raczej „bądź interesujący”. Na trzysta maksym ani jedna nie dotyczy poczucia humoru. Dwie mówią o żartownisiach: „Kto wciąż żartuje, nie może być traktowany poważnie. Uważa się takich ludzi za kłamców, boć jednym i drugim nie można wierzyć; drwiny równie są podejrzane jak kłamstwo (...) Chcąc zdobyć miano dowcipnego światowca, traci się opinię człowieka myślącego”.

Podobnie myśleli anonimowi autorzy podręcznika etykiety z 1886 opublikowanego w Melbourne². W rozdziale o konwersacji znajduje się akapit zatytułowany *Satyra i kpina*: „Młody człowiek wygląda śmiesznie, kiedy dowcipkuje lub kpi sobie z książek, ludzi czy rzeczy”. A więc nawet rzeczy wykipiwać nie wolno! „Opinie warte uwagi innych powinny mieć tę zaletę, że pochodzą od starszych. Wychowani ludzie nie mają zwyczaju sięgania po taką broń jak satyra czy drwina. Uważają, iż byłoby to zbyt wiele, gdyby niwelowali w sobie pobłażliwość dla grubiaństwa w postaci krytykowania innych”. Wstęp do *Etykiety* podkreśla, że poradnik pomysłany został dla osób, które mają zwyczaj obracać się w towarzystwie męsko-damskim, co by oznaczało, że w kompanii jednopłciowej można sobie pozwolić na więcej. (...)

Gracjan jako jezuita musiał być pilnym czytelnikiem Biblii, gdzie wprawdzie o humorze i dowcipie nie ma w księgach świętych ani słowa, ale jest sporo złego o śmiechu. W *Księdze Koheleta* czyli *Eklezjasta* zachynającej się od słów „marność nad marnościami...

¹ Baltazar Gracjan, *Brewiarz dyplomatyczny*, PAX, Warszawa 2004, s.108-109.

² *Etiquette. Rules & Usages of the Best Society* People's Publishing Company Melbourne 1886, reprint 1995 s. 96.

wszystko jest marnością”, znajdujemy kilka zdań, po których nam nie do śmiechu:

Powiedziałem sobie

*„niechże doświadczę radości
i zażyję szczęścia!”.*

Lecz i to jest marność.

O śmiechu powiedziałem: „szaleństwo!”.

A o radości: „cóż ona daje?”.

W następnym rozdziale, trzecim, Kohelet, syn króla Dawida, przeciwstawia śmiech płaczowi, sytuując radość po tej stronie, gdzie jest i umieranie, i wyrwanie, i leczenie, budowanie i czas śmiechu. Koheleta nie znamy zbyt dobrze, ale jego myśli tak: „Wszystko idzie do jednego miejsca. Powstało wszystko z prochu i wszystko do prochu znów wraca”. „Lepszy jest smutek niż śmiech (...) serce głupców (jest) w domu wesela”³.

Nie podzielajmy tych uwag, choć są mądre.

Talmud milczy o śmiechu, ale śmiech potrafi obudzić. Wpaja zasady moralności, ceniąc je bardziej od ścisłej litery prawa. „Ten, który sobie wmawia, iż wykonuje coś dobrego trzymając się ścisłej litery zakonu, wówczas kiedy uczucie ludzkości powinno by go popychać do jego zaniechania, ten nie jest miłym ani Bogu ani ludziom”. *Księga praw* pozwala zatem obchodzić prawo i tak to wyjaśnia: „Kogo można nazwać »nabożnym głupcem«? Tego na przykład, co widzi kobietę tonącą w rzece i powiada sobie: nie mogę jej ratować, bo bym musiał jednocześnie w nieprzyzwoity sposób na nią patrzeć”⁴. Ale jeśli tak, to czy *Księga praw* nie była pisana przez nabożnych głupców, skoro dopiero w komentarzu do niej zezwala się na postępowanie nieśmieszne?

Gdzie indziej Talmud odsyła nas na Wschód. „Człowiek Wschodu ma szczególną, sobie właściwą organizację umysłu. Jego skłonność do słówek dowcipnych i głębokomyślnych, do historii i powieści, jego pociąg do parabol i przypowieści nie opuszcza go nawet przy najpoważniejszych badaniach”⁵.

Zostaniemy na Wschodzie, bo tam jest to pisać. Indyjska szkoła to Mahabharata oraz Kautiliya czyli *Arthaśastra* (*Sztuka dobrobytu, Gospodarowanie i rządzenie, Dyscyplina materialnej pomysłowości*). I nałożona na szkołę starożytną pochodną dyplomacji angielskiej. Czyli Vedy plus brytyjska biurokracja oraz ceremoniał Wschodu. Chińska – to interesy Państwa Środka, wobec którego wszystko – niebo i ziemia jest służebne, oraz logika paradoksalna Lao Tsy, *Sztuka wojny* Sun Tzu i Sun Pin i Konfucjusz. Także – niestety – Mao. Japońska to chińszczyzna, która przeniknęła przez Koreę. I izraelska, czyli uniwersalna, będąca mieszaniną wszelkich szkół (w tym marokańskiej, polskiej, rosyjskiej, a nawet koptyjskiej) mądrość żydowska. Jeśli Izrael, którego drużyny sportowe uczestniczą w Mistrzostwach Europy, leży na Wschodzie. Tylko Żydzi posługują się w dyplomacji humorem. Wszystko inne na Wschodzie jest nadęte, pompacyjne i patetyczne (tu uznajmy także angielskie znaczenie słowa *pathetic*). Jeden jedyny hierarcha duchowny Wschodu, XIV Dalajlama z radością demonstruje poczucie humoru⁷.

³ Biblia, op.cit. s. 843.

⁴ Talmud. Przełożył i objaśnieniami uzupełnił Izaak Kramstuck, w Drukarni Gazety Polskiej, Warszawa 1867, s. 51, reprint WAI F

⁵ Talmud op.cit.s.63-4.

⁶ Amartya Sen, *The Argumentative Indian. Writings on Indian Culture, History and Identity*. Penguin, Delhi 2005, s.25.

⁷ Tu odwołanie do historii z R. Gerem

Artur Przybysławski⁸ próbuje objaśnić istotę buddyjskiego poczucia humoru: „XVI Karmapa Rangdzung Rigpi Dordze i Dilgo Khyentse Rinpocze, dwaj najwięksi mistrzowie buddyzmu tybetańskiego w XX wieku pili sobie ponoć pewnego razu w ogrodzie herbatę i podczas rozmowy zaśmiewali się do łez. Na pytanie, z czego tak się śmieją, jeden z nich, wskazując drzewo, odpowiedział: Bo wiesz, oni wszyscy myślą, że to jest drzewo!. Po czym znów wybuchnęli śmiechem.

Oczywiście, nie sposób się nie śmiać, bo śmiech oświeconych mistrzów jest zaraźliwy, ale niekoniecznie musi temu towarzyszyć pełne zrozumienie... Buddyjska filozofia zmieniona przez medytację w żywe doświadczenie staje się najlepszym powodem do radości...filozofia zazwyczaj broniła się przed radością i śmiechem, przedkładając ponad nie powagę. Pierwsza zasada filozofii to sprawa wielkiej powagi, jak przekonywał patetycznie młody Schelling. W filozofii było więc zawsze miejsce na przerażenie, bojaźń i drżenie, i tym podobne spekulacyjne stany umysłu, ale tylko jednego filozofa w Europie nazywano »Śmiejącym się«. Był nim Demokryt, który może właśnie ze swych dalekich podróży do Indii przywiózł tę rozweselającą go hipotezę atomizmu, znaną już wtedy ówczesnej tradycji wedyjskiej i buddyjskiej. W XX wieku podjęto jeszcze dwie próby (poważne rzecz jasna) wprowadzenia śmiechu do filozofii. Pierwszej dokonał Henri Bergson, który napisał książkę zatytułowaną »Śmiech« – nie ma w niej ani jednego dowcipu, drugą podjął Helmut Plessner, który z kolei napisał książkę pod tytułem »Śmiech i płacz«, a więc, jak widać, zepsuł wszystko już na samym początku”. (...)

W klasycznym podręczniku Satowa (*Guide to Diplomatic Practice* pod red. lorda Gore-Booth) nie ma słowa „humor”. Nadto ani słowa o gafach i anegdotach. Może dlatego, że w depechach i clarisach nie ma czegoś takiego. Natomiast one same mogą być przedmiotem opowieści, które budzą śmiech. (...)

Satow radził w latach 1920:

Kandydat na dyplomatę powinien być dobrze wykształconym gentlemanem, którego kwalifikacji nie da się określić za pomocą egzaminu. Inteligencja błyskotliwego geniusza nie jest potrzebna. Znajomość geografii kraju urzędowania przed objęciem stanowiska nie jest niezbędna. Znajomość prawa – i owszem, jeśli wiadomo, że ministrem spraw zagranicznych zostanie tam prawnik. Ważne są własne dochody i środki, zwłaszcza na niższych szczeblach. Lecz im wyższy stopień dyplomatyczny, tym większa ich będzie pożądana ilość.

(U nas za PRL uczyli, że żona ambasadora nie powinna kraść w supermarkecie).

W XVI wieku wymogi były surowsze. Ottaviano Maggi w *De Legato* (1596) żąda od kandydata na ambasadora znajomości: teologii, filozofii greckiej, matematyki, architektury, fizyki, prawa, muzyki, poezji, sztuki wojskowej, greki, łaciny, francuskiego, niemieckiego, hiszpańskiego i tureckiego. Kandydat powinien pochodzić z arystokracji i być człowiekiem zamożnym i przystojnym. Z kryteriami Satowa zgadza się tu tylko zamożność.

Harold Nicolson w swojej *Diplomacy* wymaga uczciwości, precyzji, spokoju i skromności. A więc cech charakteru, a nie umysłu. (...)

⁸ Artur Przybysławski, *Pustka jest radością czyli filozofia buddyjska z przymrużeniem (trzeciego) oka*, Iskry, Warszawa 2010, s. 7-8.

Dowcip używany w dyplomacji musi być „grzeczny”. Co to znaczy „grzeczność”? Termin pochodzi od *k rzeczy*⁹ i znaczy coś odpowiedniego, stosownego. Nie może powodować zadrażnień. O tym decyduje etykieta, czyli zbiór norm zachowania. Konfucjusz uczył polityki unikania kłopotów. To trochę szerszy zakres, bo dyplomacja jest służebną wobec polityki. (...)

Z umiarkowanym powodzeniem próbował definiować humor Longin Pastusiak w *Humorze i polityce*, gdzie pomieścił pyszne anegdoty.

Do historii przechodzą jednak nie dowcipy, a banały. Na przykład zdanie z przemówienia inauguracyjnego Kennedy’ego „ask not, what your country can do for you, ask, what can you do for your country”. Powtórzył to w Polsce premier Leszek Miller uważając, że nikt nie wie, skąd ta „myśl” pochodzi. (...)

Drugi prezydent Stanów Zjednoczonych, John Adams, człowiek złośliwy, lecz pozbawiony poczucia humoru, co czyni złośliwość przywarą nie do zniesienia, był jak Gracjan wiernym czytelnikiem Biblii. Raz tylko udał mu się przytyk na temat Benjamina Franklina: „wielki geniusz, wielki dowcipniś i humorysta oraz wielki polityk. Nie był on jednak wielkim filozofem, wielkim moralistą i wielkim mężem stanu”.¹⁰ Adams nawiasem mówiąc też nie był i do tego „nie” wpisać też trzeba trzech pozostałych panów, którymi Franklin był.

Natomiast Harry Truman powiedział w roku 1955 w trzy lata po zakończeniu prezydentury: „Każdy, kto byłby na moim stanowisku, a nie miał poczucia humoru, długo nie pozostałby w Białym Domu”.¹¹ Truman nawiasem mówiąc poczucia humoru nie miał za grosz. (...)

Nixon był ponurakiem. O Kennedym mówił językiem dorożkarza. Jedyne dowcipy, jakie lubił, zaprawione były zapaszkami antysemityzmu. Przegrał z Kennedym mniejszością szesnastu setnych procenta, a wygrał z Humphreym siedmioma dziesiątymi procenta. Inna rzecz, iż to nic nie znaczy, bo prezydenta wybiera kolegium elektorskie. Kiedy zapytałem w Delhi ambasadora USA, Richarda Celeste, wcześniej dwukrotnego gubernatora stanu Ohio, kto będzie rządził w Białym Domu, Dick odrzekł: wybory wygra Al Gore, ale prezydentem będzie Bush.

Gafy Nixona to przysłowiowa kopalnia bzdur. Na pogrzebie prezydenta Pompidou powiedział: „To wielki dzień dla Francji”. Po jeździe samochodem z Breźnievem, kiedy ten szalał za kierownicą w Camp David, Nixon napisał w notatkach do swoich pamiętników: „Dyplomacja jest trudną sztuką”. Podczas wizyty w Izraelu tuż po powierzeniu stanowiska sekretarza stanu Kissingerowi, powiedział Goldzie Meir: „teraz obydwą nasze kraje mają Żydów na stanowiskach szefów dyplomacji”. – Tak – odparła pani premier. – Z tym, że mój dobrze mówi po angielsku. Otóż temu ministrowi, mówiącemu z ciężkim akcentem niemieckim, przypisuje się prawo Kissingera: prawdopodobieństwo, że chleb spadnie na dywan stroną posmarowaną masłem jest tym większe, im droższy jest dywan. Według mieszkańców Chelma, przysłowiowej stolicy głupoty żydowskiej – jeśli spadnie stroną nieposmarowaną, to znaczy, że kromka została posmarowana po niewłaściwej stronie.

⁹ Alicja Nagórko, *Grzeczność nasza i wasza w: Grzeczność nasza i obca* pod redakcją Małgorzaty Marcjanik, Trio, Warszawa 2005, s.72.

¹⁰ Longin Pastusiak, *Polityka i humor*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2011, s. 45.

¹¹ Ibidem. s. 248.

Watergate to nie było pierwsze włamanie Nixona. Na studiach włamał się do gabinetu dziekana. Został przyłapany i ukarany. „Albo wierzycie mnie, albo wierzycie faktom”, powiedział po ujawnieniu afery. Ale to Gerald Ford powiedział: „Gdyby Lincoln dziś żył, przewróciłby się w grobie”. Grób za sprawą Szekspira jest bohaterem wielu anegdot w dziedzinach równie ważnych co polityka. Po jednej z premier szekspirowskich w Teatrze Narodowym Jan Kott napisał: „Żeby rozstrzygnąć wreszcie, kto pisał utwory Szekspira – Webster, Marlowe czy on sam, należałoby po premierze w Narodowym stworzyć mogiły wszystkich trzech i sprawdzić, który z nich się przewrócił”. To też jest temat wędrujący. I bardzo dobrze, jeśli prezydent potrafi opowiedzieć anegdotę. Niestety, nie zdarza się to zbyt często, a jeśli się zdarzy, trzeba się śmiać udając, że jej nie znaleźliśmy.

Wielkim poczuciem humoru odznaczał się John F. Kennedy. Gdyby nazwano kogoś filozofem, antropologiem, bibliofilem, klasycystą, socjologiem, historykiem, geografem, etnologiem, numizmatykiem, lingwistą, archeologiem, politologiem, muzykiem, pisarzem, dyplomatą, poliglotą, dramaturgiem, śpiewnikiem, i nie byłby to Józef Ignacy Kraszewski, to mógłby to być tylko Thomas Jefferson. Prezydent Kennedy zaprosił kiedyś do Białego Domu wszystkich żyjących amerykańskich laureatów Nagrody Nobla i na powitanie powiedział, że to największe zgromadzenie talentów w Białym Domu od czasu, kiedy Jefferson jadał w samotności kolacje¹².

Bill Clinton wszedł po raz pierwszy do gabinetu w Białym Domu i znalazł tam kartkę pozostawioną przez swego poprzednika George’a Busha seniora: „Bill pamiętaj: trzeba raz dziennie podlewać kwiaty w doniczkach, dwa razy dziennie wyprowadzać pieska i trzy razy dziennie bombardować Irak”.

Longin Pastusiak przytacza też anegdotę o dowcipującym Carterze. W czasie wizyty w Japonii wplótł do przemówienia bardzo rozwlekły dowcip. Tłumacz wypowiedział jedno zdanie i słuchacze wybuchnęli śmiechem. Carter pytał potem tłumacza, jak długą historię można zmieścić w jednym zdaniu. Na co tłumacz: powiedziałem po prostu, że prezydent opowiada teraz bardzo śmieszny dowcip. Proszę się śmiać!

Japonia nie sprzyjała wizytom amerykańskich prezydentów. Ambasador zmęczył Busha na korcie w Tokio. A wieczorem było przyjęcie u cesarza, na którym Bush poczuł się słabo. Wobec tego położył głowę na sztuczkowych spodniach monarchy i ozdobił je treścią żołądkową. W Warszawie ten sam Bush po joggingu w Łazienkach dowiedział się, że przed rozmową z Wojciechem Jaruzelskim ma jeszcze wizytę u farmera pod Radomiem. – Jakiego farmera? – dziwił się Bush. – *Fuck the farmer*. (...)

Humory mieszają się ze sobą, jak płyny, którymi były w starej medycynie. Dlatego dowcipy, czasem te same, występują i tu i tam jako tematy wędrujące. Na przykład koń Katyała. Mówi się o nim w rozdziale o duszach zwierząt. Tutaj może go zastąpić pies z mądrości żydowskich. Dziedzic kazał Żydowi nauczyć psa czytać i pisać, i dał mu na to pięć lat. Żyd się zgodził. Żona załamała ręce. Jakże ty nauczysz psa czytać? Uspokój się, przeży pięć lat dziedzic umrze albo pies. Weźmy na przykład psa Putramenta. Ten

¹² Pastusiak, op.cit.

zwierz jest mniej znany od konia Katyala. Putrament będąc tuż po wojnie ambasadorem w Paryżu, dostał dyspozycję, żeby urządzić przyjęcie, na które przysyłała z Warszawy ciężarówkę wódki. Resztę miał sobie zorganizować sam. We Francji po wojnie były trudności z zaopatrzeniem, choć nie takie, jak w Polsce. Intendent znalazł mu gdzieś pasztety gęsie z demobilu. Na wszelki wypadek dali psu ambasadora kilka puszek. Dalmatyńczyk zjadł, oblizał się, pomachał ogonem i pobiegł do ogrodu. Następnego dnia czuł się wyśmienicie. Zatem można zapraszać na przyjęcie. Smakosz z całego Paryża dowiedziawszy się o pasztetach i polskiej wódce hurmem rzucili się na zaproszenia. W ambasadzie zjawily się tłumy. I kiedy nastrój podgrzany rzadko smakowaną w Paryżu wódką przypominał gościom dobre przedwojenne bale, intendent podszedł do ambasadora i szepnął przerażony: „Ekscelencjo, pies... nie żyje”. Karetki pogotowia na sygnałach, płukanie żołądków na miejscu, taka była puenta tego wieczora. I wtedy intendent coś sobie przypomniał i dodał: „bo go ten czerwony volkswagen przejechał”.

Tematem wędrującym, poza psem Putramenta i grobem, jest także lis. Giulio Andreotti powiedział (o sobie?): „każdy lis zawiśnie kiedyś na wieszaku u kuśnierza”.

A teraz Reagan, którego prezydentura była jedną wielką, dwukadencyjną anegdotą. Aktorzy nie byli prezydentami. Pastorzy tak. Krawcy – owszem. Truman uważał, że najlepszą szkołą prezydentury jest rolnictwo, bank i wojsko. Na jednym z inauguracyjnych przyjęć Reagana w Sheratonie wstęp do toalety był za zaproszeniami. On sam stał na sukni pani Mitterrand i jako 73-letni mężczyzna deklarował gotowość oddania życia za swój kraj. Na audyencji u Jana Pawła II zasnął, co pokazała TV. Nawiasem mówiąc papież nie są znani z poczucia humoru. Jedynie Jan XXIII pojawia się w tym kontekście jako autor słów będących odpowiedzią na pytanie „ile osób pracuje w Watykanie?” – „Co druga” miał odpowiedzieć. Przypisuje się je zresztą także innym osobistościom, co jest skutkiem braku pamięci u osób, które posługują się anegdotami nie będąc pewnymi ich pochodzenia. Uważają, że nic nie szkodzi, jeśli zamiast kogoś wielkiego wstawi się do opowieści kogoś innego wielkiego. Przecież i jednemu, i drugiemu mogło się zdarzyć to, o czym mowa, choć na prawdę zdarza się tylko jednej osobie.

W Białym Domu swawolono najbardziej za prezydentury Kennedy’ego, kiedy pod nieobecność Jacqueline pływały w basenie nagie dziewczyny. Truman urządzał sesje pokera w gabinecie, który za Clintona nazwano Oralnym. Ale grał też na fortepianie. Lubił *Menueta* Paderewskiego. A Clinton zatrudnił na etacie szklarza. (...)

Pisarze

Czesław Miłosz¹³ trafił do dyplomacji tuż po wojnie. Zanim do tego doszło, radził się Putramenta. Usłyszał: „Chcesz, no to dobrze. Ale pamiętaj, że podpisujesz diabelski cyrograf. Rozumiesz? Diabelski cyrograf”¹⁴.

Niezbyt mu się podobało to, co musiał robić, a protokół trzyma za gardło. Nie w smak mu było i to, że reprezentował kogoś, z kim identyfikował się coraz

mniej. W liście do Jerzego Andrzejewskiego napisał: „...okropnie zasrana to rzecz być attache”¹⁵.

Podobnie myślał noblista Octavio Paz, ambasador Meksyku w Indiach, który podał się do dymisji na znak protestu w związku z masakrą studentów na Placu Trzech Kultur, gdzie prezydent Luis Echeverria kazał rozstrzelać demonstrantów w roku i mieście olimpiady. Nie przeszkadzało to potem prezydentowi zostać członkiem Światowej Rady Pokoju, ciała sterowanego z Moskwy. A rok olimpijski to nie powód do potępiania prezydenta, bo baron de Coubertin przyjął od Hitlera łapówkę za decyzję o wybraniu Berlina na miasto olimpiady w 1936 r., co wykrył prof. Ludwik Stomma. Zresztą baron przyjął też od Hitlera meble do swojej willi.

Oto w jakim bagnie ambasadorowie muszą tkwić po uszy.

Ambasadorem Królestwa Jugosławii był późniejszy laureat Nagrody Nobla, wykwintny intelektualista, poliglota, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, Ivo Andrić. Gdyby reprezentował swój kraj w czasie rozpadu i musiał udawać, że wszystko jest w porządku, postąpiłby pewnie tak, jak jego meksykański kolega.

Zaraz po wojnie Przyboś został posłem polskim w Szwajcarii (1947-51), Putrament – posłem w Szwajcarii (1945-47) oraz ambasadorem we Francji (1947-51), Breza był radcą kulturalnym ambasady w Rzymie (1955-59), St. Jerzy Lec attache prasowym Misji Politycznej RP w Wiedniu (1946-50). Była to przerażająca Informacja Wojskowa. Kuśniewicz był konsulem we Francji (1946-50), Antonii Słonimski szefował Instytutowi Kultury Polskiej w Londynie. Starania w tym zakresie podejmował nawet Gombrowicz.¹⁶

Miłosz był attache w USA. „Co robi? Studentom Columbii tłumaczy »rewolucję kulturalną w Polsce i problemy literatury w demokracji ludowej«, na temat systemu edukacji rozmawia z byłymi amerykańskimi żołnierzami studiującymi w Massachusetts State College, pogadanki o Polsce wygłasza w klubie kobiet murzyńskich w Waszyngtonie i w zakładzie dla głuchoniemych (gdzie tłumaczono go na język migowy). Goszczącym w ambasadzie pastorem referuje dzieje protestantyzmu w Polsce »w formie lekkiej z wielką ilością anegdot historycznych i dowcipów« i tylko niestety nie sposób dociec, czy, a jeśli tak, to w jakiej roli wystąpił, gdy »na zaproszenie jednej z organizacji waszyngtońskich para pracowników Ambasady w strojach ludowych odtąńczyła publicznie narodowe tańce polskie«...”¹⁷

„...jako pilny urzędnik ambasady szukał wsparcia dla obwoźnej wystawy polskich tkanin i rękodzieła nawet u... Henry’ego Millera”¹⁸.

Największy sukces z czasów pracy w ambasadzie to powstanie na Uniwersytecie Columbia katedry literatury polskiej im. Adama Mickiewicza.

(...) w liście do Iwaszkiewicza umieścił odkrywczą formułę: „nie ma bardziej kretyńskiego nieróbstwa niż spędzanie dnia na telefonach i odpowiadaniu na listy”¹⁹.

„(...) W ogóle lubię pisanie raportów do MSZ, bo dają większą swobodę w przedstawianiu sytuacji”. Te

¹³ U Andrzeja Franaszka znajdujemy, że Julia Hartwig pracowała w ambasadzie polskiej we Francji, kiedy Miłosz był attache w USA! Jest tam też rozdz. *Biały wywiad*.

¹⁴ Cyt. za: *Podrózny świat. Rozmawiała Rneta Gorczyńska*, Kraków 2002.

¹⁵ Czesław Miłosz, *Zaraz po wojnie*, Kraków 1998, s. 52 (w liście do NJ do Jerzego Andrzejewskiego kwiecień 1946).

¹⁶ A. Franaszek, *Miłosz*. Biografia, Wydawnictwo ZNAK, Kraków 2011, s. 390

¹⁷ Ibidem, s. 411

¹⁸ Ibidem, s. 414

¹⁹ Ibidem, s. 420.

wysyłane do ministerstwa raporty niejednokrotnie wykraczały poza zreferowanie organizowanej przez ambasadę wystawy. Czasami poeta zajmował się także analizą sytuacji politycznej w Stanach lub nastrojów środowisk emigracyjnych, a jego działalność zbliżała się do tak zwanego białego wywiadu.²⁰ W 1949 roku wrócił do Polski. Szukał kogoś, kto pomógłby mu podjąć decyzję, co dalej – rozmawiał na ten temat z Albertem Einsteinem (sic!) – rozmowa niczego mu nie przyniosła.

W rozpaczy poeta zastanawiał się nad wyjazdem do The Hutterite Communities In Paraguay, do sekty religijnej wywodzącej się z Wrocławia lat dwudziestych (karczowanie dżungli, zasiew pól, hodowla bydła, wyrabianie cegieł). Na początku lutego 1950 roku ministerialna komisja zadecydowała: „Miłosz (...) człowiek całkowicie ideologicznie obcy”.²¹ Podobnie przepadł w ocenie (generała Grossa z MSZ) Witold Gombrowicz. Natalia Modzelewska – bojąc się, że poeta wpadnie w obłęd lub popełni samobójstwo – postanawia porozmawiać z mężem Zygmuntem (minister spraw zagranicznych), by wstawił się u Bieruta za Miłoszem i jego wyjazdem do Paryża.

Zwyczaj sięgania po pisarzy utrwalił się jako praktyka MSZ po przełomach. Żukrowski po 1956 został radcą w Indiach, Bryll za Wałęsy – ambasadorem w Irlandii. Centrala nie lubiła ich, bo umieli pisać. W depeszach pisarzy brakowało ulubionego w Warszawie bektotu o tym, że „nie możemy jeszcze z całą pewnością ustalić, co wypowiedź pana premiera (tu odp. nazwisko) raczyła znaczyć”. Jeśli nie możemy, to nie zwracamy głowy. Człowiek pióra pisze w takiej sytuacji: „uważam, że to jest dowód tromtadracji, która staje się wyrazem nieprzychylnego stosunku Londynu do Polski”. Jeszcze bardziej zgrzytano w Centrali zębami, kiedy w latach 90. kolejna fala ludzi pióra objęła stanowiska dyplomatyczne, bo ci już w ogóle się nie krępowali, jak to dziennikarze: Dzewanowski, Adamiecki, Kozłowski, Passent, Strzemiecki, Bajer oraz piszący te słowa.

Tu przerwę przypominając sobie radę, jakiej udzielił mi Stefan Meller (minister spraw zagranicznych): – Nigdy nie pisz pamiętników, bo wyjdzie z nich, że twój poprzednik był kretynem, a następca idiotą. Dlatego we Francji nie wolno ambasadorom pisać pamiętników. A Andrzej Olechowski (minister spraw zagranicznych) dodał: – Nie konfliktuj się z Gmachem. (...)

Wizyty

Czerwiec to najgorszy miesiąc na wizyty w Indiach. Choć wiadomo to od lat, prezydent Lech Wałęsa składał wizytę właśnie w czerwcu. Nie udało się wynegocjować chłodniejszego terminu. Jeśli wizyta przebiega źle, ambasador może się spodziewać „uruchomienia procedur”, czyli odwołania. Wizyta polityka polskiego w Indiach oraz indyjskiego w Polsce powinna skutkować „procedurami” automatycznie. Utarło się tak, że kto składa wizytę, ten upada, bo albo przegrywa wybory, albo umiera. Premier Nehru składał wizytę Józefowi Cyrankiewiczowi. Dziekan korpusu dyplomatycznego, ambasador ZSRR komentując strój premiera, zwłaszcza jego oficjalne, białe, obcisłe porteczki, powiedział

basowym szeptem: „Priletiał w kaliesonach sztabo podczeknut intymny charakter odnoszenia”. W wyniku tej wizyty do Delhi pojechali – ekonomista Oskar Lange, reporter znany z opisu Nowej Huty Ryszard Kapuściński, pierwszy korespondent PAP, Ryszard Frelek oraz motocykl SHL jako prototyp licencyjny i Ursus C 325 także. Ale Nehru nie dożył końca kadencji. Indira Gandhi była w Warszawie, po czym przegrała wybory. Wojciech Jaruzelski był w Indiach jako premier. Dowiedział się, że Polska tam szpieguje. Wkrótce został prezydentem, a potem odszedł z polityki. Gierek był w Indiach i upadł. Wałęsa był w Indiach i przegrał wybory. Kwaśniewski był w Indiach i odszedł. Rajiv Gandhi był zapraszany wielokrotnie – zginął w zamachu. Premier Inder Kumar Gujral bardzo chciał przyjechać do Warszawy. W Polsce szalała powódź, nie miał się kto nim zająć. Prymas Alain de Lastic pojechał do Częstochowy i zginął w wypadku drogowym. Jakieś fatum. Jedyny, który się trzyma, to premier Tusk. Trzymał się także papież Jan Paweł II. Był w Indiach dwa razy i się nie dał.

Wizyta na najwyższym szczeblu to urwanie głowy, zwłaszcza wtedy, kiedy dostoyny gość raczy przybyć tupolewem 154m. To bardzo dobra maszyna, jeśli leci z bombami, bo takie jest jej główne przeznaczenie. To najszybszy bombowiec świata. I najładniejszy – sylwetkę rzeczywiście ma przepiękną. Ale jako samolot pasażerski to katastrofa. Nie pasują do niego żadne rękawy ani schodki, a paliwo trzeba zamawiać specjalnie, bo nie każde się nadaje. Wymaga za każdym razem międzylądowania i uzupełniania baków. Kiedy leciał z prezydentem Kwaśniewskim z Delhi do Madrasu, znalazł się nad lotniskiem o godzinę za wcześnie, pani gubernator Tamilnadu nie zdążyła z powitaniem. Kiedy odlatywał – silniki rzuciły przy starcie czerwonym dywanem i powaliły cały sznureczek pracowników ambasady, którzy żegnali prezydenta. Ale w nagrodę poczuliśmy wtedy najpiękniejszy zapach, z jakim ambasada ma do czynienia – woń spalin z silników samolotu, którym wraca do kraju delegacja oficjalna po zakończeniu wizyty.

Delhi jest stolicą, gdzie zapach ten czuje się co tydzień, bo bez przerwy ktoś tam przyjeżdża, choć nie zawsze tupolewem. Im niższa ranga delegacji, tym gorszy samolot i gorsza atmosfera wizyty. Prezydent i premier zachowują się zawsze taktownie i przyjaźnie. Wicedyrektor departamentu to koszmar. Jest nadęty, bez przerwy niezadowolony, a często pijany szkocką whisky i to musi być co najmniej black label z baru ambasadora. Jego żona bez przerwy rozkapryszona, bo zakupy nie takie, zwłaszcza wtedy, kiedy sukienka leży na niej jak na świni siodło. Wystarczy jednak, że wyjedzie z kwaśną miną, jak na jego miejsce już przyjeżdża następny bęcwał.

Kiedy napisałem komentarz o wizycie premiera Tuska, zresztą w czerwcu, tekst z internetowej „Polityki” przedrukowało 800 dzienników indyjskich. Nie tak wiele, zważywszy, że jest ich w sumie 2600. (...)

Pamiętniki

Cóż to mówił minister Meller? Żeby nie pisać? To we Francji. I w Polsce, bo dyplomacja polska rodowód wywodzi z „zaboru francuskiego”. Tymczasem Anglia, która zabroniła dyplomatom poczucia humoru, wydała także ambasadora Johna Ure, który zgromadził w książce *Diplomatic Bag* swoją kolekcję anegdot,

²⁰ Ibidem, s. 421. Podkreślano jego szczerść, co przyniosło Miłoszuwi dobrą opinię w Warszawie, gdzie był ceniony jako dostarczący rzetelnych informacji – raporty na podstawie lektur „New York Timesa”, „New York Herald Tribune” i „Time’a”.

²¹ Ibidem, s. 445.

żadnymi zakazami się nie przejmując. Już na samym wstępie informuje *à propos* dyplomatów – pisarzy, że państwo-miasto Florencja wysyłało w misjach Dantego, Petrarke, Machiavellego i Boccaccia, więc Miłosz miał znamienitych poprzedników. Żaden z nich nie wyzywał swojej funkcji. W czasach Florencji i wcześniejszych dyplomata cieszył się netykalnością, żeby móc wrócić i przekazać odpowiedź króla, do którego posłował. Nie była to wszak funkcja pierwszej potrzeby. Królowa Wiktoria posłała na stałe tylko trzech ambasadorów: do Paryża, Konstantynopola (Stambułu raczej) i St. Petersburga. Dodała potem ambasady w Berlinie, Rzymie, Wiedniu, Madrycie i Waszyngtonie. Próbowana jeszcze ustanowić ambasadę w Pekinie, ale cesarz ją wyśmiał.

Przeskakując w dzisiejsze czasy ambasador Ure zwraca uwagę na różnice między raportem ambasadora i relacją korespondenta zagranicznego. Różnica jest większa, jak sądzę na podstawie własnego doświadczenia dziennikarskiego, niż ta, którą dostrzega dyplomata brytyjski. Twierdzi, że ambasador pisze jedynie o zagrożeniach dla interesów własnego rządu. (Ambasador mówi jak premier czy prezydent: „Mój rząd”! i nie jest to wcale śmieszne, jeśli przypomnieć, kogo on reprezentuje). Tak pisał Ure pełniący misję na Kubie, w Brazylii i Szwecji. Zagrożenia na Kubie mogły się wiązać z ekspansją sowiecką, którą przygotowywał w czasie II wojny światowej ówczesny ambasador Stalina w Hawanie, Andriej Gromyko, skądinąd sojusznik Ure’ego. W Brazylii zagrożeniem było poparcie dla Argentyny w sprawie Falklandów. W Szwecji zagrożenia dostrzec nie mógł nawet tak wyczulony dyplomata, jak Ure. Natomiast korespondenci – powiedzmy Reutersa – pisali z tych trzech krajów wszystko to, co mogło zainteresować czytelników, także takich, jak Ure. A więc z Hawany, opisując kolejne kroki radzieckie prowadzące do globalnego konfliktu jądrowego w roku 1962 mogli przywołać obecność w Hawanie końca XIX wieku 18-letniego Churchilla, który czekając na wojnę amerykańsko-hispańską uczył się palić cygara. W Brazylii interesujący był Czech z pochodzenia, prezydent Kubitschek. Dziś byłaby Bułgarka z pochodzenia, pani prezydent... w Szwecji. natomiast – naręczona króla, niemiecka stewardessa z Igrzysk Olimpijskich w Monachium w subtelny szkicu pisany piórem Szkota, który by dowodził, że Szwedzi to Niemcy podobnie jak Anglicy (królowa Wiktoria i dynastia hanowerska).

Depesze

Różnica między depeszą ambasadora a korespondenta zagranicznego sprowadza się do kwestii odbioru i jego zasięgu. Obydwa piszą to samo: co się stało, co ja o tym sądzę i co z tego dla nas wynika (i tu jest miejsce na ewentualne zagrożenia). Szyfrówkę ambasadora czyta jeden odbiorca, który ją potem rozpisuje – na ministrów, wywiady, urzędy centralne etc. A komentarz korespondenta ukazuje się w 300-tysięcznej wtedy „Polityce” i czytany jest przez milion ludzi. Skutki obydwu lektur? Jeśli nie jest to depesza o tym, że III wojna światowa wybuchnie 1 października przyszłego roku, trafia do segregatora, a potem na półkę, skąd woźna w teczce na szyfrowy zamek, przywiązanej kajdankami do przegubu, wyniesie ją do archiwum. A artykuł w „Polityce” trafi do archiwum elektronicznego, bo dziś nikt już nie robi wycinków. Czasem tylko

korespondencję przeczyta minister i porównując źródła informacji nie dopatry się depeszy ambasadora na ten – interesujący – temat niczego, co by świadczyło o tym, że dyplomata pracuje. I wtedy on pisze szyfrówkę do ambasadora z pytaniem „co?” (w tym czasie robicie? Byłeś na kortach czy w dyskotekę?).

Ure pisze jednak, że obydwaj mogą się wiele nauczyć od siebie. To prawda. Ambasador może się wiele dowiedzieć od korespondenta, choć nie wolno mu się do tego przyznać, a korespondent nie może się niczego dowiedzieć od ambasadora, bo ambasador niczego nie może mu powiedzieć. Pamiętam czasy z Delhi, kiedy pracowałem tam jako korespondent zagraniczny Polskiej Agencji Prasowej w Azji Południowej, a ambasadorem był Ryszard Fijałkowski. Spotykaliśmy się raz na tydzień w poniedziałek o 10:00. Ja opowiadałem, co się stało, co ja o tym sądzę i co z tego dla nas wynika. Jeśli nie było niczego interesującego, rozmawialiśmy o teatrze albo literaturze. Raz zdarzyło się, że powiedziałem mu przez telefon, iż właśnie przed chwilą zamordowano Indirę Gandhi. „Chyba zwariowałeś” – powiedział bez namysłu, ale zaraz się zreflektował. „Skąd wiesz?”²²

To „skąd” to też różnica między szyfrmem a korespondencją. Ambasador musi powiedzieć, skąd wie. Dlatego pisze „z rozmowy z panną N.N., kochanką premiera Tajlandii...”. Korespondent może powiedzieć „nic was to nie obchodzi. Wiem i basta, moja to sprawa, kto mi powiedział” – nawet jeśli byłaby to kochanka.

Faktem jest, że ambasador czy korespondent nieczęsto znajdują się na miejscu zdarzenia omawianego potem w tekście. Dyplomata bierze udział w konferencji, w której korespondent nie uczestniczy. Melchior Wańkowicz mówił: reporter musi umieć podsłuchiwać pod drzwiami. Za tymi drzwiami znajduje się ambasador. Dość często traci tam czas, ponieważ za drzwiami nic wielkiego się nie dzieje. Korespondent znajduje się pod drzwiami i podsłuchuje. Dość często traci czas i renomę człowieka dobrze wychowanego, ponieważ nudziarstwa zza drzwi nie nadają się na „hit”. Dlatego jeden i drugi musi mieć swoje własne źródła. Korespondent bywa źródłem sam dla siebie, ambasador też. „W rozmowie z prezydentem Chirakiem usłyszałem...”. Dziennikarz tę samą depeszę rozpocznie od razu od relacji na temat tego, co się stało i nie mówi, skąd wie, to sprawa jego i baru w Klubie Dziennikarzy czy jego i własnej pracowni.

Do jednej i drugiej pracy potrzeba żelaznego zdrowia. „Płyny symulacyjne” bardziej szkodzą mediom niż dyplomacji, ponieważ ambasador musi umieć sączyć drinki w sposób profesjonalny, a dziennikarz tego nie musi, łącząc przyjemne (dla siebie) z pożytecznym (dla czytelnika). Ambasador nie bywa na wojnie, chyba że jako mediator. Korespondent jest na pierwszej linii frontu. Dlatego reporterzy wojenni są uzależnieni od whisky, są rozwiedzeni i mieszkają samotnie. Natomiast ambasadorowie nie cierpią na żaden z tych skutków misji – nazwijmy je „syndromem” i zajmują się przygotowaniami, jako doradcy ministra, do objęcia kolejnej placówki.

KRZYSZTOF MROZIEWICZ

²² Patrz więcej: K. Mroziejewicz, *Ucieczka do Indii* Oficyna Wydawnicza Branta, Bydgoszcz-Warszawa 2009, s.145-160 oraz *Czas pluskiew* Sensacje XX wieku, Warszawa 2007 s.108-110.

ANDRZEJ LAM

W ONE LATA

Jak rósł w siłę IBL

Z perspektywy studenta polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego powstanie Instytutu Badań Literackich w 1948 roku łączyło się z ogólnopolskim ruchem kół polonistycznych, który okazał się dostatecznie silny, aby organizować coroczne zjazdy, odbijające się głośnym echem we wszystkich naukach humanistycznych¹. Każde z tych kół miało swoją sekcję metodologiczną, w nawiązaniu do przedwojennej tradycji koła warszawskiego zajmującą się przede wszystkim fenomenem szkół formalnych w okresie międzywojennym, w Rosji lat dwudziestych, w Czechosłowacji i w Polsce lat trzydziestych; czytano więc prace, często wobec trudnej ich dostępności powielane w wypisach, Borysa Eichenbauma, Wiktora Żyrmunskiego, Wiktora Winogradowa, Jana Mukaiowsky'ego, Manfreda Kridla, Franciszka Siedleckiego i innych. Stanowiło to dopełnienie ówczesnych studiów polonistycznych, które dając mocne podstawy filologiczne, metodologii badań literackich poświęcały niewiele miejsca. Na pierwszym i drugim roku studiów przyglądałem się starszym kolegom i może zauważyłem podziały na tych, którzy należeli do Związku Akademickiej Młodzieży Polskiej i na młodzież katolicką skupiającą się wokół „Tygodnika Powszechnego”, skoro na wspólną imprezę towarzyską napisałem kupon adresowany do prezesa Andrzeja Wasilewskiego:

Panie Prezesie, Panie Prezesie,
Czemu jak trzcina na wietrze pan gniew się?
Wprawdzie my wiemy: sekcje, odczyty,
Z Schaffa referat, no, wyśmienity,
Konkurs, recenzje, zjazd... i coś jeszcze,
Lecz wciąż dochodzą wieści złowieszcze:
Niejedno tylko polonistów Koło!!!
Dziś nam tu dobrze, dzisiaj wesoło,
Ale fakt jeden radość przesłania:
Kolega Schilder każe się kłaniać.
I większa jeszcze potrzebna skrucha:
Jak sprawa w Kole wygląda ducha?
To pięknie: sekcje, składki, czytelnia,
Lecz w s p ó l n a praca usamodzielnia!
Dziś nam tu dobrze, dzisiaj wesoło,
Lecz czas poszerzyć to Wasze Koło!
Prezecie! wyłączność z Koła wygoń,
Tak jak Ci radził profesor Pigoń!

Zarząd sekcji koła krakowskiego stanowili Ludwik Flaszyn, Jan Błoński, Jerzy Skórnicki, Andrzej Wasilewski, Olgierd Jędrzejczyk. Na wiosnę 1949 r. wobec przeniesienia się Wasilewskiego do Warszawy funkcją prezesa Koła Polonistów i Słowistów przypadła mi. Zachował się mój ówczesny list do Wasilewskiego: „Działalność swoją zacząłem nader chlubnie od... organizowania imprez o charakterze towarzysko-elitarno-burżuazyjnym... natomiast we środę 8 czerwca organizujemy imprezę o charakterze masowym w sali 16: odczyt Henryka Markiewicza *Marksistowska metoda badań literackich*... obiecał przyjść nawet Kleiner (będzie też oczywiście Wyka), który (nadzwyczajnie!) okazał mi dziś szczere zainteresowanie pracami Koła... Z ostatniej chwili: Pigoń zrezygnował z kurateli Koła. Kleiner czy Wyka – oto hamletowski problem. Nie drzyj – oczywiście Wyka – jutro pójdziemy do niego z Łempicką. Trzeba tylko będzie pożegnać godnie ojca-Pigonia”.

Sporo można z tej relacji odczytać. Czym jest marksizm w badaniach literackich, dowiadaliśmy się w Krakowie od Markiewicza, którego wystąpienia nie tylko naszego środowiska polonistycznego nie antagonizowały, ale przyjmowane były z zainteresowaniem przez wszystkich. Natomiast dopisek „nie drzyj” sygnalizuje coś istotnego. Kleiner dopiero co przeniósł się do Krakowa i zapisał się na jego seminarium. Uważałem, że Koło Polonistów powinno uczcić to wydarzenie, a że wypadało właśnie 40-lecie naukowego debiutu profesora, wszcześnie przygotowania. Zwróciłem się do Wasilewskiego, który pracował wtedy w „Po prostu”, aby zamieścił o tym kronikarską notatkę, i odpowiedź była jak kubek zimnej wody: „O jubileuszu Kleinera – darujcie – nic jednak nie napiszemy. Macie chyba fijoły w głowie. Nie pojmuję tych różnych »no bo pomimo wszystko...«”

Kuratorem został Kazimierz Wyka, współzałożyciel Instytutu Badań Literackich, i dalsze inicjatywy Koła z nim były konsultowane. Profesor sprzyjał temu, aby w różnych imprezach szkoleniowych, organizowanych przez Zarząd Główny Związku Akademickiej Młodzieży Polskiej pod patronatem Instytutu, brali też udział najzdolniejsi jego uczniowie. Ostateczne decyzje należały jednak do instancji politycznej. Od Zbigniewa Wasilewskiego, starszego brata Andrzeja, otrzymałem w październiku 1949 wiadomość, że za godnych udziału w „ogólnopolskim naukowym kursie marksistowskim dla polonistów” (poprzedzającym zjazd, który miał się odbyć

¹ Artykuł powstał z inspiracji prof. Zygmunta Ziątka, kierownika Pracowni Współczesnej Literatury i Komunikacji Społecznej Instytutu Badań Literackich PAN.

w grudniu w Warszawie) zostali uznani Henryk Markiewicz, Jan Błoński, Ludwik Flaszen, Marian Baran, Stefan Góra, Konstanty Puzyra, Andrzej Kijowski, Olgierd Jędrzejczyk, Cezary Leżeński, Jerzy Skórnicki, Tomasz Weiss, Aniela Łempicka, Feliks Fornalczyk, Aleksander Żyga. Tyle pamiętam, skład był zapewne obszerniejszy.

Przytaczam te nazwiska, aby dać pole wyobraźni. Poza autentyczną ciekawością odbieranego niepolitycznie marksizmu, o którym wiedziano dotychczas niewiele (może poza Markiewiczem i Flaszenem, od dzieciństwa czytającym zachłannie wszystko), przeważała dociekliwość, niepozabawiona przekory, ironii, humoru i upodobań parodystycznych, co rychło się okazało zwłaszcza w pisarstwie Flaszena. Różnorodne i barwne były też ich doświadczenia środowiskowe, inteligentnie wielkomięskie i małomiasteczkowe, ziemiańskie i szlacheckie, wiejsko-wiciowe, kresowe, zesłańcze, akowskie i powstańcze. Z ostrożności nie wszyscy wszystko o sobie mówili, ale przyjaźnie były szczere, a nudzić się w tym towarzystwie nie można było nawet podczas najbardziej zasadniczych wystąpień kursowych prelegentów.

Równie barwne były postacie z innych uniwersytetów. Studenci KUL-u nie zostali na kurs zaproszeni, ale na każdym zjeździe kół polonistycznych mieli reprezentację pod wodzą zawsze świetnie przygotowanego polemisty Stefana Sawickiego. Z Krakowa uczestniczyli w zjazdach Jacek Woźniakowski i Józefa Hennelowa. Od nich nikt nie oczekiwał zwrotu w stronę marksizmu, niepokojące było natomiast, że to, czego wyuczylimy się na sekcji metodologicznej o szkole formalnej, zastosowane w praktyce referatów, opatrywane było teraz etykietą „burżuazyjnego formalizmu”. Pojawił się rodzaj policji ideologicznej, czujnej na wszelkie odchylenia od ortodoksyjnej „metody socjologicznej”, i były to głównie głosy polonistów z Uniwersytetu Łódzkiego, którzy pozostawali pod silnym wpływem „Kuźnicy”, zwłaszcza jej redaktora, a niebawem związanych z Instytutem Badań Literackich, Tadeusza Drewnowskiego, Marii Janion i Marii Żmigrodzkiej. Daje do myślenia, że i oni mieli okupacyjną przeszłość niepodległościową. Kolejny raz się potwierdziło, że radykalizm bywa reakcją na gorycz klęski, rozczarowania i upokorzenia. Zwyciężał w nowej sytuacji ideowy dorobek przedwojennego warszawskiego Koła Polonistów i okupacyjnego PPR-owskiego nurtu Stefana Żółkiewskiego i Jana Kotta, którego słynne szkice *Mitologia i realizm* napisane zostały jeszcze podczas wojny.

Paradoksalnie, najbardziej nowatorski, co potwierdziło się już po paru latach, był na grudniowym zjeździe referat Błońskiego, Flaszena i Puzyry *Między buntem a ucieczką*, o Witkacym, Schulzu i Gombrowiczu, ale ten został przyjęty z chłodną rezerwą, nie o takich buntowników bowiem wówczas chodziło. Z najsilniejszym atakiem spotkał się referat o psychologizmie w prozie dwudziestolecia, którego autorzy: Jan Józef Lipski, Janusz Stradecki, Janusz Wilhelmi i Krzysztof Zarzecki, wywodzili się ze szkoły neopozytywistycznej i również mieli za sobą chlubną przeszłość wojenną. Mimo to zamieścił obok innych ten referat w „Twórczości” Wyka, a Stradecki został wkrótce pracownikiem Instytutu, dzięki swojej pasji dokumentacyjnej budującym jeden z jego mocnych i trwałych filarów. W Krakowie też nic nie stało na przeszkodzie, aby w pracowni bibliograficznej został zatrudniony Jerzy Kwiatkowski.

Z rekomendacji Zbigniewa Wasilewskiego zostałem kierownikiem kursu przygotowawczego i odtąd już przeżywałem, że siła tego nurtu wyrwie mnie z Krakowa. Nalegania stawały się coraz bardziej stanowcze i... kuszące. Andrzej chciał się uwolnić od redagowania działu kulturalnego w „Po prostu”, ale nakazano mu upatrzeć sobie następcę i jego wybór padł na mnie. Wiedział, że ambicje miałem większe niż praca w coraz drętwiej redagowanym tygodniku, pisał więc o innych możliwościach: „Przyjeżdżaj najpóźniej 1–2 września [1950]... Jak pewnie Zbyszek już pisał Ci – Żłk robi nadzieję, że w najbliższym przydziale (styczeń 1951) dostaniesz asystenturę (pewnie do Mayenowej)”. Zapewne wiedział już, że uzbrojony w wiedzę o stylistyce szkoły formalnej i funkcjonalnej napisałem polemikę z rozprawą mojego profesora Zenona Klemensiewicza *Składniowa interpretacja stylu* i że Mayenowa przyjęła ją do druku w „Pamiętniku Literackim”. Kiedy przyjechałem do Warszawy, do niej też najpierw się zgłosiłem. Rozmawialiśmy o innowacjach metaforycznych w najnowszej poezji polskiej, szczególnie u Woroszyńskiego, który przeszczepiał do niej poetykę Majakowskiego. Chodziło o współczesne modyfikacje przejętego z futuryzmu problemu relacji między człowiekiem a maszyną.

Nie pamiętam dokładnie, ale chyba właśnie podczas tej rozmowy spotkałem się z propozycją objęcia stanowiska sekretarza redakcji „Pamiętnika Literackiego”, do czego namawiał mnie też wszędobylski Zbigniew Wasilewski. Zapewne bym ją przyjął, gdyby nie zobowiązanie wobec jego brata Andrzeja. Do „Po prostu” nadsyłałem z kolejnych kursów i zjazdów sprawozdania, które Andrzej bez porozumienia doprawiał pożądanymi formułami, dopisując przynajmniej swoje nazwisko. Nie znaczy to, że ten sugestywny żargon, już raczej partyjny niż krytycznoliteracki, język zjazdowych rezolucji, nie pozostawił śladów także w tym, co sam pisałem. Potrzeba odnowienia polonistyki była ogromna, i nawet jeśli nie wszyscy pojmowali ją jednakowo, język nowomowy wcisnął się wszystkimi szczelinami.

Przystąpiłem do pracy w „Po prostu” z myślą o porzuceniu jej po roku. Poznałem wtedy bliżej Krzysztofa Teodora Toeplitza i Pawła Beylina, należących do kurczącego się inteligentnego skrzydła w zespole, który wyszedł ze stanu zamrożenia dopiero po paru latach. Nie miałem jeszcze ukończonych studiów, zapisałem się więc na seminarium magisterskie Stefana Żółkiewskiego. Składało się ono głównie z zapóźnionych studentów należących do pokolenia wojennego i z takimiż życiorysami. Wśród strojów nierzadkie były ucywilnione kurtki wojskowe i buty z cholewami, wyglądało to trochę jak zgrupowanie oddziału partyzanckiego. Słuchacze wypełniali tłumnie największą salę, czułem się wśród nich nieco zagubiony. Seminarium było rozdyktowane, pamiętam długie tyrady autora głośnej wtedy powieści *Węgieł* Aleksandra Ścibora-Rylskiego, którego rzeczywiste dylematy ujawniły się po latach w *Pierścieniu z końskiej włosia*. Podobni mu studenci szukali w nowej rzeczywistości oparcia, pomocnej ręki, i w Żółkiewskim widzieli radykalnego co prawda, ale rozumiejącego inteligenta z krwi i kości, on zaś pomocy nie odmawiał, okazując tę stronę swojego charakteru, która tak wyraźnie ujawniała się w późniejszych krytycznych momentach. Mnie zagarniało coraz silniej bieżące życie literackie, a ponieważ warunkiem przedłużenia asystentury był dyplom, skle-

cilem pospiesznie rozprawkę o nowszych tendencjach w teorii literatury. Termin naglił, i Żółkiewski, złożony grypą, zgodził się na egzamin magisterski w swoim mieszkaniu. Recenzentem był Jan Zygmunt Jakubowski, nowy kierownik Katedry. Przypadło mi prowadzenie zajęć z teorii literatury, poetyki i literatury staropolskiej, jako doktora przyjął mnie Kazimierz Budzyk i ustaliliśmy, że zajmę się *Zwierciadłem* Reja na tle literatury parenetycznej. Poza wstępny rozpoznaniem i paroma artykułami poświęconymi literaturze Odrodzenia nic z tego nie wyszło.

Środowiska polonistyczne Uniwersytetu Warszawskiego i Instytutu Badań Literackich stanowiły wtedy naczynia połączone. Spośród założycieli Instytutu wykładali na Uniwersytecie i prowadzili seminaria Żółkiewski, Maria Renata Mayenowa, Budzyk, Alodia Kawecka-Gryczowa, Jakubowski, Baculewski, Jadwiga Pietrusiewiczowa, wkrótce też Kott, którego seminarium zyskało szczególnie rozgłos, niemal jak seminarium Wyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Julian Krzyżanowski i Zdzisław Libera weszli w skład Rady Naukowej Instytutu. Wśród starszych studentów wciąż panował żal po śmierci Wacława Borowego, mistrza *artis poeticae*, którego w tej roli nikt nie mógł zastąpić. Przenosząc się do Warszawy, marzyłem o wyborze dwóch seminariów: Borowego i Żółkiewskiego, pociągały mnie na równi horyzonty marksizmu jak tajemnice poezji, których marksizm nie odślaniał. Tymczasem pozostało już tylko niedobre wspomnienie po Zjeździe Polonistów (tych dorosłych) z maja 1950, kiedy bardzo już chory profesor został w nieprzyjemny sposób oskarżony o burżuazyjny estetyzm i chyba też religianctwo w związku z rozprawą o Elżbiecie Drużbackiej. On, entuzjasta przekładów Boya!

Poza żalem pozostało uczucie wstydu, zwłaszcza że była to sprawa ogólniejsza. W sytuacji, kiedy wszystko miało swoje konsekwencje polityczne, ataki na „burżuazyjne literaturoznawstwo” z aktualizującymi odniesieniami osobowymi i groźnymi etykietami dotykały wybitnych polonistów, często cudem uratowanych z wojennej pożogi, zmuszonych do porzucenia macierzystych uczelni w Wilnie czy Lwowie, i z poświęceniem odbudowujących na poniemieckiej pustyni i na tłących się zgłiszczach uniwersyteckie laboratoria. Nawet kiedy niełatwo przychodziło im zapisanie się do szkoły marksistowskiej w ówczesnym wydaniu, kwalifikacje filologiczne i wartości poznawcze ich prac na różnych polach wiedzy o literaturze były niewątpliwe, tak samo jak umiejętności dydaktyczne, a stosunek do kolegów-marksistów na ogół pełen ciekawości, zrozumienia, czasem rzeczowej i utrzymanej w akademickich obyczajach polemiki. Rola Juliana Krzyżanowskiego w kształtowaniu zasad takiego współistnienia była wyraźna, ale i obecność niepokornej Marii Rzeuskiej w składzie Katedry zdawała się jego możliwość poświadczać. Na szczęście ów stan, kiedy pomieszanie argumentacji z sankcjami służbowymi zadało polonistyce ciężkie rany, trwał krótko i już po paru latach znów liczyła się na uniwersytetach i w Instytucie, dzięki Wyce, ale także Żółkiewskiemu, przede wszystkim kompetencja. Pozbawieni *veniae legendi* profesorowie nierzadko znajdowali tu oparcie i możliwość realizacji swoich zamierzeń.

Od razu zaprzyjaźniłem się, łatwo odnajdując wspólny galicyjski język, ze Stanisławem Frybesem, studentem tajnego Uniwersytetu Warszawskiego, asystentem Krzyżanowskiego. Bardzo mi pomógł oswoić się z no-

wym dla mnie otoczeniem. Osobne środowisko tworzyli studenci „na wylocie”, moi rówieśnicy lub nieco młodszy, uczestnicy zjazdów polonistycznych, którzy w większości stali się wkrótce pracownikami Instytutu Badań Literackich lub Katedry Literatury Polskiej, albo wyróżnili się w inny sposób. Spośród najzdolniejszych chyba tylko Andrzej Biernacki oparł się Związkowi Młodzieży Polskiej (akademicka sekcja utraciła już wtedy autonomię). Ze Zbigniewem Żabickim różniliśmy się w poglądach na rolę „Kuźnicy”, z Heleną Zaworską na istotę „rozrachunków inteligentnych”, ale jeszcze długo nie było to przeszkodą we wzajemnych sympatiach. Należeli do tego środowiska Alina Witkowska, Barbara Winklowa, Roman Loth, Hanna Kirchner, Jacek Trznadel, Henryk Bereza, Maria Szypowska, Kazimiera Żukowska, Danuta Kępczyńska, Witold Billip, Alicja Lisiecka. Rozległością zainteresowań imponował Ryszard Przybylski. Z Henrykiem napisaliśmy na kolejny zjazd referat o *Pamiętce z Celulozy*, z Jackiem spędziliśmy długie godziny nad antologią *Wiersze i krajobrazy*, z Marysią do dziś spotykamy się na koncertach organowych jej syna Jana. Nie bez dawnego sentymentu wręczałem po latach Barbarze, Romanowi, Hani, Marysi i Ryszardowi dyplom Warszawskiej Premiery Literackiej.

W 1952 roku dołączyli Janusz i Irena Maciejewscy, potem przeszli z Wyższej Szkoły Pedagogicznej Stanisław Makowski i Zbigniew Sudolski, z Instytutu Roman Taborski. Młodsze od nas pokolenie STS-u dopiero miało wzejść nad horyzont, ci jednak obrali w większości kariery pisarskie. Potem były roczniki Michała Głowińskiego, Janusza Sławińskiego i Teresy Pysznińskiej, niewiele młodszego Andrzeja Dobosza, potem Andrzeja Mencwela, Małgorzaty Szpakowskiej, Elżbiety Feliksiak, Andrzeja Wernera, Rogera Gomulickiego, Rafała Marszałka, Elżbiety Sarnowskiej, Małgorzaty Książek, Andrzeja Gronczewskiego. Na współpracę z tym środowiskiem liczyłem, obejmując redakcję „Współczesności”. Dobosz został Pustelnikiem z Krakowskiego Przedmieścia, Marszałek prowadził felieton filmowy, do grona stałych współpracowników doprosiłem Janka Błońskiego. Potem, w „Miesięczniku Literackim”, dział krytyki redagowali Maciejewski i Mencwel. Prawie wszystkich, niezależnie od wieku i rangi, włączanie z najstarszymi: Janem Józefem Lipskim i Januszem Szpotańskim łączyły więzi koleżeńskie, niektórzy z nas byli czynni w Klubie Krzywego Koła, a ostatnie grupowe spotkanie odbyło się w schronisku Samotnia koło Karpacza w 1963 roku.

Mimo że zwłaszcza po roku 1956 stawała się widoczna wzajemna niechęć Jana Zygmunta Jakubowskiego i Stefana Żółkiewskiego, nie umniejszało to ani wtedy, ani potem uczestnictwa pracowników obu warszawskich placówek polonistycznych, uniwersyteckiej i Polskiej Akademii Nauk, w ważnych dla całej polonistyki przedsięwzięciach, jak *Nowy Korbut*, *Obraz Literatury Polskiej XIX i XX wieku* czy przewodnik encyklopedyczny *Literatura polska*. Także w pracowniach Instytutu i jego Radzie Naukowej. Na Uniwersytecie katedrą teorii literatury kierował Budzyk, a po jego śmierci Mayenowa i Żółkiewski. Skąd ta niechęć się brała, i dziś niełatwo jest odpowiedzieć. Poza odmiennymi temperamentami chodziło, zdaje się, o język naukowej polonistyki, skoro pojawił się taki termin, jak „ibłowski żargon”. Za katastrofalne nowe podręczniki szkolne odpowiedzialność była wspólna, ale odchodzenie od tego języka odbywało się rozmaicie. Powstała sytuacja dość paradoksalna, do której opisu

nadałby się model *Ferdydurke*. Z jednej strony nadmier- nie naładowany świeżo i nieco chaotycznie przyswajaną terminologią nowszej humanistyki język Żółkiewskiego, z drugiej stroniący od „scjentyficzności” język nauczycielskiego wykładu Jakubowskiego, czerpiący inspirację z retoryki Chrzanowskiego, gęsto ozdabiany cytatami i zachowujący sporo zdrowego rozsądku w krytyce doktrynalnych uroszczeń. Poeta Józef Kurylak wspomina, jak Żółkiewski, przemierzając salę tam i z powrotem, objaśniał strukturalizm genetyczny Goldmanna czy realizm otwarty Garaudy’ego, a kiedy zauważył jakichś gadatliwych studentów, żartował: „jeżeli was to nudzi, idźcie do innego profesora, on tak pięknie wiersze cytuje”. Z kolei Jakubowski, również nie stroniąc od czytelnych adresów, lubił mawiać o polonistyce „naukawej”. Kryła się za tam- tą też inna różnica: postawa wyższości interpretującego badacza, jakby chirurga dokonującego sekcji utworu, przeciwstawiona postawie egzegety, który, wdzięczny pisarzowi za jego dzieło, stara się być pośrednikiem między nim a nieprofesjonalnym czytelnikiem. Ponieważ sama zasada tej opozycji była wątpliwa, więc i zwycięzcy być nie mogło, a w środowiskach polonistycznych wy- kształciły się z czasem nowe języki, które nie dawały już powodu do takich kontrowersji. Byli zresztą filologowie, których ten spór nie dotyczył, na Uniwersytecie Julian Krzyżanowski, Kazimierz Kumaniecki, Zofia Szmydtowa, Janina Kulczycka-Saloni, Maria Straszewska, spośród założycieli Instytutu Tadeusz Mikulski i Maciej Żurowski uprawiający nowoczesną filologię nieco na uboczu, i jeszcze wielu innych.

W tym środowisku powstał projekt „Przeglądu Huma- nistycznego”, nawiązujący do „Przeglądu Warszawskie- go” Wacława Borowego. Różnorodność polonistyki i jej nieskażony polityką warsztat odzyskiwały swoje prawa kosztem amatorskiego marksizmu. Także związani z In- stytutem Badań Literackich poloniści z przedwojennym stażem mogli nadal liczyć, jak zresztą i młodszy jego pra- cownicy, na warunki sprzyjające dalekosiężnej pracy na- ukowej. Czasem budziło to w środowiskach uniwersytec- kich żal z powodu niesprawiedliwego podziału funduszy albo niewspółmierności podstawowych obowiązków (kie- dy echa takich żalów dotarły do „Współczesności”, arbi- trem stał się na jej łamach Jerzy Ziomek), ale zwyciężało przekonanie o pożytku z prac powstających w Instytucie, zwłaszcza tych materiałowych, bibliograficznych i edytor- skich, dla całej polonistyki, której osiągnięcia rejestrował wydawany przez Instytut „Biuletyn Polonistyczny”. Mimo niestrudzenie zgłaszanych przez Juliusza W. Gomulic- kiego w „Roczniku Literackim” poprawek i uzupełnień, z powszechnym uznaniem spotykała się dokumentacja biografii i twórczości pisarzy i polonistów współczesnych w pracowni Jadwigi Czachowskiej. Rozszerzała się współpraca dydaktyczna, seminaria i wykłady prowadzi- li, obok Janusza Pelca, który zaczął je wcześniej, Stefan Treugutt i Zofia Stefanowska, w latach siedemdziesią- tych folklorystykę wykladał Ryszard Górski, zastępca dyrektora Instytutu. Na podstawie takich doświadczeń rodziły się postulaty, aby powszechną praktyką stała się zasada, że Instytut zachowuje rolę koordynującą i nakładową, a realizacja projektów badawczych odbywa się wspólnymi siłami, zależnie od konkurencyjności po- szczególnych ośrodków.

Ziemia zdrząła w roku 1968. Ujawniły się dwie stra- tegie, powtarzające klasyczne dylematy polskich bun-

tów: chronić substancję czy dawać otwarte świadectwo sprzeciwu. Obawy budziło już od paru lat narodowe, i coraz wyraźniej odwołujące się do antysemityzmu skrzy- dło PZPR, i odpowiedzią na to stała się manifestacyjna obrona *Dziadów*. Może byłam w mniejszości, ale jeśli się patrzyło trzeźwiej, to ani Mickiewicz nie był w tamtej Pol- sce zagrożony, ani „moczaryzm” nie miał szans na zwy- cięstwo, ani kształtująca się opozycja nie była jeszcze zdolna do rewindykacji niepodległościowych i ideowych w szerszym wymiarze. Przyznał to również *ex post* Jacek Kuroń w *Wierze i winie*. Choć zarzewie kontestacji nie dało się odtąd ugasić i miało skutki dalekosiężne, na ra- zie skończyły się wszystko, jak zwykle: stratami. *Veniam legendi* utracili Żółkiewski, Mayenowa, współorganizator strajku Janusz Maciejewski znalazł azyl w Instytucie, a jakie szkody poniósł kraj, nie trzeba przypominać. Sankcje nie były skutkiem waśni lokalnych, nadane zo- stały z góry, i podobnie działo się na innych uniwersyte- tach. Paradoksalnie, osłabiony wyszedł z tego Uniwersy- tet, wzmacniony Instytut.

Niezależnie od tego, jak rozkładała się odpowiedzial- ność, było przykro. Pozostało łagodzić skutki represji, także wobec strajkujących studentów. W 1971 roku zde- cydowały się odejść do Instytutu Aleksandra Okopień- -Sławińska i Teresa Kostkiewiczowa, ćwiczenia przestał prowadzić Janusz Sławiński. Stworzyło to trudną do wy- pełnienia lukę w nauczaniu poetyki. Po przejściowym okresie objąłem kierownictwo Zakładu Teorii Literatury i Poetyki, który trzeba było tworzyć od podstaw (z czę- ściową tylko kontynuacją osobową), przy udziale Eugeni- usza Czapplewicza, Ryszarda Handkego, Edwarda Kasperskiego, Bogdana Owczarka i Zbigniewa Osień- skiego.

Na relacje polonistyczne rzutowała atmosfera ogólna, stan obłączenia i podejrzliwości, który powstaje zawsze w klimacie grożących represji i ograniczeń. Wiadomo, że dobre obyczaje nakazują oszczędzanie tych, którzy są lub mogliby być narażeni na szykany, a po osłabieniu po- zycji Żółkiewskiego, uważanego w dalszym ciągu, niezale- żnie od pełnionych funkcji, za stratega, Instytut znalazł się bez parasola ochronnego. Z kolei etykietujące opi- nie o Jakubowskim (że „moczarowiec” itd.), który czynił przecież niemało starań, aby utrzymać standardy aka- demickie, rozciągano na całą uniwersytecką polonistykę. W podobny sposób nakładano etykiety polonistyce iblow- skiej. Merytoryczną krytykę trudno było uprawiać, kiedy pokłask zyskiwało ryczałtowe szeregowanie, i nikt, kto się do tego przyczynił, nie jest bez winy.

Z drugiej strony trudno było trzymać wszystkie myśli pod kloszem milczenia. Może nie tylko ja byłam przeko- nana, że mimo wszystko trzeba szukać przyczyn tego stanu rzeczy, i mówić nie językiem obelg, ale kon- kretów, skoro zdarzało się czytać tę czy inną pracę nie bez irytacji. Kiedy zwrócił się do mnie Zdzisław Libera z propozycją, aby na zebraniu Towarzystwa Literackie- go omówić aktualne spory metodologiczne, uczyniłem to na trzech przykładach: pojęciowego chaosu w projekcie Żółkiewskiego *Polska proza, poezja i dramata po wojnie*, niespójności schematu teoretycznego i rzeczywistości historycznoliterackiej w rozprawie Głowińskiego *Powieść i autorytet*, i ogólnikowości pojęcia „rozrachunków inteli- genckich”, które wymyślone kiedyś przez Wykę na użytek rozpoznania krytycznego, stało się w artykule Zaworskiej *Po upadku mitów inteligentkich* już tylko mechanicznie

powieloną hipostazą. Tytuł był drażniący, *Metodologia na niby*, i nietrudno było przewidzieć, że raczej sam się narażę na przykrości, niż wyrządę komukolwiek krzywdę, ale może dobrze się stało, że poza nie tak rzadkimi wtedy insynuacjami z za węgla pozostało jakieś świadectwo, o co w tamtych sporach i szeptach chodziło. Może też wątpliwe praktyki zostały po cichu zrewidowane. W każdym razie język prac polonistycznych począwszy od lat siedemdziesiątych już by takiego pamfletowego tonu nie uzasadniał.

Innym przykładem, jak spory metodologiczne ześlizgiwały się z toru dyskusji merytorycznych, są reakcje na krytyczne uwagi paru autorów o *Słowniku terminów literackich*, zamieszczone w „Przeglądzie Humanistycznym”. Dziś nie sposób powstrzymać się od refleksji, że przyniosły one więcej szkody niż pożytku, i w warunkach, kiedy niemal odruchowo były traktowane jako „próba sił”, zapewne lepiej ich było nie wszczynać. W istocie rzeczy zderzyły się dwie koncepcje: słownika terminów poetyki opisowej i słownika terminów naukowoliterackich, ujętych w przestrzeni historycznej, którego najlepszym znanym mi wzorem jest *Sachwörterbuch der Literatur* Gero von Wilperta. W niektórych zakresach wyrównały te różnice prowadzone w Instytucie studia z zakresu poetyki historycznej, wśród nich tak gruntowne, jak Elżbiety Sarnowskiej-Temeriusz, i słowniki poszczególnych epok literackich, redagowane m.in. przez Teresę Michałowską, Teresę Kostkiewiczową, Józefa Bachorza, Alinę Kowalczykową, Alinę Brodzką. Z czasem przybył opracowany przez zespół łódzki pod kierunkiem Grzegorza Gazdy *Słownik rodzajów i gatunków literackich*, będący końcowym rezultatem prac zainicjowanych przez Stefanę Skwarczyńską.

Były to harce turniejowe, zgodne z kodeksem i nie, ale nie wojna. Odejście w tym samym roku Kazimierza Wyki i Jana Zygmunta Jakubowskiego oznaczało niemal symboliczną zmianę pokoleniową. Po powołaniu na stanowisko dyrektora Instytutu Literatury Polskiej zaprosiłem polonistów z obu placówek na spotkanie poświęcone dydaktyce uniwersyteckiej i współpracy naukowej. Zaproponowałem, aby wszyscy mający takie predyspozycje pracownicy Instytutu zgłosili oferty dydaktyczne, a ich realizacja zależna była jedynie od elastycznie traktowanego programu studiów i od możliwości budżetowych obu placówek. Przewidziane zostały wymienne roczne staże asystentów i adiunktów. Był to już, zdaje się, koniec również tamtej wojny wirtualnej.

Od dawna zachęcałem mojego przyjaciela Jerzego Skórnickiego, wtedy dyrektora Wydawnictwa Literackiego, aby zbadał możliwości pozyskania środków na wydanie zbiorowe pism Irzykowskiego. Kiedy powiedział mi, że rzecz jest realna i chciałby mnie powierzyć zarówno obmyślenie zasad edycji, jak kierowanie pracami zespołu, podjąłem się z radością tego obliczonego na wiele lat trudu. To był krytyk, któremu zawdzięczałem najwięcej. Nie doszłoby to dzieło do skutku, gdyby nie Barbara Winklowska z jej niebywałą wiedzą o Irzykowskim i Janina Bahrowa, znana mi blisko z czasu studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim Janka Pudłówna. I cały znakomity zespół Wydawnictwa Literackiego, o którego kwalifikacjach i pasjach dziś można tylko marzyć. Tak więc gdybym miał wymienić największe dzieło, które poświadcza wynikającą z osobistych kontaktów współpracę polonistyki uni-

wersyteckiej z PAN-owską, postawiłbym te dwadzieścia dwa tomy na pierwszym miejscu.

Z podziwem i sympatią patrzyłem na podejmowane w Instytucie wielkie realizacje edytorskie. Dla przykładu wymienię trzy, będące dziełem osób, z którymi się w życiu spotkałem, i całkiem nieporównywalne: Kochanowskiego Marii Renaty Mayenowej, Leśmiana Jacka Trznadla i Kasprowicza Jana Józefa Lipskiego i Romana Lotha. A potem na gruncie tych doświadczeń powstał Ośrodek Krytyki Tekstu i Edytorstwa Naukowego z odkrywczą Biblioteką Pisarzy Staropolskich pod redakcją Adama Karpińskiego.

Po objęciu kierownictwa Zakładu Literatury XX wieku w 1981 roku zaprogramowałem jego prace artykułem *Pisarze obecni – nieobecni*, który złożony w redakcji „Polityki”, ukazał się zaraz po przymusowej przerwie w ukazywaniu się tygodnika. Do zakładowego zespołu zaprosiłem Tadeusza Drewnowskiego, który poza przygotowaniem edycji *Dzienników* Dąbrowskiej i monografii Różewicza objął wykład o literaturze lat powojennych (stał on się podstawą książki *Próba scalenia*). W stanie wojennym współpraca była czymś oczywistym i naturalnym. Niezależnie od przynależności do partii, „Solidarności” czy Związku Nauczycielstwa Polskiego, panowała zgoda co do tego, że odtąd życie publiczne powinno pozostać wielośrodkowe, władze powinny pochodzić z wyboru, w nauce należy znieść wszelkie ograniczenia i rozwinąć badania nad zjawiskami przemilczanymi. Że to, co się stało, jest tylko przerwą, niektórzy dodawali: na myślenie. Pamiętam rozmowy, czy obecność partii na Wydziale jest dla obrony jego interesów jako całości korzystna, i co by było, gdyby organizacja wydziałowa się po prostu rozwiązała. Pozwolę sobie na uogólnienie. Jeżeli dziś słychać, że stan wojenny wprowadzony został pod szantażem wkroczenia do Polski obcych wojsk, a władze państwowe temu naciskowi niegodnie uległy, to jak uniknąć pytania kolejnego, czy w sytuacji, kiedy do trójporozumienia nie doszło, protesty uniemożliwiały rządzenie, a „Solidarność” do przejęcia rządów nie czuła się gotowa, byłoby lepiej, gdyby państwo poszło na wojnę prawdziwą? I jakie by-łyby potem losy zarówno działaczy „Solidarności”, jak członków władz państwowych i całej armii?

Odmienną sytuacją w Instytucie Badań Literackich polegała na tym, że musiał on znosić upokorzenia związane z narzuconą dyrekcją. Był to jedyny znany przypadek, że dyrektor instytucji naukowej piętnował na łamach prasy podległych sobie pracowników.

Zwieńczeniem prac szczegółowych nad literaturą XX wieku miał się stać podręcznik akademicki, co znalazło też wyraz w nieskończonych postulatach, zgłaszanych zarówno w życzliwej, jak podjazdowej intencji. Wszczęte wówczas prace zaowocowały w latach dziewięćdziesiątych pięcioma tomami podręcznika, od *Średniowiecza* Teresy Michałowskiej po *Dwudziestolecie* Jerzego Kwiatkowskiego i *Drugą wojnę światową* Jerzego Święcha. Służą te tomy do dziś wszystkim – i można zrozumieć, dlaczego nie powstał tom szósty. Dla porównania, zbiorowy tom opracowany przez polonistów uniwersyteckich pod redakcją Jakubowskiego objął literaturę od średniowiecza do pozytywizmu, a zamierzona część druga, która miała objąć resztę, już się nie ukazała. Miałem być obok Andrzeja Z. Makowieckiego jej współautorem, ale zwle-

kałem, jak mogłem, nie tylko ze względu na brak takich dyspozycji. Tak samo w latach osiemdziesiątych utykały mocno już zaawansowane prace nad kolejnym tomem antologii polskiej krytyki literackiej, który we współpracy paru ośrodków polonistycznych obejmował lata 1939–1975. Zbyt wielu pisarzy żyjących w kraju i na emigracji albo figurowało na jakichś listach, albo byli niemile widziani, i skończyłoby się to albo rezygnacją, albo klajstrem. Bezpieczniejsza była postać encyklopedii literackich, których projekty powstały już wtedy, a poświadczone zostały *Słownikiem literatury polskiej XX wieku* pod redakcją Aliny Brodzkiej i in. (1992), i wkrótce przewodnikiem *Literatura polska XX wieku* (2000), nad którego formułą pracowaliśmy z Arturem Hutnikiewiczem i zespołem Państwowego Wydawnictwa Naukowego, Ewą Zuberbier i Janem Wojnowskim. W realizacji stał się on dziełem całej polonistyki.

Już na progu nowych warunków uprawiania nauk humanistycznych podobne w skutkach świadomościowych, choć z innych przestanków wynikające zawirowania ujawnił przykład *Hańby domowej* Jacka Trznadla. Tytuł skłaniał do przypomnienia, w jakich okolicznościach Norwid posłużył się tą sarkastyczną formułą: podczas nabożeństwa po śmierci Mickiewicza w paryskim kościele Świętej Magdaleny kapitan Franciszek Jaźwiński rzucił się na stopniach kościoła z laską na generała Władysława Zamoyckiego jako rzekomo winnego śmierci wieszczka. Stąd Mickiewicz z wiersza *Duch Adama i skandal* „»K o - c h a j m y s i e« wyrzekłszy przy zgonie, po zgonie jeszcze w swym ukrywa łonie hańbę-domową”, a jego duch „pokazał się naprzód Magdalenie, podobny Panu, jak

swym wzorom cienie”. Słowa Norwida odnosiły się do wznowienia potępieńczych waśni nad trumną poety, który testamentarnie wzywał do zgody, zaś przywołanie wielkiej pokutnicy było figurą wybaczenia. Gdyby dziś szukać analogii, przychodziłoby na myśl raczej obrzucanie się wyzwiskami nad trumną Miłosza, a potem nad trumnami smoleńskimi, niż perypetie skołowanych pisarzy sprzed ponad półwiecza, wielokrotnie już zresztą wystawianych na widok publiczny, poczynszy od *Zniewolonego umysłu* i satyrycznych wierszyków Hemara po rewelacje z kręgów „partyzanckich” i pamflet *Czerwonej mszy*. Takimi rozliczeniami zajmowali się pisarze i publicyści. Tymczasem cały wiek XX dowodzi, że ilekroć humaniści ulegali *in dubiis* pokusie zastąpienia argumentacji przezwą, zaczerpniętą najczęściej z arsenału politycznego, tylekroć prędzej czy później się tego wstydzi. Któż zaprzeczy, że obraz Boya-Zeleńskiego we Lwowie z książki Barbary Winklowej jest bliższy prawdy niż postać z opaską kolaboranta, i że w niczym to nie umniejsza podziwu dla Ostapa Ortwina, który gotów na każdą ofiarę, trwał na swoim lwowskim posterunku.

Obecnie, po wielu studiach szczegółowych, synteza literatury lat 1944–1989 staje się coraz bardziej realna i będzie zapewne dziełem młodszych polonistów. Gdyby za przykładowy miernik uznać stosunek do Jarosława Iwaszkiewicza, byłaby to droga od pamfletu Jana Walca, przez protekcyjnalne ujęcie Marka Radziwona po poważną monografię Radosława Romaniuka, której na razie ukazała się część pierwsza.

ANDRZEJ LAM



Rys. Małgorzata Tabaka

TADEUSZ HOŁUJ

OSTATNI POEMAT

czyli

ROZCZULENIE NAD SAMYM SOBĄ

I

Mówią: – na szyję powróz i gotów.
Gardziołko moje – ty się nie lękaj,
już wiele razy grała śród zmroku
nad moją głową otwarta pętla!

Wargi, gdy skubią resztę powietrza,
oczy, gdy patrzą jak gaśnie wszystkich
świat, niby rzeka, co nagle weszła
w wyschnięta ziemię – i już po Wiśle –
znają nie tylko groźbę powróseł
i drżenie kolan nad piachem dołu;
śmiech mój, choć w pętli szubienic usechł,
ożywa w czasie waszego łowu.

Milczę – lecz za to, żem wówczas śpiewał
kiedy milczeli inni – sędziowie!
skrzypiącym piórem straszego drzewa
wyłem w twarz katom żołnierską powieść.
Milczę – lecz w śmiechu gadam z żalospną
szyną wisielców, z zastrzelonymi
towarzyszami, z którymi-m rosnął
ja – pełen zbrodni i pełen winy!

Gdybym spopielał rozsiany w trawie,
co tłusta rośnie nad towarzyszem,
to każdą gębę zaszyłby krawiec
prującą dzieje, jak zdechłą myszę.

Przepraszam wszystkich, żem trochę przeżył
samego siebie zamiast struposzeć,
i żem oddychał, i żem uwierzył
w to, za co smagał stryczek w obozie.

Chciałbym tam wrócić pod płytką ziemię,
aby i ze mnie wyrosła trawa,
która zadusi ludzi i dzieje:
mocno związany, zielony krawat.

Mówią, że wolność to zrozumienie
Jest konieczności, a koniecznością
Jest dla mnie pisać – „budzić sumienie”.
Jeśli nie mogę – nie jestem wolny,
żyć bez wolności takiej nie umiem,
człowiek zrodzony z nędzy i wojny.
A zakazano nawet me imię
wymieniać dobrym mym towarzyszom
i przysypuje mnie każdy tydzień,
jakby stulecia, pustką i ciszą.

Na czystej karcie gdy kładę słowo
i śmiech syneczka słyszę jak żałość
wiem, bezimienne zostaną, obok
tego wszystkiego, co mną się stało.
Gdy ssam, jak gorzką, spaloną fajkę
„WIERSZE” i „PRÓBE”, pisane w czasie
którym praśnięto w twarz mą, jak w zdracę,
śmiech płynie w stronach literek płaczem.

Młode gardziołko, po coś śpiewało
gardło ściśnięte drutem kolczastym,
gardło zachryple, które krzyczało
na wsi i w hucie o dniu zapłaty,
o Partii wówczas, gdy ją strzelano,
o Partii wówczas, gdy się lubiło
grzecznie piszących, łagodnych panów.

gestapo prało: „Nazionaldichter”!
 A polskie UB: „zdrajca, odmieniec”,
 SS: – że tylko kulą przycichnę.
 A Partia: niech mnie zgładzi milczenie.

Pękaty koszu upalną nocą
 znoszony w auto z trupią główeczką:
 dramat i tomik, powieść i stosy
 kartek pokrytych liter sznureczkiem.
 Teraz sznureczkiem potrząsa ręka,
 którąm ośpiewał za którąm ginął
 i martwa moja, z kosza, piosenka
 bulgoce w gardle tych, co ją piją.

II

Jest obłąkane niebo nade mną,
 skradło mi cień mój, i w rudym świetle
 chodzę przez rzeki, rzeki mnie zemną
 chociaż ja jeszcze piję i depcę.

Rzeki wspomnienia! Jeśli jest prawdą
 że, jak sen dziecka, topią nas w szumie,
 albo że wszystko trwa, co raz było –
 to już sam siebie nie znam, nie umiem.
 Rzeki wspomnienia, szalone rzeki!

Kąsają we śnie, aż gwiazdy padną
 i czarne niebo wyrzuci trwogę.
 Widzę, jak leżę, skrwawiona bryła
 i w zdruzgotanych kościach jak skomłę.
 Wypadam z okien, z niebios, z kolebki?
 Rzeki wspomnienia, szalone rzeki!

I sam nad sobą płaczę. Tak. Płaczę!
 Śniady paluszek synka łyzy zbiera
 Na szybie kreśląc znaki dziwaczne
 Tak jakby żyły niebu otwierał.
 Jest obłąkane niebo nade mną,
 od niego gaśnie rzeka wspomnienia
 i parne chmury nad mirtem więdną
 I nie spadają deszczem, i nie ma
 Ani dnia śmierci, ani mnie nie ma.

III

Spalą me „WIERSZE”, lub wrzucą w każdą tąż,
 w której zakipi bryła papieru
 by skrzepnął, ze mnie wyprana masą,
 wiersz mój poczęty z serca i gniewu.
 W bębnach tysięcy ton zawinięty
 płacht, podścielanych rodzeniu słowa,

włókno zgubione, starte, jak ja sam.
 Moja zdławiona, jedyna mowa
 Zabita jest, zabita jest.
 Czas jest płomienia, skwierczenia księgi?
 Czas jest rozdarcia słowa o prawdzie?
 Już z moich „WIERSZY” ja sam wygasam,
 zniszczony z nimi. W nieludzkiej miazdze
 zdeptana pieśń, nie było jej,
 zabito mnie, zabito mnie.

Życie uczyło: walcz, nie umieraj.
 Nie ma czym walczyć, ni czym oddychać,
 wyprano ze mnie powietrze. Nie ja
 łeb mój schowałem, ale mnie skryła
 w śmierć milczenia dłoń, którąm tworzył,
 której dawałem ostrą broń męstwa,
 aby nas wiodła w kraju, w obozie,
 nie żeby oczy darła mi w klęskach,
 oczy me, broń mą, patrzące w wierszach

Pękaty koszu upalną nocą
 znoszony w auto z trupią główeczką!
 Łączniczko śmiała, piersi dygocą,
 a pod piersiami – mój wiersz jak dziecko.
 Świstek papieru w sinieniu palców
 na wszawej pryczy tętniący – wzruszał.
 Były to rzeczy powszechnie. Na co?
 Gdy można zabić i rzecz i duszę!

IV

Jest taka chwila: czas się odwraca,
 spojrzę za siebie, w wierszu się przejrzę,
 z niego odczytam żywot chłopaka,
 jak szczenię wzrosło w zaszczute zwierzę.
 Grzebię w literkach parzącym prochu:
 kimże był proch ten wydęty życiem?
 W szeleście kartek spłowiwały obraz
 pali się barwą i woła krzykiem:

Cóż jest poza wierszem we mnie?

Spowiedź? Nie! Próba szalonych oczu
 Ujrzenia siebie samego w tworze,
 co huczy we mnie – żałosna kobza,
 mój wiersz. Policzek na lustro złożę:

Niczyn oddech nie przykryje mnie
 Ani mnie stąd nie zedrze.

Pewnie: zapiałby niejeden z grozą
 i plułby mądre słówka na wiersz ten:

że gnije w sobie, obcy i trwożny,
w pieśni umarły, zwierzę wyklęte!

A to się tłucze ostatnia kropla
W pustym czerepie, woła odsieczy
tych, co wyciekły w ból, w radość, w bitwę
spływając z pióra, aby dziś przeczyć,
że ja i wiersz mój – nie różne rzeczy,
i razem zginąć mogą lub zostać!

V

Siwych gołębi furkot w piosence
zrywał się, kiedy kołyskę tręcał
dziadek, na kijku dzierząc jak tęczę
gronko balonów, ponad płaczącym.
Zielona deska kołyski pachła
górką łączyną, czerwoną sosną,
zakolysała płaczem, i zgasła
przy głowie chłopca, który już rosnął
wydarty ze wsi, z pasterskich szlaków
co tu przywiodły dziadów i owce
na trakt węgierski, i biczem strachu
pędziły głodne, wydęte brzuszki
pod myślenickie okapy chałup
i stąd, gdy chleba zabrakło w wiosce
dziad mój przydreptał w dębnickie pustki.
Siwych gołębi furkot w piosence
o moim ojcu. Rośnie nad Wisłą
Obdarty andrus, Józus. Cóż więcej
Wiem o dzieciństwie? Tyle, co on sam,
Rozpiąwszy mundur i wyschłe serce,
Wyrzucił z siebie, aby zabłysnąć
Jak na policzku wstydliva łąza.

Wiem, że nad siatką drutów zgarbiony
halerze wiązał w węzelek chustki,
za te koszulki do płyt z betonu
kupował lata cierpkiej nauki.
Wiem – głód go wtłoczył w mundur strażnika,
wielki i rosły u granic brodził
mój ojciec młody. Szlaban zamykał
poza dzieciństwem biedy i grozy.
Wyrósł z tej biedy! Mój ojciec – celnik
w c.k. mundurze ślęczał nad książką,
a przez granice pełzał już przemysł
ludzi niosących wolność jak broń złą.

VI

Z dna, w którym świeci w srebrnym lichtarzu
świec siedem, ale jest ciemność, trwa,
pięcioro błądych wycieka dzieci

w strachu i buncie. W zsiniałych rączkach
drzenie przebiega jakby od śmierci
uratowały serce, i w piąstkach
niosą je, bije. Zmartwiała twarzą
zwraca się matka moja za siebie.
Nigdy nie wspomni dnia tego, chociaż
Nigdy bez lęku nie słucha: „Żydzi”!
Zrudziałych oczu księdza się wstydzi
Kiedy ją żegna imieniem ludzi
Co mogą wchodzić w ziemskie niebiosy
Na szczudłach metryk, szczęśliwsze plemię!

I moja matka, szwaczka, modniarka
ściubie z gałganków szaty godowe.
Kiedyś ujrzała: w blasku orkiestry
ojciec mój kłonił szczecinę głowy.
Prostak, lecz światło grało mu w oczkach,
kiedy fotograf poprawiał niebo
Za panną młodą. Ojczulek – prostak
W olbrzymie chuchał dłonie.

To nie on
ten, który płakał przy moim łóżku
i stał nad matką z laską; co mierzył
wódkę i gorycz, w dławionym smutku
charcząc jak ranny wróg, albo zwierzę.

To nie ta – z wszystkich wypruta śmiechów,
łachman stroskany, daleka, obca,
złożona z piekieł codziennych w grzechu
straconych lat swych żyjąca, po co?

VII

„Mój ojciec nie zdołał mnie zamknąć w granicach
ścian i milczenia,
„Wieczory zamykały oczy i usta sprawom.
„Matka już dawno zgubiła w szarudze uśmiechy
swoich lat
„I twarde, nie dobre życie szarą przeszła taśmą
„Ojciec – nie zanucisz już teraz – „w daleką drogę
nam czas”
„Kiedy w niedzielę domy wdzieją pachnące koszule.
„Matko – już za późno. Nie pogodzą się nasze twarze...

Prawda, tak było, obcym tam rosnał
i bez dzieciństwa zostałem – chłopak
nietknięty tkliwą pieczęcią domu,
Szczur, śmiały tylko, gdy płomień opadł
I gasło światło ich obcych rozmów.
Ugrzęźli w męce, nie mogąc oddać
życia, każdemu swoje. Jam osnuł

niewolę stadła łańcuszkiem twardym
moich tajemnic w ciemnych pokojach,

moim istnieniem i moją wzgardą.
Choć teraz, kiedy zgnili już w ziemi
i pamięć nawet szczela i prawda,
dobrze by było matkę zawołać
lub ojca bas znów zasłyszeć gniewny.
„W ogrodzie wiosna pięła się po drzewach”
„Żółty i mały” – tak jest w tym wierszu –
„Śmiesznie już leżał – nie syty snu”.

Zgon – nagła próżnia. Jeszcze sen śpiewa
słowa, choć usta – stoczone ścierwo.
Wszystko obecne. Tylko to jedno:
ciało zniknęło i nie odszukasz
źródła wszystkiego, co jest, i sprzętom
nawet nadaje zmarłego piętno.

Znam śmierć, a śmierć to żywym nauka,
miara pogody i miara światłych.
Tchórz tylko wzbrania myśleć o zmarłych.
Żaden jest człowiek, póki nie ujrzy
wszystkiego świata po swym pogrzebie.
Pozwólcie widzieć ten świat – bez siebie.

„Trzepotały się ręce. Drapały żarliwe palce powietrze.
„Oczy zapadały w głąb. W siną, kąśliwą przestrzeń.
„Z ust ciekła brudna ciecz. Tak wyglądała śmierć.
„Zimną stal w krew wkopać. Przeciąć żyły
wspomnieniem
„I pomyśleć o matce – umarła.
„Śmierć, nie bitewna, nie opiewana
„W żółtych świecach się paliła do rana.
„Oczy mi przeżarła ciszą nocną
„I na ustach tli się gorzka troską.

VIII

Dom mój: umarli dla siebie ludzie,
I ani wiersza nie znajduję, który
mgiełką czułości dzisiaj by łudził,
choć boli ciągłe patrzeć w zły dym
wspomnienia tego, co w wierszach legło
i jest prawdziwe jak wiersz sam – lustro
skazane na śmierć, lecz razem ze mną.
Lustro, gdy umrze – to będzie pustką!

I w cóż popatrzeć, w czymże się przejrzeć
jeśli zwierciadło, jak zwykła szyba
nic nie zatrzyma. Tylko świat jest tam
daleko – blisko, lecz go nie schwytasz,
bo nie przechodzi przez ciebie. Przystał
zastygać we łbie i tylko mija,
czyli – go niema, nie ma go we mnie.

Radzili: popatrz w swój własny żywot,
zrozum sam siebie, bo nie rozumiesz.
Jakże inaczej patrzeć? Przez wiersze,
choć ślepnę z dymu i w ogniu skwierczę
Jak one same.

Ten gorzki wywód
nie uratuje ni pieśni, ni mnie,
ani go oczy widzą obce
człowieczej męce, człowieczej trosce.

Jest to „życiorys” kogoś, kto umarł
Sam siebie widząc w wierszach spalonych,
w stronach powieści, w tym, co wyklęto,
jak i gestapo – klątwą największą
jaką się karze wodza lub króla
śląc na wygnanie w bezpieczne strony,
skąd tylko milczeć może lub wrócić
Tak, jak wracają zniemiałe trupy.

Zmarła rodzina, po prostu, w łózkach.
Siostry ojcowe, trzy, zżarte rakiem
tak jak i ojciec – śmierć miały w brzuskach.
Stryj tylko został. Przez tę wojaczkę
wypłynął ranny, staruszek, w Anglii
i nie powrócił, wstydił się synów,
że zwędził forszę, uciekł i zginął
choć go, śmiem sądzić, pilnie szukali.

Żal dobrych ciotek, czułych (ba, zmarły)
Mani, Heleny i Loli. Pamiętam
jak mi złotówki w chudą kieszeń kładły,
i że śpiewały do snu mi, dziewczęta.

Zmarła rodzina, niestety, leżąc.
Gdyby inaczej – krzyczałbym: kamraci!
Co za rodzina bohaterska! Bo co,
że z matki strony dwóch braci w Oświęcim
wyspało wszystko czym byli, i nocą
szukając złota, ludzie, znajdując z braci
białą kosteczkę, co w trawie zaświeci
i ani poznasz z doktora czy z Żyda.
Roman? Stanisław? Ten zdechł, ów zabił,
ale że obaj leżąc – szkoda.
Dlatego milczą we wierszu oba.

Jak i ten trzeci, co zmarł ze wstydu
że mu się dzieci rzucały oknami
skoro gestapo powie mi: „Jude”.
Zmarła i siostra – szwaczka. Niech umrę

nie mam nikomu palić policzków
wstydem, że ktoś z nich łajdak i drań.
Kłaniam się trupkom, pomarłym milczkiem,
zobowiązany mocno im. Tak!

IX

Światło przebija drzewa. Jak gacki
skrzydełka liści trzepocą w plantach.
Płyną po zmierzchu na pustej ławce,
ciepły wiatr dmucha w rozpięty kasztan.

W obłoczkach szeptów smukłe dziewczęta
przefruną – jeszcze strzęp słów jak zapach
zostaje ze mną, a już ze światła,
z połysku oczu, śmiechu, szelestu
fala mięciutka – wieczór – narasta.
Nie upiję z niego ani kropli
umknie, umyka każde poczęte
Wzruszenie chłopca nad czystym źródłem,
umyka każdy z szczęśliwych gestów,
Dotyk policzka, piosenka ze snu,
Tęsknota nawet; i widzę z trudem:

nie napiję się już ani kropli
z młodości mej, z miłości.

Wygasło wszystko, co jest miłością,
co z dwojga ludzi czyni, że są jak
jedno jedyne ciało, i rosną
w mroku, guśle – niezmienny zodiak.
Choć miłość cudza podpływa do mnie
i wzrusza troska czuła i ból tej,
która zamiera przy mnie bez wspomnień
ni jednej chwili pogodnej, dobrej

zgasła we mnie wszystka miłość chłopca
choć łaknę jej, by zostać.

----- . -----

Z lusterka wierszy, z tych wypalonych
i tych, jak kwaśne jabłka, niedojrzałych
czytam wzruszenie. Dziewczyno, po nich
i po wzruszeniu nic nie zostało.

Umarły romans. Odczytasz z wiersza
nawet niebiosą sponione wstydem,
jej pierwsze, ciałem śpiewane pieśni
i ból utraty dwukrotnej. Widzę:

Pod aksamitnym beretem błyska
niebieskich oczu czyste spojrzenie,
w szkolnym ogrodzie buczy muzyczka,
Kto jest ta panna uśmiechów? Nie wiem.

TADEUSZ HOŁUJ

Kilka słów niezbędnego komentarza:

Wkrótce po śmierci Tadeusza Hołuja jego żona poprosiła mnie o towarzyszenie i pomoc w uporządkowaniu papierów pisarza. Na jednej z teczek były słowa napisane jego ręką, czerwonym długopisem: „Rękopisy poematu autobiograficznego”. Wewnątrz znajdowały się fragmenty poematu napisanego ołówkiem chemicznym, częściowo atramentem, z licznymi powtórzeniami, skreśleniami. Wyglądały jak brulionowe próby, pierwsze, nie uporządkowane szkice. Wśród nich, w papierowej „koszulce”, był „Rękopis poematu wiosna/lato 1949” – ostateczna wersja utworu przepisane „na czysto”, z minimalnymi poprawkami: ponumerowane stronicie od 1 do 12, a na nich wersy poematu ponumerowane od 1 do 363. Na pierwszej stronie u góry, ołówkiem chemicznym, ręką autora było napisane: „Hołuj Tadeusz. Ostatni poemat, czyli rozczulenie nad samym sobą”. Jest on podstawą niniejszej publikacji.

Utwór powstał w niezwykle trudnym okresie życia pisarza, podczas jego „cywilnej śmierci”, w „pustelni czorsztyńskiej”, jak mówi tytuł jednego z wierszy napisanego tam w 1952 roku. Nie był dotychczas publikowany. Jego niewielkie fragmenty, wzięte z różnych części można spotkać w zbiorze poezji Tadeusza Hołuja wydanym w 1976 roku: *Rysopis. Wiersze 1936-1976*.

Dla zapoznania się z dramatycznymi okolicznościami, w jakich znalazł się Tadeusz Hołuj w tym czasie i jego ciężkimi przeżyciami, których wyrazem jest *Ostatni poemat* odsyłam zainteresowanych do moich dwóch publikacji: „*Ostatni poemat*” Tadeusza Hołuja w książce: *Między literaturą a polityką* (Kraków 2012) oraz „*Sprawa*” Tadeusza Hołuja w książce: *Kontury w mroku* (Katowice 2007).

Jako suplement do publikowanego tu *Ostatniego poematu* załączam znaleziony wśród jego rękopiśmiennych stronic, pisany w tamtym czasie, list pisarza do syna.

Marian Stępień

Mój Drogi, kochany Synku!

Moim życzeniem jest, aby Ci ten list doręczono, kiedy będziesz już na tyle duży, żebyś go zrozumiał. Im wcześniej – tym lepiej.

Kiedy dorośniesz, powiedzą Ci ludzie niejedno o mnie, o Twoim ojcu i sam wyrobisz sobie o mnie jakieś swoje, własne zdanie. Kiedy postanowiłem opuścić Cię i świat, do Ciebie pierwszego napisałem. Spałeś cicho, różowy uśmiechnięty, pełen wspomnień z ostatniego dnia. Tomku! Wiem, że mój krok przysporzy Ci trosk, ale wiem, że moje życie przysporzyłoby Ci ich jeszcze więcej. Nie czynię tego ani pod wpływem chwilowej rozpaczki, nastroju, zawodu, przemyślałem ten krok jak najdokładniej i rachunek tak właśnie wypadł. I nie dlatego, żebym nie miał sił. Nie! Sił by jeszcze starczyło, jedynie brak mi tego, co nazywa się ochotą do życia. Już wszystko we mnie wygasło, wszystko, a raczej wszystko we mnie ugaszono.

Podał do druku MARIAN STĘPIEŃ

ADAM KOMOROWSKI

KURS MISTRZOWSKI

ANDRZEJA MENCWELA

**„Czy to znowu takie głupie, że pisarz,
świadomie lub nieświadomie, jest wychowawcą?”**

Czesław Miłosz

W *Autobiografii* Karla Jaspersa pojawia się zadziwiające spostrzeżenie: „Jest jakoś tak, jakby związek wewnętrzny wykluczał potrzebę gruntownej i całościowej lektury dzieł przyjaciela”. Choć trudno się nam do tego przyznać, teksty ludzi, których uważamy za nam bliskich, czytamy zawsze „po łebkach”. Zakładane poczucie wspólnoty każe nam z jednej strony poszukiwać potwierdzeń wspólnych trosk i przemyśleń, z drugiej zakładamy, że i tak doskonale wiemy, co napisali. Przecież tyle z nimi przegadaliśmy. To mogło być dawno, ale zaiskrzyło wspólnotą w tamtych „rozmowach istotnych” i chcemy to zachować. Jeśli tylko ta druga osoba nie dokonała spektakularnych wolt i konwersji, jeśli nie dokonaliśmy ich sami i domniemy, że nasze drogi myśli się nie rozeszły, czujemy się zwolnieni z uważnej lektury, przecież „i tak wiemy”. Ba, jesteśmy przekonani, że znamy ich książki dużo lepiej od tych, którzy je przeczytali dokładnie. W tej naszej kalekiej lekturze tekstów przyjaciół zawarty jest element asekurantstwa, zachowanie poczucia wspólnoty jest dla nas zbyt cenne by ryzykować jej zburzenie.

Piszę o tym, ponieważ dotyczy to mojego obcowania z dziełem (bo tak to należy określić) Andrzeja Mencwela. To, że nasze „rozmowy istotne” miały miejsce kilkadziesiąt lat temu, w drugiej połowie lat 60, dla mnie nie ma specjalnego znaczenia. Istotne było domniemanie dochowania wierności owemu impulsowi poszukiwania dróg scalenia myśli i doświadczenia, które rozchodziły się na naszych oczach.

Nie może dziwić, że ten rozbrat myśli i doświadczenia codzienności szczególnie doskwierał tym, którzy marksizm i jego obietnicę scalenia traktowali poważnie. Codziennosc „małej stabilizacji” katapultowała się z binarnej opozycji bazy i nadbudowy, myśl uciekała

od konkrety. Świadomość tego pojawiła się przed Marcem’68, tliła w ówczesnych dyskusjach nad alienacją. Oczywiście dla tych, którzy marksizmu nie traktowali poważnie, wszystko to było jedynie potwierdzeniem odrzucenia. Problem polegał na tym, że ich odrzucenie idei było jednocześnie z porzuceniem namysłu nad konkretem. Codziennosc realnego socjalizmu była dla nich aberracją, a nie modalnością „dziejów bycia”, symptomem przemian ontologicznych. W ostateczności sprowadzało się to do stwierdzenia, że winni są „oni”, Jałta, Moskwa, alianci, którzy zdradzili. Emblematem sprzeciwu pozostaną krążące po Polsce, jako alternatywa wobec gomułkowskich obchodów 1000-lecia Państwa Polskiego, puste ramy.

Mencwel należał do tych, których adoracja „pustych ram” nie interesowała. Tu i teraz było zbyt wypełnione konkretem, zbyt doskwierał, by zmieścić się w starych ramach. Na dodatek cierpiało się na niedowład bycia nieopisanym, nie można więc było arbitralnie określić jako przygodną aberrację. Naprzód należało tę codzienność opisać, skonstatować, zaryzykować próbę odnalezienia w niej sensu, albo bezsensu. Pierwsze Mencwelowskie obrachunki dotyczyły właśnie tej sprawy, choć z różnych powodów teksty zebrane w *Sprawie sensu* (1971), uległy znacznej amputacji. Z przyczyn, których nie tutaj dochodzić, amputacja dotknęła przemyśleń Mencwela na temat genealogii idiosynkrazji pokolenia marca’68, a więc nas samych. Jakkolwiek by było, zamysł zderzenia idei z tym, co dzieje się po naszym nosem, tu i teraz, pozostała i wyróżnia jego pisanie.

Owo zderzenie każdej abstrakcyjnej idei z konkretem tu i teraz, z tym co pod nosem było wyróżnikiem pokoleniowych wystąpień Nowej Fali, grup Wprost i Teraz, spektakli teatrów studenckich STU i Ósmego

dnia. Mencwel wobec tych zbiorowych pokoleniowych manifestacji zachowywał dystans. Odkąd pamiętam, blisko obcujący z myślą Stanisława Brzozowskiego jego manifestu *My młodzi* zapewne by nie podpisał. Ideowo pozostając blisko był sceptyczny wobec pokoleniowej solidarności. Nie przypominam sobie, by wydrukował jakiś tekst w „Studencie”, „Nowym Wyrazie” czy „Agorze”.

Nie wiem, czy ciepło pokoleniowej więzi nie było mu lekko, jako paraliżujące krytycyzm, podejrzanę. Istotne jest co innego, otóż dla Mencwela katalizatorem kultury nie jest więź pokoleniowa (co było dzielone zarówno przez pokolenie 68 na Wschodzie i Zachodzie), ale relacja mistrz-uczeń. W tej jednej kwestii jest Andrzej Mencwel absolutnym tradycjonalistą. Dawał temu niejednokrotnie wyraz, a jego portrety tych, których uważa za swoich mistrzów to perełki empatii. Zebrane w tomie *Nauczyciele i przyjaciele* (2011) tworzą konstelację. Można się zastanawiać nad jej kształtem i ktoś zapewne to zrobi, bo jest ona dość osobliwa, skoro łączy Bronisława Baczkę, Adolfa Rudnickiego i Stefana Świerzawskiego (a wymieniam tylko trzech sportretowanych). Polifoniczność jest oczywista. Nie ona jest, w moim przekonaniu, najbardziej istotna.

Nauczyciele i przyjaciele mają przypominać o tym, że w kulturze przekazywanie myśli nie ma charakteru bezosobowego, że myśl sama nie jest anonimowa. W esejach Mencwel z upodobaniem śledzi owe uwikłania myśli w niezwykle spotkania osób. Tak okazuje się, że dla naszego myślenia fakt, iż znaleźliśmy w jednym określonym miejscu i czasie z innymi, ma znaczenie. Ponieważ relacje bycia uczniem i przyjacielem są tak ważne, nie można rozpoznać się we własnej myśli nie uwzględniając faktu dzielenia wspólnej przestrzeni. Myśl odczytujemy nie tylko w konkretnym czasie, ale i w konkretnej przestrzeni, „wśród szumów tramwajów, walących się domów, przy budce z piwem”, by zacytować wiersz Krzysztofa Karaska. Lokalizacja myśli, jej zapośredniczenie w przestrzeni to stały motyw jego esejów. W dużym skrócie można powiedzieć, że na tym polega to, co nazywa, w ostatnich latach „wyobraźnią antropologiczną”.

Załamywanie się i odkształcanie idei w czasie to lekcja Hegla. Marks wskazał na społeczne i klasowe odkształcenia myśli. Konstatacja, że translokacja idei także ją odkształca i mutuje pojawiła się stosunkowo niedawno. Choć uważni obserwatorzy, jak Jerzy Stempowski, jasno widzieli, że inaczej czyta się *Kapitał* Marksa w Londynie, a inaczej w Żytomierzu. Osobliwości doświadczenia (i tłumaczenia) *Kapitału* w Bengalu doskonale przeanalizował Dipesh Chakrabarty w *Prowincjonalizacji Europy*. Naturalną cechą myślenia peryferyjnego jest właśnie prowincjonalizacja centrum. W dużym skrócie można to streścić w stwierdzeniu: Peryferyjność jest problemem, ale centrum jest rozwiązaniem. Taka perspektywa petyfikuje centrum. Tak rzeczywista różnica pomiędzy centrum i peryferiami zostaje zapoznana. Polega ona bowiem na rozchodzeniu się dynamiki rozwoju centrum i peryferii. I to była lekcja Brzozowskiego, którą Mencwel przyjmował.

Kiedy zapominamy o różnicach dynamiki rozwoju, faktyczność peryferii staje się jedynie aberracją, którą

łatwo skorygować. Wystarczy wyłonienie się samowładnych elit, które korekty tej dokonają. W skrajnej formie widać to w słowach listu Tadeusza Krońskiego (jeszcze z Paryża) do Czesława Miłosza przywołanych przez Mencwela w *Dwóch ekstremizmach* (w tomie *Wyobraźnia antropologiczna*, 2006): „My sowieckimi kolbami nauczymy ludzi w tym kraju (tj. w Polsce – AK) myśleć racjonalnie, bez alienacji”. To nie był tylko polski fenomen. Brazylijscy pozytywiści wypisali na brazylijskiej fladze słowa „Ład i postęp” po czym dokonali w Canudos masakry ponad 20 tysięcy wieśniaków, których millenarystyczny ruch raziił ich „racjonalne” sumienie i zagrażał wykoncypowanym projektem modernizacji. Wokół tego wydarzenia powstały trzy wielkie powieści: *Os Sertoes* Euclidesa da Cunha, *Sąd w Canudos* Sandora Maraia i *Wojna końca świata* Mario Vargasa Llosy.

Ponieważ w przestrzeni zawsze możemy mówić o centrum i peryferiach, a tak się złożyło ta, którą dzielimy, raczej centrum nie jest, motyw peryferyjności polskiego myślenia i tego konsekwencje to rodzaj niemal obsesji. „Pojęcia prowincji mają sens nie tylko przestrzenny, ale także mentalny. Być centrum to również być sprawcą, liderem historii świata. Zakłada to poczucie, by odwołać się do Stanisława Brzozowskiego, dojrzałości dziejowej. Prowincja natomiast jest niedojrzała, nietwórcza, receptywna, a nawet bezwolna” – stwierdza.

Skrajność tego stwierdzenia nie znajduje jednak potwierdzenia w jego twórczości, która peryferyjność wręcz dowartościowuje. Okazuje się prowincja kamieniem probierczym idei generowanych przez centrum, tutaj ulegają załamaniom i odkształceniom. Dla historyka idei śledzenie ich może być fascynujące, a dla samej idei – dopełnieniem. To lekcja Andrzeja Walickiego, której Mencwel nie zapomina. Peryferyjność nie jest jedynie utrapieniem, skazą, którą należy skrywać. Wbrew pozorom jest także przywilejem, pozwala patrzeć na świat nieco inaczej. Musimy jedynie ją rozpoznać i nie zastaniać ostentacyjnym gestem „doszlusowania”, np. budując piłkarskie stadiony. Jeśli coś jest niebezpiecznego w peryferyjności to nieustanna pokusa przestąpienia jej mimetyczną ostentacją, która działa kojąco na zakompleksione elity. Owe „krzeselka lorda Bloton” z *Operetki* Witolda Gombrowicza, wejście w posiadanie których ma zastąpić zmierzanie się z cywilizacyjnym tąpnięciem.

Doświadczenie peryferyjności owocuje kompleksem niepełnowartości i niedojrzałości elit, zarówno inteligencji jak i grup jakoś uprzywilejowanych. Gdyby problem peryferyjności do tego się ograniczał, to by go praktycznie nie było. Rozumiał to doskonale Stanisław Brzozowski nieustannie podkreślając, że emancypacja ku centrum musi dotyczyć całości, narodu, całego społeczeństwa. Jeśli dokonamy podziału społeczeństwa na tych, którzy do emancypacji są gotowi i tych, co ją powstrzymują (np. chłopci, ortodoksyjni Żydzi, Białorusini, Ukraińcy, kler) i jako hamulcowi są stygmatyzowani, pozostajemy w zakłętym kręgu emancypacji pozornej. To co nazywał „dojrzałością dziejową” osiągnąć można jedynie przełamując cywilizacyjne zapóźnienie wszystkich dzielących określoną przestrzeń, którą w tym wypadku była Polska. Emancypacja poprzez katapultowanie się ze wspólnoty, jest możliwa. Brzo-

zowski i Mencwel tego nie kwestionują. Ale ich bardziej interesuje i za rzeczywistością emancypację uważają jedynie emancypację wspólnoty. I nie jest to problem solidarności (zwłaszcza etnicznej czy narodowej) ale przekształceń społecznych na miejscu. W ostateczności to one zadecydowały o rozejściu się dynamiki rozwoju centrum i peryferii.

W tym momencie dochodzimy do zadniczego zwornika łączącego Brzozowskiego z Mencwalem. Jest to punkt, który w odbiorze myśli Brzozowskiego i Mencwela wywala największy opór. Co prawda Mencwel nigdy nie napisał jak autor *Ideji*: „wywłaszczenie przymusowe większej i średniej własności jest kwestią życia i śmierci kultury polskiej, nawet gdyby w prowincjach zabranych miało oznaczać całkowite splukanie z powierzchni elementów polskich. Utrzymywanie kosztem pracy Mało- i Białorusinów, Żmudzinów i Litwinów – próżniaków mówiących językiem polskim nie leży bynajmniej w interesie narodu”. Ale te słowa z artykułu *Likwidacja szlachetczyzny* (1906) przywołał (w *Stanisław Brzozowski. Kształtowanie myśli krytycznej*, 1976) z komentarzem: „Jest to ten aspekt pisarstwa Brzozowskiego, którego nie przypomniano wcale w międzywojennych polemikach”. Nie przypomniano ich także później, nie przypomina się ich dziś, kiedy obserwujemy stymulowaną przez środowiska „Krytyki Politycznej” i „Frondy” reaktywację myśli autora *Legandy Młodej Polski*. Wystarczy w tej kwestii przyglądać się rozmowie (w przekonaniu autorów niekonformistycznej, a *de facto* będącej manifestacją oportunistów), którą Cezary Michalski i Stanisław Sierakowski poprzedzili wznowienie przez „Krytykę Polityczną” *Człowieka wśród skorpionów* Czesława Miłosza. Przy całym moim uznaniu dla tej książki noblisty muszę stwierdzić, że nawet on wskazanego przez Mencwela aspektu myśli podziwianego przez siebie Brzozowskiego nie zauważa.

Ta tabuizacja wskazanego przez Mencwela aspektu myśli Brzozowskiego ma miejsce w sytuacji równoległej idealizacji kresowego ziemiaństwa, Kresów Wschodnich jako miejsca krystalizacji tradycji, która ma nadal obowiązywać, jest wręcz testamentem przekazany III Rzeczypospolitej. Co prawda Rene Char zauważył, że „Naszego dziedzictwa nie przekazano nam żadnym testamentem”, bowiem nie jest ono żadną masą spadkową, a zwłaszcza nieruchomością w postaci kresowego dworku, ale zadaniem. Nie liczy się co dane, ale co zadane – jak często powtarza Mencwel. Perspektywa ta ma jedną trudną do zaakceptowania, przez zniewoloną hegemonicznym dyskursem politycznych mediów konsekwencję. Jest to zgoda na przyjęcie twierdzenia, że dla przewyciężenia syndromów cywilizacyjnego zapóźnienia, wypracowania „dojrzałości dziejowej”, peryferii zasadnicze znaczenie ma społeczna emancypacja, że wobec przemian społecznych kwestia suwerenności jest drugorzędna (nie nieważna). Tak było u Brzozowskiego. Mencwel stara się wykazać, że kwestia przyjęcia wtórności „wybicia się na niepodległość”, wobec pilności przemian społecznych i cywilizacyjnych była w myśli polskiej doby zaborów, zwłaszcza na przełomie XIX i XX wieku zawsze obecna. I miała największe konsekwencje praktyczne. To jeden z wektorów określających jego badania jako historyka idei. Wraz z momentem naszego wstąpienia

do Unii Europejskiej i nieustannego straszaka w postaci „zagrożenia suwerenności” problematyka ta nabrała szczególnej aktualności. Jest to temat na osobną rozprawę.

Wyzwolenie się z fantasmagorii (nikt nie zaprzeczy, że barwnego, ciekawego i wciągającego jak *Trylogia* i Grottgerowska ikonografia) dziedzictwa jako testamentu nie jest łatwe. Ale warto jak Mencwel przypominać: „My, którzy mamy korzenie chłopskie lub plebejskie i nie pochodzimy wcale z Kresów Wschodnich ani z Kongesówki, tylko ze Śląska, Wielkopolski, Pomorza i innych regionów Polski, nie musimy czuć się dziedzicami przegranych powstań”. Ze swojej strony mogę dodać, że nawet „pochodzenie chłopskie lub plebejskie” nie jest *conditio sine qua non*. Z przekazów rodzinnych wiem, pomimo rytualnych odwiedzin pochowanego w grobie weteranów powstań 1831 i 1863 (grobu będącego zresztą w dość opłakanym stanie), na krakowskich Rakowicach pradziadka Antoniego Komorowskiego, spadkobiercami „przegranych powstań” nikt z moich bliskich się nie czuł. A z tego, co wiem o życiu mojego pradziadka, mogę podejrzewać, że nie czuł się nim i on, mimo że w przegranych powstaniu uczestniczył.

Hegemonia testamentowego dyskursu jest tak perwersyjna, obawy przed oskarżeniem o narodową apostazję tak mocne, że udajemy kogoś innego niż jesteśmy. „I pełzniemy w przyszłość, choć zdaje się nam, że wzlatujemy”.

Symptomy otrzeźwienia z fanstasmagorycznej tradycji, jakkolwiek nie częste, pojawiały się zawsze. To publicystyka „Kultury”, zwłaszcza Juliusza Mieroszewskiego, tak ceniona przez Mencwela, teksty Andrzeja Walickiego i Bronisława Łagowskiego, proza Wiesława Myślińskiego.

Martin Heidegger w jednym ze swoich ostatnich listów do Hannah Arendt pisał: „Wszystko rozgrywa się na pierwszym planie. Nikt nie jest już w stanie zrobić czegokolwiek przeciwko tyranii mass-mediów i instytucji – nic, w każdym razie co liczy się z myślenia, począwszy od inauguracyjnego gestu myśli greckiej”. Presja „porannogazetowozadowolonych” (Karl Kraus) jest dziś większa niż rodzinności i towarzyskości „czterech pobielonych ścian szlacheckiego dworku”. Tam było stosunkowo łatwo się wymigać od partyjki gry w winta i czytać Platona, Darwina, Cieszkowskiego czy Marksa. „»Pasjansowi mędrcy« i »narodowi męczennicy« przyglądali się takim pobłażliwie” (parafrazuję Brzozowskiego). Dziś Mencwela czytać jest trudniej, skoro wszystko dookoła usiłuje nas przekonać, że odrobienie cywilizacyjnych zaległości, w które popadliśmy z naszej i nie naszej (z akcentem na naszej) winy, to sprawa środków, pieniędzy, funduszy, „niewidzialnej ręki rynku”. Wszystkiego, ale w najmniejszym stopniu myśli.

Nie tak dawno temu, na przyjęciu dyplomatycznym w małym środkowoamerykańskim kraju, który kocham, rozmawialiśmy z radcą ambasady USA (zresztą polskiego pochodzenia) o tamtejszych elitach. Nachylił mi się do ucha i powiedział: *arrogant beggers* – „aroganczy żebracy”.

BRONISŁAW BACZKO

POCHWAŁA ANDRZEJA MENCWELA

W czasach zamierzchłych, ponad pół wieku temu, w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku Andrzej Mencwel uczęszczał na moje wykłady i seminaria. Dobry los sprawia – choć nader rzadko – że wykładowca trafia na takiego studenta. Jest to dla niego prawdziwy skarb: gdy wielu słuchaczy dyskretnie ziewało, Andrzej nie tylko przygotował świetny referat, ale brał czynny udział w dyskusjach, wzbogacał je swoimi lekturami i przemyśleniami, a zwłaszcza swym oryginalnym podejściem do podejmowanych zagadnień, w szczególności do twórczości Stanisława Brzozowskiego, którą studiowaliśmy, o czym za chwilę.

Toteż wkrótce rozmowy moje z Andrzejem przeciągały się poza zajęcia i zaprzyjaźniliśmy się. Marzec 1968 roku, czas pogardy i czas próby, wzmocnił naszą przyjaźń. Następnie losy rozrzuciły nas po świecie. Widywaliśmy się rzadziej, ale nie pominęliśmy żadnej okazji spotkania, gdy Andrzej przyjeżdżał do Genewy, a ja bywałem w Warszawie. Jak to wśród przyjaciół, nieraz po wieloletniej przerwie, po wymianie bieżących informacji kontynuowaliśmy naszą rozmowę, tak jakbyśmy się rozstali wczoraj. Nigdy, nawet w trudnych czasach nie przerwaliśmy kontaktu intelektualnego – wymienialiśmy nasze książki i publikacje, korzystaliśmy z życzliwości przyjaciół, aby przekazać pozdrowienia.

Jak już wspomniałem, w latach sześćdziesiątych zbliżyła nas bardzo twórczość Stanisława Brzozowskiego – stał się on niejako patronem naszej przyjaźni. Status Brzozowskiego i jego twórczości był wówczas dość niejasny: przestał już być zdrajcą i agentem Ochrony, ale daleko mu było do pomnikowej pozycji klasyka. W dodatku był to pisarz nie tylko mało ortodoksyjny, ale wręcz umykający wszelkim próbom szufladkowania, niby trochę marksista, ale bardzo podejrzanego gatunku. Większość jego książek, poza *Plomieniami*, nie była wznowiona, (korzystam z okazji, aby pogratulować wydawcom niedawnej inicjatywy wydania, nareszcie, dzieł zebranych Brzozowskiego). Moje zajęcia o Brzozowskim znalazły niespodziewany oddźwięk i w znacznym stopniu mnie przerosły – uczęszczało na nie mnóstwo osób, nawet spoza Uniwersytetu, a dyskusje ciągnęły się długo po zajęciach, na korytarzach, lub w Bristolu. Andrzej był jednym z najważniejszych i najciekawszych uczestników, nieocenioną wręcz po-

moć: już wówczas imponował swoim odczytaniem, swoją pasją i dociekliwością. A w dodatku był to polonista wśród filozofów... Wspominam te odległe początki, aby nie uległy zapomnieniu. Jak wiadomo, następnie Andrzej poświęcił twórczości Brzozowskiego wiele lat pracy i pomysłowości: napisał o nim znakomitą monografię, przyczynił się waleśnie do wznowienia jego dzieł, rozbudził zainteresowanie Brzozowskim wśród szerszej publiczności, jest uznanym i powszechnie poważanym autorytetem wśród badaczy twórczości autora *Legendy Młodej Polski*.

Być może właśnie Brzozowski wpłynął na właściwe Andrzejowi ujmowanie literatury w szerokim kontekście, jako części składowej kultury. Szeroko pojęta antropologia kultury stała się też uprzywilejowanym obszarem wszechstronnych prac Andrzeja, wyróżniających się wielostronnością i oryginalnością – jego wykładów, książek i publikacji. A w dodatku – rzadkość wśród humanistów – są one świetnie napisane, Andrzej jest znakomitym eseistą. Wyróżnia go również – inna rzadkość wśród humanistów – wrażliwość i dociekliwość metodologiczna. Niemal każda z jego prac jest równocześnie refleksją nad założeniami i postawami metodologicznymi humanistyki. W pracach Andrzeja o współczesnej kulturze polskiej uderza nie tylko wszechstronność i dociekliwość badacza, ale również – przejęta być może od Brzozowskiego – głęboka troska o kulturę polską, o jej perspektywy, drogi i bezdroża. Nie tu miejsce na omówienie całokształtu dorobku Andrzeja, a zwłaszcza jego ważkiej książki *Etos Lewicy. Esej o narodzinach kulturalizmu polskiego* (1990, 2009) ani też jego wieloletniej, ofiarnej i płodnej pracy pedagogicznej, wykładów i seminariów w ramach założonego przez niego Instytutu Kultury Polskiej UW – ale jest to szczególna okazja do podziękowania mu za jego trud i twórczość.

Życzę Ci najserdeczniej, Andrzej, wielu nowych książek, na które czekam, wraz z Twoimi licznymi czytelnikami. Jak mnie poinformowano, tekst ten ma odczytać Szanowna Pani Profesor Małgorzata Szpakowska. Proszę Cię więc, Małgosiu, abyś w moim imieniu uściskała Andrzeja.

BRONISŁAW BACZKO
Genewa, 1. XII. 2012 r.

*Rada Stowarzyszenia
„Kuźnica”*

przyznaje

Honorową Nagrodę Kowadła

ANDRZEJOWI MENCWELOWI

w uznaniu

- *dorobku dziesięcioleci pracy nad poznaniem i przybliżeniem wielkich spraw kultury i dzieł jej twórców*
- *wytrwałego zaangażowania w zmaganiach o wolność i sprawiedliwość w Polsce*
- *niezmiennego wyboru bliskich „Kuźnicy” lewicowych wartości.*

Kraków, 15 grudnia 2012 r.

15 grudnia 2012 r. w Klubie Księgarza na Rynku Starego Miasta, na zebraniu członków i sympatyków „Kuźnicy” w Warszawie, wręczyliśmy Kowadło profesorowi Andrzejowi Mencwelowi. Sympozjum otworzył, uderzeniem młota w kowadło, prezes „Kuźnicy” doc. Andrzej Kurz, a laudację na cześć laureata – nadesłaną z Genewy przez (90-letniego!) profesora Bronisława Baczkę – odczytała prof. Małgorzata Szpakowska. Laudację uzupełniły wystąpienia profesorów Andrzeja Walickiego i Andrzeja Lama, a obszerny fragment najnowszej rozprawy laureata o Stanisławie Brzozowskim i czasie go poprzedzającym – od powstania styczniowego – oraz ludziach i sprawach mu współczesnych odczytała, jak zwykle fenomenalnie, Krystyna Czubówna.

Tu kilka słów o bohaterze wieczoru. Studia rozpoczął jako siedemnastolatek. Październik 1956 najsilniej wpłynął na jego osobowość. W 1958 r. znalazł się w redakcji studenckiego tygodnika „Od nowa”, wkrótce przekształconego w „itd”. Publikował we „Współczesności” i „Nowej Kulturze”, w „Twórczości” i „Dialogu”. Studiował pod kierunkiem Stefana Żółkiewskiego i został asystentem profesora. Środowisko, które go kształtowało to Bronisław Baczeko, Leszek Kołakowski, Krzysztof Pomian, czyli dwie ważne szkoły naukowe – „warszawska szkoła strukturalna” i „warszawska szkoła historii idei”. W 1968 r. związany był ze środowiskiem „komandosów”, oraz kręgiem Tomasza Burka, Jana Grossa, Waldemara Kuczyńskiego czy Jadwigi Staniszkis. Zaangażował się w „marcowe” protesty i nawet trafił do aresztu.

Droga naukowa zaprowadziła go do świeżo powstałej wówczas Katedry Kultury Polskiej na UW, z którą związany jest do dziś.

W czasie „Karnawału »Solidarności«” wraz z kolegami założył miesięcznik „Meritum”, działał też jako ekspert IX Zjazdu.

W stanie wojennym Mencwel rozstał się z PZPR, ale zawsze uważał się za człowieka lewicy. W trudnych latach 80. pracował nad rozprawą habilitacyjną *Etos lewicy. Esej o narodzinach kulturalizmu polskiego*, opublikowaną w 1990 r.

Obecnie Mencwel jest profesorem w Instytucie Kultury Polskiej i w warszawskiej Akademii Teatralnej, jest wiceprzewodniczącym Komitetu Nauk o Kulturze i członkiem Komitetu Nauk o Literaturze PAN, należy też do wielu innych znaczących gremiów, w tym Association Internationale de Critiques Litteraires oraz Collegium Invisible, cieszy się uznaniem i przyjaźnią najwybitniejszych, stąd wśród gości uroczystości w Klubie Księgarza znaleźli się m.in. profesorowie Władysław Markiewicz, Henryk Samsonowicz, b. wicepremier Józef Teichma, a także redaktor naczelny „Gazety Wyborczej” Adam Michnik. Obecni byli ludzie pióra, laureaci Nagrody Nike: Wiesław Myśliwski i Marian Pilot oraz Eugeniusz Kabatc i Michał Jagiełło.

Spotkanie takiego gremium stało się doskonałą okazją do zaprezentowania nowego numeru „Zadania”, które przedstawił naczelny redaktor Edward Chudziński.

Rolę gospodarza pełnił jak zawsze z wdziękiem i swadą, niezawodny w swojej roli animatora środowisk inteligentkich, Jan Rodzeń – świeży laureat prestiżowego medalu „Za tolerancję”. Życzliwej pomocy „Kuźnicy” i Klubowi Księgarza udzielił, jak zawsze, Fundacja im. Róży Luksemburg i ZAiKS, którym winniśmy wdzięczność.

**Rada Stowarzyszenia
„Kuźnica”**

przyznaje

HIERONIMOWI KUBIAKOWI

Honorową Nagrodę Kowadła

w uznaniu

- Jego oddania człowiekowi i ludziom, polskiej racji stanu i racji pokoju na świecie
- Jego trwałego i od początku związku z „Kuźnicą”, którą inspirował i kierował
- Jego profesorskiej mądrości i nauczycielskiego zapatu
- Jego marszu przez życie z wysoko uniesioną głową.

Kraków, 19 grudnia 2012 r.

Zupełnie wyjątkowy charakter miała uroczystość wręczenia „Kowadła” honorowemu prezesowi „Kuźnicy” profesorowi Hieronimowi Kubiakowi. Laudację wygłosił prof. Piotr Sztompka, a Jan Güntner ozdobił spotkanie niemal zapomnianym już dziś, a wielce przystającym do obecnego czasu poematem K.I. Gałczyńskiego z 1928 r. pt. *Koniec świata*.

Laureat to nie tylko wybitny uczony socjolog i polityk, ale też wieloletni przyjaciel wielu spośród członków Stowarzyszenia od pamiętnego października 1956 r.

Społeczny temperament Kubiaka zaznaczył się już w połowie lat 50. gdy jako student zaangażował się w działalność ZSP. To w czasach jego przewodniczenia Radzie Okręgowej Zrzeszenia kultura studencka Krakowa zrodziła takie niezwykle zjawiska jak klub „Pod Jaszczurami”, Teatr 38, Teatr STU czy całe barwne środowisko klubów studenckich.

Jego pasją miała stać się socjologia, a swe zainteresowania rozwijał na stypendium Fulbrighta w USA, gdzie zapoczątkował, trwające potem długie lata, badania nad Polską, podejmował też pionierskie badania nad Polakami w ZSRR.

Był twórcą i przez kilka lat dyrektorem Ośrodka Badań Polonijnych UJ, a także redaktorem naczelnym „Przeglądu Polonijnego”. Tej tematyki nie porzucił zresztą i dziś, choć radykalnie rozszerzył krąg swych zainteresowań naukowych.

Publikował liczne prace z zakresu socjologii narodu i religii, a jego praca doktorska *Polski Narodowy Kościół Katolicki w Stanach Zjednoczonych Ameryki w latach 1897-1965* znalazła potem kontynuację w serii publikacji, jak np. *Rodowód narodu amerykańskiego*, a także w badaniach nad religijnością Polaków.

W 1981 r. Kubiak zaangażował się w działania na rzecz odnowy polskiej lewicy i na IX Nadzwyczajnym Zjeździe PZPR został wybrany na funkcję sekretarza KC. Wściekle atakowany przez konserwatywne skrzydło władz partii, wkrótce po wprowadzeniu stanu wojennego został odwołany z tej funkcji, jednak gdy powiały inne wiatry, znów okazał się potrzebny i jako reprezentant strony rządowo-koalicyjnej był uczestnikiem obrad Okrągłego Stołu.

Profesor nie zaniedbywał jednak pracy naukowej i dydaktycznej na UJ. Jej efektem była monumentalna praca *Polonia amerykańska. Przeszłość i współczesność*. Polityczne zainteresowania Kubiaka znalazły swe odbicie m.in. w pracy *Between Animosity and Utility. Political Parties and Their Matrix*, a także w obszernej książce *U progu ery postwestfalskiej*. Obecnie profesor wyklada w Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego.

Szczególne miejsce zajmuje Kubiak w dziejach „Kuźnicy”. Jest jednym z jej założycieli, ale szczególnie zaznaczał swą obecność w chwilach dla Stowarzyszenia najtrudniejszych. W stanie wojennym, gdy pod pretekstem „cięcia po skrzydłach” „Kuźnica” została rozwiązana, Kubiak potrafił spowodować, że udało się utrzymać jedność środowiska kuźniczańskiego, członkowie „Kuźnicy” pamiętają jednak przede wszystkim, że to z jego inicjatywy i dzięki jego uporowi „Kuźnica” odrodziła się jako stowarzyszenie w nowej sytuacji po przemianach ustrojowych. Taki moment nadszedł też, gdy Hieronim Kubiak objął prezesurę Stowarzyszenia w sytuacji kryzysu.

PIOTR SZTOMPKA

SPOŁECZNE ROLE HIERONIMA KUBIAKA

Nieczęsto się zdarza, aby ktoś pełniący na swojej życiowej drodze wiele różnych ról społecznych, w każdej z nich zdobywał uznanie i szacunek. A to jest właśnie przypadek dzisiejszego laureata. Życie Hieronima Kubiaka wypełniały i wypełniają cztery role: badacza naukowego, nauczyciela i wychowawcy młodzieży akademickiej, organizatora i konstruktora instytucji naukowych oraz działacza społecznego i politycznego. Dobrze sprawdził się we wszystkich.

Jest przede wszystkim wybitnym socjologiem. Ale zaczynał jako filolog, a do socjologii zaprowadziła go chyba ta sama wyniesiona z robotniczej Łodzi lewicowa wrażliwość, która znacznie później kazała mu podejmować trudne i niepopularne funkcje polityczne. Zanim zaczął działać publicznie, chciał społeczeństwo lepiej zobaczyć i głębiej zrozumieć. To dobra kolejność, warta przypomnienia w czasach, gdy na marsze uliczne i barykady idą zaślepieni ignoranci. Tak więc Kubiak szybko przekraczał kolejne szczeble socjologicznego wtajemniczenia: w cztery lata po magisterium – doktorat, w cztery następne lata – habilitacja, a siedem lat później – profesura belwederska. Cały czas pod egidą Uniwersytetu Jagiellońskiego i opieką ówczesnego nestora polskiej socjologii profesora Kazimierza Dobrowolskiego. Dopiero emerytura zamyka jego mariaż z uniwersytetem i otwiera rozdział dalszej pracy w Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego.

A w długim „międzyczasie” buduje swój dorobek naukowy, ważne dzieło znakomitego badacza empirycznego, ale i wnikliwego, refleksyjnego obserwatora życia społecznego nie stroniącego od uogólnień i syntez. Ktoś, kto może postawić na półce w domu i odnaleźć w bibliotekach pod literą „K” dwadzieścia własnych książek – sześć autorskich, siedem współautorskich i tyle samo zbiorowych, redagowanych – może śmiało zameldować, że plan życiowy wykonał. I nie są to książki pisane po to, aby spełnić naukometryczne standardy mierzone liczbą stron, owe tak częste dzisiaj książki będące dziełem introligatorów raczej niż uczonych. Kubiak pisze bo coś go zastanawia, dziwi, interesuje i długo, mozolnie drąży do głębi społeczną materię, zanim się podzieli wynikiem z czytelnikami. Żyje problemami, pytaniami, zagadkami społecznymi. Każdy, kto go zna, wie, że przy każdym spotkaniu będzie słuchał długiej relacji o jakiejś nurtującej Kubiaka właśnie kwestii.

A co go zastanawia, dziwi i interesuje? Po pierwsze, religia jako uniwersalny fenomen kulturowy i jego zmieniające się kształty w dzisiejszym, złożonym, plura-

listycznym świecie. Sam, daleki od światopoglądu religijnego, bada religię z koniecznym dla badacza dystansem, jako obiektywny fakt społeczny o wielkim znaczeniu. Po drugie, Kubiaka fascynuje fenomen narodu, procesów narodotwórczych, świadomości narodowej, kariera nacjonalizmu, siła więzi etnicznych. Terenem jego refleksji jest nie tylko Polska, ale także Stany Zjednoczone, gdy pyta o istnienie narodu amerykańskiego, czy Europa po traktacie westfalskim, zderzająca się do dzisiaj z unijnym projektem integracji. Po trzecie, podejmuje zagadnienie migracji, a w szczególności losów polskiej diaspory, w których stapiają się podejmowane wcześniej wątki katolickiej religijności i narodowej lojalności. Zaryzykuję tezę, że prace Kubiaka o Polonii amerykańskiej, polskim Kościele narodowym, gettoizacji i kłopotach asymilacji Polaków w Stanach Zjednoczonych, są najważniejszym polskim wkładem w tę tematykę od klasycznego dzieła Floriana Znanieckiego i Williama I. Thomasa *The Polish Peasant in Europe and America*. Po czwarte, wiele pracy, także w międzynarodowych zespołach badawczych, a także gronach eksperckich i doradczych w kraju, poświęca dzisiejszy laureat problematyce pokoju, konfliktów międzygrupowych, strategii ich rozwiązywania i znaczeniu ruchów pokojowych. Po piąte wreszcie, a data nie jest tu przypadkowa, dopiero w latach osiemdziesiątych Kubiak wkracza wprost na pole socjologii polityki. Jak się domyślam, wtedy dopiero jego wieloletni czynny udział w świecie polityki – o czym będzie jeszcze mowa – stwarza w jego odczuciu legitymację do opisywania tego świata z pozycji „insidera”, a czas wolności otwiera szansę dla porzucenia dyskursu ideologicznego na rzecz w pełni naukowego. Bierze udział w międzynarodowych zespołach i projektach badawczych analizujących dylematy demokracji, pisze o przywództwie politycznym, systemach partyjnych, mechanizmach władzy. Ktoś powiedział, że badacz naukowy w dziedzinie nauk o człowieku pisze zawsze w końcu swoją własną biografię. Chyba ten piąty wątek naukowych dokonań Hieronima Kubiaka ilustruje tę myśl najlepiej.

Druga rola społeczna Hieronima Kubiaka, to nauczyciel i wychowawca młodzieży akademickiej. Kiedy po długiej przerwie powraca w 1989 roku do pracy dydaktycznej w Instytucie Socjologii, i do tego powraca ze stygmatem działacza partyjnego – sale wykładowe zapełniają się od razu studentami, którzy przyjmują go z otwartymi ramionami, a w procedurze ewaluacji dają mu najwyższe noty. Nic dziwnego, bo przed każdym wykładem widzę go jak ugina się pod ciężarem książek,

które niesie dla studentów, aby naocznie pokazać kto dane zagadnienie badał i zachęcić ich do samodzielnej lektury. Chce formować umysły i charaktery. A gdy przychodzi do egzaminów, jest bodaj ostratnim, który trzyma się tradycyjnej formy ustnej i spędza nieraz ponad tydzień na wielogodzinnych, indywidualnych rozmowach z egzaminowanymi, z których każdy ma prawo do co najmniej trzydziestu minut jego czasu. Boją się okropnie, ale doceniają. A gdy dochodzą do etapu pisania prac magisterskich, krążą legendy o tym, jak Kubiak sprawdza każdy przecinek, pomaga sformułować każde zdanie i nadać całości sensowną strukturę. A wypromował ponad pięćset magistrów socjologii. Można się domyślać, ile wysiłku poświęcał swoim doktorantom, których wypromował osiemnastu, a o tym, że miał dobrą rękę niech świadczą cztery tytuły profesorskie jego uczniów i świetne kariery kilku innych. Pomagał im wszystkim, lansował, pielęgnował, troszczył się osobiście znacznie ponad zwykłą miarę. Inna sprawa, że niektórzy nie potrafili tego daru docenić i odwzajemnić.

Trzecia z ról dzisiejszego laureata, to budowniczy i organizator instytucji naukowych. Najważniejsze jego materialne, organizacyjne i intelektualne dzieło to Instytut Badań Polonijnych UJ w Przegorzatach. Dzięki jego inicjatywie, uporowi, a także sile politycznego „przebicia” – powstała w trudnych latach siedemdziesiątych inwestycja i placówka naukowa, którą kierował przez następne szesnaście lat i która stała się dumą Uniwersytetu Jagiellońskiego, lokum niezliczonych konferencji, sympozjów, szkół letnich. W tym okresie Kubiak stworzył i przez kilkanaście lat redagował wysoko cenione czasopismo „Przegląd Polonijny”, a także dwie serie monografii na tematy polonijne, których ukazało się niemal pięćdziesiąt tomów. Wymienianie wszystkich innych funkcji, jakie dzisiejszy laureat pełnił w życiu naukowym – w komisjach, komitetach, radach i redakcjach – znużyłoby wszystkich Państwa, a zapewne i jego samego.

Przejdę więc do roli ostatniej, ale nie najmniej ważnej – roli działacza społecznego i politycznego. Już w czasach studenckich Kubiak odczuwał imperatywy samorealizacji także w takim zakresie, zdobywając szybko pozycję przewodniczącego krakowskiej Rady Okręgowej ZSP. Ale z tytułem przewodniczącego nie pozostał – jak wielu w sytuacjach podobnych – a został prawdziwym, uznanym przywódcą licznego środowiska studenckiego Krakowa. Także i tu pozostawił po sobie ślady trwałe, gdy z architektem Tomaszem Mańkowskim inicjował i kreślił koncepcję wielotysięcznego miasteczka studenckiego. Wrócił wtedy z pierwszego studenckiego stypendium w USA i przejął się wizją prawdziwego campusu w Krakowie. Z pożytkiem dla studentów po dziś dzień.

Ta sama lewicowa wrażliwość, pasja społecznikowska i ateistyczny światopogląd, które zapewne doprowadziły go do socjologii, kazały mu jeszcze przed dwudziestymi urodzinami wstąpić do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, w której pozostał przez trzydzieści sześć lat, dochodząc w latach osiemdziesiątych do najwyższych partyjnych funkcji: sekretarza KC i członka Biura Politycznego. I także w tych rolach, w odbiorze wielu Polaków, a także większości środowiska naukowego nader niepopularnych, Kubiak cieszył się zawsze szacunkiem, a często uznaniem. Jak to było możliwe? Myślałem sobie w tamtych czasach, że prawdziwych komunistów łatwiej było wtedy znaleźć w Paryżu i w Oksfordzie niż

w Krakowie czy Warszawie. Wydaje mi się, że Kubiak był tu jednym z wyjątków, działaczem lewicowym na serio, ze szczerego przekonania, że naprawdę wierzył w ideę emancypacji mas ludzkich, uwolnienia ich od alienacji, nadania sensu życiu – poprzez tę formę organizacji ustrojowej, której inspirację dawał Karol Marks, a którą niestety strywializowali i wypaczyli późniejsi marksiści. Chciał budować socjalizm humanistyczny, nie autokratyczny czy tym bardziej nie totalitarny, a łączący wartości marksistowskie z ideami liberalizmu i demokracji. I w tym sensie był bliższy marksizmowi zachodniemu Gramsciego, Lukacsa czy Althussera niż marksizmowi Lenina. A do tego szukał ścieżek racjonalnych, opartych na krytycznym myśleniu i naukowym rozpoznaniu, a nie na ideologicznym entuzjazmie. Reprezentował w partii nurt otwarty, trzeźwy, gotowy do budowania mostów, a nie wznoszenia murów. To ludzie dostrzegali; nawet gdy był „tam”, był jakoś inny, był „naszym człowiekiem” w tych przeważnie obcych dla wielu Polaków kręgach.

I jeśli mogę pozwolić sobie na refleksje prywatną, trudno mi było tylko zrozumieć i darować dlaczego 13 grudnia 1981 roku nie dołączył do tych kilkuset tysięcy członków partii, którzy w geście protestu przeciwko zdławieniu „Solidarności” rzucili legitymacje partyjne. Dlaczego pozostał u boku Generała? Może chciał być wierny swojemu słowu, bo kilka lat wcześniej pisał w agitacyjnej broszurce, że nigdy partii nie opuści? No i rzeczywiście, dotrzymał słowa i to partia go opuściła, kiedy w 1986 roku został usunięty z najwyższych stanowisk partyjnych, a niedługo później już jako szeregowy członek patrzył na wyprowadzanie sztandaru PZPR z Sali Kongresowej. A dzisiaj, z perspektywy lat myślę jeszcze inaczej – że gdyby choć trochę ludzi pokroju intelektualnego i orientacji ideowej Kubiaka nie zostało wtedy w partii, to może Okrągły Stół nie stałby się najwspanialszym meblem w naszej historii, przy którym zresztą sam zasiadał, a potem nie doszłoby do historycznego kompromisu i cudu wyborów czerwca 1989 roku. Po przełomie ustrojowym Kubiak należał do tych, którzy z pokorą przyjęli wyrok społeczeństwa i historii, i włączył się z pełną pasją w budowanie lepszej Polski w obszarach zawsze sobie najbliższych: naukowym i nauczycielskim. A środowisko naukowe przyjęło go z powrotem bez oporów. Jego osiągnięcia w ostatnim dwudziestolecu są znakomitym dowodem na mądrość polityki grubej kreski Tadeusza Mazowieckiego, który zresztą nie wahał się powierzyć mu pewnych funkcji doradczych.

I tak w pracowitym życiu Hieronim Kubiak realizował cztery swoje społeczne role. Ale za rolami społecznymi stoi jeszcze człowiek i obywatel. I tu szukać trzeba tej najważniejszej tajemnicy jego sukcesów. Człowiek myślący, racjonalny, tolerancyjny i otwarty. Człowiek wrażliwy na biedę i ludzkie niedole, zatroskany o dobro wspólne. Człowiek przyjazny, gotów do pomocy i bezinteresownego wsparcia udzielanego innym, niekoniecznie tylko najbliższym i przyjaciółom. Człowiek odpowiedzialny i uczciwy. Optymistyczny i uśmiechnięty. Życzliwy dla ludzi i zakochany w pewnym jamniku imieniem Maciuś.

Nagroda Kowadła honoruje dzisiaj to co Hieronim Kubiak w swoich czterech rolach społecznych osiągnął, ale także to, kim po prostu jest.

PIOTR SZTOMPKA

HIERONIM KUBIAK

MOJE ŻYCIE GRĄ PRZYPADKÓW?

(podziękowanie laureata Nagrody „Kowadła”)

Wiem, że w trakcie uroczystości takich jak ta, nadgrzany kuźniczańskim „Kowadłem” powinien przede wszystkim podziękować jej gospodarzowi, docentowi Andrzejowi Kurzowi, laudatorowi, profesorowi Piotrowi Sztompce oraz wszystkim, którzy zechcieli dziś być tu razem ze mną. Co też czynię z pochyloną głową.

Pamiętam także, że powinienem powiedzieć kilka zdań o sobie. Nie jest to jednak takie proste, bo cóż mogę jeszcze dodać do laudacji profesora Sztompki? A ponadto mówiąc o sobie z reguły wkraczamy w niebezpieczną przestrzeń rozciągającą się pomiędzy skłonnością do dręczenia samego siebie z jednej strony, a narcyzmem z drugiej. Jak uchronić się przed tą pułapką, skoro życie każdego z nas składa się nie tylko z faktów, lecz także subiektywnie przypisanych do nich wartości dodanych, nie tylko konstytuujących nasz światopogląd, lecz także regulujących nasze zachowania wobec siebie i innych? I gdy te fakty wynikają nie tylko z racjonalnie przemyślanego planu, lecz również (a może nawet głównie!) z gry przypadków?

Początek mojej życiowej drogi zaczyna się w robotniczym środowisku Łodzi, ściśle powiązanim z etosem Reymontowskiej *Ziemi obiecanej*. Z przedwojnia zapamiętałem przede wszystkim czas nadchodzących świąt: znaczone zapachem pastowanej drewnianej podłogi, ciepłem płomieni widocznych zza żeliwnych krążków zamykających otwory w kuchennej płycie i oczekiwaniem na kawatek drożdżowego ciasta...

Ślady wojny zapisane w mej pamięci wstecznej to codzienne modlitwy matki, jej pieśni, zwłaszcza te śpiewane wraz z sąsiadkami podczas majowych nabożeństw, listy ojca z nadrukiem Kriegsgefangene, butę trochę starszych ode mnie chłopaków maszerujących

w mundurach Hitlerjugend, wędrowki gdzieś za Konstantynów pod Łodzią w poszukiwaniu chleba...

Po wojnie rozpocząłem szkołę od trzeciej klasy. Matura z wyróżnieniem w 1952 r. W nagrodę miałem jechać na studia do ZSRR. Narastający niepokój mej matki. Gdy wszystko zdawało się być już przesądzone, na trzy dni przed terminem zbiórki w Warszawie zostaliśmy zawiadomieni przez Ministerstwo Oświaty, że jednak powinienem się zgłosić na Uniwersytet Jagielloński i po egzaminie wstępnym podjąć tam studia rusycystyczne. Matczyzna nieklamana radość i zarazem niepewność. Co z tym Krakowem? Dlaczego do Krakowa? Przecież nikogo tam nie znamy. Na drogę dostałem od rodziców wielotomowe wydanie pism Józefa Piłsudskiego *Pisma – Mowy – Rozkazy* (pod red. M. Sokolnickiego i J. Stachiweicza).

Krakowskie bramy otwiera przede mną II Dom Studencki, legendarny „Żaczek”. Mieszkam w kilkuosobowym pokoju razem m. in. z Piotrem Skrzyneckim, bo też był z Łodzi i filologami (w tym późniejszymi profesorami WSP w Rzeszowie). Dom rodzinny prawdziwych krakowiaków, podobnie jak większość mieszkańców DS-u, poznaję dopiero w trzy lata później. Oddychamy atmosferą sal wykładowych, stołówek i klubów, które tworzymy, nawiązując do tradycji międzywojennego „Bratniaka”, w ramach ZSP. Od 1953 r. należę do PZPR, bo jest to środowisko intelektualne dominujące we wszystkich akademikach.

Otrzymuję stypendium naukowe im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Uzyskuję magisterium w 1956 r., ale profesor Wiktor Jakubowski, ówczesny szef krakowskiej rusycystki i mój promotor nie przyjmuje mnie do swojej katedry.

Moja pierwsza praca zawodowa zaczyna się od Liceum Ojców Pijarów, gdzie uczę języka rosyjskiego. Później zostaję zatrudniony jako lektor Zarządu Wojewódzkiego ZMP, a po rozwiązaniu tej organizacji, Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Ale o mej wizji świata i przepisie na życie decyduje coraz silniej nie praca zawodowa, lecz „Piwnica pod Baranami” oraz atmosfera innych klubów studenckich.

Polski Październik 1956 i pierwsze samodzielne kroki po polskiej drodze do socjalizmu. Lektura „Po prostu”. Poznaję starych działaczy PPS. Od Bolesława Drobnera w „Rotundzie”, w trakcie jednego z wieczorów zrewoltowanych studentów słyszę hasło, które pamiętam do dziś: *My już sami są z wąsami*. Plus twarz i sylwetka Drobnera. W studenckich klubach często późną nocą i przy bułgarskim winie, toczą się rozmowy z Lucjanem Motyką i jego przyjacielem Józefem Cyrankiewiczem. Są z nami, bez urzędowej ochrony.

Muszę zdecydować, co zrobić z sobą. Nie mam mieszkania, ale powinienem je znaleźć nie tylko dla siebie, lecz i dla mej żony oraz córki (Kasi, ur. w 1955 r.). Wiem także, że magisterium z filologii już mi nie wystarczy. Nie chcę być tylko zawodowym tłumaczem, lecz także samemu mieć coś do powiedzenia. Tym bardziej że uczestnictwo w życiu społecznym przynosi mi pytania, na które nie znam odpowiedzi.

O wszystkim zadecyduje teraz (w 1959 r.) ponowne otwarcie, w ramach destalinizacji, krakowskich studiów socjologicznych i postać profesora Kazimierza Dobrowolskiego. Podejmuję więc kolejne studia. Zostaję (wiosną 1961 r.) przewodniczącym Rady Okręgowej ZSP i jesienią tegoż roku asystentem profesora Jerzego J. Wiatra w Katedrze Etnografii Ogólnej i Socjologii. Zaczynam na poważnie interesować się socjologią religii, narodu i polityki.

W ZSP inicjujemy budowę krakowskiego Miasteczka Studenckiego wg projektu profesora Tomasza Mańkowskiego i jego współpracowników z Politechniki Krakowskiej. Gdyby ktoś powiedział nam wtedy, że miasteczko w latach 1972-2012 stworzy dach nad głową dla ok. 450 tys. młodych ludzi wędrujących, jak Stanisław Pigoń, z przysłowiowej Komborni w świat – nie uwierzylibyśmy mu. W Zrzeszeniu angażuję się również bez reszty w przygotowania do 600. rocznicy założenia Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jeszcze nie wiem, że ten jubileusz umożliwi mi późną wiosną 1964 r. spotkanie i rozmowę w Jaszczurach z Robertem Kennedym (co Lester David opisze po latach w książce *Jacqueline Kennedy Onassis*, wyd. Philip Wilson, Warszawa 1994, s. 70) Na pożegnanie Kennedy pyta, czy chciałbym studiować w USA. Odpowiadam, że tak, ale kto za te studia zapłaci? Słyszę w odpowiedzi: *Just do not worry!*

W niecałe dwa miesiące później otrzymuję zaproszenie od Narodowego Związku Studentów Stanów Zjednoczonych. Dostaję polski paszport i amerykańską wizę. Może to tylko sen? W połowie września 1964 r. wysiadam z dziesięcioletniego M.s. Romer (polskiego liniowca pływającego z Gdyni do Zatok Meksykańskiej) na East River w Nowym Jorku. Wszystkie wydaje mi się nadal nieprawdopodobne: miałem kiedyś studiować w ZSRR, a będę odtąd studentem m. in. Roberta Mertona w Columbia University i Jamesa S. Colemana w The University of Chicago!

Będę więc socjologiem. Może także amerykańistą? Uczę się wtedy Stanów Zjednoczonych także dzięki uczestnictwu w seminarium profesora Zbigniewa Brzezińskiego (poświęconym studiom porównawczym nad komunizmem) oraz dziejów II RP w trakcie częstych spotkań z Wacławem Jędrzejewiczem, Feliksem Grossem, Tadeuszem Gromadą i Eugeniuszem Kusielewiczem. Dostaję od Roberta Kennedy’ego kartę umożliwiającą mi w 1965 r. wstęp na galerię sali posiedzeń Senatu USA i obserwację na żywo procesu decyzyjnego w demokratycznym kraju. Postanawiam: zorganizuję po powrocie do kraju od nowa polskie badania nad migracjami międzynarodowymi. Może wspólnie z Amerykanami? Może z pomocą Jerzego Zubrzyckiego i Jana Ciechanowskiego oraz środowiskami Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie i Instytutem Sikorskiego w Londynie? Może się uda? Po dziesięciu latach z tych marzeń zrodził się Instytut Badań Polonijnych Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Doktorat i habilitacja z socjologii. Profesura nadzwyczajna i zwyczajna. Pięćdziesiąt lat w roli nauczyciela akademickiego i badacza zjawisk społecznych. Ale nie tylko. Teraz, po amerykańskim doświadczeniu interesuje mnie naprawdę odpowiedź na pytanie: czy być socjologiem to znaczy tylko nauczyć się – dzięki lekturom klasyków – rozumieć życie społeczne, czy także czynnie uczestniczyć w tym życiu i nie być obojętnym wobec rzeczywistego biegu wypadków? Pamiętałem, że *my już sami są z wąsami*. Chciałem więc nie tylko uczestniczyć w oglądaniu i interpretacji świata, zwłaszcza z perspektywy poniżanych i wykluczonych, ale i szukać racjonalnych dróg prowadzących do jego korekty – nie w ogóle, kiedyś, lecz *hic et nunc*. Byłem wtedy i jestem nadal przekonany, że w żadnych warunkach nie wolno opuszczać rąk. Także wtedy, gdy wiemy na podstawie wcześniejszych doświadczeń, że za próbę aktywnej zmiany rzeczywistości apologeci istniejącego już porządku wystawią nam po latach nie do końca sprawiedliwy rachunek (nawet w formie pomówienia o czynną współpracę z CIA; por. *PRL w oczach STASI*. Tom II. Dokumenty z lat 1980-1983; wyb. i oprac. Włodzimierz Borodziej i Jerzy Kochanowski, Wydawnictwo FAKT, Warszawa 1996, s.124).

Grudzień 1970 r. Tragiczne wydarzenia na Wybrzeżu. Wraz z przyjściem Edwarda Gierka rodzi się ponownie, szczególnie wśród młodej inteligencji, jak przed laty w Październiku 56, nadzieja na rozluźnienie jarzma radzieckiej dominacji, odważne reformy gospodarcze i polityczne oraz odzyskanie godnego miejsca w społeczności międzynarodowej. Dzięki dawnym związkom z ZSP zostaję wiosną 1971 r. doradcą Rady Ministrów PRL (w gabinecie wicepremiera Wincentego Kraśki). Mam przygotować program ułatwiający kontakty pomiędzy krajem oraz polskimi środowiskami i instytucjami emigracyjnymi (także politycznymi), doprowadzić do rewitalizacji pracy Komisji Wspólnej Rządu i Episkopatu, oraz pełniejszego zaangażowania potencjału polskiej inteligencji w procesie przebudowy kraju. Jednak w miarę jak władze państwowe i partyjne odzyskują kontrolę nad biegiem wypadków, reformatorskie inicjatywy wchodzącego w życie młodego pokolenia stają się ponownie zbędne. Jesienią tegoż roku wracam więc do obowiązków akademickiego nauczyciela. Dzięki wsparciu profesora Wła-

dystawa Markiewicza, wtedy sekretarza Wydziału I PAN, utrzymuję tylko nadal (w latach 1972-1974) stanowisko konsultanta do spraw badań podstawowych w Polskiej Akademii Nauk

Dzięki temu stanowisku spełniają się moje marzenia o szeroko zakrojonych badaniach nad polską emigracją i skupiskami polonijnymi istniejącymi praktycznie we wszystkich krajach świata (łącznie z ZSRR). W latach 1976-1977 otrzymuję od Stanów Zjednoczonych Senior Fulbright-Hays Grant, co umożliwia mi zorganizowanie 31-osobowego polsko-amerykańskiego interdyscyplinarnego zespołu autorskiego pracującego przez dziesięć lat nad przeszłością i współczesnością Polonii amerykańskiej. Wokół Instytutu Badań Polonijnych UJ powstaje liczące się ogólnopolskie i międzynarodowe środowisko koncentrujące swą uwagę na przyczynach i skutkach migracji międzynarodowych. Inspirującą rolę w tych poczynaniach odgrywają: „Przegląd Polonijny” (nowy kwartalnik finansowany przez PAN) oraz dwie serie monografii składające się na Bibliotekę Polonijną PAN i Prace Polonijne UJ.

Kryzys na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Powstaje „Solidarność”. W PZPR narasta bunt przeciwko aparatowi i kierownictwu partyjnemu. Dojrzejają programowo i stają się co raz silniejsze tzw. struktury poziome oraz kluby pod wieloma względami podobne do krakowskiej „Kuźnicy”. I to one w istocie decydują o przebiegu IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR. Reprezentuję na tym zjeździe środowisko krakowskie. Kieruję pracami Komisji Programowej. Z woli zjazdu, choć przed zjazdem zdecydowanie nie miałam takich planów, zostaję członkiem Biura Politycznego i sekretarzem KC. Ponadto kieruję pracami komisji KC PZPR powołanej dla wyjaśnienia przyczyn i przebiegu konfliktów społecznych w dziejach Polski Ludowej. Plany ogólnopolskiego środowiska, które teraz reprezentuję, zakładają, że poprzez porozumienie z „Solidarnością” i natychmiastowe rozpoczęcie reform ustrojowych oraz gospodarczych będzie można nie tylko skutecznie usunąć przyczyny kryzysu politycznego, ale także doprowadzić do wyrazistego wyartykułowania dobra wspólnego wszystkich Polaków. Niestety, przegrywamy z partyjnymi dogmatykami i realiami międzynarodowymi.

Zamiast siły naszych argumentów zostaje przez państwowo-partyjne kierownictwo kraju użyty argument siły. 13 grudnia 1981 r. – stan wojenny. Armia wychodzi z koszar przeciwko własnemu społeczeństwu. 16 grudnia. Krew i zabici w kopalni „Wujek”. Jeszcze wtedy pracowaliśmy w grupie partyjnych profesorów nad wnioskiem o samorozwiązanie PZPR. Nic z tego. Składam na ręce gen. Wojciecha Jaruzelskiego piśmienną rezygnację z partyjnych stanowisk. Po nocnej rozmowie z nim zgadzam się jednak na przesunięcie terminu rezygnacji do pierwszego posiedzenia KC po majowej sesji sejmu. Dlaczego? Bo miała być wtedy przyjęta nowelizacja ustawy o szkolnictwie wyższym (przygotowana przez krakowian kierowanych przez profesora Józefa A. Gierowskiego, ówczesnego rektora UJ), przywracająca tym szkołom podstawy akademickiej samorządności oraz ustawa o powołaniu Narodowej Rady Kultury (150-osobowa rada pod

kierownictwem profesora Bogdana Suchodolskiego rozpoczęła ostatecznie działalność 4 grudnia 1982 r.) i nowych, znacznie korzystniejszych w warunkach kryzysu gospodarczego, zasadach ustalaniu w budżecie państwa nakładów na potrzeby instytucji i środowisk kultury.

W połowie dekady lat osiemdziesiątych zasadniczo zmienia się międzynarodowy kontekst polskich problemów. Coraz wyraźniej, także pod wpływem ekumenicznej postawy Jana Pawła II, słyhać hasła międzynarodowych ruchów pacyfistycznych. W kraju powstaje – kierowana przez profesora Aleksandra Gieysztorę – Polska Rada Badań Pokoju. Ze wschodu nadciąga odwilż. Ciepłe wiatry nie niosą już groźnych odgłosów maszerujących armii i szczerku broni, lecz szum *glasnosti* Michaiła Gorbaczowa. Implozja ZSRR. Bunt Janajewa. W tych nowych okolicznościach odżywają nadzieje dla myślących wg bliskich mi zasad. Z letargu spowodowanego przez stan wojenny budzi już nie nadzieja, lecz pewność, że daleko idące zmiany systemowe są jednak możliwe. Bo jeśli nie my, to kto stanie się ich podmiotem sprawczym? I jeśli jeszcze nie teraz, to kiedy?

Nowe nadzieje – ponad dawnymi podziałami – symbolizuje idea Okrągłego Stołu. Choć spóźniony o lata, Okrągły Stół staje się teraz czymś niezwykle na skalę światową. Także dlatego, że uruchamia ciąg zdarzeń, po których nie ma już powrotu do *ancien regime*. U nas nie ma też warunków ani na bunt Janajewa, ani żaden inny sposób ewentualnego unieważnienia wyników wyborów parlamentarnych.

Uczestniczę w pracach zespołu do spraw reform politycznych. Pierwsza i druga tura wyborów sejmowych w 1989 r. Startuję w tych wyborach w jednym z krakowskich okręgów wyborczych, wsparty przez „Kuźnicę”, ale je przegrywam (zwłaszcza wśród mieszkańców Słomnik i podkrakowskich wsi) z moim partyjnym kontrkandydatem o wyraźnie dogmatycznych poglądach. Trudno, bywa i tak..

Uczestniczę jeszcze w 1990 r. w ostatnim, XI Zjeździe PZPR, ale po zapowiedzianym przez Mieczysława Rakowskiego wyprawieniu partyjnego sztandaru do muzeum nie wiążę się już organizacyjnie z żadną z partii politycznych.

W latach 1990-1991 zostaję powołany przez premiera Tadeusza Mazowieckiego na członka Politycznego Komitetu Doradczego przy Ministrze Spraw Wewnętrznych. Biorę udział w jego pracach, ale już bardziej z perspektywy obywatela i analityka procesów politycznych niż rzecznika grupowych wartości i interesów..

Co jako profesor socjologii uważam za największą nagrodę, spośród tych, którymi obdarował mnie los, w tym za czynny udział w polskich przełomach politycznych: Październiku'56, lat 1970/1971, 1980/1982 i 1989/1990? Z całą pewnością uczestnictwo w obradach Okrągłego Stołu. Jeśli rzeczywiście zasłużyłem na włączenie mnie do grona narodzonych kuźniczańskim „Kowadłem” to przede wszystkim za obronę jego idei i ostateczną postać zawartego przy nim kontraktu.

Jeszcze raz dziękuję za to niezwykle wyróżnienie.

MARIAN STĘPIEŃ

„ŻYCIE PISANE”. ZOFIA NAŁKOWSKA

Zofia Nałkowska jest jedną z najwybitniejszych literackich osobowości reprezentatywnych dla literatury polskiej XX wieku. Jej utwory łączą się przede wszystkim z latami międzywojennymi. W tym bowiem czasie wysunęła się swymi powieściami na czołowe miejsce wśród ówczesnych twórców prozy. Większość z nich odwracała się od młodopolskich wzorców. Inaczej Nałkowska, która debiutując w 1906 roku powieścią *Kobiety*, wydała w czasie modernistycznego klimatu kilka książek i wyniosła z niego (jak słusznie zauważa Hanna Kirchner) „bogate wiano twórczych idei” obecne zarówno w jej późniejszych utworach, jak i w jej życiu; w ideach, którym pozostawała wierna, w wyznawanych poglądach, w zajmowaniu publicznego stanowiska wobec doniosłych spraw społecznych w czasie, w którym żyła i tworzyła. Co miało również wpływ na jej decyzje, gdy poszukiwała właściwego dla siebie, zgodnego ze swym rodowodem, miejsca w tej Polsce, która wyłoniła się po drugiej wojnie światowej.

Umarła w końcu 1954 roku. Były to początki polskiej „odwilży”. Nie doczekała się październikowego przełomu. Są wszakże przesłanki, które pozwalają sądzić, że gdyby tego czasu dożyła, odegrałaby w nim ważną rolę w sposób rozważny i godny. Nie historyczny, jak na przykład Jan Kott, który tu nasuwa się nieprzypadkowo, bo z nim właśnie jako z marksistowskim doktrynerem pozostawała w ostrym sporze w latach łódzkiej „Kuźnicy”.

Twórczość Zofii Nałkowskiej, biegnąca od czasów Młodej Polski przez międzywojenne dwudziestolecie do końca pierwszej dekady Polski Ludowej, jej osobowość i rola, jaką odgrywała w życiu publicznym, czekała na pełne monograficzne przedstawienie i na ocenę dokonywaną z perspektywy dzisiejszej, gdy – z jednej strony – możemy pełnym głosem mówić o doświadczeniach z czasów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, obiektywnie je opisywać i wielostronnie analizować, a – drugiej strony zderzamy się z falą przedstawiającą je w karykaturalnym świetle, z ich obrazem fałszywym, tendencyjnie zniekształconym, podyktowanym nie dociekaniem prawdy, lecz dzisiejszą grą polityczną.

Tego trudnego zadania podjęła się Hanna Kirchner w książce, którą określiła jako „sangwiną napisaną” opowieścią o dziele i życiu autorki *Granicy*.¹ To metaforyczne określenie przystaje do charakteru całości, która jest dużym esejem niepozabawionym fragmentów impresyjnych i dygresji zawierających nieraz aluzje do naszej współczesności.

Nie ma dziś bardziej kompetentnej osoby, która byłaby powołana do napisania takiego dzieła, niż edytor-ka wysoko ocenionej edycji, w dziewięciu woluminach, *Dzienników Zofii Nałkowskiej*. Jej bogata erudycja zdo-

była w toku pracy nad *Dziennikami*, świetna orientacja w różnorodnych relacjach Nałkowskiej z bliższym i dalszym jej otoczeniem, dobra znajomość stosunków społecznych i politycznych z czasów jej życia i tworzenia może być gwarantem powodzenia w realizacji zamierzonego dzieła. I jest nim w istocie; z niewielkimi zastrzeżeniami.

Otóż bogata erudycja będąca nieocenionym atutem przy podejmowaniu się takiego zadania może niekiedy okazać się balastem, który utrudnia stworzenie całkowicie udanej kompozycji życia i twórczości pisarki. I trzeba – niestety – stwierdzić, że są momenty, w których ten balast daje znać o sobie. Wówczas, gdy autorka daje nadmierny upust swej bogatej, szczegółowej wiedzy, gdy pojawia się zbyt dużo i zbyt rozwiniętych dygresji tracących swą funkcjonalność względem głównego toku narracji, gdy – mówiąc dzisiejszym językiem – powstaje szum informacyjny. A krócej i prościej: książce wyszło by na korzyść, gdyby była bardziej zwarta, zwięzła, krótsza.

Hanna Kirchner za istotną cechę całego dzieła Nałkowskiej przyjmuje jego „organiczny autobiografizm”. Z tego przekonania bierze się podtytuł książki: *...albo życie pisane*. Wizja ta podyktowana głównym zamierzeniem biografistki niezupełnie przystaje do całej twórczości pisarki. *Granica*, *Medaliony*, *Węzły życia*, ale również z wcześniejszych *Romans Teresy Hennert*, a więc utwory należące do najważniejszych w twórczości Nałkowskiej mają wprawdzie u źródła prawdziwe doświadczenie i obserwacje, ale nie są w zgodzie z formułą „organicznego autobiografizmu”.

Potraktowanie utworów literackich Nałkowskiej jako źródeł wiedzy o jej biografii, w wielu przypadkach uzasadnione, ma to do siebie, że zaniedbana zostaje pełniejsza ich interpretacja. Autorka omawia utwory Nałkowskiej. Ich treść, problematykę, a przede wszystkim związek z biografią pisarki. Nie wdaje się w pogłębioną analizę i interpretację. Wstrzymuje się od sądów wartościujących. Do tego nie skłania, nie zmusza wydobywanie z nich informacji o życiu Nałkowskiej. Tak traktowane wszystkie utwory okazują się wartościowe. Czy można z tego czynić zarzut? Chyba tak, ale Hanna Kirchner może odpowiedzieć, że takie właśnie postępowanie jest zgodne z jej zamierzeniem.

Monografia Hanny Kirchner wychodzi naprzeciw dzisiejszym oczekiwaniom, albo też – bo można również tak to ująć – powstaje pod ich wpływem, im ulega. Chodzi tu o stosunek Zofii Nałkowskiej do ruchu kobiet upominających się o należne im prawa.

Może dziwić, że Nałkowska jest nieobecna w dzisiejszych rozmowach o tradycjach polskiego ruchu feministycznego. Mogłaby ona patronować zarówno żądaniom kobiet o prawo do miłości nie redukowanej do obowiązku macierzyństwa, jak i do pełnienia ważnej roli w życiu publicznym.

¹ Hanna Kirchner, *Nałkowska albo życie pisane*, Warszawa 2011, s. 893, 2 nłb.

Już w latach Młodej Polski, w debiucie *Kobiety*, a następnie w *Równieżnicach*, *Koteczce* i *Narcyzie*, i później w *Niedobrej miłości*, *Niecierpliwych* oraz *Domu kobiet* odkrywając siebie dokonywała odkrycia kobiecości. W 1909 roku napisała esej *Kobieta w dziełach Świętochowskiego*. Podnosiła w nim z uznaniem, że uczynił kobietę „godną dostąpienia całej głębokości życia, całej jego powagi, udzielił jej prawa do wszystkich jego ludzkich, bohaterskich obowiązków”.²

Nałkowska zjawiała się na I Zjeździe Kobiet Polskich w 1907 roku. Słowo „zjawiała się” jest tu nieprzypadkowe, bo jej wystąpienie – ważne i przyjęte długotrwałą owacją – nie było przewidziane w programie zjazdu. Upomniała się o sprawy dotyczące kobiet najmłodszych. Wystąpiła, by zaprotestować przeciw stanowisku wobec indywidualnych pragnień kobiety prezentowanemu w wystąpieniach wcześniejszych – w prasie, w dyskusjach publicznych i na zjeździe. Pragnęła przemówić innym głosem; głosem kobiety. Bo do tej pory – stwierdzała – wielokrotnie mówiono to, co o kobiecie równie dobrze mogą powiedzieć mężczyźni. Zwracała się do uczestniczek Zjazdu: „Nie powiedziano tu nic takiego, co powiedzieć może tylko kobieta i jako kobieta, nie usłyszeliśmy tego krzyku prawdy, który dotąd nieznanym jest światu. Nie padło stąd wyznanie wiary kobiety nowej, kobiety najmłodszej, nie padło słowo nowe, słowo śmiałe, słowo rewolucyjne”.³

Wystąpiła w obronie prawa kobiety do pełni uczuć i przeżyć: „Odrzucając z życia całe piękno, cały porządek i żywioł uczucia uczynimy ze świata jedną wielką stajnię racjonalnej hodowli zwierząt ludzkich. Całe wysubtelnienie, cały wykwint życia, cała kultura tak zwana niezdrówka, cała nerwowość i wrażliwość zostanie od udziału w tworzeniu przyszłego pokolenia usunięta”.⁴

Apelowała o zmianę kryterium ocen etycznych. Proponowała uznać za nieuczciwe te kobiety, które nie szanują praw innej jednostki, które kłamią i wyrządzają krzywdę: „Świadectwem naszego psychicznego wyzwolenia będzie odwaga stracenia poetycznej glorii z naszej wiecznokobiecej hipokryzji, będzie odwaga rzucenia w świat okrzyku: „Chcemy całego życia”.⁵

Wystąpienie Nałkowskiej przyjęto z wielką owacją, aczkolwiek nie spotkało się u wszystkich uczestników zjazdu z dobrym przyjęciem. Maria Konopnicka oburzona słowami Nałkowskiej opuściła salę obrad, a wśród jego publikowanych ech pojawiły się również głosy z Nałkowską polemizujące.

Jej wrażliwość na dążenie kobiety do samorealizacji w niesprzyjających temu warunkach doszła też do głosu po obejrzeniu filmu *Maria Baszkircew* wyświetlonego w Warszawie w połowie lat trzydziestych. Film pokazywał jej romans z Maupassantem; zdaniem Nałkowskiej „ordynarnie fałszował” jej osobę i biografię. Postać Marii Baszkircew, której „błyskawiczna młodość napełniona była nieustannym, namiętnym podbojem świata”, którą Edmund Goncourt opisał w powieści *Chérie*, spotkała się z dużym zainteresowaniem pisarki. W komentarzu do jej życia napisała zdanie, które może być jednym z kluczy do jej własnej twórczości: „Bezprzykładna wiara we własną niezwykłość sprawia, że zrealizowanie

siebie i utrwalenie staje się najwyższym nakazem metafizycznym”.⁶

Hanna Kirchner dokładnie przedstawiła genealogię rodziny Nałkowskich i środowisko, w którym przyszła pisarka spędzała dzieciństwo i młodość. Dzięki swemu ojcu, Wacławowi Nałkowskiemu miała szczęście przebywać od najwcześniejszych lat w kręgu światłej, demokratycznej inteligencji. W młodości bywała często w domu Jana Władysława Dawida, redaktora „Głosu”. Uczestniczyła w spotkaniach wybitnych, interesujących osób spotykających się w jego salonie. Przysłuchiwała się rozmowom o sprawach społecznych, politycznych, niepodległościowych; o obowiązkach obywatelskich. W salonie Dawidów spotykali się ludzie o bardzo zróżnicowanych poglądach politycznych i ideowych. Łączyła ich wzajemna tolerancja, autentyczne zainteresowanie sprawami społecznymi, losami polskiego państwa. Wspominała: „W ciągu dość długiego szeregu lat przez dom Dawidów przesunęło się mnóstwo ludzi wybitnych”. Wymieniała: Stanisława Przybyszewskiego grającego Chopina, późniejszego posta komunistycznego Adolfa Warskiego-Warszawskiego, Juliana Marchlewskiego, Adolfa Nowaczyńskiego, Janusza Korczaka, Benedykta Hertza, Tadeusza Radwańskiego, Marię Komornicką, Tadeusza Micińskiego, Andrzeja Niemojewskiego, Stanisława Brzozowskiego, w którego obronę się zaangażowała i w zapiskach z uczestnictwa w jego procesie zanotowała scenę, która może okazałaby się kluczowa w jego sprawie, gdyby nie została zignorowana przez stronnictwo sąd.

Przebywając wśród ludzi wybitnych, racjonalnie i demokratycznie myślących, zajmujących postawę patriotyczną i obywatelską Nałkowska chłonęła ów etos polskiego inteligenta, który nie pozwalał pozostać obojętnym na kwestie społeczne i państwowe. Nakazywał angażować się w życie publiczne i uczestniczyć w nadawaniu mu właściwego kierunku rozwoju. Z domu wyniosła Nałkowska wewnętrzne imperatywy, które dyktowały jej solidarność z rewolucjonistami 1905 roku, udział w procesie Stanisława Brzozowskiego, sprzyjanie Legionom Józefa Piłsudskiego, podpisywanie protestów przeciw ograniczaniu praw demokratycznych w wolnym państwie polskim, występowanie w obronie torturowanych więźniów politycznych, a u progu Polski Ludowej nie odmówić włączenia się w dzieło odbudowy kraju po drugiej wojnie światowej i sprzyjać realizowaniu tych reform społecznych i ekonomicznych, które były bliskie ideałom środowiska, w którym formował się jej światopogląd.

Według kryteriów, którymi posługiwał się ojciec pisarki, należała ona do „swoich”, do „swojego świata”, to znaczy do ludzi społecznie wrażliwych, solidarnych w pokrzywdzonych, wykluczonych i przegranych; idących z postępem, szlachetnych, uczciwych i dzielnych, aczkolwiek spychanych na margines. Pozostawała w opozycji do „ludzi drugiego brzegu”, gdzie byli ludzie bogaci, syści, zadowoleni z siebie, myślący egoistycznie, o ograniczonych horyzontach intelektualnych, skażeni atrofią społecznej wrażliwości, oddani bezgranicznemu mnożeniu bogactwa i używania go dla własnej przyjemności. Wspominała:

„Dzięki ojcu od dzieciństwa zastałam wszystko gotowe i nie miałam przeciw czemu buntować się moją

² Zofia Nałkowska, *Widzenie bliskie i dalekie*. Warszawa 1957, s. 94.

³ Tamże, s. 235-236.

⁴ Tamże, s. 238-239. Fragmentów tu przytoczonych H. Kirchner nie wprowadziła do swej książki.

⁵ Tamże, s. 239-240.

⁶ Tamże, s. 151.

młodością. Było wiadomo, że sprawy dzieci nie są w niczym godne lekceważenia i że o wszystko wolno pytać. Kobiety powinny być mieć te same prawa co mężczyźni, do chłopów trzeba było mówić »pan« i ludzie wszystkich narodów i wyznań byli sobie równi. Szlachecki świat wiejskich złudzeń był już dawno przewyższony, znikł razem z ostatnim małym folwarkiem dziadków na długo przedtem, zanim się urodziłam. Nie wolno było z niczym odprawić żebraka, dla zwierząt trzeba było być dobrym. Własność była rzeczą wstydliwą, pieniądź, bogactwo czymś podejrzanym i po prostu niewłaściwym.

Tak było od początku, to było załatwione bez mego udziału i nie wymagało żadnych wysiłków. Z tej platformy mogłam sobie już iść w swoją, własną drogę⁷.

Emocjonalnie i ideowo związała się obozem reprezentowanym przez Józefa Piłsudskiego. Z nim łączyła swą myśl o odzyskanym niepodległym państwie polskim. Wychodząc powtórnie za mąż poślubiła jednego z bohaterów tego środowiska, komendanta żandarmerii Jana Jura Gorzechowskiego. Był to związek nieudany, ale umożliwiał jej wnikliwszą, bardziej z bliska dokonywaną obserwację mechanizmu tworzenia się polskiego państwa i ewolucję zaangażowanych w nie osób. Zajmowała pozycję zainteresowanego, nieobcego temu obozowi, ale posiadającego własny do niego stosunek, obserwatora. Obserwatora krytycznego, sprawdzającego rzetelność i uczciwość postępowania ludzi, których brała za oddanych idei polskiego państwa, a którzy wkrótce okazywali się pozbawieni przypisywanej im ideowości.

Obrazem zawiedzionych nadziei była powieść *Romans Teresy Hennert*, wpisująca się w krąg utworów inspirowanych zaniepokojeniem na widok początków polskiego państwa. Każdy z nich wyrażał ów niepokój odmiennie; łączyło je wielkie pytanie o Polskę. Stawiał je, poza Nałkowską, Stefan Żeromski w *Przedwiośnie*, Juliusz Kaden Bandrowski w *Generale Barczu*, Andrzej Strug w *Pokoleniu Marka Świdry*.

W *Romansie Teresy Hennert* ukazała Nałkowska nowe elity polityczne demokratycznej, niepodległej Polski. Ich członkowie – to nuworysze, arywiści, pozbawieni skrupułów karierowicze, zbiorowisko wyzszykujących swoje prawdziwe czy urojone zasługi kombatanów roszcządzających sobie prawo do jak najlepszego urzędowania się w odzyskanym państwie, zabiegających o intratne posady i synekury, spychających na margines ludzi ideowych i inteligencję, odnosząc się do niej jak do pozażołowania godnych nieudaczników.

Powieść *Romans Teresy Hennert* zrodziła obywatelską troskę o kształt niepodległego państwa polskiego. Ona też dyktowała Nałkowskiej akty protestu przeciw dostrzeganemu przez nią złu społecznemu, które widziała w odchodzeniu dawnych bojowników o wyzwolenie narodowe i społeczne od ideałów młodości i pozwalających w niepodległej Polsce ciemnieć mniejszości narodowe i prześladować ludzi, którzy pozostali wiernymi swoim ideałom. Chociaż ze względu na swoje małżeństwo Nałkowska pozostawała w pobliżu kręgów władzy, w sprawach istotnych dotyczących praw obywatelskich i narodowościowych stawiała po przeciwnej stronie niż jej mąż.

W 1926 roku, po przewrocie majowym protestowała przeciw znęcaniu się nad więźniami politycznymi.

W czasie pobytu w Grodnie odwiedzała więźniów, poznawała kulisy polskiego państwa, jego ciemną stronę: osadzanie w więzieniu młodych Białorusinów dopominających się swoich praw i ludzi, których nędza pozbawiona nadziei popychała do kradzieży, a nawet do zbrodni. Wysłuchiwała ich opowieści, sporządzała notatki ze spotkań z nimi i snuła refleksje o pochodzeniu i istocie zła w ludziach, i wśród ludzi.

Hanna Kirchner dysponując znakomitą wiedzą o realiach życia Nałkowskiej, o jej próbach i niepowodzeniach miłosnych, o jej rozterkach i wahaniach wynikających z miejsca, w jakim się znajdowała, ukazuje ją jako osobę pełną sprzeczności, a równocześnie, wśród różnych „zakrętów” historycznych w czasie, w którym żyła, pozostającą wierną sobie. Nakazy moralne ojca i jego wzór prowadziły ją do socjalizmu, a to – mimo późniejszych zmian – również do Legionów Piłsudskiego, który za młodu był też socjalistą. Niemniej gdy on „wysiadł na przystanku Niepodległość” i porzucił ideały społeczne młodości, Nałkowska nie przestała oddarzać swą sympatią jego kręgu i zdecydowała się przebywać wśród salonowego towarzystwa. Ale udział w rautach belwederskich, a nawet małżeństwo z Janem Jurem Gorzechowskim, zaufanym współpracownikiem Piłsudskiego, dowódcą żandarmerii w I Brygadzie, później komendantem głównym Straży Granicznej nie przeszkadza jej protestować przeciw dyskryminowaniu mniejszości narodowych, akcjom policyjnym wymierzonym w polityczną opozycję, próbom wprowadzania dyktatury, więzieniom politycznym i Berezie.

W niezbędnym skrócie, a więc za cenę nieuniknionych uproszczeń Hanna Kirchner zarysowuje społeczną i polityczną sytuację w Polsce po przewrocie majowym i w latach trzydziestych, by w jej świetle ukazać dramaty przez Nałkowską przeżywane. Jest to czas dużych niepokojów. Odbывают się strajki chłopskie tłumione przez policję, protesty robotnicze, tłumienie dochodzących do głosu aspiracji mniejszości narodowościowych na wschodnich terenach. Demokratyczna opinia publiczna mobilizuje się w obronie podstawowych praw człowieka, występuje przeciw antysemityzmowi i próbom wprowadzenia dyktatury.

Nałkowska znała wykwintny świat warszawskich salonów, ale również poznała grodzieńską prowincję i warunki, w jakich tam przebywali aresztanci. Z tych doświadczeń wyniosła nieukrywany dystans do władców II Rzeczypospolitej, później pogłębiony widokiem ich wrześnie ucieczki. Zobaczyła na własne oczy kulisy polskiego państwa. Zło znajdujące się po obydwóch stronach więziennego muru. Grodzieńskie obserwacje pozostawiły trwałe ślady w świadomości pisarki i utworach literackich. Od tego czasu zaczynają się pojawiać nowe motywy i tematy w jej utworach. Niepokoi ją zagadka zła tkwiącego w człowieku

Skąd się ono wzięło? *Unde malum*. Nałkowska podejmuje ten nurt myśli, który od manicheizmu trwa przez stulecia i chociaż jest zwalczany przez katolicyzm, nabrał większej niż dawniej aktualności w dobie faszyzmu, komunizmu, w świetle doświadczeń drugiej wojny światowej. Nałkowska rozmyślałom o istocie i pochodzeniu zła poświęciła *Ściany świata*, dramat *Dzień jego powrotu* i partie powieści *Choucas*, gdzie przypominała prekursorską wobec holokaustu zagładę Ormian. W czasie drugiej wojny światowej, a zwłaszcza tuż po

⁷ Zofia Nałkowska, *Pisma wybrane*. Wyboru dokonał i przedmową opatrzył Wilhelm Mach. Warszawa 1956, t. 2, s. 752.

jej zakończeniu, w czasie przesłuchań świadków zeznających przed Komisją do Badań Zbrodni Niemieckich w Polsce zetknęła się z takim ludzkim ziemi, które rozmiarami i możliwościami przekraczało jej wyobrażenia. Jego przedstawieniu – co musiała uczynić – poświęciła cykl *Medalionów*, który okazał się arcydziełem literatury martyrologicznej na skalę światową. Poprzedzone mottem „Ludzie ludziom zgotowali ten los”, które Henryk Grynberg proponował uściślić zgodnie z treścią książki: „Ludzie Żydom zgotowali ten los”.

Pytanie *Unde malum* było źródłem wielu opowiadań Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, otwarcie przyznającego się do manicheizmu. Zainspirowało dyskusję poetkłą między Czesławem Miłoszem i Tadeuszem Różewiczem.

Szczególnie ważnym i wymagającym dokładnego opisu momentem w życiu Nałkowskiej są ostatnie miesiące wojny, kiedy to działacze Polskiej Partii Robotniczej próbują pozyskać pisarkę do swego dzieła, budowania państwa socjalistycznego. Dzięki *Dziennikom* możemy znać główne fakty tego dotyczące oraz rozterki i wahania przeżywane przez pisarkę. Autorka monografii z dużą wiedzą, dobrą orientacją i odpowiednią wrażliwością opisuje ten epizod z życia Nałkowskiej. Wnika w jej motywacje, odnotowuje zarówno obawy jak i odruchy gotowości przyjęcia proponowanych propozycji podyktowanej autentycznymi poglądami demokratycznymi. A także możliwość ulegania może zbyt daleko idącemu kompromisowi.

Polacy różnie przyjmowali wyzwolenie ziem polskich przez Armię Czerwoną spod okupacji niemieckiej. Ci, którzy wojnę przeżyli w Generalnym Gubernatorstwie, przyjmowali je – mimo obaw – z dużą ulgą. Skończyły się egzekucje uliczne, wywożenie Polaków do obozów koncentracyjnych, łapanie na roboty do Niemiec. Ci, którzy doświadczyli wcześniej warunków w Związku Radzieckim – jako zamianę jednej okupacji na drugą, jako dalszy ciąg grozy i obaw przed prześladowaniami.

Nałkowska przeżywszy wojnę pod okupacją niemiecką w Warszawie (ten czas opisała w *Dziennikach czasu wojny*) pojawienie się zwycięskiej Armii Czerwonej przyjmowała jako wyzwolenie, a w żołnierzach radzieckich widziała przede wszystkim ludzi.

Nie bez wahań i oporów przyjmowała propozycje włączenia się w dzieło budowy państwa polskiego po drugiej wojnie światowej. Niemniej tradycje wyniesione z rodzimego środowiska, a także własne obserwacje i wnioski dotyczące państwa przedwrześniowego, a zwłaszcza Września 1939, które przedstawiła w *Węzłach życia* dyktowały jej postawę otwartą na to, co zaczynało się w Polsce w latach 1944-1945.

Zapowiadane reformy społeczne odpowiadały jej demokratycznym nastawieniom. Z pewnym kredytem zaufania odnosiła się do ludzi organizujących władze nowego państwa polskiego. Oficjalne podkreślanie suwerenności i polskiej drogi do socjalizmu w tamtym czasie, gdy nie były jeszcze znane doświadczenia późniejsze, mogły brzmieć przekonująco. Podejmowano inicjatywy świadczące o trosce o sprawy kultury, między innymi Narodowe Wydanie Dzieł Adama Mickiewicza, niezrealizowane w Polsce międzywojennej dla pisarki miało duże znaczenie i było argumentem na korzyść nowego ładu. Tym bardziej bezpłatna, dostępna dla wszystkich edukacja na wszystkich szczeblach, do uniwersytetu włącznie. A propozycja jej osobiście przed-

stawiona – objęcie funkcji przewodniczącej Komisji do Badań Zbrodni Niemieckich w Polsce wychodziła na przeciw jej poczuciu obowiązku ukazania prawdy o czasie okupacji niemieckiej, a przy tym okazała się szczególnie fortunnym pomysłem tych, którzy jej to zaproponowali, pomysłem, który zaowocował *Medalionami*. Włączyła się pełnym głosem do literatury martyrologicznej. Opowiedziała o zdarzeniach związanych z niemieckimi zbrodniami wobec Polaków i Żydów z zadziwiającą u niej prostotą, tym bardziej poruszającą właśnie, że w jej poprzednich utworach takiej powściągliwości, samokontroli i dyscypliny pisania nie było. Tego nie był zdolny odebrać właściwie Gustaw Herling-Grudziński, który na łamach londyńskich „Wiadomości” recenzował utwory literackie ukazujące się w kraju.

Afirmatywny stosunek Nałkowskiej do powojennej Polski był wspierany przez jej krytyczną ocenę elity politycznej rządzącej Polską przed wrześniem 1939 roku. Już wcześniej postrzegła krytycznie zachowanie się jej przedstawicieli. Upewniła się w słuszności swej oceny, gdy w pierwszych tygodniach wojny zobaczyła, jak państwo polskie nie było do niej przygotowane, jak w dniach uderzenia Niemców na Polskę zapanował chaos, rozprężenie i ucieczka odpowiedzialnych za nie. Nie miała też zaufania do polskiej emigracji politycznej, rządu emigracyjnego w Londynie, któremu nie mogła wybaczyć nieszczęsnej decyzji wywołania tak nie porę powstania warszawskiego, które przyniosło zagładę stolicy i śmierć dwustu tysięcy jej mieszkańców. Nie była w tym odosobniona. Podobne stanowisko zajmował Kazimierz Wyka, Maria Dąbrowska, Stefan Kisielewski, Jerzy Andrzejewski, Czesław Miłosz, by wymienić tylko przedstawicieli literackiego środowiska. W żywej pamięci miała też Nałkowska widok polskiej ziemi w dniach wrześniowych 1939 roku: styl ucieczki sanacyjnych dygnitarzy, chaos na szosach i drogach, gorzyc prostego żołnierza opuszczonego przez najwyższe dowództwo i obywateli zawiedzionych własnym państwem. Z myślą o dokonywanym przez siebie wyborze i o swoim miejscu w pierwszym dziesięcioleciu Polski Ludowej mogła więc napisać zabierając głos w ankiecie *Pisarze wobec dziesięciolecia*:

„W tej mierze nie przyszło mi niczego w sobie przewidywać. Jedność świata i jego poznawalność była dla mnie czymś zastanym. Doznałam chłuby, że jestem zrobiona z tej samej co świat materii istnienia. Nie wymagało z mej strony żadnego, jak dziś mówimy, »przełamania«. Rozumiało się samo przez się. [...] Do wielkiej przemiany, jaka zachodzi u nas od lat dziesięciu, byłam w pewnej mierze przygotowana. Nie musiałam się »przełamywać«”.⁸

Uzasadnione więc jest twierdzenie Hanny Kirchner, że u schyłku pierwszego dziesięciolecia Polski powojennej Nałkowska przeżywa powrót do siebie jako kobiety wyzwolonej, samodzielnej, twórczej i aktywnej, z autentycznym przekonaniem aktywnie uczestniczącej w życiu społecznym. Zawdzięczała to przede wszystkim swemu ojcu. Do opowieści o nim, do której spisania czuła się zobowiązana, wracała wielokrotnie, pisząc jemu poświęcone, nigdy nie ukończone, a do ostatnich dni kontynuowane, *Życie wznowione*. Wracając wspomnieniem do Wacława Nałkowskiego dokonywała oceny własnego życia, sprawdzała, czy była mu we wszystkim wierna. W *Ostatniej nocy*, końcowym rozdziale

⁸ *Widzenie bliskie i dalekie*, jw. s. 21 i 24.

Życia wznowionego są ślady zaniepokojenia, jakby wyrzutów sumienia. Czego dotyczyły? Co je wywoływało? Na to pytanie nie mamy dokładnej odpowiedzi. Można przypuszczać, że chodzi tu o ostatnie lata życia pisarki, może o jakieś kompromisy czy raczej zaniechania.

W pismach ojca szukała „miar i kryteriów, by wiedzieć, co z życia mam odrzucić, a co przyjąć [...]”. W jego imieniu oceniałam rzeczy i sprawy. I byłam lepsza wtedy, gdy byłam mu bliższa [...]. Tak sobie teraz tłumaczę to, co mię długo bolało: że nie zaparłszy się ich, nie umiałam jednak bronić jego przekonań tak, jak pragnęłam w młodości”.⁹

Dużą przykrość sprawił jej *Wstęp* Stefana Żółkiewskiego do *Pism społecznych* Wacława Nałkowskiego. Została zepsuta cała satysfakcja z przypomnienia dzieł jej ojca. Żółkiewski zastosował kryteria marksistowskiej poprawności według doktrynerskiego, uproszczonego i dogmatycznego jej pojmowania na progu lat pięćdziesiątych. Pomniejszając znaczenie Nałkowskiego określał go jako „pisarza burżuazyjnego epoki imperializmu”.¹⁰

Nałkowską raziły nie tylko zabiegi interpretacyjne Żółkiewskiego, lecz także owa „marksistowska” frazeologia, partyjna sztampa językowa, odhumanizowana, schematyczna. Notowała: „Tekst przedmowy Żółkiewskiego straszny!”, „Przykrość czytania jeszcze raz *Wstępu* Żółkiewskiego”. „I jeszcze raz przykrość czytania *Wstępu* Żółkiewskiego – mimo pewnych poprawek i zastrzeżeń. Ależ upór, ależ scholastyka!”¹¹ Po ukazaniu się w „*Twórczości*” recenzji Michała Radgowskiego zanotowała: „Powtarza komplementy i zarzuty Żółkiewskiego. Smutne”.¹²

Wobec takiego komentarza do dzieł jej ojca z wahaniem i dużymi wewnętrznymi oporami zgodziła się uczestniczyć w akademii upamiętniającej dorobek naukowy Wacława Nałkowskiego, organizowanej przez Instytut Geograficzny Polskiej Akademii Nauk. W *Dzienniku* zwracała się do siebie słowami, które informują, dlaczego i z jakim zamiarem zdecydowała się wziąć w niej udział. Dużo mówią korespondująco z tym co zapisywała o własnej, niedostatecznej obronie przekonań ojca, słowa kierowane do siebie: „Pamiętaj: zgódź się na udział w Akademii [...] i przeczytaj właśnie *Ostatnią noc*. Nic się nie bój, nie szukaj kontrargumentów, wreszcie się popraw (mając 66 lat)”.¹³

Portret psychologiczny Stefana Żółkiewskiego zamieściła Nałkowska w *Charakterach ostatnich*. Poświęcony mu odcinek zatytułowała wymownie: *January albo mądrość uciążliwa*. Januaremu brak wyobraźni nie pozwala zrozumieć motywów i założeń inaczej niż on myślących. Jest „swą słusznością wprost olśniony [...]”. Walczy złym słowem, urągliwym epitetem, wyrzeka się natomiast najcenniejszych osiągnięć dowodu i perswazji [...]. Mądrość tkwi w nim niejako otorbiona, izolowana, nie przychodzi mu z pomocą, gdy jest najbardziej potrzebna [...]. Zdolny jest przekonać tych tylko, którzy już przedtem myśleli tak, jak on”.¹⁴

⁹ *Pisma wybrane*. T. 2, jw., s. 750 i 753.

¹⁰ Zob. *Wstęp* S. Żółkiewskiego do: W. Nałkowski, *Pisma społeczne*. Wybrał i opracował Stefan Żółkiewski, Warszawa 1951.

¹¹ Z. Nałkowska, *Dzienniki*, t. VI, cz. 2 (1949-1952). Opracowanie, wstęp i komentarz H. Kirchner. Warszawa 2000, s. 328, 322, 325.

¹² Tamże, s. 495 (recenzja Radgowskiego ukazała się w „*Twórczości*” 1952, nr 1).

¹³ Tamże, s. 325.

¹⁴ *Pisma wybrane*... jw., s. 472.

Kiedy w Łodzi, gdzie Nałkowska mieszkała do 1949 roku, zakładano „*Kuźnicę*” myślano o niej, jako o jej redaktorze naczelnym. Nie przyjęła tej propozycji, ale współpracowała z „*Kuźnicą*” redagowaną przez Żółkiewskiego. Zgadzała się z politycznym i społecznym programem pisma; nie z jego programem literackim. Tu była nieustępliwa. W artykule *Nowe żądania* wystąpiła w obronie wolności twórcy w wyborze tematu i stylu, przeciw stawianym literaturze wymaganiom, których przyjęcie ograniczałoby rozwój i swobodne uprawianie różnych jej odmian.

Spirała się ze Stefanem Żółkiewskim i Janem Kottem. W postawie pierwszego z nich raziły ją: obojętność na wartości literackie, sztywność ocen i doktrynerstwo. W drugim obrażała ją „całkowita niemoralność”. Zanotowała o nim taką oto opinię: Zły, zapalczywy [...]. Od pierwszych słów gniew, strach i nienawiść, a przy odejściu wyszeptana ostrzegawczo niczym – nawet różnicą zdań – nie usprawiedliwiona insynuacja”.¹⁵

W 1946 roku Nałkowska wystąpiła z redakcji „*Kuźnicy*”, a bardzo dla niej ważny artykuł *Zwierzenia*, w którym odniosła się krytycznie do jej programu literackiego opublikowała w „*Nowinach Literackich*” redagowanych przez Jarosława Iwaszkiewicza.

Zdecydowany atak na pisarkę nastąpił w 1948 roku. Zupełnie nieoczekiwanie i zaskakująco dla pisarki uczynił to Artur Sandauer, przygotowując pole do generalnego wystąpienia Stefana Żółkiewskiego przeciw psychologizmowi w literaturze, w programowym referacie *Aktualne zagadnienia powojennej prozy polskiej* wygłoszonym na zjeździe Związku Zawodowego Literatów Polskich w Szczecinie w styczniu 1949 roku, w którym stwierdził, że u Nałkowskiej psychologizm doprowadził do istotnych zniekształceń historycznych, do nieprawdziwego wyjaśnienia procesu przemian politycznych obozu rządzącego w Polsce przedwrześniowej. Atakując psychologizm w literaturze powojennej i także w tej, która rozwijała się w Polsce międzywojennej Żółkiewski dotykał głównego żywiołu twórczości Nałkowskiej, która psychologię człowieka traktowała jako centrum zainteresowań pisarza, jako istotę literatury w ogóle. Nazywała siebie „realistką w oddawaniu życia psychicznego”. Wartość wielu jej utworów zasadza się właśnie na analizie psychologicznej, co Hanna Kirchner wydobywa przy okazji omawiania utworów pisarki. Nałkowska była pewna, że właśnie ta literatura, której się oczekuje, która ukaze przeżycia człowieka w czasie drugiej wojny światowej nie będzie mogła się obyć bez mistrzowskiej analizy psychologicznej. Nałkowską pociągały problemy państwa, społeczeństwa, zbiorowości, ale zawsze towarzyszyło temu pochylenie się nad psychiką pojedynczego człowieka.

Les extrêmes se touchent. W tym samym czasie, w którym oficjalnie uznano Nałkowską za nieprzygotowaną do właściwej roli w literaturze polskiej, atakowano ją w prasie emigracyjnej. Nawet zgodnie uznane za arcydzieło, tłumaczone na wiele języków Europy i Azji *Medaliony* zostały potraktowane z przekąsem zdradzającym pozaliterackie uprzedzenia Gustawa Herlinga-Grudzińskiego; tym bardziej *Węzły życia*, ale

¹⁵ *Dzienniki*... jw., t. V s. 576 i 589. Nałkowska sportretowała Jana Kotta w *Charakterach ostatnich*. Występuje on w nich pod imieniem Dydak.

to już jest bardziej zrozumiałe, bo chodziło o obraz sanacji.¹⁶

Zofia Nałkowska jest jedną z najwybitniejszych i najbardziej reprezentatywnych twórczyń literatury polskiej pierwszej połowy XX wieku. Wpisana trwale w dzieje Polski i jej kulturę tego czasu. Jest indywidualnością, której nie można pominąć w myśleniu o polskiej literaturze ubiegłego stulecia. Jej twórczość i biografia odbija newralgiczne strony polskiego życia, jego powikłań, dramatycznych doświadczeń.

Ostatnio o niej się nie pisało. I ją objęto przemilczaniem niewątpliwych osiągnięć literackich w Polsce przed i po drugiej wojnie światowej. Zapewne miała to być kara za jej udział w życiu publicznym Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Wymierzona, jak zresztą we wszystkich podobnych przypadkach bez należytej wiedzy o rzeczywistej roli pisarki, o jej utarczkach z agendami oficjalnej polityki kulturalnej; o ograniczeniach, które i ją dotykały, o jej – prawda, że bezskutecznych, ale to nie jej wina – sporach i protestach przeciw praktyce godzącej w wolność twórczości literackiej, o braniu przez nią w obronę prawa twórców do kreowania dzieł według własnego wyboru środków i wyobraźni.

I oto ukazuje się obszerna o niej monografia. Nie ma w niej nic z oczekiwanego dziś przez niektórych demaskatorstwa. Napisana spokojnie, rzeczowo, bez omijania spraw trudnych i skomplikowanych, z empatią rozumiałą u autorki, która dobrze poznała Nałkowską w czasie pracy nad wydaniem jej *Dzienników*. Niektórych jednak wprowadziła w błąd zakłopotanie.

* * *

Ciekawy jestem, ilu czytelników przeczytawszy tytuł artykułu *Krasiwa, wieliczestwienna, umna* domyśli się, że dotyczy on Nałkowskiej i został napisany w związku z książką Hanny Kirchner *Nałkowska albo życie pisane*. Z pewnością więcej będzie takich, których ten tytuł zdziwi i skłoni do refleksji o kłopotach, jakie przeżywają ci, którzy chcą pomniejszyć albo wręcz przemilczeć wybitne postacie literatury i kultury związane z historią Polski sprzed roku 1989 i jej kulturą.

Obmyślając tytuł swej recenzji książki Hanny Kirchner Krzysztof Masłoń posłużył się słowami, którymi w przedziale wagonu kolejowego zwrócił się do pisarki radziecki pisarz Aleksander Twardowski.¹⁷ Słowa te i sytuacja, w jakiej zostały powiedziane znajdują się na marginesie marginesu spraw podjętych przez Hannę Kirchner. Pozostają na dalekim miejscu wśród wielu zwrotów, które mogą cisnąć się pod pióro, by zwięźle, w aforystycznym stylu ująć istotną cechę osobowości Zofii Nałkowskiej.

Aleksander Twardowski wypowiedział komplementy pod adresem wybitnej kobiety i pisarki. Ale nie o komplementy chodziło autorowi, który je użył jako tytułu swej recenzji. On nadał im znaczenie ironiczne, cała jego recenzja jest ironiczna. Ironia recenzenta zwrócona jest zarówno przeciw Nałkowskiej jak i autorce jej biografii. Bo Masłoń Nałkowskiej nie lubi. A jeśli Nałkowskiej nie lubi, to również nie lubi autorki, która poświęciła jej poważne, obszerne opracowanie i dobrze o niej pisze. W ironicznej funkcji użył rosyjskich słów Aleksandra

Twardowskiego i umieścił jako tytuł recenzji. Liczył na dodatkowe tego korzyści. Na nastroje rusofobiczne pewnej części jego odbiorców, co dodatkowo miało wpłynąć na to, na czym mu właśnie zależało: na pomniejszeniu, jeśli nie przekreśleniu wartości pisarstwa Nałkowskiej; na obniżeniu rangi książki jej poświęconej.

Ale ironia – jak wiadomo – nie zawsze jest dobrym i skutecznym narzędziem pokonania przeciwnika. Bywa dowodem bezradności i bezsily. Ujawnia zakłopotanie pojawieniem się zjawiska, z którym niełatwo się uporać. Tak jest również w tym przypadku. Tym bardziej że Masłoń nie bardzo się przygotował do realizacji swego zamiaru. Gdyby znał przemówienie Nałkowskiej na I Zjeździe Kobiet Polskich, któremu poświęca nieco uwagi, nie pokpiwałby, że „Pani Nałkowska-Rygiel mówi głównie o ... prostytutce”, bo to nie jest prawdą. Sprawa prostytutki była w jej przemówieniu na drugim planie. Na pierwszym – owo wołanie, które zostało owacyjnie przyjęte: „Chcemy całego życia!” Może też by mniej ironizował na temat udziału Nałkowskiej jako jedynej kobiety w polskiej Akademii Literatury, gdyby wiedział, że kiedy jej prezes Waclaw Sieroszewski nawoływał, żeby Akademia nie przyznała Julianowi Tuwimowi żadnej nagrody, „bo to jest przecież nie polska, a żydowska literatura” to właśnie Nałkowska przeciwko temu protestowała. Nikt jej nie poparł, nikt do protestu się nie przyłączył, a pisarka po tym fatalnie się czuła, odchorowała ten przypadek.

Może by tak nie ironizował, gdyby zastanowił się nad pytaniami stawianymi przez pisarkę, które nie tylko nie straciły, ale zyskały na aktualności w naszych czasach. Pytania zdziwionej pisarki, szczególnie wrażliwej na zdradę ideałów, że tak radykalnie mogą się zmieniać poglądy polityczne i odbiegać od tych, które wyznawało się w młodości. I gdzie granice, których człowiekowi przekroczyć nie wolno. Gdyby się zastanowił, że przypadek Zenona Ziembiewicza jest jak z naszych czasów wzięty.

Bo rację ma Hanna Kirchner, gdy pisze o *Granicy*: „Czytana w następnym już stuleciu wielka powieść Nałkowskiej, bytująca latami w szkolnym czyścicu, ma teraz szansę objawić na nowo swoje przesłanie. Historyczny casus prezydenta Ziembiewicza okazał się wszakże pasować do każdej dziejowej koniunktury. Pisarka celnie wykryła w nim nie tylko ideowe i doraźne polityczne treści, ale też skutki praw rządzących »ludzkim, arcyludzkim« i zwłaszcza – międzyludzkim. One są wiecznotrwałe. Tak jak grzeszna i zdradziecka natura władzy” (s. 445).

Hanna Kirchner opisuje życie i twórczość Zofii Nałkowskiej z pamięcią o czasie i warunkach, w jakich pisarka żyła, tworzyła i o czym mogła wiedzieć.

Krzysztof Masłoń szydzi z Nałkowskiej i ją osądza przykładając do jej twórczości i biografii kryteria dzisiejsze, podporządkowane przy tym tezie politycznej. Przyjąwszy taki punkt obserwacyjny może tylko szydzić, drwić, ironizować.

Ale, jak to mówił Kazimierz Wyka, „Ironia jest grymasem bezwładu broniącego się przed tym, by został nazwany”.¹⁸

MARIAN STĘPIEŃ

¹⁶ Zob. G. Herling-Grudziński, „Medaliony” Nałkowskiej i *Nekrofilacje sanacyjne* w: *Wyjścia z milczenia*. Opracował Zdzisław Kudelski. Warszawa 1993.

¹⁷ Krzysztof Masłoń, *Krasiwa, wieliczestwienna, umna*. „Rzeczpospolita” – „Plus Minus” 26-27 XI 2011.

¹⁸ K. Wyka, *pogranicze powieści*. Wydanie drugie poszerzone. Warszawa 1974, s. 27.

ANDRZEJ KURZ

STALIN Z POLSKIEJ PERSPEKTYWY

O Stalinie napisano już dziesiątki książek, często o ogromnej objętości, opartych na głębszych i mniej głębokich badaniach historyczno-archiwalnych i na bardziej czy mniej dociekliwych rozważaniach. Specjalizują się w tym Amerykanie i Anglicy, a także i Francuzi. Można powiedzieć, że poważne zainteresowanie tą postacią przejawia się w najsilniejszych środowiskach naukowych świata, szczególnie w tych, które rozumieją konsekwencje historycznego zaangażowania własnych państw i rządów w politykę wojennego sojuszu ze Związkiem Radzieckim i jego niekwestionowanym dyktatorem. Sporo z tych prac zostało przetłumaczonych na polski.

Ale przecież najwięcej do powiedzenia o tej postaci mają badacze rosyjscy. Choć jednak zajmują się epoką stalinizmu i działaniami Stalina bardzo intensywnie, ich publikacje, a także materiały archiwalne są słabo dostępne polskiemu czytelnikowi i budzą nie największe zainteresowanie polskich historyków. Choć coś się już chyba zmienia. Naukowe badania dziejów Związku Radzieckiego i jego polityki wobec Polski wychodzi już poza krąg kilku wielkich historyków starszego pokolenia, jak nieżyjący już: Krystyna Kerstenowa i Paweł Wieczorkiewicz, czy wciąż czynny, a zapewne najwybitniejszy z nich Andrzej Werblan i właśnie Eugeniusz Duraczyński. Niedawno wydana wielka praca tego ostatniego pt. *Stalin – twórca i dyktator supermocarstwa* udostępnia polskiemu czytelnikowi sumę wiedzy o tej najważniejszej w dziejach porewolucyjnej Rosji postaci, kiedyś, wydawało się że na wyrost, nazywanej największym uczniem i kontynuatorem Lenina. Dziś widać, że ten propagandowy slogan, powtarzany natrętnie nie tylko przez komunistów całego świata, a odrzucony po XX Zjeździe KPZR, odbyłym w sławnym roku 1956, okazuje się czystą prawdą.

Eugeniusz Duraczyński zawsze zainteresowany w swej wybitnej twórczości naukowej sprawą polską dwudziestego wieku, a szczególnie losem Polski w okresie II wojny światowej, działalnością rządu polskiego na uchodźstwie, funkcjonowaniem podziemnego państwa polskiego i sprawą warszawskiego powstania, musiał poświęcić bardzo wiele uwagi kluczowej dla tego okresu problematyce stosunków Polski z wielkimi mocarstwami, wśród których Związek Radziecki

i jego dyktator odgrywali rolę, siłą rzeczy (tzn. siłą bezpośredniego sąsiedztwa), najważniejszą. Wieloletnie pionierskie zaangażowanie Duraczyńskiego w badanie trudno początkowo dostępnych archiwów zachodnich ukoronowane zostało sześćdziesięcioletnim, od roku 1999, pobylem w Moskwie, w charakterze przedstawiciela Polskiej Akademii Nauk przy jej rosyjskiej odpowiedniczce. Profesor Duraczyński wykorzystał ten czas na poszukiwania w archiwach poradzieckich i żywe kontakty ze współczesnymi historykami, zajmującymi się dziejami imperium porewolucyjnego imperium.

Bibliografia, odnosząca się do bohatera jego książki, którą Duraczyński wykorzystuje, jest imponująca i wyczerpująca. A trzeba do tego dodać jego wspomniane poszukiwania archiwalne i kilkudziesięcioletnie badania oraz ich pisarskie rezultaty. Pozwala mu to krytycznie referować wyniki prac najwybitniejszych historyków Rosji i świata zachodniego. A przede wszystkim spoglądać na nie z polskiej perspektywy czy, ściślej mówiąc, z perspektywy stosunków polsko-radzieckich, zdeterminowanych nie tylko przez najogólniejsze wyznaczniki geopolityczne, lecz i przez konkretne interesy i postępowanie mocarstw zachodnich – Stanów Zjednoczonych i Anglii. Polityka ta odbiła się swymi konsekwencjami na losach Polski i całej Europy środkowo-wschodniej.

W książce Duraczyńskiego poznajemy więc Stalina w jego rozwoju osobniczym – od urodzenia (które nastąpiło w grudniu 1878 roku, a nie dwanaście miesięcy później, jak powszechnie sądzono i świętowano) aż do śmierci (w marcu 1953 roku, w okolicznościach raczej makabrycznych). Rysuje się przed nami sylwetka nie tylko, czy nie przede wszystkim, psychopaty – paranoika, ogarniętego morderczą żądzą władzy i panowania oraz lękiem przed ich utratą (co w tworzonym przez niego systemie równało się z utratą życia), lecz przebiegłego i konsekwentnego w swych poczynaniach polityka, najczęściej wygrywającego wszelkie możliwe okoliczności wzmocnienia światowej ekspansji komunistycznej ideologii i równocześnie, a w miarę upływu dziesięcioleci coraz bardziej i wreszcie wyłącznie – dla imperialnych celów Rosji.

Zagłębiając się więc w dzieje Josifa Wissarionowicza Dżugaszwiliego, zdolnego ucznia seminarium du-

chownego i niedosłego popa, potem spiskowca-rewolucionisty Koby i więźnia caratu, lokalnego działacza, a wkrótce młodego członka ekipy Lenina. Poznajemy miejsce i rolę Stalina w kierowniczym sztabie rewolucji październikowej i ekipie sprawującej porewolucyjną władzę. Monografia staje się jeszcze ciekawsza, kiedy z naukowym spokojem i precyzją ukazuje Duraczyński koncepcje i pragmatyczne posunięcia polityka i dyktatora w okresie lat trzydziestych XX wieku na arenie międzynarodowej i w Komunistycznej Międzynarodówce oraz nasilające się rządy niespotykanego w swej historycznej skali terroru w polityce wewnętrznej.

Książka wnosi coraz więcej oryginalnych przemyśleń do dorobku światowej historiografii w miarę zbliżania się do II wojny światowej i jej wydarzeń oraz powstawania po niej tzw. światowego obozu socjalizmu. Ten bowiem najmniej dotąd rozeznany okres w polityce Stalina jest od lat przedmiotem pionierskich badań naukowych i publikacji profesora Duraczyńskiego. Pokazuje w nich, jak wiele miejsca w Stalinowych manipulacjach zajmowała Polska, ale równocześnie nakazuje umiar w ocenie historycznej wagi Polski na arenie międzynarodowej i w polityce wielkich mocarstw.

Warsztat historyka analizującego wydarzenia i ich sprawców pozwala Duraczyńskiemu także na spojrzenie na cechy charakterystyczne stalinizmu jako systemu społecznego. Z satysfakcją muszę stwierdzić, że jego opinie umacniają mnie w poglądach, które wyraziłem już przed laty. Traktuję w nich stalinizm jako szczególną postać populizmu – występującego w różnych społecznościach świata ruchu mas wykorzenionych i niezakorzenionych społecznie, sfrustrowanych i ksenofobicznych, szukających rozwiązań egalitarnych, natychmiastowych i niepraworządnych, skłonnych do przyjęcia władzy dyktatorskiej. Jako bazę społeczną stalinizmu dostrzegam nisko kwalifikowaną

część nowej klasy robotniczej, nisko produkcyjnego chłopstwa i niby-inteligencji, wydzwiganych i awansowanych kosztem tego co wyrasta ponad przeciętność. Cieszył się także poparciem ze strony niecierplivej a pełnej pokoleniowej nadziei młodzieży. Wspierany był przez do ostatka wymęczoną i wygłodzoną masę ludzką, której dawał po okrutnej wojnie smak zwycięstwa.

Ostatnia książka Eugeniusza Duraczyńskiego powinna być, mimo swych rozmiarów (ponad 700 stron gęstego druku) podstawową lekturą polskiego inteligenta. Jest wolna od mitów i banałów narzucanych przez tzw. polityczną poprawność i politykę historyczną. To znaczy od tego, co ogłupiając czytelników i miłośników mediów szerzyło się w każdym właściwie z wojennych i powojennych okresów polskich dziejów, nad którymi pojawiał się fantom Stalina.

Książka pięknie wydana wspólnym wysiłkiem Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztor oraz Oficyny ASPRA–JR i Bellony jest chyba dwudziestą publikacją książkową profesora Eugeniusza Duraczyńskiego. Napisana piękną, potoczystą polszczyzną, zarazem z naukową precyzją języka, wieńczy 80-lecie jego życia i wiele dziesięcioleci nieprzerwanej pracy naukowej w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk. (Żeby jeszcze redakcja i korekta sięgnęły w tej ogromnej publikacji poziomu polskich wydawnictw minionej epoki. Ale to już tylko marzenie, a może i zrzędenie starego wydawcy i namiętnego pozeracza papieru.)

ANDRZEJ KURZ

Eugeniusz Duraczyński, *Stalin – twórca i dyktator supermocarstwa*, wyd. Akademia Humanistyczna im. Aleksandra Gieysztor, Oficyna ASPRA–JR i Bellona, Warszawa 2012.

MARCIN KULA

ODMRAŻANA PAMIĘĆ

Recenzowana praca jest poświęcona upamiętnianiu ofiar sowieckiego systemu represji oraz przeciwdziałaniu zapomnieniu o nim. Bardzo mało wiemy o tych odległych geograficznie działaniach. O Masce bólu – kompleksie memorialnym zaprojektowanym przez Ernsta Niezwiastnego (1996) wielu z nas słyszało, ale ogromna część inicjatyw, zmierzających w kierunku upamiętnienia, nie miała i nie ma tak spektakularnego charakteru. W *Imperium* Ryszarda Kapuścińskiego, czy w *Dziennikach kołomyjskich* Jacka Hugo-Badera widzimy ziemie północy, gdzie ślady

piekła pochłonął śnieg i mróz; nikt nie okazuje chęci ich utrwalania. Pierwszą wartością książki jest zatem informacja o masie nowych zjawisk kommemoracyjnych na terenie b. ZSRR. Wypada, wręcz należy o nich wiedzieć, zwłaszcza w Polsce. W końcu jest to jeden z fragmentów powstawania nowej Rosji, dla której kształtu nie jest bez znaczenia czy i jak będzie pamiętała przeszłość.

Rozpatrywane zjawisko autorka pokazuje w całej różnorodności oraz na ogromnych, trudno dostępnych terenach. Pokazuje różnych aktorów działań upamięt-

niających i różnicowanie form. Można sobie wyobrazić, jak wiele wysiłku wymagało od niej dojechanie do odległych miejscowości i zebranie informacji.

Poza warstwą faktograficzno-opisową bardzo ciekawy jest przenikający pracę wątek rozważań nad przywracaniem pamięci zjawisk początkowo ukrywanych, a potem chętnie przemilczanych (zarówno świadomie, jak – z różnych powodów – spontanicznie). Wynik tego procesu przywracania wcale nie jest oczywisty. Bilans, jakim będzie ukształtowanie się nowej, kanonicznej wersji najnowszej historii Rosji oraz tożsamości Rosji i Rosjan, wcale nie jest przesądzone. Nie będzie on zależał jedynie od aktywnej obrony dawnych aktywistów systemu, czy – powiedzmy – ich dzieci. Podstawowa trudność będzie wynikać, jak przewiduję, z tego, iż w systemie sowieckim uczestniczyli prawie wszyscy. Nawet więźniowie nieraz byli wpięrowcami. System represji faktycznie był wielką maszyną, obejmującą także czynności niewinne. Nawet bezpośrednio system łagrowy nie działałby bez torów kolejowych i – powiedzmy – bez rozpoznania geologicznego. Nadto w najnowszych dziejach Rosji nie ma pozytywnej sprawy, na którą nie kładłby się cień systemu represji – poczynając od drogiego (zasadnie drogiego!) sercu Rosjan i części narodów b. ZSRR zwycięstwa w wojnie. Zwracają uwagę opisane przez autorkę zapewne rzadkie wypadki działania w kierunku stworzenia logicznej całości w tym obrazie – jak np. dążenie b. represjonowanych, by pamiętać o ich wysiłku produkcyjnym jako wkładzie w wygranie wojny lub/i oddawanie hołdu przez kombatantów osobom represjonowanym jako tym, którzy mogli przecież dołączyć do walki z najazdem.

W Rosji oraz krajach b. ZSRR nie ma rodziny, która by nie cierpiała, a przynajmniej w której ktoś by nie cierpiał. Nie ma zarazem rodziny, w której by jednocześnie nie uczestniczono - na własnym szczeblu uczestnictwa - w systemie. Odtwarzanie pamięci może sprzyjać akcentowaniu wątku cierpienia - co będzie miało swoje pozytywne aspekty, ale co może łatwo prowadzić do kolejnego zakłamania. Można by przeprowadzić ciekawe rozważania nad koherentnością ludzkich reakcji. Nie wykluczałbym, że niejedna rodzina czy środowisko będą akcentować zarówno otrzymane ordery, jak cierpienia. Niedaleko szukając, dziś w Polsce powszechnie potępia się PRL, a przy obchodach jubileuszy instytucji, wręcz instytucji powstałych w najgorszych latach głosi się chwałę ich działania (często w wersji: wszystko było bez sensu, ale nasza instytucja była enklawą sensu). Sprawy nie ułatwia dostrzegana przez autorkę okoliczność, że wśród więźniów Gułagu zdarzali się też autentyczni przestępcy. I choć zapewne oni też padali ofiarą z gruntu niesprawiedliwego wymiaru *sprawiedliwości*, to jednak chyba trudno stawiać im dziś pomniki. Zjawiska, jakie miały miejsce wśród więźniów, nieraz też bywały naganne. Bardzo trudno jednak dziś rozpoznać prawdę materialną w odniesieniu do wielu ludzi, a oceniać zjawiska wśród więźniów strąconych na takie dno można się wręcz krępować (siedząc samemu w wygodnym pokoju!).

Elementem sprawy jest też trudność upamiętniania w sytuacji, gdy właściwie należałoby płakać na okrągło. Tymczasem trudno myśleć o pracy więźniów przy budowie metra za każdym wsiadaniem do kolejki, czy

o ich pracy przy budowie elektrowni przy każdym zapaleniu światła.

Ciekawe jest pokazanie przez autorkę, jak mimo wszystko w syberyjskich miejscowościach ludzie stopniowo przypominają sobie, że aktorzy sławionego teatru byli więźniami czy to, że był więźniem człowiek, który zbudował budowlę-symbol miasta... zaś dotychczasowy pomnik odkrywcy i badacza Północy to pomnik więźnia – bowiem odkrywca był „zekiem”. Ciekawe jest „odkrywanie” przez ludzi, że członkowie miejscowej dawniejszej elity przybyli w te miejsca jako więźniowie i po odsiedzeniu wyroków pozostali w rejonie (to było częste zjawisko). Sytuacja z pewnością jest już inna niż w czasie, gdy poznawał ją Ryszard Kapuściński. Jak wspominałem, ten reporter jeszcze opisywał stan rzeczy, w którym jedynym śladem po obozach był pomnik ich komendanta, Edwarda Berzina za jego zasługi dla miasta Magadan (no przecież rozwinęło się ono w funkcji rozwoju łagrów, nieprawdaz?).

Nie jest jednak powiedziane, że społeczeństwo rosyjskie odważy się na radykalną rewizję własnej historii. Mam wrażenie, że Niemcy znaleźli się w tej sprawie w łatwiejszym położeniu. Faszyzm pojawił się w kraju znającym demokrację, trwał krócej, odwoływał się do treści prawie od początku potępianych przez prawie wszystkich przytomnych ludzi na świecie, dokonał zbrodni wobec innych narodów i w większości błyskawicznie odkrytych, został pobity przez siły zewnętrzne, które bardzo zrećnie przeprowadziły jego potępienie, nowe Niemcy konceptualnie tworzyli zaś wrogię Hitlera. W Rosji wszystko to przedstawiało się i przedstawia inaczej. Warto zresztą pamiętać, że nawet w Niemczech niektóre aspekty przeszłości zaczęły być odkrywane dopiero niedawno – za sprawą historyków zewnętrznych.

Autorka ciekawie pokazuje, jak bardzo społecznym procesem jest odtwarzanie pamięci. Biorą w nim udział różne narody. Różne mają tam swoje Katynie. Osobnym tematem byłoby przyjrzenie się, w jakim zakresie ten wątek wchodzi w skład obecnie rozwijanego przez każdą z zainteresowanych społeczności projektu narodowego.

W procesie odtwarzania pamięci biorą udział różni aktorzy, którzy proponują odmienne wizje. Bardzo ciekawie została w książce przedstawiona dyskusja wokół Maski bólu, zaprojektowanej przez Niezwiastnego. Także – odmienne wizje poznawcze Memoriału oraz Cerkwi prawosławnej. Ciekawe mogłyby być dalsze rozważania nad przesłaniem (przesłaniami) zawartymi w każdej z pojawiających się wizji. Każdy z aktorów procesu jakoś widzi – mniej lub bardziej wyraźnie – pożądaną przyszłość Rosji i Rosjan. Jest ona wyrażana m.in. na kanwie odtwarzanej pamięci.

Praca autorki może też zainspirować szersze myśli z zakresu socjologii pamięci – np. o tym, jak te same miejsca mogą stać się nośnikami różnej pamięci. Nawet Wyspy Sołowieckie mogą być symbolem różnych zjawisk, choć tam akurat religia, męczeństwo, śmierć, świętość, łatwo zbiegają się ze sobą. W ogóle – co zauważa autorka – w sprawach upamiętniania moherentstwa cerkiew ma duże szanse przedstawiania koherentnej wizji, przyjmowanej szeroko.

Bardzo ciekawe są inicjatywy stawiania pomników poświęconych nie tylko poszczególnym ofiarom,

w sytuacji, gdy nie można odnaleźć indywidualnych grobów. Robi wrażenie przytoczony przykład postawienia przez kogoś pomnika matki w przybliżonym miejscu jej grobu – z napisem, że jest to pomnik dedykowany równocześnie wszystkim kobietom-ofiarom terroru. Takie działanie przypomina częste w tej chwili spisywanie wielu nazwisk na zbiorowych pomnikach (symbolicznych mogiłach) lub ideę Grobów Nieznanych Żołnierzy.

Ciekawe, że nie pojawia się w opisie autorki – bo zapewne nie występuje w społecznej rzeczywistości – zjawisko niestety znane z wielu krajów odtwarzających

obecnie pamięć: czynienie z miejsc niedobrej, a nawet strasznej pamięci punktów docelowych rozrywkowej, wesołej turystyki. Może odpoczynkowa turystyka jest też sposobem osławiania trudnej pamięci, ale nie chciałbym jej akceptować. W sygnałach dochodzących z Rosji pojawiały się co prawda informacje o ofertach biur turystycznych organizowania wycieczek bodajże na Sołowki, ale widać rzecz się nie przyjęła.

MARCIN KULA

Zuzanna Bogumił, *Pamięć Gulagu*, Universitas, Kraków 2012, s. 376, ilustracje.

ADAM KOMOROWSKI

„WIELKI SKARB. WIELKI POMNIK KULTURY”

Takimi słowami zakończył Jarosław Iwaszkiewicz refleksje o *Listach emigrantów z Brazylii i Stanów Zjednoczonych 1890-1891* w „*Twórczości*” (5/1975). Niewątpliwie miał rację podkreślając, że była to najważniejsza książka wydana w Polsce w 1973 roku. Rozbudowane eseje napisali o niej Henryk Bereza i Roch Sulima, dłuższe recenzje poświęcili jej m.in.: Bronisław Baczek, M.M. Drozdowski, Jerzy Jedlicki, Stefan Kieniewicz, Ignacy Ichnatowicz, Antoni Macierewicz.

Recepcja tej książki to temat na osobną rozprawę. Jedno wydaje się pewne, benedyktyńska praca edytorów tych listów Witolda Kuli, Niny Assorodobraj-Kula i Marcina Kuli okazała się miną podłożoną pod obrazem kultury chłopskiej ukształtowanym przez inteligencję (i polityczne) wyobrażenia i uproszczenia. Mina wybuchła, ale efekt był krótkotrwały. Powróciło gładzenie o chłopstwie jako głównej przeszkodzie w modernizacji. A przecież te listy dowodzą, że te „ciemniaki” potrzebowały „miesiąca by przejść z feudalizmu do kapitalizmu” – jak napisał we wstępie Witold Kula. Przytoczony przez Kulę przykład mówi sam sam za siebie: „Odpowiedzią na te wszystkie nowe, nieznane dotąd trudności jest organizowanie się, pomoc wzajemna, wśród Polaków zwłaszcza. „Założyliśmy w naszym mieście [Schenectady, N.Y.] Towarzystwo Polskiej Brackiej Pomocy, a mnie obierają sekretarzem”. Czy w Rypinie wpadłoby im do głowy zakładać Towarzystwo Brackiej Pomocy?

Piszący żywiołową polszczyzną opowiadają swoim bliskim o Nowym Świecie bardziej konkretnie niż ci, którzy z polską ortografią kłopotów nie mieli. Dowodem jest nie tylko przekład angielski dzieła, który w 1986 r. ukazał się w USA, ale także brazylijskie i niemieckie ich wybory.

Choć wówczas o tym nie pisano, książka zakwestionowała marksistowską wulgatę (dzieloną także przez tych, którzy za marksistów się nie uważali) najlepiej wyrażoną w słowach Karola Marksa o tym, że chłopci: „Nie mogą samych siebie reprezentować, muszą być reprezentowani. Ich przedstawiciel musi zarazem występować jako ich pan, jako autorytet stojący ponad innymi, jako ograniczona władza rządowa, broniąca ich przed innymi klasami i zsyłająca im z góry deszcz i światło słoneczne”. Zanim ktokolwiek pomyślał o tak modnych dzisiaj *subaltern studies* Kulowie pokazali, że nikt nie ma monopolu na mówienie o i za podporządkowanych, że można oddać głos im samym. Trzeba tylko chcieć go usłyszeć, nie dać się zachaluszyć cudaczną ortografią, jak paleograf odczytywać surrealistyczną kaligrafię, co w wypadku pisanego hebrajskiego alfabetu nie było łatwiejsze niż odczytywanie rękopisów z Qumran. A swoją drogą podziwiać należy cenzorów carskich, którzy ku utrapieniu autorów i adresatów doskonale sobie z nią radzili zatrzymując te, które ich zdaniem do emigracji mogły skłaniać.

Troskliwie pochylenie się nad tymi listami prostych ludzi, często na granicy piśmienności (decyzję o ich brakowaniu powstrzymała tylko intuicja przedwojennego dyrektora Archiwów Akt Dawnych Kazimierza Karnowskiego), było czynem rewolucyjnym. Otrzymałszy dar nieoceniony.

Jest jeszcze jeden aspekt sprawy – niepodobna tych listów nie czytać ze ściśniętym gardłem. Są to bowiem listy zatrzymane przez carską cenzurę, które nigdy do adresatów nie dotarły. Często żona, brat, matka czy ojciec nie tylko nie otrzymali wieści od najbliższej osoby ale i obiecaną szyfki, bo te dowody przedpłaty podróży statkiem, osobistymi wyrzeczeniami opłacone, też zatrzymywano. Ile rodzinnych tragedii w tych chłopskich i żydowskich rodzinach kryje się za adnotacją *zadierżał* – możemy sobie tylko wyobrażać. Ale bezmiar pogardy carskiej administracji wobec biednych poddanych poraża, bowiem wśród listów nie znalazłem żadnego autora, który zdradzałby jakiś wyższy status w społeczeństwie. Można tylko podziwiać, jak niezwykle szybko autorzy listów zdają sobie sprawę, że coś z korespondencją jest nie tak, starają się korzystać z okazji, przesyłają listy i szyfki poza kordon graniczny, do rodzin i znajomych już w zaborze pruskim.

Być może fakt, że edycja listów była rodzinnym przedsięwzięciem Kulów sprawił, iż troska, z jaką potraktowany został każdy z nich, zaowocowała szczególnym rodzajem empatii wobec ich pogwałconej rodzinności, która sprawia że dzieło naukowe czytamy jak przejmujące opowieści o ludzkiej krzywdzie. Kiedy czytamy: „A ja niendzny człowiek żyje w dużem świjecie to jest w czwarty częscy swjata i puscyłem sie na pracze wjelkie abym ciebie móg uzywić i tak samo moje dzecy” – przypominamy sobie, że sami jesteśmy mężami, synami, ojcami, braćmi. Te listy to także traktat moralny.

Fakt, że listy zostały zatrzymane, sprawił że możemy je przeczytać. Tylko 367 z wielotysięcznego zbioru, te, które Witold Kula zabrał do opracowania z archiwum na Jezuickiej w czasie okupacji do domu. Reszta spłonęła w Powstaniu Warszawskim. Bezduszość carskiej cenzury spowodowała, że nawet te kilkaset listów stanowi zbiór wyjątkowy w skali światowej. (*Listy* opublikowane przez Williama I. Thomasa i Floriana Znanieckiego są późniejsze i są to listy do Ameryki, nie z Ameryki i nie zawierają listów Żydów Polskich).

Listy pochodzą z okresu pomiędzy listopadem 1890 i majem 1891 r. Był to okres nasilenia się tzw. „gorączki brazylijskiej”, która wyzwoliła impuls emigracyjny nie tylko na terenach dawnej Rzeczypospolitej, ale także we Włoszech (zwłaszcza południowych), w biedniejszych regionach Niemiec i Austro-Węgier. Tylko władze carskie (konkretnie gubernator warszawski Josif Hurko) podjęły tak radykalne środki jak konfiskata korespondencji. Prawdopodobnie głównym motywem była obawa przed utratą rekruta, emigrowali bowiem głównie młodzi mężczyźni. Autorzy naszych listów wywodzą się z powiatów Rypin, Golub-Dobrzyń i Lipno. Można podejrzewać, że nie był to przypadek (skąd były tysiące innych listów nigdy się nie dowiemy), bowiem ten przygraniczny region był zapewne pod specjalnym nadzorem. Jego mieszkańcy, mający często rodzinne kontakty po pruskiej stronie granicy, mieli największe szanse jej nielegalnego przekroczenia

i bezpiecznego dotarcia do Bremy, Hamburga czy Antwerpii by się zaokrętować. Opisy przekraczania granicy ludzi, którzy postawili wszystko na jedną kartę, wyzbywając się wszystkiego, by zdobyć środki na dotarcie do Nowego Świata, mają aurę epicką.

Decyzja by zachowany zbiór wydać w całości, by nie dokonywać selekcji jedynie tych napisanych po polsku (250), ale włączyć pisane w jidisz (80), po niemiecku (15), litewsku i rosyjsku (po jednym) była niestety nie istotna. Pokazała bowiem wspólnotę polskich losów ponad etnicznymi przedziałami, to, że głównym motywem emigracji była nędza. Nędza chłopska i nędza żydowska. Wbrew niektórym obiegowym w diasporze narracjom, w tym okresie i na tym terenie, w decyzjach o emigracji antysemityzm nie odgrywał żadnej roli. Motyw ten pojawił się dopiero później i na nieco bardziej wysuniętych na Wschód terenach, w pogromowej atmosferze pierwszej dekady XX wieku. Tej atmosferze, którą znamy z powieści Szolęma Alejchema *Tewje mleczarz* czy *In Szturm (W burzy)*.

Paralelnosc motywów i trosk listów pisanych po polsku i w jidisz jest uderzająca, podobny jest rejestr i aura. O to samo pytają tych, którzy tam są, czy można tam zachować swoją wiarę, czy można nadal być sobą. Tych, którzy pozostali, zadziwiająco często pytają, jaka była zima. Jak pisze autor wstępu: „Listy żydowskie, odcięte alfabetem i językiem, po przełożeniu na polski okazują się bardzo bliskie i całkowicie zrozumiałe. Autorzy listów polskich i żydowskich żyli obok siebie, borykając się, jak się dało, z rypińską nędzą, znali się przynajmniej po sąsiedzku, czasami robili może między sobą interesy”. Jednocześnie i jednakowo poddali się emigracyjnej gorączce. Wszystko w zasadzie takie samo. A jednak pośród niezliczonych pozdrowień i zapytań (to niemal rytuał) dla i o bliższych i dalszych znajomych i sąsiadów, w listach polskich nie pojawiają się Żydzi, a w żydowskich Polacy. Jakbyśmy byli w przedprogu wiersza Mordechaja Gebirtiga *To boli*.

Paralelnosc emocji przedzielona niewidzialną kurtyną musi niepokoić, jest tematem do przebadania, którego wytrych antysemityzmu do końca rozwiązać nie może. Rozwiązaniem jest tylko wnikliwe wsłuchiwanie w głos tych, którzy – jak się nam pozornie zdaje – nie mieli nic do powiedzenia. To jest szlak wskazany pracą Kulów.

Na zakończenie nie mogę sobie odmówić powtórzenia cytatu ze wstępu, który wykorzystał Iwaszkiewicz: „To zdumiewające. Niepodległej Polski nie ma już od stu lat. Nie ma polskiego wojska, polskiej administracji, niemal nie ma polskiego szkolnictwa dla chłopów... A przecież ta świadomość narodowa zdumiewa! Nie ta grandielokwentna i deklaratywna, tym głośniejsza, im bardziej sztuczna i fałszywa, ale głęboka, bezwiedna. Zdumiewa przecież, że ci chłopci jako oczywistość traktują kraj nad Wisłą za Polskę, za ich kraj, mimo że tego kraju nie ma już na mapach świata!”

Wspaniale, że „Biblioteka Iberyjska” wznowiła tę książkę. Na dodatek w wysmakowanym opracowaniu typograficznym Pawła Wolskiego.

ADAM KOMOROWSKI

Listy emigrantów z Brazylii i Stanów Zjednoczonych 1890-1891, do druku podali, wstępem opatrzyli Witold Kula, Nina Assorodobraj-Kula, Marcin Kula, BIBLIOTEKA IBERYJSKA, Warszawa 2012, str. 718.

MARIAN STĘPIEŃ

KRAJ BEZ ELIT

czyli

SPOŁECZEŃSTWO ROZBROJONE

Pierwszy człon nagłówka, to tytuł książki Władysława Loranca.¹ Człon drugi – to tytuł felietonu opublikowanego przed laty przez piszącego te słowa.² Jeden wskazuje na przyczynę, drugi – na jej niebezpieczne dla życia społecznego konsekwencje.

Kryzys inteligencji, milczenie i nieobecność intelektualistów w procesie polskiej transformacji ustrojowej skutkuje rozbrojeniem społeczeństwa; bezbronnością i bezradnością wobec łamania prawa, nadużyć, korupcji, prywatyzacji, nepotyzmu, poczucia bezkarności tych, którzy doszli do władzy.

O kryzysie inteligencji i – w konsekwencji – stanie rozbrojenia polskiego społeczeństwa świadczy brak reakcji i pogłębionej refleksji nad doniosłymi zdarzeniami i zmianami zachodzącymi w kraju po 1989 roku.

Brakło donośnego głosu z kręgu intelektualnych autorytetów, gdy przekreślano istnienie państwowości polskiej od końca drugiej wojny światowej do roku 1989, gdy łamano i łamie się nadal prawa pracownicze przy tworzeniu tego dziwnego i dzikiego polskiego kapitalizmu, którego oblicze przypomina wiek XIX i publicystykę szlachetnych pozytywistów ujmujących się za społeczną krzywdą.

Milczenie inteligencji towarzyszyło marnotrawieniu i trwonieniu bogactwa narodowego stworzonego przez pokolenia Polaków odbudowujących po drugiej wojnie światowej i rozbudowujących polską gospodarkę przed rokiem 1989. Milczenie towarzyszyło sprywatyzowaniu ponad 80 procent polskich banków i utraceniu kontroli nad ich funkcjonowaniem; likwidowaniu ważnych gałęzi polskiego przemysłu; niszczeniu dobrze prosperujących Państwowych Gospodarstw Rolnych na Ziemiach Zachodnich i Północnych bez troski o losy pracowników w nich zatrudnionych.

„Nie było wcześniej pokolenia, które by tak beztrako przejadło dorobek swoich rodziców [...] Roztrwoniliśmy miliardy z prywatyzacji tego, co wspólnym wysiłkiem zbudowali nasi rodzice i dziadkowie”. To cytat nie

z książki Loranca, lecz z felietonu Jacka Żakowskiego, myślącego w tej kwestii podobnie.³

Nie wywołano społecznego protestu przeciw zapedom rodzimych liberałów działających aż nadto sprawnie, skutecznie i szybko w myśl maksymy: „Kupić jako mienie porzucone, a sprzedać jako świętą własność prywatną” (64). Zaniedbano upowszechnić myślenie, że nie ma własności niczyjej, gdy powstała ona z pracy i służy zaspokojeniu ludzkich potrzeb.

Nikt z intelektualnych autorytetów nie wypowiedział się w sprawie powrotu do najgorszych tradycji, które, ani się nie spostrzegliśmy, a zapanowały nad sposobem myślenia na tyle szerokich kręgach społecznych, by się tym mocno zaniepokoić. Z dużym trudem przyjdzie tu likwidować skutki zaniechań i braku postawy aktywnej, która by zapobiegła utracie zdrowia społecznego.

Dyskusja o inteligencji, o jej powinnościach i słabościach ma długą i bogatą tradycję. Zawsze pojawiają się w niej zarówno stwierdzenia o jej ważnej roli, jak i ostra krytyka jej postawy, która ważnemu powołaniu nie umie sprostać. Zarzuty nabrzmiały się emocją tym większą, im większe są od inteligencji uzasadnione oczekiwania. Książka Władysława Loranca jest kolejnym ogniwem w tej dyskusji, w której pojawia się nazwisko Stanisława Brzozowskiego znajdującego w postawie polskiej inteligencji „zawsze to samo nieróbstwo myślowe uświęcone jakimś wyświechtanym, górnołotnym frazesem”. Przytaczał te słowa Józef Chałasiński, gdy po 1945 roku dokonywał analizy społecznej genealogii inteligencji polskiej i uświadamiał wyzwania, przed jakimi wówczas stanęła⁴. Jego wystąpienie wywołało szeroką dyskusję prowadzoną głównie na łamach „Kuźnicy”⁵.

Słowa od Brzozowskiego się wywodzące, przez Chałasińskiego podjęte przypomina Loranc w przekonaniu, że nie utraciły one aktualności. Wzywa do podjęcia poszukiwania odpowiedzi na pytanie „dlaczego

¹ Władysław Loranca, *Kraj bez elit. Szkice o kryzysie polskiej inteligencji*, Kraków 2012. Cyfry po cytatach oznaczają stronę tej książki.

² Marian Stępień, *Społeczeństwo rozbrojone*, „Po Ziemi”, wrzesień 2010.

³ Jacek Żakowski, *Lemingi, brońcie się*, „Gazeta Wyborcza” 24-26 XII 2012.

⁴ Józef Chałasiński, *Społeczna genealogia inteligencji polskiej*, Warszawa 1946.

⁵ Por. Zbigniew Żabicki, *„Kuźnica” i jej program literacki*, Kraków 1966.

wydarzenia ostatnich dekad zepchnęły ją [inteligencję] na margines i spowodowały utratę »rządu dusz«(54).

Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy – dodaję od siebie podejmując próbę odpowiedzi na postawione przez Lorancę pytanie – ma swoje źródło w latach 1980-81. Wyrażanie wówczas obaw, zastrzeżeń wobec ruchu „Solidarności” i przestróg wskazujących na towarzyszące jego działaniom niebezpieczeństwa dla polskiego państwa wymagało odwagi cywilnej, na którą niewielu umiało się zdobyć. Uwagę poświęcano przede wszystkim wnoszeniu drobnych czy mniej drobnych poprawek i przemilczeń do własnych biografii. W łuku przed narażeniem się masowemu ruchowi zawieszono zasadę bezstronności, obiektywizmu. Odwagę cywilną (na którą na przykład umiał się zdobyć kardynał Stefan Wyszyński) zastąpiło podszyte różnymi obawami milczenie tam i wtedy, gdy powinien się rozleć głos intelektualnej elity. Tak więc ona sama usunęła się na margines. Porzuciła właściwe jej powołanie. A później okazała się niezdolna do przeprowadzenia rzetelnej samooceny; na płynące pod jej adresem głosy krytyczne reagowała gwałtowną reakcją obronną i ogłaszaniem alarmu wobec „ataku na inteligencję”. Bo nie miała czystego sumienia.

Władysław Loranc, wytrawny i doświadczony polityk, a przy tym z wykształcenia polonista, doskonale rozumie znaczenie tak ważnego instrumentu w ludzkich poczynaniach, jakim jest język, którym się dokonuje precyzyjnego opisu rzeczywistości. Liderzy SLD nie umieli stworzyć własnej aparatury językowej. Korzystali z arsenału językowego politycznego przeciwnika i jego językiem opisywali samych siebie i swoją genealogię.

Nie mogło to ich nie osłabiać. Loranc domaga się od inteligencji wysiłku opisanego nowymi słowami doświadczeń XX i XXI wieku. Nie wystarczają mu chętnie dziś podejmowane i powtarzane słowa, które tylko pozornie opisują nasz współczesny świat; takie jak: „społeczeństwo ponowoczesne”, „postindustrialne”, „społeczeństwo płynnej nowoczesności”. Jego esej, pisany z pasją, zawsze podporządkowaną kontroli racjonalnej myśli i logice, pisany jest z intencją spowodowania powrotu inteligencji „do aktywnej roli w przywracaniu zdolności analizy położenia gospodarstwa narodowego i ludzi gospodarujących na tle integrującego się świata globalnego”(74). Jest wołaniem o powrót inteligencji do czynnej roli w procesie budowy demokratycznej Polski.

W eseju Loranca, utrzymanego w stylu najlepszej publicystyki nie brakuje trafnych, zwięzłych, aforystycznych ujęć, które dotyczą spraw niezwykle istotnych i zapadają w pamięć. Na przykład: „Trzeba odpowiedzieć, jakiego sensu nabrat słynny apel do Boga, by »zstąpił i odnowił oblicze ziemi, tej ziemi«”.

Władysław Loranc pisze o sobie: „Byłem i jestem człowiekiem osobnym, bo wiem, jak groźny jest tłum”(11).

Tłum jest groźny. Groźne i niebezpieczne dla społecznego ładu jest cyniczne manipulowanie jego nastrojami. Tym ważniejsza staje się rola inteligencji wiernej etosowi, który nie pozwala milczeć w sprawach doniosłych dla społeczeństwa i państwa.

MARIAN STĘPIEŃ

Władysław Loranc, *Kraj bez elit. Szkice o kryzysie polskiej inteligencji*, Kraków 2012.

PRZYPOMINAMY, ŻE OD 2009 ROKU
„ZDANIE” JEST DOSTĘPNE W SIECI EMPIK
W 80. POLSKICH MIASTACH.
 SZUKAJCIE NAS W MEGASTORACH
 ORAZ SALONACH I i II KATEGORII.
 INFORMUJCIE O TYM WSZYSTKICH,
 KTÓRZY SĄ ZAINTERESOWANI KUPNEM
 ORAZ LEKTURĄ NASZEGO PISMA.

REDAKCJA

PAWEŁ KOZŁOWSKI

DZIENNIK PROFESORA NADZWYCZAJNEGO (II)

Ekologia

Fascynuje mnie las. Właściwie to fascynują mnie ludzie, których fascynuje las. Samo stłoczenie drzew i krzaków raczej mnie odpycha, na ogół dosyć mocno. W lesie najbardziej lubię polany. Im są większe, tym moje uczucie do nich staje się silniejsze. Szczególnie cenię takie, które są długie i płynie w nich rzeka. Tu, gdzie teraz jestem, polan jest mało, drzew dużo, wiele pagórków i ciągle gdzieś jeziorka. Nic przyjemnego. Monotonia.

Ludność miejscowa i przyjezdna walczy z rybami, z komarami, sama ze sobą, z sarnami, z dzikami, władzą i muchami. Jest schorwana i zmarniała, choć okazała wzdęta. Dzieciom w szkole, w domu i w knajpie dorośli tłumaczą, że najbardziej niebezpieczny jest policjant lub mysz, a przecież najgroźniejszą postacią materii ożywionej jest kleszcz. Ktoś z moich przyjaciół uległ kleszczowi, najpierw bolała go noga, a później się rozwiódł. Inny trzykrotnie przenosił się z mieszkania do szpitala, coś mu się stało z głową. Jego żona okazała się ciężarna i urodziła. On myśli, że to jego dziecko, chociaż jest dziewczynką. Kolejny chory (mężczyzna) przeczytał książkę. Było to dawno temu, prawie tydzień temu i nie pamięta, o czym. Powiedziałem mu, żeby przeczytał jeszcze raz i sobie utrwalił tytuł. Zareagował z oburzeniem, że mu źle życzę.

Zainspirowały mnie doświadczenia cudze i też postanowiłem przeczytać książkę. Długo szukałem księgarni. W końcu znalazłem i w środku poprosiłem o coś na wakacje lub do szpitala. Może być o chorobie. Powinna być poważna, koniecznie naukowa, taka, żebym mógł zrozumieć świat, w którym żyję. Ekspedientka zachwalała mi rzecz napisaną przez kobietę, „uczoną socjolożkę”. Powiedziała, że spełnia wymienione przeze mnie wymogi. Czuję, jak rośnie we mnie napięcie i drży mózg. A może to dygotało serce. Sprawdziłem, konwulsje objęły cały organizm. Sprzedawczyni kontynuowała rozmowę, wyjęła egzemplarz i zapytała, czy znam autorkę. Dodała, że często występuje, też w telewizji. Rzeczywiście, kiedyś widziałem u znajomych. Zastanawialiśmy się, czy wyłączyć fonię, czy wizję. Wyłączyliśmy wszystko, wniosek został przyjęty przez aklamację. Poszedłem do

domu i książkę pochłonałem szybko. Miałem wrażenie, że jest źle przełożona. Szukałem nazwiska tłumacza, a dostrzegłem informację redakcji, że autorka jest Polką i napisała ją w języku ojczystym. W każdym razie, gdy pochłonałem całość, zorientowałem się, że rzecz dotyczy ruchu. Postanowiłem doprowadzić głowę do równowagi i wzięłem *Logikę* Hegla. Przyjemna lektura, dobrze przetłumaczona. Kiedyś dowiedziałem się, że Hegel nie był Polakiem, bo był Niemcem. Mam do niego stosunek jak do lasu. Zastanawia mnie, dlaczego pociąga innych. Przypuszczam, że ich uspokaja.

Postanowiłem iść do lasu, bo wyznaję wartości ekologiczne. Zaobserwowałem, jak udają się tam ludność wiejska oraz gajowi i nadgajowi. Włożyłem gumki, którymi wiem, jak należy się postugiwać: właściwy styl nakazuje szurać, zabrania podnosić nóg. Do gumki wpuściłem wełniane spodnie. Zastanawiałem się, jaki wybrać kolor onuc. Nie mogłem znaleźć odpowiedniego, w końcu zdecydowałem się na gazetę. Wyżej na swoim cieple umieściłem flanelową koszulę, jej kołnierzyk ścisnąłem krawatem. Zrezygnowałem z muszki, nie chciałem wyróżniać się pretensjonalnością. Krawat przyciągał wzrok dużym portretem jelenia. Zwierzę pokazane było przez artystę z boku, z głową przegiętą w bok. W ten sposób wtapiałem się w środowisko leśne. Spodnie podciągnąłem na szelkach. Na to założyłem marynarkę w prążki. Jej materiał był wyszukaną kompozycją plastiku, innego sztucznego tworzywa i wełny. Uderzała nowoczesnością. Nie kontrastowała z tłem, bo nie czyściłem jej od czasów, gdy w urzędzie przeżywałem granicę pełnoletniości. Pranie niszczy świeżość kolorów i psuje materiał. Na głowę włożyłem берет z ogonkiem na górze. Przymocowałem do niego liść palmy. Zastanawiałem się czy nie włożyć bardziej funkcjonalnej pilotki, ale zobaczyłem, że w tych okolicach jej się nie używa. Stosowany jest kask motocyklowy. Nie miałem dużego garnka. Popatrzyłem w lustro z zacięciem, które stało się przyjemnością. Ekologia powinna łączyć się z estetyką i właśnie się łączyła. Twarz zasloniłem woalką, którą kupiłem w sklepie z dewocjonaliami i artykułami propagandowymi. Powietrze było ciepłe, pięćdziesiąt kilka stopni, a może sześćdziesiąt

w słońcu, którego nie było. Cieszyła mnie funkcjonalność stroju. Chyba opanował mnie entuzjazm.

Wszedłem w głąb kniei, odliczyłem dziesięć kroków, spotkałem po drodze kilkadziesiąt much, kilkaset komarów oraz bagno. Przed końcem zaplanowanej trasy, po sześciu krokach zacząłem tracić orientację. Spokojnie jednak brnąłem do celu. Bo wiem, że trzeba kierować się na zachód. Nie mogłem jednak ustalić, gdzie jest zachód. Przypomniałem sobie, że zachód na mapie jest po lewej stronie. Poszedłem więc w lewo. Drugiego dnia spotkałem kobietę z wiadrem. Zapytała mnie, czy może mi zrobić zdjęcie. Zgodziłem się, ale uprzedziłem, że ze mną źle wychodzą. Nie miała aparatu, ale miała chęć. Okazało się, że jestem sześć kroków od granicy puszczy i czternaście kroków od swojego domu. Nie miałem wątpliwości, że dobrze idę, jeszcze kilka dni i wróciłbym sam. Tę kobietę z wiadrem ktoś musiał specjalnie wysłać.

W domu wziąłem zimny prysznic pod dużym ciśnieniem. W pępku znalazłem kleszcza. Minąłem ścianę i w lustrze zobaczyłem swoje odbicie. Obok odbicie jego. Oryginał znajdował się na moim nosie. Nalałem sobie ekologicznej nalewki z aronii i myślałem. Długo, bo o zaurczeniu lasem i o przyszłości. Postanowiłem, że jutro pójść do sklepu rybnego i kupić strój pletwonurka. To najlepsze wyposażenie do chodzenia po lesie. Nie zdecydowałem tylko, czy do pletw dobrać skarpetki kontrastowe czyli białe, czy stonowane, czarne. Oddałem się wspomnieniom. Pogłębiałem je refleksją. Las może być miły, kiedyś znalazłem w nim butelkę, pustą i dzięki temu lekką.

11.VII.2012 r.. godz. 15:41.

Chmury i słońce.

Rynek

Jestem w małym miasteczku. Poszedłem we wtorek na targ. Ludność miejscowa mieszała się z napływową. Było dużo kaloszy, kartofli, noży oraz krzesel. Najwięcej oferowano biustonoszy. Przyjął tu się jeden model, rozwiniętej bardotki. Wszystkie miały rozmiary arbusów skłaniające do marzeń. Zacząłem snuć plany przemieszczenia się w tę okolice. Jest bardzo dorodna.

Kupiłem dla szwagra sweter na wagę i poszedłem do sklepu spożywczego. Rozejrzałem się i szybko zdecydowałem, co wybrać. Wziąłem orzeszki oraz dwa znicze nagrobne, które stały obok kiełbasy, w lodówce. Poprosiłem jeszcze o dodatkowe wkłady, żeby znicze dłużej się paliły. Wróciłem na rynek, bo przypomniałem sobie, że widziałem tam taczki. Solidne, duże, takie jakich robotnicy używają na budowie. Kupiłem je. W moim plecaku zламаł się stelaż i jego pręt wpija mi się w łopatkę. Teraz plecak będę woził, we wrześniu wybieram się w góry. W parku położyłem się na ławce, zapaliłem znicze i jadłem orzeszki. Miały konsystencję gumy do żucia, w połowie. Były miękkie, ale pozbawione elastyczności. Spokojnie leżałem, zamknąłem oczy. Obudził mnie policjant mówiący, że tu nie można pić piwa. Wyjaśniłem, że piłem tylko herbatę, zieloną, bo dbam o zdrowie. Mundurowy odszedł. Chyba ponownie zasnąłem. Poczulem na sobie wodę. Myślałem, że to deszcz, ale zobaczyłem jakiegoś mężczyznę o sylwetce kobiety. Machał nade mną mokrymi rękami i coś mruzczał. Zorientowałem się, że tak na ogół wygląda ksiądz. Gdy ja wstałem, on odszedł.

Przeszedłem się po mieście. Zobaczyłem, że rozwiązano tu stary dylemat troskliwych ekonomistów: wędka czy ryba. Jest tu dużo wędek i można je kupić w kantorach. Zastanawiałem się, jaki to ma związek z polityką obecnego rządu. Kiedyś jego poprzednicy powołali powiaty, nowe województwa oraz mniejsze emerytury. Klócili się, gdzie mają one być: powiaty i reszta. Teraz rząd ochoczo rezygnuje z własnych obowiązków i wyznacza zadania powiatom, miastom i różnym takim miejscom na mapie i w terenie. Nazywa to decentralizacją. Nie daje im funduszy, co określa racjonalizacją. Powiaty zadłużają się, zamykają przedszkola, szkoły, domy kultury, szpitale. Niektóre podobno zastanawiają się, czy nie zmniejszyć wynagrodzeń swoim władzom najwyższym. Zwalniają ludzi z pracy. Rząd się przygląda. Czasem pomaga i wtedy jest bardzo dobry. Świetna strategia siły kierowniczej. Ludzie ją doceniają. Mówią o potrzebie powszechnych badań medycznych, przymusowych przed objęciem funkcji. Mają je robić różni specjaliści, w szczególności od cech dziedzicznych, urazów porodowych i właściwości później nabytych. Powstają pola golfowe, które następnie mają być przekształcone w ośrodki izolowanej rekreacji. Każdy dostanie piłeczkę i kijek. Umysły dzieci rejestrują fakty, a nawet je łączą. Zauważyły, że suma części przekracza całość. Zwłaszcza odwrotnie: z całości wynika więcej części niż do niej wchodzi.

Przechadzałem się. Chciałem coś zjeść. Kuchnia miejscowa i bliskozagraniczna zwana regionalną, składa się z kartofli. Opatrzono są one różnymi nazwami, które wskazują koloryt rozwiązań. Znalazłem miejsce i usiadłem. Zamówiłem kiszkę. Z kartofli. Miała kolor marengo, lekko wpadający w khaki. Do tego kartofle w kolorze szarym, przetamanym bielą. Wszystko polane było śmietaną oraz przystrojone słoniną w postaci skwarek. Błękitne jak niebo, ale bez gwiazd, bo zachmurzone. Smakowałem wzrokiem. Poprosiłem o zupę. Składała się z kartofli rozpuszczonych w wodzie. Miała też na powierzchni skwarki oraz śmietaną. W kolorze munduru oficera angielskiego stacjonującego w obozie jenieckim. Nie wiem, jak się nazywała. Nazwałem ją zupą-kremem. Nabierałem apetytu, rosła we mnie ciekawość. Poprosiłem o piwo. Kelner powiedział, że jest naturalnie mętne. Doceniłem tę właściwość. Napiłem się piwa, trochę, bo nie chciałem zepsuć jego naturalności. Nie pierwszy raz pożałowałem, że nie piję wódki, a nawet spirytusu. Zapłaciłem. Kelner zaproponował, że da mi jedzenie do domu. Jestem uprzejmy i zgodziłem się. Okazało się, że on nie ma opakowania i liczył, że mam samochód. Nie miałem. Wyszedłem lekko, przestałem być głodny.

W takim stanie, gdy mózg jest rozluźniony, człowiek nie może opędzić się od myśli. Mnie to się akurat wtedy zdarzyło. Analizowałem największe sukcesy ostatnich 25 lat. Może skromniej: najważniejsze wydarzenia. Ktoś mnie niedawno o to zapytał. Pewno był to historyk współczesności, o nieodróżnialnych cechach od innych historyków współczesności. Nie musiałem długo szukać w głowie. Największym wydarzeniem było lądowanie samolotu na placu Czerwonym, a bohaterem ćwierćwiecza Rust, chyba Mathias. Na pewno pilot i wielki człowiek. Wielkie było w tym wszystko. Pilot pokazał, że można wystartować i wylądować. Konstruktorzy zrobili samolot, który okazał się niewidoczny dla radarowców i odporny na rakiety. Żadna go nie sięgnęła,

a nawet nie wystartowała. Amerykanie do dzisiaj robią takie samoloty tylko dla wojska. Są drogie. Osiągnięty tylko w połowie zalety samolotu, który wprowił mnie w podziw. Amerykańskie nie są widoczne, ale można łatwo je zestrzelić. Zaimponowali mi też budowniczo wie ZSRR. Można było u nich wylądować w centrum miasta. Nawet w stolicy. Samolot ani nikogo, ani siebie nie uszkodził. Podziwiałem nawierzchnię placu i organizację ruchu na nim. Rust też był ze swojego lotu wielce rad. Postać kwadrans na placu, a potem zaczął siedzieć. Z tej pozycji również był zadowolony. Wrócił do Rosji po siedmiu latach i zauważył, że dużo się zmieniło. Kraj zrobił na nim kolosalne wrażenie. Przejąłem się tymi wspomnieniami. Nie odczuwam zazdrości. W tym jednym wypadku zazdroścę pilotażu.

13.VII.2012 r., godz. 23:18

Gwiazdy i księżyc.

Wakacje

Postanowiłem wyjechać na wakacje. W tym celu z wakacji wróciłem do domu, żeby z niego wyjechać. Na wakacje potrafię jeździć tylko z domu. Wcześniej wczasowałem na północy, trochę na prawo. Teraz wybieram się na północ, na wprost. Byłem już tam kilkakrotnie i zawsze ruszałem z tego samego miejsca. Nie z boku.

Znalazłem się na półwyspie Helskim. Mijaliśmy port, który zawsze okrążamy i sprawdzamy, co w nim przybyło lub co z niego ubyło. W wodzie zobaczyliśmy gromadkę kaczek. Były dosyć zmarniałe. W moim mieście wyglądają dorodniej może dlatego, że nie muszą pływać. Na wodzie unosiły się też inne ptaszyska. Zupełnie nędzne, o niewyraźnym kolorze brązowoszarym. Spore, ale nie nadawały się do jedzenia, bo chudziutkie. Co chwilę dziobem sprawdzały stan dna. Poczułem silną identyfikację. Przy nabrzeżu stały kutry, a dalej jachty. Kutry były metalowe, wielobarwne. Dominował kolor rdzy. Jachty były plastikowe i bez rdzy. Kutry pachniały, a także cuchnęły rybami i rybakami. Jachty wydzielały brak zapachu. Na kutrach znajdowały się napisy i obrazki. Były one symboliczne. Najczęściej porównywały Unię Europejską do trumny. Miały też rysunek dłoni prawej, ułożonej w kształt figi. Chciałem kogoś zapytać, jaki ma związek jedno z drugim. Obliczyłem, że są możliwe takie kombinacje: figa z trumną, figa z Unią Europejską, Unia Europejska z trumną. Dalej nie rozwijałem rachunków. W każdym razie gryzła mnie, a nawet zżerała ciekawość. Nie mogłem jednak znaleźć żadnego budzącego zaufanie nauczyciela. Bosmana nie było, informacja turystyczna była, ale nieczynna, toaleta była samoobsługowa. Uspokoiłem się, gdy uświadomiłem sobie, że najważniejsze są właściwie postawione pytania. Drugi napis na kutrach adresowany był do Boga. Miał on prowadzić kapitana. To uznałem za logiczne, dodałbym jeszcze kompas. Kapitan prowadzi kuter, Bóg prowadzi kapitana. Pojawiło się w mojej głowie pytanie: kto prowadzi Boga? Zwróciłem się o ustalenie tego do kobiety, która prowadziła wózek. Poleciała mi przytrzymać dziecko, bo będzie je karmić. Dziecko popatrzyło na mnie z wyższością. Zrobiłem się głodny i nie czekałem na odpowiedź. Samo się wyjaśni.

Na nabrzeżu portowym leżał niewielki kuter. Rybacki, nie torpedowy. Okręty wojenne stały po drugiej stronie, nie miały paliwa. Przy kutrze kręcił się właściciel. Niżej miał czarne spodnie, najniżej klapki, wyżej nie miał ko-

szuli, a najwyżej umieścił czapkę, jaką nosi się w Hamburgu. Obok stało dwóch młodzieńców w wieku wojskowym. Czasem chodzili, zatokowym krokiem. Na ogół utrzymywali pion. Synowie. W zasięgu ręki uzupełnionej o wędkę znajdowała się kobieta. To żona i matka. Za kuterem parkowała przyczepa kempingowa, a między nimi wisiły na sznurkach majtki. Dużo ich było. Żałowałem, że zbiór nie stanowił kolekcji. Brakowało jednoczącej idei przewodniej. Rodzina spędzała kreatywnie wakacje. Mężczyzna w randze kapitana przerabiał kuter na jacht. Robił to za pomocą piwa oraz przy pomocy synów, którzy mu piwo przynosili. Kapitan starał się nie wykonywać zbędnych ruchów. Piwo służyło mu do popijania wódki marki „Finlandia”. Taką stosował dietę. Opierał ją na produktach naturalnych. Przypomniałem sobie, że lekarze zalecają dużo pić. Szczególnie w upały. Co prawda gorąco nie było, ale powinno być. Mieliśmy lato. W tuningu jednostki pływającej uczestniczyła też żona, która denerwowała męża. On zaś należał do istot wrażliwych. Przy mnie pouczył otoczenie, które stanowiła poślubiona z miłości kobieta i wyjaśnił sytuację. Polegała ona na tym, że on ma luz oraz urlop. Ona zaś powinna się od niego odsunąć. Lub zrobić coś podobnego. Zafrapowały mnie takie wakacje wodno-łądowe. Ognisko domowe płonące na wyjeździe. Nie chciałem przeszkadzać w pracy połączonej z wypoczynkiem i odszedłem. Czułem promieniującą radość życia. Przekazałem im znak pokoju. Spirytualnie.

Wjeżdżaliśmy do następnego kurortu. Minęliśmy kościół. Zobaczyliśmy ruchomy neon: „Floryda wita w Juracie”. Ucieszyłem się, bo nigdy nie byłem na Florydzie. Chciałem zobaczyć dzikie krokodyle. Na myśl o ich spotkaniu wpadłem w podniosły nastrój. Rozglądałem się, nie spostrzegłem żadnego gada. Postanowiłem zasięgnąć języka. Wszedłem do sklepu, w którym były artykuły plażowe. Stanowiły je kalosze w kwiatki. Zapytałem, gdzie mogę spotkać w okolicy krokodyle. Pani się zastanowiła. Po dłuższej pracy myślowej rozpromieniła i zawołała męża. On powiedział mi ciepło i serdecznie, że krokodyla można zamówić w Gdańsku. Wtedy przyjeździe. Upewniłem się, czy prawdziwy i czy ma ogon. Dowiedziałem się, że oczywiście. Nie pytałem, jak przyjedzie, bo uznałem, że to wchodzi w skład oczywistości. Nie sprawdziłem, czy wszedł. Po tych wyjaśnieniach kierowniczka sklepu zapytała, czy interesują mnie tylko krokodyle. Odrzekłem, że lubię wszystkie zwierzęta. Poleciała mi foczki. Dodała, że są na czubku. W lot zrozumiałem, że chodzi o czubek półwyspu. Czyli prawie na miejscu. Foki mają ładną linię i wąsy. Zacząłem szukać w pamięci obrazu wąsów krokodylich. Nie znalazłem.

Potem poszliśmy do pensjonatu. Przespać się i posłuchać szumu jeżdżących obok pociągów. Do snu prowadził mnie rytm wagonów i szyn. Czułem, jak zlewam się z naturą. Obudziłem się już następnego dnia. Dotrwałem do późnego popołudnia. Porozmawiałem trochę. Przed zmierzchem wzięliśmy leżaki i poszliśmy na plażę. Mieliśmy też wino i kieliszki. Wino było białe, a kieliszki szklane. Wszystko zimne, umiejętnie dostosowane do otoczenia. Obserwowałem budowę ziemi. W miarę siedzenia na leżaku widziałem coraz wyraźniej, że morze na swoim końcu się podnosi. Musi, żeby woda się z niego nie wylała. Prawdopodobnie modelem świata jest talerz. Wbrew pozorom nie kieliszek.

Zaniepokoiłem się wysiłkiem wkładanym w swoją pracę umysłową. Postanowiłem po wakacjach oszczędzać energię.

29.VII.2012 r., godz. 16:25

Pada.

Myśl

Przyszło mi coś do głowy. Nie wiedziałem co. Po jakimś czasie zorientowałem się, że to myśl. Postanowiłem ją rozwinąć. Zamknąłem książkę i wyszedłem. Udałem się na plażę. Szedłem wolnym dostojnym krokiem. Od Greków dowiedziałem się, że taki ruch napętnia głowę. Po drodze kupiłem kalosze. Znalazłem je w sklepie z bikini. Nie lubię wilgoci. Było ciepło, ktoś mi powiedział, że gorąco. Kalosze usprawniłem. Zrobiłem w nich kilka dziurek. Miałem teraz obuwie przewiewne i zdrowe. Zawsze noszę w kieszeni korkociąg i świeczkę. Na wypadek ataku suszy oraz ciemności. Teraz przydały mi się do zrobienia ażuru.

Na plaży było dużo piasku. Z jednej strony ograniczało go morze. Kiedyś sprawdziłem i wiem, że w nim też bywa piasek. Przynajmniej na początku. Później jest już chyba sama woda. Nie ma dna. Na plaży widuje się ludzi, butelki, kapsle, osy, psy i chyba coś jeszcze, ale nie wiem co. Po mojej plaży chodził w kółko saper. Miał czarne ochronne kąpielówki i czarną czapkę z daszkiem. Trzymał metalowy kij. Skierował go do ziemi, którą był piasek. W uszach umieścił słuchawki. Cienka linka łączyła je z kijkiem, nie mogły się zgubić. Wykonywał ruchy podobne jak przy odkurzaniu. Obok jest hotel i zapewne tam konserwuje wykładziny. Ucieszyłem się z jego aktywności, bo mam zaufanie do munduru. Do min i dużych pocisków z prochem też. Gdy się je umiejętnie puknie, wybuchają. Czekalem na to puknięcie. Chciałem saperowi pomóc i zwróciłem się do niego *per* panie generale. Odpowiedział, że jest cywilem. Przyszło mi do głowy, że prawdopodobnie wszyscy saperzy wojskowi już wyginęli. Nasz kraj ostatnio buduje pokój w wielu miejscach na świecie. Na szczęście zostali cywilni fetyszyści w majtkach i czapkach z daszkiem. Czarnym.

Stałem sobie spokojnie i patrzyłem. Zobaczyłem, że plaża stała się pusta. Podbiegło do mnie dziecko przypominające człowieka i oblało mnie wodą. Przyniosło ją specjalnie z morza. Uderzyło mnie zainteresowanie, jakie wzbudzam, gdy nikogo nie ma. Wzbudziłem je ponownie, dziecko przypominające człowieka przyniosło wiaderko z wodą. Powiedziałem mu, że nic mi nie robi, bo mam kalosze z dziurkami i woda przez nie przepływa. Dziecko zniknęło.

Ustawiłem fotel, usiadłem i zacząłem myśleć. Przypomniałem sobie, czym miałem to robić. Chodziło mi o wypicie wina? Na plażę noszę wino. Białe. Również kieliszki. Szklane. Przeleciałem wino z butelki do kieliszka. Nie zmieściło się wszystko. Za każdym razem to obserwuję i ciągle muszę uzupełniać. Stałem się rozmowniejszy. Coraz więcej myślałem. Wyraźniej nie wiedziałem o czym. Czulem przyjemność z pracy umysłu. Działało cicho. Kątem oka zobaczyłem zachodzące słońce. Za chmury. Przeleciał lampion z ogniem w środku. Podgrzewał go. Wkrótce opadł. Zapaliły się krzaki. Paliły się ładnie i głośno. Zastanawiałem się, czy ogień dojdzie do lasu. Nie dotarł. Przybiegli jacyś ludzie i zahamowali tak interesujące nabrzmiewanie sytuacji.

Poszedłem w kierunku morza. Musiałem pokonać kilka metrów. Odmierzyłem przestrzeń i trafiłem. Kierowałem się znajomością rzeczy. Kiedyś dowiedziałem się, że ktoś odbył zaślubiny z wodą. Nie wykluczam, że było ich kilku. Sami mężczyźni. Rozwazałem, jak to się robi i co jest później. Mnie udało się uniknąć. Na brzegu zobaczyłem mężczyznę, który coś budował z piasku. Obok siedziało dziecko i czytało. Może jednak tylko oglądało obrazki. Lubię, jak ludzie czytają. To rozwija wyobraźnię i podobno wiedzę. Dziecko miało jakiś periodyk, poświęcony chyba modzie letniej. Były same obrazki. Linia przewodnia wyznaczała tendencję: ubrania nie może być. Modelki i modele sugestywnie przedstawiali kreacje. Pochwaliłem dziecko za zainteresowanie sztuką. Zwróciłem też uwagę, że wygodniej jest nie trzymać czasopisma do góry nogami. Ojciec kopął fosę.

Postanowiłem skończyć plażowanie. Chciałem nabrać tchu. Udałem się do restauracji. W jej drzwiach spotkałem znanego badacza. Zajmuje się badaniem filozofii cudzej. On ją też objaśnia. Ucisnęliśmy sobie dłonie, ale nie zamieniliśmy ani słowa. Ja się skupiałem, a on być może też. Ma większą objętość. Zamówiłem rybę z marchewką. Ryba była łososiem, a marchewka niedobra. Zjadłem trochę. Wstałem i zacząłem żałować, że zjadłem za dużo. Poszedłem na spacer, żeby pomyśleć. Starłem się przypomnieć, o czym. Zmęczyłem się i uznałem, że jeśli nie zapomnę, to przypomnę sobie później. Usiadłem. Przeczytałem u Szymborskiej, że „nie ma rozpusty gorszej niż myślenie”. Odpoczywam.

3.VIII.2012 r., godz. 18:56

Grzmi.

Biblioteka publiczna

Wybrałem się do biblioteki. Przeczytałem wcześniej, że to świątynia wiedzy. Kto wie, czy nie mądrości lub czegoś podobnego. Nie dowiedziałem się czego, a w każdym razie nic mi teraz nie przychodzi do głowy. Najpierw wyczyściłem buty. Włożyłem je. Spędziłem w nich cały dzień w domu. Czulem się odpowiednio. Przeprowadziłem również próbę nocną. Spałem w butach dwanaście, a może tylko jedenaście godzin. Głęboko. Dwa razy wstawałem, żeby się przejść i rozluźnić mięśnie. Było pragmatycznie, nie musiałem szukać kapci. Zwykle zajmuje mi to sporo czasu. Nie mam kapci. Sprawdziłem starannie, czy przygotowane buty nie wywołują na moich stopach pęcherzy. Wywołały. Przygotowałem czapkę. Wiem, że do niektórych świątyń chodzi się w czymś na głowie. Do innych chodzi się z samą głową, trzeba z niej coś zdjąć. Czapka jest zawsze konieczna. Moja ma daszek. Jest w pepitkę.

Umyłem się kilka dni wcześniej. Przy okazji dolną część torsu odświeżyłem wodą kolońską. Czulem wewnętrzne napięcie. Zreflektowałem się, że dzisiaj należy umyć nieparzyste zęby. Myję je dla zdrowia na zmianę. Miałem coś jeszcze w toalecie zrobić, ale wypadło mi z głowy co. Zadzwoiłem na uniwersytet, żeby powiedzieli, co mi wypadło. Usłyszałem, że mam zrobić roczne badanie lekarskie. Zaczęłem je robić trzy lata temu, ale jeszcze nie skończyłem. Poinformowałem, że jestem w trakcie. Znajduję się przy cholesterolu.

Wyszedłem z domu. Wróciłem. Wziąłem dowód osobisty i pieniądze. Wyszedłem. Wróciłem. Uzupełni-

tem portfel o prawo jazdy i wizytówki. Na chodnikach stoi sporo samochodów. Czasami, a nawet często jeżdżą. Mam dużo wizytówek, które muszę zużyć. To trudne, bo są twarde. Mają ostre krawędzie. Kiedyś je policzyłem, wyszło mi, że tych kantów jest około czterech. Wyszedłem. Poczuję chłód. Wróciłem. Włożyłem spodnie. Wyszedłem. Doszedłem do biblioteki.

Zobaczyłem drzwi z napisem „ciągnąć”. Spróbowałem je pchnąć. Dało się, na szerokość stopy. Wstawiłem ją i popatrzyłem. Stopa ciągle była w bucie. Druga też. Po jakimś czasie jedną dołączyłem do drugiej. Wysuniętą do cofniętej. Następnie drzwi pociągnąłem. Znalazłem się w środku. Za stołem siedziała kobieta o linii książki *Ulysses*. Największa literatura, jaką znam. Rozkoszuję się nią. Mam przyjaciela, który też ją lubi. Słabnie mu wzrok. Bibliotekarka zapytała o autora. Wymieniłem. Musiałem powtórzyć pierwszą literę. Powtórzyłem i dodałem aluzynie, że jak Paweł. Pani oznajmiła, że Prus jest w opracowaniu. Zaproponowała mi Sienkiewicza. Rozmowa o literaturze zyskiwała na dynamice. Zapytałem, czy ma nowe tłumaczenie *Fausta*. Dowiedziałem się, że wydawnictwa tego rodzaju pożyczają się gdzie indziej. Tam są również filmy. Dodała, że mnie rozumie, bo ma syna. Wymiana myśli osiągnęła głębię. Wprowadziłem do niej komentarz. Wyraziłem żal, że nie ma córki. Wróciliśmy do literatury pięknej. Wybrałem Coopera, bo on opisywał przyrodę oraz Indian. Coopera też nie było. Stańto na Kraszewskim.

Po dwóch godzinach zwróciłem. Zapytała, czy skonsumowałem i jak się czuję. Wyrażała troskę. Uspokoiłem ją, że skonsumowałem wszystko i czuję się dobrze. Wyznałem też, że lekko stałem się uduchowiony. Patrzyła na mnie dziwnie. Domyśliłem się dlaczego i wyjaśniłem, że odbyłem kurs szybkiego czytania. Bibliotekarka o objętości *Ulyssesa* w jednym tomie kontynuowała rozmowę o literaturze. Zapytała o wrażenia z lektury. Wyjaśniłem, że po skończeniu całości zorientowałem się, że twórczość powieściowa Kraszewskiego dzieje się kiedyś. Ta wiedza i sztuka wywarły na mnie duże wrażenie. Okazało się, że moje artystyczne przeżycia wywarły też silne wrażenie na bibliotekarce. Nie zdziwiłem się, bo starałem się mówić do niej ładnie i długo. Jak zawsze.

Usłyszałem komplement, że jestem kulturalny. Potraktowałem go jako stwierdzenie faktu. Poleciała mi pisma. Leżały na dwóch stołach. One również były kulturalne i społeczne. Miały dużo obrazków, kolorowe zdjęcia. Zawierały masę informacji o współczesności. Przede wszystkim kto został zabity, a nawet pobity. Mniej było o tym, kto zabił. Sporo o chorych i chorobach, szczególnie ciężkich. Trochę o tym, kto znalazł się w ciąży lub po ślubie. Liczą się też rozwody. Wybitne pióra pisały o samochodach. Pisma zawierały wiele budzących mój podziw interpretacji. Utwierdziłem się w przekonaniu, że kultura się rozwija. Wyszedłem z biblioteki. Tym razem udało mi się drzwi pchnąć. Wróciłem do domu. Usiadłem w fotelu. Uznałem, że trzeba się ruszyć. Przeniósłem się na łóżko

9.VIII.2012 r., godz. 15:21

Deszcz pada, słońce świeci.

Za dużo

Spotkałem stworzenie dwunożne nieopierzone. Widziałem je kilkakrotnie. Za dużo. Stworzenie było płci

samczej. Prawdopodobnie jest nadal. Rozmawiałem z nim dwa lub trzy razy. Za dużo. Rozmowa polegała na tym, że ono mówiło. Ja najpierw powiedziałem zdanie, może dwa. Za dużo. Później milczałem. Trochę słuchałem. Za długo. Stworzenie należało do prymarnych. Na oko. Zajmuje się ono sportem oraz światem. Ze świata interesuje go piwo, internet, wódka oraz historia. Swoje przywiązanie do sportu wyraża uwielbieniem jakiegoś klubu, głównie piłki nożnej. Jego nazwa nie utkwiała mi w głowie, chyba nawiązuje do Rzymu. Starożytnego. Klub jest słaby, zawodnicy nie umieją grać. Stworzenie jest z niego dumne. Deklaruje do niego miłość. Stałą. Co oni robią, nie ma znaczenia dla siły uczucia. Jest ono bezgraniczne. Istotne jest, co robią inni. Oni przeszkadzają. Są gorsi. Także gdy wygrywają, a zwykle wygrywają. Oni mają naturę gorszą, bo niższą. Zawsze. Moralnie oni są nisko. On, a właściwie ono, wysoko. W niebie niewinności i sprawiedliwości. Zadaniem stworzenia, które znałem za długo, jest uświadomić innym ich naturę.

Stworzenie jest wrażliwe. Lubi porządek, nieład wywołuje w nim niepokój. Emocjonalny. Umysłowy nie, bo nie może. Wprowadza ład, czyli hierarchię przy pomocy organizowania spotkań z innymi. Lepszych z gorszymi. Wtedy odbywają się bitwy na pięści, nogi, noże, kije i pozostałe narzędzia proste. Wywodzą się one z tłuków pięściowych.

Stworzenie w tych turniejach nie uczestniczy. On je powołuje do życia. Tak uważa. Nie bierze udziału, bo nie powinien. Jest lepszy. Nie zamierza tego sprawdzać. Przekonanie musi być trwałe, niezależne od okoliczności. Kiedyś chciał odbyć jakiś kurs. Nie zdał końcowego egzaminu, bo go oblali. Ich wina. Skończył szkołę, nawet średnią. Jego zasługa. Trochę studiował. Na płatnej uczelni. Płaciła rodzina. Kilka lat to trwało. Nie skończył, bo nie przystępował do egzaminów. Wyższości nie należy sprawdzać. Polityki nie lubi, ale niektórych z tego kręgu ceni. Szczególnie jednego. Miał złych nauczycieli w szkole i nieodpowiednich rodziców w domu. Pierwszych przerastał, drugich moralnie też.

Stworzenie określonego rodzaju zajmuje się też historią. Ono je bada, szczególnie swojską oraz wojenną. Podkreśla swój patriotyzm. Lubi to słowo jak piwo. Najbardziej z pianką. W dużej ilości. Mówi, że miał ciężkie dzieciństwo, bo inni mu przeszkadzali. Nie mógł się rozwijać. Teraz się rozwija. Nie osiągnął jeszcze apogeum, ale to się stanie w przyszłości. Z kolegami. Mógłby szybciej, lecz warunki trochę krępują. Zmienia je. Z kolegami. Koleżanek nie ma. Mógłby mieć każdą, jednak nie chce. Tak mówi. Tak czuje. Jest ładny lub przystojny, bo ma piękną budowę. Ma męski wdzięk. Tak czuje. Ma zdanie oraz przekonania. One dotyczą tego, że ludzi musi łączyć wyraźny punkt widzenia. Jeden. Właśnie jego. Uważa się za humanistę z tego powodu. Najbardziej pragnie, żeby taki humanizm zapanaował w kraju, który on kocha. Inni go hamują. Jeszcze trochę. Razem z kolegami pomoże reszcie, żeby się zmieniła. Na razie woli psa.

Trochę mi szkoda, trochę się brzydę. Za bardzo. Nie jest on jeden, nie policzyłem wszystkich. Jest ich za dużo.

14.VIII.2012 r., godz. 20:16

Silny wiatr.

W muzeum

Wybrałem się do muzeum. Byłem już w muzeum kiedyś. W dzieciństwie zaprowadził mnie tam ojciec. Może wujek. Kulturalni ludzie. Chcieli, żebym zapamiętał to miejsce. Udało się. Utkwiło mi w pamięci. Do stałem w szatni filcowe kaptcie. Ślizgałem się w nich znakomicie. Unikałem schodów. Wolałem wracać po śladach. Spędziłem w kilku salach dwie godziny. Teraz już takich muzeów nie ma. Wycofali kaptcie. Zniknęła granica oddzielająca *sacrum* od *profanum*. Dowiedziałem się o tym już jakiś czas temu. Pytałem niedawno o obecny stan rzeczy. Nikt nie wiedział. W końcu jednak dotarłem do prawdziwego znawcy. Po sześciu tygodniach starań. Nie zdziwiłem się. Byłem przygotowany na sukces. Specjaliści amerykańscy ustalili, że jak ktoś zna 5,34 osób, to zdoła skontaktować się z prezydentem. Zaniepokoiłem się tym odkryciem. Ja znam nawet więcej niż 5,35 osób! Przez kilka dni czuwałem w nocy. Obawiałem się, że zadzwoni do mnie prezydent. Zamiejscowy lub tutejszy.

Zacząłem unikać ludzi. Szczególnie jednego kolegi. On przez dwie kadencje pełnił funkcje prezydenta. Osiedlowego parkingu samochodów osobowych. I motocykli. Zachował skromność, choć stał się mniej przystępny. Zwoływał zebrania, ustalał kolor ogrodzenia. Dopasowywał klucze do kłódki. Na ulicy wszędzie widziałem jakiegoś prezydenta. Również słyszałem. W końcu zmieniłem numer telefonu. Wyłączam go w dni powszednie. Dla niektórych to są dni pracy. Używam czasem w niedziele i soboty.

Pojechałem do innego miasta. Na południe. Tam zrobili sobie dużo muzeów. Łatwiej trafić. Umówiłem się z przyjacielem. On jest koneserem i ma wykształcenie... Doceniam w pełni. Mieliśmy obejrzeć muzeum razem. Wyszliśmy z mieszkania. Było ono wysokie. Ma jedne drzwi. Drugie zastłonięte szafą. To zmniejsza liczbę pomyłek. Jest ich nadal trochę, bo szafa też ma drzwi. Nam się udało bezbłędnie. Opuściliśmy czwarte piętro. Nie było windy. Poręcze kanciaste. Musieliśmy schodzić. Na ulicy poczuliśmy się zmęczeni.

Lekarze zalecają dużo pić. Ostatnio mówią o dwóch litrach dziennie. Ja tyle nie mogę. Czasem się staram. Przeszliśmy kilkanaście metrów i usiedliśmy w restauracji. Może to była kawiarnia. Kawy nikt nie pił. Herbaty też nie. Ustalliliśmy dalsze działania. Kolega postanowił zjeść śledzia. Z dodatkami. Ja miałem iść do muzeum i opowiedzieć, jak ono wygląda od środka. Liczy się przeżycie. Poszedłem. Wszedłem. Przywitał mnie kelner i zaprowadził do stolika. Po dwóch godzinach wróciłem do kolegi. Martwy śledź go ożywił. On to ożywienie podtrzymywał. Zdałem relację. Poszedłem do następnego muzeum. Tym razem posadziła mnie kelnerka.

Po kilku godzinach, z kolegą zdecydowaliśmy się na powrót do domu. Na pierwszym piętrze zastosowaliśmy technikę taternicką. Liny i asekuracja. Nabieraliśmy wysokości. Na drugim rozrzedziło się powietrze. Zaczęliśmy szukać butli z tlenem. Zaczynało się podejście himalajskie. Nie było nas stać na Sierpów. Między trzecim a drugim piętrem obsunęliśmy się. Podłoże stało się śliskie. Wróciliśmy do poziomu pierwszego. Szukaliśmy innej drogi. Znaleźliśmy. Była bliżej ściany. Na drugim piętrze rozbiliśmy obóz. Postanowiliśmy zmienić obuwie. Żeby dobrze przylegało do powierch-

ni. Zrobiliśmy do częściowo. Zdjęliśmy buty. Nie włożyliśmy innego, bo nigdzie nie było go pod ręką. Przed ostatecznym atakiem konieczna okazała się dłuższa adaptacja organizmu. Spróbowaliśmy uregulować oddech. W krwi mieliśmy za mało czerwonych ciałek. Widocznie przeważały białe. Albo odwrotnie. Zdrowie wymaga właściwych proporcji. Na drugim piętrze nawiązaliśmy kontakt z człowiekiem. Znajdował się po drugiej stronie ściany. Był płci przeciwnej. To nas nie zrażało.

Rozłożyliśmy się na półce. Okazała się wystarczająco szeroka. Nabieraliśmy siły. Zastosowałem wizualizację. Nawiązaliśmy rozmowę by ustalić, czy szczyt będziemy zdobywać razem czy kolejno. Chcieliśmy uniknąć zsunięcia. Rano dotarliśmy na miejsce. Zrobiłem pamiątkowe zdjęcie. Aparat nie miał błony. Był stary. Ujęcie wybrałem znakomite. Posłużyłem się samowyzwalaczem. Nie mogłem się zorientować, która jest godzina. Musiałem zdążyć do muzeum. Kolejnego. Nigdzie nie widziałem zegarka. Mój zniknął. Zadzwoniłem do Nowego Jorku, by ustalić czas. Dowiedziałem się, że jest druga w nocy. Zdziwiłem się, że wokół tak widno. Widocznie mieliśmy zorzę.

Chwilę porozmawialiśmy. O sztuce i o przeżyciach. Wybrałem wizytę w muzeum nocą. Teraz ludzie stali się skromni i wstydlivi. Ja też. Wolę chodzić do muzeów po ciemku. Wtedy nic nie widać. Można się trochę ośmielić. Poszedłem. Kolega też zapragnął na chwilę wpaść. W środku podobało mi się może wszystko. Ekspozycja zawierała sztukę naszych dni. Dominowały rzeczy z końca XIX i początku XX wieku. Obrazy miały duże ramy. Zwróciłem uwagę, że wszystkie były złote. Silne wrażenie robiły wielkie monochromatyczne płaszczyzny. Gładka faktura. Przenikały mniejsze obrazy, łączyły ramy. Malowane nie na płótnie, ale bezpośrednio na ścianach. Abstrakcyjne murale. Połączenie awangardowego Malewicza i rewolucyjnych Meksykanów.

Patrzyłem i chłonałem. Niespodziewanie natknąłem się na jeden obraz tradycyjny. Przedstawiał nagą kobietę. Artysta ujął ją od tyłu. Odwróciła głowę. Ja też. Chciałem zobaczyć, jak wygląda z przodu. Poszedłem do drugiej sali. Tam jednak w tym miejscu wisiał jakiś inny obraz. Chyba świętego lub króla. Wróciłem. Wsunąłem rękę między kobietę a ścianę. Niespodziewanie podszedł do mnie ktoś o wyglądzie starego kuratora sądowego. Usłyszałem, że nie mogę dotykać. Mówiła stara kobieta. Raczej nietadna. Posłuchałem. Sprawdziłem jeszcze, jak nazywa się ta ładna. Nazywała się *Akt*. Nazwisko malarza zaczynało się na P. Często natykam się na tę literę. Lub na okoliczne.

Obszedłem wszystkie sale. W jednej z nich zobaczyłem obiekt, który zrobił na mnie nadzwyczaj silne wrażenie. Artystyczne. Metafizyczne także. To była konstrukcja przestrzenna. Łączyła w sobie rzeźbę i instalację. Na zewnątrz zwarta, w środku nieco rozluźniona. Niewielka. Stała w kącie. Dyskretnie. Autentyczna sztuka przyciąga uwagę. Wymaga skupienia. Promieniuje. Ta mnie mocno pociągnęła. Usiadłem przed nią. Patrzyłem. Próbowąłem przyjąć pozycję *Lotosu*. Nie wychodziło mi. Zawadzałem kolanem o nos. W końcu ukląknęłem. Po chwili tylną część ciała oparłem na piętach. Swoich. Trwałem w bezruchu. Zwolniłem oddech.

Rzeźba miała subtelną budowę. Na zewnątrz była cała czarna. Regularne płaszczyzny. Jedna z nich przepuszczała światło i wzrok. W środku znajdowała się biała forma. Z bliska spostrzegłem, że to jest walec. Na środku niebieska linia. Ciemnoniebieska. Lekko pofalowana, nie nadmiernie. Misterna robota. Nawiązywała do sztuki starych mistrzów. Tak wygląda zapis encefalografu człowieka, który już prawie umarł. Przejmująca alegoria zmienności i stałości. Esencja związku życia i śmierci. Zależności egzystencji z tym, w czym jest zanurzona. Nieśmiertelności czasu oraz doczesności życia.

Wokół gromadzili się widzowie. Milczeli. Nie przeszkadzali mi. Nawiązałem kontakt ze sztuką. Zdynamizowałem intelekt, uruchomiłem intuicję. Poczuję emocje. Sprawdziłem to, co wiem – prawdziwa sztuka jest zawsze zrozumiała. Szczególnie nowoczesna. Wyobraziłem sobie ten obiekt znacznie powiększony. Wypełniałby całą salę. Całe miasto. Cały kraj. Więcej już nie, niech inni przyjeżdżają tutaj przeżywać dzieło. Kończyła się noc. Nie nasyciłem się w pełni, musiałem przerwać proces uduchowienia. Zaciekało mnie, jak autor nazwał swoje dzieło. Nawet nie próbowałem się domyślać. Nauczyłem się odróżniać rolę odbiorcy od uprawnień twórcy. Przynurzałem się bliżej. Dostrzegłem tabliczkę. Na niej napis: *Wilgotnościomierz*. Obok: „Nie dotykać”. Jestem obyty w sztuce. Wiem, że dwa ostatnie wyrazy nie były tytułem. To jest uzupełnienie. Podtytuł. Praca nie była sygnowana. Autor nawiązał do świata przed Dürerem. Pozbawiony pychy. Ujmujący. Sprawdziłem w katalogu, tam też go nie było. Tacy jednak zostają w historii. Z właszcza krytyki.

Wyszedłem z muzeum. Czuję się lekko. Wzniośle. Po dwóch dniach spotkałem przyjaciela. Odnaleźliśmy się w domu. Przypadkowo czy intencjonalnie? Wymienialiśmy zdania z dziedziny estetyki. Ustaliliśmy, że odpycha nas banalność wypchanego konia. Dużego i martwego. Kilka lat temu ktoś coś takiego postawił. Lepiej, gdyby zwierzę leżało na grzbiecie. Mogłoby stać na głowie. Należało się przewietrzyć. Otworzyliśmy okno.

21.VIII.2012 r., godz. 18:03

Pada.

Dzień

Dzisiaj wstałem. Staram się prowadzić regularny tryb życia. Zaczynam dzień na nogach zawsze o tej samej porze. Rano, między godziną 6:55 a 10:07. Zjadłem śniadanie. Konieczność i rutyna. Jeden kawałek ciemnego chleba. Połowa z kozim serem, połowa z brzuszkim łososia. Pominę szczegóły. Brzuszek jest wędzony. Całkowicie. A łosoś nie żyje. Zwykle. Zadzwoił domofon. Ktoś chciał mi przynieść reklamę okien. Także zostawić sąsiadom. Odmówiłem. Ubrałem się trochę inaczej niż wczoraj. Sprawdziłem, czy mam na sobie komplet. Zdjąłem buty. Włożyłem skarpetki. Niebieskie, spodnie miałem też niebieskie, ale wyżej. Zadzwoił domofon. Chciano mi wręczyć reklamę drzwi. Sąsiadom również. Zrezygnowałem stanowczo.

Włożyłem buty. Wyszedłem. Na wycieraczkę leżały ulotki reklamujące drzwi oraz okna. Lepsze i bezpieczniejsze. Najnowsze modele. Pomyślałem, że pewno się nie otwierają. Była też reklama pizzy.

Cztery rodzaje, osiem rozmiarów. Oryginalna włoska. Robiona cztery domy dalej, w kierunku południowym. Bliżej źródła. Zdziwiłem się, skąd się wzięła ta reklama pizzy.

Wyszedłem zupełnie. Było ciepło. Słońce. Przeżyłem chodnikiem, blisko budynku. W cieniu, dyskretnie. Oglądałem przyklejone reklamy okien oraz drzwi. Bezpiecznych. Przeczytałem na rynnice kartkę o uzdrawiających właściwościach medycyny naturalnej. Zastanowiłem się, czy coś mi dolega. Miałem nadzieję. Okazało się, że nic mnie nie boli. Przypomniałem sobie, że widziałem, jak ktoś mówił w telewizji o nadziei jako matce głupich. Dodał, że ona umiera ostatnia. Był to program kulturalny i dotyczył problematyki gastrycznej. Albo gnostycznej. Potwierdziłem w swoich myślach tę myśl cudzą.

Nagle zaczęło padać. Poczuję się mokry i zaskoczony. Popatrzyłem do góry. Ktoś podlewał balkon. U góry skrzynki, niżej doniczki. Zwróciłem mu uwagę, że lepiej podlewać wieczorem, a nie w słońcu. Zapytałem, czy stosuje odżywkę. Nie usłyszałem odpowiedzi. Przez chwilę mi jej brakowało.

Szedłem dalej. Spotkałem dwóch panów. Wyglądali na zbuntowanych malarzy lub poetów. Rzeźbiarzy i powieściopisarzy nie brałem pod uwagę. Swoje indywidualności zaznaczali wyglądem. Podobnym. Jeden i drugi miał długie włosy. Na górze twarzy i na jej dole. Ubranie luźne, krok niespieszny. Styl niemieszkański. Razem pchali wózek dziecięcy. Wzruszyłem się taką emancypacją mężczyzn. Mijałem ich. Z bliska zobaczyłem w wózku kaloryfer. Przypomniałem sobie, że na sąsiedniej ulicy jest punkt skupu złomu. Wzmocniło to moją sympatię do tej pary mężczyzn. Prawdopodobnie jedнопłciowej. Widocznie brakowało im pieniędzy na karmę dla dziecka. Latem kaloryfery są przecież niepotrzebne. Inteligentni i troskliwi. Może jednak przedsiębiorcy z duchem przedsiębiorcy? W każdym razie nie spekulanci. Ominęli bankomat prostym kursem. Bez pokus.

Przed zejściem do metra usłyszałem kompozycję Griega. Dźwięki wydobywały się z mojej prawej nogi. Płynęły do góry. Grała komórka. Lubię tę melodię. Wysłuchałem do końca. Zszedłem na stację. Ktoś mówił, żeby odsunąć się od toru. Podporządkowałem się ze zdziwieniem, bo powinien przecież apelować, żeby się przysunąć. Przyjechał pociąg. Jeżdżę zawsze tą samą linią, ale mam do wyboru dwa kierunki. To wymaga zastanowienia. Zdążyłem. Wagon był prawie pusty. Jak zwykle o tej porze. W drzwiach stały dwie i pół osoby, jedna trochę dalej, podtrzymywała drzątek. Sami mężczyźni, z zaawansowanym rozwojem brzucha. Z trudem się precyzyjnie. Przeprosiłem. Przyjęli moje maniery z aprobatą. W milczeniu. Chyba nie sprawiłem im dużego kłopotu, bo niczego nie wciągnęli.

Usiadłem. Pociąg ruszył. Oni mieli szerokie zainteresowania. Obserwowali przez przezroczystą część drzwi rury w tunelu. Szczególnie ich umocowanie. Ja patrzyłem na ekran telewizora umieszczony nad oknem wagonu. Z zaciekawieniem oglądałem reklamę pizzy. Wkrótce zmieniła się w reklamę okien. Czekając na program o drzwiach. Był. Wysiadłem na czwartej stacji. Na ogół tam wysiadam. Poszedłem do ruchomych schodów prowadzących na górę. Były nierucho-

me. Wyobraziłem sobie, że są ruchome i wszedłem po nich. Obok wspinali się ludzie po schodach tradycyjnych, z kamienia. Ja lubię nowoczesność i wygodę. Może oni na swoich schodach prowadzą racjonalny tryb życia? Na powierzchni stanąłem na skrzyżowaniu. Czekałem na zielone światło. Tam od dłuższego czasu jest dół, nic nie jeździ i światła są wyłączone. Stałem więc kilkanaście minut, ale czas mi się dłużył. W końcu poszedłem za niewidomym. Bez psa. Odprowadziłem go i podziękowałem.

Szedłem prosto chodnikiem. Skręciłem w lewo, później w prawo i następnie ponownie w prawo. Zacząłem od początku, ale jednak trochę dalej. A właściwie bliżej. Chodzę tamtędy kilkadziesiąt lat i nigdy się nie zgubiłem. Uważam, że mam niezłą orientację przestrzenną. Pomaga mi dobrze przygotowany szlak. Obywam się bez satelity. Mijałem uczelnię. Ktoś do mnie podszedł. Okazało się, że się znamy. Potwierdziłem, ale nie wiedziałem z kim. Dziwnie mnie ona tytułowała. Trochę porozmawialiśmy. Poruszyliśmy zagadnienie – co słycać. Pożegnaliśmy się i postanowiliśmy rozwijać znajomość. Odchodziła. Popatrzyłem na nią z tyłu. Miała nogi. Zakończone ładnymi butami. Z czerwonymi podszewkami. Następnym razem muszę zapytać ją o numer. Ciągle nie mogłem sobie przypomnieć, jak się nazywa i dlaczego ją znam.

Usiadłem na ławce. Czarny marmur, nagrobkowy. Zaczął grać Szopen. Rozglądałem się gdzie. Obok na pomniku siedział mężczyzna w stroju kobiety. Miała obie ręce zajęte i uniesione. Nie grał. Nie mógł tego robić na żadnym instrumencie. Skupiłem się i wytężyłem rozum. Wykryłem, że dźwięki tworzące sztukę wydobywają się spode mnie. Łosoś jest ciężkostrawny, zwłaszcza brzuszek.

Wstałem, poszedłem i wszedłem do budynku. Trafiliem do swojego gabinetu. Obok jest toaleta, więc łatwo znajduję drogę. Inni też. W pierwszym pokoju biurko i stół ma koleżanka. Także czajnik i ekspres do kawy. Umieściła również telewizor. Tak sądziłem początkowo. Później okazało się, że to ekran komputera. Omijam z daleka. Medycyna pracy twierdzi, że jest szkodliwy. Koleżanka pracowała. Ona ciągle pracuje. Imponuje mi, choć jest inteligentna. Kiedyś zapytałem o przyczyny jej oryginalnego nawyku. Okazało się, że musi. Uważa, że ma dużo zadań obowiązkowych. Zdziwiło mnie to, ale nie dałem tego po sobie poznać. Wkrótce zrozumiałem. Ona nosi okulary i widzi związek. Ja używam tylko okularów przeciwsłonecznych. Chronią oczy.

Mój pokój ma inną architekturę wewnętrzną. Biurko jest raczej puste. Jest na nim lampa, rzeźba zwierzęc człowieka w pozie frasośliwego myśliciela oraz pawie piórko. Niewielkie. Na ścianie powiesiłem swój portret. Namalowany pędzlem i farbami olejnymi przez znanego malarza. Kiedyś wiozłem go samochodem, z którego on wypadał. Gdy zamknąłem drzwi, to wysuwał się przez okno. Ja wypadałem mniej. Kolega artysta dziełem wyraził swoją wdzięczność. Albo odwrotnie – wyraził ją najpierw, a później jechaliśmy. W każdym razie dojechaliśmy. Po drodze pokonaliśmy trzy trudne zakręty. Ominęliśmy masę przeszkód: czerwono-jaskrawe światła, białe linie na ciemnym asfalcie, szwędające się autobusy, w jednym miejscu groźnie atakujące tramwaje. Nie zauważyłem pieszych, kolega twierdził, że ich nie ma.

Kręciło się natomiast dużo innych samochodów, które tego dnia i o tej porze właśnie jechały. Zła organizacja ruchu. W mieście do dzisiaj brakuje zielonej fali. Podobno utrudniają jej instalację małe i duże samochody oraz tramwaje. W końcu dojechaliśmy. Zatrzymaliśmy się w śródmieściu. Artysta na kilka dni. Nie mógł samodzielnie wyjechać do domu. Portret jest sprzed kilkadziesiąt lat. Niepodobny do mnie dzisiejszego. Dlatego wisí. Pokój urządziłem funkcjonalnie. Brakuje w nim jednak rozkładanego fotela. Sypiam na obrusie, który kładę na podłodze. Pod głową umieszczam książki. Trzymam ich kilka. Najlepsze są w twardej oprawie, bo się nie zwijają. Teraz trochę posiedziałem. Nie kładłem się, książki zostawiłem w spokoju.

Później wyszedłem. Po drodze odwiedziłem przyjaciela. Jesteśmy prawie rówieśnikami. On jest starszy ode mnie o 30 lat. Wypiłem koniak, przyjaciel woli whisky. Jest kulturalny i mądry. Bardzo życzliwy. Zna świat. Zachód zaczął poznawać lepiej od miejscowości Gusen, administracyjnie wówczas związanej z Mauthausen. Empirycznie badał kulturę niemiecką. Był tam cztery lata. W młodości. Ja młodość miałem kiepską. Czas PRL. Matka ciągle usiłowała mnie karmić szynką i czekoladą. Stosowała zmiany. Dzisiaj wróciłem do domu piechotą. Nie lubię hamowania autobusu. Szedłem częściowo przez park, częściowo nie przez park. Nastąpiła pora kolacji. Nie jadam. Zacząłem więc od razu życie prywatne.

26.VIII.2012 r., godz. 12:44

Słońce.

PAWEŁ KOZŁOWSKI



Rys. Małgorzata Tabaka

EDUARD STIEPANOWICZ KOCZERGİN

GOGA Z BRAZU

(wspomnienia scenografa, cz. 2)

Nowe opowiadanie Koczergina *Goga z brązu* (*Miednyj Goga*) to spotkania i refleksje scenografa i przyjaciela snute przy pomniku GEORGIJA TOWSTONOGOWA – jednego z najwybitniejszych twórców teatru, dyrektora i reżysera BDT (Bolszogo Dramaticzieskiego Tieatra, później Dramaticzieskiego Akadiemickogo Teatra Bolszogo im. Maksima Gorkogo) w Leningradzie. To opowieści o wspólnej pracy, o meandrach czasu, o tajemnicach procesu twórczego i o kolizjach artysty z realiami dnia dzisiejszego. Jest to początek nowej książki Koczergina, wybitnego scenografa, poświęconej problematyce teatralnej. Drukujemy kolejne fragmenty.

Spotkanie siódme

Goga, toniesz w śniegu. Popatrz,
do kogo stałeś się podobny.
Ogromna biała papacha na twojej głowie,
biała burka. Wyglądasz, jak górski aksakł,
który zszedł do nas w Pitrze z zaśnieżonej gruzińskiej
wioski.

Albo norweski troll przybyły z zimowym desantem
na prastarą piotrogrodzką ziemię.
Popatrz, Goga, mam przy sobie naczynko подарowane mi
przez dawnego gubernatora Władimira Jakowlewa,
z dobrym napojem i srebrny kielich.
Nie będziemy marznąć.

Jednym z najciekawszych naszych wspólnych przedsięwzięć była praca nad *Cichym Donem*. Czasu znów było za mało i musiałem zaprojektować scenografię bez pełnego planu inscenizacji. Pamiętasz, że literacki zarys spektaklu powstawał wprost w pracowni makiet teatru. Wraz z tobą inscenizację przygotowywała twoja wierna pomocnica Dina Morisowna Szwarz, niezmienny od lat kierownik literacki, „najlepszy zawilit wszystkich czasów i narodów”, jak ją żartobliwie tytułowano w tych czasach. Tytuł ten stał się z czasem najbardziej zgodny z prawdą i niepodważalny.

Razem, ty i ona, schodziliście po skończonej próbie do pracowni scenograficznej i przy stole monta-

żowym makiet omawialiście koncepcję tej lub innej sceny często sprzecząc się, wyklócając, ale zawsze na temat. Przy tym oboje paliliście bez umiaru i moich małych popielniczek nie starczało, wtedy zleciłeś sekretarce, by przynieść z twojego gabinetu olbrzymią kryształową popielnicę i wpisać ją jako wyposażenie pracowni makiet. Kiedy opuściłeś nas na zawsze, w tym roku ona zniknęła. Ktoś ją zabrał, ukradł pamięć o tobie.

Początkowo budowaliście fabułę według tekstu powieści. Zastanawialiście się jak ten ogromny utwór można przedstawić w czasie scenicznym i w naszej przestrzeni. Wszystko zaczęło się układać, kiedy pojawiła się główna idea: *Cichy Don* należy wystawić jak epos. Nie historię o życiu, a jako epicką opowieść – o walce, o ziemi, o człowieku, o miłości. Zaproponowałem, by scenograficznym tłem zrobić temat ziemi, jak w ikonach południoworosyjskich, zamiast nieba – ziemia. A Don wykuć z metalu w formie dużej wygiętej w łuk kozackiej szabli. Tło – horyzont, zaoraną ziemię wykonaliśmy z żołnierskiego płaszczowego sukna. Na tym tle zawisła mosiężna tarcza słońca podświetlana przez Kutikowa. W scenie powrotu bohatera słońce sekretnymi sposobami zmienia on w czarną tarczę. Powstaje zaskakujący obraz trafnie ilustrujący dramaturgię.

Powstał wybitny spektakl między innymi dzięki doskonałej grze niemal całego zespołu – wyróżnili się w nim Oleg Borysow, Kirył Ławrow, Oleg Basiłaszwili, Swietłana Kriuczkowa. Po roku, pomimo licznych administracyjnych utrudnień, spektakl otrzymał Nagrodę Państwową.

Pomówmy o znakomitej adaptacji *Historii konia* Lwa Tołstoja i skandalu wokół niej. Niedawno w swojej nowej książce Mark Rozowski próbował podważyć twoje autorstwo inscenizacji spektaklu. Jako świadek i uczestnik tych wydarzeń twierdzą, że Mark nigdy nie zdołałby zrealizować takiego przedstawienia jakie powstało w naszym BDT. Potwierdzeniem tego są jego dwie próby inscenizacji *Historii konia* w innych teatrach, choćby w krajach nadbałtyckich. One, z przeproszeniem, w niczym nie dorównywały naszemu spektaklowi i szybko zeszły ze sceny. Widziałem próbę generalną pierwszego aktu w sali prób BDT, w reżyserii Rozowskiego przed radą artystyczną teatru. Przykro było patrzeć na naszych wybitnych artystów postawionych

w sytuacji amatorskich wykonawców studenckiego teatru. Wszystko zaprezentowane w tym spektaklu wskazywało na bezradność reżyserii i przede wszystkim na zły gust. Jasne okazało się tylko jedno – w dobrej reżyserii Lebediew może być potężnym „centaurem”, a Basiaśzwili urodzonym księciem.

Nie zamierzam ani trochę umniejszać zasług Marka Rozowskiego. Chwała mu za genialny pomysł wystawienia *Historii konia* właśnie w BDT z jego aktorskim zespołem w tamtym czasie. Za odwagę adaptacji na scenę tołstojskiej noweli.

Zapewne zapomniałeś, jak rada artystyczna teatru zatwierdziła makietę scenografii do tego spektaklu. Początkowo projekt scenograficzny był przygotowywany na małą scenę BDT. Rada artystyczna i większość wykonawców spektaklu z Jewgienijem Aleksiejewiczem Lebediewem na czele ocenili moją pracę zdecydowanie negatywnie. Główną myśl praktycznie zdyskredytowano, projektu makiety nie przyjęto. Jewgienij Aleksiejewicz w założeniu upoetyzował *Historię konia*. Akcja przebiegała na tle błękitnego nieba, zielonej trawy, kwiatuszków, unoszących się motyli, koników polnych i innych owadów. A ja wykonałem siodło z płótna naciągniętego na drewniane pieńki, okryte derką z guzami, śladami bójek, ran, to znaczy zobrazowałem wnętrze bohatera sztuki – Lebediewa, wnętrze o pierwotnej naturze i nieokiełznane.

Targnąłem się na rzecz niemożliwą. Spróbowałem stworzyć złudzenie żywej fizjologii używając w tym celu płótna. Płótno długo młócone – tak jak bito konia – nagle stając się jak żywe, zaczyna puchnąć z bólu, tworzą się rany, guzy, strupy, pojawiają się nacieki. Widząc to Lebediew poczuł się nieswojo, może nawet przeraził się – przecież to wszystko jego dotyczyło. Po zakończeniu rady artystycznej, kiedy już wszyscy oprócz Lebediewa rozeszli się, ty raz jeszcze wysłuchawszy wszystkich jego zastrzeżeń, zwracając się nagle do mnie powiedziałeś: „Edwardzie, proszę zrobić tak, jak pan proponuje”. Poczuję się bardzo zaskoczony, byłem bowiem pewien, że będę musiał malować błękitne tło, imitację trawy z kwiatkami, umieszczając na tym tle koniki polne, motyli i inne głupstwa. Z zamkniętymi oczyma przyjąłeś moją koncepcję, chociaż nie znałeś jej przed naradą. Uratowałeś mnie i przyszedł znakomity spektakl. Lebediew z czasem przyzwyczał, a chyba nawet przekonał się do mojego sposobu traktowania przestrzeni. Wszystkie cechy Jewgienija Aleksiejewicza, jako unikalnego rosyjskiego artysty naturalisty znalazły właściwy związek ze środowiskiem. I *Historia konia* stała się pieśnią jego życia. W rezultacie zrealizowana przez ciebie inscenizacja pozostała na dziesięć lat jednym z najlepszych spektakli teatru europejskiego tamtych czasów i objechała praktycznie cały świat. A ty, mój Gogo, kolejny raz udowodniłeś mi, że miałeś intuicję genialnego człowieka i artysty.

Spotkanie dziewięte

Jakoś dotkliwie zimno na twoim skwerze,
co prawda marzec w Pitrze
jest zawsze dokuczliwy. Dobrze, że słońce przejrzało
– oto jaki cień granatowy za tobą się kładzie na śniegu.
Ty przecież lubiłeś ten kolor.
A teraz pozwól – łyknijemy z buteleczki, ogrzejemy się.

Tobie też należy, przecież nie odmówisz.
Wypijmy za to co było dobre w naszym żywocie,
za to, że na nic nie bacząc nieśliśmy płonący kaganek
przez ten świat, za świetlaną pamięć o tych wszystkich,
którzy odeszli. Na koniec wypijmy za to,
że „dźwigaliśmy to, co nie do udźwignięcia”.

Pamiętasz, że sztukę Ostrowskiego *Mądremu biada* obaj wystawialiśmy trzykrotnie. Pierwszy raz w helsińskim Narodowym Teatrze Dramatycznym, po raz drugi – w Teatrze Schillerowskim w Berlinie Zachodnim. A następnie u siebie – w BDT. Wszystkie inscenizacje wypadły znakomicie, ale dla mnie najbardziej godna zapamiętania okazała się ta w Helsinkach. Nie przypuszczałem, że fińscy aktorzy tak dobrze zagrają Ostrowskiego i dla ich widza sztuka okaże się tak interesująca. W kraju Suomi zegrali wspaniale naszego Ostrowskiego w twojej reżyserii. Sztukę w Helsinkach z powodzeniem wystawiano przez całe cztery lata, co w przypadku półmilionowego miasta jest absolutną rzadkością. Zdumiewająco trafnie dobrałeś aktorów, którzy okazali się fenomenalnie utalentowani – to najważniejszy sukces fińskiego „Mądrego”. Okazało się, że nasz humor, poczucie absurdu nie tylko są zrozumiałe, ale i bliskie widzowi.

Na generalnych próbach zauważyłem, że przerywasz aktorowi dokładnie w tym momencie, kiedy gra bez zrozumienia i poprawiasz go. Przecież języka fińskiego nie znasz, tłumaczka dosłownie nie tłumaczy wszystkiego, a i sama wyraża zdziwienie, kiedy ty przerywasz grę. Niemal jednocześnie z zadziwionymi Finami zapytałem: – Jak bez znajomości języka udaje ci się poprawiać grę aktorską właśnie tam, gdzie to potrzebne? – To proste, sztukę po rosyjsku znam na pamięć, a w toku inscenizacji łatwo dostrzec, kiedy aktorzy popełniają błąd lub dokonują zdrady wobec naszego Ostrowskiego.

Okazuje się, że sztuki, które wystawiałeś za granicą, przyswajałeś na pamięć. To wprost fantastyczne. Pracowałem na wyjeździe z wieloma naszymi reżyserami, również z tymi najbardziej uznawanymi, ale żaden sztuki na pamięć nie znał. Inaczej mówiąc – takiego uczciwego stosunku do swego rzemiosła jak u ciebie nie spotkałem ani razu. (...)

W Niemczech podczas prób do *Mądrego* nastąpiło zabawne wydarzenie związane z pracą nad ikoną Matki Boskiej do ikonostasu jejmość Turusinej. Zespół realizatorski długo nie dostarczał ikony. Zaczęte się denerwować – jej brak dezorganizował próby. Miejscowi odpowiedzialni za przebieg prac zapewniali, że ikona wkrótce się pojawi, ale jej wciąż nie było. Rozpoczęły się końcowe próby, dekoracje od dawna na scenie, a ikony brak. Nikt nie umiał mi powiedzieć, gdzie nad nią pracują. Przypadkiem dostrzegłem w stylowej sali schody prowadzące na antresolę i wspiałem się po nich, a tam w małym pomieszczeniu natknąłem się na wylężonego artystę przed sztalugą z gotową Matką Boską, ale z pustymi gałkami ocznymi. Artysta zaczął mi coś wyjaśniać nerwowo po niemiecku, wskazując na puste oczodoły na obliczu ikony. Wreszcie zrozumiałem o co chodzi. On nie mógł uchwycić zawieszonoego spojrzenia skierowanego w nicość, to znaczy spojrzenia nie człowieka, a istoty boskiej – Matki Bożej. Wkrótce za mną pojawiła się tłumaczka, a z nią i inni artyści scenografowie. Skarzyli mi się, że ilekroć próbowali namalować oczy Matki Boskiej, zawsze wyglądały

jak ludzkie, a nie jak na ikonach – bosko skierowane w nicość. Trzeba było zdradzić im tajemnicę starej rosyjskiej ikonografii i w ich obecności namalować źrenice. Ku ich zdziwieniu mnie się wszystko udało od razu.

Rzecz w tym, że zgodnie z prawosławną tradycją malarze ikon ustawiali źrenice na gałce ocznej nie w środku linii oczu, a powyżej, w przybliżeniu na dwu trzecich wysokości i obie źrenice nanosili dokładnie równolegle jedna do drugiej. Spróbujcie spojrzeć ustawiając swoje źrenice równolegle – nic wam z tego nie wyjdzie, a narysować tak można. Wzniesienie źrenicy nad osią gałki ocznej daje spojrzenie skierowane na obraz powyżej horyzontu, ponad ludźmi – w nieskończoność, a równoległy układ źrenic nadaje ikonie pozaziemskie, mistyczne spojrzenie. (...) Tego wieczoru po próbie artyści teatru schillerowskiego wydali dla nas obu bankiet z okazji odkrycia prawosławnej tajemnicy malowania ikon, z niezwykle smakowitym piwem berlińskim.

Na wyjazdach zagranicznych w tym okresie pracować było trudno. 75 procent zapracowanych groszy, w tym i diety, ministerstwo kultury zabierało swym niewolnikom. Pozostałe 25 procent waluty nie starczało na obiady ani w barze, ani tym bardziej w restauracji. Kupowaliśmy produkty w sklepach i sami sobie gotowaliśmy, by cokolwiek zaoszczędzić jeszcze, aby częśćkę zarobku przeznaczyć na wydatki dla rodziny. Ty, aby kupić używanego mercedesa – marzenie całego życia – odkładałeś podczas wielu zagranicznych inscenizacji, odmawiając sobie wszystkiego. Pamiętasz, mój biedny Goga, wszystkie te niegodne sprawy?

Spotkanie jedenaste

Popatrz, na skwerze jest mnóstwo śladów po święcie majowym, nawet flagę zostawili w twoim ogrodzie. U twoich stóp stoi niedopita butelka piwa. Czyżby proponowali ci popijawę?

Próbowali cię kusić piwem?

Popatrz – na ławkach zakąski zostawili, ludziska nieźle pohulali. Nie wiedzieli, że piwa nie piłeś, a i pijaństwa marnego nie tolerowałeś.

Zaczekaj, posprzątam i będziemy rozmawiać.

Zrobiłem scenografię do trzydziestu twoich spektakli. Dziwię się teraz i nawet nie mogę w to uwierzyć, że aż tyle prac wykonałem pod twoim nadzorem. Prac zupełnie różnych.

Pamiętam zaskakująco nowatorską na owe czasy inscenizację sztuki N. Ostrowskiego *Wilki i owce*. Poprosiłeś, bym znalazł przekonujące rozwiązanie sytuacji, gdzie na początku i w toku spektaklu będą grane jakby odrębne przedstawienia, *divertissements*, jak w teatrze XIX wieku. W rezultacie na scenie BDT powstał teatr w teatrze. Drewniany portal z dużą kotarą z wytłoczonego perkalu, a za nią przestrzeń uformowana parawanami z perkalu, z tradycyjną rampą na proscenium i małżowiną budki suflerskiej. Ten „perkalowy Wersal” – takie ujęcie z przymrużeniem oka zdejmowało nadmierną powagę i pozwalało artystom na luz, improwizację i humor, mogli bardziej indywidualnie zagrać swoje role. A występowali wspaniali aktorzy: W. Strzelczyk, E. Popowa, S. Kriuczukowa. G. Bogaczew, Ryżuchin. Znakomicie komponowały się wstawki baletowo-operowe, parodiujące główne wątki sztuki.

Dekoracje do *Wilków i owiec* pracownie BDT wykonały idealnie. Wszystkie drewniane detale oprawy nasączone były wywarem mocnej prawdziwej herbaty. Ten mój kaprys pozwolił na zmianę zwyczajnej sosny w drogi, o złotym połysku gatunek drewna. (...)

Dekoracje do *Amadeusza* według tekstu Szeffera wykonano wcześniej, w czasie urlopu zespołu aktor-skiego. Pracami kierował Władimir Pawłowicz Kuwarin, ostatni Mohikanin sztuki dekoratorskiej, „szczur planszowy”, twórca tylko rzeczy najwyższej jakości. (...) Spektakl był wystawny, z wieloma scenami i licznymi zmianami dekoracji. Oczekiwałeś, żeby zmiana miejsc akcji nie wstrzymywała biegu przedstawienia. Oznaczało to, że wszystkie zmiany winny być widoczne, przejrzyste tzn. dokonywane na oczach widzów. Na ruchomych podwoziach zmontowaliśmy obracające się kręgi, a na nich ustawiliśmy dekoracje, co umożliwiło mi rozwiązanie wszystkich problemów. Plany wewnętrzne szybko zmieniały się w zewnętrzne, plenery w w pałac królewski i tak wielokrotnie w ciągu przedstawienia. Wewnętrzna przestrzeń wydzielona lustrami i ozdobiona stylowymi lichtarzami ze świecami stwarzały wrażenie bogactwa i blasku wiedeńskiego pałacu, gdzie rozgrywały się intrygi przeciwko geniuszowi – Mozartowi. Motywu „artysta i władza” – tej idei nie formułowaliśmy, ale myślę, że to właśnie ona była najważniejszym akcentem spektaklu. Sam niedawno przeżyłeś prostackie i niemądre próby wywierania nacisku na twoje zasady i idee przez władze naszego szacownego Petersburga.

Konflikt wolnego duchem, od Boga zesłanego Mozarta świetnie zagrano przez Jurija Demicza z pełnym kompleksów Salierim, mądrze i trafnie zagranym przez Władysława Ignatiewicza Strzelczyka trzymał widownię w napięciu przez cały spektakl. Stając się teatralnym bestsellerem *Amadeusz* pozostawał w repertuarze przez kilka lat.

Ogarniają mnie nostalgia i smutek mnie. Upadek cnót zawodowych u reżyserów pogłębia się. Spostrzegam, że nie potrafią oni powiedzieć, w jakim celu będą wystawiać wybraną sztukę. Z jakim przestaniem widz opuści teatr po spektaklu. Są jak jacyś profani, pozabawieni kryteriów dobrego rzemiosła. Wciąż powracam myślami do ciebie, doskonale miałeś je opanowane. Umiałeś zbudować akcję całego spektaklu jak i każdą sceniczną postać. Byłeś przekonany, że w każdej minucie i sekundzie, w każdej chwili na scenie dynamicznie powinna rozwijać się akcja, walka idei. Jeżeli tego brakuje, widz wyłącza uwagę, przestaje słuchać aktorów, zaczyna kasłać, wiercić się fotelach, rozmawiać.

Twoje próby oglądało wielu różnych ludzi, poczynając od aktorów, a kończąc na sprzątaczkach. Wszyscy z zainteresowaniem śledzili jak wyczarowujesz, budujesz akcję. Jak aktorzy stopniowo zaczynają żyć w dramaturgii. Jak tekst nabiera życia. Dzisiejsi reżyserzy nie lubią osób siedzących na próbie. A ty nie bałeś się świadków swojej pracy, ponieważ władałeś rzemiosłem w sposób doskonały.

Tobie, Władimirowi Kuwarinowi i mnie udało się w latach siedemdziesiątych wznieść na wyższy poziom kulturę reżyserii i scenografii. Wszystkie nasze spektakle z tego okresu, takie jak *Hanuma*, *Zeszłego lata w Czulimsku*, *Letnicy*, *Życie pana de Moliere*, *Historia konia* i wiele innych były najwyższej jakości. Obecnie niestety, osiągnięcie takiego poziomu dekoracji jest

prawie niemożliwe. Nowe kierownictwo teatru pozbyło się naszych mistrzów. Nie ma już rzeźbiarza i rekwizytora Toli Wasiliewa, stolarza – czarodzieja drewna Wołodi Tiutczewa. Nie ma mistrzowskiej charakterystyki Iry Gromadskiej, odeszła rodzina doświadczonych oświetleniowców Ababurko. Oni przepracowali w teatrze długie lata. Wyrzucono z pracowni krawieckiej krojczynię o najwyższych kwalifikacjach Nonę Szełagurową, która kroila kostiumy i męskie, i kobiece, często zastępowała cały teatr, była pomocna tobie i mnie. Zwolniono ją po cichu, w czasie ostatniego urlopu, żeby tego od razu nie zauważono. Nie jest im wygodnie mieć własnych mistrzów rzemiosła, zwłaszcza dobrych, bo o nich trzeba dbać, szanować i witać ich z imienia i *otczestwa*. (...)

Spotkanie czternaste

Przywlokłem się dzisiaj do ciebie z niedobrym przecuciem. Co się z tobą stało, Goga? Kto cię obraził, kamieniami obrzucił dla zabawy. Milczysz? Pozwól, cię dokładnie obetrę... Słuchaj, w twoim ręku był papieros, gdzie on? Gdzie się podział? Odłamali go, ów symbol słabości, twoją miłość – papieros. Zabrać cokolwiek bezbronnemu mogą tylko wandalę, nieludzie z piekła rodem. Osierocili cię Goga, chyba męczysz się teraz bez tego papierosa? Musisz trochę pocierpieć. Powiemy Iwanowi-rzeźbiarzowi o tym barbarzyństwie i on zrobi nowy odlew papierosa, a ty zapalisz go jak dawniej, mój biedny Gogo z brązu.

Często wspominam i nawet śni mi się po nocach praca nad naszym amerykańskim *Wujaszkiem Wanią* Antona Pawłowicza Czechowa dla teatru McCartera w Princeton. Pamiętam stary piętrowy dom wynajęty dla nas przez teatr. Każdy z nas mieszkał w nim na swoim piętrze. Tobie trudno było wspinać się po schodach, więc rozgościłeś się na parterze. Znajdował się tam hall z pięknym kominkiem, ogromnym telewizorem, wielkim stołem z rzeźbionymi nogami, sofą z fotelami. Na lewo w kuchni z jadalnią spożywaliliśmy śniadania i kolacje.

Ledwo się poruszałeś z powodu choroby żył, ale codziennie prowadziłeś próby rano i wieczorem. Badanie nóg w klinice specjalistycznej, które załatwił ci teatr, odkładałeś na później starając się przedtem wyreżyserować spektakl. Próby było ci trudno prowadzić, ale ty sam siebie mobilizowałeś i twój temperament hazardzisty stymulował powściągliwych anglosasów.

Scena teatru McCartera była lustrzanym odbiciem naszej w BDT, a my praktycznie powtórzyliśmy na niej nasze petersburskie rozwiązanie. Portal starego frontonu, wspartego na dwu filarach zdobionych pilastrami. Za portalem roztaczały się dwa plany ruchomych ścianek – kulis, także z pilastrami. Na poziomie wzrostu człowieka linia ścianek jest zwarta, a powyżej rozrzedza się. Szczeliny między deskami wznosząc się ku górze stopniowo powiększają się. W szparach widać ogród.

Widać, że lato stopniowo przechodzi w jesień, widoczny jest deszcz, burza w drugim akcie, w finale wszystkie sześć ścianek rozstępuje się, za nimi odstania się stary opuszczony park prawdziwych nagich ko-

narów drzew ustawionych w krąg. Cała zieleń parkowa widnieje na wstęgach malowniczych aplikacji tła. W finale podczas słynnego monologu Soni krąg z drzewami zaczyna powoli obracać się.

Dość pracochłonne dekoracje specjaliści pryncetonskiego teatru wykonali w niezwykle krótkim czasie. Coś takiego nawet nam się nie śniło. Mają oni zupełnie inną bardziej racjonalną organizację pracy. (...)

Wszystko co wykonali specjaliści miało swój unikalny rzemieślniczy charakter. Szczególnie dobrze stolarze wykonali meble. Było jedno tylko potknięcie tuż przed próbą generalną. Przywieziono (były zamawiane na zewnątrz) siedem portretów starych ludzi, dawnych właścicieli majątku, i wywieszono na ścianach-kulisach z desek według makiety. Ja zajęty byłem przymierzaniem kostiumów. Nagle słyszę twój przerażony głos: – Edwardzie, gdzie pan jest, gdzie pan jest Edwardzie? Musiałem opuścić aktorkę i krawcową w przymierzalni, i pospiesznie biec do ciebie. Przyjąłeś mnie z rozszerzonymi oczami i słowami: – Edwardzie, to przecież afera, jak pan mawia, albo oni nie umieją malować, albo to rozwydrzeni chuligani!

Okazało się, że w pracowni wykonującej malownicze dekoracje do *Wujaszka Wani* według moich szkiców, zmarł portrecista, a znaleźć nowego nie zdołano. W zastępstwie portrety próbował namalować nieszczęsny malarz-dekorator o sympatiach lewicowych w manierze *pikaso*. Znowu musiałem wstawać jak na wartę i spać po pięć godzin na dobę, by ratować sytuację malując te niefortunne portrety z moich własnych szkiców, między próbami światła, malowaniem dekoracji i przymiarkami kostiumów. Z pośpiechu trzeba było malować je akwarelami na zagruntowanym płótnie, odtłuszczając je amerykańskim czosnkiem. Spoiwem, jak w naszych ikonach, było kurze żółtko z octem – jajeczny lakier. Amerykańscy mistrzowie rzemiosła scenograficznych chodzili wokół pracowni i nosem wciągali czosnkowo-octowe zapachy, starając się zrozumieć, jak mi się udaje tworzyć portrety akwarelami na zagruntowanym płótnie. Ale nie miałem czasu wtajemniczać ich w technikę malowania ikon.

Twój, nasz *Wujaszek Wania* odniósł w Princeton kolosalny sukces. Trzysta spektakli z rzędu grano przy pełnej widowni. Największe gazety w tym „New York Times” poświęciły spektaklowi pozytywne recenzje. Grono profesorskie słynnego Princeton University wydało na twoją cześć przyjęcie. Wystawienie *Wujaszka Wani* zbiegło się z entuzjastycznym przyjęciem gorbaczowskiej pieriestrojki.

Wszystko to było wspaniałe, ale twoje chore nogi już ledwie się poruszały. Byłeś bardzo zmęczony prowadząc dzień i noc próby. A miałeś już siedemdziesiąt lat. Bez pośpiechu wybierałeś się do kliniki z powodu swoich biednych nóg. Przy śniadaniu poskarżyłeś się na niskie ciśnienie, podałem ci kieliszek koniaku. Wywieziono cię prawie na cały dzień. Przywieziono do domu dopiero wieczorem pobladłego i bardzo poruszonego. Przygotowałem obiad, stał na stole, ale nawet nie tknąłeś go. Z trudem usiadłeś w fotelu i zwracając się do mnie oświadczyłeś: „Edwardzie widziałem dzisiaj najstraszniejszy film w moim życiu. Film o mnie, a dokładniej o naczyniach krwionośnych moich nóg. Tamtejsi lekarze ułożyli mnie na białym wysokim stole, pod jakimś podwieszonym nade mną aparatem powoli

przesuwającym się od moich stóp do końca nóg, pokazującym wszystko co odbierał na ekranie telewizyjnym. Oglądałem mapę powiększonych naczyń moich nóg. Lekarz z pomocą tłumacza bezlitośnie komentował cały ten nieprzyjemny obraz. Naczynia są całkowicie niedrożne. W obu nogach nie ma ani jednego czystego naczynia. Edwardzie, oni kazali mi rzucić palenie – to koniec. Powiedzieli mi po prostu, że jeżeli w najbliższym czasie nie przerwę palenia, to umrę za kilka lat. Za całe prawie honorarium kupiłem zapas specjalnego lekarstwa, bardzo drogiego, które powinno pomóc, ale pod warunkiem – ani jednego papierosa po jego zażyciu. Postanowiłem, że kiedy tylko samolot wyląduje w Moskwie przestanę palić”. Daj Boże, pomyślałem wtedy, być może uda się mu rzucić. Przecież paliłem prawie trzydzieści lat, ale przyszedł czas, że postanowiłem i skończyłem z nałogiem. (...)

W dniu powrotu do kraju nowojorscy przyjaciele na dwie godziny przed odlotem przywieźli mnie na lotnisko Kennedy'ego. Nie widziałem cię przez kilka dni (ja zwiedzałem Stany, ty miałaś wykłady o radzieckim teatrze). Przeraziłem się bladzielonkawym kolorem twojej twarzy. Skarzyłeś mi się: – Edwardzie, ostatnie dwie noce nie spałem, a dziś po sześciu godzinach nocnego lotu z San Francisco stoję na chorych nogach od piątej rano. Przeklęte lotnisko, nie ma tu gdzie usiąść. Nie mogę spać w samolotach, a ten potwór organizator zaplanował moje wykłady tak, że przeloty z miasta do miasta odbywały się nocą.

Bez przerwy łapczywie połykałeś nitroglicerynę. Z twoim sercem działo się coś niedobrego. Co znaczy zawał, dobrze wiedziałem. Przeszedłem go cztery lata temu i ze swoich zapasów lekarstw oddałem ci lepiej oczyszczoną nitroglicerynę angielskiej produkcji, od której nie boli głowa, i doskonały niemiecki cardicet. (...)

W naszym samolocie, chwała Bogu, udało ci się trochę pospać i dojść do siebie. Obietnicę rzucenia palenia po wylądowaniu na początek spełniłeś – rzeczywiście nie paliłeś ani w Moskwie, ani po przyjeździe do Petersburga. Nie paliłeś do czasu prób *Na dnie* Gorkiego, dramatu, który zacząłeś realizować jeszcze przed wyjazdem do Ameryki. (...)

Spotkanie piętnaste

Goga, czy ty rozumiesz, wyobrazasz sobie gdzie cię postawiono? W tej właśnie okolicy car Piotr I dał początek naszemu miastu.

To ważne miejsce. Stoisz obok słynnego domku Piotra, zachowanego z tamtych lat. Tu rezydował sam car ze współtowarzyszami, a wokół nich osiedlali się wysłannicy Anglii, Holandii, Francji, Prus.

Tuż obok, na Newie znajdowała się przystań floty i lokuowały się Pierwsze państwowe urzędy.

Dziwne, że podczas uroczystości odsłonięcia twojego pomnika nikt ze światłych urzędników

nie wspomniał o tym. Tak to bywa u nas, Goga.

Nie wiem, czy pokazywałeś się kardiologom po przyjeździe „zza wody”. Myślę, że się pokazywałeś. W każdym razie w teatrze poszły słuchy, że na stojąco przeszedłeś zawał serca. Bez względu na to, będąc

chory i na razie niepalący, kontynuowałeś próby spektaklu *Na dnie* Aleksieja Maksymowicza.

Do tego spektaklu zaangażowałeś niemal wszystkie swoje gwiazdy: A.Frejndli, E.Lebiediewa, K.Ławrowa, O.Basiłaszwili, E.Popową, W.Strzelczyka, W.Kowiela, J.Demicza S.Kriuczkową. Doprowadziłeś próby do trzeciego aktu i nagle zatrzymałeś się – siedziałeś nieobecny za reżyserskim stolikiem podpierając ręką głowę i milczałeś. Po próbie przyznałeś się Dinie Morisownie, niezmiennie twojej zastępczyni, że zupełnie nie możesz pracować, myślisz tylko o jednym: chcę palić, chcę palić. Następnego dnia lekarz psychiatra po rozmowie z tobą zrozumiał, że ty nie wytrzymasz takiego napięcia i pozwolił ci palić, ku wielkiej radości. Papieros był twoim nieodłącznym rekwizytem za reżyserskim stołem, więc powstał odruch z którym nie umiałeś sobie poradzić. (...)

Na dnie to ostatni spektakl, jaki reżyserowałeś w BDT i moja ostatnia, trzydziesta praca wykonana dla ciebie. Poprosiłeś, aby zrobić dekorację nie moskiewskiej noclegowni, a petersburskiej, jakiejś pomieszczenie w domach-studniach otaczających plac Sienny. Zbudowałem dosłownie przeniesione z centrum pudełko – studnię z typową dla Petersburga ścianą – brandmeierem. Dwie przednie ściany domu wznosiły się odsłaniając noclegownię z właściwymi jej elementami i wysokimi schodami prowadzącymi w górę do jedynej drzwi – wychodzących na ulicę. Przestrzeń domu-studni zakomponowana w poziomie to studzienka świątynia biedoty, w której mieszkają, gnieźdzą się postaci dramatu – aktorzy. W tej świątyni zagubionych biedaków unosi się zapowiedź tragedii. Spektakl zbudowany był bardzo profesjonalnie, ale tobie zabrakło energii, aby gigantów BDT natchnąć prawdą życia. Ostatnie swoje dzieło w BDT reżyserowałeś z chorym sercem i na chorych nogach.

Pamiętasz, że premierę spektaklu *Na dnie* zaszczyliła swoją obecnością wówczas bardzo popularna para: sekretarz KPZR Michaił Gorbaczow i jego małżonka Raisa Maksymowna. Sekretarz generalny ze swą małżonką bardzo chwalili spektakl i po jego zakończeniu dzwoniło do jeszcze ucharakteryzowanych aktorów i w kostiumach, aby przyszli sfotografować się z gośćmi na scenie, na tle moich dekoracji.

Fotografia okazała się nieco zabawna, a nawet niestosowna. Pośród grona mocno ucharakteryzowanych aktorów grających ludzi bezdomnych z niezwykle zatroskanymi twarzami stoi ostatnia jeszcze panująca para sowieckiego imperium. Cała ta maskarada przypomniła mi dawne obrazy z czasopisma „Newa”. „Odwiedziny pary cesarskiej w petersburskim domu noclegowym”. Nie wytrzymałem i uśmiechnąłem się. Byłem jedyną osobą na tym zdjęciu z uśmiechem na twarzy, więc dyrekcja bez szkody dla fotodokumentu wycięła mnie, ponieważ stałem z brzegu. W tym epizodzie było coś symbolicznego w epoce rozpoczynającej się *pieriestrojki -pieriestrietki*. Nieprawdaż Goga?

Spotkanie szesnaste

Widzisz Goga, znów przyszedłem. Lato osiągnęło pełnię.

Nadchodzi jesień. I wkrótce znowu zaczniemy,

ja i ty marznąć nie z powodu chłodu, a wskutek naszej petersburskiej wilgoci. We wrześniu skończę siedemdziesiąt lat. W ciągu minionych dwudziestu lat z okładem zmieniłem się w zupełnie siwego osobnika, a i ty już pokryłeś się patyną. Od czasu, gdy stanąłeś w tym szacownym miejscu, miejscowi zaczęli cię rozpoznawać i nazywać Towstonogowem. Twój pomnik to rzadkość w Petersburgu, a nadto Jedyny poświęcony naszym teatralnym twórcom.

Po ostatnim naszym wspólnym spektaklu w BDT, gorkowskim *Na dnie* – zdołałem zrobić na twoich oczach jeszcze dwa spektakle: *Szklaną menażerię* T. Williamsa i *Wizytę starszej pani* F. Dürrenmatta. Williamsa robiłem z N. Jacksonem z teatru w Princeton, gdzie wystawialiśmy *Wujaszka Wanię*. Jego reżyseria pozbawiona była wyrazu i byłeś zmuszony dyskretnie mu pomagać. Spektakl w rezultacie odniósł sukces i ponad dwadzieścia lat nie schodził ze sceny. N. Jackson, który już jako dramaturg przyjechał do Petersburga po dwudziestu latach od premiery *Menażerii* był bardzo zdziwiony, że spektakl wciąż jeszcze jest wystawiany i to przy pełnej widowni. Sukces *Menażerii* zapewniała znakomita obsada – pary aktorskie: matka i córka, Alisa Frejndlih i Jelena Popowa oraz Andriej Tołubiejew z Giennadijem Bogaczewym.

Drugi spektakl *Wizyta starszej pani* wystawiony był z moją koncepcją scenografii, którą wykonałem dla twojego utalentowanego ucznia Władimira Worobjewa. Niestety reżyseria Worobjewa nie odpowiadała moim kryteriom i rozumieniu teatru. Ta inscenizacja wydała ci się ilustracyjnym nagromadzeniem poszczególnych show, pomysłów nie powiązanych wspólną ideą. Worobjow długo kierował teatrem komedii muzycznej i zapewne stamtąd wyniósł nawyki. Rada artystyczna

po próbie generalnej przebiegała burzliwie, ostro dyskutowano nad kolażowym stylem reżyserii, o normach estetyki teatralnej, o różnych kierunkach w sztuce teatralnej. Ty aktywnie uczestniczyłeś w sporach i choć to może wydawać się dziwne, broniłeś Worobjowa, mimo iż sercem nie przyjmowałeś jego teatru. Jednym z twoich zacieklej oponentów był Jewgienij Aleksiejewicz Lebediew.

Po posiedzeniu rady artystycznej, podenerwowany inscenizacją i sporami wokół niej połknąłeś garść nitrogliceryny i usiadłeś za kierownicą swojego mercedesa. Na wszelki wypadek na prawym siedzeniu administracja posadziła kierowcę Kolę i pojechaliście na Pietropawłowską Stronę – do domu. W pobliżu mostu Troickiego przez Newę, przy pomniku A.W. Suworowa, dłuta Kozłowskiego, przedstawiającego boga wojny Marsa, zatrzymałeś się na czerwonym świetle, opadłeś na kierownicę i nagle ciebie zabrakło.

Chciałeś umrzeć jak człowiek z charakterem, po męsku. Spełniłeś swoje marzenie. To była twoja ostatnia, z talentem reżyserowana scena w zachwycającej przestrzeni naszego miasta – panoramie Wielkiej Newy, Pietropawłowskiej Twierdzy i mostu Troickiego. Na lewo od ciebie klasycystyczny pomnik wielkiego wodza Rosji, za tobą słynne Marsowe Pola.

Po kilku latach sam stałeś się pomnikiem po drugiej stronie Newy, obok domku Piotra Wielkiego, niemal naprzeciw placu Suworowa, na niewielkim skwerze nazwanym na twoją cześć. Na prawo od własnego domu, który peterski lud nazywał Szlacheckim Gniazdem. (...)

EDUARD STIEPANOWICZ KOCZERGIN
Przełożyła Joanna Paluszek

korespondencja

Wyglądało to trochę inaczej...

W ciekawym wywiadzie *Historia to sztuka, w której do katedr jest kolejka, a na ławach uczniowskich pustki* z prof. Januszem Tazbirem („Zdanie” 2012, nr 1-2, cykl „Trzech na jednego”), znalazły się opinie, z którymi trudno się zgodzić. Prof. Tazbir twierdzi, że w Warszawie znacznie gorzej niż na uniwersyteckiej historii było na polonistyce, bo tam rządili Stefan Żółkiewski i Jan Zygmunt Jakubowski. Red. Edward Chudziński mówi z kolei, że Żółkiewski, kiedy nie mógł zostawić Konrada Górskiego na uniwersytecie, to zafundował mu Pracownię Języka Adama Mickiewicza, a Dłuską pomógł ściągnąć z klasztoru, gdzie się zaszyla, na Uniwersytet Jagielloński.

Wszystko to wyglądało trochę inaczej. Przede wszystkim nie można umieścić w jednym szeregu Żółkiewskiego i Jakubowskiego ani pod względem

formatu intelektualnego, ani postawy politycznej. Przy tym akurat Jakubowski w okresie stalinowskim ze starą profesurą nie zadzierał, co więcej, na politykę personalną w zakresie polonistyki uniwersyteckiej nie miał większego wpływu. Konrad Górski objął wraz ze Stefanem Hrabcem redakcję Słownika języka Adama Mickiewicza już w roku 1948, a z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika przeniesiono go do IBL dopiero w dwa lata później. Wreszcie Maria Dłuska była profesorem na KUL od r. 1945 do 1950, kiedy przeniosła się na UJ. Pracowała tam bez żadnych trudności aż do roku 1953. Wtedy z przyczyn osobistych wstąpiła do zakonu karmelitanek, ale po kilku tygodniach go opuściła. Jej powrót na katedrę UJ nastąpił nie bez przeszkód, ale czy w usunięciu ich miał Żółkiewski jakiś udział – nie wiem.

Henryk Markiewicz

ZARZĄDZANIE ZASOBAMI

Razem z moją ukochaną Dorotą nosiliśmy w sobie przekonanie, że już lata temu całe posiadliśmy umiejętność „zarządzania zespołami ludzkimi”. A tu tymczasem wójtowicka rzeczywistość przekonuje nas, że nie umiemy sobie poradzić nawet z pojedynczym pijakiem, zbyt łatwo mu ufamy, naiwnie wypłacamy zaliczki, wierzymy, że jest znacznie więcej wart niż jest, a jeśli on sam w to wierzy – to wiarę tę w nim umacniamy. Od 6 do 10 zł za godzinę.

Rzecz traktując tylko wybiórczo mamy tak: Komornicy odebrali w parze około 1500 porodów owczych, wyhodowali 600 świń czyli wyprodukowali niemal 70 ton wieprzowiny, zaorali w ciągu tych samych lat ponad 250 ha dostarczając do punktu skupu 750 ton pszenicy, jęczmienia, gryki i gorczycy, zbierali, układali itd.

Robili też i nadal robią w nadbudowie. Założyli 5 organizacji pozarządowych, zrealizowali ponad 50 różnych projektów, wydali na nie ok. 4 mln złotych siwając przy ich rozliczaniu i tłumaczeniu warszawskim i wrocławskim urzędnikom, którzy „wiedzą lepiej”, przyjęli ponad 500 samorządowców z Polski B i C ucząc ich „dobrych praktyk”, zorganizowali ze 25 podróży studyjnych do ludzi i regionów, które uciekły nam co najmniej o jedno pokolenie do przodu, piszą opracowania i raporty, organizują systemy stypendialne dla Janków-Muzykantów, siedzą nad tekstami do kilku stron www, no i od czasu do czasu – od parunastu lat – piszą *Listy z Wójtowic*. A na marginesie, okazuje się, że ta właśnie działalność jest istotniejsza od konkretnych produkcyjnych rezultatów w fabryce, na polu i w oborze. Anne Appelbaum w swej ciepłej jeszcze *Iron Curtain: The Crushing of Eastern Europe 1945-56* przeprowadza wywód, że w tych latach – to śmierć przez uduszenie indywidualnej inicjatywy obywatelskiej doprowadziły do owego tytułowego „crushing”. Śmierć społeczeństwa obywatelskiego równa się śmierci demokracji. Pani Anno! Panie Radku! Podzielamy ten pogląd, mimo że Państwa dwór stoi w strefie zdekomunizowanej, w naszej zaś stodole króluje ponadnaturalny Włodzimierz Ilijcz (z *papier mache*). I pamiętamy, że jednym z pierwszych praw, które głosowaliśmy w Sejmie 1989 była ustawa o stowarzyszeniach.

Najpierw był etap wymiany dóbr. Za parę godzin nauki koszenia, watowania bezpieczników czy odbierania porodu pośladowego pisałem poręczenie za odbywającego karę syna sąsiadów, którzy potrzebowali go do wykopków. Szczęśliwi rodzice po zakopcowaniu ziemniaków przychodzili z flaszką. Ten początek był jeszcze w miarę pozytywny.

Ale kiedyś pojawił się Lutek, który rozkochał w sobie naszą 8-letnią wtedy Zulę, jako że sporządził dla niej przydomową grządkę rabarbaru. Bieliliśmy chałupę całą dzień, by pod wieczór usiąść wreszcie pod kasztanem do flaszeczki. On jedną, ja drugą, ogórki, smalec. Dorota twierdzi, że miał miejsce następujący dialog: – Lutek, a co Ty przez całe życie robiłeś? – A siedziałem.... – A ile siedziałeś?, – 17 lat i 6 miesięcy, – To Ty musiałeś kogoś zabić! – A zabiłem.... – A kogo? – A żonę, siekierą, (długie

milczenie), – Ale musiała Cię kurwa zdenerwować.... Dobrze żeśmy bielenie skończyli, bo innych wspólnych robót Dorota zakazała. I gont do tej pory nie zakonserwowany, bo do tego naprawdę „trzeba dwojga”.

Trochę więcej szczęścia mieliśmy z Rypsem. Ale skończyło się źle. Prawdziwa złota rączka, zrobił nam drewniany, lakierowany sedes, potrafił w pojedynkę naciągnąć w winnicy drut, unieruchomić kót i całość zablokować. Gdy po skoszeniu trawy przewracaliśmy grabiami pokosy, rwał do przodu jak zając, zwłaszcza że na końcu rzędu stało wiadro z dziesięcioma litrami owocowego wina, do tego pojemnik lodu i czekały dwa kubki. No i raz, kiedy naprawdę był potrzebny – w przeddzień kombinowanej kontroli Agencji i Ekogwarancji – wyskoczył po papierosy i wrócił... po 5 dniach. A nam kazali zwracać część dopłat bezpośrednich.

Gorzej było z Biderą. Nie zrobiłby sedesu, odmawiał plewienia „bo to damska robota”, pomógł zbierać do worów gruszki i śliwki – odpowiednio 400 i 350 kg – do czeskiej destylarni za górką tylko dlatego, że obiecałem mu po litrze jednego i drugiego. Przy zakładaniu winnicy im. J. Dienstbiera, gdy w oczekiwaniu na winierona z Lubina i na sadzonki trzeba było szybko wykopać 150 dołów i ogrodzić teren – przywieziono mi braci Biderów napitych do nieprzytomności. Bez mobilizacji licealnych wolontariuszy Dienstbier nie miałby swojej winnicy. I całą misterną organizację owego dnia diabli by wzięli. Gdybyśmy mieli 300 ha wirtualnych malin, nic by się nie stało.

Jeśli lewicujących inteligentów krakowskich interesują warunki, na jakich Komornicy eksploatują Rypsów, Biderów i im podobnych – to informuję, że mają oni *Umowę o dzieło*, zarabiają 8 zł za godzinę netto, że pracodawca płaci za nich podatek, że dostają kawę, dwie bułki, kawał kiełbasy i pomidora, wodę mineralną *a discretion*, a także odzież „ze zrzutów”.

Ale wszystko to się już skończyło. Zostały tylko europejskie fundusze na szkolenia *długotrwałe bezrobotnych*. Przekazywane w formie grantów – głównie „znajomym królika” – na zadziwiające projekty. Jak chociażby ten ostatni na naukę grupy elementu lokalnego – *fundraisingu*, angielskiego i obsługi komputera. Znajomy królika jest niekompetentny i dzwoni, by mu „podrzucić” lub wręcz „udostępnić” jakichś beneficjentów. Bo nikt znajomego królika nie sprawdził, zaś to „udostępnić” z konotacją, że płatne będzie pod stołem „od głowy” nadaje się do prokuratora.

Światelkiem w tunelu jest być może Kazach Witalij czyli Polak z Kazachstanu. Dał się poznać z niezłej strony. Rano był punktualny, jechało od niego jedynie wodą brzożową. Kosi, rąbie, dźwiga, sadi, ale...pójdzie chyba siedzieć za „groźbę karalną”. Usprawiedliwia się tym swoim urokliwym wschodnim akcentem, że – jak zacytowaliśmy go z Dorotą w naszym poręczeniu jako osoby zaufania publicznego: „...duszę, Panie, duszę w sobie tę obrazę, aż wreszcie mi to jakoś wszystko górami odpala”.

TOMASZ GOBAN-KLAS

DWAJ PREZYDENCI, DWA REWOLWERY, JEDEN MOTYW

Pierwszy prezydent to Lincoln – przypomniany *urbi et orbi*, Waszyngtonowi i światu, przez znakomity film Spielberga i genialną tytułową rolę Daniela Day-Lewisa. Jest to film o mężu stanu, który dla ratowania Stanów Zjednoczonych (rozdartych krwawą wojną domową i utrzymujących niewolnictwo), siłą swego umysłu i woli realizuje wielki plan polityczny, nie cofając się przed szantażem, korupcją, oszustwem wobec Kongresu, przy czym popada także w konflikt z żoną i synem.

Abraham Lincoln rządził 5 lat, zakończył wojnę, utrzymał jedność kraju, zlikwidował niewolnictwo, lecz nie doczekał końca drugiej kadencji. Swoje zwycięstwo opłaca śmiercią, w 1865 roku postrzelony w Teatrze Forda w Waszyngtonie przez aktora Johna Wilkesa Bootha, szpiega i fanatycznego stronnika Południa, zwolennika niewolnictwa. Booth pierwotnie planował porwanie prezydenta, aby wymienić go na pojmanyh konfederatów, ale ostatecznie zdecydował się użyć rewolweru. Zdołał uciec z łoża, lecz kilkanaście dni później zginął w obławie. Nieco wcześniej schwytano jego współników, w tym jedną kobietę. Ich proces został przedstawiony w filmie Roberta Redforda *The Conspirator* z 2010 roku. Wyrok dla czwórki brzmiał: kara śmierci przez powieszenie. Owa kara została wykonana publicznie przed zgromadzonym wielkim tłumem i udokumentowana fotograficznie. Pochowani zostali na terenie więzienia, podobnie jak zwłoki Bootha. Jego ciało przeniesiono pięć lat później do rodzinnego grobu Green Mount Cemetery w Baltimore. W tej ceremonii uczestniczyło 40 osób.

Drugi prezydent to nasz Gabriel Narutowicz, pierwszy prezydent niepodległej Rzeczypospolitej. Wybrany przez Sejm w 1922 roku zaskoczył prawicę, która była pewna zwycięstwa swego kandydata. Przemocą próbowano nie dopuścić do złożenia przysięgi. Rozwścieczona endecja rozpoczęła kampanię nienawiści w prasie, na ambonach, ulicach, oskarżając go o sprzyjanie masonom i Żydom, ateizm, cudzoziemszczyznę. Znalazła zbrojne narzędzie w Eligiuszu Niewiadomskim, artyście malarzu, który zastrzelił prezydenta na wernisażu w Zachęcie. Narutowicz zginął zaledwie w pięć dni po objęciu urzędu.

Niewiadomski został rozstrzelany, a jego rewolwer znalazł się w Muzeum Medycyny Sądowej. Jego pogrzeb na warszawskich Powązkach zgromadził około 10 tysięcy żałobników, w kościołach odprawiano msze i wygłaszano okolicznościowe kazania. Grób był dobrze utrzymany, ukwiecony, aż do lata 2012 roku, kiedy to zauważono rozbitą tablicę. Nie wiadomo czy spowodował to wiatr, czy wandal, ale strażnicy pamięci narodowej rozpoznali prawdę – to była planowa dewastacja, a Jan Żaryn (oczywiście IPN) uznał ją za „niszczenie autentycznych zabytków, które jest dowodem zdziczenia cywi-

lizacyjnego”. Okazało się wszakże, iż to nie był ani wiatr, ani wandal, lecz remont prowadzony przez rodzinę, jak tłumaczył Andrzej Prus-Niewiadomski, wnuk Romana Niewiadomskiego, brata Eligiusza.

W 1997 roku Jerzy Kawalerowicz nakręcił znakomity film *Śmierć prezydenta* ze świetną rolą Zdzisława Mrożewskiego. Jednak ten film można oglądać jedynie na YouTube, bowiem Telewizja Polska od lat nie uznaje go za godny rocznicowego przypomnienia.

Co łączy te dwa zamachy? Przecież nie filmy, choć to one prezentują dzisiaj historię dla młodego pokolenia. Nie osoby prezydentów, tak różne co do swych krajów, urzędów, uprawnień, zadań i cech osobowych. Jeden dokonał bardzo wiele, rządził pięć lat, drugi niewiele, a sprawował urząd pięć dni. Jednak obaj zginęli z ręki ideologicznych fanatyków, zdolnych spojrzeć woczysojefierzeprzedoddaniemśmiertelnegostrzału z bliska. Jakaż to musiała być polityczna nienawiść, z którą zresztą nie ukrywali się przed otoczeniem. Ostatnie słowa Niewiadomskiego brzmiały: „Ginę za Polskę, którą gubi Piłsudski!”. John Wilkes Booth po strzale wskoczył na scenę krzycząc: *Sic semper tyrannis!* – „Tak zawsze tyranom!” – cytując Brutusa zabijającego Cezara.

Oto we wrześniu 2012 r. Grzegorz Braun, określany jako reżyser, w prawniczym Klubie Ronina mówił o dziennikarzach „Gazety Wyborczej” i TVN: „Jeśli się nie rozstrzela co dziesiątego, to znaczy – hulaj, dusza, piekła nie ma”. Kilka dni później dodał: „Myślę sobie, że mówiąc »co dziesiątego« chyba nie doszacowałem, sądząc po rozmiarach tego, co się teraz rozpętało”.

Nie należy tego oszołoma lekceważyć. Mimowolnie wskazuje, że dzisiaj to nie prezydenci winni być na celowniku, ale media, które gubią kraj. Na szczęście, jak to już zauważył stary Marks, historia się powtarza, za pierwszym razem jako tragedia, za drugim jako farsa.

I tak się stało w czasie ceremonii wręczenia Oscarów 2013, gdy prowadzący komik MacFarlane pochwalił Daniela Day-Lewisa, że tak doskonale wcielił się w prezydenta (dostał za tę rolę Oscara), przy czym zaraz dodał: „Jednak najlepiej wbił w głowę Lincolnu inny aktor, mianowicie John Wilkes Booth” (czyli zabójca prezydenta, który strzelił mu w głowę). Kiedy przez salę przeszedł szmer, MacFarlane ze śmiechem stwierdził: „Co? Uważacie, że po 150 latach jeszcze za wcześniej na takie żarty?”

Obaj artyści, reżyser i komik przekraczają granice dobrego smaku. Herbert zapewne się w grobie przewraca. Jednak mimo wszystko wolę niesmaczny żart MacFarlana niż chamstwo i nienawiść w głosie Grzegorza Brauna. ■

więc
wątpię
jestem

CZASOPISMA POD KROPLÓWKĄ

O czasopiśmie w III RP było cicho do momentu, kiedy zniknęły z pewnego dokumentu i zrobiła się z tego potężna afera. W jej wyniku SLD przegrało z kretesem wybory, jego lider szukał przez czas jakiś pocieszenia w ramionach Leppera, pani wiceminister kultury jeszcze do niedawna włączona była po sądach, co skończyło się dla niej wyrokiem skazującym, a pewna wpływowa gazeta codzienna straciła 1/3 czytelników, lekko licząc.

W tej aferze chodziło oczywiście nie tylko o czasopiśma, lecz także o grube pieniądze, o których rozmawiało dwóch wydawałoby się gentlemanów, dając tym samym dowód, że w istocie nimi nie są. Na dodatek owym rozhorom towarzyszył dyskretnie magnetofon i w rezultacie pewien dobrze zapowiadający się naturszczyk w kinie polskim zakończył karierę, nie tylko filmową, za kratami. Przegranych było o wiele więcej, aliści znaleźli się także beneficjenci ze złotoustym posłem PiS-u na czele, który po wyborczej klęsce lewicy poszedł ze swoim szefem „na Polskę” robić porządek. Pomógł mu w tym walnie pewien lewicowy profesor, który jest święcie przekonany, że sprawiedliwości stało się zadość i prawda przed sejmową komisją wyszła na jaw. Do dziś jednakowoż nie wiadomo która, bo są trzy, jak ustalił inny profesor: prawda, cała prawda i gówno prawda.

Tak więc czasopiśma z powodu owej afery, w którą zostały uwikłane, ale nie tylko, mają dzisiaj nie najlepsze kontakty i po 89 roku wiedzie im się marnie.

Co innego w PRL-u. Niejeden zapewne redaktor, pamiętający z racji wieku tamte siermiężne czasy, wzdycha z utęsknieniem do 10-15-tysięcznych nakładów, jakie miały elitarne zdawałoby się miesięczniki kulturalne w rodzaju „Twórczości”, „Dialogu”, czy „Odry”, nie mówiąc o „Literaturze na świecie”, która w porywach osiągała 35-tysięczny nakład i – podobnie jak poprzednie tytuły – się sprzedawała! Dzisiejszym wydawcom i redaktorom prasy kulturalnej złego samopoczucia nie poprawi zapewne wiadomość, że w grupie tygodników średni nakład warszawskiej „Kultury” grubo przekraczał 100 tysięcy, „Polityka” rozchodziła się w 350 tysiącach egzemplarzy, a reprezentujący – jak się dziś powiada – koncesjonowaną opozycję „Tygodnik Powszechny” dobijał w latach 80. do 80. tysięcy. Aliści to był nakład limitowany, co oznacza, że w one lata pismo katolików świeckich znalazłoby co najmniej drugie tyle nabywców.

A dzisiaj? Lepiej spuścić zasłonę miłosierdzia. „Twórczość”, która za czasów Iwaszkiewicza pasowała de facto swoich autorów na pisarzy, gdyby nie była wydawana na zlecenie Ministerstwa Kultury, dawno zeszcłaby do grobu. Podobnie „Dialog”, „Teatr”, „Ruch Muzyczny” i jeszcze parę tytułów mających ten sam status. O nakładach ukazujących się obecnie czasopiśm kulturalnych lepiej nie mówić. Określenia: niszowe, ni-

skonkładowe w ujęciu liczbowym oznaczają od 500 do 2.000 egzemplarzy. A ile się sprzedaje? To jest tajemnica poliszynela. Średnie zwroty sięgają 80%, jeśli pismo w ogóle można kupić.

Dobrze więc nie jest. Ale źle też nie, bo w III RP ukazuje się ponad 400 tytułów omawianej prasy, co w PRL-u graniczyłoby z fantazją. Papieru chronicznie brakowało, także w toaletach, więc w sumie można by się doliczyć kilkudziesięciu tytułów w okresach prosperity na rynku wydawniczym. Tymczasem dzisiaj powstają czasopiśma jak grzyby po deszczu, coraz więcej tytułów egzystuje tylko w Internecie, a prawie wszystkie funkcjonują na zasadzie 2 w 1, czyli można je czytać w wydaniu papierowym i online. Zatem – jak mawiano drzewiej w Piwnicy pod Baranami – skoro nie jest dobrze i nie jest źle, to jest nieźle.

I na tej konstatacji można by poprzestać, gdyby nie choroba, która od lat trawi system finansowego wspierania prasy kulturalnej, a która nazywa się „po uważaniu”. Zmieniają się rządy i ministrowie kultury, wraz z nimi zasady przyznawania środków ubiegającym się o nie tytułom, a niezadowolonych przybywa. Ostatnio znowu rozległy się protesty, bo od tego roku na wsparcie mogą liczyć tylko czasopiśma, dla których „tematyka kulturalna i artystyczna stanowi wiodącą oś problemową”. Nawiasem mówiąc, mogłoby Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego unikać rażących rusycyzmów, przynajmniej w oficjalnych komunikatach. A o tym, czy w piśmie rzeczona tematyka jest „wiodąca”, rozstrzygnie zespół ekspertów. Otóż „Zdanie” ubiegało się o dotację w 2012 roku i owi eksperci, których nazwisk z litości nie wymienię (do wglądu na stronie internetowej MKiDN), za dwa numery dostarczone im do wglądu i oceny przyznali 47, 40 punktów, co uniemożliwiło wnioskodawcy nawet odwołanie się od tej – wołającej o pomstę do nieba – decyzji. Traf bowiem chciał, że przedmiotem oceny był tzw. numer baumanowski, a w nim takie nazwiska, jak – oprócz głównego bohatera („Trzech na jednego”) – Walicki, Woleński, Belka, Rotfeld, Domański, Tazbir, Widacki, Pomianowski, Waldenberg, Kowalik i parę innych, nie mniej znamienitych. Może więc Pan Minister zechciałby się przyglądnąć pracy swoich pozał się Boże ekspertów, a przy okazji poczytał „Zdanie”. Naprawdę warto!

SCEPTYK

P.S. „Zdanie” w ogóle tylko dwa razy ubiegało się o ministerialne wsparcie, ale po tym, jak zostało potraktowane w ubiegłym roku, nie ma zamiaru chodzić na Krakowskie Przedmieście po prośbie. Bez rządowej kroplówki też da się w III RP przeżyć.

1% OD PODATKU ZA 2012 ROK
MOŻECIE – DRODZY CZYTELNICY I SYMPATYCY –
PRZEKAZAĆ FUNDACJI KULTURY POLSKIEJ
KRS 0000115976
Z DOPISKIEM: NA WYDAWANIE „ZDANIA”

BĘDZIEMY WDZIĘCZNI ZA TEN WSPANIAŁOMYŚLNY GEST

R E D A K C J A

ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

Redaguje zespół:

Edward Chudziński (redaktor naczelny), Tomasz Goban-Klas, Krzysztof Komornicki, Adam Komorowski,
Beata Kowalska, Paweł Kozłowski, Lech M. Nijakowski, Andrzej Ruchałowski (sekretarz redakcji).

Makieta wg projektu Mściwoja Olewicza

Adres Redakcji: 31-052 Kraków, ul. Miodowa 41

www.kuznica.org.pl; e-mail: kuznica41@interia.pl

Wydawca (na zlecenie Stowarzyszenia „Kuźnica”):

Marian Szulc, 30-441 Kraków, ul. Fałęcka 60

Skład komputerowy i łamanie: Joanna Byczyńska

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne „Zapolex” sp. z o.o.

Nakład: 1000 egz.



HOTEL POD WAWELEM

pl. Na Groblach 22, 31-101 Kraków

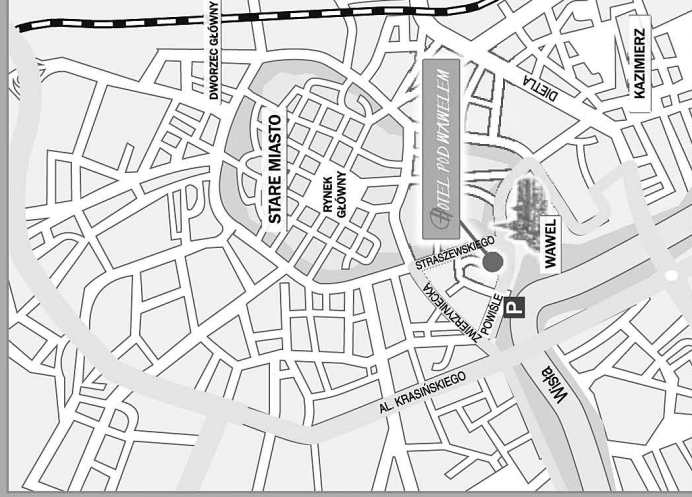
tel. +48 12 426 26 26

fax +48 12 422 33 99

rezerwacja@hotelpodwawelem.pl

www.hotelpodwawelem.pl

7 WARSZAWA, KIELCE



WARSZAWA
WROCLAW
KATOWICE

ZAKOPANE, CHYZNE 7
TARNOW, RZESZOW 4



Kraków, Polska

Cracow, Poland

Krakau, Polen

HOTEL POD WAWELEM



